

The background of the cover is a misty forest. Tall, thin trees are visible, with sunlight filtering through the canopy, creating a soft, ethereal glow. In the lower center, a person wearing a dark, long coat is walking away from the viewer down a path. The overall atmosphere is quiet and mysterious.

CHARLES DICKENS

TAJEMNICA  
EDWINA DROODA

Replika

# CHARLES DICKENS

---

## TAJEMNICA EDWINA DROODA

Tłumaczył  
Jan S. Zaus



**Replika**

## Osoby

### **Mężczyźni w kolejności alfabetycznej:**

sir BAZZARD, kancelista sir Grewgiousa

wielebny SEPTIMUS CRISPARKLE, jeden z kanoników mniejszych katedry w Cloisterham; wzorowy duchowny, prawdziwy chrześcijanin i dżentelmen

DICK DATCHERY, tajemniczy białowłosy mężczyzna

DEPUTY („Łobuziak”), urwis zatrudniony przez Durdlesa

EDWIN DROOD, wcześniej osierocony młodzieniec, obecnie studiujący inżynierię

DURDLES, kamieniarz, głównie tworzący nagrobki

sir HIRAM GREWGIOUS, opiekun panny Róży Bud

sir LUKE HONEYTHUNDER, prezes Komitetu Filantropijnego

JOHN JASPER, nauczyciel muzyki, również świecki kantor katedry w Cloisterham; wuj Edwina Drooda

NEVILLE LANDLESS, uczeń i podopieczny wielebnego Septimusa Crisparkle’a

sir TOMASZ SAPSEA, licytator i burmistrz Cloisterham

porucznik TARTAR, emerytowany oficer Królewskiej Marynarki Wojennej

sir TOPE, główny kościelny katedry w Cloisterham

### **Kobiety w kolejności alfabetycznej:**

pani BILLICKIN, owdowiała kuzynka pana Bazzarda, zajmująca się wynajmowaniem pokoi

panna RÓŻA BUD, („Różyczka”), sierota, urocza, pełna wdzięku panienka, podopieczna pana Grewgiousa

pani CRISPARKLE, („Pasterka z Chińskiej Porcelany”), bystra starsza dama, matka wielebnego Septimusa Crisparkle’a

HELENA LANDLESS, siostra Neville’a, przyjaciółka Róży Bud

pani TOPE, żona głównego kościelnego katedry w Cloisterham

panna TWINKLETON, przełożona pensji dla panien

# Rozdział I

## ŚWIT

Stare angielskie miasto z katedrą? Skąd się tu wzięło stare miasto z katedrą? Dobrze znany masywny, szary czworobok wieży starej katedry? Jak się tu znalazł? Skądkolwiek by się spojrzało nie ma przecież na niej tego zardzewiałego, żelaznego, sterczącego w niebo ostrza. Co to za ostrze i kto miałby je tam umieścić? Może zatknięto je tam na rozkaz sułtana, aby wbijać na nie hordy tureckich rabusiów, jednego po drugim? I tak oto sułtan, przy dźwiękach czyneli, zmierza w długim pochodzie do swego pałacu. Dziesięć tysięcy lśniących w słońcu bułatów i po trzykroć dziesięć tysięcy tancerek ścielących kwiaty, za nimi niezliczone słonie w mieniących się barwami czaprakach i mrowie służby. A w tle wciąż wznosi się wieża katedry, tam gdzie jej być nie powinno, a na jej złowieszczym ostrzu nie wije się żadna ofiara. Chwileczkę! Czyżby to ostrze miało być czymś tak mizernym jak zardzewiały szpic słupka starego, rozpadającego się zdeformowanego łóżka? Rozważaniu tej możliwości należy poświęcić pewien nieokreślony czas sennego rozbawienia.

Drżący od stóp do głów mężczyzna, którego rozkojarzona świadomość wytworzyła tak fantastyczny obraz, unosi się, wspiera na rękach rozdygotane ciało i rozgląda dokoła. Znajduje się w małym i nad wyraz nędznym pokoju. Przez postrzępione zasłony wpada z obok obok podwórka światło wczesnego poranka. Mężczyzna leży w ubraniu w poprzek dużego, całkiem nie pasującego do otoczenia łoża, które zdążyło się już załamać pod znajdującym się na nim ciężarem. Leżą bowiem na nim – też w poprzek i również ubrani – Chińczyk, hinduski marynarz i wynędzniała kobieta. Obaj mężczyźni śpią lub ogarnęło ich zamroczenie, kobieta natomiast dmucha w coś na kształt fajki, usiłując ją rozpałcić. Dmuchając, osłania ją wychudłą dłonią, w mdłym świetle poranka mężczyzna posługuje się rozniecanym żarem jako słabo świecącą lampką.

– Jeszcze jedną? – Pyta kobieta zniecierpliwionym, ochrypłym szeptem. – Chcesz jeszcze jedną?

Mężczyzna rozgląda się z dłonią przyciśniętą do czoła.

– Od chwili, gdy przywlokłeś się tu o północy, wypaliłeś już pięć – ciągnie kobieta, biadoląc bez przerwy. – O, ja nieszczęsna, ja nieszczęsna, jakże mnie boli głowa! Tamtych dwóch przywlokło się po tobie. O, ja nieszczęsna, interes idzie marnie, och, jak marnie! W dokach mało Chińczyków, jeszcze mniej hinduskich marynarzy. Powiadają, że żadne statki nie zawijają do portu. O tu, jeszcze jedna dla ciebie, miły. Pamiętasz, duszyczko, że cena rynkowa jest teraz piekielnie wysoka? Więcej niż trzy szylingi sześć pensów za naparstek! Pamiętasz też, że nikt inny, poza mną (i tym Jackiem Chińczykiem po drugiej stronie podwórka, chociaż on tego nie robi tak dobrze jak ja) nie zna prawdziwej tajemnicy przyrzę-

dzania tego? Zapłacisz ile trzeba, złotko, prawda? – Mówiąc, stale dmuchała w fajkę, czasem z bulgotem zaciągając się dymem. – Ojej, ojej, jakie te moje płuca słabe! Jakie marne! No, już prawie gotowa, złotko. O, ja nieszczęsna, ja nieszczęsna, ręka mi się trzęsie, jakby chciała zaraz odpaść! Jak się tu przywlokłeś, mówię sobie: „Rozpalę mu jeszcze jedną. Zna cenę opium i odpowiednio sypnie groszem”. O, moja biedna głowa! A te moje fajki robię ze starych tanich kałamarzy, widzisz, złotko? Tak, jak ta tutaj. Potem tak oto wciskam cybuch, nabieram małą rogową łyżeczką mieszanek z naparstka i napycham nią fajkę, złotko. O, moje biedne nerwy! Zanim się do tego wzięłam, przez szesnaście lat zalewałam się do nieprzytomności... ale szkoda gadać, to tutaj nic mi nie szkodzi. I zabija głód, tak samo jak głupotę zabija, złotko. – Podaje mu prawie wypaloną fajkę i opada ponownie, przyciskając twarz do łóżka.

Mężczyzna wstaje niepewnie, wtyka fajkę w palenisko kominka, odciąga postrzępione zasłony i spogląda ze wstrętem na trójkę leżącą na łóżku. Dostrzega, że palenie opium jakoś dziwnie upodobniło kobietę do Chińczyka. Kształt jego policzków, oczu, skroni, a także ich barwa powtarzają się w jej twarzy. Tymczasem Chińczyk konwulsyjnie zmagają się z którymś ze swych wielu wrogów, albo może diabłów, charcząc przy tym straszliwie. Marynarz chichocze, śliniąc się. Gospodyni leży spokojnie.

– Jakie **ona** ma wizje? – zastanawia się rozbudzony mężczyzna, odwracając ku sobie jej twarz i patrząc na nią z góry. – Wizje tanich jatek, barów, wysokich pożyczek? Może widzi napływ obrzydliwych klientów i to, że to przerażające łoże stoi prosto? A może czysto wysprzątane podwórko? I do jakich jeszcze wizji mogłaby się wznieść po każdej kolejnej dawce opium? – Nadstawia ucha, wsłuchując się w jej mamrotanie. – To niezrozumiałe!

I gdy tak obserwuje spazmatyczne skurcze, wstrząsające jej członkami i przebiegające po twarzy niczym nieregularne błyskawice przeszywające ciemne niebo, udzielają mu się one jak jakaś zaraza – do tego stopnia, że musi się odsunąć w kierunku koślawego fotela przy kominku, przygotowanego być może na tego rodzaju okoliczności, po czym siada w nim nieruchomiejąc i czekając, aż uda mu się przezwyciężyć niezdrową pokusę naśladownictwa.

Wreszcie wraca do łóżka, rzuca się na Chińczyka, chwytając go obiema rękami za gardło i gwałtownie potrząsa. Chińczyk odpycha ręce, broni się, rzezi, walczy.

– Co mówisz? – Przerzywa, uważnie słuchając. – To niezrozumiałe!

Powoli rozluźnia uścisk, marszcząc z napięciem brwi i wsłuchując się w bezsensowny bełkot, a potem odwraca się do marynarza i po prostu ściąga go z łóżka na podłogę. Padając, marynarz unosi się, wpatruje się w niego, dziko wymachuje rękoma, jakby chciał wyciągnąć wymaginowany nóż. Wtedy okazuje się, że kobieta odebrała mu go dla bezpieczeństwa. Ona też podnosi się nagle, zaczyna go powstrzymywać i uspokajać. Kiedy oboje sennie opadają obok siebie, widać, że nóż znajduje się w jej, a nie w jego ubraniu.

Sporo jest przy tym szamotania i bełkotu, ale nic z tego nie da się zrozumieć. Jeśli nawet można w tym pokoju usłyszeć słowa brzmiące nieco wyraźniej, to również są one bezładne i pozbawione sensu. A zatem mężczyzna znowu określa je jako niezrozumiałe, kiwając z powątpiewaniem głową i krzywiąc się ponuro. Potem kładzie na stole srebrną monetę,



chwyta kapelusz, zbiega po rozklekotanych schodach, pozdrawia dozorcę leżącego na łóżku w czarnej, zaszczurzonej norze pod schodami, i wychodzi.

\* \* \*

Tego samego dnia po południu masywny, szary czworobok wieży starej katedry wznosi się przed oczami steranego drogą wędrowca. Dzwony wzywają na codzienne nieszpory, a on – sądząc z pośpiechu, z jakim otwiera drzwi katedry – zapewne pragnie wziąć w nich udział. Chórzyści szybko narzucają na siebie przybrudzone, białe szaty, a kiedy mężczyzna dołącza do nich, zakłada podobną i idzie z nimi na nabożeństwo. Wówczas zakrystian zamyka żelazne okratowane wrota, dzielące sanktuarium od prezbiterium, a chór, pochylając głowy, zajmuje swoje miejsca. I wtedy rozlegają się słowa: *A jeśli bezbożny...*<sup>[1]</sup> unosząc się pod załamania łuków i belek stropu, przetaczając się wśród nich niczym pomruk grzmotu.

## Rozdział II

# DZIEKAN, A TAKŻE KAPITUŁA KATEDRY

Jeżeli ktoś obserwował kiedyś gawrona, tego opanowanego i klerykalnego ptaka, może zauważył, że kiedy kieruje się on o zmroku do domu w poważnym i klerykalnym towarzystwie, wtedy dwa inne gawrony odłączają się nagle od reszty stada, przez jakiś czas podążają za nim, a potem unoszą się wyżej i pozostają w tyle, wzbudzając w zwykłych ludziach przekonanie, iż ma to dla całego stada jakieś tajemne znaczenie, że ta przemyślna para zdaje się zrywać kontakt z resztą ptaków.

W podobny sposób, po zakończeniu niesporów w starej katedrze o czworobocznej wieży, chórzyci pośpiesznie się rozpraszają; poszczególne szacowne osoby, niczym gawrony, oddalają się, zaś ich kroki dudnią echem wewnątrz zamkniętego podwórca.

Kończy się nie tylko dzień, lecz i cały rok. Słońce, zachodzące za ruiny klasztoru płonie, lecz jest zimne, a z pokrywającego ściany katedry dzikiego wina opadła już na chodnik połowa ciemnoczerwonych liści. Tego popołudnia padało; przez kałuże powstałe na spękanych, nierównych kamiennych płytach chodnika przebiegają drobnymi zmarszczkami lodowate dreszcze, które wstrząsają również olbrzymimi wiązami, ociekającymi strumieniami łez. Ich opadłe liście ścielą się grubą warstwą. Niektóre bojaźliwie szukają schronienia pod niskim łukiem drzwi katedry, ale dwóch wychodzących mężczyzn wykopuje je na zewnątrz butami, a potem jeden z nich zamyka drzwi solidnym kluczem, drugi zaś pyta, machając zeszytem nutowym:

– Czy był pan Jasper, Tope?

– Tak, księżę dziekanie.

– Długo?

– Tak, księżę dziekanie. Zostałem potem przy nim, wasza wielbność. Ostatnio trochu niedomaga.

– Mówi się „trochę”, Tope, zwracając się do księdza dziekana – cicho przerywa mu młodszy gawron tonem nagany, jakby chciał powiedzieć: „Możesz mówić niegramatycznie do osób świeckich albo do niższych duchownych, ale nie do księdza dziekana”.

Pan Tope, główny kościelny i mistrz ceremonii, przywykły do traktowania grupowych wycieczek z góry i wewnętrznie przekonany o swej wyższości, nie dopuszcza do świadomości faktu, że jakiegokolwiek pouczenie może dotyczyć jego osoby.

– A zatem od kiedy to i jak zaczął pan Jasper trochę... No cóż, lepiej, jak stwierdził pan Crisparkle, mówić „trochę”... – zauważa ksiądz dziekan.

– A więc od kiedy to i jak pan Jasper zaczął trochę...

– Trochę, księżę dziekanie – z szacunkiem mruczy Tope.

– ...niedomagać, Tope?

– No więc, proszę księdza, pan Jasper tak ciężko dychał...

– Nie powiedziałbym „dychał”, Tope – przerywa pan Crisparkle tym samym tonem co poprzednio. – Nie jest to dobra angielszczyzna w obecności księdza dziekana.

– On oddychał z trudem – ksiądz dziekan (najwyraźniej pochlebiony tym pośrednim objawem szacunku) dorzuca z wyższością – byłoby właściwszym określeniem.

– Oddech pana Jaspiera był tak szczególnie krótki – tym razem pan Tope zrećcznie omija rafa – kiedy wchodził, że po prostu nie mógł wyciągnąć nut, i to zawsze z tego powodu, wkrótce potem dostał czegoś w rodzaju ataku. Jego umysł uległ zamroczeniu. – Pan Tope, nie spuszczać oczu z wielebnego Crisparkle’a, wyrzuca z siebie to słowo tak, jakby chciał zwrócić uwagę, by go poprawić. – A ten rodzaj zamroczenia i zawrót głowy były tak straszne, że w życiu jeszcze czegoś takiego nie widziałem; chociaż on sam szczególnie się tym nie przejął. Niemniej trochę wody i czasu sprawiło, że zamroczenie minęło. – Pan Tope powtarza to słowo z naciskiem, jakby chciał powiedzieć: „Jak już raz mi się udało, to i drugi raz się uda”.

– A więc przed pójściem do domu pan Jasper zupełnie doszedł do siebie?

– pyta dziekan.

– Wasza wielebność, on poszedł do domu zupełnie zdrów. Po deszczu zrobiło się dość chłodno, więc cieszę się, że rozpałił w kominku. Dziś po południu w katedrze czuło się wilgoć, a on się bardzo trząsał.

Cała trójka patrzy w stronę starego kamiennego domu zamykającego podwórzec katedry, w którym znajduje się sklepiona lukiem brama<sup>[2]</sup>. W oknie z szybkami w drobnej kratownicy ramek widać połyskujące światło ognia, które żwawo przebija się przez gęstniejący mrok. Ogień pogrąża teraz w głębokim cieniu zbitą masę zwisającego bluszczu i pnący okrywających frontową ścianę budynku. Tych, którzy stoją w oddali, przenika dreszcz. Kiedy głęboki dźwięk dzwonu katedry wybija godzinę, ten dostojny dźwięk niby echo rozlega się w grobowcu i w wieży, przewala się poprzez zniszczone nisze, aby w końcu odbić się o pomnik bez głowy i otaczające dziedziniec budynki.

– Czy u pana Jaspiera jest jego siostrzeniec? – pyta dziekan.

– Nie, proszę księdza – odpowiada kościelny – ale spodziewa się jego przybycia. Pomiędzy tymi dwoma oknami widać tylko jeden samotny cień; tam, pomiędzy tym od naszej strony i tym, które wychodzi na High Street. Właśnie zaciąga zasłony.

– No tak, tak – rzuca od niechcienia dziekan, jak intruz wkraczający innym w dyskusję. – Mam nadzieję, że pan Jasper nie przywiązał się za bardzo do swego siostrzeńca. Nasze uczucia, choćby nawet chwalebne, nigdy nie powinny panować nad nami w tym przemijającym świecie; przeciwnie, to my powinniśmy nimi kierować. Słyszac te dzwony, z przyjemnością myślę o zbliżającej się kolacji. Może zechce pan, panie Crisparkle, przed pójściem do domu zajrzeć do Jaspiera?

– Oczywiście, księżę dziekanie. Czy oznajmić mu, że ksiądz był łaskaw zainteresować się jego stanem zdrowia?

– Tak, tak... zrób pan to, zrób. Oczywiście. Chciałbym wiedzieć, jaki jest stan jego



zdrowia. Ze wszech miar życzę sobie wiedzieć, jakże się teraz miewa.

Z wyrazem zadowolenia na twarzy ksiądz dziekan przekrzywia swój osobliwy kapeluszek o tyle, o ile to uchodzi dziekanowi, gdy jest w dobrym nastroju, i kieruje swe kroki w stronę promieniującej ciepłem jadalni przytulnego starego domu z czerwonej cegły, obecnie stanowiącego „rezydencję” zarówno dla niego, jak i jego żony i córki.

Pan Crisparkle, kanonik mniejszy, rumiany blondyn, nieustannie rzuca się głową naprzód w wielką, głęboką, bieżącą miejscową wodę. Pan Crisparkle, kanonik mniejszy... to ranny ptaszek – jest muzykalny, klasyczny, wesoły, uprzejmy, pogodnego usposobienia, towarzyski, zadowolony z życia, bardzo chłopięcy; pan Crisparkle, kanonik mniejszy i dobry człowiek, awansowany przez swego mecenasa (z wdzięczności za dobrze wykształconego syna) do obecnie zajmowanego stanowiska na polu działalności chrześcijańskiej, pełni ostatnio funkcję przewodnika na głównych szlakach pogaństwa. W drodze na podwieczorek rusza w stronę domu z bramą.

– Z przykrością usłyszałem, jak Tope mówił, że nie czujesz się dobrze, Jasper.

– Och, to nic takiego, nic takiego!

– Wyglądasz na trochę zmęczonego.

– Ja? O, nie sądzę. A co więcej, wcale tak się nie czuję. Podejrzewam, że Tope mocno przesadza. Jak wiesz, on lubi przesadzać we wszystkim, co dotyczy katedry.

– Mogę zatem przekazać księdzu dziekanowi, przed chwilą z nim się rozstałem, że miewasz się już dobrze?

Odpowiedź nadchodzi z nikłym uśmiechem:

– Czuję się zupełnie normalnie; przekaz też księdzu dziekanowi wyrazy uszanowania i podziękowania.

– Cieszę się, że spodziewasz się młodego Drooda.

– Tak, oczekuję tego drogiego młodzieńca w każdej chwili.

– Ach! On może ci pomóc bardziej, Jasper, niż jakikolwiek lekarz.

– On mi więcej pomoże niż tuzin lekarzy. Szczerze bowiem kocham tego chłopca, a nie lubię lekarzy i tych ich metod leczenia.

Pan Jasper to brunet około czterdziestu sześciu lat, z bujnymi, połyskującymi, dobrze ułożonymi, czarnymi włosami i bokobrodami. Wygląda na starszego niż jest, jak to często bywa u brunetów. Ma głęboki, miły głos, ładną twarz i zgrabną figurę, ale w zachowaniu jest może nazbyt poważny. Jego pokój również odznacza się nadmiarem powagi, a nawet ponurości, i ma to może wpływ na sposób jego zachowania. Większa część tego pokoju połączona jest w mroku. Nawet gdy słońce jasno świeci, jego promienie rzadko padają na duże pianino, na nuty na podstawce lub półki z książkami, czy też na wiszący nad kominem nie dokończony portret dziewczyny w kwiecie wieku; jej opadające na ramiona kasztanowe włosy opasuje błękitna wstążka, olśniewa urodą z tym dziewczęcym, niemal dziecinny wyrazem rozkapryszczenia na twarzy, oddanym w tak zabawny sposób. (Portret nie ma najmniejszej wartości artystycznej, to zwykły kicz, ale widać wyraźnie, że malarz dał w nim wyraz swemu rozbawieniu – można nawet złośliwie twierdzić, że ukazał styl samej modelki.)

– Będzie nam ciebie dziś wieczorem brakować, Jasper, na naszej Muzycznej Środzie, ale z pewnością lepiej jeśli zostaniesz w domu. Dobranoc! Niech cię Bóg ma w swojej opiece! *Powiedcież mi pasterze, po-o-wiedzcie mi, p-owiedzcie mi-i-i, czy widzieliście (czy widzieliście, czy widzieliście, czy widzieliście) przechodzącą tędy mo-o-o-ja Flo-o-o-orę?!<sup>{3}</sup>* – Muzykalny kanonik mniejszy, wielebny Septimus Crisparkle, w ten oto sposób wyraża siebie na zewnątrz poprzez muzyczny rytm; jego miła twarz znika wkrótce za drzwiami, a on sam oddala się po schodach.

U podnóża schodów słyhać głos witającego się z kimś wielebnego Septimusa. Pan Jasper nadśluchuje, zrywa się z krzesła i chwytając w ramiona młodego człowieka, wykrzykuje:

– Drogi Edwinie!

– Drogi Jacku! Jakże się cieszę, że cię widzę!

– Zdejmij płaszcz, kochany chłopcze, i siadaj w swoim ulubionym kącie. Nie przemoczyłeś nóg? Ściągnij buty. No, dalej, ściągaj buty.

– Ależ, drogi Jacku, jestem suchy jak pieprz. Kochany, nie rozczulaj się tak nade mną. Nie znoszę niepotrzebnego rozczulania się.

Kiedy wybuch jego entuzjastycznych uczuć zostaje w ten niezbyt uprzejmy sposób pohamowany, Jasper, nieruchomiejąc, przygląda się z uwagą, jak młodzieniec pozbywa się płaszcza, kapelusza, rękawiczek i tak dalej. Od tej chwili na twarzy Jaspera maluje się wyraz napiętej uwagi. Pochłaniająca go, naznaczona wyczekiwaniem, czujna i zarazem pełna oddania miłość pojawia się na niej zawsze wtedy, gdy Jasper odwraca się w jego stronę. I kiedykolwiek jego twarz zwraca się ku niemu, przy tej i wszystkich innych okazjach, nigdy nie wyraża powątpiewania lub roztargnienia – zawsze jest skupiona.

– No, Jack, teraz już wszystko w porządku, mogę zasiąść w moim kąciku. Będzie jakaś kolacyjka?

Pan Jasper otwiera drzwi po drugiej stronie pokoju, ukazując następny, mniejszy, przyjemnie oświetlony i odpowiednio przygotowany pokój, w którym schludna kobieta właśnie nakrywa do stołu.

– Wspaniały staruszek Jack! – wykrzykuje młodzieniec, klaszcząc w dłonie. – Ale, ale, Jack, powiedz, czyje to dziś mamy urodziny?

– W każdym razie ja wiem, że nie twoje – odpowiada Jasper, zastanawiając się przez chwilę.

– Ty wiesz, że nie moje? No oczywiście, przecież ja też wiem, że nie **moje!** To urodziny Kici!

Skupione na młodzieńcu uważne spojrzenie ma jakąś dziwną właściwość – potrafi skoncentrować się jednocześnie na szkicu wiszącym nad gzymsem kominka.

– To urodziny Kici, Jack! Musimy wypić jej zdrowie. Chodź, wuju, i prowadź swego posłusznego i zgłodniałego siostrzeńca do stołu.

Kiedy chłopiec (bo przecież jest jeszcze prawie chłopcem) kładzie rękę na ramieniu Jaspera, ten serdecznie i radośnie kładzie swoją na **jego** ramieniu i marszowym krokiem udają się na kolację.

– O mój Boże! To przecież pani Tope! – woła chłopiec. – Piękniejsza niż zwykle!  
– Proszę przestać, paniczku Edwinie – gani go żona kościelnego. – Sama potrafię o sobie zadbać.

– Na pewno nie, jest pani zbyt ładna. Całusek z okazji urodzin Kici.

– Dałabym panu Kicię, młodzieńcze, gdybym była Kicią, jak ją pan nazywa – odpowiada pani Tope, rumieniąc się po takim powitaniu. – Wszystko przez to, że pański wuj zbyt się panem przejmuje. Tak pana rozpuścił, że według mnie wyobraża pan sobie, iż na skinięnie palca zbiegłoby się do pana tuzin takich jak Kicia.

– Zapomina pani, pani Tope – wtrąca Jasper, siadając z uprzejmym uśmiechem przy stole – i ty, Ned, też zapominasz, że słowa „wuj” i „siostrzeniec” są, za ogólną zgodą, zakazane w tym miejscu. Podziękujmy Bogu za Jego dary!

– Jakby to powiedział sam ksiądz dziekan! Świadkiem Edwin Drood! Jack, proszę cię, zacznij kroić pieczeń, bo ja nie potrafię.

Po tym wstępie podano kolację. Podczas jedzenia mówiono niewiele lub wcale. Wkrótce zniknął obrus i na stole pojawiło się naczynie z włoskimi orzechami oraz karafka z ciemną sherry.

– No wiesz, Jack! Powiedz mi – zagaduje młodzieniec – czy naprawdę szczerze uważasz, że może nas dzielić podkreślanie naszego pokrewieństwa? Bo ja tak nie uważam.

– Ned, wujowie z reguły są o tyle starsi od siostrzeńców – brzmi odpowiedź – że czują to instynktownie.

– Z reguły! Ach, być może! Ale co to za różnica – około sześciu lat? Niektórzy wujowie w licznych rodzinach bywają młodszy od siostrzeńców. Do licha, chciałbym, aby tak było w naszym wypadku.

– Dlaczego?

– Bo gdyby tak było, to ja pouczałbym cię, Jack, i byłbym tak mądry jak nudna Troska – niech przepadnie! – która sprawia, że młodzieniec siwieje; jak nudna Troska – niech przepadnie! – która sprawia, że starzec zmienia się w proch...<sup>[4]</sup> Hej, Jack! Nie pij jeszcze.

– Dlaczego?

– I on w dniu urodzin Kici pyta, dlaczego ma nie pić! Przecież jeszcze nie wzniesiono z tej okazji toastu. Kicia, Jacku, niech nam żyje i niech się weseli! – Kładąc rękę na wyciągniętej dłoni chłopca, tak jakby to była jego głowa, w której zaszumiło i jego beztroskie, wesołe serce, pan Jasper w milczeniu spełnia toast. – Hip, hip, hip, dziewięć razy po dziewięć i jeszcze raz na koniec! Hura, hura, hura! A teraz, Jack, porozmawiajmy trochę o Kici. Masz dwa dziadki do orzechów? Daj mi jeden, a sobie weź drugi. – Chrup. – Jak Kicia sobie radzi, Jack?

– Z muzyką? Całkiem nieźle.

– Strasznie z ciebie sumienny koleżka, Jack. Jednak już ja cię znam, niech cię Bóg ma w swojej opiece! Nie uważa, czy tak?

– Jeżeli zechce, wszystkiego potrafi się nauczyć.

– **Jeżeli** zechce! Zgadza się. A jeżeli nie zechce? – Chrup! – rozlega się od strony pana

Jaspera. – Jack, jak ona teraz wygląda?

Kiedy pan Jasper odpowiada, jego skupiony wzrok znowu kieruje się na portret.

– Jest bardzo podobna do twojego szkicu.

– W pewnym sensie. Jestem z niego dumny – odpowiada młodzieniec, spoglądając z zadowoleniem na szkic. Potem mrużąc jedno oko i patrząc na portret z lepszej perspektywy ponad uniesionymi w powietrzu niczym most dwoma dziadkami do orzechów, dodaje: – Jak na szkic z pamięci... jest całkiem niezły. Nic dziwnego, że uchwyciłem właściwy wyraz twarzy, bowiem dość często taki właśnie widuję.

Chrup! – dobiega od strony Edwina Drooda.

Chrup! – rozlega się od strony pana Jaspera.

– Tak naprawdę – podejmuje z wyrazem rozbawienia pierwszy, po milczącym gmeraniu w łupinach orzechów – zawsze go widuję, kiedy się spotykam z Kicią. Jeżeli nie odnajdę na jej twarzy tego wyrazu, to zostawiam go na niej, odchodząc... Wiesz, że tak jest, panno Przemądrzała Śmieszko – macha dziadkiem do orzechów w stronę portretu.

Chrup, chrup, chrup – powoli od strony pana Jaspera.

Chrup! – ostro od strony Edwina Drooda.

Cisza po obu stronach.

– Zapomniałeś języka, Jack?

– A ty odnalazłeś swój, Ned?

– Nie, ale doprawdy... Czy to nie jest, no wiesz, mimo wszystko...

Pan Jasper unosi pytająco ciemne brwi.

– Czy to nie kłopotliwe, gdy w tego rodzaju sprawie jest się pozbawionym możliwości wyboru? Pomyśl, Jack! Mówię ci, że gdybym miał wybierać spośród wszystkich dziewcząt na tym świecie, wybrałbym Kicię.

– Ale nie musisz wybierać.

– Właśnie. Dlatego narzekam. Mój nieboszczyk ojciec i zmarły ojciec Kici nie powinni byli nas swatać. Dlaczego, do diabła – chciałbym zapytać, gdyby nie obrażało to ich pamięci – nie zostawili nas w spokoju?

– No, no, drogi chłopcze – przerywa pan Jasper tonem łagodnej nagany.

– No, no? Ach, Jack, **tobie** dobrze tak mówić. **Ty** to wszystko przyjmujesz lekko. **Twoje** życie nie zostało dokładnie wyznaczone, wytyczone i zaplanowane, niczym jakiś projekt architektoniczny. **Ciebie** nie dręczy podejrzenie, że się komuś narzucasz, ani nikt nie podejrzewa, że może się narzucać tobie. **Ty** możesz wybierać. **Twoje** życie jest jak owoc w naturalnym kolorze, który nie został wytworzony sztucznie, specjalnie dla **ciebie**...

– Nie przerywaj, drogi chłopcze. Mów dalej.

– Zraniłem twoje uczucia, Jack?

– Dlaczego miałbyś je zranić?

– Wielkie nieba, Jack, wyglądasz jakbyś był bardzo chory! Widzę, jak ci oczy zachodzą mgłą.

Jasper z wymuszonym uśmiechem wyciąga prawą rękę, jakby pragnąc go tym gestem uspokoić, a jednocześnie zyskać na czasie, aby dojść do siebie. Po chwili mówi słabym

głosem:

– Brałem opium dla uśmierzenia bólu...<sup>[5]</sup> Straszego bólu... który czasem mnie atakuje. Skutki stosowania tego lekarstwa nachodzą mnie jak jakaś mgła lub chmura, a potem mijają. Właśnie jesteś świadkiem, że mijają; to zaraz przejdzie. Przemina szybciej, jeżeli nie będziesz zwracał na nie uwagi.

Przestraszony młodzieniec spuszcza wzrok, patrząc na popiół w kominku. Starszy mężczyzna nie koi oczu widokiem ognia, ale kurczowo zaciska dłonie na poręczach krzesła, siedzi przez jakiś czas nieruchomo, a potem – z kroplami potu na czole, głęboko zaczerpnąwszy powietrza – wraca do siebie. I kiedy wreszcie opada na oparcie krzesła, siostrzeniec delikatnie i cierpliwie pomaga mu, aż w końcu zupełnie wraca do poprzedniego stanu. Kiedy Jasper odzyskuje pełną przytomność, kładzie łagodnie rękę na ramieniu siostrzeńca i głosem spokojniejszym niż treść wypowiedzianych słów – a nawet w pewnym sensie żartobliwie – zwraca się do niego:

– Powiadają, że w każdym domu gdzieś kryje się szkielet, a ty, mój drogi Nedzie, myślałeś, że w moim nie ma żadnego.

– Jako żywo, Jack, tak myślałem. Jednak kiedy sobie wyobrażę, że nawet w domu Kici... jeżeli ona będzie go miała... I w moim... jeżeli ja będę go miał...

– Chciałeś powiedzieć (mimo woli nie mogłem się opanować, żeby ci nie przerwać), że prowadzę tu w pewien sposób spokojne życie. Wokół mnie nie ma żadnego zamętu ani hałasu. Żadnych interesów, żadnych kalkulacji lub ryzyka, zmian miejsca... Jestem oddany uprawianej sztuce, a praca stanowi dla mnie przyjemność.

– Rzeczywiście, chciałem powiedzieć coś w tym rodzaju, Jack, ale widzisz, ty, jeśli już mówimy o tobie, prawie zawsze opuszczasz wiele z tego, co ja chciałbym powiedzieć. Na przykład podkreśliłbym, że jesteś bardzo poważny jako świecki kantor albo jako świecki członek kapituły, czy jak to zwa, tej katedry; że cieszysz się sławą dokonywania cudów z tutejszym chórem; że sam dobierasz sobie towarzystwo; że dana ci jest niezwykle niezależna pozycja w tym dziwnym starym miejscu... Podkreśliłbym też twój talent nauczyciela (no cóż, nawet Kicia, która nie lubi się uczyć, zawsze mówi, że nigdy jeszcze nie miała takiego nauczyciela!) i twoje koneksje.

– Tak... domyślałem się, że do czego zmierzasz. Ale nie znoszę tego wszystkiego.

– Nie znosisz, Jack? – pyta wielce zdumiony Edwin.

– Tak, nie znoszę tego. Wyczerpuje mnie ta krępująco monotonna egzystencja. A jak według ciebie brzmi nasz chór?

– Pięknie! Wprost niebiańsko!

– Według mnie często brzmi wprost szatańsko. Jestem już tym znużony. Echo mojego własnego głosu pod lukami sklepień zdaje się szydzić z mojej codziennej harówki. Żaden nieszczęsny mnich, który przede mną strawił życie w tym ponurym miejscu, nie był nim bardziej znużony niż ja. On mógł tu znaleźć wytchnienie, co czynił często, rzeźbiąc jakieś demony w stallach, na ławkach i pulpitych. A co ja mam robić? Czy mam rzeźbić demony we własnym sercu?

– A ja byłem pewien, że znalazłeś sobie zaciszną niszę w życiu, Jack – odpowiada



Edwin zdumiony, patrząc na niego z niepokojem i pochylając się na krzesło, aby współczująco położyć rękę na kolanie Jaspera.

– Wiem, że byłeś o tym przekonany. Wszyscy tak myślą.

– No cóż, chyba tak – mówi Edwin, głośno myśląc. – Kicia też tak uważa.

– Kiedy ci to powiedziała?

– Ostatnim razem, gdy tu byłem. Pamiętasz kiedy. Przed trzema miesiącami.

– Jak to ujęła?

– O, powiedziała tylko, że została twoją uczennicą i że jesteś stworzony do swego powołania.

Młodzieniec rzuca okiem na portret. Nie umyka to uwagi starszego.

– W każdym razie, drogi Nedzie – kontynuuje Jasper, potrząsając głową z uroczystą radością – ja muszę się dostosować do mego powołania, co pozornie sprowadza się do tego samego. Teraz już za późno zmieniać zawód. Ale to tak między nami.

– Będę strzegł tej tajemnicy, Jack.

– Zawierzyłem ci, ponieważ...

– Zapewniam cię, że rozumiem, o co ci chodzi. Ponieważ jesteśmy dobrymi przyjaciółmi i ponieważ kochasz mnie i ufasz tak, jak ja ciebie Kocham i tobie ufam. Podaj mi rękę, Jack.

I stoją tak, patrzą sobie w oczy, a wuj, trzymając przez chwilę ręce siostrzeńca w swoich dłoniach, odzywa się:

– Teraz chyba już wiesz, że nawet biednego, nudnego chórzystę i zaharowanego muzyka może w jego niszy nękać jakaś dziwaczna ambicja, jakieś aspiracje, niepokoje, niezadowolenia, sam doprawdy nie wiem, jak moglibyśmy to nazwać.

– Tak, wiem, drogi Jacku.

– I będziesz o tym pamiętał?

– Drogi Jacku, mogę cię tylko zapytać, czy potrafiłbym zapomnieć o tym, co mi powiedziałeś z głębi serca?

– Zatem przyjmij to jako ostrzeżenie.

Uwalniając ręce i postępując krok do tyłu, Edwin przez chwilę zastanawia się nad znaczeniem ostatnich słów, po czym mówi wzruszony:

– Obawiam się, że może jestem zbyt powierzchowny, Jack, i że mój umysł nie należy do najbystrzejszych. Jednak nie potrzebuję się tłumaczyć moją młodością i być może w miarę jak będę się starzał, nie stanę się gorszy. W każdym razie mam nadzieję, że w jakimś stopniu wniknęło to we mnie i czuję, głęboko czuję, bezinteresowność twego bolesnego uzewnętrznienia, traktując je jako coś w rodzaju ostrzeżenia. – Twarz i cała postać pana Jaspera są tak cudownie nieruchome, że wydaje się, iż przestał oddychać.

– Jack, nie mógłbym nie dostrzec, ile cię to kosztowało, jak bardzo jesteś poruszony i jak bardzo twój obecny stan różni się od poprzedniego, normalnego stanu. Oczywiście wiedziałem, że bardzo mnie lubisz, ale nie byłem przygotowany na to, że uczynisz dla mnie aż tak osobistą ofiarę, jeśli wolno mi to w ten sposób określić.

Pan Jasper znowu staje się normalnie oddychającym człowiekiem, bez przejściowego

stanu pomiędzy dwoma krańcowo różnymi stanami, unosi ramiona, śmieje się i macha prawą ręką.

– Nie, nie, nie zmieniaj nastroju, Jack, nie rób tego, proszę. Ja jestem zupełnie poważny. Nie mam wątpliwości, że temu niezdrowemu stanowi umysłu, który z tak wzruszającą mocą opisałeś, towarzyszy jakieś prawdziwe, trudne do zniesienia cierpienie. Pragnę cię jednak uspokoić, że nie ma szans, aby coś podobnego groziło mnie. Nie sądzę, aby to mogło nastąpić. Jak wiesz, za kilka miesięcy, mniej niż za rok, zabiorę Kicię ze szkoły jako panią Drod. Potem zajmę się inżynierią na Wschodzie, a Kicia będzie tam ze mną. I chociaż zdarzają się obecnie drobne sprzeczki wywołane tą oczywistą nudą towarzyszącą naszemu romansowi, ponieważ finał został już przecież ustalony, to jednak nie mam absolutnie żadnych wątpliwości, że gdy nadejdzie czas, wszystko doskonale się ułoży i nie będzie już można nic zmienić. Krótko mówiąc, Jack, aby powrócić do słów starej piosenki, jaką swawolnie śpiewałem przy kolacji (a któż lepiej od ciebie zna te stare piosenki?) moja żona będzie tańczyć, a ja, wesoło się bawiąc, będę śpiewał. Kicia niewątpliwie jest piękna... A jeżeli do tego będziesz grzeczna, Zuchwała Panienko – znowu zwraca się do portretu – wtedy spalę tę twoją śmieszna podobiznę i namaluję twemu nauczycielowi muzyki inny portret.

Pan Jasper podpira podbródek z wyrazem dobrotliwego zamyślenia na twarzy i uważnie obserwuje wszystkie towarzyszące tym słowom ruchy i spojrzenia. Słuchając, pozostaje w tej samej pozie, jakby zafascynowany tak bardzo przez siebie ukochanym młodzieńczym entuzjazmem. Potem odzywa się z łagodnym uśmiechem:

– A zatem nie przyjmujesz mojego ostrzeżenia?

– Nie, Jack.

– Nie pozwolisz się ostrzec?

– Nie, Jack, nie przez ciebie. Poza tym nie sądzę, aby groziło mi jakieś niebezpieczeństwo. Nie lubię stawiać siebie w tego rodzaju sytuacji.

– Pójdziemy się przejść po cmentarzu?

– Z chęcią. Nie masz nic przeciwko temu, abym na chwilkę wskoczył do Domu Zakonnicy i zostawił tam paczkę? To tylko rękawiczki dla Kici; tyle par, ile dziś kończy lat. Poetyckie, prawda, Jack?

Pan Jasper, nie zmieniając pozy, mruczy:

– *Trudno wyobrazić sobie coś bardziej rozczulającego*<sup>[6]</sup>, Ned.

– O tu, w płaszczu, mam tę paczkę. Muszę ją dostarczyć dzisiaj, inaczej bowiem przepadnie cała poezja. Regulamin nie pozwala, abym o tej porze tam wchodził, ale paczkę mogę zostawić. Jestem gotów, Jack!

Pan Jasper wstaje i wychodzą razem.

# ROZDZIAŁ III

## DOM ZAKONNIC

Z powodów, które ta opowieść dalej wyjaśni, staremu katedralnemu miastu musimy nadać fikcyjną nazwę<sup>[7]</sup>. Niechże więc występuje na tych stronach jako Cloisterham. Możliwe, że druidom znane ono było pod inną nazwą. Rzymianie, jak również Saksonowie i Normanowie, zapewne nazywali je jeszcze inaczej, a sama nazwa w ciągu wieków może być tylko krótką chwilą odnotowaną w zakurzonych kronikach.

Starodawne miasto Cloisterham to nieodpowiednie miejsce zamieszkania dla kogoś, kto marzy o szerokim, hałaśliwym świecie. Monotonne, ciche miasto, przesączone zapachem przenikającym z katedralnej krypty i tak bardzo obfitujące w klasztorne groby, że dzieci z Cloisterham hodują sałatę na szczątkach opatów, księń i braciszków zakonnych oraz robią babki z prochów sióstr; gdzie każdy oracz z okolicznych pól potężnym niegdyś kanclerzom, arcybiskupom, biskupom i im podobnym poświęca tyle uwagi, co potwór z bajki poświęcał ją nieproszonemu gościowi, a następnie miele ich kości na mąkę, z której wypieka chleb.

Oto senne miasto Cloisterham, którego mieszkańcom wydaje się – z dziwną, choć nie-rzadką konsekwencją – że wszystko, co miało się zmienić, zmieniło się w przeszłości, a nowe już nie nadejdzie. Jest to dziwaczna lekcja wysnuta z przeszłości, a jednak starsza od jakichkolwiek odkrytych już zabytków. Ulice Cloisterham są tak ciche (lecz wystarczy byle powód, by rozbrzmiewały echem), że w letnie dni, gdy wieje południowy wiatr, w sklepach nie śmia nawet załopotać zasłony. Kiedy zaś opaleni wędrowcy przechodzą w coś za-patrzeni, wkrótce przyspieszają kroku, aby jak najszybciej opuścić granice tego męczącego dostojęstwa. Co zresztą uznać trzeba za nie lada osiągnięcie, zważywszy, że na sieć ulic Cloisterham składa się właściwie tylko jedna wąska ulica, którą wchodzi się i wychodzi z miasta; reszta to w większości nieciekawe, ślepe podwórka z pompami, z wyjątkiem otoczenia katedry i wybrukowanego osiedla kwaków, przypominającego kolorem i ogólnym wyglądem kwakiński czepek, osiedla, leżącego w zacienionym krańcu miasta.

Krótko mówiąc, Cloisterham jest miastem z innego, minionego już czasu, ze swym ochrypłym dzwonem katedralnym, z ochrypłymi gawronami unoszącymi się nad katedralną wieżą i z ochrypłymi, choć mniej widocznymi, gawronami siedzącymi w ławkach pod wieżą. Fragmenty starego muru, kaplicy, kapitułarza, konwentu i klasztoru są wciśnięte między domy i ogrody, podobnie jak różniące się od siebie poglądy i przekonania zostały wchłonięte przez umysły mieszkańców. Tu wszystko wiąże się z przeszłością. Nawet właściciel jedyne lombardu już od dawna nie bierze zastawów, jak również na próżno wystawia niewykupione przedmioty na sprzedaż – wśród najdroższych są zmatowiałe i wyblakłe stare zegarki, wyraźnie zaśniedziałe, zepsute szczypcy do cukru, a nadto zbieranina dziwacz-

nych ksiąg. Najokazalszym, a zarazem najmilszym przejawem życia w Cloisterham są wody istnienia bujnego życia roślinnego w wielu ogrodach; nawet podupadający i żaloszny teatrzyk miejski posiada skrawek ogródka i kiedy nikczemny diabeł zeskakuje ze sceny, spadając w potworne czeluście piekielne, zależnie od pory roku ląduje między kwitnącymi fasolami lub salcefią.

W centrum Cloisterham stoi Dom Zakonnic<sup>[8]</sup> – zacny ceglany gmach, którego nazwa pochodzi od legendy związanej z jego zakonną przeszłością. Na ozdobnej bramie, tkwiącej w murze otaczającym stary dziedziniec, widnieje połyskliwa mosiężna tabliczka z umieszczonym na niej napisem: „Seminarium dla Panien. Panna Twinkleton”. Front domu jest stary i zniszczony, a mosiężna tabliczka tak błyszczy i do tego stopnia rzuca się w oczy, że obcemu obserwatorowi z wyobraźnią przywodzi na myśl podstarzałego eleganta z dużym, nowoczesnym monoklem w ślepym oku.

Bez względu na to, czy mniszki z dawnych czasów, należące raczej do pokornej i nieskażonej wyniosłością generacji, zwykle były pochylać pogrążone w rozmyślaniach głowy, aby uniknąć kolizji z belkami niskiego sufitu w wielu pomieszczeniach tego budynku; bez względu na to, czy przesiadywały w podłużnych i niskich oknach, odmawiając dla umartwienia różaniec, zamiast zrobić z niego ozdobny naszyjnik; bez względu na to, czy były kiedykolwiek zamurowywane żywcem w dziwnych kątach lub w wyniosłych szczytach budynku (ponieważ zachował się w nich jakiś – nie do wykorzenia – zacyzn pracowitej matki Natury, który sprawia, że fermentujący świat trwa do tej pory); bez względu na tego rodzaju okoliczności, może to interesować tylko duchy (jeżeli są tu takie), które jednak nie figurują w półrocznych sprawozdaniach panny Twinkleton. Nie należą one do regularnych lub dodatkowych podopiecznych panny Twinkleton. Dama ta, kierująca w tej instytucji wydziałem poezji za kwotę tak wysoką (lub tak niską) jak ćwierć funta, nie ma na liście recytacji utworów, które dotyczyłyby tak niepraktycznych problemów.

Tak jak to niekiedy bywa w wypadkach nietrzeźwości lub zwierzęcego magnetyzmu, kiedy zdarzają się dwa niestykające się ze sobą stany świadomości, biegnące osobno jak gdyby trwały nieprzerwanie (tak więc, jeżeli po pijanemu schowałem gdzieś zegarek, muszę się znowu upić, żeby sobie przypomnieć, gdzie się znajduje), tak również u panny Twinkleton występują odrębne, niezależne od siebie, stany istnienia. Co wieczór, gdy tylko młode damy udadzą się na spoczynek, panna Twinkleton troszeczkę poprawia loczki, nieznacznie podmalowuje oczka i staje się zważszą panną Twinkleton niż ta, którą zwykle widują młode damy. Co wieczór o tej samej porze powtarza czynności z poprzedniego wieczoru, jakby wnikając w pewien drastyczny skandal Cloisterham, którego za dnia w ogóle nie jest świadoma, i wraca do pewnego okresu w Tunbridge Wells (w tym stanie egzystencji naznaczonej afektacją zwanego przez pannę Twinkleton krótko „Wells”), do owego godnego uwagi okresu, kiedy to pewien zdeklarowany dżentelmen (w tym stanie egzystencji zwany przez pannę Twinkleton ze współczuciem „niemądrym Panem Porterem”) złożył jej swe serce w ofierze, o którym to fakcie panna Twinkleton, w swoim szkolnym stanie egzystencji, ma takie pojęcie jak granitowy słup.

Towarzyszką panny Twinkleton, jednakowo przystosowaną do obu stanów jej egzysten-

cji, jest niejaka pani Tisher; skromna, niedomagająca na kręgosłup wdowa o słabym wzroku i cichym głosie, opiekująca się garderobą młodych panien i dająca im do zrozumienia, że kiedyś wiodła lepszy żywot. Pewnie dlatego wśród służby panuje przekazywane z pokolenia na pokolenie przekonanie, że nieboszczyk Tisher był fryzjerem.

Pupilką wśród uczennic Domu Zakonnicy jest panna Róża Bud, nazywana oczywiście Różyczką<sup>[9]</sup>; cudownie śliczna, cudownie dziecinna, cudownie kapryśna. Panna Bud wzbudza krępujące (bo romantyczne) zainteresowanie w umysłach młodych panien, jako że powszechnie wiadomo, iż zgodnie z testamentem wyznaczono jej już męża. Kiedy osiągnie pełnoletność, jej opiekun będzie musiał oddać ją temu mężowi. Panna Twinkleton, w seminarnym stanie egzystencji, ten romantyczny aspekt przeznaczenia zwalcza w sobie poprzez potrząsanie głową za pulchnymi ramionami panny Bud, a także poprzez zadumanie się nad nieszczęsnym losem tej młodej ofiary. Jednak jedynym efektem – być może jej wysiłki osłabił jakiś nieodczuwalny dotyk niemądrego Pana Portera – jest chóralny okrzyk panienek w sypialni: „Och, kochana, jak ta stara panna Twinkleton potrafi świetnie udawać!”.

Dom Zakonnicy nigdy nie był w stanie takiego poruszenia jak wówczas, gdy ów przypisany przyszyły małżonek odwiedzał Różyczkę (niemniej wszyscy jednomyślnie uznają, że posiada on ten przywilej i gdyby zakwestionowała go panna Twinkleton, Róża natychmiast zostałaby stąd zabrana i wywieziona). Kiedy oczekuje się dzwonek przy bramie lub gdy już go słyhać, każda młoda dama, jak tylko może, pod jakimkolwiek pretekstem wygląda przez okno, a każda młoda dama, która akurat ćwiczy, natychmiast wybija się z rytmu. Lekcja francuskiego dezorganizuje się do tego stopnia, że dwójka krąży po klasie z taką szybkością jak butelka wśród członków wesołej kompanii z zeszłego stulecia.

Następnego dnia po wspólnej kolacji pana Jaspera i Edwina Drooda po południu rozlega się w bramie dzwonek, wywołujący zwykłe poruszenie.

– Pan Edwin Drod z wizytą do panny Róży.

Anonsuje główna pokojówka. Panna Twinkleton z pokazowym wyrazem melancholii na twarzy zwraca się do ofiary, mówiąc:

– Możesz zejść, moja droga.

Panna Bud schodzi odprowadzana wzrokiem przez wszystkich.

Pan Edwin Drod czeka w saloniku panny Twinkleton. Ten salonik to gustowny pokój, a jedynymi przedmiotami bezpośrednio związanymi ze szkołą są globusy ziemi i nieba. Przedmioty te wyraźnie sugerują rodzicom i opiekunom, że nawet gdy panna Twinkleton oddała się do świątyni swej prywatności, w każdej chwili może wezwać ją obowiązek, który czyni z niej kogoś w rodzaju Żydówki Wiecznej Tułaczki, przemierzającej Ziemię i Niebiosa w poszukiwaniu wiedzy dla swych uczennic.

Nowo przyjęta młoda pokojówka, która nigdy jeszcze nie widziała młodego dżentelmena zaręczonego z panną Różą, a która właśnie mu się przedstawiła, stanąwszy w otwartych specjalnie w tym celu drzwiach, teraz z wyrzutami sumienia potyka się, schodząc kuchennymi schodami, widzi, jak do saloniku wślizguje się czarująca mała zjawa z twarzą ukrytą w jedwabnym fartuszkun zarzuconym na głowę.

– Och! Jakie to zabawne! – mówi ta zjawa, zatrzymując się z drżeniem. – Eddy, nie!



– Co nie, Rózo?

– Nie podchodź, proszę, bliżej. To **takie** niedorzeczne.

– Co jest niedorzeczne, Rózo?

– Wszystko. Niedorzeczne być zaręczoną sierotą; niedorzeczne, że dziewczęta i służba biegają dookoła mnie jak jakieś myszki za boazerią; niedorzeczne, że ktoś składa mi tutaj wizyty!

Wydaje się jakby zjawą wygłaszająca te skargi ssała kciuk.

– Nie ma co, nieźle mnie witasz, Kiciu.

– Ależ, Eddy, daj mi trochę czasu. Teraz jeszcze nie. A jak ty się miewasz? (Zostało to powiedziane jednym tchem.)

– Nie mogę powiedzieć, że lepiej, kiedy cię widzę, Kiciu, ponieważ w ogóle cię nie widzę.

Ta druga pretensja powoduje, że zza rogu fartuszka pojawia się ciemne oko, które zaraz znika i zjawą wykrzykuje:

– Och, wielkie nieba! Obciąłeś połowę włosów!

– Myślę, że lepiej bym zrobił, gdybym obciął sobie głowę – odpowiada Edwin, tarmosząc wzmiankowane włosy, gniewnie spoglądając w lustro i niecierpliwie tupiąc nogą. – Mam już odejść?

– Nie, nie musisz jeszcze odchodzić, Eddy. Dziewczęta pytałyby mnie, dlaczego poszedłeś.

– Pytam po raz ostatni, Rózo. Czy odsłonisz tę swoją śmieszoną główkę i przywitasz mnie?

Fartuszek opada z dziecinnej główki, a jego właścicielka odpowiada:

– Witam cię, Eddy. Jesteś tu mile widziany. No, widzisz! Jestem pewna, że to dla ciebie sympatyczne. Uściśnijmy sobie ręce. Nie, nie mogę cię pocałować, bo w ustach pozostały mi jeszcze niepołknięte krople.

– A ty, Kiciu, czy ty się w ogóle cieszysz na mój widok?

– O tak, bardzo się cieszę... Chodź, siadaj... O, panna Twinkleton.

Ta wspaniała dama ma zwyczaj pojawiać się w czasie tych wizyt co trzy minuty, albo we własnej osobie, albo w osobie pani Tisher, i składać ofiarę na ołtarzu Przyzwoitości, udając, że akurat szuka czegoś niezbędnego. Tym razem panna Twinkleton z wdziękiem przemyka tam i z powrotem, mówiąc w przejściu:

– Jak się pan miewa, panie Drood? Z prawdziwą przyjemnością widzę tu pana. Proszę mi wybaczyć. Szczypczyki. Dziękuję!

– Wczoraj wieczorem otrzymałam rękawiczki, Eddy. Bardzo mi się podobają. Są piękne.

– No, to już coś – trochę markotnie odpowiada narzeczony. – Każdą najmniejszą zachętę przyjmuję z wdzięcznością. A jak minęły urodziny, Kiciu?

– Cudownie! Każdy wręczył mi prezent. I było przyjęcie. A wieczorem zabawa.

– No, no... Przyjęcie i zabawa? Widzę, że tego rodzaju uroczystości upływają bardzo miło beze mnie, Kiciu.

- Było cudownie! – wykrzykuje spontanicznie Róża, niczego nawet nie usiłując ukryć.
- Ha! A co było na przyjęciu?
- Ciastka, pomarańcze, galaretki i krewetki.
- Miałyście jakichś partnerów do tańca?
- Oczywiście tańczyłyśmy ze sobą, szanowny panie. Ale niektóre dziewczęta udawały swoich braci. To dopiero było zabawne!
- Czy ktoś udawał, że jest...
- Tobą? O, Boże, tak! – woła Róża, śmiejąc się wesoło. – Od tego się zaczęło.
- Mam nadzieję, że dobrze jej to wyszło – mówi Edwin z powątpiewaniem.
- Och, to było wspaniałe...! Ale wiesz, potem nie mogłam już z tobą tańczyć. Edwin zdaje się nie rozumieć w pełni tych słów; prosi, aby mu wyjaśniła dlaczego.
- Ponieważ byłam już tobą zmęczona – odpowiada Róża, ale widząc z jego miny, że sprawiła mu przykrość, szybko dodaje: – Drogi Edwinie, ty też byłeś już mną zmęczony, przecież wiesz.
- Tak ci powiedziałem, Różo?
- Tak mi powiedziałeś! Czy ty kiedykolwiek tak mówisz? Nie, jedynie to okazałeś. Och, ona tak świetnie to naśladowała! – wykrzykuje Róża, nagle zachwycona wspomnieniem imitacji swego narzeczonego.
- Przyszło mi na myśl, że musi być z niej piekielnie odważna dziewczyna – mówi Edwin Dood. – I tak oto, Kiciu, spędziłaś ostatnie urodziny w tym starym domu.
- O, tak! – Róża klaszcze w dłonie, spuszcza oczy i z westchnieniem potrząsa głową.
- Wydajesz się tym zmartwiona, Różo.
- Tak, żal mi tego biednego, starego domu. Czuję, że kiedy odejdę stąd tak daleko i tak młodo i jemu mnie zabraknie.
- Może lepiej to przerwać, Różo?
- Róża rzuca mu krótkie, bystre spojrzenie, ale po chwili potrząsa głową, wzdycha i znowu spuszcza wzrok.
- To znaczy, Kiciu, że oboje rezygnujemy?
- Róża kiwa głową potakująco i po krótkim milczeniu wybucha:
- Przecież wiesz, że musimy się pobrać i że ślub musi się odbyć tutaj, Eddy, inaczej biedne dziewczęta byłyby strasznie zawiedzione!
- W tym momencie na twarzy narzeczonego widać więcej współczucia, dla niej i dla siebie, niż miłości. Ale zmienia wyraz twarzy i pyta:
- Chcesz pójść ze mną na spacer, droga Różo?
- Droga Róża nie jest pewna, ale w końcu jej twarz, dotąd komicznie zamyślona, rozjaśnia się.
- O tak, Eddy, chodźmy na spacer! I powiem ci, co zrobimy. Ty będziesz udawał, że jesteś zaręczony z kimś innym, a ja, że nie jestem w ogóle zaręczona... i nie będziemy się kłócić.
- Myślisz, że to zapobiegnie naszym sprzeczkom, Różo?
- Jestem o tym przekonana. Cii! Udawajmy, że wyglądamy przez okno... Pani Tisher!

Dziwnym zbiegiem okoliczności pojawiła się w polu widzenia sylwetka matrony, przynależna do pani Tisher, przemykając w jedwabnej szacie przez pokój jak jakiś legendarny duch wdowy.

– Mam nadzieję, że pan Drood miewa się dobrze, choć nie powinnam o to pytać, sądząc po jego wyglądzie. Ufam, że nikomu nie przeszkadzam... ale **był** tu gdzieś nóż do papieru... O, tak, dziękuję, już mam! – mówi i znika ze swą zdobyczą.

– Jeszcze coś musisz dla mnie zrobić, Eddy – mówi Różyczka. – Gdy tylko wyjdziemy na ulicę, zostawisz mnie i będziesz się trzymał blisko domu... najbliżej, jak tylko możesz.

– Zrobię tak, jak sobie życzysz, Rózo. A mogę wiedzieć dlaczego?

– Och! Ponieważ nie chcę, aby cię widziały dziewczęta.

– Co prawda jest ładna pogoda, ale może otworzyć parasol?

– Nie wygłupiaj się, mój panie; nie założyłaś błyszczących skórkowych butów. – Wydyma usta i unosi ramię.

– Może umknie to uwagi dziewcząt, nawet jeśli mnie zobaczą – stwierdza Edwin, spoglądając z nagłym niesmakiem na swoje buty.

– Nie umknie ich uwagi, szanowny panie. I już wiem, co potem będzie. Niektóre z nich zaczną snuć na mój temat nowe rozważania, mówiąc (bo **one** są wolne), że nigdy, w żadnym wypadku, nie zaręczyłyby się z kimś, kto nie nosi błyszczących skórkowych butów. Uwaga! Panna Twinkleton. Poproszę ją o pozwolenie na wyjście.

Słysząc jak ta dyskretna dama pyta za drzwiami nie wiadomo kogo swobodnym tonem:

– Tak...? Naprawdę? Jesteś pewna, że widziałas w pokoju na biurku moje pudełko z macicy perłowej, w którym trzymam guziki?

Zostaje natychmiast poproszona o pozwolenie na wyjście i łaskawie się zgadza. Wkrótce młoda para wychodzi z Domu Zakonnicy, podejmując wszelkie możliwe starania, aby zapobiec wykryciu czegoś tak istotnego, jak szczególnie niewłaściwe buty Edwina Drooda; starania te – miejmy nadzieję – uspokoją przyszlą panią Drood.

– W którą pójdziemy stronę, Rózo?

Róża odpowiada:

– Chcę pójść do sklepu Okruchy Rozkoszy.

– Dokąd...?

– Do sklepu z tureckimi łakociami, mój panie. O Boże, czy ty nic nie rozumiesz? Mienisz się inżynierem, a nawet **tego** nie wiesz?

– A skąd miałbym wiedzieć, Rózo?

– Ponieważ ja bardzo lubię te ich łakocie. Ale... O, zapomniałam, że mamy udawać. Nie, nie musisz nic o tym wiedzieć. Nieważne.

Tak więc Edwin zostaje zaciągnięty do sklepu Okruchy Rozkoszy, gdzie Róża robi zakupy, częstuje go (ale on urażony odmawia) i sama zaczyna łapczywie zajadać – uprzednio ściągawszy i złożywszy parę małych różowych rękawiczek podobnych do płatków róży – od czasu do czasu przykładając różowe paluszki do różowych ust, aby oczyścić je z Pyłu Rozkoszy pokrywającego Okruchy Rozkoszy.

– A teraz, Eddy, bądź tak dobry i udawaj. A więc jesteś zaręczony, czy tak?

– Tak więc jestem zaręczony.

– Jest miła?

– Czarująca.

– Wysoka?

– Bardzo wysoka!

Róża jest niska.

– Myślę, że chyba nie jest zgrabna – komentuje ze spokojem Róża...

– Przykro mi, ale się mylisz – wzbiera w nim sprzeciw. – Można ją nazwać przystojną, wspaniałą kobietą.

– Ma niewątpliwie duży nos – znowu spokojny komentarz.

– Istotnie, nie jest mały – pada krótka odpowiedź (nos Róży jest mały).

– Długi, blady nos, z czerwonym garbem pośrodku. Znam ten rodzaj nosów – mówi Róża, kiwając głową z satysfakcją i spokojnie rozkoszując się Okruchami.

– Różo, ty nie znasz tego rodzaju nosów – zaprzecza gorąco – ponieważ ten właśnie nie należy do nich.

– Nie jest blady?

– Nie. – Zdecydowany jest nie przytakiwać.

– A zatem jest czerwony? O! Nie lubię czerwonych nosów. No, ale zawsze można przy-  
pudrować.

– Nie zniżyłaby się do pudrowania – odpowiada Edwin ze złością.

– Czyżby? To chyba jakaś głupiutka istotka! Czy we wszystkim jest taka głupia?

– Nie. W niczym.

Po chwili, w której obserwuje go złośliwie skrzywiona twarzyczka, Róża mówi:

– I to tej rozsądnej istocie spodobała się myśl o wyjeździe do Egiptu, czy tak, Eddy?

– Tak, ma dość rozsądku, aby interesować się osiągnięciami w dziedzinie inżynierii, zwłaszcza gdy mogą one wpłynąć na polepszenie warunków życia w tym nierozwiniętym kraju.

– Na Boga! – mówi ze zdumieniem Róża, wzruszając ramionami i śmiejąc się.

– Masz jakieś zastrzeżenia? – pyta Edwin, spoglądając wyniośle na tę bajeczną figurkę.

– Masz zastrzeżenia, Różo, co do jej zainteresowań?

– Zastrzeżenia? Och, drogi Eddy! Ale doprawdy, czyżby ona nie pałała nienawiścią do kotłów i tym podobnych przedmiotów?

– Mogę powiedzieć, że nie jest aż taką idiotką, aby nienawidzić kotłów – odpowiada stanowczo, ze złością. – Natomiast nie mogę się wypowiedzieć na temat jej stosunku do „tym podobnych przedmiotów”, ponieważ nie wiem, co masz na myśli.

– Czy ona nie darzy nienawiścią Arabów, Turków, fellachów i tym podobnych ludzi?

– Oczywiście, że nie – ucina bardzo stanowczo.

– Ale przynajmniej nienawidzi piramidy? No jak, Eddy?

– Dlaczego miałyby być taka małą... to znaczy dużą... gęsią, aby nienawidzić piramidy, Różo?

– Ach! Powinieneś słyszeć, jak panna Twinkleton – mówi Róża, kiwając głową i smaku-

jąc Okruchy Rozkoszy – zanudza nas opowieściami o nich, a wtedy byś nie pytał. Nieznośnie nudne stare cmentarzyska! Te Zisy, Ibisy, Cheopsy i ci faraonowie, kogo to obchodzi. I do tego ten Belzoni<sup>{10}</sup>, czy kto tam, wywleczony za nogi, na pół uduszony przez nietoperze i kurz. Wszystkie dziewczęta mówiły: „Dobrze mu tak, chyba go bolało, chciałybyśmy, żeby się tam zadusił”.

Dwie młode osoby idące obok siebie, ale nietrzymające się pod rękę, przechadzają się po podwórku w nieszczęśliwym nastroju; każde z nich od czasu do czasu przystaje, przydeptując opadłe liście.

– No cóż! – odzywa się Edwin po dłuższym milczeniu. – Jak zwykle. Tak dalek nie możemy, Rózo.

Róza kręci głową i zgadza się z nim.

– Wziąwszy wszystko pod uwagę, Rózo, to jest bardzo sentymentalne.

– Co wziąwszy pod uwagę?

– Jeżeli powiem, znowu będziesz niezadowolona.

– Chyba **ty** będziesz niezadowolony, Eddy. Nie bądź niesympatyczny.

– Niesympatyczny! To mi się podoba!

– Ale **mnie** się nie podoba i mówię ci to wprost! – Róza wydyma wargi.

– Posłuchaj, Rózo, wobec tego i ja powiem ci wprost. Kto pogardza moim zawodem, moja przyszłością...

– Mam nadzieję, że nie zostaniesz pogrzebany w piramidach? – przerywa, unosząc delikatnie zarysowane brwi. – Nigdy mi o tym nie mówiłeś. Jeżeli tak, to dlaczego o tym nie wspomniałeś? Nie mogę polegać na intuicji, by wyczuć, jakie masz plany.

– Ależ, Rózo, przecież dobrze wiesz, co mam na myśli, moja droga.

– A zatem dlaczego zacząłeś z tą swoją okropną, czerwonoносą olbrzymką? A ona pudrowałaby, pudrowałaby, pudrowałaby, **pudrowałaby** ten swój nochal! – woła Róza w nagłym ataku komicznej przekory.

– Tak czy inaczej, nigdy nie mam racji w tych naszych dyskusjach – stwierdza Edwin, wzdychając z rezygnacją.

– Jak to możliwe, mój panie, żebyś kiedykolwiek miał rację, skoro zawsze się mylisz? A co do Belzonia, to chyba nie żyje, więc co cię mogą obchodzić jego nogi albo to, że się dusił?

– Chyba już czas, żebyś wróciła, Rózo. Nie był to zbyt wesoły spacer, prawda?

– Wesoły spacer? Paskudnie smętny, mój panie. Jeżeli teraz wejdziesz po schodach, zacznę tak płakać, że nie będę mogła pójść na lekcję tańca, a za wszystko ty jesteś odpowiedzialny!

– Bądźmy przyjaciółmi, Rózo.

– Ach! – woła Róza, kręcąc głową i wybuchając płaczem. – Jakże bym **chciała**, żebyśmy mogli być przyjaciółmi! Właśnie dlatego się męczymy, że nie możemy być przyjaciółmi, Eddy. Jestem jeszcze za młoda, aby bolało mnie serce, a czasem naprawdę, naprawdę tak bywa. Nie gniewaj się. Wiem, że ciebie też boli zbyt często. Dla ciebie i dla mnie byłoby lepiej, gdyby to, co ma się stać, było tym, co jedynie mogłoby się stać. Teraz mówię zu-



pełnie poważnie, nie żartuję. Ale ze względu na nas i na innych, bądźmy jeszcze ten raz cierpliwi!

Rozbrojony tym przebłyskiem kobiecej natury, tkwiącej w rozkapryszonym dziecku, Edwin Drood – mimo iż przez chwilę niechętny podobnemu wybuchowi, ponieważ wiąże się on z problemem narzucania dziewczynie jego osoby – stoi, patrząc, jak Róża z chusteczką przyciśniętą obiema rękami do oczu, płacze i łka niczym dziecko. Kiedy zaś się uspaka, a nawet z młodzieńczym brakiem konsekwencji zaczyna śmiać się z siebie i swego wzruszenia, prowadzi ją do pobliskiej ławki pod więzami.

– Jedno słowo wyjaśnienia, droga Kiciu. Nie jestem zbyt bystry w kwestiach związanych z moim zawodem, a teraz, gdy się nad tym zastanawiam, nie wiem nawet, czy jestem bystry w swoim zawodzie. Mam w każdym razie dobre chęci. Chyba nie ma, a może jest? – naprawdę nie mam pojęcia jak to wyrazić, ale muszę to powiedzieć zanim się rozstaniemy – jakiegoś innego młodzieńca, który...

– O nie, Eddy! To szlachetne, że o to pytasz, ale nie, nie, nie!

Znajdują się blisko okien katedry i w tym momencie słyszą, jak odzywa się wzniośle brzmiący chór i wtórują mu organy. Kiedy tak siedzą i słuchają tych uroczystych dźwięków, Edwin Drood wspomina zwierzenia minionego wieczoru i myśli o tym, jak bardzo ta muzyka różni się od ich dysharmonii.

– Wydaje mi się, że słyszę głos Jacka – mówi cicho, podążając za tokiem swych myśli.

– Zabierz mnie stąd, proszę – nalega narzeczona, szybko kładąc lekką rękę na jego dłoni. – Oni wszyscy zaraz będą wychodzić. Chodźmy stąd. Ach, jak pięknie brzmi ten akord! Ale nie zatrzymujmy się, nie słuchajmy dłużej. Chodźmy!

Gdy opuszczają dziedziniec katedralny, jej pośpiech mija. Poważni i dość zdecydowani idą teraz pod rękę wzdłuż High Street w kierunku Domu Zakonnicy. Przy bramie, ponieważ ulica wydaje się pusta, Edwin skłania twarz ku Różyczce.

Dziewczyna śmieje się, wzbrania, i znowu staje się dziecinną uczennicą.

– Nie, Eddy! Jestem zbyt lepka, aby mnie całować, ale podaj mi rękę, a prześlę ci na niej całusa.

Podaje rękę. Dmucha w nią lekko i pyta, spoglądając na nią:

– Powiedz, co teraz widzisz?

– Co widzę, Rózo?

– Myślałam, że wy, egipscy chłopcy, potraficie widzieć na dłoni różne zwidy i widma. Nie widzisz na niej szczęśliwej przyszłości?

Gdy otwiera i zamyka się brama, kiedy jedno wchodzi, a drugie odchodzi, to żadne z nich w pewnym sensie nie widzi nawet szczęśliwej teraźniejszości.

## ROZDZIAŁ IV

### PAN SAPSEA

Zakładając, że osioł jest uosobieniem zadowolonej z siebie głupoty i zarozumiałstwa – założenie, być może jak kilka innych założeń, bardziej umowne niż sprawiedliwe – to najczystszy przykładem osła w Cloisterham jest licytator, pan Tomasz Sapsea.

Pan Sapsea „stroić się” jak ksiądz dziekan; ludzie kłaniają mu się omyłkowo, biorąc go za księdza dziekana; tytułują go na ulicy „Wasza Wielebność”, sądząc mylnie, że jest biskupem, który niespodzianie wybrał się na spacer bez kapelana. Pan Sapsea jest z tego bardzo dumny, tak jak ze swego głosu i stylu. Próbował nawet (podczas licytacji nieruchomości), przemawiając ze swej trybuny, eksperymentować z kaznodziejskim tonem, aby w ten sposób nabrać bardziej prawdziwego, kościelnego charakteru. Tak więc pan Sapsea kończył publiczną licytację w taki sposób, jakby udzielał błogosławieństwa zgromadzonym pośrednikom i prawdziwy ksiądz dziekan – skromny i szlachetny dżentelmen – nawet nie mógłby się z nim równać.

Pan Sapsea ma mnóstwo wielbicieli; w istocie większość miejscowych ludzi żywi przekonanie – włączając tych, którzy nie wierzą w jego rozum – że stanowi on prawdziwą ozdobę Cloisterham. Ma wspaniałe zalety, będąc jednocześnie kimś nadętym i nudnym; jego wymowa jest tak płynna i gładka jak sposób poruszania się, żeby już nie wspomnieć o swoście harmonijnych i poważnych ruchach rąk, jakby zamierzał bierzmować osobnika, z którym właśnie rozmawia. Jest bliższy sześćdziesiątce niż pięćdziesiątce, ma wystający brzuch i poziome fałdy na kamizelce; cieszy się opinią człowieka bogatego; w wyborach głosuje w doskonale przyzwoity sposób; wewnątrz jest przekonany, że od dzieciństwa nic nie urosło oprócz niego; jakże więc taki cymbał jak pan Sapsea nie miałby być ozdobą Cloisterham i całego społeczeństwa?

Posiadłość pana Sapsea znajduje się przy High Street naprzeciwko Domu Zakonnicy; dom jego pochodzi mniej więcej z tej samej epoki co Dom Zakonnicy, jest tu i ówdzie zmodernizowany, ponieważ kolejne pokolenia ponad febrę i zarazę coraz bardziej przedkładały czyste powietrze i światło. Nad drzwiami widnieje drewniana figurka, odpowiadająca mniej więcej połowie postaci naturalnej wielkości, przedstawiająca ojca pana Sapsea w peruce i toższe podczas licytacji. Prostota i realizm w przedstawieniu małego palca, młotka i pulpitu zawsze budziły tutaj powszechny podziw.

Pan Sapsea siedzi w skromnym salonie na parterze, z jednej strony wychodzącym na podwórze, a z drugiej na oparkany ogród. Na stoliku przed kominkiem stoi butelka portwajnu – o tej porze roku ogień w kominku jest luksusem, ale jakże przyjemnym luksusem tego chłodnego, jesiennego wieczoru. Towarzyszy mu, co typowe, jego własny portret, ze-

gar i barometr. Tak, jest to dlań typowe, gdyż pan Sapsea przeciwstawia siebie całemu rodzajowi ludzkiemu, swój barometr – pogodzie, a zegar – czasowi.

Tuż obok pana Sapsea znajduje się biurko z przyrządami do pisania. Przeglądając stos rękopisów, czyta je z uduchowionym wyrazem twarzy, potem – z kciukami wetkniętymi w wycięcia pod pachami kamizelki – wolno spaceruje po pokoju. Przechadzając się po nim, w myślach powtarza jakiś tekst, czyniąc to z wielką godnością – tak, że jedynie słowo „Ethelinda” jest słyszalne.

Na tacy, leżącej na stole, stoją trzy czyste kieliszki do wina. Wchodzi pokojówka, anon-  
sując:

– Przyszedł pan Jasper, proszę pana.

Pan Sapsea odpowiada, machając ręką:

– Proszę wprowadzić – i wysuwa do przodu dwa kieliszki. – Miło mi pana widzieć. Gratuluję sobie zaszczytu goszczenia pana po raz pierwszy.

Tak oto pan Sapsea, w charakterystyczny dla siebie sposób, czyni honory pana domu.

– Pan bardzo łaskaw. Cały zaszczyt po mojej stronie i raczej to ja sobie mogę pogratulować.

– Miło, że pan tak mówi, szanowny panie. Ale mogę pana zapewnić, że dla mnie największa przyjemność, to móc pana gościć w moich skromnych progach. Nieczęsto i nie każdemu zdarza mi się to mówić. – Słowom pana Sapsea towarzyszy wyniosła, niewypowiedziana pycha, jakby chciał dopowiedzieć: „Niełatwo pojmiesz, dlaczego twoje towarzystwo może sprawić przyjemność takiemu człowiekowi jak ja; ale w istocie tak właśnie jest”.

– Już od jakiegoś czasu pragnąłem pana poznać, panie Sapsea.

– A ja, szanowny panie, od dawna wiem, że cieszy się pan opinią człowieka o dobrym smaku. Pozwoli pan, że napełnię pański kieliszek. W pańskie ręce – i pan Sapsea dodaje, napełniając swój:

*Gdyby Francuzi tu przybywali,  
To byśmy w Dover ich powitali!*

Ten patriotyczny toast pochodził z czasów dzieciństwa pana Sapsea w pełni przekonane-  
go, że jego formuła zachowuje aktualność we wszystkich następnych epokach.

– Chyba musi pan sobie uświadamiać, panie Sapsea – zauważa Jasper, obserwując licytatora z uśmiechem, gdy ten wyciąga nogi przed kominkiem – że dobrze zna pan ten świat.

– No cóż, szanowny panie – odpowiada pan Sapsea z chichotem – myślę, że wiem o nim coś niecoś... Tak, coś niecoś wiem o nim.

– Zawsze mnie ciekawiła i zastanawiała opinia o pańskiej wiedzy. Dlatego też zapragnąłem poznać pana osobiście. Ponieważ mieszkając w Cloisterham, zagrzebany tu, nie znam szerszego świata i twierdzę, że to paskudnie mała dziura.

– Chociaż nie wyjeżdżałem do obcych krajów, młody człowieku... – zaczyna pan Sapsea, ale zaraz przerywa. – Chyba pozwoli pan nazywać siebie młodym człowiekiem, panie Jasper? Jest pan dużo młodszy ode mnie.

– Ma się rozumieć.

– Tak więc, chociaż ja nie wyjeżdżałem do obcych krajów, młody człowieku, to obce kraje przyjeżdżały do mnie. Przybywały za pośrednictwem prowadzonych przeze mnie interesów, a ja wykorzystywałem te okazje. Przypuśćmy, że sporządzam spis lub katalog przedmiotów. Widzę francuski zegar. Przedtem nigdy w życiu takiego nie widziałem, ale natychmiast przykładam do niego palec i mówię: „Paryż!”. Widzę jakieś filizanki i spodki z porcelany – również osobiście mi obce – dotykam je palcem i mówię: „Pekin, Nankin i Kanton”. To samo z Japonią, Egiptem, z drewnem bambusowym i sandałowym, z Indiami Wschodnimi – dotykam to wszystko palcem. Dotknąłem też palcem biegun północny i powiedziałem: „Włócznia z Esquimaux, za pół kwarty jasnej sherry!”.

– Doprawdy? Niezwykły sposób poznawania ludzi i przedmiotów, panie Sapsea.

– Wspominam o tym, proszę pana – ciągnie pan Sapsea z niewymownym zadowoleniem – ponieważ, jak powiadają, nie przechwalaj się kim jesteś, ale pokaż, jak do tego doszedłeś, a potem sprawdź się.

– Bardzo interesujące. Ale mieliśmy mówić o nieboszczce pani Sapsea.

– Zgadza się, szanowny panie. – Pan Sapsea napełnia dwa kieliszki i chowa karafkę w bezpieczne miejsce. – Zanim na temat tego drobiazgu – ciągnie dalej – zasięgnę pańskiej opinii jako człowieka o dobrym smaku (choć w grę wchodzi **tylko** drobiazg, niemniej jednak wymagający pewnego namysłu, szanowny panie, pewnej gorączki twórczej), być może powinienem opisać panu charakter nieboszczki, zmarłej przed trzema kwartałami pani Sapsea.

Pan Jasper, który właśnie ziewa, chowając się za kieliszkiem, opuszcza tę zasłonę i przybiera wyraz zainteresowania. Jest jednak osłabiony gwałtownymi próbami pozbycia się śladów ziewania i związanego z tym łzawienia oczu.

– Przed sześcioma laty lub coś koło tego – ciągnie pan Sapsea – kiedy już odpowiednio rozwinąłem możliwości mego umysłu – nie powiem, że do obecnego poziomu, mogłoby to bowiem wydawać się zbyt wielkim osiągnięciem, lecz na tyle, że zapragnąłem jakby wchłonąć inny umysł – zacząłem rozglądać się za ślubną partnerką mego życia. Twierdę bowiem, że nie jest dobrze, jeśli mężczyzna pozostaje samotny.

Wydaje się, jakby pan Jasper notował tę oryginalną myśl w pamięci.

– W owym czasie panna Brobity prowadziła – nie nazwę tego instytucją konkurencyjną wobec położonego naprzeciwko Domu Zakonnicy, ale mogę ją określić inaczej, jako paralelną – instytucję usytuowaną w centrum miasta. Mówiono, że uwielbiała chodzić na licytacje odbywające się podczas świąt lub w czasie wakacji. Mówiono też, że była pełna podziwu dla mojego stylu prowadzenia tych licytacji. Wkrótce wszyscy wiedzieli, że wraz z upływem czasu mój styl znalazł swoje odbicie w dyktandach uczennic panny Brobity. Młody człowieku, zaczęła nawet krążyć plotka, że jeden z rodziców, ignorant i cham, zaangażował się w protest przeciwko temu. Ale ja w to nie wierzę. Bo czyż to możliwe, aby którakolwiek ludzka istota przy zdrowych zmysłach narażała się na publiczne napiętnowanie, czyli – jak bym to nazwał – by wytykano ją palcem?

Pan Jasper potrząsa głową. Nie, w żadnym wypadku. Wydaje się, że pan Sapsea, w sta-

nie pompatycznego rozkojarzenia, chce napełnić ciągle jeszcze pełen kieliszek gościa, ale w istocie napełnia swój, który jest już pusty.

– Cała natura panny Brobity, młody człowieku, była głęboko przeniknięta szacunkiem dla umysłu. Szanowała umysł w stanie ruchu albo – jakbym to nazwał – napędzany szeroką lub dogłębną znajomością świata. Kiedy się jej oświadczyłem, uczyniła mi zaszczyt, okazując takie zdumienie, że zdołała z siebie jedynie wydusić dwa słowa: „O, ty!”, mając mnie na myśli. Jej przejrzyste, niebieskie oczy były utkwione we mnie, półprzezroczyste ręce złożone razem, bladość pokrywała jej orle rysy i chociaż zachęcona, nigdy nie wydobyła z siebie następnego słowa. Drogą prywatnej ugody pozbyłem się tej jej paralelnej instytucji i – jak w tych okolicznościach można się było tego spodziewać – staliśmy się jednością. Ale ona nigdy nie mogła znaleźć, i nigdy nie znalazła, właściwych słów dla wyrażenia być może zbyt wysokiej oceny mojego intelektu. Do samego końca (a była to słabość wątroby) zwracała się do mnie tym niedokończonym określeniem.

W miarę cichnięcia i pogłębiania się głosu licytatora, pan Jasper powoli zamyka oczy. Teraz otwiera je nagle i dołącza swój głęboki głos do jego głosu:

– Ach! – i jakby w ostatniej chwili powstrzymuje się od dodania: „ludzie, ludzie!”.

– Od tej pory – mówi dalej pan Sapsea, wyciągając nogi i z powagą rozkoszując się winem oraz widokiem ognia na kominku – jestem taki, jakim mnie pan teraz widzi: samotny wdowiec. I od tej pory, jak to określam, moje wieczorne rozmowy trafiają w pustkę, jak ten głos wołającego na puszczy. Nie mogę powiedzieć, abym sobie coś wyrzucił, ale bywało, że zadawałem sobie takie oto pytanie: „A co by było, gdyby miała męża bardziej zbliżonego do jej poziomu? I gdyby nie musiała się starać tak bardzo, aby mu dorównać – jaki to miałoby wpływ na stan jej wątroby?”.

Pan Jasper odpowiada z niewymownym przygnębieniem, że „przypuszczalnie tak już musiało być”.

– Ale tak tylko możemy przypuszczać, szanowny panie – zgadza się pan Sapsea. – I to, co zawsze mówię: człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Może tak, a może nie, ale tak właśnie należy rzecz ująć i według mnie to określenie jest najlepsze.

Pan Jasper pomrukiem wyraża zgodę.

– A teraz, panie Jasper – ciągnie licytator, wskazując stos rękopisów – kiedy już dość czasu minęło, aby nagrobek pani Sapsea zdążył wyschnąć i osiaść, pozwolę sobie zasięgnąć pańskiej opinii, jako człowieka o dobrym smaku, co do napisu, jaki przygotowałem (jak już wspominałem nie bez pewnej gorączki twórczej). Proszę na niego spojrzeć. Układ wierszy wymaga podążania za nimi wzrokiem, tak jak umysł podąża za treścią.

Pan Jasper posłusznie patrzy i czyta, co następuje:

**ETHELINDA,**

szacowna żona

**PANA TOMASZA SAPSEA,**

LICYTATORA, TAKSATORA, POŚREDNIKA

W HANDLU NIERUCHOMOŚCIAMI ITD.



w tym mieście.  
Onże, mimo rozległej znajomości świata,  
nigdy nie spotkał  
DUCHA  
bardziej sposobnego,  
ABY GO PODZIWIĄĆ.  
PRZECHODNIU, ZATRZYMAJ SIĘ  
i zadaj sobie pytanie:  
CZY MÓGLBYŚ POSTĄPIĆ PODOBNIK?  
Jeżeli nie,  
ODEJDŹ ZAWSTYDZONY

Pan Sapsea wstaje, odwraca się tyłem do kominka i śledzi wrażenie, jakie ten napis wywiera na człowieku o dobrym smaku, potem odwraca się ku drzwiom, gdy znowu pojawia się pokojówka, oznajmiając:

– Przyszedł Durdles, proszę pana!

Pan Sapsea szybko napełnia trzeci kieliszek i odpowiada:

– Niech wejdzie.

– Zachwycające! – opiniuje pan Jasper, zwracając papier.

– Pochwala pan?

– Nie sposób nie pochwalać. Mocne, właściwe i niczego więcej nie można dodać.

Licytator skłania się jak ktoś, kto przyjmuje należny mu hołd i wydaje zań pokwitowanie, i kieliszkiem wina dla rozgrzewki (sam również podnosi swój) częstuje wchodzącego Durdlesa.

Durdles jest kamieniarzem, głównie zajmuje się nagrobkami, grobowcami i pomnikami; od stóp do głów całkowicie przejął od nich barwę. Nikt nie jest bardziej od niego znany w Cloisterham; ma tu całkowitą swobodę działania. Fama głosi, że pilny z niego pracownik – z tego, co ogólnie wiadomo, może to i prawda (bo nigdy nie widać jak pracuje) – i cudowny kompan do wypitki, o czym też wszystkim wiadomo. Wśród żywych, a może też pośród umarłych, nie ma większego autorytetu, jeśli idzie o kryptę katedralną. Mówi się, że ta bliska znajomość z kryptą zaczęła się od tego, iż miał zwyczaj chronić się w sekretne miejsce przed chłopakami z Cloisterham, aby tam wyparował zeń wypity alkohol. Miał łatwy dostęp do wszelkich zakamarków katedry, gdyż wynajmowano go do rozmaitych prostych napraw. Jakkolwiek by jednak było, wiele wie o samej budowli i podczas burzenia zawadających ścian lub podpór, bądź rozbierania bruku, widywał już dziwne rzeczy. Często mówi o sobie w trzeciej osobie; opowiadając być może traci poczucie własnej tożsamości, a może udziela mu się panujący w Cloisterham sposób zwracania się do znamienitych osobistości. I tak na przykład komentuje dziwne zjawisko, które zobaczył:

– Durdles natknął się na tego starego... – opowiada, mając na myśli pochowanego w dawnych czasach magnata wysokiego rodu – ... gdy wbijał kilof w jego trumnę. Stary spojrział na Durdlesa otwartymi oczami, jakby chciał go zapytać: „Nazywasz się Durdles?” i poskarżyć się: „Czekałem tu na ciebie, człowieku, diabelnie długo”. A potem obrócił się w

proch.

Z nieodłączną miarką w kieszeni i kamieniarskim młotkiem w ręku ciągle krąży, obstukując mury katedry<sup>{11}</sup> i jeżeli zakomunikuje Tope'owi: „Tope, mamy tu kolejnego starego!”, wtedy Tope donosi o tym księdzu dziekanowi i przedstawia jako potwierdzone, wiarygodne odkrycie.

Odziany w ubranie ze zgrzebnej flaneli z rogowymi guzikami, z żółtą wystrzępioną chustką wokół szyi, w starym kapeluszu o kolorze bardziej brązowoczerwonym niż czarnym, w sznurowanych butach o barwie, która przypomina jego kamieniarski fach, Durdles prowadzi niejasny, cygański tryb życia, nosząc ze sobą kolację w małym węzełku i przysiadając na wszelkiego rodzaju nagrobkach, aby ją spożyć. Ta kolacja Durdlesa stała się w Cloisterham niemal instytucją; nie tylko dlatego, że nigdy się bez niej publicznie nie pokazuje, ale również z tego powodu, że przy różnych okazjach aresztowano ją razem z Durdlesem (pijanym i niezdolnym do pracy) i używano jako dowodu przed ławą przysięgłych w ratuszu. Jednak okazje te były rzadkie, bowiem Durdles bywał równie rzadko pijany jak trzeźwy. Co do reszty, jest on starym kawalerem, mieszka w małym, antycznym, nigdy nie-ukończonym domku, a to, co zostało już wzniesione, pochodzi z kamieni wyłupanych z miejskiego muru. Wejście do tej siedziby zawalone jest okruchami kamieni i przypomina skamieniały las z nagrobków, urn, ozdób i połamanych kolumn na różnych etapach kamieniarskiej obróbki. W tym miejscu dwóch robotników nieustannie kuje, a dwóch innych, ustawionych naprzeciwko siebie, bez wytchnienia tnie piłą kamienie, przy czym wznoszą się i opadają w swojej budce jakby byli mechanicznymi figurkami, przedstawiającymi Czas i Śmierć.

Pan Sapsea wręcza Durdlesowi, który właśnie opróżnił kieliszek portwajnu, cenny owoc swego natchnienia. Durdles beznamiętnie wyciąga miarkę, spokojnie mierzy wiersze, brudząc je przy tym kamiennym pyłem.

– Czy to na nagrobek, panie Sapsea?

– Tak, to napis na nagrobek. – Pan Sapsea czeka na wrażenie, jakie wywrze napis na prostym umyśle.

– Dojdzie do ośmiu cali – mówi Durdles. – Pański sługa, panie Jasper. Mam nadzieję, że miewa się pan dobrze.

– Jak się masz, Durdles.

– Trochę dokucza mi grobacyzm, panie Jasper, ale mogłem się tego spodziewać.

– Masz chyba na myśli reumatyzm – mówi ostrym tonem pan Sapsea (jest rozdrażniony tak mechanicznym potraktowaniem jego dzieła).

– Nie, to nie to. Ja mam na myśli, panie Sapsea, właśnie grobacyzm. A to coś innego niż reumatyzm. Pan Jasper wie, o co Durdlesowi chodzi. Jak pan pójdiesz między groby dobrze przed świtem zimowego poranka i jak będziesz pan, jak powiada katechizm, łąził wśród nich przez wszystkie dni swego żywota, to wtedy będziesz **pan** wiedział, co Durdles ma na myśli.

– Tak, to przejmująco zimne miejsce – potwierdza pan Jasper, wzdrygając się z obrzydzeniem.

– Jeżeli panu tam wysoko w prezbiterium, gdzie wokoło tyle żywych oddechów, jest przejmująco zimno, to jak przenikliwie zimno musi być Durdlesowi tam na dole, w krypcie, w wilgotnej ziemi, wśród oddechów nieboszczyków – odpowiada ten osobnik. – Zresztą Durdles pozostawia to już pańskiemu osądowi... Czy mam się do tego zabrać od razu, panie Sapsea?

Pan Sapsea, jak każdy autor pragnący jak najszybciej opublikować swe dzieło, odpowiada, że nie może zwlekać ani chwili.

– No, to lepiej daj mi pan ten klucz – mówi Durdles.

– Ależ, człowieku, przecież to nie ma być umieszczone wewnątrz!

– Durdles wie, gdzie to ma być umieszczone, panie Sapsea; nikt inny nie wie lepiej od niego. Spytaj pan każdego w Cloisterham, czy Durdles zna się na swojej robocie.

Pan Sapsea wstaje, wyjmując klucz z szuflady, otwiera kasę pancerną w ścianie i wyjmuje z niej inny klucz.

– Kiedy Durdles wykańcza coś w środku lub na zewnątrz, zawsze lubi przyjrzeć się miejscu przyszłej roboty ze wszystkich stron, a potem obejrzeć, czy wszystko jest jak należy – wyjaśnia cierpliwie.

Ponieważ klucz wręczony mu przez nieutulonego w żalu wdowca jest dość duży, Durdles wtyka dwustopową miarkę do specjalnie w tym celu uszytej bocznej kieszeni flanelowych spodni, potem odpina klapkę wewnętrznej kieszeni i umieszcza w niej otrzymany klucz.

– Ależ, Durdles! – woła Jasper, przyglądając się temu z rozbawieniem. – Przecież ty cały jesteś pokryty kieszeniami!

– A każda z nich ma swoje przeznaczenie, panie Jasper. Proszę to potrzymać! – Wręcza mu dwa inne duże klucze.

– Są podobne do klucza pana Sapsea, który z pewnością jest z tych trzech najcięższy.

– Jak sądzę, na pewno zauważy pan, że to na jedno wychodzi – mówi Durdles – wszystkie one bowiem służą do otwierania grobowców. Wszystkimi można otworzyć dzieła Durdlesa. Durdles na ogół przechowuje klucze do swoich dzieł. Chociaż nie używa ich często.

– A przy okazji – przychodzi na myśl Jasperowi, przyglądającemu się pobieżnie kluczom – wiele razy miałem cię o coś zapytać, ale zapomniałem. Czy wiesz dlaczego czasem nazywają cię Stony Durdles<sup>[12]</sup>?

– W Cloisterham znany jestem jako Durdles, panie Jasper.

– Oczywiście, wiem o tym. Ale chłopcy niekiedy...

– O! Jeżeli zwraca pan uwagę na tych nicponi... – Durdles przerywa szorstko.

– Nie zwracam na nich uwagi bardziej niż ty. Ale któregoś dnia dyskutowano na ten temat w chórze i zastanawiano się, czy „Stony” pochodzi od „Tony” – odpowiada Jasper potrząsając kluczami.

(Niech pan uważa na słowa, panie Jasper – odgraża się w myślach Durdles.)

– A może „Stony” pochodzi od „Stefan” – pobrzękuje dalej innymi kluczami.

(Nie może pan robić z nich durniów, panie Jasper – myśli Durdles.)

– Ale przydomek ten może się też wywodzić od twojego zajęcia. A zatem, jak to jest na-

prawdę...?

Pan Jasper waży w ręku trzy klucze i unosi pochyloną głowę, po czym wręcza je Durdlesowi z przyjaznym wyrazem twarzy.

Jednak ten kamienny kamieniarz jest jednocześnie szorstki, chociaż taki stan zawsze bywa u niego dość chwiejny: z jednej strony świadom powagi swej osoby, z drugiej – skłonny do obrazy. Wrzuca klucze do kieszeni, zapina ją, zdejmuje z oparcia krzesła węzełek z kolacją, który zawiesił tam, wchodząc do pokoju; rozkłada odpowiednio obciążenie, lokując trzeci klucz w węzełku. Jakby był strusiem i lubił jadać zimne żelazo – i bez słowa opuszcza pokój.

Pan Sapsea proponuje partyjkę tryk-traka, która okraszona kolacją złożoną z zimnej pieczeni wołowej i sałaty, pozwoliłaby miło spędzić czas aż do późnego wieczoru. Mądrość pana Sapsea, który lubi się zwracać do śmiertelników rozwlekłym stylem, nie wyczerpuje się nawet teraz, jednak gość daje do zrozumienia, że kiedyś tu jeszcze powróci, aby skorzystać z tak cennej propozycji. Tak więc pan Sapsea wypuszcza go, aby po jego odejściu zastanowić się nad nabytą właśnie częścią wiedzy.

## ROZDZIAŁ V

### PAN DURDLES I JEGO NOWY PRZYJACIEL

Idącego przez dziedziniec Johna Jaspiera zatrzymuje widok Stony Durdlesa z nieodłącznym węzełkiem z kolacją – Durdles stoi oparty o żelazne ogrodzenie, oddzielające cmentarz od starego, krytego klasztornego krużganka – oraz widok okropnego urwisa w łańchmanach, rzucającego w Durdlesa kamieniami jak w dobrze widoczny w świetle księżyca cel. Od czasu do czasu jakiś kamień trafia, ale zdaje się, że Durdles nie zwraca na to uwagi. Inaczej niż ów obrzydliwy smarkacz: ten, kiedy udaje mu się trafić Durdlesa, gwizdże z triumfem przez szczerbę w przednich zębach, gdyż jakby specjalnie w tym celu pozbawiony jest połowy zębów. Kiedy zaś chybia, wykrzykuje: „Znowu spartoliłem!” i stara się naprawić błąd, celując dokładniej i z większą zawziętością.

– Co ty robisz temu człowiekowi? – wtrąca się Jasper, wychodząc z cienia na światło księżyca.

– Robię sobie z niego cel do rzucania kamieniami – odpowiada obrzydliwy smarkacz.

– Dawaj te kamienie, które masz w ręku.

– O tak, wepchnę ci je do gardła, jak tylko spróbujesz mnie złapać – odpowiada smarkacz, odskakując w tył. – Zanim się spostrzeżesz, wybiję ci oko!

– Ty diabelskie nasienie, co ci ten człowiek zrobił?

– Nie idzie do domu.

– A co cię to obchodzi?

– Jeżeli złapię go późnym wieczorem, daje mi pół pensa za to, żebym go zagnał do domu – mówi chłopak, a potem wyśpiewuje niczym jakiś dzikus, na wpół tańcząc, na wpół potykając się o zwisające łańchmany i sznurowadła rozpadających się butów:

*Tam-taram-tam-tam!*

*Już ja go złapię tam.*

*Tam-taram-tam-tam!*

*Jak nie pójdzie, to mu dam...*

*Tam-taram... obudź się – ostrzegam!*

Ostatnim słowom towarzyszy charakterystyczne zamachnięcie i kolejny kamień leci w kierunku Durdlesa.

To, jak się zdaje, ma jakby swoją poetykę, jest z góry ustalonym ostrzeżeniem, jakimś sygnałem dla Durdlesa, aby – jeżeli tylko zdoła – uchylił się albo poszedł do domu.

Jasper ruchem głowy rozkazuje chłopcu, aby poszedł za nim (czując, że zaciąganie go

siłą lub nakłanianie perswazją byłoby czymś beznadziejnym) i podchodzi do żelaznego ogrodzenia, gdzie Stone, skamieniały i pijany kamieniarz, tkwi pogrążony w rozmyślaniach.

– Znasz tego tam... znasz tego dzieciaka? – pyta Jasper, nie znajdując odpowiedniego słowa na określenie łachmaniarza.

– To Deputy<sup>{13}</sup> – odpowiada Durdles i potakująco kiwa głową.

– Czy to jest tego tam... czy to jego imię?

– Deputy – potwierdza Durdles.

– Ja służę w gospodzie Dwupensowi Wędrowcy – wyjaśnia oberwaniec.

– Każdy, kto służy w tym pensjonacie dla wędrowców, nazywa się Deputy. Kiedy jest w nim tłoczno i wszyscy podróżni leżą w łóżkach, dla zdrowia wychodzę sobie na dwór.

Po tych słowach znowu wybiega na drogę i celując, zaczyna:

*Tam-taram-tam-tam!*

*Już ja go złapię tam...*

– Nie rób tego! – woła Jasper. – Chyba widzisz, że stoję blisko niego. Nie rzucaj, bo cię zabiję! Chodź, Durdles, zaprowadzę cię dzisiaj do domu. Ponieść ci węzełek?

– W żadnym razie – odpowiada Durdles. – Durdles rozmyślał sobie, gdy pan szanowny tu się pojawił, rozmyślał sobie w towarzystwie swych dzieł, niczym jaki słynny twórca... A oto pański szwagier. – Wskazuje biały i zimny w świetle księżyca sarkofag za ogrodzeniem. – A tam pani Sapsea. – Wskazuje nagrobek oddanej żony. – Nieboszczyk wikary – mówi, patrząc w kierunku złamanej kolumny na grobie tego Wielebnego Dzentelmena. – Zmarły asesor skarbowy. – Pokazuje wazon z rącznikiem, stojący na czymś, co przypomina kostkę mydła. – Wielce poważany były cukiernik – Następny nagrobek.

– Wszyscy cali i zdrowi, szanowny panie, a to wszystko dzieła Durdlesa. A co do prostych ludzi, których przykrywa jedynie darń i jeżyny, to lepiej nie mówić. Biedacy, szybko się o nich zapomina.

– A to stworzenie, ten Deputy, ciągle tam stoi – mówi Jasper, oglądając się. – Ma iść za nami?

Związek łączący Durdlesa z Deputym jest ze swej natury kapryśny, bo kiedy Durdles odwraca się powoli, z powagą właściwą piwnemu zamroczeniu, Deputy mija go szerokim łukiem, wychodząc na drogę i przybierając pozycję obronną.

– Zanim zaczęłaś dzisiaj we mnie rzucać, w ogóle nie zawołałaś tego swojego ostrzeżenia *Tam-taram-tam...* – mówi Durdles, nieoczekiwanie przypomniawszy sobie, lub wyobraziwszy sobie, że stała mu się krzywda.

– Kłamiesz, wołałem – odpowiada Deputy, używając jedynej znanej mu formy grzecznego zaprzeczenia.

– Istny krewniak Dzikiego Piotrusia<sup>{14}</sup> – stwierdza Durdles, odwracając się i zapominając o urazie równie nieoczekiwanie, jak sobie o niej przypomniawszy. – Przynajmniej dostarczyłem mu w życiu celu.

– Celu, do którego rzuca kamieniami? – podpowiada pytająco pan Jasper.

– Otóż to, szanowny panie – potwierdza całkowicie zadowolony Durdles – celu, do któ-

regu wciąż mierzy. Wziąłem się za niego i dostarczyłem mu celu. A kim on był przedtem? Niszczycielem. A co dotychczas robił? Nic, tylko niszczył. A czego w ten sposób się dorobił? Odsiadek w więzieniu Cloisterham. Nie pozyskał sobie nikogo, nie dorobił się żadnego przedmiotu, żadnej rośliny, konia lub psa, ani kota, ani ptaka, drobiu czy świni, a tylko tego, co potrafił zniszczyć – wszystko to zaś z braku odpowiedniego celu. Tak więc postawiłem przed nim ten cel i teraz może zarobić uczciwie trzy i pół pensa na tydzień.

– Dziwne, że nie ma innych chętnych.

– Jest ich mnóstwo, panie Jasper, ale on wszystkich przepędza kamieniami. Nie mam pojęcia, do czego ten mój plan zaprowadzi – ciągnie Durdles, zastanawiając się z tą samą pijacką powagą. – Nie wiem, jakby to można dokładnie nazwać... To chyba nie jest jakaś metoda... edukacji narodowej, co?

– Raczej nie – odpowiada Jasper.

– Też tak twierdzą – przyznaje Durdles – a zatem nie będziemy próbowali tego określać.

– Ciągłe się nas trzyma – potwierdza Jasper, oglądając się przez ramię. – Ma iść za nami?

– Jeżeli pójdziemy na skróty, będziemy musieli przejść obok gospody Dwupensowi Wędrowcy – odpowiada Durdles – i tam go zostawimy.

Idą więc dalej – Deputy z tyłu, zakłócając spokój nocy i tego miejsca rzucaniem kamieniami w każdą ścianę, w słup i wszelkie nieożywione przedmioty, jakie tylko znajdują się przy pustej drodze.

– Jest coś nowego w krypcie, Durdles? – pyta pan Jasper.

– Chyba coś starego, chciał pan powiedzieć – mruczy Durdles. – To nie miejsce dla nowych rzeczy.

– Chciałem zapytać, czy odkryłeś tam coś nowego.

– Jak się schodzi powyłamywanymi stopniami tej małej kaplicy, która kiedyś tam była, to pod siódmym filarem od lewej jest jeden stary; wypatrzyłem (na tyle, na ile zdołałem), że to jeden z tych umrzyków z pastorałem. Sądząc z rozmiaru przejść w murach, stopni i drzwi, przez które musieli przechodzić, to te pastorały bardzo truposzom przeszkadzały. A jak się dwóch z nich potajemnie spotkało, to widzi mi się, że pewnie nieźle się haczyli infułami.

Nie próbując nawet sprostować tego tak dosłownego opisu, Jasper przygląda się swemu towarzyszowi, pokrytemu od stóp do głów pyłem starej zaprawy murarskiej, wapnem i żwirem, tak jakby on, Jasper, nabierał teraz jakiegoś romantycznego zainteresowania tą dziwną egzystencją kamieniarza.

– Wiesz osobliwy żywot.

Bez najmniejszej sugestii, czy odbiera to jako komplement, czy coś wręcz przeciwnego, Durdles odburkuje:

– Pański jest inny.

– No cóż, jeżeli chodzi o mój los związany z tym samym przejmującym, niezmiennym miejscem... to tak. Jednak twój związek z katedrą jest dużo bardziej tajemniczy i ciekawszy od mojego. W istocie kusi mnie, aby cię poprosić, żebyś przyjął mnie na ucznia lub



czeladnika i czasem pozwolił mi iść ze sobą, by obejrzyć niektóre z tych dziwnych zakamarków, w których bywasz.

Kamieniarz odpowiada ogólnikowo:

– W porządku. Wszyscy wiedzą, gdzie można znaleźć Durdlesa, kiedy jest im potrzebny.  
– Te słowa są tylko w przybliżeniu prawdziwe, gdyż oznaczają, że Durdlesa można znaleźć zawsze wtedy, gdy gdzieś się włóczy.

– Najbardziej mnie zastanawia – Jasper kontynuuje ten sam romantyczny wątek – fakt, że tak dokładnie potrafisz określić miejsce spoczynku ludzkich szczątków. A to, co się stało? Czy przeszkadza ci węzełek...? Daj, potrzymam go.

Durdles się zatrzymuje i trochę cofa (Deputy, śledzący wszystkie jego ruchy, natychmiast umyka na drogę), wypatrując jakiegoś murku lub kącika, aby złożyć tam swój węzełek.

– Niech pan wyciągnie z niego młotek – mówi Durdles – a coś panu pokażę.

Brzęk, brzęk i młotek wędruje do rąk kamieniarza.

– Proszę teraz tu spojrzeć. W swojej pracy ustala pan wysokość tonu, prawda, panie Jasper?

– Tak.

– Ja też. Biorę młotek i stukam (tutaj postukuje w bruk, a czujny Deputy odsuwa się jeszcze dalej, jakby w obawie, że jego głowie może grozić niebezpieczeństwo). Stuk, stuk, stuk. Monolit! Stukam dalej. Ciągłe monolit! Dalej... Hola! Pustka! Znowu stukam, ciągle pustka. Monolit w pustce! Stuk, stuk, stuk. Próbuję dalej. Monolit w pustce; monolit w środku i znowu pustka! Otóż to! Rozpadający się truposz w kamiennej trumnie spoczywającej w krypcie!

– Zdumiewające!

– Zawsze tak robię – oznajmia Durdles, wyciągając dwustopową miarkę (w tym czasie Deputy zbliża się, jakby podejrzewając, że zostanie odkryty jakiś skarb, dzięki któremu mógłby się wzbogacić i spodziewając się, że na podstawie jego zeznań odkrywcy skarbu zostaną zgładzeni na szubienicy). – Powiedzmy, że to młotek, a to ściana mojej roboty. Dwa; cztery i dwa, to sześć – mierzy bruk. – Sześć stóp pod spodem tej ściany znajduje się pani Sapsea.

– Chyba nie masz na myśli prawdziwej pani Sapsea?

– Powiedzmy, że to pani Sapsea. Ściana jej grobowca jest grubsza, ale powiedzmy, że to pani Sapsea. Durdles ostukuje ścianę – przywołaną w wyobraźni przez ten młotek – i mówi po dłuższym stukaniu: „Coś tu pomiędzy nami jest w środku!” I rzeczywiście, w tej sześciostopowej przestrzeni znajdują się jakieś śmieci porzucone przez ludzi Durdlesa!

Jasper ocenia, że tego rodzaju precyzja to „prawdziwy dar”.

Nie nazwałbym tego darem – odpowiada Durdles, w żadnym razie nie pochlebiony tą pochwałą. – Sam do tego doszedłem. Durdles zdobywa wiedzę, kopiąc po nią głęboko, a potem, kiedy nie chce się ujawnić, wyciąga ją za uszy. Hola, Deputy!

– *Tam-taram!* – brzmi piskliwa odpowiedź siedzącego w oddali chłopca.

– Chwytaj pół pensa i żebyś cię już nie widział, gdy dojdziemy do Dwupensowych Wędrowców.

– Ostrzeżenie! – odpowiada Deputy, chwytając półpensówkę, i wydaje się, że ten zagadkowy okrzyk wyraża akceptację takiego układu.

Muszą jeszcze przeciąć coś, co kiedyś zwano winnicą należącą do byłego klasztoru, aby dostać się do wąskiej bocznej uliczki, przy której stoi dziwny drewniany dom o dwóch niskich kondygnacjach, obecnie zwany gospodą Dwupensowych Wędrowców. Dom jest przekrzywiony, zniekształcony i zdekompletowany – tak jak morale zatrzymujących się w nim wędrowców – z resztkami okratowanej werandy oraz rustykalnym płotem okalającym zapuszczony ogród. Stan ten wynika z faktu, że wędrowcy bardzo przyzwyczajają się do tego miejsca, a może tak bardzo odpowiada im to ciepłe przydrożne schronienie, iż nie sposób ich nakłonić lub zmusić do odejścia, a jeśli już się wynoszą, to przy okazji zachłannie zabierają różne pamiątki z drewna.

To dość podłe miejsce udaje gospodę za pomocą fragmentów konwencjonalnych czerwonych zasłon na oknach, które to szmaty stają się przezroczyste, gdy nocną porą przebija przez nie słabe światło knotów tłących się w dusznych, zakopconych wnętrzach. Kiedy Durdles i Jasper nadchodzą, wita ich papierowa latarnia nad drzwiami, pokryta napisem informującym o przeznaczeniu tego domu. Poza tym wita ich może pół tuzina innych odrażających smarkaczy. Są to albo mieszkańcy tego domu, albo ich kumple, albo kumple kumpli – kto to wie? – którzy, jakby zaalarmowani trupim odorem towarzyszącym Deputy’emu, wyłazą na światło księżyca, zlatują się niczym sępy na pustyni i natychmiast zaczynają cisnąć w niego i w siebie kamieniami.

– Przestańcie, dzikusy! – wrzeszczy Jasper z wściekłością – i pozwólcie nam przejść!

W odpowiedzi słyszy wrzaski i widzi nadlatujące kamienie. Zgodnie ze zwyczajem, jaki w ostatnich latach został odnotowany w policyjnych rocznikach naszej angielskiej społeczności, chrześcijanie są kamienowani ze wszystkich stron, jakby wróciły czasy świętego Szczepana. W odpowiedzi na swój protest Jasper słyszy wrzaski i widzi lecące kamienie. Durdles, czyniąc uwagę na temat tych dzikusów, podkreśla, że przecież „właściwie nie mają w kogo rzucać” i dalej kroczy uliczką.

Na rogu Jasper, szczerze rozwścieczony, przygląda się swemu towarzyszowi, a potem ogląda do tyłu. Cisza. W następnej chwili kamień przelatuje obok jego kapelusza i z oddali dochodzi wrzask: „Zbudź się kogucie! Ostrzeżenie!”, po którym następuje pianie jakby koguta z piekła rodem, chwającego ogień, z którego się wyklął. Jasper skręca za róg w bezpieczne miejsce i prowadzi Durdlesa do domu. Durdles kopie porozrzucane na podwórzu kamienie, jakby chciał je ułożyć na jednym z niewykończonych nagrobków.

John Jasper wraca do domu inną drogą, cicho otwiera drzwi i dostrzega, że w kominku ciągle jeszcze pali się ogień. Wybiera ze skrzyneczki fajkę o dziwnym kształcie, napełnia ją – bynajmniej nie tytoniem – i po ostrożnym wymieszaniu zawartości za pomocą małego przyrządu, wchodzi wewnętrznymi schodkami, o zaledwie kilku stopniach, do przedsionka wiodącego do dwóch pokoi. Jeden z nich to jego sypialnia, drugi sypialnia siostrzeńca. W obu pomieszczeniach pali się światło.

Siostrzeniec leży pogrążony w spokojnym śnie. Jasper przez jakiś czas stoi w głębokim skupieniu, przyglądając mu się z niezapaloną fajką w ręku. Potem cicho przechodzi do

swojej sypialni, zapala fajkę i wywołuje upiory, które zwidują mu się do północy.

# ROZDZIAŁ VI

## FILANTROPIA W ZAULKU KANONIKA MNIJSZEGO

Wielebny Septimus Crisparkle (Septimus, ponieważ jego sześciu małych braciszków zgasło jeden po drugim tuż po urodzeniu, jak sześć małych płomyczków świec zaraz po zapaleniu) po przełamaniu cienkiego porannego lodu w pobliżu Jazu Cloisterham – głównie ku orzeźwieniu ciała – teraz z wielką energią i znajomością rzeczy polepszał krążenie, boksując się przed lustrem. W lustrze odbijał się rześki i zdrowy wielebny Septimus, atakujący, cały w zwinnych unikach i zadający ciosy z twarzą, która promieniowała nienawiścią, podobnie jak życzliwością promieniowały jego bokerskie rękawice.

Było jeszcze przed śniadaniem, bo oto pani Crisparkle – nie żona, lecz matka wielebnego Septimusa – zeszła właśnie na dół i czekała aż zagotuje się woda w czajniku. Wielebny Septimus przerwał na chwilę, aby ująć między rękawice miłą twarz wchodzącej starszej pani i ją ucałować. Uczyniwszy to z wielką czułością, wielebny Septimus powrócił do boksowania, w podziwu godnym zapale kontrując lewym, a potem prawym sierpowym.

– Przez cały czas powtarzam co rano, że musisz wreszcie z tym skończyć, Sept – stwierdza starsza pani, przyglądając się synowi. – Ty się jeszcze doczekasz...

– Czego się doczekam, droga mammo?

– Tego, że stłuczesz lustro albo że pęknie ci żyłka.

– Nadzieja w Bogu, że nie stanie się ani jedno, ani drugie, mammo. Co za cios, mammo! Spójrz!

W ostatniej, ostrej rundzie wielebny Septimus zadał wiele ciosów, wykonał liczne uniki i zakończył, zastosowanym na kapeluszu starszej pani, chwytem zwanym krawatem<sup>[15]</sup> – swoisty to termin, stosowany przez uczonych w tej szlachetnej sztuce – a postąpił tak delikatnie, że na kapeluszu nie przemieścił nawet o włos lawendowej lub wiśniowej wstążeczki. Wspaniałomyślnie uwalniając pokonanego przeciwnika, wielebny Septimus zdążył jeszcze schować do szuflady rękawice i udać, że wygląda w zamyśleniu przez okno, kiedy weszła służąca, a on odsunął się, aby dać miejsce czajnikowi i innym przygotowaniom do śniadania. Gdy już skończono nakrywać, a matka z synem pozostali sami, miło było spojrzeć (lub raczej byłoby miło, gdyby ktoś mógł ich widzieć, co nigdy się nie zdarzało) jak starsza pani wstaje, aby odmówić Modlitwę Pańską, a jej syn, mimo że kanonik mniejszy, stoi, słuchając ze spuszczoną głową. Człowiek, któremu brakowało pięciu lat do czterdziestki, stał tak samo jak wtedy, kiedy – słuchając tych samych słów z tych samych ust –

brakowało mu pięciu miesięcy do czterech lat.

Czy może być coś piękniejszego od starszej damy – z wyjątkiem młodej – o błyszczących oczach, o zgrabnej i schludnej figurce, o pogodnej i spokojnej twarzy? Od starszej damy, której strój przypomina zgrabny ubiór porcelanowej pasterki w gustownych, odpowiednio dobranych kolorach? Otóż nie ma nic piękniejszego – myślał często dobry kanonik mniejszy, zasiadając przy stole naprzeciw swej dawno owdowiałej matki. Jej myśli sprowadzały się wtedy do dwóch słów, których najczęściej używała we wszystkich rozmowach:

– Mój Sept!

Zasiadając do śniadania w domu przy Zaułku Kanonika Mniejszego<sup>[16]</sup>, stanowili naprawdę dobraną parę. Zaułek Kanonika Mniejszego to tak spokojne, skryte w cieniu katedry miejsce, iż wydaje się, że krakanie gawronów, bicie dzwonu katedralnego lub brzmienie katedralnych organów czyni je jeszcze spokojniejszym niż sprawiłaby to kompletna cisza. Przez całe wieki rozbijali się tu i szaleli chełpliwi wojownicy. W Zaułku Kanonika Mniejszego przez stulecia harowali i umierali zniewoleni chłopci, a potężni mnisi przez setki lat robili tu czasem coś pożytecznego, a czasem wyrządzali szkodę. I oto teraz na szczęście wszyscy oni odeszli z Zaułka Kanonika Mniejszego. Jednym z największych dobrodziejstw ich obecności w tym miejscu było – być może – to, że pozostawili po sobie ów przenikający cały zaułek błogosławiony spokój i pogodnie romantyczny stan umysłu, na ogół skłonny do współczucia i pobłażliwości, stan umysłu wywołany smętnymi opowieściami lub wzruszającymi dramatami, jakie kiedyś tu się rozegrały.

Zasadniczymi elementami otoczenia ładnej starszej pani Crisparkle i wielebnego Septimusa – kiedy to zasiadali do śniadania – były ściany z czerwonej cegły, bujny bluszcz, okna w romby witrażowe, boazeria, duże i gęsto ułożone dębowe belkowanie stropu oraz okolone kamiennymi murkami ogrody, w których co roku dojrzewały owoce na drzewach zasadzonych niegdyś przez mnichów.

– I cóż, droga mamó – zapytał kanonik mniejszy, dając przy śniadaniu dowód dużego i zdrowego apetytu – cóż tam jest w tym liście?

Ładna starsza pani właśnie go przeczytała i odłożyła na serwetę. Teraz podała go synowi.

Szczerze mówiąc, starsza pani była dumna ze swego dobrego wzroku i z tego, że nadal może jeszcze czytać bez okularów. Syn również był z tego dumny i tak bardzo pragnął, aby tym się cieszyła, że udawał, iż sam bez okularów czytać nie potrafi. Tak więc i teraz założył na nos okulary w rozmiarze poważnym i wyglądzie odpowiednio solidnym, które nie tylko go uwierały, ale wręcz utrudniały spożywanie śniadania, nie mówiąc już o tym, że poważnie przeszkadzały w czytaniu. Jego oczy bowiem, kiedy im w niczym nie pomagał, posiadały właściwości zarówno mikroskopu, jak i teleskopu.

– Rzecz jasna, to list od pana Honeythundera<sup>[17]</sup>.

– Oczywiście – przyznał syn i zaczął z trudem czytać:

Szanowna Pani!

*Piszę, zasiadając na...*

– Na czym...? Co on tam pisze?

– Na krześle – podpowiada starsza pani.

Wielebny Septimus zdjął okulary, aby spojrzeć na nią i zawołał:

– A na czym miałyby siedzieć przy pisaniu?

– Doprawdy, doprawdy, Sept – skarciła go starsza pani – nie widzisz całości! Podaj mi list, mój drogi.

Zadowolony, że może pozbyć się okularów (bo zawsze łzawią mu od nich oczy) syn posłusznie podaje jej list, mrucząc, że od czytania rękopisów wzrok mu się stale pogarsza.

– *Piszę – ciągnie matka, a czyta przejrzyście i dokładnie – zasiadając na krześle, na którym pozostanę prawdopodobnie kilka godzin.*

Septimus spojrział na rząd krzeseł pod ścianą wzrokiem na poły protestującym, na poły pytającym.

– *W naszej Głównej Przystani, tej wymienionej w nagłówku, odbywa się właśnie – czyta dalej starsza pani, ze specjalnym naciskiem – zebranie Głównego Zgromadzenia Połączonego Komitetu Centralnych i Rejonowych Filantropów, a ja mam przyjemność być jednogłośnie wybranym jako ten, który zasiada na krześle przewodniczącego.*

Septimus odetchnął z ulgą i zamruczał:

– O! Jeśli o t o chodzi, to niech mu będzie.

– *Aby nie marnować czasu, korzystam teraz z okazji odczytywania długiego sprawozdania, demaskującego publicznie niegodziwca...*

– To coś niezwykłego – przerwał łagodnie kanonik mniejszy, odkładając nóż i widelec i trąc ucho z irytacją – jak ci filantropi zawsze kogoś demaskują. Nadzwyczajne też jest, że zawsze tymi niegodziwcami są tak podnieceni!

– *...demaskującego publicznie niegodziwca... – ciągnie starsza pani – ... aby w końcu uporać się z tym naszym drobnym problemem. Rozmawiałem z dwojgiem moich podopiecznych, z Nevillem i Heleną Landlessami, na temat braków w ich wykształceniu i zgodzili się oni z przedstawionym przeze mnie planem; naturalnie uprzednio zadbałem, aby się zgodzili bez względu na to czy ten plan im się spodoba, czy nie.*

– Oto jeszcze jedna nadzwyczajna rzecz – zauważył kanonik mniejszy tym samym tonem co poprzednio. – Nadzwyczajne mianowicie jest to, że filantropi ciągle zajmują się łapaniem bliźnich za kark i, jeśli można to tak wyrazić, wpychaniem ich na ścieżkę cnoty. Przepraszam, droga mammo, że ci przerywam.

– *A zatem, Szanowna Pani, zechce pani przygotować syna, wielebnego Septimusa, i powiadomić o fakcie, że celem pobierania nauk od następnego poniedziałku zamieszka u niego Neville. Tego samego dnia przybędzie też do Cloisterham Helena i zatrzyma się w Domu Zakonnicy, to jest w instytucji polecanej zarówno przez panią, jak i przez pani syna. Proszę poczynić odpowiednie przygotowania również na jej przyjęcie i naukę. Warunki, na jakich oboje tam pozostaną, będą takie, jakie podała pani pisemnie, gdy zaczęliśmy korespondować na ten temat – po tym, jak miałem zaszczyt zostać pani przedsta-*

wiony tu, w mieście, w domu jej siostry. Załączam pozdrowienia dla wielbnego pana Septimusa i pozostaję z szacunkiem dla Szanownej Pani, oddany brat (w filantropii), Luke Honeythunder.

– No cóż, mam – powiedział Septimus po ponownym potarciu ucha. – Musimy spróbować. Bez wątpienia mamy dosyć miejsca dla tego pokroju pacjenta, a ja mam dość czasu i ochoty, aby się nim zająć. Muszę wyznać, że jestem zadowolony, iż nie jest on samym panem Honeythunderem. Chociaż to, co powiedziałem, zabrzmiało tak, jakbym miał jakieś uprzedzenie, prawda? A nie mam do tego prawa, bowiem nigdy go jeszcze nie spotkałem. Czy to silny mężczyzna, mam?

– Można powiedzieć, że jest dość silny, mój drogi – odparła starsza pani po chwili wahania. – Ale jego głos jest jeszcze silniejszy.

– Silniejszy niż on sam?

– Silniejszy od wszystkich innych.

– Aha! – powiedział Septimus i zabrał się do śniadania z takim zapalem, jakby aromat Przedniej Rodzinnej Herbaty Su-Czong, szynki na jajkach i grzanek, zamierzał zaraz się ulotnić.

Siostra pani Crisparkle, druga drezdeńska figurka z porcelany, tak do niej podobna, że obie mogłyby tworzyć zachwycającą dekorację po obu stronach gzymsu każdego staromodnego kominka i doprawdy powinno się je widywać osobno, była bezdzietną małżonką duchownego awansowanego do ważnej funkcji w korporacji londyńskiego City. Pan Honeythunder, pełniący publiczną funkcję profesora filantropii, poznał panią Crisparkle podczas ostatniego przemieszczenia porcelanowych figurek (innymi słowy, podczas jej ostatnich dorocznych odwiedzin u siostry), po pewnej imprezie natury filantropijnej, podczas której młode, skazane na zagładę sieroty nachalnie faszerowano nadziewanymi śliwkowymi powidłami pulchnymi bułeczkami. Wszystkie one miały się stać w przyszłości uczniami w Załku Kanonika Mniejszego.

– Jestem pewna, że się ze mną zgodzisz, mam – powiedział pan Crisparkle po przemyśleniu sprawy – iż przede wszystkim należy sprawić, aby ci młodzi ludzie poczuli się u nas tak swobodnie, jak to tylko możliwe. I nie ma w tym nic bezinteresownego, ponieważ my bylibyśmy skrupowani, o ile oni nie byliby swobodni. Obecnie jest tu siostrzeniec Jaspera, a swój ciągnie do swego, młody do młodego. Serdeczny z niego młodzieniec i zaprosimy go, aby podczas kolacji poznał rodzeństwo. To już troje. Ale nie mogę wyobrazić sobie zaproszenia go bez Jaspera. To już czworo. Dodajmy do tego pannę Twinkleton i tę ładną narzeczoną siostrzeńca Jaspera, a będziemy mieli sześcioro. Razem z nami mamy ośmioro. Czy miła kolacja dla ośmiu osób nie będzie zbyt wielkim ciężarem dla ciebie, mam?

– Byłaby dla dziewięciorga, Sept – odpowiedziała starsza pani, wyraźnie zdenerwowana.

– Ależ, droga mam, przecież powiedziałem, że będzie nas ośmioro.

– Mam na myśli wielkość stołu i pokoju, mój drogi.

I tak ustalono. A kiedy pan Crisparkle odwiedził z matką pannę Twinkleton, z prośbą, aby przygotowała się na przyjęcie panny Heleny Landless w Domu Zakonnicy, równocze-



śnie przedłożył jej dwa zaproszenia związane z tą instytucją. Kiedy zaproszenia zostały przyjęte, panna Twinkleton rzuciła okiem na dwa globusy, jakby żałując, że nie może ich zabrać na spotkanie; ale jakoś pogodziła się z faktem, że musi je pozostawić w domu. Do filantropa wysłano depeszą instrukcje dotyczące wyjazdu i przyjazdu pana Neville'a i panny Heleny – tak, aby w odpowiednim czasie pojawili się na kolacji. A potem nad Zaułkiem Kanonika Mniejszego zaczął się unosić aromat gotowanego rosółu.

W owym czasie<sup>{18}</sup> bezpośrednio do Cloisterham nie prowadziła żadna linia kolejowa, a pan Sapsea twierdził, że nigdy jej tam nie będzie. Pan Sapsea posunął się jeszcze dalej, twierdząc nawet, że kolej nie **powinna** tam dochodzić. A jednak – co wprost niewiarygodne – w naszych czasach doszło do tego, iż pociągi ekspresowe, którym nie warto się zatrzymywać w Cloisterham, wzbijając kurz mknęły z hukiem i rykiem dalej w drodze do godniejszych celów, tym samym dowodząc, jak to miasto w istocie mało znaczy. Istniały już jakieś fragmenty odległej głównej linii prowadzącej w niewiadomym kierunku, która gdyby zawiodła, zrujnowałaby rynek monetarny, a gdyby okazała się sukcesem, zrujnowałaby Kościół i cały kraj, a już bez względu na wszystko – rzecz jasna – obaliłaby konstytucję. Ale nawet to, co już powstało, na tyle zdołało zakłócić ruch kołowy w Cloisterham, że ruch ten opuściwszy główną ulicę, zaczął przenikać do miasta z zupełnie zaskakujących kierunków, między innymi boczną drogą, przy której od lat stała tablica z napisem „Uwaga zły pies!”.

I właśnie ku tej podłej drodze dojazdowej udał się pan Crisparkle, aby czekać na przyjazd krótkiego, przysadzistego omnibusu z tak nieproporcjonalnie wysoką górą bagaży na dachu, że przypominał nieproporcjonalnego małego słonia ze zbyt dużym zamczyskiem na grzbiecie. Pojazd ten stanowił w owych czasach jedyne codzienne połączenie Cloisterham z resztą świata. Kiedy się wtoczył, pan Crisparkle ledwo mógł coś dostrzec, ponieważ widok zasłaniał mu rozparty na koźle potężnie zbudowany pasażer z rękoma na kolanach, wciśkający w kąt woźnicę i rozglądający się bacznie wokoło.

– Czy to Cloisterham? – dowiadywał się pasażer grzmiącym głosem.

– Tak – odparł woźnica, rzucając lejce stajennemu i rozcierając członki, jakby go wszystko bolało. – I jeszcze nigdy tak się z tego nie cieszyłem.

– Zatem powiedz swojemu szefowi, aby zrobił szersze siedzenie – rzucił pasażer. – Twój szef ma moralny obowiązek – i pod groźbą kary powinien się z niego wywiązać – zapewnienia wygody swojemu pracownikowi.

Wyraźnie zaniepokojony woźnica zaczął się obmacywać, jakby chciał po wierzchu zbadać stan swoich kości.

– Czyżbym cię przygniół? – zainteresował się pasażer.

– Jasne – odpowiedział zde gustowany woźnica.

– Weź moją wizytówkę, przyjacielu.

– Myślę, że nie będę jej pana pozbawiał – odparł woźnica, rzuciwszy okiem na wizytówkę bez większej życzliwości i zainteresowania. – Jaki miałbym z niej pożytek?

– Mógłbyś zostać członkiem wymienionego na niej Towarzystwa – wyjaśnił pasażer.

– I co będę z tego miał? – spytał woźnica.

– Braterstwo – odpowiedział groźnie pasażer.

– Wielkie dzięki – mruknął woźnica i szybko zeskoczył z kozła. – Wystarczyłem swojej matce i wystarczyłem sobie. Nie chcę żadnych braci.

– Ale ich masz – znowu wyjaśnił pasażer, również zeskakując na ziemię – czy ci się to podoba czy nie. Ja jestem twoim bratem.

– Coś takiego – zaprotestował woźnica, coraz bardziej rozdrażniony.

– Tego już za wiele! Nawet anielska cierpliwość ma swoje...

W tym momencie wkroczył pan Crisparkle, wołając z daleka pojednawczo:

– Joe, Joe, Joe! Nie zapominaj się, Joe, przyjacielu! – a potem, gdy Joe pokojowym gestem uchylił kapelusza, pan Crisparkle zapytał pasażera:

– Czy pan Honeythunder?

– Tak, to moje nazwisko, szanowny panie.

– Ja nazywam się Crisparkle.

– Wielebny pan Septimus? Miło mi pana widzieć. Neville i Helena siedzą w środku. Osłabiony trochę działalnością publiczną postanowiłem łyknąć świeżego powietrza i zabrałem się z nimi, aby potem wrócić wieczorem. A zatem to pan jest wielebnym panem Septimusem? – najwyraźniej przyglądał mu się bez entuzjazmu, kręcąc binoklami na wstążeczce, jakby je opiekał nad ogniem. – Hm! Spodziewałem się, że jest pan starszy, szanowny panie.

– Mam nadzieję, że kiedyś będę – zabrzmiała pogodna odpowiedź.

– Co takiego? – Pan Honeythunder nie zrozumiał.

– To tylko taki żarcik. Nie warto powtarzać.

– Żart? Aha... Ja w ogóle nie znam się na żartach – burknął pan Honeythunder, marszcząc brwi. – Niech pan dla mnie nie marnuje żartów, szanowny panie. Gdzie oni są? Heleno, Neville'u! Chodźcie tu! Przyszedł was powitać pan Crisparkle.

Niezwykle przystojny, smukły młodzieniec i niezwykle przystojna, smukła dziewczyna, bardzo do siebie podobni; oboje ciemnej karnacji; ona prawie w typie Cyganki; coś w nich dzikiego, coś, co przypomina myśliwych, a jednocześnie coś, co kojarzy się z obiektem łowów, a nie z polującymi. Smukli, giętki, o szybkich spojrzeniach i ruchach; na pół nieśmiały, na pół zbuntowani; w ich twarzy coś dzikiego; postać i twarz zastyga nagle w nieokreślonym bezruchu, nie sposób ustalić, czy po to, aby się ukryć, czy też, by zaatakować. Tak brzmiałoby, gdyby opisać *verbatim* wrażenia, jakie pan Crisparkle odniósł w ciągu pierwszych pięciu minut.

Z niepokojem zaprosił pana Honeythundera na kolację (ponieważ martwił go kłopot, jaki sprawi tym porcelanowej pasterce) i podał ramię Helenie Landless. Zarówno ona, jak i jej brat, idąc starymi ulicami, z wielkim podziwem spoglądali na pokazaną im katedrę i ruiny klasztoru i tak się wszystkiemu dziwili – jak zanotował w myślach – jakby byli pięknymi jeńcami przybyłymi tu z dzikiej, tropikalnej kolonii. Pan Honeythunder maszerował środkiem ulicy, rozpychając przechodniów i głośno referując swój plan, polegający na wyłapaniu wszystkich bezrobotnych w Zjednoczonym Królestwie, zaciągnięciu ich za kołnierz do więzienia i zmuszeniu pod groźbą natychmiastowej eksterminacji, aby stali się filantropami.

Pani Crisparkle potrzebowała sporej dawki uczuć filantropijnych, gdy ujrzała ten bardzo duży i bardzo głośny dodatek, podobny do narośli na małej grupce przybyłych. Pan Honeythunder zawsze miał w sobie coś z czyraka na twarzy społeczeństwa, jednak w Zaułku Kanonika Mniejszego przekształcił się w coś na kształt drażniącego wrzodu. Chociaż nie było to całkowicie zgodne z prawdą, jak żartobliwie publicznie oskarżali go niewierzący, podobno nawoływał swoich słuchaczy słowami: „Niech przeklęte będą wasze dusze i ciała, pójdźcie, abym was pobłogosławił!”, a jednak jego filantropia należała do gatunku wybuchowych i trudno było ją odróżnić od wyrażania osobistych animozji. Jeżeli chcesz zniesienia służby wojskowej, wpierw powinieneś postawić przed sądem wojskowym i rozstrzelać wszystkich dowódców wykonujących swoje obowiązki. Jeżeli jesteś za zniesieniem wojny, wpierw powinieneś nawrócić tych, którzy walczą i oskarżyć ich o to, że wojna jest dla nich sensacją życia. Jeżeli jesteś przeciwko karze śmierci, wpierw powinieneś zmieść z powierzchni ziemi wszystkich legislatorów, prawników i sędziów o odmiennym zdaniu. Jeżeli jesteś za powszechną zgodą, wiedz, że można ją osiągnąć tylko poprzez wyeliminowanie wszystkich tych, którzy nie chcieliby lub zgodnie ze swoim sumieniem nie mogliby, się zgodzić. Jeżeli jesteś za tym, aby kochać bliźniego jak siebie samego, wiedz, że można to osiągnąć dopiero po niekończącym się oczernianiu go (zupełnie jakbyś go nienawidził) i obrzucaniu niezliczonymi wyzwiskami. A przede wszystkim niczego nie powinieneś robić prywatnie lub na własny rachunek, ale powinieneś iść do Przystani Filantropii i zapisać się tam na członka oraz zawodowego filantropa. Potem powinieneś opłacić składki, otrzymać kartę członkowską, wstążkę i odznakę i od tej pory żyć na piedestale. Mówić to, co mówi pan Honeythunder, skarbnik, zastępca skarbnika, powtarzać, co mówi komitet, podkomitet, sekretarz i zastępca sekretarza. A najogólniej wyrażała to opatrzona podpisem i pieczęcią, jednogłośnie przegłosowana rezolucja brzmiąca następująco: „Jako Zgromadzenie Praktykujących Zawodowych Filantropów z najwyższym oburzeniem i potępieniem połączonym ze skrajną pogardą oraz obrzydzeniem wyrażamy opinię, w której, krótko mówiąc, stwierdzamy podłość tych wszystkich, którzy do nas nie należą, a równocześnie – bynajmniej nie wdając się w szczegóły – przyrzekamy ze wszystkich sił rozgłaszać przykre opinie na ich temat”.

Kolacja okazała się żalonym niewypałem. Filantrop zakłócił symetrię przy stole, siedział w przejściu, blokując dostęp do stołu, doprowadzając pana Tope’a (który pomagał pokojówce) do rozpaczy, bowiem talerze i półmiski musiano przenosić ponad jego głową. Nikt z nikim nie mógł rozmawiać, ponieważ on mówił do wszystkich jednocześnie, tak jakby goście przy stole nie składali się z poszczególnych osób, ale stanowili jakieś ogólne zebranie.

Zawładnął wielebny Septimusem i traktował go jak osobę oficjalną, do której adresował wszystkie słowa, albo raczej jak wieszak, na którym wieszal swój oratorski kapelusz. Przyjął przy tym częstą u tego rodzaju mówców, denerwującą manierę stawiania rozmówcy w sytuacji niecnego, słabego przeciwnika. Tak więc mówił na przykład:

– Chcesz teraz, mój panie, ośmieszyć się, mówiąc mi... – i tak dalej, podczas gdy ten absolutnie niewinny człowiek nawet nie miał zamiaru otworzyć ust.

Albo mówił:

– Teraz widzisz, szanowny panie, do jakiej to zostałeś zredukowany pozycji. Nie pozostawiam ci żadnego wyjścia. Po wykorzystaniu, z upływem wszystkich tych lat, wszelkich okazji do oszustwa i fałszu, po ujawnieniu kombinacji nikczemnej podłości z przeklętym tupetem, jaki nieczęsto zdarza się światu oglądać, masz teraz jeszcze w sobie dość hipokryzji, by padać na kolana przed tym zwyrodniałym rodzajem ludzkim, skarżąc się, błagając i skamląc o litość!

Przez cały czas na twarzy nieszczęsnego kanonika mniejszego malowało się oburzenie przemieszane ze zniecierpliwieniem; jego zacna matka siedziała tymczasem z uniesioną wysoko głową i ze łzami w oczach, a reszta towarzystwa popadła w stan podobny do galarety pozbawionej zapachu, konsystencji i niemal wszelkiej odporności.

Lecz wylew prawdziwej filantropii nastąpił dopiero wówczas, gdy zaczęto przygotowywać pana Honeythundera do odjazdu, i przyznać należy, że musiał on sprawić temu czci-godnemu człowiekowi<sup>[19]</sup> najwyższą satysfakcję. Dzięki szczegółowym zabiegom pana Toppa, podano mu kawę na godzinę przedtem zanim przejawiał na nią ochotę. Mniej więcej tyle samo czasu pan Crisparkle siedział z zegarkiem w ręku, żeby przypadkiem nie spóźnić się na omnibus. Czwórka młodych ludzi zgodnie uznała, że zegar katedralny wybił trzy kwadransy, podczas gdy w rzeczywistości wybił tylko jeden. Panna Twinkleton oceniła odległość do omnibusu na dwadzieścia pięć minut drogi, podczas gdy w istocie wystarczyło pięć. Całe towarzystwo, okazując serdeczną uprzejmość wbiło go w płaszcz, potem wypchnęło z domu na światło księżyca, jakby był jakimś ukrywającym się zdrajcą, z którym sympatyzowali, i jakby przy tylnych drzwiach czekał już na niego konny zaprzęg. Pan Crisparkle i jego nowy podopieczny odprowadzili go do omnibusu, tak bardzo się martwiąc, by się nie przeziębił, że natychmiast go w nim zamknęli i zostawili na całe pół godziny przed odjazdem.

## ROZDZIAŁ VII

### TROCHĘ ZWIERZEŃ

– Bardzo mało znam tego dżentelmena, proszę pana – oświadczył Neville kanonikowi mniejszemu, kiedy razem wracali do domu.

– Mało znasz swojego opiekuna? – powtórzył kanonik mniejszy.

– Prawie w ogóle go nie znam!

– To, w jaki sposób...

– W jaki sposób **został** moim opiekunem? Powiem panu. Przypuszczam, że wie pan, iż przybyliśmy tu – moja siostra i ja – z Cejlonu?

– Ależ nic o tym nie wiem.

– Tak myślałem. Mieszkaliśmy tam z ojczymem. Tam umarła nasza matka, gdy byliśmy dziećmi. Pędziliśmy nędzny żywot. Matka przed śmiercią powierzyła nas pewnemu człowiekowi, ale okazał się skąpym nędznikiem, żałującym jedzenia i ubrań. On z kolei na łożu śmierci przekazał opiekę nad nami temu właśnie człowiekowi, który nas tu przywiózł. O ile wiem, zrobił to chyba dlatego, że ten był właśnie jego przyjacielem lub znajomym, a jego nazwisko często pojawiała się w druku i zwrócił na nie uwagę.

– Zapewne nie było to dawno?

– Całkiem niedawno, proszę pana. Nasz ojczym był okrutnym brutalem i raptusem. Dobrze, że umarł, w przeciwnym bowiem razie byłbym go zabił.

Pan Crisparkle gwałtownie zatrzymał się w świetle księżycy i na swego obiecującego podopiecznego patrzył stropiony.

– Zaskoczyłem pana? – zapytał chłopiec, szybko przybierając pokorny wyraz twarzy.

– Zaszokowałaś mnie, niewymownie mnie zaszokowałaś.

Kiedy ruszyli dalej, uczeń na chwilę zwiesił głowę, a potem kontynuował:

– Nigdy pan nie widział, jak ktoś bije pańską siostrę. A ja widziałem, jak on często bił moją... I nigdy tego nie zapomnę.

– Nic, nawet łzy ukochanej i niegodnie potraktowanej pięknej siostry – oświadczył pan Crisparkle, który w miarę jak rosło jego oburzenie, wbrew swej woli mówił coraz łagodniej – nie może usprawiedliwić **tego** przerażającego słowa, jakiego pan użył.

– Przykro mi, że tak powiedziałem, a szczególnie, że powiedziałem to panu. Błagam, niech pan o tym zapomni. Jednak proszę pozwolić mi coś wyjaśnić. Mówił pan o łzach mojej siostry. Otóż moja siostra prędzej dałaby się rozerwać na strzępy, zanim pozwoliłaby, aby myślał, że doprowadził ją do płaczu.

Pan Crisparkle przypomniał sobie pierwsze wrażenie, jakiego doznał na widok młodej pary i słysząc te słowa nie był zaskoczony, nie zamierzał też ich kwestionować.

– Pewnie pomyśli pan, iż to dziwne – w głosie chłopca słyhać było wahanie – że tak rychło proszę o pozwolenie, aby móc się zwierzać i żeby był pan łaskaw wysłuchać kilku słów w mojej obronie.

– W obronie? – powtórzył pan Crisparkle. – Panie Neville’u, pan nie musi się bronić.

– Myślę, że jednak muszę, proszę pana. Ostatecznie ja o tym wiem najlepiej, a pan się przekona, gdy pozna mój charakter.

– A więc dobrze, panie Neville’u – brzmiała odpowiedź. – Ale pozwoli pan, że sam o tym zdecyduję?

– Jak pan sobie życzy – odparł młodzieniec, nagle chmurząc się z rozczarowaniem. – Muszę posłuchać, jeżeli pan sobie tego życzy.

W tonie tej krótkiej odpowiedzi było coś, co sprawiło, że uważny słuchacz poczuł się nieswojo. Odniósł wrażenie, iż – pewnie niechcący – odrzuca ufność, może zbawienną dla młodego, wypaczonego umysłu; a przez to mógłby utracić możliwość pokierowania nim i ulepszenia go. Podeszli do miejsca, skąd widać było światła w oknach i pan Crisparkle się zatrzymał.

– Zawróćmy i przejdźmy się jeszcze trochę, panie Neville’u, aby mógł pan dokończyć to, co zamierzał mi pan powiedzieć. Zbyt pochopnie doszedł pan do wniosku, że nie chcę pana wysłuchać. Wręcz przeciwnie. Zachęcam pana do poufnych zwierzeń.

– Pan sam, nawet o tym nie wiedząc, zdążył już – odkąd tu przybyłem – wzbudzić we mnie zaufanie i chęć do zwierzeń. Mówię „odkąd”, tak jakby minął już tydzień. Tak naprawdę przybyliśmy tutaj – moja siostra i ja – po to, aby się z panem pokłócić, aby pana obrazić, a potem uciec.

– Doprawdy? – zdziwił się pan Crisparkle, nie mając pojęcia, co powiedzieć.

– Widzi pan, nie mogliśmy przewidzieć, jaki z pana człowiek, prawda?

– Najwyraźniej nie – przyznał pan Crisparkle.

– A ponieważ nigdy dotąd nie natrafiliśmy na kogoś, kogo moglibyśmy polubić, postanowiliśmy i pana do takich osób zaliczyć.

– Doprawdy? – powtórzył pan Crisparkle.

– Ale polubiliśmy pana i widzimy oczywistą różnicę między pańskim domem i tym, jak nas pan przyjął, a wszystkim, czego do tej pory doświadczyliśmy. To, iż teraz jesteśmy z panem i po odjeździe pana Honeythundera wszystko dookoła wydaje się takie spokojne i ciche, jak również to, że w świetle księżyca Cloisterham wydaje się takie stare, poważne i piękne – wszystko to skłoniło mnie, aby otworzyć przed panem serce.

– Doskonale rozumiem, panie Neville’u. Uleganie tego rodzaju wpływom bywa zbawienne.

– Muszę pana prosić, aby pan nie sądził, że opisując moje wady, wskazuję również na cechy mojej siostry. Ona o tyle lepiej ode mnie zniosła wszystkie okropności naszego nędznego życia, o ile wieża katedry jest wyższa od tych kominów.

Pan Crisparkle w głębi duszy nie był tego taki pewny.

– Jak tylko sięgam pamięcią, zawsze musiałem tłumić w sobie gorzką, śmiertelną nienawiść. Stałem się przez to skryty i mściwy. Zawsze czułem na sobie twardą rękę tyрана. I to

moja słabość doprowadziła do tego, że stałem się fałszywy i podstępny. Pozbawiono mnie wykształcenia, wolności, pieniędzy, ubrań, rzeczy niezbędnych do życia, najprostszyc przyjemności dzieciństwa, najzwyczajszyc przymiotów młodości. A przez to teraz brak mi – sam już nawet nie wiem jakich – uczuć, wspomnień, dobrych odruchów i, jak pan widzi, brak mi nawet słów na określenie tego, co chcę powiedzieć! Słów, do których może się pan odwoływać u innych młodych ludzi, z którymi zwykł pan obcować.

„Najwyraźniej to prawda. Ale nie brzmi zachęcająco”, pomyślał pan Crisparkle, gdy zawrócili w stronę domu.

– Na koniec chcę jeszcze powiedzieć, proszę pana, że wychowałem się wśród podłych i służalczych ludzi, należących do gorszej rasy i może dlatego w jakimś stopniu upodobiłem się do nich. Nie wiem, ale czasem wydaje mi się, że płynęły w nich krople tygrysyj krwi.

„Potwierdzają to twoje własne słowa”, pomyślał pan Crisparkle.

– A teraz ostatnia uwaga, dotycząca mojej siostry, proszę pana – jesteśmy bliźniętami! Powinien pan wiedzieć o czymś, co przynosi jej zaszczyt, a co wydarzyło się w naszym nieszczęśliwym życiu i nie zdołało jej złamać, chociaż często sprawiało, że ja sam byłem skrajnie przygnębiony. Kiedy uciekaliśmy – a w ciągu sześciu lat uciekaliśmy cztery razy i zawsze nas ściągano z powrotem, okrutnie karząc – to właśnie ona planowała i kierowała tymi ucieczkami. Za każdym razem przebierała się za chłopca i wykazywała odwagę męzczyzny.

Zdaje się, że po raz pierwszy uciekliśmy w wieku siedmiu lat; pamiętam jednak, że kiedy zgubiłem scyzoryk, którym zamierzała obciąć sobie krótko włosy, desperacko starała się je wyrwać, czy też odgryźć. Już więcej nie mam nic do powiedzenia, prócz tego, że podtrzymuję nadzieję, iż będzie pan dla mnie cierpliwy i wyrozumiały.

– Panie Neville’u, tego może pan być pewien – odparł kanonik mniejszy. – Staram się nie pouczać ludzi bardziej niż to konieczne i nie odpłacę kazaniem za pańską szczerść. Proszę jednak, aby poważnie się pan nad tym zastanowił, skoro bowiem mam panu przyjść z pomocą, mogę to uczynić tylko przy pańskim udziale, a pomoc będzie skuteczna tylko wtedy, jeśli pan sam zechce szukać wsparcia w Niebiesiech.

– Spróbuję zrobić to, co do mnie należy, proszę pana.

– A ja, panie Neville’u, spróbuję uczynić to, co w mojej mocy. Oto moja dłoń. Niech Bóg błogosławi nasze starania!

Stali teraz przy drzwiach wejściowych do domu, zza których słychać było wesołe głosy i śmiechy.

– Przejdźmy się jeszcze raz przed wejściem do środka – powiedział pan Crisparkle – ponieważ chcę panu zadać pewne pytanie. Kiedy stwierdził pan, że zmienił opinię na mój temat, to mówił pan zarówno w swoim imieniu, jak i w imieniu siostry?

– Bez wątpienia, proszę pana.

– Wybacz pan, panie Neville’u, ale wydaje mi się, że nie miał pan przecież okazji porozumieć się z siostrą od chwili, gdy spotkaliśmy się tutaj. Pan Honeythunder był bardzo elokwentny i bez złośliwości ośmielę się powiedzieć, że całkiem zdominował rozmowę. Czy zatem może pan wypowiadać się w jej imieniu, nie mając ku temu wystarczających



podstaw?

Neville potrząsnął głową z dumnym uśmiechem.

– Jeszcze pan o tym nie wie, proszę pana, w jaki sposób może istnieć całkowite porozumienie między mną i moją siostrą, chociaż żadne słowo – może tylko spojrzenie – nie zostało wypowiedziane. Ona nie tylko czuje to, co panu opisałem, ale bardzo dobrze wie, że teraz korzystam z okazji, aby porozmawiać z panem w swoim i jej imieniu.

Pan Crisparkle spojrział na niego z pewnym niedowierzaniem. Ale twarz Neville'a wyrażała tak absolutne przekonanie o prawdziwości tego, co powiedział, że pan Crisparkle, kiedy znowu zbliżyli się do drzwi, opuścił wzrok na chodnik i pogрузzył się w rozmyślnościach.

– Tym razem to ja pana proszę, abyśmy powrócili do tematu – powiedział młodzieniec, rumieniąc się. – Jednak gdyby nie elokwencja pana Honeythundera... Zdaje się, że nazwał pan to elokwencją, prawda? – zapytał nieco szelmowsko.

– Tak, nazwałem to elokwencją – przyznał pan Crisparkle.

– Tak więc, gdyby nie elokwencja pana Honeythundera, nie musiałbym teraz zadawać panu tego pytania. Chodzi mi o pana Edwina Drooda, proszę pana. Zdaje mi się, że tak się nazywa, prawda?

– Zgadza się – odparł pan Crisparkle. – D-r-podwójne o-d.

– Czy on... czy on też... uczy się u pana?

– Nie, panie Neville'u. Przyjechał w odwiedziny do swego krewnego, pana Jaspera.

– Czy panna Bud też jest jego krewną, proszę pana?

„Dlaczego pyta o to w tak nieoczekiwany formalny sposób?”, zastanawiał się pan Crisparkle. Potem wyjaśnił sprawę dotyczącą zaręczyn.

– Och! Więc to tak? – zdziwił się młodzieniec. – Teraz rozumiem to jego poczucie własności.

Najwyraźniej powiedział to do siebie lub jakby do kogoś postronnego, ale na pewno nie do pana Crisparkle'a, a ten instynktownie poczuł, iż poważne potraktowanie tych słów byłoby czymś podobnym do zwrócenia uwagi na fragment listu przeczytany przypadkiem przez czyjeś ramię. W chwilę potem weszli do domu.

Kiedy znaleźli się w salonie, pan Jasper siedział przy pianinie, akompaniując do śpiewu pannie Różyczce. Ponieważ akompaniował bez nut, a ona była roztrzepanym stworzeniem, które łatwo mogło się pomylić, śledził jej usta bardzo uważnie, od czasu do czasu starannie i łagodnie podkreślając odpowiednią nutę oczami i rękami. Helena stała, obejmując ją ramieniem, ale wyraźnie skupiała uwagę na panu Jasperze, a nie na śpiewającej. Pan Crisparkle dostrzegł, jak mu się wydawało, błysk natychmiastowego porozumienia między bratem i siostrą, porozumienia, o którym była już mowa. Pan Neville, oparłszy się o pianino naprzeciwko śpiewaczki, przyglądał się jej z zachwytem; pan Crisparkle usiadł przy paście; Edwin Dood z galanterią składał i rozkładał wachlarz panny Twinkleton, zaś dama ta biernie dawała do zrozumienia, że kieruje całym tym spektaklem tak, jak to codziennie czynił pan Tope, kościelny, podczas nabożeństwa w katedrze.

Pieśń płynęła dalej. Były to smutne tony rozstania, a świeży młody głos brzmiał żałośnie

i czule. Kiedy Jasper wpatrywał się w piękne wargi i ciągle – jakby szepcząc do siebie – podpowiadał wiodącą tonację, głos śpiewaczki powoli stawał się niepewny, aż wreszcie wybuchła płaczem, krzyknęła i zakryła oczy dłońmi.

– Dłużej już tego nie zniosę! Boję się! Zabierzcie mnie stąd!

Jednym ruchem smukłego ciała Helena ułożyła kruchą istotkę na sofie tak lekko, jakby w ogóle nie odrywała jej od podłogi. Potem, przyklękając obok, jedną dłoń przyłożyła do jej różowych usteczek, a drugą skierowała ku gościom, mówiąc:

– To nic... już minęło... Przez chwilę nie odzywajcie się do niej, a szybko dojdzie do siebie!

W tym samym momencie ręce Jaspera uniosły się nad klawiszami i zawisły bez ruchu, jakby zamierzał kontynuować grę. Siedział w tej pozycji cicho, nie rozglądając się nawet, podczas gdy wszyscy porzucili swoje miejsca i wzajemnie zaczęli się uspokajać.

– Kicia nie przywykła do takiego audytorium, to fakt – mówił Edwin Droad. – Zdenerwowała się i nie wytrzymała napięcia. Poza tym ty, Jack, jesteś tak wymagającym nauczycielem, tyle po niej się spodziewasz, iż sądzę, że ona się ciebie boi. I wcale temu się nie dziwię.

– Ja też się nie dziwię – powtórzyła za nim Helena.

– No widzisz, Jack! W podobnej sytuacji pani też by się bała, prawda, panno Landless?

– Ja nie bałabym się w żadnej sytuacji – oburzyła się Helena.

Jasper opuścił ręce, obejrzał się przez ramię i zaczął dziękować panie Landless za usprawiedliwienie jego postępowania. Potem rozpoczął bezgłośnie grę bez dotykania klawiszy, podczas gdy jego młodą uczennicę podprowadzono do otwartego okna, aby odechnęła świeżym powietrzem; uspokajano ją i pocieszano. Kiedy powróciła, jego miejsce było już puste.

– Jack odszedł, Kiciu – wyjaśnił Edwin. – Poważnie się obawiam, że nie spodobało mu się oskarżenie, iż jest straszającym cię potworem.

Ale Różyczka nic nie odpowiedziała, jedynie się wzdrygnęła, jakby przeniknął ją zimny dreszcz.

Teraz panna Twinkleton, zwracając się do pani Crisparkle, wyraziła opinię, że jest już zbyt późno, aby przebywać poza murami Domu Zakonnicy, a my, na których ciąży obowiązek kształtowania charakterów przyszłych żon i matek Anglii (ostatnie słowa były wypowiedziane ściszym głosem, jakby należało przekazywać je poufnie), jesteśmy doprawdy zobowiązane... (tu głos zaczął się podnosić),... aby dawać lepszy przykład, niż może dać go ktoś o rozpustnych manierach... Wobec tego podano okrycia i dwóch rycerskich młodzieńców podjęło się na ochotnika odprowadzić damy do domu. Odbędzie się to szybko i wkrótce zamknie się za nimi brama Domu Zakonnicy.

Lokatorki Domu Zakonnicy udały się już na spoczynek, jedynie pani Tisher, samotnie czuwając, czekała na nową uczennicę. Jej sypialnia łączyła się z sypialnią Róży, nie było więc potrzeby przedstawiać ich sobie i cokolwiek wyjaśniać, zanim została oddana pod opiekę nowej przyjaciółki i pozostawiona na noc.

– Jaka błogosławiona ulga, moja droga – powiedziała Helena. – Przez cały dzień żyłam

obawą, że będę się tu czuła jak osaczona.

– Mało tu nas – odparła Róża – i łagodne z nas dziewczęta... Przynajmniej reszta jest taka, za to mogę ręczyć.

– A ja mogę ręczyć za siebie – zaśmiała się Helena, wpatrując się w jej śliczną twarzyczkę swymi ciemnymi płonącymi oczami, i delikatnie dotykając drobnej figurki Róży. – Zostaniesz moją przyjaciółką, prawda?

– Mam nadzieję. Chociaż sama myśl o tym, żeby być twoją przyjaciółką, wydaje się absurdalna.

– Dlaczego?

– Och, prawdziwy ze mnie drobiazg, a ty jesteś taka kobieca i taka przystojna. Wydaje mi się, jakbyś miała dość siły i odwagi, aby mnie zgnieść. W twojej obecności czuję się niczym.

– Ja jestem zaniedbaną istotą, moja droga, brak mi wykształcenia i boleśnie uświadamiam sobie, ile jeszcze muszę się nauczyć. Bardzo się wstydzę swojej ignorancji.

– A jednak zwierzasz mi się z tego! – wykrzyknęła Róża.

– Moja ty piękna, a mogłabym się powstrzymać? W tobie jest coś fascynującego.

– Doprawdy? – Róża wydeła usta na wpół żartobliwie, na wpół poważnie. – Jaka szkoda, że tak nie odczuwa pan Eddy!

Oczywiście jej związek z tym młodym dżentelmenem został już omówiony w Zaułku Kanonika Mniejszego.

– Ależ, moja droga, z pewnością musisz go kochać z całego serca! – zawołała Helena z takim przekonaniem, że gdyby tak nie było, łatwo mogłoby się ono przerodzić w gniew.

– Co...? No, myślę, że tak – odparła Róża, znowu wydymając usta. – Jestem pewna, że nie mam prawa twierdzić, iż on mnie nie kocha. Może to moja wina. Może nie jestem dla niego tak miłą, jak powinnam. Pewnie nie jestem. Ale to takie absurdalne!

Helena spojrzała pytająco.

– Bo my – wyjaśniła Róża, odpowiadając, jakby padło głośnie pytanie – bo my w istocie stanowimy absurdalną parę. I stale się kłócimy.

– Dlaczego?

– Ponieważ oboje wiemy, że absurdalna z nas para, moja droga! – odpowiedziała Róża, jakby to była najbardziej oczywista odpowiedź na świecie.

Helena na dłuższą chwilę utkwiała w jej twarzy swe władcze oczy, a potem impulsywnie wyciągnęła ku niej obie ręce i zapytała:

– Zostaniesz moją przyjaciółką, pomożesz mi?

– Oczywiście, że zostanę twoją przyjaciółką, moja droga – odparła Róża ze wzruszająco dziecinną czułością. – Będę na tyle dobrą przyjaciółką, na ile taki drobiazg jak ja może być przyjaciółką tak szlachetnej istoty jak ty. Proszę cię, abyś i ty została moją przyjaciółką; sama siebie nie rozumiem, potrzebna mi przyjaciółka, która mnie zrozumie... Bardzo potrzebna.

Helena Landless ucałowała ją i trzymając za ręce, zapytała:

– Kim jest pan Jasper?

Róża, odwracając głowę, odpowiedziała:

– To wuj Eddiego i mój nauczyciel muzyki.

– Ty go nie kochasz, prawda?

– Brr! – Róża ukryła twarz w dłoniach i wzdrygnęła się ze strachu, a może ze zgrozy.

– A czy zdajesz sobie sprawę z tego, że on ciebie kocha?

– O nie, nie, nie mów tak! – zawołała Róża, padając na kolana i tuląc się do swej nowej przyjaciółki, jakby szukając w niej oparcia. – Nie mów tak! On mnie przeraża. Straszy mnie w myślach, niczym jakiś okropny upiór! Wydaje mi się, że mógłby przeniknąć ściany, kiedy się o nim mówi. – I rzeczywiście zaczęła się rozglądać, jakby w obawie, że ujrzy go za sobą, stojącego w mroku.

– Spróbuj powiedzieć mi o tym coś więcej, moja droga.

– Tak, spróbuję. Powiem ci. Ponieważ jesteś taka silna. Ale przytul mnie na chwilę i zostań jakiś czas ze mną.

– Moje dziecko! Mówisz tak, jakby ci w jakiś tajemniczy sposób zagrażał.

– Nigdy nie mówił mi... o tym. Nigdy.

– A co zrobił?

– Zniewolił mnie swymi spojrzeniami. Zmusił, żebym go rozumiała, chociaż nie wypowiedział przy tym ani słowa. Zmusił, abym milczała, niczym mi nie grożąc. Kiedy gram, nigdy nie odrywa wzroku od moich rąk. Kiedy śpiewam, nigdy nie odrywa wzroku od moich ust. Kiedy mnie poprawia i zagra jakiś ton lub akord albo cały pasaż, to sam jest w tych dźwiękach, jakby szeptał nimi, że pragnie mnie jak kochanek i jakby rozkazywał, żebym trzymała to w tajemnicy. Unikam jego oczu, ale on mnie zmusza, abym je widziała, nie patrząc w nie. Nawet wtedy, gdy jego oczy zachodzą mgłą (co czasem się zdarza) i gdy wydaje się, że popada w jakieś straszne odrętwienie, które w moim mniemaniu czyni go najgroźniejszym – nawet wtedy mnie zmusza, abym to sobie uświadamiała i abym zdawała sobie sprawę, że jest blisko, straszniejszy niż kiedykolwiek.

– Jakaż to wyimaginowana groźba, moja ślicznotko? Czym tobie zagraża?

– Nie wiem. Nigdy nie odważyłam się o tym myśleć ani zastanawiać się nad tym, co to by mogło być.

– Tylko o to chodziło dzisiaj wieczorem?

– Tylko o to; poza tym, że dzisiaj wieczorem, kiedy śpiewałam, wpatrywał się z tak bliska w moje usta; poza tym, że czułam się przerażona, zawstydzona i głęboko urażona. To było tak, jakby mnie całował. Nie mogłam tego znieść i dlatego się rozpłakałam. Nikomu nie wolno ci o tym szepnąć słówka. Eddy jest mu oddany. Jednak dzisiaj powiedziałaś, że w żadnej sytuacji nie bałabyś się go, a to mnie – która tak bardzo go się boi – dodało odwagi, aby tylko tobie o tym powiedzieć. Przytul mnie! Zostań ze mną! Tak się boję zostać sama.

Lśniący cygański twarz pochyliła się nad wyciągniętymi ku niej ramionami, a bujne, czarne włosy opiekuńczo okryły dziecinną figurkę. Głęboko ciemne oczy wyrażały współczucie i podziw, lecz tlił się w nich równocześnie jakiś błyszczący ogień. Niech ten, kogo to najbardziej dotyczy, dobrze mu się przyjrzy!

# ROZDZIAŁ VIII

## OSTRE STARCIE

Obaj młodzieńcy, upewniwszy się, że powierzone ich opiece damy weszły na podwórze Domu Zakonnicy, stali teraz przed mosiężną tabliczką na drzwiach, która na kształt podstarzałego eleganta z monokłem w oku przeszywała ich wyzywającym i zimnym wzrokiem. Spojrzeli po sobie, rzucili okiem na oświetloną światłem księżycy ulicę i wolnym krokiem odeszli.

– Zostanie pan tu dłużej, panie Drood? – pyta Neville.

– Tym razem nie – pada beztroska odpowiedź. – Jutro wracam do Londynu. Jednak będę tu wpadał aż do letnich wakacji; pożegnajmy wtedy Cloisterham, a także Anglię, jak sądzę na dłuższy czas.

– Wyjeżdża pan za granicę?

– Jadę rozruszać trochę Egipt – brzmi łaskawa odpowiedź.

– Pan studiuje?

– Studiuje? – powtarza Edwin Drood z lekką pogardą. – Nie. Działam, pracuję, zajmuję się inżynierią. W niewielkim spadku po ojcu, który był jednym z dwóch wspólników, odziedziczyłem część kapitału firmy, dla której pracuję do osiągnięcia pełnoletności. Potem przejmę mój skromny udział w przedsiębiorstwie. Jack – poznał go pan przy kolacji – będzie do tej pory moim opiekunem i powiernikiem.

– Od pana Crisparkle’a usłyszałem o innym szczęściu, jakie pana spotkało.

– Co pan ma na myśli, mówiąc o szczęściu?

Neville uczynił tę uwagę z czujną przezornością, a jednocześnie nieśmiało i skrycie, w sposób bardzo typowy dla tego wcześniej już zauważalnego, szczególnego wyrazu twarzy, znamionującego jednocześnie ofiarę i myśliwego. Edwin zareagował z niezbyt uprzejmą gwałtownością. Obaj zatrzymali się i wymienili, jak mogło się wydawać, gniewne spojrzenia.

– Mam nadzieję – mówi Neville – że nie obraziła pana, panie Drood, moja niewinna wzmianka dotycząca pańskiego narzeczeństwa?

– Do licha! – wykrzykuje Edwin, przyspieszając kroku. – Wszyscy o tym mówią w tym rozplotkowanym starym Cloisterham. Dziwne, że nie ma tu jeszcze gospody z szyldem, na którym widniałaby moja podobizna z napisem „Głowa Narzeczonego”. Albo z podobizną Kici.

– To nie moja wina, że pan Crisparkle zupełnie otwarcie wspominał mi o tym – zauważa Neville.

– Tak, to prawda, pan nie jest temu winien – przyznaje Edwin Drood.

– Ale – ciągnie Neville – to moja wina, że wspomniałem o tym panu. A uczyniłem to, zakładając, że bez wątpienia musi pan się tym bardzo szczyścić.

I oto teraz dwie ciekawe cechy ludzkiej natury stały się sekretną, napędzającą sprężyną tego dialogu. Neville’owi Landlessowi na tyle zdążyła się spodobać mała Różyczka, aby zaczął się oburzać, że Edwin Drood (o ileż od niej marniejszy) tak lekceważąco traktuje swoje szczęście. Zaś Edwinowi Droodowi na tyle już zdążyła się spodobać Helena, aby zaczął się oburzać, że jej brat (ileż od niej marniejszy) tak chłodno go traktuje i tak całkowicie lekceważy.

Niemniej wypadało odpowiedzieć na ostatnią uwagę. Tak więc Edwin mówi:

– Nie wiem, panie Neville’u – naśladuje sposób wyrażania się pana Crisparkle’a – czy ludzie mówią o tym, czym najbardziej się szczycą. Nie wiem też, czy podoba się ludziom, aby inni o tym mówili. Ale ja prowadzę pracowity żywot i ośmielam się twierdzić, że to, czym ja się powinienem szczyścić, wiedzą najlepiej nasi nauczyciele.

Teraz już obaj byli wściekli – pan Neville otwarcie, Edwin Drood pod przejrzystym płaszczykiem beztroski, nakazującej mu zanucić jakąś popularną piosenkę, zatrzymywać się czasem i udawać, że podziwia malownicze widoki w świetle księżyca.

– Wydaje mi się, że to niezbyt grzecznie z pańskiej strony – zauważa wreszcie Neville – aby wypowiadać swoje zdanie o kimś obcym, kto niedawno tu przybył, kto pozbawiony jest pańskich przywilejów i stara się nadrobić stracony czas. No cóż, ja jednak z pewnością nie prowadziłem dotąd tak „pracowitego żywota” i moje pojęcie na temat grzeczności ukształtowało się wśród pogan.

– A może najlepsza zasada grzeczności, bez względu na to wśród jakich ludzi się przebywało – odpowiada Edwin Drood – polega na tym, aby nie wtykać nosa w cudze sprawy. Jeżeli da pan tego przykład, obiecuję naśladować.

– Czy pan wie, że pozwala sobie na trochę za dużo? – brzmi gniewna odpowiedź – i że tam, skąd pochodzę, musiałby pan za to odpowiadać?

– A przed kim to, na przykład? – pyta Edwin Drood, zatrzymując się i mierząc go pogardliwym spojrzeniem.

Jednak w tym momencie czyjaś prawa ręka nieoczekiwanie dotyka ramienia Edwina i między nimi staje Jasper. Wygląda na to, że i on przechadzał się wokół Domu Zakonnicy i podążał ich śladem po zaciemnionej stronie ulicy.

– Ned! Ned! Ned! – mówi. – Dość tego. To mi się nie podoba. Dobięły mnie głośne słowa. Pamiętaj, drogi chłopcze, że dzisiaj jesteś tu prawie gospodarzem. Należysz, jeśli tak to można określić, do tego miejsca i w pewnym sensie reprezentujesz je przed tym przybyszem. A pan Neville jest tutaj kimś obcym i powinieneś szanować prawa gościnności. A pan, panie Neville’u – mówi dalej, biorąc lewą ręką pod ramię tego młodego dżentelmena i idąc między nimi, ująwszy ich obu pod ręce – proszę mi wybaczyć, ale pan też powinien poskromić swój temperament. A teraz powiedzcie mi, o co się pokłóciliście? Lecz po co właściwie pytać! Uznajmy, że nic nie było i pytanie jest zbyteczne. Wszyscy trzej dobrze się rozumiemy, prawda?

Po chwili milczącego zmagania się dwóch młodzieńców z pytaniem, który z nich jako

pierwszy powinien się odezwać, Edwin Drood decyduje się i mówi:

– Jeżeli o mnie chodzi, Jack, to ja się nie gniewam.

– Ja też nie – mówi Neville Landless, chociaż nie tak swobodnie i być może nie tak bez trosko. – Gdyby jednak pan Drood znał te wszystkie kłamstwa, które dotychczas mnie otaczały gdy byłem daleko stąd, być może lepiej zrozumiałby, dlaczego tak bardzo ranią mnie ostre słowa.

– Być może – mówi Jasper pojednawczo – lepiej nie oceniać, co należałoby zrozumieć, lepiej nie mówić nic takiego, co mogłoby zabrzmieć jak wymówka lub jakiegokolwiek zastrzeżenie; to byłoby nieszlachetne. Teraz widzi pan, że szczerze i z własnej woli Ned pozbył się gniewu. I szczerze, z własnej nieprzymuszonej woli w panu też już nie ma gniewu?

– Absolutnie nie, panie Jasper. – A jednak nie zabrzmiało to zupełnie szczerze i swobodnie albo – powiedzmy to raz jeszcze – być może nie całkiem bez trosko.

– A zatem skończone! Moja kawalerska „stróżówka”<sup>[20]</sup> znajduje się tylko kilka jardów stąd, ogień płonie na kominku, na stole stoi wino i kieliszki i to za ledwie o rzut kamieniem od Zaułka Kanonika Mniejszego. Ned, ty jutro wyjeżdżasz. Porwiemy więc teraz pana Neville’a na strzemiennego.

– Jestem całym sercem za tym, Jack.

– I ja też, panie Jasper – Neville czuje, że nie może powiedzieć nic innego, ale nie ma specjalnej ochoty tam iść. Ma wrażenie, że stracił panowanie nad sobą; wyczuwa, że chłód Edwina Drooda nie udziela mu się, ale rozpała go do czerwoności.

Pan Jasper, wciąż idąc między nimi i trzymając ich pod ręce, pięknie intonuje refren pieśni biesiadnej i wkrótce wszyscy wchodzi do jego mieszkania. A tu, pierwszą rzeczą, jaka ukazuje się ich oczom, kiedy Jasper dodaje światło lampy do ognia na kominku, jest portret wiszący nad kominkiem. Nie jest to obiekt, który byłby w stanie umocnić zrozumienie między młodymi ludźmi, co więcej, wprost niezręcznie ożywia przedmiot ich nieporozumienia. Toteż obaj, zerkając w tym kierunku, świadomie milczą. Jednak Jasper (który, zdawać by się mogło, nie odgadł właściwej przyczyny ich ostatniej słownej utarczki) otwarcie kieruje nań ich uwagę.

– Poznaję pan, kogo przedstawia ten portret, panie Neville’u? – osłania lampę, rzucając światło na obraz.

– Poznaję, ale nie oddaje on urody oryginału.

– O, jest pan bardzo krytyczny! Namalował go Ned i dał mi w prezencie.

– Przepraszam, panie Drood – tym razem szczerze sumituje się Neville – gdybym wiedział, że stoję przed artystą...

– Ach, to tylko taki żart, szanowny panie, zwykły żart – przerywa Edwin, ziewając prowokująco. – Błahy żarcik na temat Kici! Kiedyś, gdy będzie grzeczna, namaluję jej poważny portret.

Ton leniwej wyższości i lekceważenia, z jakim zostało to wypowiedziane, gdy mówiący te słowa pada na krzesło, zaplatając dłonie z tyłu głowy, szczególnie drażni zdenerwowanego Neville’a. Jasper patrzy z uwagą raz na jednego, raz na drugiego, lekko się uśmiecha i odwraca, by przygotować przy ogniu dzban grzanego wina. Najwyraźniej wymaga to wiele



mieszania i komponowania składników.

– Przypuszczam, panie Neville’u – mówi Edwin, trochę oburzony malującym się na twarzy młodego Landlessa wyrazem niechęci skierowanej przeciwko niemu, wyrazem w równym stopniu widocznym jak portret, ogień na kominku czy lampa – że gdyby pan namalował portret swej ukochanej...

– Nie umiem malować – Neville gwałtownie przerywa Edwinowi.

– To już pański pech, chociaż nie pańska wina. Gdyby pan potrafił, namalowałby pan. Ale gdyby pan potrafił malować, wyobrażam sobie, że przedstawiłby ją pan (nieważne, jaką by była w rzeczywistości) jako Junonę, Minerwę, Dianę i Wenus, wszystkie cztery razem. Nieprawdaż?

– Nie mam żadnej ukochanej i na ten temat nie mogę się wypowiedzieć.

– Gdybym to ja spróbował – oznajmił Edwin z chłopcęcią chętnością – na poważnie namalować portret panny Landless – proszę zwrócić uwagę, na poważnie – to dopiero by pan zobaczył, co by z tego wyszło!

– Zakładam, że najpierw musiałby pan chyba uzyskać zgodę mojej siostry na pozwolenie? A ponieważ nigdy jej pan nie dostanie, obawiam się, że nigdy nie ujrzę tego, do czego jest pan zdolny i muszę z tą stratą się pogodzić.

Jasper odwraca się od ognia, napełnia wielki puchar dla Neville’a, równie wielki puchar dla Edwina, wręcza je każdemu z nich i nalewa sobie ze słowami:

– Proszę, panie Neville’u, wypijmy za zdrowie mego siostrzeńca, Neda. Ponieważ – mówiąc w przenośni – tkwi on już jedną nogą w strzemieniu, wypijmy więc strzemiennego za jego zdrowie. Ned, najdroższy, kochany chłopcze!

Jasper daje przykład, wychylając swój kielich prawie do dna, a Neville wypija swój. Edwin Drood mówi:

– Obu wam bardzo dziękuję – i idzie za ich przykładem.

– Proszę na niego spojrzeć! – wykrzykuje Jasper, wskazując na Edwina gestem podziwu i zarazem czułości, a przy tym żartobliwie. – Proszę spojrzeć, panie Neville’u, jaką on ma przed sobą wspaniałą przyszłość! Cały świat leży u jego stóp. Czeka go życie pełne ciekawej pracy, zmian i wrażeń, życie pełne wygod domowego ogniska i miłości! Proszę tylko na niego spojrzeć!

Twarz Edwina Drooda szybko i wyraźnie czerwienieje pod wpływem wina; podobnie twarz Neville’a Landlessa. Edwin ciągle siedzi oparty na krześle, podtrzymując głowę na splecionych z tyłu dłoniach.

– Proszę spojrzeć, jak go to wszystko mało obchodzi! – ciągnie Jasper żartobliwie. – Nie chce mu się zerwać złotego jabłka, które dojrzałe czeka na niego na drzewie. A jednak, panie Neville’u, proszę rozważyć kontrast. Pan i ja nie mamy w perspektywie ciekawej pracy, nie mamy widoków na jakąś odmianę i nowe przeżycia, na wygod domowego ogniska i na miłość. Pan i ja nie mamy żadnych perspektyw (o ile szczęście nie dopisze panu bardziej niż mnie, co jest bardzo możliwe), możemy jedynie liczyć na nużącą, monotonną harówkę w tym nudnym miejscu.

– Na mą duszę, Jack – wtrąca spokojnie Edwin – czuję, że powinienem się tłumaczyć, iż

wiedzie mi się tak dobrze, jak to przedstawiasz. Ale ty wiesz to, co ja, Jack, i poza tym nie wszystko jest tak różowe, jak się na pozór wydaje. Mam rację, Kiciu? – To pytanie kieruje do portretu i pstryka palcami. – Musimy się jeszcze dopasować, prawda Kiciu? Ty wiesz, Jack, co mam przez to na myśli.

Plącze mu się język i mówi niezbyt wyraźnie. Jasper, spokojny i zupełnie opanowany, spogląda na Neville'a, jakby wyczekując odpowiedzi lub komentarza. Kiedy Neville się odzywa, język też mu się plącze i nie ma wyraźnej wymowy.

– Może dobrze by zrobiło panu Droodowi, gdyby go spotkały jakieś trudności – stwierdza wyzywająco.

– Błagam – mówi Edwin, zwracając oczy w jego stronę – błagam, niech mi pan powie, dlaczego to może byłoby dobrze dla pana Drooda, gdyby spotkały go jakieś trudności?

– No właśnie – przyłącza się Jasper z wyrazem zaciekawienia na twarzy – chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego to?

– Ponieważ te trudności mogłyby sprawić, że doceniłby – odpowiada Neville – swój szczęśliwy los, na który niekoniecznie sobie zasłużył.

Pan Jasper rzuca siostrzeńcowi szybkie spojrzenie, oczekując odpowiedzi.

– A **pana** spotkały już jakieś trudności, jeśli wolno spytać? – mówi Drood, prostując się.

W oczekiwaniu odpowiedzi pan Jasper tym razem rzuca szybkie spojrzenie na Neville'a.

– Tak, spotkały.

– I czego to one **pana** nauczyły?

Pan Jasper, przez cały czas trwania dialogu aż do jego końca, wodzi oczami od jednego do drugiego młodzieńca.

– Już panu o tym dzisiaj mówiłem.

– Nie przypominam sobie.

– Twierdę, że mówiłem. Powiedziałem, że pozwala pan sobie na zbyt wiele.

– Chyba dodał pan coś jeszcze, jeśli dobrze sobie przypominam, prawda?

– Tak, dorzuciłem coś jeszcze.

– Proszę powtórzyć.

– Powiedziałem, że tam skąd pochodzę, musiałby pan za to odpowiadać.

– Tylko tam? – Wykrzykuje Edwin Drood z szyderczym śmiechem. – Sądzę, że to daleko stąd, prawda? Tak, rozumiem! Ta część świata znajduje się w bezpiecznej odległości.

– A więc posłuchaj pan – mówi Neville, unosząc się z wściekłością. – Powiedzmy, że wszędzie! Pańska próżność jest nie do zniesienia, pańska arogancja nie do wytrzymania, a sposób wyrażania taki, jakby pan był jakąś rzadką i cenną, zesłaną przez los, nagrodą, a nie samochwałem. Tymczasem jest pan zwykłym młodym człowiekiem i zwykłym chwalipiętą.

– Fiu, fiu – mówi Edwin Drood, nie mniej wściekły, ale bardziej opanowany – a skąd pan to wszystko wie? Może pan się zna na przeciętnych czarnych młodych ludziach, a może na zwykłych czarnych samochwałach, ponieważ zetknął się pan z nimi osobiście (i niewątpliwie przez obcowanie z nimi poznał ich pan doskonale), ale nie wolno panu osądzać bia-

łych.

Ta obraźliwa aluzja do jego ciemnej cery, przyprawia Neville'a o taką furję, że wylewa resztki wina na Edwina Drooda i zamierza się, aby rzucić weń pucharem, ale jego ręka w samą porę zostaje powstrzymana przez Jaspera.

– Ned, drogi chłopcze – woła głośno Jasper. – Błagam cię, rozkazuję, uspokój się! – Następuje szarpanina, rozlega się brzęk tłuczonego szkła i hałas wywracanych krzeseł. – Panie Neville'u, niech się pan wstydzi! Niech mi pan odda ten kieliszek... Puść go pan! Niech mi pan to odda!

Ale Neville odtrąca go i na moment nieruchomieje rozwścieczony, z kielichem w uniesionej ręce. Potem roztrzaskuje go o ruszt kominka z taką siłą, że wokół sypie się deszcz odłamków i opuszcza dom.

Kiedy styka się z nocnym powietrzem, nic wokół niego nie jest już ciche i spokojne; nic nie wydaje się już takie, jakie jest w istocie; wie jedynie, że stoi z odkrytą głową w środku jakiegoś krwawego zamętu, czekając, aż zostanie zaatakowany, spodziewając się walki na śmierć i życie.

Jednak nic się nie dzieje i księżyc patrzy na niego tak, jakby po tym wybuchu gniewu był już martwy. Trzymając się za pulsującą głowę i przyciskając dłoń do piersi, w której szaleńczo wali serce, odchodzi, zataczając się. Potem na wpół świadomie dociera do niego, że został od czegoś odcięty, że zamknięto się przed nim jak przed jakimś groźnym zwierzęciem i zadaje sobie pytanie, co teraz powinien zrobić.

Pod wpływem wspomnienia siostry oraz uświadomienia sobie, co zawdzięcza temu dobremu człowiekowi, który właśnie tego dnia zdobył jego zaufanie i za niego poręczył, a także pod wpływem padającego na katedrę i groby światła księżyca, wzbierają w nim jak rzeka jakieś szalone i dzikie myśli. Wchodzi jednak w Zaułek Kanonika Mniejszego i cicho puka do drzwi.

Pan Crisparkle ma zwyczaj udawania się na spoczynek jako ostatni, wieczorami cicho ćwicząc na pianinie i nucąc ulubione utwory. Południowy wiatr, swobodnie krążący spokojną nocą po Zaułku Kanonika Mniejszego, nie bywa w takich razach bardziej wyciszony aniżeli pan Crisparkle, usiłujący nie zakłócić snu porcelanowej pasterki.

Pan Crisparkle natychmiast odpowiada na pukanie. Kiedy otwiera drzwi ze świecą w ręku, jego pogodna twarz się chmurzy, przybierając wyraz zdumienia i rozczarowania.

– Panie Neville'u! W jakim pan jest stanie? Gdzie pan był?

– Byłem u pana Jaspera, proszę pana. Z jego siostrzeńcem.

– Niech pan wejdzie.

Kanonik mniejszy silną ręką chwyta go pod ramię (w ściśle naukowy sposób, godny jego porannych treningów), prowadzi do niewielkiej biblioteki i zamyka drzwi.

– Źle zacząłem, proszę pana. Bardzo źle.

– To prawda. Nie jest pan trzeźwy, panie Neville'u.

– Obawiam się, że nie, proszę pana, chociaż mogę panu oświadczyć, że nie wypłem dużo, a to, co wypłem, podziałało na mnie w jakiś dziwny i nagły sposób.

– Panie Neville'u, panie Neville'u – mówi kanonik mniejszy i potrząsa głową ze smut-

nym uśmiechem. – Przedtem nie raz już to słyszałem.

– Myślę, że... Mój umysł jest trochę przyćmiony, ale myślę, że... to również dotyczy siostrzeńca pana Jaspera, proszę pana.

– Bardzo możliwe – brzmi sucha odpowiedź.

– Pokłóciliśmy się, proszę pana. Okropnie mnie obraził. Wzburzył we mnie tę tygrysią krew, o której dzisiaj panu mówiłem.

– Panie Neville'u – mówi spokojnie, lecz stanowczo kanonik mniejszy – niech pan nie zwraca się do mnie, zaciskając pięści. Proszę rozluźnić dłonie.

– On mnie sprowokował – ciągnie młodzieniec, natychmiast spełniając prośbę. – Sprowokował do tego stopnia, że nie wytrzymałem. Nie wiem, czy od początku było to zamierzone, ale udało mu się. Jestem jednak pewien, że pod koniec prowokował mnie celowo. Krótko mówiąc, proszę pana – wybucha, nie mogąc się powstrzymać – doprowadził mnie do takiej furii, że gdybym mógł, porąbałbym go na kawałki i rzeczywiście, próbowałem to zrobić.

– Znowu zacisnął pan pięści – spokojnie komentuje pan Crisparkle.

– Bardzo pana przepraszam.

– Wie pan, gdzie jest pański pokój, pokazałem go panu przed kolacją, ale jeszcze raz tam pana zaprowadzę. Proszę mi podać ramię. Ale cicho, wszyscy w domu już śpią.

Czyniąc ze swojej ręki tę samą co poprzednio, wypracowaną podpórkę i wzmacniając ją siłą ramienia tak fachowo jak policyjny ekspert, ze spokojem niedostępnym nowicjuszom, pan Crisparkle prowadzi swego podopiecznego do miłego i schludnego starego pokoju, specjalnie dla niego przygotowanego. Znalazłszy się w pokoju, młodzieniec pada na krzesło, kładzie ręce na stole i opiera na nich głowę w pozie pożałowania godnego winowajcy.

Delikatny z natury kanonik mniejszy zamierza zostawić go w pokoju bez słowa pożegnania lub dalszej reprimendy. Jednak stojąc w drzwiach, po głębszym zastanowieniu się i rozejrzeniu dookoła, raz jeszcze zwraca uwagę na tę żalostną postać, wchodzi do pokoju, dotyka go łagodnie i mówi:

– Dobranoc!

Jedyną odpowiedzią jest szloch. Wprawdzie mogły go spotkać gorsze rzeczy, ale być może mogło go też spotkać coś lepszego...

Jego uwagę zwraca kolejne ciche pukanie do drzwi i natychmiast schodzi na dół. Otwiera drzwi panu Jasperowi, trzymającemu w ręce kapelusz ucznia kanonika mniejszego.

– Zrobił nam okropną scenę – mówi cicho Jasper.

– Tak źle się zachował?

– Wręcz morderczo.

Pan Crisparkle protestuje:

– Nie, nie, nie. Proszę nie używać tak mocnych słów.

– Omal nie położył trupem mego drogiego chłopca i to u moich stóp. A to, że tego nie zrobił, bynajmniej nie stało się na skutek jakiegoś błędu z jego strony. To ja, dzięki Bogu, jestem szybki i silny; gdyby nie to, rozerwałby go na kawałki przed moim własnym komin-

kiem...

Ten zwrot jest mu znajomy. „Ach”, myśli pan Crisparkle, „przecież to jego własne słowa!”

– Po tym, co dzisiaj widziałem i słyszałem – dodaje Jasper z wielką powagą – nigdy nie zaznam spokoju. Może dojdzie do tragedii, gdy tych dwóch się spotka i nie będzie nikogo, kto ich powstrzyma. W jego ciemnej krwi jest coś z tygrysa.

„Ach!”, myśli Crisparkle, „on sam też tak mówił!”

– A pan, mój drogi – ciągnie Jasper, biorąc go za rękę – podjął się niebezpiecznego zadania.

– Niech pan się o mnie nie martwi, Jasper – odpowiada mu Crisparkle z uśmiechem – bo ja o siebie się nie martwię.

– Ja też nie martwię się o siebie – odpowiada Jasper, akcentując zaimek – ponieważ nie jestem, i nie sądzę, abym miał się stać, obiektem jego wrogości. Pan jednak może się nim stać, a mój drogi chłopiec już się stał. Dobranoc!

Pan Crisparkle wchodzi do domu z kapeluszem, który tak łatwo, prawie niepostrzeżenie, zyskał sobie prawo zawieszania na wieszaku w jego holu; wieszka go i w zamyśleniu układa się do snu.

## ROZDZIAŁ IX

# PTASZKI W KRZAKACH

Róża, o ile było jej wiadomo, na całym świecie nie miała żadnych krewnych; od siódmego roku życia nie знаła żadnego innego domu prócz Domu Zakonnicy i innej matki prócz panny Twinkleton. W wypowiedziach Róży jej matka jawiła się jako śliczne, małe stworzenie podobne do niej samej (wydawało jej się przy tym, że ta matka nie była od niej dużo starsza), które po utonięciu przyniósł do domu ojciec. Ten tragiczny wypadek wydarzył się podczas towarzyskiego przyjęcia. Każda fałdka i kolor jej ładnej letniej sukienki, a nawet długie mokre włosy z przyklejonymi płatkami pogniecionych kwiatów oraz martwe młode ciało leżące na łóżku, tak bezmiernie smutne w swej urodzie, w pamięć Róży wryły się na zawsze. Tak samo jak i dzika, gwałtowna rozpacz, a potem przygnębiający smutek jej biednego, młodego ojca, który w pierwszą rocznicę tego strasznego dnia zmarł ze złamanym sercem.

Narzeczeństwo Róży wynikało z próby ulżenia ojcu w ciągu tego roku udreki – podjął się tej próby jego serdeczny przyjaciel i dawny kolega szkolny, Drood, także wcześniej owdowiał. Lecz on również udał się w milczącą podróż wszystkich ziemskich pielgrzymów, w której wszyscy się łączą – jedni wcześniej, inni później. I tak oto ta młoda para znalazła się w obecnej sytuacji.

Nigdy, odkąd tylko mała sierotka przybyła do Cloisterham, nie rozwiła się otaczająca ją atmosfera litości. Nabierała jaśniejszych odcieni w miarę dorastania dziewczynki, która z czasem stawała się coraz weselsza i coraz piękniejsza; aura ta nieraz nabierała nawet odcieni złocistych, ale zawsze spowijała ją swym łagodnym światłem. Wszyscy starali się ją pocieszać i rozpieszczać; dlatego też z początku traktowano ją tak, jakby była znacznie młodsza i rozpieszczano ją nieustannie nawet wtedy, gdy przestała już być dzieckiem. Która z dziewcząt zostanie jej ulubienicą; która wyprzedzi inne w obdarowywaniu rozmaitymi małymi upominkami lub która wyświadczy jej jakąś drobną przysługę; która zabierze do swego domu na wakacje; która najczęściej będzie do niej pisać, kiedy się rozstaną, i która z nich będzie się cieszyć najbardziej, kiedy się znowu spotkają... Ale nawet to niewinne współzawodnictwo miewało swoje ciemne strony w Domu Zakonnicy. Oby jednak biedne siostry zakonne nie miewały w owych czasach większych problemów ukrywanych pod welonami i różańcami!

Tak więc Róża wyrosła na miłe, płoche, uparte i ujmujące stworzenie, rozpuszczone w tym sensie, że spodziewała się zewsząd życzliwości, ale nie w tym znaczeniu, żeby odpłacać obojętnością. Jej natura kryła w sobie niewyczerpane źródło uczuć i choć jego iskrzące się wody przez całe lata ożywiały i rozjaśniały Dom Zakonnicy, nikt nigdy nie poruszył ich

głębi. Co zaś mogłoby się wydarzyć, gdyby do tego doszło? Co mogłoby się posypać na tę beztroską główkę i lekkie serce? To się miało dopiero okazać.

W jaki sposób wiadomość o nocnej kłótni między młodymi ludźmi, podczas której pan Neville zaatakował pana Edwina Drooda, dostała się do zakładu panny Twinkleton przed śniadaniem, tego określić nie sposób. Może przyniosły ją ptaki, może przywiał wiatr przez otwarte okna, może piekarz wmiesił ją w chleb albo mleczarz dodał do rozcieńczonego już mleka, a może pokojówka, otrzepując dywaniki o słupy bramy, wniosła ją wraz z miejskim powietrzem. Jedno jest pewne: wieść o tym przeniknęła wszystkie ściany starego domu, zanim panna Twinkleton zeszła na dół, a także i to, że panna Twinkleton usłyszała ją od pani Tisher podczas ubierania się lub wówczas (jak sama by to wyraziła, rozmawiając z rodzicami lub opiekunami interesującymi się mitologią), gdy składała ofiarę Gracjom.

Brat panny Landless cisnął butelką w pana Edwina Drooda.

Brat panny Landless rzucił nożem w Edwina Drooda.

Nóż kojarzył się z widelcem, więc brat panny Landless rzucił widelcem w pana Edwina Drooda.

I tak, jeśli w precedensowej historii Piotrusia Piszczalki, który rzekomo podpieprzył garniec<sup>[21]</sup> marynowanego pieprzu<sup>[22]</sup>, konieczne było udowodnienie, że w ogóle istniał ten garniec marynowanego pieprzu, podpieprzony rzekomo przez Piotrusia, to czy również i tutaj, ze względów psychologicznych, nie było konieczne dowieść, dlaczego to brat panny Landless rzucił w pana Edwina Drooda butelką, nożem lub widelcem – albo butelką, nożem **oraz** widelcem – gdyż kucharka dawała do zrozumienia, iż tymi wszystkimi trzema przedmiotami rzucił jednocześnie?

A więc to było tak. Brat panny Landless powiedział, że podziwia pannę Bud. Pan Edwin Drood powiedział bratu panny Landless, że podziwianie panny Bud to nie jego interes. Wówczas brat panny Landless „zerwał się” (według dokładnej informacji kucharki), chwycił butelkę, nóż, widelec i karafkę (teraz bez żadnego uprzedzenia również karafka zaczęła swobodnie krążyć we wszystkich głowach) i cisnął tym wszystkim w pana Edwina Drooda.

Kiedy rozeszły się te plotki, biedna mała Róża zatkała palcami uszy i schowała się w kąciku, błagając, by nic więcej jej nie mówiono. Ale panna Landless, poprosiwszy pannę Twinkleton, żeby pozwoliła jej pójść i porozmawiać z bratem – wyraźnie przy tym dając do zrozumienia, że bez względu na wszystko tak czy owak pójdzie – zdecydowanym krokiem ruszyła do pana Crisparkle’a, by bezpośrednio od niego uzyskać dokładne wiadomości.

Po powrocie (zamknąwszy się wpierw sam na sam z panną Twinkleton, aby wszelkie niepożądane elementy jej opowieści zostały precedzone przez ten dyskretny filtr), o tym, co się wydarzyło, opowiedziała tylko Róży, opisując z wypiekami na twarzy, w jaki sposób jej brat został sprowokowany. Skróciła to jednak do ostatniej obelgi będącej kulminacją „pewnych innych słów, jakie padły między nimi” i – chcąc oszczędzić swą nową przyjaciółkę – prześlizgnęła się gładko nad faktem, że te inne słowa zrodziły się z tego, iż jej narzeczony do wszystkiego odnosił się z lekceważeniem. Zatem bezpośrednio i z siostrzaną powagą przynosi Róży prośbę od brata, aby mu przebaczyła. Tymi też słowami zakończyła te-



mat.

Zadanie oficjalnego uspokojenia umysłów w Domu Zakonnicy przypadło w udziale panie Twinkleton. Zatem, gdy dama ta wkroczyła do czegoś, co plebejusze nazwaliby klasą szkolną, a co w używanym przez kierowniczkę Domu Zakonnicy języku patrycjuszki było eufemistycznie, by nie rzecz określenie, określane jako „apartament przeznaczony do studiowania”, i kiedy oświadczyła sędziowskim tonem: „Moje panienki”, wszystkie wychowanki zerwały się z miejsc. W tym momencie pani Tisher zajęła miejsce za swoją szefową – pierwszym pierwszą historyczną przyjaciółką królowej Elżbiety w forcie Tilbury<sup>[23]</sup>.

– Pogłoska, drogie panienki, została już przedstawiona przez barda znaną z rzeki Avon – kontynuowała panna Twinkleton – i zbyteczne dodawać, że był nim nieśmiertelny Szekspir, zwany też łabędziem swej rodzinnej rzeki, prawdopodobnie w nawiązaniu do starożytnego wierzenia, że ten ptak o wdzięcznym upierzeniu (proszę, aby panna Jennings stała prosto) śpiewał słodko w godzinę śmierci, na co jednak brak potwierdzenia uczonych ornitologów... Tak więc pogłoska, panienki, została już przedstawiona przez barda... hm!

*który opisał*

*Tego sławnego Żyda*

jako kogoś całego wymalowanego w języku<sup>[24]</sup>. Pogłoska w Cloisterham (panna Ferdinand, proszę uczynić mi zaszczyt i uważać) nie różni się od pogłoski naszkicowanej gdzie indziej przez wielkiego artystę. Drobną sprzeczką między dwoma kawalerami, która zdarzyła się minionego wieczoru o sto mil od tych spokojnych murów (panna Ferdinand najwyraźniej jest niepoprawna, a zatem niech mi uczyni tę uprzejmość i przepisze dziś wieczorem w języku oryginału cztery pierwsze baśnie naszego żywoźnego sąsiada, monsieur La Fontaine'a), została wielce wyolbrzymiona w przekazie o charakterze pogłoski. Po ochłonięciu z pierwszego poruszenia i niepokoju, zrodzonych z sympatii dla naszej drogiej młodej przyjaciółki, nie do końca związanej z jednym z gladiatorów na tej bezkrwawej arenie (niewłaściwość zachowania panny Reynolds, która najwyraźniej kłuje się szpilką od wstążki, na tyle nie przystoi młodej panience, że pominię ją milczeniem), porzuciłyśmy naszą panięską dumę i poniżyłyśmy się do przedyskutowania tego nieodpowiedniego i niewłaściwego tematu. Poważne śledztwo upewniło nas w przekonaniu, że była to tylko jedna z tych „nicości” wspomnianych przez poetę (którego nazwisko i datę urodzenia panna Giggles poda nam w ciągu najbliższej pół godziny), porzucimy więc teraz ten temat i skupimy uwagę na innych, wdzięczniejszych zadaniach dnia dzisiejszego...

Jednak przez cały dzień temat okazał się niezmiernie żywotny i panna Ferdinand popadła w nowe tarapaty, kiedy przy kolacji ukradkiem przykleiła sobie papierowe wąsy i udawała, że mierzy butelką z wodą w pannę Giggles, która we własnej obronie zasłoniła się łyżką.

Róża wiele rozmyślała o tej nieszczęsnej kłótni i dręczyło ją przykre uczucie, że została w nią wciągnięta jako przyczyna lub skutek, czy może jeszcze coś innego, z uwagi na swą dwuznaczną pozycję związaną ze stanem narzeczeńskim. Przebywając z narzeczoną, nigdy

nie mogła się pozbyć skrępowania i niepokoju i teraz było mało prawdopodobne, żeby czuła się swobodnie, gdy byli oddzielnie. Dzisiaj również zdana była tylko na siebie i pozbawiona pociechy szczerzej, swobodnej rozmowy ze swoją nową przyjaciółką, ponieważ w kłótni uczestniczył brat Heleny, a Helena najwyraźniej unikała tego tematu, ponieważ był dla niej trudny i delikatny. I właśnie w tym krytycznym momencie zaanonsowano przybycie opiekuna Róży.

Pan Grewgious został odpowiednio wybrany do tego zadania jako człowiek nieskazitelnie prawy, lecz z pewnością nie dla innych, widocznych gołym okiem cech charakteru. Był tak oschły, iż wydawało się, że gdyby go wrzucono do młyna, natychmiast zostałby zmielony na suchy proszek. Miał rzadkie matowe włosy, kolorem i gęstością przypominające jakąś mamą, wyleniałą futrzaną pelerynkę; były one tak bardzo niepodobne do ludzkich włosów, iż można by mniemać, że to peruka, gdyby było prawdopodobne, że ktokolwiek mógł coś podobnego założyć na głowę. Na jego twarzy zwykle malowało się niewiele uczuć. Rysy były wyraźne i głębokie, jakby ktoś wyrzeźbił je z trudem, a na czole widniały zmarszczki sprawiające wrażenie, jakby natura zamierzała im nadać wyraz wrażliwości lub wyrafinowania, ale zniecierpliwiona odrzuciła dłuto, w końcu oświadczył: „Już mi się nie chce dopracowywać tego człowieka, niechże zostanie taki, jaki jest”.

Mimo zbyt długiej szyi z jednego końca i zbyt wielkich stóp z drugiego; mimo niezręcznego i niezdecydowanego zachowania, powłóczenia nogami i czegoś, co nazywają krótkowzrocznością – z tego to zapewne powodu nie dostrzegając, że często pokazuje światu białe bawełniane skarpetki kontrastujące z czarnym garniturem – pan Grewgious na ogół posiadał jakąś dziwną zdolność wywierania dobrego wrażenia.

Podopieczna zastała pana Grewgiousa wielce zbitego z tropu przebywaniem w towarzystwie panny Twinkleton w jej świątyni własnego pokoju. Zdawało się, że w takim otoczeniu ten nieszczęsny dżentelmen nie mógł się pozbyć niejasnego uczucia, że jest w jakiś sposób poddawany egzaminowi i że najprawdopodobniej go nie zda.

– Jak się miewasz, moja droga? Cieszę się, że cię widzę. Moja droga, widzę, że się poprawiłaś. Pozwól, moja droga, że podsunę ci krzesło.

Panna Twinkleton uniosła się trochę znad biurka, zwracając się słodko i ogólnikowo, jakby mówiła do całego wszechświata:

– Czy pozwoli pan, że się oddalę?

– W żadnym wypadku, szanowna pani. Błagam, proszę się nie ruszać.

– Muszę prosić o pozwolenie **ruszania** się – odparła panna Twinkleton, powtarzając to słowo z wdziękiem – ale nie odejdę stąd, skoro pan tak nalega. Czy będę przeszkadzać, jeżeli przesunę biurko do narożnego okna?

– Ależ, proszę pani! Przeszkadzać?!

– Jest pan bardzo miły... Rózo, moja droga, jestem pewna, że nie będziesz się czuła skrępowana.

Pan Grewgious, zbliżając się z Różą do kominka, powtórzył:

– Jak się miewasz, moja droga? Cieszę się, że cię widzę, moja droga.

I zaczekawszy aż usiądzie, sam też usiadł.

– Moje odwiedziny tutaj – ciągnął dalej pan Grewgius – to jakby przebywanie wśród aniołów... Nie żebym siebie porównywał do anioła.

– Oczywiście, że nie, proszę pana – zauważyła Róża.

– W żadnym wypadku – potwierdził pan Grewgius. – Ja jedynie mam na myśli te moje tak rzadkie odwiedziny. Jak bardzo dobrze wiemy, aniołowie są tam, na górze.

Panna Twinkleton odwróciła się, wlepiając w niego wzrok.

– Nawiązuję tu, moja droga, do innych młodych panienek – wyjaśnił pan Grewgius, położywszy swą rękę na rękę Róży, gdyż przeniknęło go właśnie przerażające podejrzenie, iż mogło się wydawać, że pozwolił sobie na straszną poufałość, zwracając się do panny Twinkleton „moja droga”.

Panna Twinkleton powróciła do pisania.

Pan Grewgius, czując, że nie udało mu się zacząć tak zręcznie, jak to sobie założył, przesunął dłonią od tyłu głowy do czoła, jakby po zanurkowaniu wychodził z wody i wyciskał ją sobie z włosów. Gest ten był zupełnie zbyteczny, ale stał się jego nawykiem. Wyjął z kieszeni płaszcza notes, a z kieszeni kamizelki ogryzek czarnego ołówka.

– Przygotowałem... – mówił, przewracając kartki – przygotowałem coś w rodzaju wiodącego memorandum. Zwykle robię to, ponieważ nie mam żadnego talentu do prowadzenia rozmowy. I dlatego za twoim zezwoleniem będę tej pomocy używać. „Zdrowa i szczęśliwa”. No właśnie. Czy jesteś zdrowa i szczęśliwa, moja droga? Wygląda na to, że tak.

– Tak, istotnie, proszę pana – odpowiedziała Róża.

– Za co – powiedział pan Grewgius, skłaniając głowę w stronę narożnego okna – należą się najgorętsze wyrazy uznania, a osobiście jestem też wdzięczny za matczyną dobroć i opiekę tej damie, którą mam zaszczyt widzieć przed sobą.

Treść tego punktu, tak niezręcznie wyrażona przez pana Grewgiusa, nigdy nie dotarła do miejsca przeznaczenia; panna Twinkleton czuła bowiem, że grzeczność wymaga całkowitego wyłączenia się z rozmowy i ogryzając koniec ołówka, spoglądała w sufit, jakby spodziewając się, że któraś z Niebiańskiej Dziesiątki<sup>[25]</sup> ześle jej natchnienie.

Pan Grewgius znowu pogładził gładką głowę, ponownie zerknął do notesu i skreślił punkt „zdrowa i szczęśliwa”, uznając go za załatwiony.

– „Funty, szylingi i pensy” to mój następny punkt. Nudny temat dla młodej damy, ale nie mniej ważny. Życie to funty, szylingi i pensy. A śmierć to... – Nagłe wspomnienie śmierci jej rodziców powstrzymało go i teraz po namyśle dodał formę przeczącą: – Śmierć to **nie** są funty, szylingi i pensy.

Jego głos był równie twardy i oschły jak on sam i Wyobraźnia mogłaby zmielić go całego na suchy pył. Jednak, posługując się bardzo ograniczonymi środkami wyrazu, które pozostawały w jego dyspozycji, sprawiał wrażenie kogoś życzliwego. Gdyby Naturze udało się go dokończyć, to z pewnością na jego twarzy w tym momencie malowałyby się wyraz życzliwości. Ale cóż mógł uczynić ten biedak, gdy zmarszczki na jego czole nie układały się we właściwy sposób, a jego twarz umiała jedynie wykonywać pewne określone zadanie, ale nie potrafiła grać!

– „Funty, szylingi i pensy...” Czy zawsze wystarcza ci kieszonkowego na drobne potrze-

by, moja droga?

Róża niczego nie potrzebuje, dlatego wystarcza.

– Masz jakieś długi?

Różę rozśmieszyła myśl o długach. Przy jej braku doświadczenia zdawało się to jakimś śmiesznym kaprysem wyobraźni. Pan Grewgious wyteńczył krótki wzrok, aby sprawdzić, czy Róża jest tego pewna.

– Aha! – skomentował, zerkając na pannę Twinkleton i skreślając pozycję „funty, szylingi i pensy”. – Mówiłem już, że dostałem się między anioły. I to prawda!

Róża, czując, jaki będzie następny punkt memorandum, zaczerwieniła się i zanim zdążyła ją ująć za rękę, niepewnie zaczęła wygładzać zmarszczki na sukience.

– „Małżeństwo”. Hm! – Pan Grewgious przesunął ręką po oczach, nosie, a nawet po podbródku, po czym przysunął bliżej krzesło i zaczął mówić tonem bardziej poufąłym: – Teraz poruszam sprawę będącą bezpośrednią przyczyną niepokojenia cię obecną wizytą. W przeciwnym razie, będąc z grubsza ciosanym człowiekiem, nie narzucałbym się swoją osobą. Nie należę do ludzi, którzy chcieliby wkraczać w sferę, do której kompletnie nie pasują. Czuję się tutaj jak słoń w składzie porcelany, i to jak słoń z niedowładem, bawiący się w młodzieżowym kotylionie.

Jego niezdarność tak pasowała do tego porównania, że Róża zaczęła się serdecznie śmiać.

– Tak właśnie to widzę – ciągnął pan Grewgious z cudownym spokojem.

– Właśnie tak. Wróćmy do mego memorandum. Pan Edwin przychodził tutaj tak często, jak to zostało uzgodnione. Wspomniałaś przecież o tym w listach kwartalnych do mnie. I ty go lubisz, a on lubi ciebie.

– Tak, ja go bardzo **lubię**, proszę pana – przyznała Róża.

– Właśnie tak powiedziałem, moja droga – odparł jej opiekun. Niepewne podkreślenie tego słowa było dla jego ucha zbyt finezyjne. – Dobrze. I korespondujecie ze sobą.

– Tak, pisujemy do siebie – powiedziała Róża, chmurząc się na wspomnienie listowych sprzeczek.

– W tym też znaczeniu rozumiem słowo „korespondujecie”, moja droga – stwierdził pan Grewgious. Dobrze. Wszystko idzie dobrze. Czas robi swoje i podczas najbliższych Świąt Bożego Narodzenia trzeba będzie – spełniając formalny wymóg – wystosować do tej wzo-rowej damy siedzącej przy narożnym oknie, do damy, której tyle zawdzięczamy, zawiadomienie o twoim odejściu w następnym półroczu. Niewątpliwie twoje stosunki z nią wykraczają daleko poza sferę interesów; jednak pozostaje w nich przecież pewien oficjalny element. A interesy to zawsze tylko interesy. Osobliwie jestem z grubsza ciosanym człowiekiem – ciągnął pan Grewgious, jakby teraz nagle wpadło mu to do głowy – i nie przywykłem do wydawania kogokolwiek za mąż. Gdyby z tych dwóch powodów jakiś kompetentny pełnomocnik mógł doprowadzić **ciebie** do zamążpójścia, byłbym z tego niezmiernie rad.

Róża, wbijając wzrok w podłogę, dała do zrozumienia, że gdyby zaszła tego rodzaju konieczność, znalazłby się ktoś taki.

– Z pewnością, z pewnością – zgodził się pan Grewgious. – Na przykład ten dżentel-

men, który uczy tutaj tańca... On zrobiłby to należycie i z wdziękiem. Wkroczyłby i potem by się wycofał w sposób satysfakcjonujący uczucia duchownego celebrującego uroczystość, a także twoje, narzeczonego i wszystkich innych zainteresowanych. Ja natomiast jestem... Ja w szczególny sposób jestem z grubsza ciosanym człowiekiem – powtórzył pan Grewgious. I jakby zdecydowany, że musi to w końcu z siebie wydusić, dodał: – Mógłbym jedynie wszystko popsuć.

Róża siedziała sztywno w milczeniu. Być może wyobraźnią nie dotarła jeszcze do ślubnej ceremonii, a jedynie wolno zmierzała w tym kierunku.

– Memorandum, „testament”. Teraz, moja droga – powiedział pan Grewgious, zaglądając do notesu, skreślając ołówkiem „małżeństwo” i wyjmując z kieszeni jakiś papier – chociaż kiedyś już zapoznałem cię z treścią testamentu twego ojca, myślę, że należałoby teraz złożyć na twoje ręce jego uwierzytelnioną kopię. I sądzę, że choć Edwin również zna jego treść, byłoby właściwe złożyć uwierzytelnioną kopię także na ręce pana Jaspera...

– A nie na jego ręce? – zapytała Róża, rzucając mu szybkie spojrzenie. – Czy nie może jej dostać Eddy?

– Ależ, moja droga, jeśli takie jest twoje życzenie... Jednak jeśli mówiłem o panu Jasperze, to tylko dlatego, że jest jego powiernikiem.

– Tak, mam takie szczególne życzenie, jeśli pan pozwoli – rzuciła poważnie Róża. – Nie chcę, żeby pan Jasper w jakikolwiek sposób pośredniczył między nami.

– Przypuszczam, że to naturalne – odpowiedział pan Grewgious – iż twój młody mąż winien być dla ciebie wszystkim. Tak, zwróć uwagę na to, że powiedziałem „przypuszczam”. W istocie zachowuję się w sposób szczególnie nienaturalny, ale po prostu brak mi doświadczenia.

Róża spojrzała na niego z niejakim zdziwieniem.

– Chcę przez to powiedzieć – wyjaśnił – że zawsze był mi obcy młodzieżowy sposób zachowania się. Byłem jedynym dzieckiem starszych rodziców i nieomal wierzę w to, że urodziłem się stary. Nie uczynię tu żadnej aluzji do twego nazwiska, które i tak wkrótce zmienisz, kiedy powiem, że gdy inni na ogół przychodzą na ten świat niczym rozkwitające pączki, to ja pojawiłem się na nim suchy jak wiór. Byłem bardzo suchym wiórem, gdy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jaki właściwie jestem. Co do tej drugiej uwierzytelnionej kopii, to twoje życzenie zostanie spełnione. A co do twego spadku, to myślę, że wiesz o wszystkim. Jest to roczna renta w wysokości dwustu pięćdziesięciu funtów. Oszczędności z tej renty i inne drobne kwoty na twoim koncie sprawiają, że wejdiesz w posiadanie okrągłej sumki raczej przekraczającej tysiąc siedemset funtów. Jestem upoważniony do wypłacenia z tego funduszu zaliczki na koszty przygotowań do ślubu. Teraz już wszystko powiedziałem.

– Proszę mi jeszcze odpowiedzieć – zapytała Róża, wzięwszy do rąk papier, marszcząc brwi, ale nie czytając – czy mam rację w tym, o co zamierzam teraz zapytać. To, o czym mi pan mówi, rozumiem lepiej od wszystkich prawniczych elaboratów. Czy to prawda, że mój biedny tatuś i ojciec Eddy’ego, jako najdrożsi sobie, najlepsi i najwierniejsi przyjaciele, zawarli między sobą porozumienie, pragnąc, abyśmy i my oboje – podobnie jak oni – także

zostali najdroższymi sobie, najlepszymi i najwierniejszymi przyjaciółmi?

– Prawda.

– Dla trwałego dobra nas obojga i dla naszego trwałego szczęścia?

– Właśnie tak.

– Abyśmy dla siebie znaczyli jeszcze więcej, niż oni znaczyli dla siebie?

– Dokładnie.

– I nie zobowiązuje to Eddy'ego ani mnie, pod groźbą pozbawienia praw, na wypadek gdyby...

– Nie denerwuj się, moja droga. Wobec takiej ewentualności, gdyby nawet sama myśl o tym miała napełnić twoje czułe oczy łzami – to znaczy gdybyście nie mieli się pobrać, żadna strona nic nie straci. Pozostałabyś moją podopieczną do osiągnięcia pełnoletności. Nie przytrafiłoby ci się nic gorszego. Ale być może i to byłoby wystarczająco straszne!

– A Eddy?

– Przejąłby udziały odziedziczone po ojcu i zobowiązania, jeśli w ogóle są takowe, po osiągnięciu pełnoletności, tak samo jak ty.

Róża, usiadłszy z przechyloną głową, z zakłopotanym wyrazem twarzy i zmarszczonymi brwiami, przygryzała narożnik uwierzytelnionej kopii, szurając nogą i wpatrując się z roz-targnieniem w podłogę.

– Krótko mówiąc – kontynuował pan Grewgious – to narzeczeństwo jest życzeniem, wy-razem sentymentu i owocem z czułością przekazanego sobie przez obie strony przyjaciel-skiego planu. Bez najmniejszej wątpliwości towarzyszyło mu wielkie uczucie i głęboka na-dzieja, że wszystko się powiedzie. Już od dziecka zaczęliście się do niego przyzwyczajać i pomyślnie się rozwijać. Ale często okoliczności wpływają na zmianę planów. Dzisiaj od-wiedziłem cię tak jakby marginalnie, ale w gruncie rzeczy w sprawie zasadniczej – po to, by spełnić obowiązek i zakomunikować ci, moja droga, że dwoje młodych ludzi powinno się pobrać (wyłączając małżeństwa z rozsądku, które są kpina i nieszczęściem) z własnej, nieprzymuszonej woli, w oparciu o przywiązanie i przekonanie (które może się okazać błędne, ale musimy podejmować takie ryzyko), że odpowiadają sobie i że będą ze sobą szczęśliwi. Czy, na przykład, można w ogóle przypuścić, że któryś z waszych ojców, gdyby teraz żył i miał jakieś wątpliwości w tym względzie, zechciałby zmienić swą decyzję w związku ze zmianą okoliczności, jakie się pojawiły w ciągu lat? Niewyobrażalne, bezpod-stawne i niedorzeczne!

Pan Grewgious mówił tak, jakby czytał na głos lub może bardziej: jakby powtarzał wy-uczoną lekcję. Jego twarz i zachowanie pozbawione były wyrazu i jakiegokolwiek śladu spontaniczności.

– Teraz wywiązałem się już, moja droga – dodał, skreślając słowo „testament” – z cze-goś, co niewątpliwie należy tu uznać jedynie za formalność, ale co mimo wszystko pozostaje mym obowiązkiem. Cóż tam mamy dalej w moim memorandum... „Życzenia”. Moja dro-ga, czy masz jakieś życzenie, które mógłbym spełnić?

Róża zaprzeczyła ruchem głowy z wyrazem niemal żalosego wahania, jak ktoś potrze-bujący pomocy.

– Czy chciałabyś mi przekazać jakieś polecenia w związku z twoimi sprawami?  
– Ja... ja wpieryw chciałabym to ustalić z Eddym, jeśli pan pozwoli – powiedziała Róża, wygładzając fałdy sukni.

– Naturalnie, naturalnie – odparł pan Grewgious. – Wy dwoje powinniście być we wszystkim zgodni. Czy ten młody dżentelmen wkrótce tu przyjdzie?

– Właśnie dzisiaj rano wyjechał. Wróci na Boże Narodzenie.

– Nie może być lepiej. Kiedy więc wróci na Boże Narodzenie, omówisz z nim wszystkie detale, potem skontaktujesz się ze mną; ja wypełnię moje obowiązki dotyczące strony finansowej (ponieważ znam się na interesach) z tą szanowną damą siedzącą przy narożnym oknie. W tym czasie na twoim koncie narosną procenty. – Znowu coś skreślił ołówkiem. – Memorandum: „Odejść”. Tak. A teraz, moja droga, czas zabierać się do odejścia.

– Czy mogłabym... – zapytała Róża, wstając, gdy niezgrabnie zerwał się z krzesła – czy mogłabym pana bardzo uprzejmie prosić, żeby przyszedł pan tutaj w czasie świąt Bożego Narodzenia, gdybym miała coś szczególnego do powiedzenia?

– Ależ naturalnie, naturalnie – odparł, najwyraźniej (jeśli można powiedzieć tak o kimś, kto pozbawiony jest wszelkiej wyrazistości) zadowolony, że padło to pytanie. – Osobliwie, jako z grubsza ciosany człowiek, nigdy nie pasuję do towarzystwa, a w konsekwencji nie mam jakichś szczególnych zobowiązań w czasie świąt, poza braniem udziału dnia dwudziestego piątego grudnia w spożywaniu indyka w sosie selerowym, w towarzystwie... hm, w towarzystwie również osobliwie i z grubsza ciosanego kancelisty, którego mam szczęście zatrudniać i którego ojciec, farmer z Norfolk, przesyła mi tego właśnie indyka w postaci prezentu z okolic Norwich. Byłbym zaszczycony, gdybyś chciała mnie widzieć, moja droga. Dla takiego człowieka jak ja, który zawodowo zajmuje się ściganiem dzierżaw i z którym bardzo niewielu ludzi chciałoby się widzieć, tego rodzaju odmiana byłaby krzepiąca.

Wdzięczna za tak ochoczo wyrażoną zgodę, Róża położyła ręce na jego ramionach, wspięła się na palce i natychmiast go ucałowała.

– Dobry Boże! – wykrzyknął pan Grewgious. – Dziękuję, moja droga! To dla mnie zaszczyt prawie tak wielki jak przyjemność. Panno Twinkleton, szanowna pani, odbyłem wielce zadawalającą rozmowę z moją podopieczną i teraz uwolnię panie od ciężaru mojej krępującej obecności.

– Ależ nie, szanowny panie – odpowiedziała panna Twinkleton, z wdziękiem unosząc się z krzesła. – Proszę nie mówić o krępującym ciężarze. Absolutnie nie. W żadnym wypadku nie mogę pozwolić, aby pan tak mówił.

– Dziękuję pani. Czytałem w gazetach – mówił pan Grewgious, lekko się zacinając – że kiedy jakiś wybitny gość (nie mówię tu o sobie, daleki jestem od tego) udaje się do szkoły (nie mówię tu o tym gmachu, daleki jestem od tego), to zwykle prosi o zwolnienie z zajęć albo o wyświadczenie jakiejś uprzejmości, ponieważ mamy już popołudnie w tym... kole-dżu... którego pani jest szacowną dyrektorką, na takim zwolnieniu w dniu dzisiejszym młode damy mogłyby nic nie zyskać, ale jeśli jest jakaś młoda dama, która coś przeskrobała, to czy mógłbym prosić...



– Och, panie Grewgious, panie Grewgious! – zawołała panna Twinkleton, grożąc mu żartobliwie palcem. – Och, wy dżentelmeni, dżentelmeni! Powinniście się wstydzić tak dla własnej przyjemności utrudniać nam życie... Nam, biednym, oczernianym wychowawczy-  
niom własnej płci! Ale ponieważ pannę Ferdinand obecnie dręczy zmora – panna Twinkle-  
ton mogła powiedzieć, że była to zmora przepisywania monsieur La Fontaine’a – zatem idź  
do niej, moja droga Rózo, i powiedz, że na prośbę twego opiekuna, pana Grewgiousa, kara  
zostaje jej darowana.

Panna Twinkleton zdobyła się w tym czasie na dygnięcie – istny cud w wykonaniu jej  
szacownych nóg – i zakończyła tę czynność z godnością, trzy jardy od miejsca startu.

Czując się w obowiązku złożenia wizyty panu Jasperowi przed opuszczeniem Cloister-  
ham, pan Grewgious udał się do jego domu i wspiał się po schodach ku tylnym drzwiom.  
Fakt, że były zamknięte i widniał na nich kawałek papieru z napisem „Katedra”, uświadomił  
mu, iż właśnie odbywa się nabożeństwo. Pan Grewgious zszedł ze schodów, przeciął  
dziedziniec i zatrzymał się przy dużych, dwuskrzydłowych, zachodnich drzwiach katedry,  
teraz szeroko otwartych dla przewietrzenia wnętrza, ponieważ dzień, chociaż krótki, po-  
godny był i słoneczny.

– O Boże – powiedział pan Grewgious, zerkając do środka – zupełnie jakbym zaglądał  
w przepastną gardziel wieków.

A wieki te zdawały się ciężko dyszeć spleśniałym oddechem, płynącym z grobowców,  
spod sklepień i z krypt. Ponure cienie gęstniały już po kątach, wilgotna mgiełka unosiła się  
nad zmurszałymi zielonkawymi kamieniami, a spadające na posadzkę nawy klejnoty, z wi-  
traży oświetlonych promieniami zachodzącego słońca, zaczęły właśnie znikać. Przez okra-  
towane wrota prezbiterium, na szczycie schodów, które prowadziły do szybko pochłania-  
nych przez ciemności organów, słabo przezierały białe szaty chóru i można było słyszeć,  
jak jeden słaby głos wznosi się i opada w załamującym się monotonnym mamrotaniu. A na  
zewnątrz, na świeżym powietrzu – rzeka, zielone pastwiska, brązowe żyzne pola, pełne ży-  
cia wzgórze i doliny zaczerwieniły się w promieniach zachodzącego słońca, podczas gdy  
dalekie okienka młynów i zabudowań farmerskich jaśniały plamkami błyszczącego złota.  
W katedrze poszarzało, zapadł mrok i wszystko stało się grobowe, a łamiące się, monoton-  
ne mamrotanie snuło się jak pogłos zamierania, aż na koniec grzmiące organy i chór zatopi-  
ły go w morzu dźwięków muzyki. Potem to morze cofnęło się, zamierający głos uczynił  
jeszcze jeden słaby wysiłek, a wówczas morze uniosło się wysoko, topiąc w swych czelu-  
ściach resztki życia; uderzyło w sklepienie, wzbiło się pod łuki i dotarło aż do szczytu  
wielkiej wieży. Następnie morze opadło, wyschło i wszędzie zapanował spokój.

W tym czasie pan Grewgious zbliżył się do schodów prezbiterium, zetknąwszy się tam  
ze źródłem żywych wód.

– Czy może coś się stało? – to Jasper pośpiesznie podszedł do niego. – Chyba nie po-  
słano po pana?

– Ależ nie, ależ nie. Przyszedłem tu z własnej woli. Właśnie złożyłem wizytę mojej  
ślicznej podopiecznej i teraz wracam do domu.

– Znalazł ją pan w dobrym zdrowiu?

– Jest wprost kwitnąca. Doprawdy kwitnąca. Przybyłem jedynie po to, aby z powagą zwrócić jej uwagę na to, czym jest narzeczeństwo ustalone wolą zmarłych rodziców.

– A czymże ono jest... według pana?

Pan Grewgious dostrzegł, że wargi zadające to pytanie zbladły, ale przypisał to panującemu w katedrze przeraźliwemu zimnu.

– Przyszedłem jedynie jej powiedzieć, że nie można uznać takiego narzeczeństwa za wiążące, podczas gdy jednej ze stron brak uczucia... lub ochoty zawarcia małżeństwa.

– Mogę spytać, czy były jakieś szczególne powody, aby jej o tym mówić?

Pan Grewgious odparł dość ostro:

– Szczególnym powodem było spełnienie mego obowiązku, proszę pana. Tylko tyle. – A potem dodał: – Daj pan spokój, panie Jasper, przecież wiem, jakim uczuciem darzy pan swego siostrzeńca i że jest pan zdolny wczuć się w jego położenie. Zapewniam pana, że w żadnym stopniu nie jest to wyraz braku uznania lub braku szacunku dla pańskiego siostrzeńca.

– Nie mógłby pan – odparł Jasper, przyjaźnie kładąc rękę na jego ramieniu, kiedy szli obok siebie – wyrazić tego zrećniej.

Pan Grewgious zdjął kapelusz, żeby pogłodzić głowę i znowu go założył.

– Mogę się założyć... – zaczął Jasper z uśmiechem i w przekonaniu, że ciągle ma blade wargi, w czasie mówienia zagryzał je i zwilżał. – Mogę się założyć, że nie uczyniła najmniejszej aluzji dotyczącej uwolnienia się od Neda.

– I wygrałby pan – odparł pan Grewgious. – Może w tych okolicznościach powinniśmy się spodziewać u tego młodego, pozbawionego matczynej opieki stworzenia pewnej młodszej, dziewczęcej wrażliwości. Ale ja na tym się nie znam. Co pan o tym sądzi?

– Bez wątpienia powinniśmy.

– Cieszę się, że pan tak uważa. Ponieważ – ciągnął pan Grewgious, który przez cały czas w świadomy sposób zmierzał do celu, pamiętając, co Róża powiedziała mu o Jasperze – ponieważ wydaje się, jakby zaczynała odczuwać jakieś subtelne, instynktowne pragnienie, aby wszystkimi przygotowaniami zajął się Edwin Drood i ona sama, pojmuję pan? Ona nie chce, abyśmy się w to wtrącali, rozumie pan?

Jasper dotknął piersi i mruknął trochę niewyraźnie:

– Pan ma na myśli mnie.

Pan Grewgious dotknął piersi i powiedział:

– Ona ma na myśli nas obu. Wobec tego pozwólm, aby oni oboje przedyskutowali to ze sobą i odbyli naradę, gdy Edwin wróci tu na Boże Narodzenie; wtedy dopiero pan i ja wkroczymy i dokończymy dzieła.

– A zatem ustalił pan z nią, że Edwin wróci tu na Boże Narodzenie? – zauważył Jasper. – Rozumiem! Panie Grewgious, tak jak pan całkiem słusznie powiedział, istnieje wyjątkowa więź między nią a moim siostrzeńcem i bardziej niż o siebie samego, dbam o tego obdarzonego przez los drogiego mi, szczęśliwego młodzieńca. Uważam jednak, tak jak pan to określił, że słuszne jest wzięcie pod uwagę woli młodej damy, pójdę więc w pańskie ślady. Akceptuję to. Rozumiem, że podczas świąt Bożego Narodzenia zakończą przygotowania

do majowej uroczystości i że ich ślub ostatecznie zostanie zorganizowany przez nich samych, a wówczas nam nie pozostanie nic innego, jak tylko przyłączyć się do nich i na urodziny Edwina przygotować wszystko do formalnego zakończenia naszego powiernictwa.

– Ja również tak to rozumiem – zgodził się pan Grewgius, gdy ściskali sobie ręce na pożegnanie. – Niech ich Bóg błogosławi!

– Niech Bóg ich zachowa! – zawołał Jasper.

– Powiedziałem, niech ich błogosławi – zauważył pierwszy, oglądając się przez ramię.

– A ja powiedziałem, niech ich zachowa – odparł drugi. – Czy to nie to samo?

## ROZDZIAŁ X

### ŁAGODZENIE SYTUACJI

Zauważano dość często, że kobiety posiadają dziwny dar odgadywania charakterów mężczyzn. Dar ten wydaje się wrodzony i instynktowny, zważywszy, że dochodzą do wniosków z pominięciem żmudnego procesu myślowego, że nie da się tego zadowalająco lub w wystarczający sposób wytłumaczyć i że wbrew zebranym spostrzeżeniom płci przeciwnej wypowiadają swoje sądy z dużą dozą pewności siebie. Ale już nie tak często zauważano, że ten dar (zawodny, jak każda inna ludzka właściwość) zazwyczaj jest całkowicie niemożliwy do zweryfikowania; kiedy zaś zostanie wydana opinia negatywna, która – jak wszystko dotąd na to wskazywało – okaże się później fałszywa, nie sposób odróżnić ją od zwykłego uprzedzenia, w tym sensie, że tak samo jak uprzedzenia nie można jej zmienić. Nie, najśłabsza nawet próba zaprzeczenia lub udowodnienia, że jest wręcz przeciwnie, już od samego początku, w dziewięciu wypadkach na dziesięć, dla każdego werdyktu oznacza bodaj najśłabszy punkt w zeznaniach kogoś zainteresowanego, w tak silny bowiem i osobisty sposób białogłowska wróżka identyfikuje się ze swoimi przepowiedniami.

– Nie sądzisz, moja droga mamó – pewnego dnia odezwał się kanonik mniejszy do matki, która robiąc na drutach, siedziała w jego niewielkiej bibliotece – że jesteś trochę za surowa dla pana Neville a?

– Nie, nie **sądzę**, Sept – odparła starsza pani.

– Przedyskutujmy to, mamó.

– Nie znajduję niczego, co wzbraniałoby mi to przedyskutować, Sept. Ufam, mój drogi, że zawsze jestem otwarta na dyskusję. – W czepku starszej pani dało się zauważyć jakieś poruszenie, jakby w duchu dodawała: no cóż, chciałabym widzieć taką dyskusję, która mogłaby zmienić **moje** poglądy!

– Doskonale, mamó – powiedział zgodny syn. – Nie ma nic lepszego niż otwartość na wszelkie dyskusje.

– Mam taką nadzieję, mój drogi – odparła starsza pani, wyraźnie zamykając się na wszelką dyskusję.

– Tak więc, w tych niefortunnych okolicznościach należy uznać, że pan Neville został sprowokowany!

– Będąc pod wpływem grzanego wina – uzupełniła starsza pani.

– Co do wina, to muszę się zgodzić. Chociaż uważam, że pod tym względem obaj młodzieńcy zachowali się podobnie.

– Ja tak nie uważam – sprzeciwiła się starsza pani.

– Dłaczego, mamó?

- Bo **nie** – odparła starsza pani. – Ale jestem otwarta na dyskusję.
- Ależ, droga mamó, skoro przyjmujesz taką postawę, zupełnie nie rozumiem, jak mamy dyskutować.
- Wiń za to Neville’a, Sept, nie mnie – oświadczyła starsza pani z godnością.
- Moja droga mamó! Dlaczego Neville’a?
- Ponieważ – powiedziała pani Crisparkle, wracając do kwestii podstawowej – przybył do tego domu pijany, okazując wielki brak szacunku tak dla samego domu, jak i dla rodziny.
- Nie da się zaprzeczyć, mamó. Jednak tak wówczas, jak i teraz, jest mu bardzo przykro.
- Gdyby nie takt i dobre wychowanie pana Jaspera, który następnego dnia po nabożeństwie podszedł do mnie w nawie głównej, ciągle w stroju chórzysty, i wyraził nadzieję, że nie przestraszyłam się zbytnio i że mój spokój nie został zbyt gwałtownie zakłócony, to zapewne nigdy nie dowiedziałabym się o tym haniebnym zajściu – oznajmiła starsza pani.
- Szczerze mówiąc, mamó, gdybym mógł, to chyba starałbym się to przed tobą ukryć; chociaż jeszcze nie podjąłem co do tego decyzji. Szedłem za Jasperem, zamierzając porozmawiać z nim na ten temat i zastanowić się, czy całego wydarzenia nie zatuszować Ale okazało się, że rozmawiał już z tobą i dlatego było już za późno.
- Tak, istotnie, za późno, Sept. Ciągle jeszcze był szary jak popiół na myśl o tym, czy też pod wpływem tego, co w jego domu w nocy się wydarzyło.
- Gdybym to zataił przed tobą, mamó, możesz być pewna, że uczyniłbym to tylko ze względu na spokój twego umysłu, dla dobra tych młodych, a także zgodnie z jak najlepiej pojętymi obowiązkami.
- Starsza pani natychmiast przeszła przez pokój i ucałowała go, mówiąc:
- Oczywiście, drogi Sept, jestem tego pewna.
- A ponieważ rozniosło się to po mieście – powiedział pan Crisparkle, trąc ucho, podczas gdy matka powróciła na swoje miejsce do robótki na drutach – to w tej sytuacji nic już nie mogłem zrobić.
- Nabrałam wówczas przekonania, Sept – odparła starsza pani – że mam o panu Neville’u złe mniemanie i powtarzam raz jeszcze, nadal mam o nim złą opinię. To samo powiedziałam wtedy, mówię tak teraz i, chociaż w to nie wierzę, mam nadzieję, że pan Neville się opamięta.
- Jej czepek znowu dość wyraźnie zadrżał.
- Przykro mi to słyszeć, mamó...
- A mnie przykro tak mówić, mój drogi – przerwała starsza pani, z zapalem machając drutami – ale nic na to nie poradzę.
- ...ponieważ – ciągnął kanonik mniejszy – nie można zaprzeczyć, że pan Neville jest niezwykle pracowity i pojętny, robi szybkie postępy i – mam nadzieję, że mogę tak powiedzieć – już zdążył się do mnie przywiązać.
- W tym ostatnim punkcie nie można mu przypisać żadnej zasługi, mój drogi – szybko wtrąciła starsza pani. – A jeśli on sam tak twierdzi, to myślę, że ta chętność źle o nim świadczy.

– Ależ, droga mamó, nie powiedziałem przecież, że to o n tak twierdzi.

– Może i nie mówiłeś – zgodziła się starsza pani – ale mimo wszystko nie sądzę, aby to miało jakieś większe znaczenie.

W przyjemności, z jaką pan Crisparkle przyglądał się tej pięknej porcelanowej figurce przy robótce, nie było śladu zniecierpliwienia, ale z pewnością pojawiło się dobroduszne przekonanie, że nie jest to figurka z kruchej porcelany i w zbyt gorącą dyskusję nie należy się z nią wdawać.

– A ponadto, Sept, zadaj sobie pytanie, kim byłby Neville bez swojej siostry. Wiesz przecież, jak wielki ma na niego wpływ. Wiesz, jaka jest zdolna. Wiesz, że czego on nauczy się od ciebie, potem uczy się jeszcze raz z nią. A jeżeli uznasz jej udział, to ile zostanie z twoich pochwał?

Te słowa sprawiły, że pan Crisparkle rozmarzył się i pomyślał o kilku rzeczach. Myślał o chwilach, w których widywał brata i siostrę pogrążonych w gorącej dyskusji nad jednym z jego starych szkolnych podręczników. Kiedy indziej, podczas szronem okrytych poranków, gdy udawał się na swoje orzeźwiające pielgrzymki do Jazu Cloisterham albo w ponure wieczory, kiedy o zachodzie słońca walczył z wiatrem, wspiąwszy się na swój ulubiony punkt widokowy, czyli na niebezpiecznie nadkruszony fragment klasztornych ruin<sup>{26}</sup> – widział jak te dwie pogrążone w nauce postacie przechadzały się wzdłuż brzegu rzeki, w której odbijały się ognie i światła miasta, przez co otaczająca ją okolica zdawała się jeszcze ciemniejsza. Myślał o tym, jak bardzo już sobie uświadamiał, że ucząc jedno z nich, w gruncie rzeczy uczy oboje; i jak – niemal bezwiednie – zaczął dostosowywać swoje objaśnienia do obu umysłów; tego, z którym miał kontakt codzienny i tego, do którego docierał tylko pośrednio. Myślał o dochodzących z Domu Zakonnicy pogłoskach, że Helena, której nie dowierzał z powodu wyniosłości i gwałtownego charakteru, podporządkowała się delikatnej narzeczonej (jak ją nazywał) i wszystkiego się od niej uczyła. Myślał o zawartym przez te dwie, zewnętrznie jakże odmienne istoty, malowniczym przymierzu. A przede wszystkim zadawał sobie pytanie, jak to możliwe, aby ta trwająca zaledwie kilka tygodni sytuacja stała się już nieodłączną częścią jego życia...

Zawsze, gdy wielebny Septimus popadał w zadumę, jego zacna matka uznawała to za nieomylny znak, iż „potrzebował wsparcia”. Również i teraz kwitnąca starsza pani pośpieszyła do kredensu w jadalni, aby wydobyć z niego owo „wsparcie” w postaci szklaneczki Konstancji i domowych herbatników. Był to zaiste cudowny kredens, godny Cloisterham i Zaułka Kanonika Mniejszego. Do patrzącego nań uśmiechał się z wiszącego nad nim portretu Jerzy Fryderyk Haendel w peruce opadającej na ramiona, z wyrazem twarzy wskazującym na znajomość zawartości kredensu i na ochotę połączenia tej zawartości w jedną znakomitą fugę. Nie był to bowiem żaden zwyczajny kredens o zwykłych, pospolitych drzwiczkach na zawiasach, które natychmiast się otwierają, odsłaniając od razu całe wnętrze i niczego oczom nie ukazując stopniowo; ten rzadki kredens posiadał wewnętrzne zamknięcie w miejscu stykania się dwóch pionowo przesuwających się ścianek: kiedy jedna część zapadała w dół, druga unosiła się w górę. Kiedy górna część opadała (pozostawiając dolną podwójnie tajemną), ukazywały się głębokie półki z marynatami, powidłami, metalo-

wymi puszkami, skrzyneczkami z przyprawami i apetycznie wyglądającymi zaprawionymi egzotyką niebieskimi i białymi naczyniami, które stanowiły rozkoszne, słodkie pojemniki dla konserwowanej tamaryndy i imbiru. Każdy życzliwością emanujący mieszkaniec tego pomieszczenia miał na swym brzuchu wypisaną nazwę. Marynaty stroiły się w ciemnobrązowe, zapinane na guziki dwurzędowe płaszcze z żółtymi lub bezbarwnymi dodatkami, przedstawiając się niewyraźnymi napisami umieszczonymi na swoich okazałych kształtach kolejno jako: orzech, korniszon, cebula, kapusta, kalafior, mieszanka i inni członkowie tej szlacheckiej rodziny. Przyozdobione papilotami powidła, o mniej męskim charakterze, dokonywały prezencji kobiecym charakterem pisma wybrzmiewającym na podobieństwo cichego szeptu: malina, agrest, morela, śliwka, damascenka, jabłko i brzoskwinia; kiedy zaś kurtyna zasłaniała wszystkie te czarowne przedmioty i podnosiła się dolna część ścianki, ukazały się pomarańcze w towarzystwie czarnej japońskiej cukiernicy z laki, łagodzącej cierpkość niedojrzałych owoców. Domowego wyrobu herbatniki czekały na dworze tego mocarstwa w towarzystwie okazałego kawałka ciasta ze śliwkami, a wraz z nimi rozmaite szczupłe damskie paluszki przeznaczone do maczania w słodkim winie, a potem do całowania. Najniżej znajdowała się niska ołowiana krypta, stanowiąca przybytek słodkich win i magazyn kordiałów, toteż dochodziły z niej szepty sewilskiej pomarańczy, cytryny, migdału i kminku. Ów kredens nad kredensami sprawiał wrażenie, jakby przez wieki tak długo po-brzękiwały w nim dźwięki katedralnego dzwonu, aż te czcigodne pszczołki przerobiły wszystko, co zawierał na wysublimowany miód i zawsze można było zauważyć, że ktokolwiek w nim buszował po półkach (jak już stwierdzono, głębokich i pochłaniających głowę, ramiona i łokcie), wynurzał się z błogim wyrazem twarzy, jakby uległ sacharydowej transformacji.

Wielebny Septimus poddawał się temu zbawiennemu działaniu kredensu równie chętnie, jak ochoczo stawał się ofiarą skrytki o mdlącym zapachu leczniczych ziół, nad którą również sprawowała pieczę porcelanowa pasterka. Jakież to zdumiewające napary goryczki, mięty, goździków, szaławii, pietruszki, tymianku, ruty, rozmarynu i mlecza kurowały jego żołądek! Jakież to okłady z suszonych liści przykładał do swej rumianej, zadowolonej twarzy, gdy tylko matka podejrzewała go o ból zęba! Jakież to botaniczne plasterki przyklepał sobie z zapałem do policzka lub czoła, gdy tylko starsza pani zdołała go przekonać, że pojawiła się tam niedostrzegalna krostka. I do tego to ziołowego więzienia, usytuowanego na podestach schodów prowadzących na antresolę, a mającego postać niskiej i wąskiej, pomalowanej na biało celi, w której na zardzewiałych hakach zwisały z sufitu pęki suszonych liści, podczas gdy inne leżały na półkach w towarzystwie butelek z cudowną zawartością, wielebny Septimus pozwalał się pokornie prowadzić jak potulne jagnię wiedzione bez oporu na rzeź, aby – inaczej niż jagnię – nie zanudzać już nikogo, prócz siebie. Lecz ku zadowoleniu wiecznie zapracowanej starszej pani nie bawił tam zbyt długo, połykał posłusznie wszystko, co mu zaaplikowała i zanurzał ręce i twarz w dużej misce pełnej suszonych płatków róż, a potem w innej dużej misce pełnej suszonej lawendy, aby wreszcie wyjść przekonanym o uzdrawiającej mocy Jazu Cloisterham i mocy zdrowego umysłu – z siłą równą tej, z którą Lady Makbet wątpiła w moc wszystkich mórz.

Tak więc i w tych okolicznościach zacny kanonik mniejszy z nienagannym wdziękiem wychylił szklaneczkę Konstancji i uzyskawszy wsparcie, o które chodziło jego matce, zabrał się do pozostałych obowiązków dnia. Zgodnie z ustalonym porządkiem zakończyły się one punktualnie wraz z końcem niesporów i nadejściem zmierzchu. W katedrze było bardzo zimno, toteż po nabożeństwie, nie zatrzymując się nawet dla nabrania oddechu, udał się na rozgrzewającą przechadzkę do ulubionego fragmentu ruiny, która zapewne się rozleci wskutek zniszczenia przez burzę. W sposób mistrzowski dotarł do celu i teraz bez zadyszki stał, patrząc w dół na rzekę.

Rzeka płynąca przez Cloisterham znajduje się tak blisko morza, że często wyrzuca na brzeg wodorosty. Ostatni przyływ przyniósł ich niezwykle dużo, a wzburzone wody, nieustanne trzepotanie i nurkowanie hałaśliwych mew, gniewne błyski morza poza barkami z brązowymi i z wolna teraz czerniejącymi żaglami, wszystko to zapowiadało nocną burzę. Porównując w myślach hałaśliwe, wzburzone morze do spokojnej przystani Zaułka Kanonika Mniejszego ujrzał, że w dole idą Helena i Neville Landlessowie. Myślał o nich przez cały dzień, dlatego natychmiast zaczął schodzić, aby z nimi porozmawiać. W tak słabym świetle zejście byłoby trudne dla każdego, kto nie potrafiłby się dobrze wspinać, ale kanonik mniejszy potrafił to robić równie zręcznie jak większość mężczyzn i na pokonanie całego dystansu potrzebował tyle czasu, ile innym byłoby trzeba na przebycie połowy drogi.

– Mamy burzliwy wieczór, panno Landless! Czy nie sądzi pani, że o tej porze roku jest zbyt wietrznie i zimno na spacer z bratem? A zwłaszcza wtedy, gdy zaszło słońce i wieje wiatr od morza.

Helena uważała inaczej. To był ich ulubiony spacer w tym niezwykle spokojnym miejscu.

– Owszem, jest tu bardzo spokojnie – przyznał pan Crisparkle, wykorzystując okazję i przyłączając się do nich. – A poza tym jest to miejsce, w którym wszyscy pragną bez przeszkód porozmawiać – tak jak ja. Panie Neville u, wydaje mi się, że wszystko, o czym rozmawiamy, mówi pan siostrze, prawda?

– Wszystko, proszę pana.

– Wobec tego – mówił dalej pan Crisparkle – siostra wie, że często namawiałem pana na jakąś formę przeprosin za to nieszczęsne zajście, które miało miejsce w nocy po naszym przyjeździe.

Mówiąc to, patrzył na nią, a nie na niego, toteż nie on, lecz ona odpowiedziała.

– Tak.

– Uważam ten incydent za coś niefortunnego, panno Heleno – podjął pan Crisparkle – ponieważ niewątpliwie wywołał on uprzedzenie do Nevillea. Rozpowszechniło się przekonanie, że to niebezpiecznie gwałtowny młodzieniec, o nieopanowanym i wybuchowym charakterze i w istocie właśnie dlatego ludzie go unikają.

– Nie wątpię, że biedak znalazł się w takiej sytuacji – przyznała Helena, rzucając bratu spojrzenie pełne dumy i współczucia, wyrażające jednocześnie całkowitą pewność, że został potraktowany niesprawiedliwie. – Byłabym tego pewna już po tym, co pan powiedział, ale potwierdzają to jeszcze dwuznaczne aluzje i uwagi, z jakimi codziennie się spotykam.



– A zatem – pan Crisparkle ciągnął tonem łagodnej, chociaż zdecydowanej perswazji – czyż nie jest to godne ubolewania i czy nie należałoby tego naprawić? To pierwsze dni Neville’a w Cloisterham (nie wątpię, że z biegiem czasu zada kłam wszystkim uprzedzeniom, dowodząc, że myłono się co do jego osoby). Jednak mądrzej byłoby zacząć działać natychmiast, zamiast ufać niepewnemu upływowi czasu! To polityka rozsądna, a oprócz tego właściwa, bowiem nie ma żadnej wątpliwości, że Neville postąpił źle.

– Został sprowokowany – zauważyła Helena.

– Ale to on był napastnikiem – stwierdził pan Crisparkle.

Dalej szli w milczeniu, aż w końcu Helena podniosła wzrok, spojrzała w twarz kanonika mniejszego i spytała niemal z wyrzutem:

– Ach, panie Crisparkle, czy chciałby pan, aby Neville padł do stóp młodego Drooda, czy też może do stóp pana Jaspera, który codziennie go oczernia? Jestem pewna, że w głębi serca nie pragnie pan tego. Na jego miejscu pan by tak nie postąpił.

– Oznajmiłbym panu Crisparkle’owi, Heleno – włączył się Neville, patrząc z szacunkiem na swego wychowawcę – że postąpiłbym tak, gdybym w głębi serca czuł, że to właściwe. Jednak nie czuję tak i nie mogę tak postąpić, bowiem nie znoszę udawania. Chyba zapominasz, że pan Crisparkle, jak sądzę, na moim miejscu zachowałby się podobnie.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała Helena.

– Sami widzicie – zauważył pan Crisparkle, subtelnie i w sposób umiarkowany znowu wykorzystując okazję – iż oboje instynktownie przyznajecie, że Neville postąpił źle. Dlaczego więc nie postąpić krok dalej i otwarcie się do tego przyznać?

– A istnieje jakaś różnica – zapytała Helena, prawie niedostrzegalnie zmieniając głos – między uległością duszy szlachetnej, a uległością duszy nikczemnej lub pospolitej?

Zanim zacny kanonik mniejszy zdążył się przygotować do przedyskutowania tej subtelnej różnicy, Neville wtrącił:

– Heleno, pozwól, że sam to wyjaśnię panu Crisparkle’owi. Pomóż mi, proszę, przekonać go, że bez udawania i fałszu pierwszy nie mogę uczynić kroku do zgody. Zanim to uczynię, najpierw muszę zmienić swoją naturę, a to jeszcze nie nastąpiło. Doświadczyłem niewyobrażalnej zniewagi, którą potem celowo rozjątrono; ciągle jeszcze odczuwam gniew. I kiedy teraz to sobie przypomnę, szczerze mówiąc, jestem równie wściekły jak wtedy.

– Neville u – mitygował go kanonik mniejszy ze spokojnym wyrazem twarzy – powtarzasz to samo ze swoimi dłońmi, zaciskasz je w pięści, czego jak wiesz, nie lubię.

– Przepraszam, czynię to nieświadomie, ale przecież wyznałem, iż ciągle jestem wściekły.

– A ja wyznaję – odparł pan Crisparkle – że miałem nadzieję usłyszeć coś lepszego.

– Przykro mi, że pana rozczarowałem, ale byłoby znacznie gorzej, gdybym pana oszukiwał, a byłoby wręcz rażącym oszustwem, gdybym udawał, że pod tym względem pan mnie przekonał. Może nadejdzie czas, że pod pańskim silnym wpływem dokona się taka zmiana w tym kłopotliwym uczniu, którego przodkowie są panu dobrze znani; jednak to jeszcze nie nastąpiło. Czyż nie jest tak, Heleno, zważywszy, że ciągle walczę z własnym charakterem?

Ta, której ciemne oczy śledziły wrażenie, jakie te słowa wywarły na kanoniku mniej-

szym, odpowiedziała, zwracając się nie do brata, lecz do pana Crisparkle'a:

– To się zgadza – a po krótkiej przerwie, odpowiadając na słabo widoczne w oczach brata pytanie, własne słowa uzupełniła lekkim skinieniem głowy.

Tymczasem Neville ciągnął dalej:

– Nigdy dotąd nie miałem odwagi powiedzieć panu o tym z całą szczerością, z jaką powinienem już to uczynić, kiedy po raz pierwszy rozmawiał pan ze mną na ten temat. Bo wiem niełatwo mi o tym mówić i powstrzymywała mnie obawa, aby się nie ośmieszyć. Ta obawa aż do tej chwili mnie hamuje i gdyby nie moja siostra, pewnie powstrzymałaby mnie i teraz przed zwierzeniem się panu... Tak bardzo podziwiam pannę Bud, proszę pana, że nie mogę ścierpieć, kiedy traktuje się ją lekceważąco lub obojętnie. I gdybym nawet przez wzgląd na siebie nie żywił urazy do młodego Drooda, to i tak odczuwałbym ją ze względu na nią.

Pan Crisparkle, oczekując potwierdzenia tych słów, z najwyższym zdumieniem spojrzął na Helenę i odnalazł w jej twarzy pełne potwierdzenie oraz niemą prośbę o radę.

– Jak już pan dobrze wie, panie Neville'u, młoda dama, o której pan mówi, wkrótce ma wyjść za mąż – powiedział pan Crisparkle poważnie – przeto pański podziw, będący jak pan sugeruje szczególnej natury, jest bardzo nie na miejscu. Ponadto to potworność, że stawia się pan w roli obrońcy młodej damy przed jej przyszłym mężem. A poza tym spotkał ich pan tylko raz. Ta młoda dama zaprzyjaźniła się z pana siostrą i dziwię się, że siostra z własnej inicjatywy nie próbowała wyperswadować panu tego irracjonalnego i tak naganego przypuszczenia.

– Próbowала, proszę pana, ale bez skutku. Mąż czy nie mąż, ten człowiek nie jest zdolny odczuwać tego, co ja czuję do tej pięknej, młodej istoty, którą on traktuje jak zabawkę. Twierdzą, że nie jest do tego zdolny i nie jest jej wart. Twierdzą, że oddając mu ją, czyni się z niej ofiarę. Twierdzą, że ją kocham, a nim gardzę i nienawidzę go! – wszystko to wypowiedział z twarzą rozpromienioną i tak gwałtownie gestykulując, że siostra podeszła do niego i chwyciwszy za ramię, zawołała:

– Neville'u, Neville'u!

Opanował się, szybko uświadamiając sobie, że stracił kontrolę nad swą gwałtowną naturą, po czym zakrył twarz dłońmi jak człowiek skruszony i cierpiący.

Pan Crisparkle, przyglądając mu się uważnie i jednocześnie zastanawiając się co robić, przeszedł kilka kroków w milczeniu, a potem powiedział:

– Panie Neville'u, panie Neville'u, głęboko ubolewam, dostrzegając w pańskim charakterze, jak w tej nadciągającej nocy, taką posepność, złość i dzikość. Cechy te są zbyt groźne, abym mógł przymknąć na nie oko i nie potraktować poważnie. Przeciwnie, traktuję je nader serio i mówię do pana równie poważnie. Zatarg między panem a młodym Droodem musi się skończyć. Nie mogę pozwolić, aby dłużej się ciągnął, zwłaszcza po tym, czego się dowiedziałem i zważywszy, że mieszka pan pod moim dachem. Bez względu na to, jakie – pod wpływem ślepego gniewu i zazdrości – krzywdzące i bezpodstawne wyobrażenie uformował pan sobie o charakterze pana Drooda – wiem, że to szczerzy i dobry charakter. Wiem, że zawsze mogę mu ufać. A teraz proszę pilnie słuchać tego, co powiem. Po namyśle

i pod wpływem przedstawionych mi przez pańską siostrę faktów, jestem skłonny przyznać, że dążąc do zgody, ma pan prawo oczekiwać, aby młody Drood wyszedł panu naprzeciw. Zajmę się tym. Postaram się nawet, żeby Drood uczynił pierwszy krok. Jeżeli zostanie spełniony ten warunek, to pan da mi słowo honoru dżentelmena chrześcijanina, że z pańskiej strony ten zatarg zakończy się raz na zawsze. Co się będzie działo w pańskim sercu, gdy poda mu pan dłoń na zgodę, będzie znane tylko władcy wszystkich serc, ale gdyby czała się w nim zdrada, nie wyszłoby to panu na dobre. Tyle niech będzie o tym; a teraz z kolei o czymś, co ponownie muszę określić jako pańskie zaślepienie. O ile dobrze zrozumiałem, zwierzył się pan z niego tylko mnie i nikt inny, oprócz pańskiej siostry i mnie, o tym nie wie. Czy dobrze zrozumiałem?

Helena odpowiedziała cicho:

– Wiemy o tym tylko my troje.

– 1 nic o tym nie wie młoda dama, która obecnie jest pani przyjaciółką?

– Na mą duszę, nie!

– Oczekuję więc, że złoży pan podobnie poważne przyrzeczenie, panie Neville'u, iż zostanie to tajemnicą i że nie przedsięweźmie pan żadnych innych działań prócz wysiłków (i to najpoważniejszych), aby wymazać to z pamięci. Nie mogę pana zapewnić, że jest to łatwe i że wkrótce minie, nie mogę zapewnić, że to tylko chwilowy impuls; nie zapewnię też, iż to tylko wytwór wyobraźni, który raptownie powstaje i nagle znika u młodych, namiętnych ludzi i nie zapewnię też pana, że niewielu ludzi, lub nikt dotąd nie czuł tak jak pan; przeciwnie – twierdzą, że to uczucie długo w panu pozostanie i będzie bardzo trudne do przewyciężenia. Tym większą wagę przywiązuję do oczekiwanego przyrzeczenia, które złoży mi pan bez zastrzeżeń.

Młodzieniec kilka razy próbował się wtrącić, ale za każdym razem rezygnował.

– A teraz pozwolę sobie zostawić tu pana z siostrą, którą należy już odprowadzić do domu – powiedział pan Crisparkle. – Później zastanie mnie pan samego w moim pokoju.

– Proszę nas jeszcze nie opuszczać – błagała Helena. – Jeszcze chwilkę.

– Nie potrzebowałbym – powiedział Neville, przyciskając dłonie do twarzy – nie potrzebowałbym tej chwili, gdyby nie był pan dla mnie tak cierpliwy, tak dobry i taki szczery. Ach, gdybym miał w dzieciństwie takiego przewodnika!

– Podążaj więc za swoim przewodnikiem, Neville'u – szepnęła Helena.

– Podążaj za nim aż do Niebios!

W jej głosie zabrzmiało coś takiego, że zacnemu kanonikowi mniejszemu ścisnęło się gardło, w przeciwnym razie skarciłby ją bowiem za przesadne pochwały pod swoim adresem. Przyłożył jednak palec do ust i spojrzał na jej brata.

– Nie dość powiedzieć, że z głębi serca daję panu oba przyrzeczenia, panie Crisparkle, ale chcę panu jeszcze oświadczyć, że nie noszę w nim zadry – oświadczył Neville wielce poruszony. – Błagam pana o przebaczenie za ten mój pożałowania godny wybuch namiętności.

– Nie mnie, nie mnie prosz o przebaczenie, Neville'u. Ty wiesz, kto jest źródłem przebaczenia i wszelkich cnót. Panno Heleno, pani i brat jesteście bliźniętami. Przyszliście na

świat z podobnymi skłonnościami i lata młodości spędziliście w podobnie niepomysłnych warunkach. Skoro pani udało się przewyciężyć to w sobie, dlaczego nie może pani przewyciężyć tego w nim? Widzi pani głaz leżący na jego drodze. Kto, jeśli nie pani, pomoże mu go usunąć?

– Któż, jeśli nie pan? – odparła Helena. – Cóż znaczy mój wpływ, mój niedoskonały umysł w porównaniu z pańskim?

– Pani posiada mądrość miłości – odrzekł kanonik mniejszy. – A to, proszę pamiętać, największa znana temu światu mądrość. Co do mojej – to im mniej się mówi o tym banalnym przedmiocie, tym lepiej. Dobranoc!

Ujęła podaną rękę i z wdzięcznością, prawie ze czcią, podniosła ją do ust.

– Ależ, panno Heleno – obruszył się kanonik mniejszy – za dużo mi się przypisuje! – i szybko się odwrócił.

Wracając w stronę dziedzińca katedry, usiłował w ciemności przemyśleć najlepsze metody osiągnięcia tego, co przyrzekł dokonać i co musiało zostać zrealizowane. – Prawdopodobnie poproszą mnie, żebym udzielił im ślubu – zastanawiał się – i chciałbym, aby się już pobrali i wyjechali stąd. Wpierw jednak muszę się tym zająć... Przede wszystkim zastanawiał się nad tym, czy powinien napisać do młodego Drooda, czy też porozmawiać z Jasperem. Świadomość, że cieszy się popularnością w kręgach katedralnych, skłoniła go do obrania właśnie tej drugiej drogi, a widok światła w oknach domu z bramą ostatecznie zdecydował, że ruszył w tym kierunku.

– Będę kuł żelazo póki gorące – powiedział do siebie – i zobaczę się z nim już teraz.

Jasper spał na kanapie przed kominkiem, gdy pan Crisparkle, wszedłszy po schodach od tyłu i nie usłyszawszy odpowiedzi na pukanie do drzwi, cicho je otworzył i zajrzał do środka. Dużo później miał powody, by wspominać, jak to Jasper zerwał się z kanapy w stanie szalonego podniecenia między snem a jawą i zawołał:

– Co się dzieje? Kto to zrobił?

– To tylko ja, panie Jasperze. Przykro mi, że zakłóciłem pana spokój.

Dziki błysk w oczach ustąpił wyrazowi rozpoznania i Jasper przesunął kilka krzeseł, robiąc miejsce przy kominku.

– Obruszyłem się, ponieważ zostałem wyrwany z głębokiego snu, cieszę się jednak, że przerwał pan tę niezdrową, pokolacyjną drzemkę, nie mówiąc już o tym, że jest pan tu zawsze mile widziany.

– Dziękuję. Nie jestem pewien – odparł pan Crisparkle, sadowiac się w podsunętym fotelu – czy sprawa, z którą przyszedłem, od początku wyda się panu tak miła jak ja sam, ale jestem zwiastunem pokoju i zajmuję się tą sprawą właśnie dlatego, aby zapanował spokój. Krótko mówiąc, panie Jasperze, chcę, aby tych dwóch młodzieńców się pogodziło.

Na twarzy pana Jaspera ukazał się wyraz poirytowania, co też było bardzo irytujące, ponieważ pan Crisparkle nie mógł go zrozumieć.

– Jak? – zapytał cicho i wolno Jasper.

– Właśnie przyszedłem, aby się dowiedzieć „jak”. Chcę pana prosić o wielką przysługę. Proszę, aby porozumiał się pan ze swym siostrzeńcem (tak jak ja porozumiałem się z pa-

nem Nevillem) i nakłonił go do napisania zgodnie z własnym uznaniem krótkiego listu, w którym oświadcza, że skłonny jest wyciągnąć rękę do zgody. Wiem, że dobry z niego chłopiec i wiem też, jaki pan ma na niego wpływ. W żadnym razie nie próbuję bronić pana Neville'a, jednak obaj musimy przyznać, że został boleśnie ugodzony.

Jasper zwrócił w stronę kominka poirytowaną twarz. Pan Crisparkle nie przestawał go obserwować i twarz ta wywarła na nim wrażenie jeszcze bardziej irytujące niż przedtem, ponieważ wydało mu się, iż dostrzega w niej ślady (co chyba nie mogło być prawdą) jakiegoś skrywanego wyrachowania.

– Wiem, że nie jest pan usposobiony życzliwie do pana Neville'a... – ciągnął kanonik mniejszy, ale Jasper mu przerwał:

– Ma pan podstawy, aby tak twierdzić. Istotnie, nie jestem.

– No, niewątpliwie... Mogę przyznać, że jego gwałtowny charakter godzien jest pożałowania, mam jednak wrażenie, że wspólnie uda nam się go ujarzmić. Uzyskałem uroczyste przyrzeczenie, że w przyszłości będzie się zachowywał poprawnie w stosunku do pańskiego siostrzeńca i jeżeli będzie pan tak uprzejmy interweniować w tej sprawie, jestem przekonany, że dotrzyma danego mi przyrzeczenia.

– Pan zawsze jest taki odpowiedzialny i godny zaufania, panie Crisparkle. Czy jest pan absolutnie pewny, że może za niego ręczyć z tak głębokim przekonaniem?

– Jestem tego pewny.

Poirytowany i irytujący wyraz twarzy zniknął.

– A zatem uwolnił mnie pan od dręczących myśli i obaw, zarazem zdjął mi pan ciężar z serca – stwierdził Jasper. – Uczynię to.

Pan Crisparkle, zachwycony szybkością i pełnią odniesionego sukcesu, wyrazem swej twarzy okazał to tak zręcznie, jak tylko potrafił.

– Uczynię to – powtórzył Jasper – aby uspokoić pańskie i moje niesprecyzowane i niejasne obawy. Może się pan śmiać... ale, czy prowadzi pan dziennik?

– Załedwie kilka wierszy dziennie, nic więcej.

– Bóg mi świadkiem, że jeden wiersz dziennie w zupełności wystarczyłby w moim nudnym życiu – stwierdził Jasper, podnosząc książkę z biurka – ale mój dziennik to w istocie dziennik życia Neda. Ten zapis może pana rozbawić, ale powinien pan odgadnąć, kiedy go zrobiłem.

„Po północy. Po tym, co właśnie zobaczyłem, ogarnął mnie tak straszny lęk przed jakimiś przerażającymi skutkami, które mogą wyniknąć dla mego drogiego chłopca, że w żaden sposób nie mogę go sobie wytłumaczyć, ani też przewyciężyć w sobie. Wszystkie wysiłki daremne. Demoniczna pasja tego Neville'a Landlessa, siła jego furii i dzika wściekłość, z jaką rzuca się na tego, kogo chce unicestwić, wszystko to mnie przeraża. Tak dogłębnie się tym przejąłem, że do tej pory byłem już dwa razy w pokoju mego dobrego chłopca, aby mieć pewność, że śpi bezpiecznie, a nie leży martwy, tonąc we krwi”.

– A tu jeszcze inny zapis. Następnego ranka:

„Ned wyjechał. Jak zwykle beztroski i ufny. Kiedy go ostrzegałem, śmiał się i powiedział, że jest równie dobry jak Neville Landless. Odparłem, że zapewne jest tak samo do-

bry, ale z pewnością nie tak samo zły. Ciągłe traktował to lekko, jednak pojechałem z nim tak daleko, jak tylko mogłem i niechętnie się z nim rozstałem. Nie mogę się pozbyć ponurych i niepojętych przeczuć czegoś złego – i jeśli tak to można określić – przeczuć popartych istotnymi faktami”.

– I tak dalej, i tak dalej – zakończył Jasper, kartkując dziennik, a potem odkładając go na biurko. – Inne fragmenty ukazują, że ten mój nastrój powtarza się. Jednak teraz mam pańskie zapewnienie, zapiszę je w swoim dzienniku i to będzie antidotum na moje czarne myśli.

– Takim antidotum, mam nadzieję – odparł pan Crisparkle – które spowoduje, że pozbędzie się pan tych czarnych myśli i ciśnie je w ogień. Zważywszy, że tak chętnie przystał pan na moją propozycję, powinienem dziś wieczorem załatwić coś jeszcze; idzie tu mianowicie o krytykę pod pańskim adresem – muszę bowiem stwierdzić, panie Jasperze, że chyba w tej konkretnej sprawie nieco pan przesadził, broniąc z takim zapałem swego siostrzeńca.

– Może pan zaświadczyć – odparł Jasper, wzruszając ramionami – jaki tamtej nocy był stan mego umysłu, zanim usiadłem do pisania, i jakimi słowami to wyraziłem. Przypomina pan sobie zarzut, że użyłem zbyt mocnego słowa? A przecież było ono dużo mocniejsze od tych, jakich użyłem w moim dzienniku.

– No, już dobrze. Spróbuj pan tego antidotum – ostro zareplikował pan Crisparkle – i niech przyniesie ono panu jaśniejszy i bardziej optymistyczny obraz całej tej sprawy! Teraz nie mówmy już o tym. We własnym imieniu szczerze panu dziękuję.

– Przekona się pan – powiedział Jasper, gdy ściskali sobie dłonie – że spełniając pańskie życzenie, nie uczynię tego połowicznie. Spróbuję, żeby – jeśli Ned ustąpi – zrobił to gruntownie.

Na trzeci dzień pan Jasper odwiedził pana Crisparkle’a z listem następującej treści:

*Drogi Jacku.*

*Wzruszył mnie Twój opis spotkania z panem Crisparkleem, którego darzę wielkim szacunkiem i wielce poważam. Natychmiast szczerze przyznaję, że zapomniałem się wówczas tak samo jak pan Landless i pragnąłbym, żeby wszystko naprawdę minęło i by znowu było jak dawniej.*

*Posłuchaj, staruszk, zaproś pana Landlessa na wigilijną kolację (im lepszy dzień, tym lepszy uczynek) i zasiądźmy do niej tylko we troje. Uściśnijmy sobie wszyscy dłonie i więcej nie mówmy o tym.*

*Jak zwykle serdecznie cię pozdrawiam, Drogi Jacku,*

*Edwin Drood*

*P.S. Pozdrów pannę Kicię na najbliższej lekcji muzyki.*

– A zatem spodziewa się pan pana Neville’a? – zapytał pan Crisparkle.

– Tak, liczę na to, że przyjdzie – odparł Jasper.

# ROZDZIAŁ XI

## OBRAZ I PIERŚCIEŃ

Za najstarszą dzielnicą Londynu, Holborn, gdzie niektóre liczące sobie kilka stuleci domy z wyniosłymi szczytami ciągle stoją, spoglądając na publiczną drogę, jakby posepnie się przyglądały dawno wyschniętej rzece Old Bourne, leży mały zakątek złożony z dwóch nieregularnych czworobocznych dziedzińców zwanych „Staple Inn”. Jest to jeden z tych zakątków, w którym pieszy po wejściu wprost z hałaśliwej ulicy z ulgą odnosi wrażenie, że wtknięto mu w uszy watę, a na podeszwy butów nałożono filc. Jest to jeden z tych zakątków, w których kilka okopconych wróbli ćwierka w koronach okopconych drzew, jakby nawoływały się słowami: „Zabawmy się w wieś!”, gdzie grządka ogrodowa długości kilku stóp i parę jardów żwiru zdają się pobudzać ich małe mózdzki do tego rodzaju skojarzeń. Co więcej, jest to jeden z tych zakątków stanowiących przybytek sądowy z niewielkim refektarium ozdobionym małą latarnią na kalenicy dachu; jakim to destrukcyjnym celem latarnia ta miała służyć i czym kosztem została tam założona – o tym już historia milczy.

W czasach, gdy Cloisterham obraziło się na istnienie odległej linii kolejowej, traktowanej jako zagrożenie dla niezwykle wrażliwej konstytucji, będącej własnością nas, Brytyjczyków – taki bowiem jest dziwny los tej uświęconej instytucji, że w jednakim stopniu krączy się i wytrząsa nad nią oraz nią się chełpi, bez względu na to co, gdzie i kiedy dzieje się na świecie – w tych to czasach w sąsiedztwie nie wznosiło się żadne przesłaniające Staple Inn wybitne dzieło architektoniczne i zachodzące słońce rzucało jasne spojrzenia na ten zakątek, a południowo-zachodni wiatr mógł dmuchać weń bez przeszkód.

Ale tego grudniowego popołudnia około szóstej ani wiatr, ani słońce nie okazywały względów Staple Inn, wszystko bowiem wypełniała mgła, a w oknach zamieszkałych pokoi pełgały mętne, rozmazane światła świec – zwłaszcza w oknach narożnego budynku stojącego przy małym wewnętrznym dziedzińcu, budynku, na którego brzydkim portalu czarno na białym widniał tajemniczy napis:

P  
J T  
1747

W jednym z pokoi, zajęty pisaniem listów przy kominku, siedział pan Grewgius, który nigdy tym napisem nie zaprzętał sobie głowy, chyba że zdarzyło mu się czasem rzucić nań okiem i pomyśleć, że litery mogły oznaczać Pewnie John Thomas albo Pewnie Joe Tyler<sup>[27]</sup>.

Któż mógłby pomyśleć, patrząc na pana Grewgiouisa, że kiedykolwiek mógł on żywić jakieś ambicje lub odczuwać rozczarowania? Został przygotowany do palestry, a skończył jako notariusz prowadzący kancelarię i przekazujący wezwania oraz sporządzający akty notarialne. Jednak związek praktyki notarialnej z osobą pana Grewgiouisa okazał się na tyle nieudany, że rozeszli się za obopólną zgodą – jeśli w ogóle można mówić o separacji tam, gdzie nigdy nie było prawdziwego zespolenia.

O nie, nieśmiała panna praktyka notarialna nie chciała związku z panem Grewgiousem. Ubiegał się o jej względy, ale ich nie uzyskał, toteż w końcu się rozstali. Tymczasem jakiś niespodziany wiatr przywiał mu arbitraż – pan Grewgiouis zdobył uznanie jako ktoś, kto odpowiednio postępując, niestrudzenie poszukuje właściwych rozwiązań, dlatego w efekcie wpadł mu do kieszeni dochodowy zarząd masy upadłościowej, tym razem przywiany z wiatrem bardziej konkretnego pochodzenia. I tym sposobem przypadkowo znalazł swoje miejsce w życiu jako zarządca i administrator dwóch bogatych posiadłości, prowadząc ich sprawy z położonym piętro niżej biurem adwokackim, zgasił swą ambicję (zakładając, że kiedykolwiek ją rozpałił) i na resztę życia usadowił się z gasindzielem pod suchą winoroślą i drzewkiem figowym niejakiego P.J.T., który posadził je w roku 1747.

Wiele rachunków i ksiąg rachunkowych, wiele plików korespondencji i rozmaitych solidnych pudeł zdobiło pokój pana Grewgiouisa. Trudno powiedzieć, żeby go zagracały lub zaśmiecały, gdyż były celowo i dokładnie poukładane. Sama myśl, że mógłby nagle umrzeć i zostawić po sobie jakąś sprawę lub jakąś cyfrę niedokończoną czy też niejasną, byłaby w stanie przyprawić pana Grewgiouisa o gwałtowną śmierć. We krwi tego człowieka płynęło absolutne oddanie i uczciwość wobec tego, czym się zajmował. Istnieją różne odmiany życiodajnej krwi, krążącej być może szybciej, radośniej, atrakcyjniej, ale nie ma lepszej od tej, która krąży w żyłach pana Grewgiouisa.

Jego pokój nie był urządzony zbyt kownie. Wygody ograniczały się do tego, że był suchy i ciepły oraz znajdował się w nim przytulny, choć staromodny i zniszczony kominek. To, co można by nazwać prywatnością, ograniczało się do paleniska, kominka, fotela i równie staroświeckiego okrągłego stołu, który po godzinach pracy ustawiano na dywanie, wynosząc z kąta, gdzie tkwił odwrócony niczym lśniaca mahoniowa tarcza. Tuż za nim, kiedy stał w kącie, znajdował się kredens, zwykle zawierający jakiś dobry trunek. Drugi, zewnętrzny pokój, zajmował jego kancelista; sypialnia pana Grewgiouisa leżała po drugiej stronie schodów, pod którymi dysponował bynajmniej nie pustą piwniczką. Minimum trzysta dni w roku udawał się na kolację do Furnival's Inn<sup>[28]</sup>, a po kolacji wracał do siebie, korzystając z prostych wygod do chwili, gdy pod literami P.J.T. z roku 1747 znowu nastawa! jasny dzień pracy.

Tego popołudnia pan Grewgiouis siedział i pisał przy kominku i podobnie kancelista pana Grewgiouisa siedział i pisał przy **swaim** kominku. Blady, z napuchłą twarzą, ciemnowłosy, trzydziestoletni osobnik o dużych, ciemnych i całkowicie pozbawionych blasku oczach; osobnik, którego ziemista cera zdawała się prosić o wysłanie jej do piekarza – ten właśnie pomocnik był zagadkową postacią, posiadającą jakąś dziwną władzę nad panem Grewgiousem. Wyglądało to tak, jakby zjawił się za pomocą magicznego zaklęcia, które



zawiodło, gdy nadszedł czas, by się go pozbyć. I teraz trzymał się mocno stołka pana Grewgiousa, chociaż panu Grewgiousowi byłoby znacznie wygodniej, gdyby mógł się od niego uwolnić. Ten ponury osobnik o zmierzwionych lokach sprawiał wrażenie jakby wyrósł w cieniu owego złowrogiego drzewa na Jawie<sup>429</sup>, pod którym schroniło się więcej kłamstw, aniżeli w całym królestwie roślin, a mimo to pan Grewgious traktował go ze zdumiewającą tolerancją.

– No, Bazzard – zagadnął pan Grewgious, kiedy jego kancelista wszedł do pokoju, i spojrzał nań znad papierów, które porządkował przed nadejściem nocy. – Co nam dziś wiatr przywiał, prócz mgły?

– Pan Drood – odparł Bazzard.

– Co pan Drood?

– Przyszedł – wyjaśnił Bazzard.

– Mogłeś go poprosić.

– Właśnie to robię – oświadczył Bazzard. Zgodnie z tymi słowami pojawił się gość.

– O, mój Boże! – Powiedział pan Grewgious, unosząc wzrok ponad parą biurowych świec. – Myślałem, że pan przyszedł, zostawił wizytówkę i odszedł. Jak się pan miewa, panie Edwinie? Mój Boże, pan się po prostu dławi!

– To przez tę mgłę – odparł Edwin. – I pieką mnie oczy, jakby ktoś w nie sypnął tureckim pieprzem.

– Naprawdę aż tak źle? Proszę zdjąć płaszcz, na szczęście kominek grzeje dobrze, to pan Bazzard tak dba o mnie.

– Wcale nie – wtrącił pan Bazzard od drzwi.

– Ach! To znaczy, że ja sam muszę o siebie dbać, a nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy – stwierdził pan Grewgious. – Proszę usiąść w moim fotelu. Nie. Błagam! Przychodząc z takiej pogody proszę siadać w m o i m fotelu.

Edwin usadowił się w fotelu stojącym w rogu pokoju. Mgłę, którą wniósł ze sobą i strzepnął z płaszcza i szala, szybko pochłonał ogień wesoło płonący na kominku.

– Wydaje mi się – oznajmił Edwin z uśmiechem – że zostanę tu jakiś czas...

– Ależ naturalnie! – zawołał pan Grewgious. – Proszę mi wybaczyć, że przerywam, ale pragnę, aby pan został. Mgła się rozwieje za kilka godzin. Tymczasem możemy zjeść kolację tu, w Holborn. Lepiej, żeby pan tu w środku usunął z oczu ten turecki pieprz, a nie na zewnątrz; proszę zostać na kolacji.

– Jest pan bardzo uprzejmy – powiedział Edwin, rozglądając się jakby podniecony perspektywą nowej, interesującej cygańskiej zabawy.

– Ależ bynajmniej – sprzeciwił się pan Grewgious. – To z **pańskiej** strony będzie bardzo uprzejmie, jeżeli przyłączy się pan do samotnego kawalera i zadowolony, czym chata bogata. A ja – dodał pan Grewgious, zniżając głos i mówiąc z błyskiem w oku, jakby wpadł mu do głowy jakiś znakomity pomysł – zaproszę do stołu Bazzarda. Inaczej mógłby być niezadowolony... Bazzard!

Bazzard pojawił się znowu.

– Zjesz z nami kolację.

– Jeżeli to polecenie, to oczywiście zjem, proszę pana – zabrzmiała ponura odpowiedź.  
– Co z niego za człowiek! – zawołał pan Grewgius. – To nie jest polecenie, to zaproszenie.

– Dziękuję panu – odparł Bazzard. – Wobec tego nie sprzeciwiam się.

– A więc załatwione. I może również nie miałbyś nic przeciwko temu – powiedział pan Grewgius – aby pójść do Furnival’s Inn i poprosić, żeby przysłali wszystko, co niezbędne do nakrycia stołu. Na kolację zamówimy wagę najgorętszej i najpożywniejszej zupy, jaką tam mają, potem najlepsze z gotowych, polecanych przez nich dań. Powiedzmy, że pieczeń – udziec barani, gęś lub indyka albo jakiś inny nadziewany drób, akurat znajdujący się w karcie... Krótko mówiąc, zamówimy to, co właśnie mają już gotowe.

Pan Grewgius złożył to liberalne zamówienie w typowy sposób, jakby czytał spis rzeczy, powtarzał wyuczoną lekcję lub recytował coś z pamięci. Bazzard, po wyciągnięciu z kąta i ustawieniu okrągłego stołu, oddalił się, aby wykonać polecenie.

– Jak pan widzi, postąpiłem dość roztropnie – powiedział cicho pan Grewgius po odejściu kancelisty – zatrudniając go do spraw furazu i intendentury, ponieważ w przeciwnym razie mógłby być niezadowolony.

– Wydaje mi się, że on i tak robi to, co chce, proszę pana – zauważył Edwin.

– To, co chce? – zdziwił się pan Grewgius. – Ależ skąd! Myli się pan całkowicie co do tego biedaka. Gdyby robił to, co chce, już by go tu nie było.

„Ciekawe, gdzie by był!”, pomyślał Edwin. Ale tylko pomyślał, ponieważ pan Grewgius podszedł i stanął z drugiej strony kominka, oparł się o gzyms i przygotował do swobodnej pogawędki.

– Przyjmuję, bez chęci przepowiadania czegokolwiek, że uczynił pan uprzejmość, przychodząc tutaj, aby powiadomić mnie, że udaje się tam... no tam, gdzie, jak sądzę, spodziewają się pana, aby przekazać ode mnie ewentualne polecenia mojej uroczej podopiecznej. A także może po to, żeby wtajemniczyć mnie w jakieś szczegóły? No co, panie Edwinie?

– Byłem tam po to, aby wyrazić moje uszanowanie.

– Uszanowanie! – wykrzyknął pan Grewgius. – Ach tak, oczywiście. A może zniecierpliwienie?

– Zniecierpliwienie?

Pan Grewgius zamierzał być figlarny – w żadnej mierze nie chcąc dać tego znać po sobie – i przysunął się tak blisko ognia, jakby chciał wypalić na sobie tę figlarność niczym jakieś delikatne wzory na twardym metalu. Jednak figlarność nagle uleciała wobec spokoju na twarzy i zachowania się gościa. Pozostał tylko ogień, zatem pan Grewgius zadrzał i zaczął się rozcierać.

– Byłem tam niedawno – oznajmił pan Grewgius, zmieniwszy ton głosu – i mówiąc o tym, mam na myśli moje rozeznanie, zgodnie z którym mogę stwierdzić, iż jest pan oczekiwany.

– W rzeczy samej, proszę pana! Tak, wiedziałem, że Kicia mnie oczekuje.

– To pan tam trzyma kota? – zdziwił się pan Grewgius.

Edwin zarumienił się nieco, odpowiadając:

– Różę nazywam Kicią.

– O, doprawdy – powiedział pan Grewgious, głaszcząc się po głowie – to bardzo miłe.

Edwin zerknął na jego twarz, niepewny czy ma to wyrażać zastrzeżenie do tego imienia, ale mógł z niej odczytać tyle, co z tarczy zegara.

– To takie piśszczotliwe imię, proszę pana – znowu wyjaśnił.

– Aha... – pan Grewgious skinął głową. Był to jednak wyraz tak niezwykłego kompromisu między pełną aprobatą a umiarkowanym zastrzeżeniem, że gość poczuł się bardzo niepewnie.

– Czy Ki... Róża... – zaczął Edwin, odzyskując równowagę.

– Ki...Róża? – powtórzył pan Grewgious.

– Chciałem powiedzieć Kicia, ale zmieniłem zamiar... Czy ona coś mówiła panu o Landlessach?

– Nie – odparł pan Grewgious. – Co to są Landlessy? Jakaś posiadłość? Willa? Gospodarstwo?

– To brat i siostra. Siostra jest w Domu Zakonnicy i bardzo się zaprzyjaźniła z Ki...

– Z Kiróżą – wtrącił pan Grewgious z kamienną twarzą.

– To niezwykle przystojna dziewczyna, proszę pana, i myślałem, że ktoś ją panu opisał, a może nawet przedstawił?

– Ani jedno, ani drugie – odparł pan Grewgious. – Ale oto Bazzard.

Bazzard wrócił w towarzystwie dwóch kelnerów – kelnera nieruchomego i kelnera latającego, a cała trójka wniosła ze sobą tyle mgły, że w kominku zahuczał ogień. Latający kelner, który wniósł wszystko na ramionach, nakrył do stołu ze zdumiewającą szybkością i zręcznością, podczas gdy kelner nieruchomy, który nie wniósł niczego, ciągle go pouczał. Potem kelner latający wypolerował do połysku wszystkie przyniesione kieliszki, a nieruchomy je sprawdził. Następnie latający kelner poleciał do Holborn po zupę, przyleciał z powrotem i znowu odbył lot po gotowe danie; potem poleciał po drób i przyleciał, a w tym czasie dodatkowo latał po różne drobiazgi, kiedy od czasu do czasu okazywało się, że zapomniał o nich nieruchomy kelner. Ale choćby latający kelner szybował w powietrzu ze wszystkich sił, zawsze gdy wracał, nieruchomy kelner ganił go za to, że wnosi ze sobą mgłę i ciężko dyszy. Po zakończeniu posiłku, kiedy kelner latający był już poważnie zlatany, kelner nieruchomy z godną miną wziął obrus pod pachę i surowo (żeby nie powiedzieć z oburzeniem) spojrzawszy na latającego kelnera, zbierającego szybko kieliszki, rzucił panu Grewgiousowi pożegnalne spojrzenie, które zdawało się mówić: „I żeby to było między nami jasne – napiwek należy się mnie, a temu niewolnikowi guzik z pętelką...”. Po czym wyszedł z pokoju, pchając przed sobą latającego kelnera.

Przypominało to bardzo szczegółową miniaturę, przedstawiającą działalność Czcigodnych Członków Wydziału Jałowego Gadania w jakimś rządowym Naczelnym Dowództwie. Obrazek ten był tak bardzo pouczający, że można by go było powiesić w Muzeum Narodowym.

Jeżeli mgła bezpośrednio przyczyniła się do tej wystawnej uczy, to również mgłą stała się tej uczy przyprawą. Słuchanie jak na dworze ci urzędnicy kichają, sapią i na żwirze

przytupują nogami, stanowiło rozkosz przewyższającą zażywanie najlepszej mikstury na przeziębienie. Kierowanie prośby ze wzdrygnięciem się, do nieszczęsnego latającego kelnera, aby zamknął za sobą drzwi, zanim jeszcze zdążył je otworzyć, stanowiło przyprawę o aromacie głębszym od tej, jaką mógłby zaserwować Harvey. Możemy tu przy okazji zauważyć, że noga tego młodego człowieka w zetknięciu z drzwiami wykazywała wyczuć pełne precyzji, wyprzedzając o kilka sekund jego samego oraz tacę, co w pewnym stopniu mogło przypominać zarzucanie wędki, i zawsze – kiedy on i taca już zniknęły – pozostawała z tyłu, niczym noga Makbeta schodzącego niechętnie ze sceny, by zamordować Duncana.

Gospodarz zszedł do piwniczki i wyniósł z niej butelki napełnione rubinowymi, żółtymi i złotymi płynami, które dawno temu dojrzewały w krainach pozbawionych mgieł i do tej pory spokojnie drzemały sobie w cieniu. Po długiej drzemce, musując, wypychały korki i radośnie tańcząc, spieszyły z pomocą korkociągowi (jak więźniowie pomagają buntownikom wyważyć wrota). Jeżeli P.J.T. w roku 1747 lub w jakimś innym roku pijał podobne wina, to te litery musiały oznaczać „Przyjemnie Jowialny Także”.

Zachowanie i wygląd pana Grewgiousa nie wskazywały, by te rozgrzewające trunki go rozweseliły. Równie dobrze miast pić, mógł je marnować, wylewając na siebie w charakterystycznym, suchym stylu, albowiem i tak nie wywołały na jego twarzy żadnych świateł ni cieni. Zachowywał się jak zwykle. Jednak, na swój drewniany sposób, nie przestawał obserwować Edwina i kiedy po kolacji znowu zaprosił go na swój fotel przy kominku, a Edwin po krótkim wzbraniu usadowił się w nim wygodnie, pan Grewgious również przysunął się do kominka i kiedy gładził dłonią głowę i twarz, można było dostrzec, jak przygląda się gościowi przez palce.

– Bazzard! – zawołał nagle pan Grewgious, odwracając się do kancelisty.

– Nadażam za panem – odparł Bazzard, który wywiązywał się z zadania spożywania posiłku i picia wina, jakby wykonywał jakąś ciężką pracę, czyniąc to na ogół w milczeniu.

– Twoje zdrowie, Bazzard; panie Edwinie, za powodzenie pana Bazzarda!

– Za powodzenie pana Bazzarda! – powtórzył Edwin z całkowicie nieuzasadnionym entuzjazmem, zapytując w myślach: „Co to właściwie ma znaczyć?”

– I za maj! – kontynuował pan Grewgious. – Nie potrafię tego inaczej wysłować... Maj! ... Mój dar wymowy jest tak ograniczony, że zdaję sobie sprawę, iż mi to nie wyjdzie... Maj!... To powinno być wyrażone z fantazją, a mnie brak fantazji!... Maj... hm, już niemal ugodził mnie cierń obawy... Maj, niech to się wreszcie już stanie!

Pan Bazzard, uśmiechając się krzywo do ognia, wetknął palce w potargane loki, jakby właśnie w nich tkwił ów cierń, potem zaczął go szukać w kamizelce, a na koniec sprawdził kieszenie. Oczy Edwina pilnie śledziły wszystkie jego ruchy, jakby młodzieniec spodziewał się ujrzeć skutki działania poszukiwanego ciernia. Jednak niczego nie zobaczył, a pan Bazzard powiedział jedynie:

– Podążam za panem i dziękuję.

– Zamierzam teraz... – odezwał się pan Grewgious, by pobrzękując następnie jedną ręką kieliszkiem o stół i pochylając się pod osłoną drugiej, szepnąć do Edwina: – Zamierzam teraz wypić za moją podopieczną. Ale wpięram w piętę za Bazzarda. Inaczej mógłby

być niezadowolony.

Powiedział to z zagadkowym przymrużeniem oka, a raczej mogłoby to być przymrużenie oka, gdyby w wykonaniu pana Grewgiousa było wystarczająco szybkie. Edwin w odpowiedzi też przymrużył oko, nie mając najmniejszego pojęcia, co to miałoby oznaczać.

– A teraz – dodał pan Grewgious – pełnym kielichem wznoszę toast za piękną i fascynującą pannę Różę!

– Podążam za panem – odparł Bazzard – i też wznoszę toast!

– Ja również! – przyłączył się Edwin.

– Boże, miej mnie w swojej opiece! – zawołał pan Grewgious, przerywając martwą ciszę, jaka potem oczywiście nastąpiła. Czy ktoś mógłby powiedzieć, dlaczego zapadają tego rodzaju nagłe cisze, gdy tylko wykonamy jakiś drobny, konwencjonalny lub naturalny gest, bezpośrednio niezwiązany ze sprawdzeniem siebie lub psychicznym przygnębieniem? – Osobliwie jestem z grubsza ciosanym człowiekiem, a jednak wyobrażam sobie (jeżeli mogę użyć tego słowa, nie posiadając za grosz wyobraźni), że dzisiejszego wieczoru mógłbym odmalować obraz przedstawiający prawdziwy stan ducha człowieka szczerze zakochanego.

– Niech więc go pan nam odmaluje – poprosił Bazzard.

– Pan Edwin skoryguje mnie, jeżeli się pomylę – kontynuował pan Grewgious – i dorzuci kilka szczegółów wziętych z życia. Śmiem twierdzić, że ten mój obraz w wielu szczegółach nie jest prawdziwy i wymaga życiowych uzupełnień, ponieważ urodziłem się jako sucha szczapa i nie jestem zdolny do delikatnych uczuć i subtelnych wrażeń. No dobrze! Ale śmiem również zgadywać, że umysł prawdziwego kochanka jest całkowicie pochłonięty obiektem swych uczuć. Zaryzykuję też i zgadnę, że ceni sobie jej drogie imię, traktuje je jak coś świętego i nie może go słuchać lub powtarzać obojętnie. Jeżeli nadał jej jakieś szczególnie czułe imię, jest ono zarezerwowane wyłącznie dla niej i nie przeznaczone dla innych uszu. Nazywanie jej tym imieniem jest jego przywilejem i używa go tylko wtedy, gdy przebywa sam na sam z tą świetlaną istotą. Popisywanie się nim w innych sytuacjach byłoby zbyt dużą poufałością, wyrazem oziębłości, braku wrażliwości, niemal nadużywaniem zaufania.

Przyjemnie było obserwować pana Grewgiousa, siedzącego sztywno z rękoma na kolanach i z trudem, miarowo i jednostajnie wyciosującego z siebie te słowa; obdarzony doskonałą pamięcią chłopiec z instytucji dobroczynnej mógłby w ten sposób recytować katechizm. Pan Grewgious nie przejawiał żadnego zaangażowania uczuciowego, oprócz pewnego przypadkowego drżenia, które można było chwilami zauważyć w okolicy koniuszka nosa.

– Mój obraz – ciągnął pan Grewgious – przedstawia (jeśli nie zamierza pan tego skorygować, panie Edwinie) prawdziwego kochanka jako kogoś, kto zawsze niecierpliwie czeka, by znaleźć się blisko ukochanego obiektu swych uczuć. A ponieważ ciągle szuka towarzystwa tego obiektu, mało mu zależy na obecności innych osób. Gdybym powiedział, że szuka go tak, jak ptak szuka miejsca na gniazdo, wypadłbym głupio, bowiem oznaczałoby to zapuszczanie się w rejony poezji, a od zagłębiania się w nią jestem na tyle daleki, że – o

ile wiem – nigdy nie byłem od niej bliżej niż w odległości dziesięciu tysięcy mil. A poza tym absolutnie nie znam się na obyczajach ptaków w Stable Inn, które szukają miejsca, aby wic gniazda na parapetach, w rurach spustowych i na kominach, jednym słowem w miejscach bynajmniej nieprzeznaczonych do tego celu przez dobrotliwą rękę matki Natury. Proszę więc mnie zrozumieć, jeśli porzucę tę metaforę ptasiego gniazda. Mój obraz przedstawia prawdziwego kochanka jako kogoś, kto nie może istnieć bez ukochanego obiektu uczuć, kto jednocześnie prowadzi życie podwójne i życie połowiczne. Jeżeli nie wyrażam jasno tego, co mam na myśli, to albo dlatego, że nie posiadam daru wymowy i nie mogę wyrazić słowami moich myśli, albo po prostu nie mam nic do powiedzenia i nie mam na myśli tego, czego nie udaje mi się wyrazić, co – według mej najlepszej wiary – w obecnej sytuacji nie ma miejsca.

W czasie, gdy wyłaniały się poszczególne fragmenty tego obrazu, Edwin na przemian to czerwienił się, to bladł. Teraz siedział, wpatrując się w ogień i zagryzając wargi.

– Domysły z grubsza ciosanego człowieka – pan Grewgius ciągle siedział i mówił tak jak przedtem – są prawdopodobnie mylne w odniesieniu do tak skomplikowanego tematu. Jednak wyobrażam sobie (o ile pan Edwin mnie nie skoryguje), że w umyśle prawdziwego kochanka nie ma miejsca na chłód, znużenie, wątpliwości, obojętność; nie ma miejsca na dławiący się dymem dogasający ogień. Proszę mi powiedzieć, czy taki obraz zbliżony jest do prawdy?

Kończąc tak nagle, jak zaczął, cisnął tym pytaniem w Edwina i zamilkł w chwili, gdy można by się spodziewać, że znajduje się dopiero w połowie oracji.

– Chciałbym zauważyć, proszę pana... – jąkał się Edwin – ... jeżeli oczywiście to pytanie skierowane jest do mnie...

– Tak – wtrącił pan Grewgius – kieruję to pytanie do pana jako do znawcy przedmiotu.

– Chciałbym więc zaznaczyć, proszę pana – kontynuował Edwin zmieszany – że odmalowany przez pana obraz, ogólnie biorąc, jest prawdziwy; muszę jednak przyznać, że może jest pan zbyt surowy dla tego nieszczęsnego kochanka.

– Możliwe – zgodził się pan Grewgius – zupełnie możliwe, ale ja sam z natury jestem surowy.

– A może on nie pokazuje po sobie wszystkiego, co czuje – mówił dalej Edwin. – Albo nie może...

Aby znaleźć odpowiednie słowa, zamilkł na tak długo, że pan Grewgius utrudnił mu to tysiąckrotnie, wtrącając:

– Nie, na pewno on nie **może!**

Potem wszyscy siedzieli w milczeniu, z tym, że milczenie pana Bazzarda było spowodowane drzemką.

– Jego obowiązki są bardzo rozległe – odezwał się wreszcie pan Grewgius ze wzrokiem utkwionym w ogień.

Edwin przytaknął skinieniem głowy ze wzrokiem również utkwionym w ogień.

– I niech się upewni, że nie igra z niczymi uczuciami – uzupełnił pan Grewgius. – Ani ze swoimi, ani z uczuciami kogokolwiek innego.

Edwin znowu zagryzł wargi i ciągle siedział, wpatrując się w ogień.

– Nie wolno mu się bawić swoim skarbem. A jeśli tak jest, to biada mu. Niech to sobie dobrze zapamięta – powiedział pan Grewgious.

Mówił to wszystko krótkimi zdaniami, tak jak niedawno wspomniany wyimaginowany chłopiec z instytucji dobroczynnej mógłby cytować z księgi przysłów, było jednak coś nieokreślonego (u tak dosłownego człowieka) w sposobie kiwania prawym wskazującym palcem w stronę rozżarzonych węgli na kominku. Potem zamilkł znowu.

Lecz nie na długo. Tak jak przez cały czas siedział sztywno na krześle, teraz nagle klepnął się w kolana niczym jakiś wyrwany z zadumy śmieszny chiński bożek i powiedział:

– Musimy wysuszyć tę butelkę, panie Edwinie. Pozwoli pan, że naleję. Naleję też Bazardowi, chociaż śpi. Inaczej mógłby być niezadowolony.

Nalał im obu, sobie, wychylił swój kieliszek i postawił go na stole do góry dnem, jakby nakrył nim muchę.

– A teraz, panie Edwinie – ciągnął dalej, wycierając usta i dłonie chusteczką – teraz trochę o interesach. Zapewne otrzymał pan uwierzytelnioną kopię testamentu ojca panny Róży, już przedtem poznał pan jego treść, ale teraz otrzymał pan kopię w trybie urzędowym. Powinienem przekazać ją panu Jasperowi, jednak panna Róża życzyła sobie, abym dostarczył bezpośrednio panu. Czy otrzymał ją pan?

– Oczywiście, proszę pana.

– A zatem powinien pan urzędowo potwierdzić odbiór – oświadczył pan Grewgious. – Interes to interes. Jak wszędzie na świecie. A jednak dotychczas nie zrobił pan tego.

– Chciałem to, proszę pana, zrobić dzisiaj, zaraz po przyjściu tutaj.

– Nie byłoby to urzędowe potwierdzenie odbioru – oznajmił pan Grewgious – ale możemy pomówić o tym. A zatem zauważył pan w tym dokumencie kilka uprzejmych słów dotyczących pewnego, wyrażonego słownie, drobnego zobowiązania, które podjąłem się wypełnić przy stosownej okazji.

– Tak, proszę pana.

– Panie Edwinie, kiedy patrzyłem w ogień, wpadło mi do głowy, że aby to zobowiązanie wypełnić, nie mógłbym znaleźć stosowniejszej okazji, niż właśnie ta, jaka teraz się nadarzyła. Proszę więc, aby mi pan poświęcił chwilę uwagi.

Wyjął z kieszeni pęk kluczy, wybrał przy świetle świecy właściwy klucz, a potem ze świecą w ręku podszedł do biurka, czy też sekretarzyka, otworzył go, przycisnął sprężynę małej tajnej szufladki i wyjął z niej zwykle pudełeczko, w którym znajdował się tylko jeden pierścień. Wrócił na swoje krzesło i wyciągnął ku młodzieńcowi drżącą rękę z pudełeczkiem.

– Panie Edwinie, ta osadzona w złocie róża z brylantów i rubinów to pierścień, który niegdyś należał do matki panny Róży. W mojej obecności został on z taką rozpaczą zdjęty z jej martwej ręki, że mam nadzieję, iż nigdy już nie przyjdzie mi oglądać podobnej. Jestem twardy, ale nie na tyle, aby powtórnie przeżyć coś podobnego. Proszę spojrzeć jak jasno błyszczą te kamienie! – Otworzył pudełeczko. – A jednak oczy tej, która z lekkim i dobrym sercem tak często na nie spoglądała, oczy, które były od nich o tyle jaśniejsze, te oczy już

przed laty obróciły się w popiół i pył pośród pyłu! Gdybym posiadał wyobraźnię (a nie muszę dodawać, że jej nie posiadam), mógłbym sobie wyobrazić, że nieprzemijające piękno tych kamieni jest niemal okrutne.

Mówiąc to, zamknął pudełeczko.

– Ten pierścień otrzymała młoda dama, która utonęła na samym początku wspaniałego i szczęśliwego życia u boku swego męża, wówczas, gdy po raz pierwszy przysięgali sobie wierność. I to właśnie on ściągnął go z palca jej martwej ręki i to on, gdy sam był już bliiski śmierci, umieścił go w mojej dłoni. Przyrzekłem mu wtedy, że w chwili, gdy pan i pan-na Róża osiągniecie pełnoletność i jeśli do tego czasu szczęśliwie wytrwa wasze narzeczeństwo, wręcę panu ten pierścień, aby włożył go pan na jej palec. Gdyby jednak jego życzenie się nie spełniło, pierścień ma pozostać u mnie.

Na twarzy młodzieńca ukazało się coś w rodzaju zakłopotania, a ruchy rąk były niezdecydowane, gdy pan Grewgious wpatrywał się weń przenikliwie i wręczał mu pierścień.

– Umieszczenie go na jej palcu – kontynuował – stanowić będzie poważne przyrzeczenie wierności żywym i umarłym. Niech go pan ze sobą zabierze, udając się do niej, aby poczynić ostatnie przygotowania do ślubu.

Młodzieniec umieścił pudełeczko w kieszeni na piersi.

– Gdyby coś było nie tak, gdyby coś między wami było w najmniejszym stopniu nie w porządku, jeśli żywi pan jakieś skrywane przeświadczenie, że decyduje się na ten krok tylko dlatego, iż od dawna już przywykł pan do myśli o nim i teraz jedynie na to czeka, a nie podejmuje decyzji z innego, wyższego powodu, wówczas – mówił pan Grewgious – raz jeszcze zobowiązuję pana wobec żywych i umarłych, aby mi pan zwrócił ten pierścień!

W tym momencie Bazzard ocknął się z chrapnięciem i – jak to zwykle bywa w takich okolicznościach – siedział apoplektycznie, gapiąc się w pustkę, jakby jej rzucał wyzwanie, by oskarżyła go o zaśnięcie.

– Bazzard! – skarcił go pan Grewgious ostrzej niż zwykle.

– Nadażam za panem – odparł Bazzard – i przez cały czas będę za panem nadażał.

– Wywiązując się z danego przyrzeczenia, wręczam panu Edwinowi Droodowi pierścień z brylantami i rubinami. Widzisz?

Edwin pokazał pudełeczko, otworzył je, a Bazzard zajrzał do środka.

– Nadażam za wami, panowie – odparł Bazzard – i jestem świadkiem tej transakcji.

Teraz Edwinowi Droodowi wyraźnie śpieszno było do wyjścia i znalezienia się w samotności. Ubrał się i wymamrotał coś o czasie i umówionych spotkaniach. Mgła była wciąż gęsta (jak doniósł latający kelner, który przyleciał w sprawie podania kawy), ale Edwin nie przejął się tym, a Bazzard w swoim stylu „nadażył” za nim.

Pan Grewgious, zostawszy sam, ponad godzinę cicho i wolno spacerował po pokoju. Tego wieczoru zdawało się, że jest przybity i niespokojny.

– Mam nadzieję, że dobrze postąpiłem – powiedział do siebie. – To, co uczyniłem, wydawało się konieczne. Ciężko było pozbywać się tego pierścienia, ale i tak wkrótce musiałbym go stracić.

Z westchnieniem wsunął na miejsce pustą szufladkę, zamknął sekretarzyk i czując się



bardzo samotny, wrócił do kominka.

– Jej pierścień – ciągnął. – Czy wróci do mnie? Moje myśli krążą dziś niespokojnie wokół tego pierścienia. Ale to zrozumiałe. Miałem go tak długo i był mi tak bardzo drogi! Zastanawiam się...

Był pełen wątpliwości i niepokoju; i chociaż uwolnił się od tego, udając się na kolejny spacer, kiedy usiadł, znowu zaczął się zastanawiać.

– Zastanawiam się po raz tysięczny (jakiż to ze mnie słaby głupiec i jakie to może mieć teraz znaczenie!), czy powierzył mojej opiece to ich osierocone dziecko, ponieważ wiedział... O Boże, jaka ona teraz jest podobna do matki!

– Zastanawiam się, czy on choćby przez moment podejrzewał, że ktoś kochał się w niej beznadziejnie, niewymownie, na odległość, a potem zjawił się on, uderzył i zwyciężył. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek przemknęło mu przez myśl, kto był tym nieszczęśnikiem!

– Zastanawiam się, czy będę mógł dzisiaj spać! W każdym razie odseparuję się od świata pościelą i spróbuję...

Pan Grewgious wszedł po schodach do swej surowej i wypełnionej mgłą sypialni i wkrótce był gotów do snu. Ujrzawszy w zamglonym lustrze odbicie swej twarzy, przysunął bliżej świecę i przyglądał się jej przez chwilę.

– Jak komuś takiemu jak t y mógł w ogóle wpaść do głowy podobny pomysł! – wykrzyknął. – No! No! No! Właż już do łóżka, biedaku, i przestań pleść bzdury!

Z tymi słowy zgasił światło, otulił się kołdrą i z westchnieniem odseparował się od świata. A jednak istnieją takie niezbadane, romantyczne zakątki w całkiem nieprawdopodobnych ludziach, jak choćby ten stary, suchy jak hubka i próchno P.J.T., który przy różnych okazjach dawno temu Prawdopodobnie Jęczał Też – około roku tysiąc siedemset czterdziestego siódmego.

## ROZDZIAŁ XII

### NOC Z DURDLESEM

Kiedy z nadejściem wieczoru pan Sapsea nie ma nic lepszego do roboty, a kontemplacja własnej głębi, mimo pojemności tematu, staje się nieco monotonna, często udaje się na dziedziniec katedralny, aby tam się przewietrzyć. Lubi przechodzić przez cmentarz z dumną miną posiadacza i w głębi duszy napawać się uczuciem dobroczyńcy-właściciela, ponieważ szczodry był dla jego zacnej lokatorki, pani Sapsea, i publicznie oddawał jej cześć. Lubi przyglądać się twarzom przypadkowych przechodniów zagląających przez ogrodzenie i być może czytających jego napis na nagrobku żony. Kiedy widzi kogoś nieznanego, kto szybkim krokiem opuszcza cmentarz, jest szczerze przekonany, że zgodnie z wezwaniem na nagrobku „odchodzi zawstydzony”.

Pan Sapsea, odkąd został burmistrzem Cloisterham, stał się kimś ważnym. Bez burmistrzów, i to w dużych ilościach, niewątpliwie cała społeczna struktura – pan Sapsea jest przekonany, że to właśnie on wymyślił tę świątłą metaforę – mogłaby runąć w gruzy. Burmistrzom nadawano tytuły szlacheckie za „wygłaszanie” mów; stanowili oni jakby nieustraszone maszyny wojenne, rażące kulami i pociskami reguły angielskiej gramatyki. Pan Sapsea też może „wygłosić” mowę. „Powstań, panie Tomasz Sapsea! Albowiem tacy jak pan są solą tej ziemi”.

Znajomość pana Sapsea z panem Jasperem zacieśniła się od ich pierwszego spotkania związanego z kieliszkiem porto, napisem na nagrobku, partyjką tryk-traka, wołowiną i sałatą. Pan Sapsea jest przyjmowany w domu pana Jaspera jak ktoś z rodziny, a przy tego rodzaju okazjach pan Jasper zasiada do pianina i śpiewa, łaskocząc – w przenośni – jego uszy tak długo, jak długo jest dość miejsca do łaskotania. Panu Sapsea naprawdę podoba się, że ten młodzieniec zawsze gotów jest korzystać z wiedzy starszych i że – szanowny panie – jest z niego człowiek z gruntu rozsądny. Świadczy o tym fakt, iż wieczorem nie śpiewa dla pana Sapsea jakichś tam błahych przyśpiewek cieszących uszy wrogów narodu, ale prezentuje mu, wypichcone w domowych pieleszach, prawdziwe dzieła z czasów Jerzego Trzeciego, nawołujące (na przykład: „Moi dzielni chłopcy!”) do zmiecienia z powierzchni ziemi wszystkich wysp, prócz tej jednej, jak również wszystkich kontynentów, półwyspów, przesmyków, przylądków i innych geograficznych formacji lądowych, a poza tym – do rozpedzenia mórz na wszystkie strony świata. Krótko mówiąc, są to dzieła stwierdzające całkiem wyraźnie, że Opatrzność popełniła wyraźny błąd, tworząc z dzielnych ludzi tak mały naród i równocześnie stwarzając tak wielu innych ludzi podobnych do nędznych robaków.

Tego wilgotnego wieczoru pan Sapsea, przechadzając się w pobliżu cmentarza z rękoma założonymi do tyłu i wypatrując jakiegoś umykającego zawstydzonego nieznanego, skrę-

ca za róg i nieoczekiwanie znajduje się w zacnym towarzystwie księdza dziekana, który rozprawia z kościelnym i panem Jasperem. Pan Sapsea kłania się i natychmiast staje się osobą bardziej duchowną niż ten lub inny arcybiskup Yorku albo Canterbury.

– Najwyraźniej zamierza pan napisać o nas książkę, panie Jasper – przemawia ksiądz dziekan. – Tak, chce pan o nas napisać książkę. A to dobrze, bowiem to bardzo stare miejsce i powinniśmy mieć na jego temat doskonałą książkę. Jesteśmy mniej bogaci w zabytki aniżeli w lata, ale być może właśnie o **tym** między innymi napisze pan w swojej książce i zwróci uwagę na to, co nam się złego przytrafiło.

Pan Tope czuje się w obowiązku okazać z tego powodu wielkie rozbawienie.

– Doprawdy, proszę pana, nie mam najmniejszego zamiaru – odpowiada Jasper – zostać pisarzem lub archeologiem. To tylko taki mój kaprys i za ten kaprys bardziej odpowiedzialny jest obecny tu pan Sapsea, niż ja sam.

– Jakże to, panie burmistrzu? – dziwi się ksiądz dziekan z dobrotliwym skinieniem głowy, przyjmując do wiadomości obecność swego sobowtóra. – Jakże to, panie burmistrzu?

– Nie mam pojęcia – wtrąca pan Sapsea, rozglądając się wokół w poszukiwaniu jakiejś bliższej informacji – o czym wielebny ksiądz dziekan raczy mówić. – A potem bardzo dokładnie zaczyna przyglądać się oryginałowi.

– Durdles – podpowiada pan Tope.

– A...! – powtarza ksiądz dziekan. – Durdles, Durdles!

– Prawdą jest, proszę pana – wyjaśnia Jasper – że to pan Sapsea po raz pierwszy rozbudził moje zainteresowanie tym człowiekiem. Jego znajomość natury ludzkiej i zdolność wynajdywania wszystkiego, co odizolowane lub dziwne w otaczającym nas świecie, po raz pierwszy skłoniła mnie do zwrócenia uwagi właśnie na tego człowieka – chociaż rzecz jasna i przedtem często go tutaj spotykałem. Nie zdziwiłoby to księdza dziekana, gdyby ksiądz widział jak pan Sapsea – zresztą tak samo jak ja – radzi sobie z nim we własnym salonie.

– Och! – woła pan Sapsea, z niewymownym zadowoleniem, pompatycznie chwytając rzuconą mu piłeczkę. – Tak, tak, a więc wielebny ksiądz dziekan o tym raczy mówić? Tak. Szczęśliwie się zdarzyło, że poznałem Durdlesa z panem Jasperem. Niezłe indywiduum z tego naszego Durdlesa.

– Indywiduum, panie Sapsea, które kilkoma zręcznymi pociągnięciami znakomicie pan rozpracował – stwierdza pan Jasper.

– No, niezupełnie, niezupełnie – odpowiada licytator, krocząc niezdarnie. – Ale być może mam na niego jakiś wpływ i być może trochę poznałem jego charakter. Bardzo wielebny ksiądz dziekan zechce uprzejmie uwzględnić, że posiadam wiedzę o świecie. – Tu pan Sapsea pozostaje nieco z tyłu za księdzem dziekanem, śledząc guziki jego płaszcza.

– No tak – mówi ksiądz dziekan, rozglądając się w poszukiwaniu swej odbitki. – Mam nadzieję, panie burmistrzu, że użyje pan swojej znajomości Durdlesa w dobrym celu i nakłoni go pan, aby nie skręcił karku naszemu zacnemu i szanowanemu kantorowi; nie możemy sobie na to pozwolić. Jego głowa i głos są dla nas zbyt cenne.

Pan Tope znowu jest wielce rozbawiony i zwija się z szacunkiem w konwulsjach śmie-

chu, potem przechodzi do pełnego szacunku mamrotania, sugerując, iż z pewnością każdy dżentelmen uznałby za prawdziwą przyjemność i zaszczyt, gdyby to właśnie jemu skreślono kark w zamian za taki komplement, w dodatku pochodzący z tego rodzaju źródła.

– Biorę to na siebie, proszę pana – oznajmia górnolotnie Sapsea – i zadbam odpowiednio o kark pana Jaspera. Polecę Durdlesowi, aby uważał na niego, a on z pewnością mnie posłucha. A co mu teraz grozi? – pyta, rozglądając się z cudowną protekcjonalnością.

– Jedynie to, co może grozić komuś podczas nocnych wycieczek z Durdlesem między groby, krypty, wieże i ruiny – odpowiada Jasper. – Przypomina pan sobie, jak wtedy, gdy byliśmy razem u pana, zasugerował pan, że jako miłośnik rzeczy malowniczych mógłbym to uznać za coś interesującego?

– Tak, przypominam sobie! – odpowiada licytator. I ten nadęty idiota rzeczywiście wierzy, że to pamięta.

– Wykorzystując te sugestie – ciągnie Jasper – odbyłem kilka dziennych wypraw z tym niezwykłym typkiem, a dzisiejszej nocy zamierzam obejrzeć różne zakamarki.

– A oto i on – mówi ksiądz dziekan.

I rzeczywiście, wlokąc się w ich kierunku, ukazuje się Durdles z węzełkiem w ręku. Zbliża się, zauważywszy księdza dziekana, ściąga kapelusz z głowy i wlecze dalej z kapeluszem pod pachą; w tejże chwili zatrzymuje go pan Sapsea.

– Dobrze się zaopiekuj moim przyjacielem – rzuca mu polecenie pan Sapsea.

– A który to z pańskich przyjaciół jest umrzykiem? – pyta Durdles. – Nie było żadnych poleceń dotyczących jakiegoś **pańskiego** przyjaciela.

– Mam na myśli tego tu, żywego przyjaciela.

– Ach, tego? – pyta Durdles. – Już pan Jasper sam o **siebie** zadba.

– Ale ty również zadbaj o niego – zwraca mu uwagę pan Sapsea.

Durdles, słysząc w głosie pana Sapsea rozkazujący ton, arogancko mierzy go wzrokiem od stóp do głów.

– Z przeproszeniem waszej wielbności, księdza dziekana, jeżeli pan zadba o swoje sprawy, panie Sapsea, to Durdles zadba **o swoje**.

– Nie panujesz nad sobą – stwierdza pan Sapsea, mrugając do pozostałych, by zwrócili uwagę, jak gładko sobie z nim radzi.

– Mój przyjaciel to moja sprawa, a pan Jasper jest moim przyjacielem. I ty też jesteś moim przyjacielem.

– Niech no pan nie popada w zły nawyk chełpienia się – odpowiada Durdles, z powagą kiwając ostrzegawczo głową.

– Nie panujesz nad sobą – powtarza pan Sapsea, czerwieniąc się, lecz znowu mruga do towarzyszy.

– Przyznaję – odpowiada Durdles – że nie lubię, jak ktoś pozwala sobie na zbyt wiele.

Pan Sapsea po raz trzeci mruga, jakby chciał powiedzieć: „Chyba się ze mną zgodzicie, że **jego** sprawę załatwiłem”, i unika dalszej polemiki.

Durdles, życząc księdzu dziekanowi dobrej nocy, dodaje, wkładając kapelusz:

– Tak jak uzgodniliśmy, znajdzie mnie pan w domu, panie Jasper, kiedy tylko pan ze-

chce, a teraz idę do siebie, aby się oczyścić – i wkrótce znika.

To pójście do siebie, aby się oczyścić jest jednym z niepojętych kompromisów tego człowieka z nieubłaganymi faktami; ani on, ani jego kapelusz, buty czy ubranie nigdy nie noszą żadnych śladów czyszczenia, lecz zawsze pozostają nienaruszone i jednolicie pokryte kurzem i błotem.

Teraz zapalacz lamp wypełnia spokojny dziedziniec punktami światła, biegając pod uświęconą kopułą mroku tam i z powrotem z drabinką – z tą małą drabinką, której niewygodny poznały już całe pokolenia zapalaczy, ale Cloisterham byłoby przerażone myślą o jej zlikwidowaniu. Ksiądz dziekan udaje się na kolację, pan Tope na podwieczorek, a pan Jasper do swego pianina. Tam, nie zapalając światła, jedynie przy ogniu kominka, siedzi przez dwie, trzy godziny, śpiewając pięknym, niskim głosem pieśni chóralne; jednym słowem śpiewa tak długo, aż robi się zupełnie ciemno i wschodzi księżyc.

Wtedy cicho zamyka pianino, przebiera się w żółtawy żakiet i wtykając do największej kieszeni pokazną butelkę w plecionce, a także wciskając na głowę płaski kapelusz z opadającym rondem, wymyka się chyłkiem z domu. Dlaczego dziś wieczorem porusza się tak cicho? Przecież nie ma ku temu żadnych widocznych powodów. Ale może istnieje jakiś tajemny powód, który kryje się w nim samym?

Zmierzając do niewykończonego domu Durdlesa, lub raczej do dziury w miejskim murze, i widząc tam światło, cicho stąpa między tu i ówdzie oświetlonymi promieniami wschodzącego księżyca nagrobkami, pomnikami i bryłami kamieni zagracającymi podwórze. Dwóch czeladników pozostawiło dwie wielkie piły tkwiące w kamiennych blokach – tak jakby teraz w cieniu swych bud szczyrzyły zęby w upiornym tańcu śmierci<sup>[30]</sup>, gotowe w każdej chwili podjąć piłowanie nagrobków dla dwóch ludzi mających umrzeć w Cloisterham. Wielce prawdopodobne, że tych dwóch przyszłych nieboszczyków teraz wcale o tym nie myśli, bo wciąż jeszcze żyją i być może się weselą. Byłoby ciekawe odgadnąć, kim są ci dwaj lub... który z nich będzie pierwszy!

– Hej, Durdles!

Światło porusza się i w drzwiach ukazuje się Durdles. Chyba musiał się „czyścić” z pomocą butelki, dzbanka i kubka, ponieważ w pustym pokoju, do którego wpuszcza gościa, w pokoju o nagich ceglanych ścianach i z widocznymi belkami w nieotynkowanym suficie, nie widać żadnych innych przyborów do czyszczenia.

– Jesteś gotów?

– Jestem gotów, panie Jasper. Niech tylko te truposze odważą się wyleźć, gdy chodzę między ich grobami. Duchem jestem na nich przygotowany.

– Masz na myśli ducha istoty żyjącej, czy ducha ukrytego w napoju alkoholowym?<sup>[31]</sup>

– To jedno i to samo – odpowiada Durdles – i mam na myśli obydwu.

Zdejmuje latarnię z haka, wsuwa do kieszeni kilka zapalek, aby w razie potrzeby mieć światło, i wychodzą razem, z węzełkiem do kompletu.

Doprawdy, jakaż to niepojęta wyprawa! Nie byłoby niczym nadzwyczajnym, gdyby to tylko sam Durdles, który ciągle snuje się między grobami i ruinami niczym jakiś upiór, przekradał się, wspinał, opuszczał w dziury i najwyraźniej krążył bez celu; ale żeby kantor

lub ktoś inny uznał za stosowne w takim towarzystwie oglądać tego rodzaju widoki w świetle księżyca – to już zupełnie inna sprawa! A zatem, doprawdy, jakież to niepojęta wyprawa!

– Uważaj pan na ten kopczyk przy bramie podwórza, panie Jasper.

– Widzę. A co to takiego?

– Wapno.

Pan Jasper zatrzymuje się i czeka na wlokącego się za nim Durdlesa.

– Czy to jest to, co nazywasz wapnem niegaszonym?

– Ta...! – przytakuje Durdles. – Ani się pan obejrzy, jak szybko zeżre panu buty. A jeśli pomiesza je pan rękami, to może i ręce zeżreć do kości.

Idąc dalej, mijają czerwone światła w oknach gospody Dwupensowi Wędrowcy i wychodzą na oblaną światłem księżyca Mniszą Winnicę. Po przejściu przez nią, zbliżają się do Zaułka Kanonika Mniejszego, pogrążonego w mroku do chwili, gdy księżyc wzniesie się wyżej na niebie.

Słyszą trzask zamykanych drzwi i pojawia się dwóch mężczyzn. Są to pan Crisparkle i Neville. Jasper, z nagłym, dziwnym uśmiechem na twarzy, przykładą dłoń do piersi Durdlesa i zatrzymuje go.

Drugi kraniec Zaułka Kanonika Mniejszego pogrążony jest w głębokim mroku; znajduje się tam fragment niskiego muru sięgający ramion, jedyna pozostałość ogrodzenia czegoś, co kiedyś było ogrodem, a teraz stanowiło tylko przejście. Jasper i Durdles mogliby w jednej chwili ten mur ominąć, ale zatrzymawszy się tak nagle, stoją za nim ukryci.

– Oni się tylko przechadzają – szepcze Jasper. – Wkrótce ukażą się w świetle księżyca. Lepiej stójmy tu cicho, bo mogą nas zatrzymać i przyłączyć się do nas, czy może coś innego przyjdzie im do głowy.

Durdles potakująco kiwa głową i zajmuje się żuciem czegoś, co wyciąga z węzła. Jasper kładzie ręce na murze i wsparłszy na nich podbródek, z uwagą się przygląda. Zupełnie nie interesuje go kanonik mniejszy, natomiast bacznie obserwuje Neville'a. Jakby miał w oku spust wycelowanej i gotowej do strzału naładowanej strzelby. W jego twarzy pojawia się wyraz tak szczerej pasji zniszczenia, że nawet Durdles przestaje żuć i przypatruje mu się z tym nieprzeżytym kawałkiem wypychającym policzek.

W tym czasie pan Crisparkle i Neville, spacerując tam i z powrotem, cicho rozmawiają. Nie można dobrze usłyszeć słów, ale pan Jasper kilka razy chwyta uchem swoje nazwisko.

– To pierwszy dzień tygodnia – teraz, gdy zawracają, można rozróżnić słowa wypowiedziane przez pana Crisparkle'a. – A ostatni dzień tygodnia to już Wigilia.

– Może pan na mnie polegać.

W takich miejscach echo dobrze niesie głos, ale gdy obaj mężczyźni jeszcze bardziej się zbliżają, wypowiedziane słowa stają się znowu niewyraźne. Zniekształcone przez echo, lecz dające się zrozumieć słowo „zaufanie” zostaje wypowiedziane przez pana Crisparkle'a. Kiedy są blisko, słyhać fragment odpowiedzi:

– Jeszcze na to nie zasługuję... ale zasłużę, proszę pana...

W chwili, gdy ponownie zawracają, Jasper znowu słyszy swoje nazwisko w kontekście

słów wypowiedzianych przez pana Crisparkle'a:

– Proszę pamiętać, mówiłem, że polegam na panu.

Potem rozmowa znowu staje się niewyraźna, przystają na chwilę i Neville zapewnia o czymś pana Crisparkle'a, a kiedy ponownie ruszają w dalszą drogę, pan Crisparkle spogląda w niebo i pokazuje coś przed sobą. Potem wolno znikają, wynurzając się na chwilę w świetle księżyca na końcu zaułka.

Pan Jasper nie porusza się aż do ich odejścia. Wówczas odwraca się do Durdlesa i wybucha śmiechem. Durdles, trzymając ciągle coś w ustach, nie widzi w tym nic śmiesznego i gapi się na pana Jaspersa, aż ten w końcu kryje twarz w dłoniach, jeszcze bardziej zanosząc się śmiechem. Wtedy to Durdles desperacko łyka ów przeżuwany kawałek, jakby ostatecznie decydując się na niestrawność.

W tych ustronnych zakamarkach zamiera o zmroku niemal wszelki ruch. Mało go w dzień, a nocą prawie zanika. Poza tym, że hałaśliwa i ruchliwa High Street ciągnie się niemal równolegle do tego miejsca, to dzieli je od niej stara katedra, a High Street stanowi naturalny szlak wszelkiego ruchu przepływającego przez Cloisterham.

Nocą nad zespołem starych budowli, krużgankami i cmentarzem panuje cisza, z którą niewielu ludzi pragnie się zetknąć. Zapytaj w południe stu pierwszych napotkanych przechodniów w Cloisterham, czy wierzą w duchy, a odpowiedzą, że nie; lecz każ im wybierać nocą między tą niesamowitą okolicą a ulicą handlową, to okaże się, że dziewięćdziesięciu dziewięciu z nich wybierze dłuższą i ruchliwszą drogę. Przyczyna tego nie tkwi w żadnym miejscowym przesądzie związanym z tym miejscem, aczkolwiek rozmaici świadkowie podobno widywali przemykającą tędy tajemniczą damę z dzieckiem w ramionach i sznurem dyndającym u szyi. Przyczyny tej należy jednak szukać we wrodzonej niechęci odczuwanej przez proch, w którym jeszcze tli się życie, do prochu, z którego dech życia już uleciał. Ale także w szeroko rozpowszechnionym i niemal równie szeroko akceptowanym przekonaniu, które można wyrazić tak: „Jeżeli umarli ukazują się żywym w jakichś szczególnych okolicznościach, oznacza to, że okolica temu sprzyja i wobec tego ja, żywy człowiek, wynoszę się stąd tak szybko jak tylko to możliwe”.

Dlatego też, gdy pan Jasper i Durdles przystają, aby rozejrzeć się przed wejściem do krypty znajdującej się za małymi, bocznymi drzwiami, do których Durdles ma klucz, cała zalana księżycowym światłem okolica jest absolutnie pusta. Mogło się zdawać, że strumień życia zatrzymał się przed domem pana Jaspersa. Słysząc jego pomruk gdzieś dalej, ale żadna fala nie przepływa sklepionym przejściem, nad którym w oknie za zasłoną, niczym światło latarni morskiej, świeci czerwona lampa.

Wchodzą do środka, zstępują w dół po wyszczerbionych stopniach i znajdują się w krypcie. Nie jest im potrzebna latarnia, ponieważ przez pozbawione szyb żebrowane okna wpada światło księżyca, a połamane żebra rzucają wzory na posadzkę. Za grubymi, masywnymi filarami wspierającymi strop, panuje poprzecinana ścieżkami światła, głęboka ciemność. Przechodząc przez te ścieżki, Durdles rozprawia o „starych truposzach”, których spodziewa się odgrzebać i opukuje ścianę, gdzie według niego tkwi cała rodzina, którą należy uwolnić. Mówi o nich tak, jakby był ich bliskim przyjacielem. Małomówność Durdle-

sa zostaje na jakiś czas przełamana za przyczyną krążącej swobodnie butelki pana Jaspera. To swobodne krążenie należy rozumieć w ten sposób, że zawartość butelczyny swobodnie przenika w układ krążenia Durdlesa, a pan Jasper wypływa płyn, jedynie płucząc sobie nim usta.

I oto mają teraz zamiar wejść na wielką wieżę. Na schodach wiodących do wnętrza katedry Durdles przystaje, by zaczerpnąć trochę powietrza. Jest tutaj bardzo ciemno, ale mogą dostrzec kładące się na posadzce ścieżki światła, przez które przed chwilą przeszli. Durdles sadowi się na jednym stopniu, pan Jasper na drugim. Aromat dochodzący z butelki (która jakimś cudem znalazła się teraz w posiadaniu Durdlesa) już wkrótce jest sygnałem, że korek został wyciągnięty; jednak nie można tego stwierdzić naocznie, ponieważ obaj panowie nie widzą się nawzajem. A jednak mówiąc, zwracają się do siebie twarzami, jakby mogli z nich coś wyczytać.

– To dobry trunek, panie Jasper!

– Mam nadzieję, że bardzo dobry. Wybrałem go niezwykle starannie.

– Wie pan co, panie Jasper, te stare truposze jakoś się nam nie ukazują!

– Gdyby się ukazywały, byłoby jeszcze więcej zamieszania na tym świecie.

– No tak, mogłoby to spowodować niezły bałagan – przyznaje Durdles, popadłszy w zadumę nad tym spostrzeżeniem, jakby przedtem myśl o duchach nie zakłócała mu codziennego porządku lub chronologii wydarzeń. – Myśli pan, że poza mężczyznami i kobietami inne rzeczy też mają swoje duchy?

– Jakie rzeczy? Doniczki, polewaczki? A może konie i uprząż?

– Nie. Chodzi mi o duchy dźwięków.

– Jakich dźwięków?

– Krzyków.

– O jakie krzyki ci chodzi? Krzesel krzyczących, że chcą być naprawione?

– Nie. Chodzi mi raczej o piski. Coś panu powiem, panie Jasper. Ale niech pan chwilę zaczeka, muszę wpierw łyknąć z butelczyny. – W tym momencie korek znów zostaje najwyraźniej wyciągnięty i po chwili wciśnięty z powrotem. – No! **Teraz** mi dobrze! Rok temu o tej porze, a może kilka dni wcześniej, zdarzyło się właśnie, że robiłem co trzeba, aby należycie się przygotować, kiedy to przyczepiły się do mnie okropnie te miastowe chłopaki. Ale w końcu nawiałem im i ukryłem się tutaj, potem wkrótce zasnąłem. I co mnie zbudziło? Upiór krzyku. Upiór jakiegoś przerażającego wrzasku, po którym odezwał się upiór wyjącego psa; długie, ponure, żalosne wycie – tak jak wyje pies, kiedy ktoś umrze. Taka to była **moja** ostatnia wigilia.

– Co masz na myśli? – brzmi natychmiastowe i można rzec, gwałtowne pytanie.

– Mam przez to na myśli, że pytałem, kogo się dało, ale niczyje uszy prócz moich nie słyszały ani tego krzyku, ani tego wycia. I dlatego twierdzę, że były to dwa upiory, ale dlaczego akurat mnie nawiedziły, tego już nigdy się nie dowiedziałem.

– Myślałem, że jesteś inny – stwierdza z pogardą Jasper.

– Ja też tak myślałem – odpowiada Durdles ze zwykłym sobie spokojem – a jednak wybrały właśnie mnie.



Jasper podnosi się nagle, znowu pytając Durdlesa, co miał właściwie na myśli, i dodaje:

– Chodź i prowadź dalej, bo zamarzniemy tu na kość.

Durdles spełnia jego życzenie, niezbyt pewnie stojąc na nogach; kluczem, którym już poprzednio się posługiwał, teraz otwiera drzwi na szczycie schodów. Wychodzą na poziom posadzki katedry w przejściu przy prezbiterium. Tutaj znowu jest jasno; światło księżyca, przenikające przez witraże najbliższego okna, rzuca na ich twarze kolorowe plamy. Widok nietrzeźwego Durdlesa, który przytrzymuje otwarte drzwi przed jakby wychodzącym z grobu i postępującym za nim Jasperem, już sam w sobie jest wystarczająco przerażający. Przez jego twarz przebiega purpurowa pręga, a na czole widać żółtą plamę, jednak bez większego wrażenia wytrzymuje badawczy wzrok swego towarzysza, mimo iż chwila ta się wydłuża, gdy Jasper próbuje odnaleźć powierzony mu Hucz do żelaznych wrót – by mogli wejść do klatki schodowej wielkiej wieży.

– Ten klucz i butelka, to dla ciebie dość do niesienia – mówi, podając je Durdlesowi. – Daj mi więc węzełek, jestem młodszy i mam od ciebie dłuższy oddech. – Durdles waha się przez moment między wyborem węzełka i butelki, ale w końcu wybiera butelkę jako dużo lepszą towarzyszkę, zaś suchą paczkę powierza swemu towarzyszowi wyprawy.

Teraz krętymi schodami wchodzą na wielką wieżę, z wysiłkiem ciągle skręcając i schylając głowy pod wyżej biegnącymi stopniami lub uchylając się przed szorstkim kamiennym trzonem, do którego spiralnie są przymocowane. Durdles zapala latarnię, krzesząc z zimnej, twardej ściany iskrę, którą rozpala utajony we wszystkim sekretny ogień. W ślad za promieniem światła wspinają się w pyle pośród płataniny pajęczyn. Ich droga wiedzie przez dziwne miejsca. Dwa lub trzy razy dochodzą do nisko sklepionych galerii, skąd widzą oświetloną promieniami księżyca główną nawę katedry i gdzie Durdles, machając latarnią, porusza na krokstynach stropu ciemnymi głowami aniołów, zdających się śledzić trasę ich wędrówki. Niebawem wydostają się na węższe i bardziej strome schody i czują powiew nocnego powietrza. Z krzyku jakiejś spłoszonej kawki lub gawrona wyłania się trzepot skrzydeł w ciasnej przestrzeni i opadający im na głowy kurz ze słomą. W końcu, pozostawwszy latarnie na schodach – ponieważ wieje tutaj silny wiatr – patrzą w dół na dobrze w świetle księżyca widoczne Cloisterham; na położone u stóp wieży zrujnowane miejsca zamieszkania i świątynie umarłych, dalej na omszałe czerwone dachówki i ceglane domy żywych, jeszcze dalej na rzekę wijącą się od zamglonego horyzontu, jakby tam miała swe źródło i jakby po drodze nabierała niepokojącej świadomości, że wkrótce utonie w morzu.

Trzeba też powiedzieć raz jeszcze: jakaż to niepojęta wyprawa! Jasper (ciągle bez żadnej wyraźnej przyczyny poruszający się cicho) kontempluje tę panoramę, a zwłaszcza widok najspokojniejszych rejonów, na które pada cień katedry. Ale z równym zainteresowaniem obserwuje Durdlesa, a ten czasem wyczuwa na sobie to przenikliwe spojrzenie.

Ale tylko czasami, ponieważ Durdlesa ogarnia teraz senność. Aeronauci zmniejszają swój ciężar, chcąc się wznieść w górę; podobnie Durdles zmniejszył ciężar butelki, wchodząc na wieżę. Chwilami milknie, drzemiąc na stojąco. Opanowuje go lekka, tropikalna gorączka i zdaje mu się, że leżąca daleko w dole ziemia znajduje się na tym samym poziomie,

co wierzchołek wieży, stąd skłonny jest wyjść ze szczytu wieży prosto w przestrzeń. I w takim właśnie jest stanie, gdy zaczynają schodzić w dół. Podobnie jak astronauta zwiększają obciążenie, chcąc opaść na ziemię, tak i Durdles wlewa teraz w siebie więcej płynu z butelki, aby stać się cięższym i łatwiej schodzić po schodach.

Po dotarciu do żelaznych wrót i zamknięciu ich – kiedy to Durdles dwukrotnie się potyka, rozcinając brew – schodzą ponownie do krypty z zamiarem wyjścia tą samą drogą, którą weszli. Ale gdy Durdles powraca przez te same ścieżki światła, jego kroki i mowa stają się tak niepewne, że zaczyna się słaniać i prawie pada na posadzkę przy jednym z masywnych filarów, będąc teraz niewiele od niego lżejszym. Po czym bełkotliwie prosi swego towarzysza, by zgodził się na czterdzieści sekund drzemki.

– Jeżeli chcesz i musisz – odpowiada Jasper – to śpij, ja ciebie tu nie zostawię. Leż tu, a ja sobie trochę pospaceruję.

Durdles natychmiast zasypia i śni. Nie są to jakieś szczególne sny, biorąc pod uwagę rozległą ich krainę i jej cudowne wytwory; są one jednak szczególne dlatego, że męczą niezwykłą wprost realnością. Śni mu się, że leży tu, śni, a jednak może liczyć kroki spacerującego towarzysza wyprawy. Śni mu się, że kroki rozplývają się w czasie i przestrzeni, że coś go dotyka i coś wypada mu z ręki. Potem w tym śnie coś brzęczy, czegoś szuka po omacku, przez dłuższy czas jest sam, a ścieżki światła zmieniają swe położenie wraz z wędrówką księżycy. Ze stanu nieświadomości przechodzi w sen wywołujący uczucie narastającej niewygodności i zimna, do jego świadomości boleśnie dociera widok ścieżek światła – teraz naprawdę zmienionych, całkiem tak jak w jego śnie – oraz spacerującego po nich Jaspera, który rozgrzewa się, przytupując i machając rękoma.

– Halo! – krzyczy Durdles, z niezamierzonym niepokojem w głosie.

– Zbudziłeś się wreszcie? – pyta Jasper, podchodząc do niego. – Czy wiesz, że te czterdzieści sekund rozciągnęło się w tysiące?

– Nie.

– A jednak.

– Która godzina?

– Cicho! Słyszeć dzwony na wieży!

Małe dzwony wybijają cztery kwadransy, a potem uderza wielki dzwon.

– Dwa razy! – woła Durdles, podnosząc się z trudem. – Dlaczego nie próbował mnie pan zbudzić, panie Jasper?

– Próbowałem, jednak równie dobrze mógłbym próbować zbudzić trupa z tej twojej rodziny truposzów tam w rogu.

– Dotykał mnie pan?

– Dotykał? Tak. Potrząsałem tobą.

Durdles przypomina sobie, jak coś go we śnie dotykało i spoglądając na posadzkę, widzi, że klucz do drzwi krypty leży blisko miejsca, w którym spał.

– Upuściłem cię, co? – mówi, podnosząc klucz i przypominając sobie ten fragment snu. Zbierając się z posadzki, aby wrócić do pionu, a raczej by wyprostować się na tyle, na ile się da, znowu uświadamia sobie, że jest przez swego towarzysza bacznie obserwowany.

– No? – pyta z uśmiechem Jasper. – Jesteś już gotów? Proszę, nie spiesz się.

– Muszę tylko uporządkować węzełek, panie Jasper i mogę iść z panem. Zawijając węzełek, znowu czuje, że jest bacznie obserwowany.

– O co mnie pan posądza, panie Jasper? – pyta z pijackim rozdrażnieniem. – Jak ktoś posądza o coś Durdlesa, to niech mu to powie wprost.

– O nic cię nie posądzam, mój dobry człowieku; myślę jedynie, że w mojej butelce było coś mocniejszego niż obaj się spodziewaliśmy. Podejrzewam też – dodaje Jasper, podnosząc butelkę z posadzki i odwracając ją dnem do góry – że jest już pusta.

Durdles pozwala sobie z tego powodu na wybuch radości. Następnie, chichocząc, jakby rozważał własne możliwości w zakresie picia alkoholu, toczy się w stronę drzwi i je otwiera. Wychodzą. Durdles zamyka za sobą drzwi i chowa klucz do kieszeni.

– Stokrotne dzięki za tę osobliwą i interesującą noc – mówi Jasper, podając mu rękę. – Dojdiesz sam do domu?

– Myślę, że tak! – odpowiada Durdles. – Gdyby pan chciał obrazić Durdlesa, odprowadzając go, to on wcale by do domu nie wrócił.

*Durdles nie wróciłby do domu aż do rana;  
I wtedy też Durdles nie wróciłby do domu.  
Nie. Durdles nie wróciłby do domu.<sup>{32}</sup>*

Wszystko to zostaje wypowiedziane wyzywającym tonem.

– A zatem dobranoc.

– Dobranoc, panie Jasper.

Każdy odwraca się w swoją stronę, gdy nagle ciszę przerywa ostry gwizd i słychać zawodzący żargon:

*Tam-taram-tam-tam!  
Już-ja-go-złapię-tam!  
Jak-nie-pójdzie-to-mu-dam...  
Tam-taram-zbudź się kogucie-ostrzegam!*

W chwilę później w ścianę katedry uderza grad kamieni, a po przeciwległej stronie ukazują się odrażający chłopak tańczący w świetle księżyca.

– Co! To diabelskie nasienie czyha tu na ciebie! – krzyczy Jasper z wściekłością; jest tak rozjuszony i dziki, że sam przypomina diabła. – Rozwalę czerep temu małemu draniowi! Naprawdę to zrobię!

Nie zwracając uwagi na często trafiające weń kamienie, rzuca się na Deputy'ego, chwytając go za kołnierz i usiłuje przyciągnąć do siebie. Ale Deputy nie daje się tak łatwo złapać. Z szatańskim wyczuciem swoich możliwości, gdy tylko poczuje rękę na karku, natychmiast podkurcza nogi, zmuszając napastnika, by trzymał go w pozycji wiszącej, zaczyna charczeć, zwijać się i wykręcać, jakby to były jego ostatnie chwile przed śmiercią. Nie pozostaje nic innego, jak go puścić. Natychmiast wraca do siebie. Wrzeszcząc na napastnika, chowa się

za Durdlesa i z jadowitą wściekłością syczy przez szczerbę w zębach:

– Oślepię cię, niech mnie! Wybiję ci oczy kamieniami, niech mnie! Niech mnie diabeł porwie, jak ci tych gafów nie wyłupię! – I tak warcząc na Jaspera, jednocześnie chowa się za Durdlesa to z jednej, to z drugiej strony, bo jeśli pan Jasper znowu zechce go dopaść, to uskoczy w kierunku umożliwiającym ucieczkę, a gdyby go dopadł, to będzie wił się na ziemi, wrzeszcząc: „No, dalej, bij leżącego, bij!”

– Nie rób pan krzywdy temu chłopcu, panie Jasper – wtrąca się Durdles, zasłaniając się. – Uspokój się pan.

– Cały czas śledził nas dziś w nocy. Od chwili, gdy tu przyszedliśmy!

– Łżesz, nie śledziłem was – odpowiada Deputy, używając jedynej znanej mu formy uprzejmego zaprzeczenia.

– Od początku skradał się za nami!

– Łżesz, nie skradałem się – odpowiada Deputy. – Tak se ino tera wyszedłem dla zdrowia i widzę, jak wy dwaj wyłazicie z tej karterdry. I jeżeli *Już-ja-go-złapię-tam* (tańczy w tym samym rytmie, lecz teraz, chowając się za Durdlesa), to chyba nie będzie moja wina, co?

– No to zabieraj się do domu – odpowiada, wyraźnie się hamując, ciągle wściekły Jasper – i nie chcę cię tu więcej widzieć!

Deputy gwizdże przenikliwie, wyrażając w ten sposób ulgę i zarazem sygnalizując, że rozpoczyna łagodniej już obrzucać kamieniami Durdlesa, którego pogania w kierunku domu, jakby ten był jakimś upartym wołem. Pan Jasper idzie do swojego domu zatopiony w myślach. I tak, kiedy to wszystko się kończy, ta niepojęta wyprawa również dobiega końca – przynajmniej na razie.

## ROZDZIAŁ XIII

### ICH NAJLEPSZE INTENCJE

Wkrótce na pensji panny Twinkleton miał zapanować błogi spokój, ponieważ zbliżała się przerwa wakacyjna z okazji świąt Bożego Narodzenia. Jutro miało zakończyć się coś, co jeszcze w niezbyt odległej przeszłości zwykle nazywane było, przez taką nawet erudytkę jak panna Twinkleton, „półroczem”, obecnie zaś bardziej elegancko i z akademicka – „se-mestrem”. Od kilku dni w Domu Zakonnicy wyraźnie dostrzegało się rozluźnienie dyscypliny. Zdarzało się jadać w sypialniach prywatne kolacyjki, podczas których krojono nożyczkami garnirowany ozór na zimno i częstowano się nim, używając do tego celu szczypiec do loków. Podobnie rozdzielano porcje marmolady na talerzykach wykonanych z papilotów; łąpczywie spijano wino zrobione z pierwiosnków, rozlewając je do małych, przysadzistych menzurek, w których mała Rickitts (młoda uczennica słabego zdrowia) otrzymywała codzienną porcję żelaza do picia. Pokojówki przekupywano różnymi wstążkami albo mniej lub więcej zniszczonymi pantofelkami, by już nie wspominały o okruszkach w łózkach. Przy tego rodzaju okazjach zakładano pewnego rodzaju płocze kostiumy, a odważna panna Ferdinand zadziwiła nawet całe towarzystwo, odstawiając dziarskie solo na grzebieniu i papierze do robienia papilotów, ale ostatecznie została przyduszona własną poduszką przez dwie długowłose oprawczynie.

Nie były to jedyne oznaki rozluźnienia dyscypliny. W sypialniach pojawiły się pudła i kufry (w których kiedy indziej przechowywano różne skarby) i zaczęła się zadziwiająca gorączka pakowania, zupełnie nieproporcjonalna do ilości pakowanych rzeczy. Hojnie rozdawano służbie różne dziwne dary w postaci resztek kremów i pomadek, a także spinek do włosów. W ścisłej tajemnicy wymieniano też zwierzenia dotyczące angielskiej złotej młodzieży, spodziewając się złożenia przy pierwszej nadarzającej się okazji wizyty „w domu”. Chłodna uczuciowo panna Giggles wyznała, że jeśli o nią chodzi, to dzięki robieniu odpowiednich min doczekała się hołdu złożonego jej przez takiego właśnie złotego młodzieńca. Została jednak zakrzyczana przez przytłaczającą większość.

Punktem honoru był zwyczaj, zgodnie z którym ostatniej nocy przed przerwą świąteczną nikt nie kładł się spać i wszelkimi możliwymi sposobami zachęcano duchy, aby się ukazały. Jednak umowa ta niezmiennie była zrywana, wszystkie młode damy bardzo szybko szły spać i wstawały bardzo wcześnie.

Uroczystość pożegnalna odbywała się w dzień wyjazdu o dwunastej w południe, kiedy panna Twinkleton, wspomagana przez panią Tisher, organizowała spotkanie w salonie własnego apartamentu (w którym globusy przykryte były teraz brązowym sukniem), gdzie oczom zebranych ukazały się na stole kieliszki z białym winem i tace z pokrojonym ciastem.

Następnie panna Twinkleton przemówiła:

– Panienci, kolejny mijający rok doprowadził nas do radosnego okresu, kiedy pierwsze wynikające z waszej natury uczucia, dotąd ukryte w naszych... – tu panna Twinkleton każdego roku zamierzała dodać „łonach”, lecz niezmiennie powstrzymywała się przed wymówieniem tego słowa i zastępowała je „sercami”. – A zatem w naszych sercach. Hm... hm...! Znowu kolejny mijający rok, moje panienci, doprowadził nas do okresu przerwy w studiach i jak żeglarz w swej barce, wojownik w namiocie, więzień w lochu, czy podróżnik w rozmaitych pojazdach, tak i my tęsknimy za domem. Czyż w tej sytuacji moglibyśmy zacytować słowa rozpoczynające tragedię pana Addisona:

*Nastaje świt chmurny i ranek ponury,  
Nieboskłon już pokryły ołowiane chmury,  
Czyż taki ma być ten wielki, znamienity dzień...?<sup>{33}</sup>*

Otóż nie, nie ma takiej potrzeby. Bowiem od horyzontu po zenit wszystko jest w *colour de rose*, teraz wszystko przypomina nam naszych krewnych i przyjaciół. Zastanawiamy się, czy okaże się, że **oni** mają się tak dobrze, jak tego oczekiwaliśmy, czy może **oni** przekonają się, że to my mieszkamy się tak dobrze, jak **oni** to sobie wyobrażali! Panienci, pożegnajcie się teraz serdecznie ze sobą i życzcie sobie szczęścia do chwili ponownego spotkania. A kiedy znowu nadejdzie czas podjęcia naszych zajęć, które... (tu wszystkich ogarnęło uczucie przygnębienia)... zajęć, które... zajęć, które... No, wtedy pamiętajmy, co powiedział spartański dowódca słowami niezbyt znanymi, aby je tutaj cytować, podczas bitwy, którą byłoby czymś zbędnym przypominać.

Służba w najparadniejszych czepkach zaczęła obnosić tace, panienci popijały, chrupały, a na ulicy tłoczyły się zamówione powozy. Wkrótce nastąpiły pożegnania i panna Twinkleton, cmokając w policzek każdą panienkę, wręczała jej zgrabny liścik adresowany do prawnego opiekuna – „z najlepszymi życzeniami od panny Twinkleton” w narożniku. Wręczała go tak, jakby nie miał żadnego związku z załączonym rachunkiem, który był czymś w rodzaju subtelnej i radosnej niespodzianki.

Róża, będąc już świadkiem tak wielu wyjazdów i mając tak słabe pojęcie, czym może być prawdziwy dom, była zadowolona, pozostając na miejscu, a nawet bardziej zadowolona niż kiedykolwiek przedtem, bowiem teraz znalazła tu nową przyjaciółkę. Jednak w tej najnowszej przyjaźni kryła się jakaś pustka, której nie sposób było nie dostrzec. Helena Landless, usłyszawszy niejednokrotnie wynurzenia brata na temat Róży i przyrzekłszy panu Crisparkle’owi zachować milczenie, unikała jakiegokolwiek aluzji dotyczącej Edwina Droda. Róża nie mogła pojąć, dlaczego Helena unikała tego tematu, ale doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Gdyby nie to, ulżyłaby swemu niespokojnemu sercu, zwierając się przyjaciółce ze swych wahań i wątpliwości. Jednak w tej sytuacji jej wątpliwości nie mogły znaleźć ujścia. Mogła jedynie pograżyć się w rozmyśleniach o swoich problemach i coraz głębiej się zastanawiać, dlaczego to Helena ciągle unika wymawiania imienia Edwina, i to teraz, gdy – jak sama jej to powiedziała – obaj młodzieńcy znowu się pogodzili. Wła-

śnie wtedy zjawił się Edwin.

Jakiż to piękny obrazek! Tyle ślicznych dziewcząt całujących Różę na chłodnej werandzie Domu Zakonnicy i to promienne stworzenie (nieświadome wpatrzonych w nią oczu zerkających z chytrych twarzy wyrzeźbionych na rzygulecach i szczytach domu) w geście pożegnania zwrócone stamtąd ku odjeżdżającym powozom, niczym duszek różanej młodości, który pozostaje w opustoszałym miejscu, aby uczynić je jaśniejszym i cieplejszym. Hałaśliwa High Street rozbrzmiewała muzyką wielu dźwięcznych okrzyków: „Do widzenia, droga Różyczko!”, a podobizna ojca pana Sapsea, umieszczona nad przeciwległymi drzwiami, zdawała się mówić wszem i wobec: „Panowie, uczynicie mi zaszczyt, zwróćcie uwagę na tę czarującą, ostatnią pozostałą tu istotkę i pożegnajcie ją tak, jak na to zasługuje!”. Potem ta stateczna ulica, tętniąca teraz swawolnym życiem, tak młodzieńcza i odświeżona, po kilku radosnych chwilach zaczęła wysychać i Cloisterham stało się takie samo jak przedtem.

Jeżeli Różyczka czekała z niespokojnym sercem na przybycie Edwina, to on również był niespokojny. Nie miał takiej siły w dążeniu do osiągnięcia wytyczonego celu jak ta dziecinna piękność, zgodnie ogłoszona koronną pięknoscią pensji panny Twinkleton; miał jednak poruszone przez pana Grewgiousa sumienie. Ugruntowanych przekonań owego dżentelmena na temat tego, co w takich sytuacjach było, a co nie było właściwe, nie należało wyśmiewać ani lekceważyć. Pozostawały niewzruszone. Gdyby nie pamiętna kolacja w Staple Inn i pierścień, który nosił teraz w kieszeni na piersiach, zapewne bez większego zastanowienia dotrwałby do dnia ślubu, wierząc, że wszystko jakoś się ułoży. Ale tak poważne uświadomienie mu odpowiedzialności wobec żywych i umarłych zmuszało do zastanowienia. Teraz albo musi dać Różę pierścień, albo go zwrócić. Ciekawe, że znalazłszy się w sytuacji niepozostawiającej większego wyboru, zaczął mniej egoistycznie niż kiedykolwiek przedtem zastanawiać się nad pretensjami Róży i poczuł się mniej pewny siebie niż podczas minionych już beztrudnych dni.

– Będę kierował się tym, co ona mi powie, i tym, jak nam to wszystko się ułoży – postanowił, idąc z domu Jaspera do Domu Zakonnicy. – Cokolwiek z tego wyniknie, zapamiętam jego słowa i postaram się zachować lojalność żywym i umarłym.

Róża była już ubrana do wyjścia. Oczekiwała go. Dzień był pogodny i mroźny, a panna Twinkleton była zwolenniczką świeżego powietrza. Weszli więc razem, zanim panna Twinkleton lub jej zastępczyni, przyboczna dama ceremonii, pani Tisher, uznają za niezbędne złożyć im choćby jedną z tych zwyczajowych ofiar na ołtarzu przyzwoitości.

– Drogi Eddy – powiedziała Róża, gdy skręcili z High Street i weszli na spokojne alejki w sąsiedztwie katedry i rzeki – muszę ci coś powiedzieć z wielką powagą. Myślałam o tym bardzo, bardzo długo.

– Ja też pragnę poważnie coś ci powiedzieć, droga Rózo. Chcę być poważny i szczerzy.

– Dziękuję, Eddy. Lecz jeżeli ja zacznę, czy nie potraktujesz tego jako nieuprzejmość? Nie pomyślisz, że mówię jedynie za siebie, ponieważ zaczęłam pierwsza? To nie byłoby szlachetne, prawda? A ja wiem, że ty jesteś szlachetny!

– Mam nadzieję, że postępuję z tobą szlachetnie, Rózo.

Już nie nazwie jej Kicią. Nigdy więcej.

– I nie ma obaw – ciągnęła Róża – że się posprzeczamy, prawda? Ponieważ, Eddy – mówiła, zaciskając palce na jego ramieniu – mamy tyle powodów, aby być dla siebie wyrozumiali, prawda?

– Będziemy dla siebie wyrozumiali, Rózo.

– Dobry z ciebie chłopiec, Eddy! Spróbujmy zdobyć się na odwagę i od tej pory bądźmy dla siebie bratem i siostrą.

– Nigdy mężem i żoną?

– Nigdy!

Przez krótką chwilę milczeli. Potem Edwin odezwał się z wysiłkiem:

– Oczywiście wiem, że oboje o tym myśleliśmy, Rózo, i rzecz jasna muszę wyznać uczciwie, że ta myśl zrodziła się nie tylko w twojej głowce.

– Ani też tylko w twojej, mój drogi – odparła ze wzruszającą powagą. – Ona zrodziła się w nas obojgu. Ty w tym narzeczeństwie nie jesteś naprawdę szczęśliwy i ja również nie jestem szczęśliwa. Jest mi tak bardzo, bardzo przykro! – I w tym momencie zalała się łzami.

– Mnie też jest bardzo przykro, Rózo. Bardzo przykro ze względu na ciebie.

– A mnie ze względu na ciebie, biedaku. I ze względu na mnie też!

Czyste, młodzieńcze uczucie, to delikatne i powściągliwe uczucie, jakie żywili ku sobie, zostało nagrodzone jakąś łagodnością światła, zdającego się ich teraz opromieniać. I w świetle tym ich związek nie mógł już być czymś wymuszonym, jakimś kaprysem lub porażką; teraz wzniesli się do poziomu mniej egoistycznego, pełnego godności i prawdy.

– Gdybyśmy wiedzieli o tym wczoraj... – powiedziała Róża, osuszywszy oczy. – Gdybyśmy wiedzieli, że jest coś wielce niewłaściwego w naszym związku nie wynikającym z wolnego wyboru – choć wczoraj przecież o tym wiedzieliśmy i takich wczoraj było przedtem bardzo wiele – to czyż moglibyśmy uczynić dziś coś lepszego niż nasz związek zmienić? To naturalne, że nam obojgu powinno być przykro i sam widzisz, że tak jest, ale o ileż to lepsze niż miałoby nam być przykro wtedy...!

– Kiedy, Rózo?

– Kiedy byłoby już za późno. W dodatku poczulibyśmy jeszcze złość.

Znowu zapadło milczenie.

– I wiesz co – powiedziała niewinnie Róża – wtedy nie mógłbyś mnie nawet lubić; a tak, to zawsze będziesz mnie lubił, ponieważ nigdy nie będę ci ciężarem ani zmartwieniem. I ja odtąd zawsze będę cię lubić; twoja siostra nigdy nie będzie cię drażnić i nigdy z ciebie pokpiwać. Nie będąc siostrą, robiłam to często i przepraszam cię za to.

– Nie wracajmy do tego, Rózo, bo zapragnę jeszcze więcej przeprosin, a więcej o tym myśleć już nie chcę.

– Nie, doprawdy, Eddy, jesteś zbyt surowy dla siebie, mój ty szlachetny chłopcze. Usiądźmy, braciszku, na kamieniach tej ruiny i pozwól, że ci opowiem, jak to z nami było. Myślę, że wiem, ponieważ rozmyślałam o tym dużo od naszego ostatniego pobytu w tym miejscu. Lubisz mnie, prawda? Uważałeś mnie za miłe stworzenie?

– Wszyscy tak uważają, Rózo.



– Doprawdy? – przez chwilę marszczyła w zamyśleniu brwi, a potem wyrzuciła z siebie krótki, jasny wstęp: – No dobrze, powiedzmy, że tak jest. Jednak z całą pewnością to nie wystarczy, abyś pomyślał o mnie tak jak inni, prawda?

Temu nie można było zaprzeczyć. Istotnie, to nie wystarczy.

– I właśnie o to mi chodzi, tak właśnie z nami było – stwierdziła Róża. – Bardzo mnie lubiłeś, przyzwyczaiłeś się do mnie i do myśli, że się pobierzemy. Pogodziłeś się z tą sytuacją jak z czymś, czego nie da się uniknąć, czyż nie tak? Tak ma być, myślałeś, po cóż więc o tym rozmawiać i wszystko to roztrząsać?

Ten wizerunek jego samego był tak wyrazisty, że ujrzał go jakby w nagle podsunętym lustrze, co było dlań całkiem nowym przeżyciem. Zawsze traktował ją z góry, z wyższością odnosząc się do jej kobiecej inteligencji. Czy był to jeszcze jeden przykład na to, że z gruntu coś nie było w porządku z układem, zgodnie z którym zmierzali do zawarcia związku mającego ich połączyć na całe życie?

– Wszystko, co mówią o tobie, dotyczy również mnie, Eddy. Gdyby tak nie było, nie zebrałabym się na odwagę, aby o tym mówić. Różnica między nami jest taka, że ja zamiast odsuwać to z myśli, stopniowo przyzwyczaiłam się do tego, zastanawiałam się nad tym. Widzisz, moje życie nie jest tak wypełnione pracą jak twoje i nie muszę myśleć o tylu rzeczach naraz. Tak więc sporo się nad tym zastanawiałam i dużo wylałam łez (choć, biedaku, to nie była twoja wina); wtedy nagle złożył mi wizytę mój opiekun, aby przysposobić mnie do opuszczenia Domu Zakonnicy. Próbowałam mu zasugerować, że jeszcze nie jestem całkiem zdecydowana, ale zawahałam się i nie wyszło mi, a on nie pojął mojej sugestii. To dobry, zacny człowiek. Kiedy jednak w niezwykle przyjazny sposób oznajmił mi, że w naszej sytuacji powinniśmy bardzo poważnie się nad tym zastanowić, zdecydowałam, że na ten temat poważnie pomówię z tobą na osobności. O, jeśli przed chwilą wydało ci się, że przyszło mi to łatwo, ponieważ zaczęłam mówić o tym wprost, to nie myśl, że tak było naprawdę, bowiem... O, Eddy... To było dla mnie bardzo, bardzo trudne i jest mi bardzo, bardzo przykro!

I znowu wybuchła płaczem z głębi wzruszonego serca. Objął ją w talii i poszli razem wzdłuż brzegu rzeki.

– Twój opiekun ze mną też rozmawiał, droga Różo. Widziałem się z nim przed wyjazdem z Londynu. – Prawą ręką sięgnął do kieszeni na piersi, szukając pierścienia, ale się powstrzymał, myśląc: „Jeżeli mam mu go zwrócić, to po co jej teraz o nim mówić?”

– I to sprawiło, że pomyślałeś o tym poważnie, prawda Eddy? I gdybym nie powiedziała ci o tym, czy rozmawiałbyś na ten temat ze mną? Mam nadzieję, że możesz to potwierdzić? Nie chciałabym, aby to była tylko moja inicjatywa, chociaż najwyraźniej jest to dla nas najlepsze wyjście z sytuacji.

– Tak, rozmawiałbym z tobą; powiedziałbym ci wszystko; przychodząc tutaj, nosiłem się z tym zamiarem, ale nigdy nie wyraziłbym tego tak jak ty, Różo.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że wyraziłam to chłodno lub w sposób niemiły, Eddy. Proszę cię, Eddy, powiedz, że tak nie było!

– Myślę, że powiedziałaś to bardzo rozsądnie i wyraziłaś delikatnie. Tak, zrobiłaś to in-

teligentnie i z prawdziwym uczuciem.

– Mój drogi braciszku! – Z nagłym entuzjazmem ucałowała jego dłoń. – Kochane dziewczęta będą bardzo rozczarowane – dodała Róża ze śmiechem, a w jej jasnych oczach błyszczały łzy jak krople rosy. – Tak bardzo na to czekały, biedactwa!

Wypowiadając te słowa, rzuciła mu szybkie jak błyskawica spojrzenie. Zdawało się jednak, że zaraz ich pożałowała i gdyby mogła, natychmiast by je cofnęła, bo zmieszana zaraz spuściła wzrok i ciężko westchnęła.

– Ach! Ale boję się, że Jack będzie jeszcze bardziej rozczarowany – powiedział, wzdrygając się Edwin Drood. – Nie pomyślałem w ogóle o Jacku! Chyba nie wątpisz, Różo, że to będzie dla niego cios?

Pośpiesznie odparła sobie w duchu wykrętnym pytaniem: „Dlaczego miałoby to być dla niego ciosem? Dlaczego ona, Róża, miałaby o tym myśleć?” Wydawało jej się, że on nie ma z tym wiele wspólnego.

– Moje drogie dziecko! Czy możesz sobie wyobrazić, że ktoś tak przejęty losem drugiej osoby – to określenie pani Tope, nie moje – tak przejęty, jak Jack jest przejęty moim, nie byłby wstrząśnięty tą nagłą informacją o całkowitej zmianie w moim życiu? Mówię „nagłą”, ponieważ sama rozumiesz, że spadnie to na niego nieoczekiwanie.

Skinęła kilka razy głową, a jej usta rozchyliły się, jakby te słowa chciała potwierdzić. Jednak milczała, a jej oddech bynajmniej się nie uspokoił.

– Jak ja o tym powiem Jackowi? – zastanawiał się Edwin. Gdyby nie był tak bardzo zagrożony w swoich myślach, niechybnie zauważyłby jej szczególne zachowanie. – W ogóle nie pomyślałem o Jacku. Trzeba mu to przekazać, zanim w całym mieście zaczną trąbić. Jutro i pojutrze będę u niego na kolacji, to znaczy w Wigilię i pierwszy dzień świąt, ale nigdy nie odważyłbym się popsuć mu świąt. On zawsze tak się o mnie martwi i przejmuje najdrobniejszymi błahostkami, że taka wiadomość może go zwalić z nóg. Jak ja, u licha, mam to przekazać Jackowi?

– Ale musi zostać o tym poinformowany, prawda? – zapytała Róża.

– Droga Różo! Komu powinniśmy się zwierzyć, jeśli nie Jackowi?

– Mój opiekun obiecał przyjechać, jeżeli zaproszę go pisemnie. Zamierzam to uczynić. Może chcesz, żeby on to zrobił?

– Świetna myśl! – wykrzyknął Edwin. – Drugi powiernik. Nic naturalniejszego. Przyjeżdża tu, idzie do Jacka, mówi mu o tym, co uzgodniliśmy, a całą sprawę przedstawia lepiej od nas. Rozmawiał szczerze ze mną i z tobą, i całą rzecz równie szczerze przekaże Jackowi. To jest to! Nie jestem tchórzem, Różo, ale zdradzę ci sekret – trochę się boję Jacka.

– Nie, nie! Nie boisz się go! – krzyknęła Róża, blednąc i załamując ręce.

– Ależ siostrzyczko Różyczko, siostrzyczko Różyczko, co tam ujrzałaś z tej swojej wieszczki?<sup>[34]</sup> – rzucił żartobliwie Edwin. – Moja droga dziewczynka!

– Przestraszyłeś mnie.

– Zupełnie niechcący, jednak jest mi tak przykro, jakbym uczynił to celowo. Czy choćby przez moment mogłaś wnosić z mojego sposobu mówienia, że naprawdę boję się tego drogiego, życzliwego mi człowieka? Chodzi mi o to, że miewa on napady pewnego rodzaju

parkosyzmów, raz nawet byłem tego świadkiem. I nie wiem, czy wówczas, gdy spotka go tak wielka niespodzianka – w dodatku przekazana bezpośrednio przeze mnie, przez człowieka, którym tak bardzo się przejmuję – nie dostanie takiego napadu. Taki właśnie jest kolejny powód – sekret, który ci zdradziłem – aby to twój opiekun przekazał mu tego rodzaju informację. Jest on człowiekiem zrównoważonym, precyzyjnym, dokładnym i szybko skieruje myśli Jacka na właściwe tory, podczas gdy w rozmowach ze mną Jack zawsze staje się impulsywny i raptowny, i jeśli tak rzecz można, prawie kobiecy.

Zdawało się, że Róża jest przekonana. Być może ze swego, całkiem odmiennego punktu widzenia, uznała, że obecność pana Grewgiousa pomiędzy nią a Johnem stanowi jakąś dla niej pociechę i ochronę.

I znowu prawa dłoń Edwina Drooda zacisnęła się na małym pudełeczku z pierścieniem i raz jeszcze powstrzymała ją następująca myśl: „Teraz to już pewne, że go zwrócę, po cóż więc o nim mówić? Po to tylko, aby ta śliczna, życzliwa i współczująca mi istota, z powodu zniweczenia wspólnych dziecięcych marzeń o szczęściu, miała teraz smucić się tymi żalnymi klejnotami? W jakim to celu, skoro spokojnie potrafiła znaleźć się w nowym świecie, mogąc już pleść świeże wianki ze znajdujących w nim kwiatów, ponieważ kwiaty starożytności już zwiędły? Dlaczego miałyby tak być? Klejnoty te były jedynie symbolem przerwanych radości i snucia bezpodstawnych planów; sama ich uroda (jak wszyscy to przyznawali) zdawała się okrutnie szydzić z uczuć, nadziei, planów i samego człowieczeństwa, zdawała się być niezapowiadającym niczego symbolem, który teraz rozpadł się w ulotny pył. Niechże tak będzie.” Zwróci pierścień opiekunowi, gdy ten tu przyjdzie; on zaś umieści go z powrotem w szufladce sekretarzyka, z którego tak niechętnie go wyjął i tam, wraz ze starymi listami, przyrzeczeniami i innymi śladami minionych, nigdy nieziszczonych planów, będzie spoczywał zapomniany do czasu, gdy ze względu na swą wartość zostanie sprzedany i tym sposobem znowu włączony w obieg handlowy, aby powtórzyć przebytą już niegdyś drogę.

Zostawmy go, niech bez komentarza spoczywa w kieszeni na piersi. Doszedł do takiego wniosku bez względu na to, w jakiej formie układał te myśli. Niech tam leży w spokoju. Oto w ogromnym magazynie cudownych łańcuchów, dniem i nocą nieustannie wykuwanych w niezmiernie hucie czasu i okoliczności, został w tym momencie wykuty jeszcze jeden łańcuch, a był to łańcuch tej drobnej konkluzji, łańcuch przykuty do nieba i ziemi i obdarzony niezwykłą mocą hamowania i powstrzymywania czynów nierozważnych.

Idąc dalej brzegiem rzeki, zaczęli rozmawiać o swych oddzielnych planach. On przyspieszy wyjazd z Anglii, ona będzie przebywać w Domu Zakonnicy przynajmniej tak długo, jak pozostanie tam Helena Landless. Kochane, biedne dziewczęta zostaną delikatnie powiadomione o czekającym je rozczarowaniu, a jako pierwszą – jeszcze przed przyjazdem pana Grewgiousa – Róża powiadomi pannę Twinkleton. Należy wyraźnie wszystkim uświadomić, że ona i Edwin pozostaną najlepszymi przyjaciółmi. Odkąd się zaręczyli, nigdy jeszcze nie panowało między nimi tak spokojne porozumienie. Chociaż każda ze stron miała po jednym zastrzeżeniu: ona za pośrednictwem swego opiekuna zamierzała natychmiast zrezygnować z lekcji muzyki, on zaś snuł rozważania, czy byłoby możliwe, żeby le-

piej poznał pannę Landless.

Podczas spaceru i rozmowy mroźny dzień zaczął chylić się ku zachodowi, a kiedy ich spacer dobiegł końca, słońce zachodziło za rzekę i teraz rozciągało się przed nimi oblane czerwonym światłem stare miasto. Smętnie zawodzące wody wyrzucały u ich stóp wodorosty, a kiedy zawrócili, aby oddalić się od brzegu, nad ich głowami krążyły kraczące ochryple gawrony, niczym ciemne plamki na czerniejącym niebie.

– Przygotuję Jacka na mój rychły odlot – powiedział cicho Edwin. – Spotkam się z twoim opiekunem, jak tylko tu się zjawi i ulotnię się, zanim z sobą porozmawiają. Lepiej, żeby załatwili to beze mnie. Sądysz, że to dobry pomysł?

– Tak.

– Jesteśmy, Rózo, oboje przekonani, że dobrze zrobiliśmy, prawda?

– Tak.

– Wiemy, że tak jest lepiej... Nawet teraz?

– I w przyszłości stopniowo będzie dużo, dużo lepiej.

A jednak w ich sercach tliła się jakaś tęsknota za poprzednią, minioną już sytuacją – i ta tęsknota była tak silna, że przeciągali chwilę rozstania. Kiedy zanurzyli się w cień przykatedralnych wiązów, pod którymi tak niedawno siedzieli, zatrzymali się zgodnie; Róża uniosła ku niemu twarz tak, jak nigdy nie robiła tego w minionych dniach – były to już dni, które naprawdę dawno minęły.

– Niech cię Bóg błogosławi, moja droga! Do widzenia!

– Niech cię Bóg błogosławi, mój drogi! Do widzenia!

Ucałowali się gorąco.

– A teraz odprowadź mnie do domu, Eddy, i pozwól, żebym została sama.

– Nie oglądaj się za siebie, Rózo – ostrzegł, ujmując ją pod rękę i sprowadzając na bok.

– Nie widzisz Jacka?

– Nie! Gdzie?

– Pod drzewami. Widział nas, jak się żegnaliśmy. Biedak! Nie domyśla się, że się rozstajemy. Bardzo się obawiam, że będzie to dla niego prawdziwy cios!

Bez zatrzymywania się przyspieszyła kroku i szła szybko, aż przeszli przez bramę w domu Jaspera i wyszli na ulicę. Kiedy już na niej się znaleźli, zapytała:

– Idzie za nami? Obejrzyj się. Idzie za nami?

– Nie. Tak, idzie! Właśnie przeszedł przez bramę. Kochany, drogi staruszek, chce nas mieć na oku. Obawiam się, że będzie gorzko rozczarowany!

Dziewczyna pośpiesznie pociągnęła rączkę ochryplego, starego dzwonka i drzwi wkrótce się otworzyły. Przed wejściem rzuciła młodzieńcowi ostatnie pytające spojrzenie, jakby indagując go z błagalnym naciskiem: „Och! Czyż nie rozumiesz?”, a on oddalając się od tego spojrzenia, zniknął jej z oczu.

## ROZDZIAŁ XIV

### KIEDY CI TRZEJ ZNOWU SIĘ SPOTKAJĄ? <sup>{35}</sup>

Wigilia w Cloisterham. Na ulicach trochę nieznajomych twarzy; inne twarze, na wpół znajome, na wpół obce, kiedyś twarze dzieci z Cloisterham, teraz kobiet i mężczyzn, którzy po długiej nieobecności wrócili z szerokiego świata i stwierdzili, że jakimś cudownym sposobem miasto skurczyło się jak po praniu. Dla tych ludzi bicie katedralnego zegara i krakanie gawronów z wieży katedralnej brzmią jak głosy z dzieciństwa. Ludziom tego pokroju gdzieś daleko stąd zdawało się w godzinie śmierci, że wyobrażają sobie podłogę zasłaną jesiennymi liśćmi opadłymi z wiązków rosnących na dziedzińcu – tak oto ożywały ich pierwsze zapamiętane wrażenia, szmery i świeże zapachy, kiedy to krąg ich życia niemal się zamykał, a jego początek prawie łączył z końcem.

Wszędzie dostrzega się oznaki nadchodzących świąt. Tu i ówdzie przebłyskują czerwone jagody w oknach domu przy Zaułku Kanonika Mniejszego; pan i pani Tope zręcznie utykają gałązki ostrokrzewu pomiędzy rzeźby i lichtarze zdobiące katedralne stalle, jakby wpinali je w dziurki od guzików płaszczy księdza dziekana i członków kapituły. W sklepach pełno wszelakich dóbr – szczególnie w działach rodzynek, przypraw, kandyzowanych skórek i lizaków. Niezwykłą atmosferę galanterii i swawoli wyrażono ogromnym pękiem jemioly zawieszanej nad wejściem do sklepu spożywczego, a także prezentacją biednego małego Dwunastego Ciastka uformowanego w kształt arlekina – takiego biednego małego Dwunastego Ciasteczka, które chciałoby raczej nazwać się Dwudziestym Czwartym lub może Czterdziestym Ósmym, a które ma zostać wystawione jako fant na loterii u cukiernika i kosztuje tylko szylinga za sztukę. Nie brakuje publicznych rozrywek. Podczas świątecznego tygodnia na szczególne życzenie można oglądać woskowe figury, które wywarły tak głębokie wrażenie na filozoficznym umyśle chińskiego cesarza. Figury te wystawia się w pomieszczeniach zbankrutowanego właściciela wynajmującego konie. Można też będzie obejrzeć świąteczną pantomimę, która ma być wystawiona w teatrze – co anonsuje wizerunek Signora Jacksonini, wypowiadającego te słowa: „Czy zobaczymy się jutro?”, wielkości niemal naturalnej i niemal równie naturalnej żalostnej prezencji. Krótko mówiąc, w Cloisterham wszędzie panuje ruch, co nie dotyczy jedynie szkoły średniej i pensji panny Twinkleton. Z tej pierwszej instytucji wszyscy uczniowie wyjechali do domów, każdy zakochany w którejś z panienek pensji panny Twinkleton (która o niczym nie ma pojęcia), a co do tej drugiej instytucji, to widać jedynie jak w oknach od czasu do czasu przemykają pokojówki. Przy okazji można zauważyć, że stosując się do zasad przyzwoitości, panny te stały się jakby bardziej płochliwe, od kiedy przypadło im w udziale reprezentowanie swojej płci i nie musiały już odtąd dzielić tej roli z uczennicami panny Twinkleton.

Dziś wieczorem w domu z bramą mają się spotkać trzy osoby. Jak każda z nich spędza ten dzień?

\* \* \*

Neville Landless, choć na czas świąt uwolniony od książek przez pana Crisparkle'a – którego rześka natura w żadnym razie nie jest niewrażliwa na uroki świąt – w skupieniu czyta i pisze spokojnie w swoim pokoju aż do drugiej po południu. Potem zabiera się do sprzątnięcia stołu, uporządkowania książek, podarcia i spalenia wszystkich zbędnych papierów. Dokładnie usuwa wszelki bałagan, układa wszystko porządnie w szufladach i nie pozostawia żadnej niepotrzebnej notatki lub zbędnego kawałka papieru, który nie jest bezpośrednio związany z nauką. Uczyniwszy to, idzie do szafy i przewraca w niej, wybierając części garderoby – między innymi wyciąga zapasowe mocne buty i skarpety do pieszych wędrowek – i pakuje je do plecaka. Plecak jest nowy, kupił go wczoraj w sklepie przy High Street. W tym samym czasie i miejscu nabył też masywną, okutą laskę z mocną rączką. Wypróbuje ją, macha, przymierza się do niej, a potem odkłada wraz z plecakiem do okiennego wykusza. Tym sposobem jest już całkowicie przygotowany.

Ubiera się do wyjścia i w chwili gdy wychodzi – a właściwie już po opuszczeniu pokoju – spotyka na schodach kanonika mniejszego, który również wychodzi ze swego pokoju na tym samym piętrze; zaraz wraca po laskę, zamierzając już teraz zabrać ją ze sobą. Pan Crisparkle, przystając na schodach, dostrzega laskę w ręce Neville'a. Gdy ten powtórnie pojawia się w drzwiach, zabiera ją od niego i z uśmiechem pyta, czym się kierował, wybierając taką właśnie laskę?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odpowiada Neville. – Wybrałem ją ze względu na ciężar.

– O wiele za ciężka, Neville'u, o wiele za ciężka.

– A może taka, na której mógłbym się wspierać podczas długiego spaceru?

– Wspierać się na niej? – powtarza pan Crisparkle, teraz przemawiając w imieniu doświadczonych piechurów. – Na lasce się nie wspierasz; służy ona jedynie do balansowania.

– Z czasem nabiorę doświadczenia, proszę pana. Jak pan wie, nie mieszkałem w kraju, w którym spacerowało się z laską.

– To prawda – przyznaje pan Crisparkle. – Potrzebuje pan małego treningu i jeszcze kiedyś przejdziemy razem niejedną dziesiątkę mil. Teraz pewnie nie nadażyłby pan za mną. Wróci pan na kolację?

– Chyba nie, bowiem u nas kolacja bywa wcześnie.

Pan Crisparkle kiwa pogodnie głową i żegna się z nim wesoło; w ten sposób (niezupewnie przypadkowo) wyraża całkowite zaufanie i bez troskę.

Neville udaje się do Domu Zakonnicy i prosi, aby poinformowano pannę Landless, że zgodnie z umową przybył jej brat. Czeka przy bramie, nie próbując nawet przekroczyć progu, ponieważ dał słowo, że nie będzie Róży wchodził w drogę.

Jego siostra, świadoma tak samo jak on podjętego wspólnie zobowiązania, nie tracąc

ani chwili, zaraz do niego wychodzi. Witają się serdecznie, ale nie zatrzymują się i natychmiast kierują kroki za miasto w górzyste okolice.

– Nie zamierzam wkraczać na teren zakazany, Heleno – mówi Neville, gdy skręcają po przejściu sporego dystansu – ale za chwilę pojmiesz, że nie mogę się powstrzymać od nawiązania do... jakby to powiedzieć?... do mej ślepej namiętności.

– A nie lepiej tego po prostu unikać, Neville’u? Wiesz przecież, że nie chcę tego słuchać.

– Ale, moja droga, przecież możesz słuchać tego, czego z aprobatą wysłuchał pan Crisparkle.

– Tak... **tego** mogę wysłuchać.

– A zatem, to tak; ja nie tylko czuję się rozstrojony i nieszczęśliwy, ale uświadamiam sobie, że mieszam się i zakłócam życie innych ludzi. Chyba nie wątpisz, że gdyby nie moja niefortunna tu obecność, ty... i... i reszta naszych poprzednich znajomych, z wyjątkiem naszego ujmującego opiekuna, jutro spożywalibyście radośnie kolację w Zaułku Kanonika Mniejszego? W istocie tak by zapewne było. Doskonale widzę, że w oczach starszej pani nie cieszę się dobrą opinią i łatwo można sobie wyobrazić, jaką muszę stanowić denerwującą zadrę dla gościnności tego zacnego domu – szczególnie o tej porze roku – kiedy należy trzymać mnie z dala od wiadomej ci osoby i gdy istnieje powód, abym z nią się nie spotkał. Zwłaszcza, że niepochlebna opinia o mnie jest tej osobie znana – i tak dalej, i tak dalej. Jednak przedstawiłem to bardzo oględnie panu Crisparkleowi, bowiem znasz jego obiektywizm. Jednocześnie uświadomiłem mu, że walczę ze sobą i że mała zmiana, a także moja nieobecność, pozwoli mi może wyjść z tej walki zwycięsko. A ponieważ mamy ładną pogodę, zamierzam jutro rano zniknąć wszystkim z oczu – mam nadzieję, że także i sobie.

– Kiedy powrócisz?

– Za dwa tygodnie.

– Pójdiesz zupełnie sam?

– Lepiej się czuję bez towarzystwa, nawet gdyby znalazł się ktoś, kto zniósłby moją obecność, oprócz ciebie, droga Heleno.

– I twierdzisz, że pan Crisparkle całkowicie to popiera?

– Całkowicie. Nie jestem zupełnie pewien, ale wydaje mi się, iż początkowo skłaniał się do wyrażenia opinii, że to jakiś mój kaprys i to taki, który mógłby mi zaszkodzić. Ale, aby to spokojnie omówić, minionego poniedziałku wieczorem udaliśmy się na spacer przy księżycu i przedstawiłem mu szczerze całą sprawę. Uświadomiłem mu, że pragnę pokonać słabość własnego charakteru i że jeśli chce, aby ten wieczór minął pomyślnie, to z pewnością lepiej będzie, żebym znalazł się daleko stąd. Spacerując tutaj, z trudem udałooby mi się uniknąć spotkania pewnych osób, a to nie prowadziłoby do niczego dobrego. A już z pewnością nie ułatwiłoby zapomnienia. Po upływie dwóch tygodni istnieje szansa, że na jakiś czas tego rodzaju zapomnienie nastąpi, a jeśli potem znowu się pojawi... No cóż, wtedy mogę ponownie odejść na jakiś czas. Co więcej, ja naprawdę wiąże pewne nadzieje z tą krzepiącą odnową płynącą z fizycznego wysiłku i zdrowego zmęczenia. Jak wiesz, pan Crisparkle głęboko w to wierzy i sam tak postępuje w celu zachowania kondycji fizycznej i

psychicznego zdrowia. Poczucie sprawiedliwości nie pozwala mu stosować jednego systemu zdrowych zasad dla siebie, a innego dla mnie. Dlatego też zaakceptował mój punkt widzenia, gdy przekonałem go o szczerości i powadze mych zamiarów; mając zatem jego absolutne poparcie, wyruszam jutro rano. Wyjdę na tyle wcześnie, aby nie tylko opuścić miasto, ale by znaleźć się poza zasięgiem głosu dzwonów, gdy zacni mieszkańcy Cloisterham spieszyć będą do kościołów.

Helena rozważa słowa brata i akceptuje jego postanowienie. Jeżeli pan Crisparkle jest przekonany, to i ona też jest przekonana; dobrze jednak wie, że jej przekonanie jest całkowicie niezależne. Kierując się własnym rozsądkiem, zdrowym rozsądkiem, uznaje to za coś sensownego, za wynik szczerego wysiłku i coś, co jest z jego strony aktywną próbą dokonania zmiany. Czuje, że zaczyna żałować tego biedaka, który na czas świąt Bożego Narodzenia teraz samotnie odchodzi. Uważa jednak, iż powinna dodać mu odwagi. I tak też czyni.

Czy będzie do niej pisał?

Będzie pisał co drugi dzień i opíše wszystkie przygody.

Czy wysłał już ubrania?

– Nie, droga Heleno. To wyprawa pielgrzyma. Tylko kostur i portfel. Mój portfel – a raczej plecak – jest już spakowany i gotów do założenia. A oto mój kostur!

Wręcza laskę Helenie, ona zaś zgłasza te same uwagi, co pan Crisparkle, że jest bardzo ciężka i zwraca ją, pytając z jakiego wykonano ją drewna – z twardego jak żelazo.

Od tej chwili Neville jest w bardzo radosnym nastroju. Być może podniosła go na duchu konieczność przedstawienia jej całej sprawy i to w możliwie najkorzystniejszy sposób. Ale być może, kiedy już się to udało, teraz też zaczyna odczuwać gwałtowną niechęć. Gdy dzień chyli się ku zachodowi, a światła miasta zaczynają się wyłaniać przed nimi, ogarnia go przygnębienie.

– Heleno, wolałbym nie iść na tę kolację.

– Drogi Neville’u, czy warto się tym aż tak przejmować? Pomyśl, jak szybko to wszystko minie.

– Jak szybko minie! – powtarza ponuro. – Tak. Jednak wcale mi się to nie podoba.

– Owszem może zdarzyć się jakiś niezręczny moment, jednak – pociesza go – będzie trwał tylko chwilę. Przecież jest zupełnie pewien siebie.

– Tak samo jak czuję się pewien samego siebie, chciałbym być równie pewien wszystkiego innego... – odpowiada.

– Jakoś dziwnie mówisz, mój drogi! O co chodzi?

– Heleno, nie wiem. Wiem tylko, że nie podoba mi się to wszystko. Jakie dziś mamy ciężkie, przytłaczające powietrze!

Zwraca jej uwagę na gromadzące się za rzeką chmury miedzianej barwy i mówi, że zrywa się wiatr. Potem prawie się nie odzywa do chwili, gdy rozstają się przy bramie Domu Zakonnicy. Ona nie wchodzi natychmiast po pożegnaniu, ale stoi, patrząc, jak on oddala się ulicą. Neville, nie mogąc przełamać swej niechęci, dwa razy usiłuje przejść przez bramę w domu Jaspera. W końcu, gdy katedralny zegar wybija kwadrans, gwałtownie zawraca i



szybko przechodzi.

I tym sposobem on wchodzi tylnymi schodami.

\* \* \*

Edwin Drood spędza ten dzień samotnie. Z jego życia zniknęło coś o głębszym znaczeniu niż sądził; w ciszy swego pokoju opłakiwał to wczoraj wieczorem. Wprawdzie w jego świadomości ciągle gdzieś tkwi wizerunek panny Ladless, jednak Róża, to śliczne, uczuciowe stworzenie, silniejsze i mądrzejsze niż dotąd sądził, zajmuje w jego myślach główne miejsce. Myśląc o niej nabiera podejrzeń, że sam pozbawiony jest wartości, myśli też o tym, czym mogli być dla siebie, gdyby w przeszłości traktował swoje narzeczeństwo poważniej. Gdyby wyżej ją cenił i gdyby przyjmując swój los jako oczywiste dziedzictwo, skupił się na właściwym docenianiu go i uczynieniu bardziej wartościowym. A jednak, pomimo to, a także mimo ostrego bólu, który cały czas przeszywa jego serce, młodzieńcza próżność i frywolność sprawiają, że urodziwa postać panny Landless ciągle pojawia się gdzieś w jego myślach.

Kiedy rozstali się przy bramie, na twarzy Róży malował się dziwny wyraz. Czyżby oznaczał, że potrafiła odczytać jego myśli i przeniknąć do ich mrocznych głębi? Zapewnie nie, był to bowiem wyraz zdumienia i chęci zadania pytania. Uznał, że choć było to bardzo wyraziste, nie będzie mógł tego zrozumieć.

Teraz czeka jedynie na pana Grewgiousa, aby po zobaczeniu się z nim natychmiast wyjechać i opuścić to stare miasto i jego okolice. Wspomina czas, gdy jeszcze jako dzieci przechadzali się z Różą tu i tam, dumni ze swego narzeczeństwa. Biedne dzieciaki! – myśli z żalnym smutkiem.

Zauważywszy, że stanął mu zegarek, wchodzi do sklepu jubilera, żeby go nakręcił i nastawił. Jubiler to znawca bransoletek i ogólnikowo, w dość niejasny sposób prosi, aby wolno mu było jedną z nich zaprezentować. Będzie idealnie pasowała (jak twierdził) panie młodej; zwłaszcza jeśli ma ona delikatną urodę. Kiedy okazuje się, że bransoletka jest chłodno przyjęta, jubiler zwraca uwagę na tacę z męskimi sygnetami. Pokazuje, że tu oto leży na przykład ciekawy, bardzo prosty sygnet, często kupowany przez panów zmieniających swój stan. To sygnet o bardzo nobliwej prezencji, wielu panów zwykło przedkładać go nad inny rodzaj pamiątki, zwłaszcza gdy wewnątrz zostanie wygrawerowana data ślubu.

Jednak sygnety przyjmowane są tak samo chłodno jak bransoletka. Edwin oznajmia kusiicielowi, że nie nosi żadnej biżuterii, oprócz zegarka na łańcuszku, który kiedyś należał do jego ojca, a także prócz spinek do mankietów. Wiem, wiem – brzmi odpowiedź jubilera – ponieważ któregoś dnia wpadł do mnie pan Jasper po szkiełko do zegarka i prawdę mówiąc, pokazałem mu te same precjoza, zwracając uwagę, że gdyby miał **życzenie** zrobić z jakiejś szczególnej okazji prezent krewnemu... Ale on odparł z uśmiechem, że ma w głowie spis całej biżuterii, jaką jego krewny kiedykolwiek nosił, a mianowicie: zegarek z łańcuszkiem i spinki do mankietów. Niemniej (jak uważa jubiler), chociaż dotyczy to czasu terazniejszego, może nie dotyczyć czasu w ogóle.

– Panie Drood, nastawiłem zegarek na dwadzieścia po drugiej i pozwolę sobie dora-

dzić, aby nie zostawiał go pan nienakręconego.

Edwin bierze zegarek, chowa do kieszonki i odchodzi, myśląc: „Drogi, stary Jack! Gdybym zrobił dodatkową fałdkę w krawacie, też by ją zauważył!”.

Przechadza się tu i tam, aby zabić czas do kolacji. Dzisiaj wydaje mu się, że Cloisterham przygląda mu się z naganą; ma mu coś za złe, zupełnie jakby nie sprawił się tu dobrze, chociaż bardziej wydaje się nad tym dumać aniżeli złościć. Zwykłą sobie beztroskę zastępuje teraz Edwin oglądaniem tego, co przemija i zastanawia się nad starymi, znajomymi miejscami. Wkrótce będzie daleko stąd i może już nigdy więcej ich nie zobaczy. Biedny młodzieniec! Biedny młodzieniec!

Kiedy gęstnieje mrok, spaceruje po Mniszej Winnicy. Według katedralnego zegara przechadza się tak całe pół godziny i zapadają już ciemności, gdy dostrzega kobietę przykucniętą na ziemi obok furki w rogu ogrodzenia. Furka ta wychodzi na mały po zmroku używaną ścieżkę, a postać tej kobiety musiała tam tkwić już od dawna, chociaż dopiero teraz stopniowo odróżnia ją od otoczenia.

Wchodzi na ścieżkę i zbliża się do furki. W świetle pobliskiej latarni widzi, że kobieta jest wynędzniała i opiera wychudły podbródek na rękach, a jej szeroko rozwarte oczy w ślepych bezruchu wpatrują się bez zmrużenia powiek prosto przed siebie.

Z natury uprzejmy, a tego wieczoru skłonny do większej niż zwykle uprzejmości, co spowodowało, że ze szczególną serdecznością zwracał się do napotkanych na drodze dzieci i ludzi starszych, natychmiast pochyła się i pyta:

– Jesteś chora?

– Nie, skarbeńku – odpowiada, nie patrząc na niego i nie zmieniając dziwnego, jakby ślepego wyrazu oczu.

– Jesteś ociemniała?

– Nie, skarbeńku.

– Zgubiłaś się, nie masz domu, słabo ci? Co się stało, że tak długo siedzisz na zimnie bez ruchu?

Powoli, z wysiłkiem udaje się jej spojrzeć na niego, a wtedy jej oczy zachodzą dziwną mgłą i zaczyna drżeć.

Edwin prostuje się, cofa i patrzy na nią zdumiony i przerażony; wydaje mu się, że skądś ją zna.

„Wielkie nieba!”, myśli po chwili. „Zupełnie jak Jack tamtej nocy!”

Kiedy na nią patrzy, kobieta unosi ku niemu wzrok i zaczyna zawodzić:

– Moje płuca są takie słabe, są tak strasznie chore. O, ja nieszczęsna, nieszczęsna. Dusimnie suchy kaszel! – i na potwierdzenie tych słów przeraźliwie kaszle.

– Skąd się tu wzięłaś?

– Z Londynu, kochasiu (zanosi się kaszlem).

– Dokąd idziesz?

– Wracam do Londynu, kochasiu. Przyszłam tu, szukając igły w stogu siana, ale jej nie znalazłam. Słuchaj no, kochasiu, daj mi trzy i pół szylinga, a wtedy już nie będę się o siebie martwić. Wróć do Londynu i nikomu nie sprawię kłopotu. Mam coś do załatwienia... Ach

Boże! Prowadzę tam pewien interes, ale idzie marnie, marnie, a czasy ciężkie...! Muszę jednak z tego żyć.

– Zażywasz opium?

– Pałę je – odpowiada, z trudem tłumiąc rozzwierający piersi kaszel. – Daj mi trzy i pół szylinga, a ja dobrze je spożytkuje i potem zwrócę. Jak nie dasz mi tych trzech i pół szylinga, to nie dawaj mi miedziaka, a jak dasz mi trzy i pół szylinga, kochasiu, to coś ci powiem.

Edwin wyjmując z kieszeni pieniądze, odlicza i wciska monety do jej dłoni. Kobieta natychmiast chwytając je mocno i wstając, zanosząc się ochryplym śmiechem zadowolenia.

– Niech cię Bóg błogosławi! Słuchaj no, drogi panoczku... Jak masz na imię?

– Edwin.

– Edwin, Edwin, Edwin... – powtarza sennie, a potem pyta nagle: – Czy skrótem tego imienia jest Eddy?

– Czasem tak bywa – odpowiada, rumieniąc się.

– Może ukochana tak mówi, co? – pyta w zamyśleniu.

– A skąd mam wiedzieć?

– Na mą duszę, nie masz ukochanej?

– Nie mam.

Odsuwa się, mruczając:

– Niech cię Bóg błogosławi i dziękuję, kochasiu.

Po tych słowach Edwin jej przypomina:

– Miałaś mi coś powiedzieć, więc gadaj zaraz.

– No tak, miałam, miałam... No dobrze, powiem ci szeptem. Ciesz się, że nie masz na imię Ned.

Patrzy na nią uważnie i pyta:

– Dlaczego?

– Bo to teraz złe imię.

– Dlaczego złe?

– To groźne imię. Imię niebezpieczne.

– Przysłowia mówią, że ci, którym coś grozi, żyją najdłużej – mówi niefrasobliwie.

– A więc ten Ned... Jest tak zagrożony, gdziekolwiek teraz jest, kiedy tu z tobą rozmawiam, kochasiu... że chyba powinien żyć wiecznie! – odpowiada kobieta.

Pochyliła się do przodu, aby powiedzieć mu to do ucha, kiwając mu przy tym palcem przed oczami, ale zaraz kuli się znowu i z następnym: „Dziękuję, niech cię Bóg błogosławi!”, oddała się w kierunku gospody Dwupensowych Wędrowców.

Nie jest to pokrzepiające zakończenie smętnego dnia. W kimś, kto teraz jest sam w odosobnionym miejscu, otoczony wspomnieniami z przeszłości i śladami rozkładu, tego rodzaju schyłek dnia może wywołać dreszcze. Kieruje się więc w stronę lepiej oświetlonych ulic i po drodze postanawia nikomu dziś wieczorem nic nie mówić, jedynie jutro wspomni o tym Jackowi (który jako jedyny nazywa go Nedom). Rzecz jasna potraktuje to jako zwykły zbieg okoliczności, a nie jako coś, o czym warto by pamiętać.

Jednak myśl o tym uporczywie powraca, tak jak nigdy jeszcze nie powracało coś, co byłoby godne zapamiętania. Przed kolacją ma jeszcze do przejścia około mili, a kiedy mija most i idzie brzegiem rzeki, nasilający się wiatr niesie słowa kobiety; pojawiają się one na zachmurzonym niebie, we wzburzonych wodach i w rozbłyskach świateł. Dźwięczą ponurym echem nawet w biciu dzwonów katedry i uderzają nagle w jego serce, gdy skręca pod łukiem bramy domu Jaspera.

I tym sposobem o n też wchodzi tylnymi schodami.

\* \* \*

John Jasper spędza ten dzień przyjemniej i weselej niż jego goście. Podczas świąt nie udziela lekcji muzyki, tak więc dysponuje czasem, z wyjątkiem nabożeństw w katedrze. Wyrusza wcześniej do sklepów, aby zamówić różne przysmaki dla swego siostrzeńca.

Oznajmia swym aprowizatorom, że siostrzeniec nie będzie z nim długo, musi więc mu dogadzać i rozpieszczać go. Robiąc przygotowania do przyjęcia gości, wstępuje do pana Sapsea i wspomina mu, że drogi Ned i ów zapalczywy jak iskra podopieczny pana Crispar-kle'a, mają być dziś u niego na kolacji i ostatecznie się pogodzić. Do tego zapalczywego młodzieńca pan Sapsea nie jest przyjaźnie usposobiony. Mówi, że ma on jakąś „nie angielską” cerę. A kiedy pan Sapsea stwierdza, że coś nie jest angielskie, można być pewnym, iż to coś na zawsze zostaje strącone w bezdenną otchłań.

Johnowi Jasperowi doprawdy przykro słuchać, że pan Sapsea tak mówi, ponieważ zdaje sobie doskonale sprawę, że pan Sapsea nigdy niczego nie mówi bez powodu i obdarzony jest subtelnym darem nieomyślności. Sam pan Sapsea (bardzo dziwnym zbiegiem okoliczności) dokładnie podziela to zdanie.

Tego dnia głos pana Jaspera brzmi pięknie. Wzniosła suplikacja wyrażająca błaganie, by jego serce było skłonne do przestrzegania przykazań, zdumiewa słuchaczy melodyjną siłą. Nigdy jeszcze nie śpiewał trudnej muzyki tak biegle i tak harmonijnie jak dzisiaj. Jego nerwowość sprawiała, że tę muzykę czasem traktował zbyt pobieżnie, śpiewał ją nazbyt szybko, dzisiaj jednak tempo jest wprost idealne.

Wynika to zapewne z ogromnego spokoju ducha. Samo gardło prawdopodobnie jest trochę podrażnione, dlatego oprócz narzuconej na zwykłe ubranie szaty chórzysty ma okręcony wokół szyi długi, czarny szal z gęsto tkanego jedwabiu. Lecz jego spokój jest do tego stopnia widoczny, że pan Crispar-kle nie może nie napomknąć o tym, gdy wychodzą po nieszpórach.

– Muszę podziękować, Jasper, za przyjemność słuchania pana dzisiaj. Piękne! Zachwycające! Sądzę, że nie osiągnąłby pan takiego rezultatu, gdyby nie czuł się pan tak wspaniale.

– Tak, czuję się wprost cudownie.

– Żadnych błędów – mówi kanonik mniejszy, czyniąc gładkie ruchy ręką – żadnej niepewności, niczego, co byłoby wymuszone lub opuszczone, wszystko wykonane prawdziwie po mistrzowsku, z idealnym opanowaniem.

– Dziękuję. Spodziewałem się tego, jeśli tak to mogę określić.

– Można by pomyśleć, Jasper, że próbował pan zażywać jakiegoś nowego leku na tę niedyspozycję, która czasem panu dokucza.

– Doprawdy? Trafna uwaga, bo istotnie zacząłem kurację.

– A zatem trzymaj się tego, dobry człowieku – mówi pan Crisparkle, klepiąc go po ramieniu z przyjacielską zachętą – tak, trzymaj się tego.

– Zrobię to.

– Gratuluję – ciągnie pan Crisparkle, kiedy wychodzą z katedry – ze wszech miar gratuluję.

– Jeszcze raz dziękuję. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, przejdę się z panem do Zaułku. Pozostało mi jeszcze dużo czasu do przyjęcia gości; chcę zamienić z panem kilka słów i sądzę, że nie będą one panu niemiłe.

– O co chodzi?

– A więc dobrze. Tamtego wieczoru mówiliśmy o moich atakach złego humoru.

Twarz pana Crisparkle’a pochmurnieje i kanonik mniejszy kręci głową z ubolewaniem.

– Jak pan wie, powiedziałem wtedy, że powinienem znaleźć na te ataki jakieś antidotum, a pan wyraził wtedy nadzieję, że cisnę je w płomień.

– I ciągle mam taką nadzieję, Jasper.

– Ma pan świętą rację! Na końcu roku chcę spalić tegoroczny pamiętnik.

– Ponieważ pan... – zaczynając mówić, pan Crisparkle rozpromienia się.

– Zgaduje pan. Ponieważ czuję, że nie znajdowałem się w odpowiednim nastroju; byłem ponury, zgorzkniały, pogrążony w rozmyślaniach, sam nie wiem, jak to nazwać. Powiedział mi pan, że bardzo przesadzam. Tak, rzeczywiście przesadzałem.

Twarz pana Crisparkle’a jaśnieje coraz bardziej.

– Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że nie byłem w dobrym nastroju. Ale teraz jestem już zdrowszy i przyznaję to z prawdziwą przyjemnością. Rozdmuchiwałem niepotrzebnie zwykłe głupstwa. To fakt.

– Cieszę się, słysząc to! – woła pan Crisparkle.

– Człowiek wiodący monotony żywot – mówi dalej Jasper – człowiek mający rozstrojone nerwy i żołądek, rozmyśla o wszystkim naraz, aż wreszcie traci poczucie proporcji. I tak właśnie w omawianej kwestii było też ze mną. A zatem spalę dokumentację tego stanu rzeczy, gdy tylko wypełnię ostatnią kartę i rozpocznę pisać nowy pamiętnik z zupełnie nową wizją.

– To więcej niż mógłbym się spodziewać – mówi pan Crisparkle, zatrzymując się przy stopniach swego domu, aby ucisnąć Jasperowi dłoń.

– To dobrze – odpowiada Jasper. – Nie miał pan żadnych poważnych przesłanek, aby sądzić, że mogę stać się podobny do pana. Pan zawsze się stara, aby ciało i duch były czyste jak kryształ; i zawsze tak jest, nigdy pan się nie zmienia, podczas gdy ja jestem podobny do zabłoconego, samotnego, żalosego chwastu. Jednak zerwałem już z uzalaniem się nad sobą. A teraz może powinienem poczekać, aby pan zapytał, czy pan Neville wyszedł już do mnie? Jeżeli nie, to możemy pójść razem.

– Myślę – mówi pan Crisparkle, otwierając kluczem drzwi wejściowe – że wyszedł ja-

kiś czas temu. Przynajmniej widziałem jak wychodził, jednak myślę, że jeszcze nie wrócił, ale zapytam. Nie wejdzie pan?

– Moi goście czekają – mówi Jasper z uśmiechem.

Kanonik mniejszy znika za drzwiami, ale po chwili wraca. Tak jak sądził, pan Neville nie wrócił. Jednak – o ile sobie przypomina – powiedział, że prawdopodobnie pójdzie prosto do domu pana Jaspera.

– Ależ ze mnie zły gospodarz! – mówi Jasper. – Mój gość będzie tam przede mną. Czy założy się pan ze mną, że nie będzie zbyt zadowolony?

– Założę się... albo raczej założyłbym się, gdybym również zakładał się – odpowiada pan Crisparkle – że dzisiejszego wieczoru pańscy goście będą się świetnie bawić.

Jasper tylko kiwa głową i żegna się z uśmiechem.

Kieruje kroki ku drzwiom katedry, ale zaraz skręca do domu z bramą. Idąc, cicho i delikatnie podśpiewuje. Wydaje się, że dziś nie potrafiłby śpiewać fałszywie i nic nie mogłoby go skłonić do przyspieszenia lub zwolnienia tempa. W ten sposób dociera pod sklepienie bramy swego domu, zatrzymuje się tam na chwilę, by zdjąć długi czarny szal i przerzucić go przez ramię. Przez chwilę z poważnym wyrazem twarzy marszczy brwi. Ale natychmiast się rozchmurza i śpiewając, idzie dalej.

I tym sposobem o n również wchodzi tylnymi schodami.

\* \* \*

W tej latarni morskiej, leżącej na obrzeżu burzliwego strumienia życia, przez cały wieczór pali się czerwone światło. Przyciszone dźwięki i szum ulicznego ruchu omijają ją i spływają nieregularnie w bezludne podmiejskie okolice. Poza tym niewiele tu się dzieje, słychać jedynie podmuchy wiatru. Nadchodzi gwałtowna wichura.

Te okolice nigdy nie są dobrze oświetlone, ale dzisiaj wiatr gasi wiele latarni (zdarza się, że rozbija je i wtedy roztrzaskane szkło spada na ziemię), toteż są niezwykle ciemne. Ciemności potęguje wzbijający się kurz, suche gałązki drzew i spadające z wieży duże kawałki gawronich gniazd. Drzewa, miotając się jak namacalne fragmenty ciemności, chwiałają się i trzeszczą tak, iż wydaje się, że za chwilę zostaną wyrwane z korzeniami. Raz za razem rozlega się trzask, a po nim głuchy łoskot, świadczący, że jakaś duża gałąź padła ofiarą wichury.

Już dawno zimową nocą nie szalał tak gwałtowny wicher. Kominy spadają na ulice, ludzie chwytają się słupów i narożników domów. Jeden podtrzymuje drugiego, aby sam mógł ustać na nogach. Gwałtowne porywy nie słabną, przeciwnie – nasilają się i stają się coraz częstsze. O północy na pustych ulicach szaleje burza, szarpiąc kłamki, zrywając okiennice i jakby ostrzegając ludzi, że lepiej wstać i polecieć z wiatrem, aniżeli czekać aż zarwie się dach i rozbije im głowy.

A w tym samym czasie czerwone światło pali się równo. Nic już nie jest spokojne oprócz tego czerwonego światła.

Wiatr nie słabnąc, wieje przez całą noc. Lecz wcześniej rano, kiedy świt ledwie zaciera gwiazdy na wschodzie, zaczyna cichnąć i od tej chwili, oprócz sporadycznych dzikich po-

rywów, niczym zdychający potwór opada i słabnie, a w świetle dnia całkiem zamiera.

I wtedy można zobaczyć, że wskazówki katedralnego zegara zostały pozrywane, ołowiany dach poszarpany, zwinięty i zrzucony na dziedziniec, a na szczycie wielkiej wieży przesunęły się niektóre kamienie. I chociaż jest to poranek świąteczny, trzeba posłać po robotników, aby ocenili stopień zniszczenia. Prowadzeni przez Durdlesa wspinają się na wieżę, podczas gdy grupka wczesnych próżniaków wraz z panem Tope zbiera się w Zaułku Kanonika Mniejszego i przysłaniając dłońmi oczy, przygląda się robotnikom na górze.

Gromadka ta nagle zostaje rozepchnięta rękami pana Jaspiera; wszystkie oczy zwracają się w dół, przyciągnięte pytającym głosem zwróconym do pana Crisparkle'a, który ukazuje się w otwartym oknie:

– Gdzie mój siostrzeniec?

– Tutaj go nie ma. Czy nie jest z panem?

– Nie. Zszedł w nocy nad rzekę z panem Nevillem, aby obejrzeć burzę i nie wrócił. Proszę zawołać pana Neville'a!

– Wszedł dziś wcześniej rano.

– Wszedł wcześniej rano? Proszę mnie wpuścić! Proszę mnie wpuścić!

Teraz nikt już nie patrzy na wieżę. Oczy zgromadzonych zwrócone są na pana Jaspiera, pobladłego, na poły ubranego, zdyszanego i kurczowo trzymającego się poręczy przed domem kanonika mniejszego.

## ROZDZIAŁ XV

### OSKARŻONY

Neville Landless wyszedł z domu tak wcześnie i szedł tak szybko, że kiedy kościelne dzwony w Cloisterham zaczęły wzywać na poranne msze, był już osiem mil za miastem. Idąc, nabrał ochoty na śniadanie, wyruszył bowiem, zjadłszy tylko kromkę chleba. Dlatego też zatrzymał się w pierwszej napotkanej przydrożnej gospodzie.

Goście zatrzymujący się tutaj na śniadanie – chyba, że były to konie lub bydło, dla której to kategorii gości zawsze było dość jedzenia w postaci siana i wody – byli o tej porze czymś tak niezwykłym w gospodzie Pod Krytym Wozem<sup>[36]</sup>, że musiało minąć sporo czasu, zanim tenże wóz wrócił na swój szlak, odzyskawszy możliwość podania herbaty, grzanek i szynki. Tymczasem Neville, w zakurzonej saloniku, zastanawiał się, kiedy po jego odejściu ogień z wilgotnego drewna zacznie kogokolwiek rozgrzewać.

Prawdę mówiąc, ten Kryty Wóz, zimny zajazd położony na szczycie wzgórza, gdzie przed wejściem ziemia była zryta końskimi kopytami i usłana udeptaną słomą; gdzie zręcząca gospodyni biła w barze mokre dziecko (na jednej nóżce miało czerwoną skarpetkę, druga była goła); gdzie w czymś podobnym do żelaznego czółna leżał na półce ser w towarzystwie zapleśniałego obrusa i noża z zieloną rączką; gdzie blady chleb ronił okruszki łez nad rozbitkiem w innym czółnie; gdzie rodzinna pościel, częściowo wyprana i tylko częściowo sucha, wiodła publiczny żywot porozrzucana dookoła; gdzie wszystko, co tylko dało się pić, piło się z kubków, a wszystko inne rymowało się z kubkiem; a zatem ten Kryty Wóz, zważywszy to wszystko, nie dotrzymywał wymalowanej na szyldzie obietnicy wypoczynku „Każdemu Człowiekowi i Zwierzęciu”. Jednak tym razem człowiek nie był nastawiony krytycznie; zadowolony był tym, co mu podano i wyszedł, spędziwszy tu więcej czasu, niż zamierzał.

Zatrzymał się około ćwierć mili od gospody, wahając się, czy wybrać drogę, czy pójść między żywopłotami szlakiem, prowadzącym na wzgórze porośnięte rzadkimi wrzosami, i najwyraźniej łączącym się potem z drogą.

Ostatecznie wybrał szlak i posuwał się nim z pewnym trudem, gdyż wzniesienie było strome, a ziemia zryta głębokimi koleinami.

Pnąc się mozolnie w górę, uświadomił sobie nagle, że ktoś za nim idzie. Ludzie idący za nim posuwali się szybciej od niego, odsunął się na bok i stanął tyłem do wysokiego obrzeża szlaku, aby mogli go wyprzedzić. Ale ich zachowanie było bardzo dziwne. Minęło go tylko czterech, zaś pozostałych czterech zwolniło kroku i ociągało się, jakby zamierzając iść za nim, gdy ruszy w dalszą drogę. Reszta (było ich może sześciu) zawróciła i szybko się oddaliła.



Spojrzał na tych czterech, którzy pozostali za nim, a potem na tych, którzy go wyprzedzili, wszyscy mu się przyglądali. Ruszył w dalszą drogę. Czterech z przodu również ruszyło, ciągle się oglądając, czterech z tyłu zbliżyło się do niego.

Kiedy wszyscy wyszli z wąskiego szlaku na otwartą przestrzeń wrzosowiska, ciągle idąc w tym samym szyku bez względu na to, czy zbliżał się do jednej, czy do drugiej grupy, nie miał już żadnej wątpliwości, że został przez tych ludzi osaczony. Czyniąc ostatnią próbę, zatrzymał się, a wtedy wszyscy też się zatrzymali.

– Dlaczego tak mnie zachodzicie? – skierował do wszystkich pytanie. – Jesteście bandą rabusiów?

– Nie odpowiadać – rzucił jeden z nich. Nie wiedział który. – Lepiej milczeć.

– Lepiej milczeć? – powtórzył Neville. – Kto to powiedział?

Wszyscy milczeli.

– Dobra rada, obojętnie który z was, cwaniaczki, to powiedział – dodał ze złością. – Nie pozwolę, aby mnie osaczało czterech mężczyzn z przodu i czterech z tyłu. Chcę przejść i zamierzam minąć tych czterech z przodu.

Wszyscy stali nieruchomo, łącznie z nim.

– Jeżeli ośmiu mężczyzn, czy choćby czterech lub dwóch, zasada się na jednego – ciągnął coraz bardziej rozgniewany – to ten jeden nie ma wyboru, tylko musi niektórych z nich zaatakować. I, na Boga, zrobię to, jeśli będziecie mi dalej wchodzić w drogę!

Zarzuciwszy ciężką laskę na ramię i przyspieszając kroku, ruszył, aby wyminąć czterech mężczyzn z przodu. Największy i najsilniejszy z nich skoczył w jego stronę i zręcznie zderzył się z nim tak, że obaj upadli, ale przedtem napastnik otrzymał cios masywną laską.

– Zostawcie go mnie! – rzucił mężczyzna zduszonym głosem, kiedy walczyli na trawie. – Walka musi być czysta! Porównując go ze mną, jest jak dziewczyna i nosi na plecach ciężar. Zostawcie go. Sam sobie poradzę.

Przez chwilę tarzali się po ziemi, a ich twarze zostały umazane błotem pomieszanym z krwią. W końcu mężczyzna zdjął kolano z piersi Neville'a, wstał i powiedział:

– No! Niech teraz dwóch weźmie go między siebie!

Natychmiast wykonano rozkaz.

– A co do tego, czy jesteśmy bandą brudnych rabusiów, panie Landless – powiedział mężczyzna, spluwając niewielką ilością krwi i ścierając ją z twarzy – to dowie się pan jeszcze dziś w południe. Nie tknęlibyśmy pana, gdyby nas pan do tego nie zmusił. A teraz i tak zabierzemy pana do głównej drogi, a tam, jeśli taka wola, znajdzie pan obronę przed rabusiami. Niech mu który wytrze twarz... zobaczcie, jaka zakrwawiona!

Kiedy starto krew z twarzy, Neville rozpoznał w mówiącym woźnicę omnibusu z Cloisterham, którego już widział w dniu przyjazdu.

– I radziłbym panu, panie Landless, aby pan teraz milczał. Na głównej drodze spotka pan znajomego, który, idąc drogą, wyprzedził nas, kiedy rozdzieliliśmy się na dwie grupy, i lepiej, żeby pan nic nie mówił, aż się pan z nim spotka. Niech no któryś przyniesie laskę. Ruszamy!

Neville bez słowa rozglądał się dookoła w największym zdumieniu. Maszerując między

dwoma mężczyznami trzymającymi go za ręce, posuwał się jak we śnie, aż wreszcie doszli do głównej drogi i znaleźli się w pobliżu małej grupki ludzi. Stali w niej ci, którzy zawrócili, a w samym środku stali też pan Jasper i pan Crisparkle. Mężczyźni trzymający Neville'a doprowadzili go do kanonika mniejszego i puścili, jakby w geście szacunku dla tego dżentelmena.

– Co to ma znaczyć, proszę pana? Czuję się jakbym postradał zmysły!

– wykrzyknął Neville, kiedy wszyscy go otoczyli.

– Gdzie jest mój siostrzeniec? – zawołał ostro pan Jasper.

– Gdzie jest pański siostrzeniec? – powtórzył Neville. – Dlaczego mnie pan o to pyta?

– Pytam pana – odrzekł Jasper – ponieważ pan ostatni z nim przebywał, a on zniknął.

– To niemożliwe! – zawołał Neville z przerażeniem.

– Spokojnie, spokojnie – wtrącił pan Crisparkle. – Niech mi pan pozwoli, Jasper. Panie Neville'u, jest pan całkowicie zaskoczony i musi pan zebrać myśli; to bardzo ważne, żeby się pan opanował i uważnie mnie wysłuchał.

– Postaram się, proszę pana, ale strasznie mi się mąci w głowie.

– Minionej nocy wyszedł pan od pana Jaspera z Edwinem Droodem, prawda?

– Tak.

– O której godzinie?

– Czy to była dwunasta? – zapytał Neville, podnosząc rękę do skołatanej głowy i zwracając się do Jaspera.

– Zgadza się – odparł pan Crisparkle. – Taką samą godzinę podał mi pan Jasper. Poszliście razem nad rzekę?

– Oczywiście! Chcieliśmy obejrzeć szalejący wiatr.

– I co się stało? Jak długo tam byliście?

– Chyba nie dłużej niż dziesięć minut. Potem razem wróciliśmy do pańskiego domu i pan Drood pożegnał się ze mną przed drzwiami.

– Mówił, że chce jeszcze wrócić nad rzekę?

– Nie. Powiedział, że wraca prosto do domu.

Świadkowie tej rozmowy spoglądają po sobie, a potem na pana Crisparkle'a. Jasper, który uważnie obserwuje Neville'a, zwraca się do pana Crisparkle'a, pytając cichym, wyraźnym i podejrzliwym głosem:

– Co to za plamy na jego ubraniu?

Oczy wszystkich kierują się na krew na ubraniu.

– I takie same plamy są na jego lasce! – mówi pan Jasper, odbierając laskę niosącemu ją mężczyźnie. – Wiem, że to jego laska i że miał ją ze sobą minionej nocy. Co to ma znaczyć?

– W imię Boże, mów, co to ma znaczyć, Neville'u? – ponagla pan Crisparkle.

– Ten człowiek i ja... – odpowiada Neville, wskazując swego niedawnego przeciwnika – przed chwilą pobiliśmy się o tę laskę i takie same plamy może pan zobaczyć na nim. Co miałem myśleć, gdy napadło na mnie ośmiu ludzi? Oni nic nie mówili, skąd więc miałem znać powód tej napaści?

Mężczyźni przyznali, że uważali za stosowne zachować milczenie i potwierdzili, iż walka miała miejsce. A jednak ci sami mężczyźni patrzyli teraz ponuro na zaschnięte już ślady krwi.

– Musimy wracać, Neville’u – oznajmił pan Crisparkle – i oczywiście chętnie wrócisz, aby się oczyścić, prawda?

– Oczywiście, proszę pana.

– Pan Landless pójdzie ze mną – ciągnął kanonik mniejszy, rozglądając się dookoła. – Chodź, Neville’u!

Ruszyli w drogę powrotną, a reszta, z jednym wyjątkiem, podążyła za nimi w różnej odległości. Jasper cały czas siedł obok Neville’a. Milczał, podczas gdy pan Crisparkle wiele razy ponawiał poprzednie pytania, a Neville ciągle powtarzał te same odpowiedzi; milczał, gdy tamci snuli rozważania na temat różnych wyjaśnień. Milczał z uporem, choć zachowanie pana Crisparkle’a bezpośrednio zachęcało, aby włączył się do dyskusji, jednak żadna z tych zachęt nie zmieniła wyrazu jego zamkniętej twarzy. Kiedy zbliżali się do miasta, kanonik mniejszy zasugerował, że dobrze byłoby natychmiast stawić się u burmistrza, a Jasper zgodził się na to, z powagą skinął głową, lecz milczał do chwili, gdy znaleźli się w salonie pana Sapsea.

Po tym, jak pan Crisparkle poinformował pana Sapsea o okolicznościach, które sprawiły, że pragnął złożyć mu dobrowolne oświadczenie, pan Jasper przerwał milczenie, stwierdzając, że zdaje się całkowicie na zdanie pana Sapsea. Nie można było sobie wyobrazić najmniejszego powodu, dla którego jego siostrzeniec miałby nagle zniknąć, chyba że pan Sapsea zna jakiś powód, a wówczas z chęcią go wysłucha i przyjmie do wiadomości. Nie istnieje nawet cień prawdopodobieństwa, że jego siostrzeniec powrócił nad rzekę i przypadkiem w ciemnościach utonął, chyba że pan Sapsea uzna to za prawdopodobne, a wtedy znowu przyjmie to do wiadomości. Umywa ręce tak czysto, jak tylko to potrafi, od wszelkich straszliwych podejrzeń, chyba że panu Sapsea będzie się wydawać, iż są one ściśle związane z ostatnią osobą towarzyszącą mu przed zniknięciem (z którą poprzednio się pokłócił) i wówczas on, Jasper, będzie mógł się z tym zgodzić. Nie może zaufać własnemu umysłowi, ponieważ osaczają go wątpliwości i dręczą przerażające obawy, ale może zaufać panu Sapsea.

Pan Sapsea wyraził przekonanie, że sprawa przedstawia się w ponurym świetle, krótko mówiąc (tu skierował wzrok ku twarzy Neville’a), wygląda bardzo nieangielsko. Uczyniwszy to doniosłe spostrzeżenie, zapuścił się w mętne, pokrętne i bzdurne rozważania, jakich nie można by się spodziewać nawet po takim burmistrzu jak on, i zakończył olśniewającym odkryciem, że odbieranie życia naszemu bliźniemu jest jak zabieranie czegoś, co do nas nie należy. Wahał się, czy zważywszy na poważne podejrzenia, od razu nie wydać nakazu aresztowania i uwięzienia Neville’a Landlessa; prawdopodobnie byłby się do tego posunął, gdyby nie protest oburzonego kanonika mniejszego, który zobowiązał się zatrzymać młodzieńca we własnym domu i osobiście doprowadzić go na każde żądanie. Następnie pan Jasper stwierdził, że o ile dobrze rozumie pana Sapsea, to sugeruje on, iż należy zbadać dno rzeki, dokładnie przeczesać brzegi i wysłać do okolicznych miejscowości oraz do

Londynu szczegółowy opis zniknięcia, a także rozlepić wszędzie ogłoszenia oraz plakaty, upraszające Edwina Drooda, aby – jeśli z jakiegoś powodu uciekł z domu i spod opieki swego wuja – ulitował się nad głęboką rozpaczą tego kochającego go krewnego i by w jakiś sposób dał znak, że jeszcze żyje. Pan Sapsea doskonale to rozumiał, bo właśnie dokładnie to samo miał na myśli (choć nigdy tego nie powiedział głośno) i natychmiast zaczęto przygotowywać się do przeprowadzenia odpowiedniej akcji.

Byłoby trudno ustalić, który z nich był bardziej przerażony i zdumiony: Neville Landless czy John Jasper. Jednak pozycja Jaspера zmuszała go do działania, podczas gdy pozycja Neville'a zniewalała do bierności i obaj nie mieli innego wyboru. Obydwaj byli przybici i całkowicie załamani.

Następnego dnia skoro świt jedni mężczyźni pracowali na rzece, a inni – większość na ochotnika – przeczesywali brzegi. Poszukiwania trwały cały dzień; na rzece z barką i dracami, z niewodem i siecią; na błotnistych i zarośniętych brzegach – w butach powyżej kolan, z toporami, szpadlami, sznurami, psami i wszelkimi innymi możliwymi pomocami. Nawet w nocy błyskały na rzece latarnie i płonęły światła; w odległych zatoczkach, do których wlewały się wody przypływu, gromadzili się ratownicy, wsłuchując się w szum wody i wypatrując, czy coś pływa na jej powierzchni. O świcie następnego dnia przy wybrukowanych groblach u ujścia do morza i w samotnych, odosobnionych miejscach, do których docierała tylko woda, roztaczał się niezwykle widok płonących kaganków i poruszających się w tle roboczo ubranych postaci, ale promienie słońca nie oświetliły żadnego śladu Edwina Drooda.

I znowu cały następny dzień trwały poszukiwania. John Jasper ciężko pracował – to na barce, to w łodzi, to na brzegu w łożinach lub brodząc w błocie między słupami w podmokłym terenie usianym gładzami, gdzie jak zjawy wyłaniały się pojedynczo rozsiane wodowskazy i znaki o dziwnych kształtach. Jednak wszystko bez rezultatu. Promienie słońca nie ukazały śladu Edwina Drooda.

Nastawiając zegarki na następną noc tak, aby czujne oczy mogły śledzić wszystkie przypływy, udał się wyczerpany do domu. Rozczochrany, w poszarpanym ubraniu, umazany błotem, które już na nim zasychało, opadł właśnie na fotel, gdy pojawił się przed nim pan Grewgious.

– To bardzo dziwne wieści – przyznał pan Grewgious.

– Wieści dziwne i straszne.

Jasper, by to powiedzieć, jedynie uniósł ciężkie powieki i teraz znowu je opuścił, osuwając się wyczerpany na poręcz fotela.

Pan Grewgious, stojąc i patrząc w ogień na kominku, pogładził głowę i przeciągnął dłonią po twarzy.

– A jak się miewa pańska podopieczna? – zapytał słabym, zmęczonym głosem.

– Biedactwo. Może pan sobie wyobrazić jej stan.

– Widział się pan z jego siostrą? – zapytał Jasper tak jak przedtem.

– Z czyją siostrą?

Zwięzłość tego pytania, rzuconego w odpowiedzi na pytanie, oraz chłodny i powolny

sposób zadania go przez pana Grewgiousa, który przeniósł wzrok z ognia na kominku ku twarzy pana Jaspera, w innych okolicznościach byłyby niezwykle denerwujące, jednak w swym przygnębieniu i wyczerpaniu Jasper jedynie otworzył oczy, by powiedzieć:

– Z siostrą podejrzanego.

– Pan go podejrzewa? – zapytał pan Grewgious.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Nie mogę dojść do żadnego wniosku.

– Ani ja – stwierdził pan Grewgious. – Ale określił go pan jako podejrzanego, więc myślałem, że już **doszedł** pan do tego wniosku... Właśnie rozstałem się z panną Landless.

– W jakim jest stanie?

– Zaprzecza wszelkim podejrzeniom i niezłomnie wierzy w brata.

– Biedactwo!

– Jednakże – ciągnął pan Grewgious – to nie o niej przyszedłem rozmawiać, ale o mojej podopiecznej. Chcę panu przekazać wiadomość, ale o mojej podopiecznej. Chcę panu przekazać wiadomość, która pana zaskoczy. W każdym razie mnie zaskoczyła.

Jasper westchnął ciężko i odwrócił się w fotelu.

– Może odłożyć to do jutra? – zapytał pan Grewgious. – Bowiem ostrzegam pana, że ta wiadomość naprawdę pana zaskoczy.

W oczach pana Jaspera pojawił się wyraz skupienia, gdy dostrzegł, jak pan Grewgious znowu gładzi głowę i patrzy w ogień; teraz jednak z zaciśniętymi już ustami i zdecydowanym wyrazem twarzy.

– Co to takiego? – zapytał Jasper, prostując się w fotelu.

– Niewątpliwie – rzekł pan Grewgious, w denerwujący sposób przerywając i cedząc słowa tak wolno, jakby przemawiał do siebie, z oczami wciąż wpatrzonymi w ogień – mogłem się tego domyślić wcześniej; ona mi to sugerowała. Jednak jest ze mnie tak wyjątkowo z grubsza ciosany człowiek, że nie wpadło mi to głowy i wszystko zlekceważyłem.

– O co tu chodzi? – ponaglił jeszcze raz Jasper.

Pan Grewgious rozwierał i zaciskał dłonie, grzejąc je przy ogniu. Spoglądał z uporem w bok i nie przerywając tych ruchów, a także nie zmieniając spojrzenia, odpowiedział:

– Ta młoda para, zaginiony młodzieniec i panna Róża, moja podopieczna, chociaż od tak dawna narzeczeni i tak długo znajdujący się w tym związku, a teraz oboje tak bliscy ślubu...

Pan Grewgious ujrzał wpatrującą się weń z fotela pobladałą twarz, drżące białe wargi i dwoje zabloconych rąk kurczowo trzymających poręcze. Gdyby nie te ręce, pomyślałby, że nigdy przedtem nie widział tej twarzy. – ... Ta młoda para stopniowo doszła do wniosku (wydaje się, że oboje mniej więcej jednocześnie), że będzie dla nich lepiej i że będą szczęśliwsi, zarówno teraz jak i w przyszłości, jeżeli pozostaną jedynie serdecznymi przyjaciółmi albo raczej będą się wzajemnie uważać za brata i siostrę, a nie za męża i żonę.

Pan Grewgious ujrzał w fotelu twarz koloru ołowiu, twarz, na której w przerażający sposób zaczęły występować jakby stalowe krople lub pęcherzyki.

– Ta młoda para powzięła w końcu rozsądne postanowienie podzielenia się ze sobą tym odkryciem w sposób szczerzy, rzeczowy i serdeczny. I właśnie w tym celu się spotkali. Po

odbyciu niewinnej i szlachetnej rozmowy zdecydowali, by na zawsze zerwać dotychczasowy związek.

Pan Grewgious ujrzał, jak upiorna postać zrywa się z fotela z otwartymi ustami i unosi rozpostarte ręce ku głowie.

– Jedno z nich, pański siostrzeniec, obawiając się, że z racji swego przywiązania dozna pan gorzkiego rozczarowania z powodu tak całkowitej zmiany jego życiowych planów, zabronił zdradzać panu ten sekret przez kilka dni i polecił, żebym pana o tym powiadomił, gdy jego już tutaj nie będzie. A zatem rozmawiam teraz z panem, a jego tu nie ma.

Pan Grewgious zobaczył jak ta przerażająca postać odrzuca do tyłu głowę, chwytając się za włosy i odwraca od niego w spazmatycznych drgawkach.

– Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia, prócz tego, że ci młodzi rozstali się w sposób zdecydowany – choć nie bez łez i smutku – właśnie tego wieczoru, gdy po raz ostatni widział ich pan razem.

Pan Grewgious usłyszał przerażający krzyk i nie widział już upiornej postaci ani siedzącej, ani stojącej. Zobaczył jedynie stertę potarganego i brudnego ubrania na podłodze.

Ale nawet i to nie wpłynęło na zmianę jego zachowania, gdyż spojrzawszy w dół, nadal rozwierał i zamykał dłonie, grzejąc je przy ogniu.

# ROZDZIAŁ XVI

## ODDANY

Kiedy John Jasper odzyskał przytomność po ataku, a może po omdleniu, stwierdził, że zajmują się nim pan i pani Tope, których jego gość w tym celu wezwał, a sam siedział sztywno na krześle, jakby był z drewna, i trzymając ręce na kolanach, przyglądał się jak Jasper odzyskuje przytomność.

– No, nareszcie doszedł pan do siebie – powiedziała zapłakana pani Tope. – Był pan taki zmarnowany, więc nic dziwnego, że pan zasłabł!

– Każdy – zaczął pan Grewgius, mówiąc jak zawsze, jakby powtarzał wyuczoną lekcję – kto jest pozbawiony wypoczynku, udręczony zmartwieniem i wyczerpany fizycznie, w końcu zostaje doprowadzony do stanu skrajnego wyczerpania.

– Obawiam się, że pana przestraszyłem – tłumaczył się słabo Jasper, gdy posadzono go w fotelu.

– Bynajmniej, dziękuję – odparł pan Grewgius.

– Jest pan niezwykle uprzejmy.

– Bynajmniej, dziękuję – powtórzył pan Grewgius.

– Musi się pan napić trochę wina – poradziła pani Tope – i zjeść galaretkę, którą panu przygotowałam, a której pan nawet nie tknął w południe. Ostrzegałam pana, że tak to się skończy, no wie pan, nie jadł pan też śniadania i powinien pan zjeść to skrzydełko kurczaka, które już tyle razy odgrzewałam. To wszystko za pięć minut będzie na stole, a ten zacny dżentelmen też tu zostanie i przypilnuje, żeby pan wreszcie zjadł.

Zacny dżentelmen tylko chrząknął, co mogło oznaczać tak lub nie, coś albo nic, i co zapewne wprowadziło panią Tope w zdziwienie, gdyby nie fakt, że jej uwaga pochłonięta była nakrywaniem stołu.

– Nie przełknąłbym ani kęsa, dziękuję – odparł pan Grewgius.

Jasper jadł i pił niemal łączywie. Ta łączywość w połączeniu z pośpiechem konsumowania najwyraźniej świadczyły, że jest mu obojętne, co spożywa i że jadł i pił tylko po to, żeby się wzmocnić i zapobiec kolejnemu załamaniu, a nie, by dogodzić podniebieniu. W tym czasie pan Grewgius siedział sztywno z twarzą bez wyrazu, a cała jego postać zdawała się wyrażać zacięty, niewzruszony, choć grzeczny sprzeciw, jakby w odpowiedzi na czyjeś zaproszenie do dyskusji mówił: „Nie potrafię wyrazić najmniejszego sądu na jakikolwiek temat, dziękuję”.

– Czy pan wie... – pan Jasper, odsunąwszy talerz i kieliszek zamyślił się przez chwilę, a potem dokończył: – ... czy pan wie, że znajduję jakieś okruchy pociechy w tej wiadomości, która wprowadziła mnie w takie zdumienie?

– Doprawdy? – zdziwił się pan Grewgious, dodając w myślach niewypowiedzianą część zdania: „Bo ja nie, dziękuję!”.

– Po otrząśnięciu się z pierwszego szoku, jaki wywarła na mnie ta wiadomość o moim drogim chłopcu, ta wiadomość, która tak bardzo mnie zaskoczyła i zniszczyła wszystkie budowane przeze mnie dla niego zamki na lodzie, po tym, jak to wszystko przemyślałem, mogę stwierdzić: tak, znajduję je!

– Z przyjemnością pozbieram te okruchy – zaofiarował się pan Grewgious sucho.

– Jest albo nie ma – a jeśli sam się oszukuję, to proszę mi o tym powiedzieć, skracając mój ból – więc jest albo też nie ma jakiejś nadziei, że znalazłszy się w całkiem nowej dlań sytuacji i będąc boleśnie świadom ciężącego na nim niezręcznego obowiązku wyjaśnienia wszystkim wokół tego, co się stało, zapragnął wszakże tego uniknąć i może po prostu uciekł?

– Mogło i tak się zdarzyć – zgodził się po zastanowieniu pan Grewgious.

– Tak już bywało. Czytałem o podobnych zdarzeniach, gdy ludzie, aby uniknąć sensacji i tłumaczenia się wobec wszystkich nachalnych nierobów, uciekali i na długo wszelki słuch po nich ginął.

– Wierzę, że takie rzeczy się zdarzały – odparł pan Grewgious, ciągle zamyślony.

– Ponieważ nie miałem i nie mogłem mieć żadnego podejrzenia, że mój ukochany zaginiony chłopiec coś przede mną ukrywa, zwłaszcza coś tak niezmiernie ważnego – ciągnął Jasper, ochoczo podążając za swoim nowym tokiem myślenia – to czyż istniało dla mnie jakieś najmniejsze światełko na tym ciemnym niebie? Kiedy przypuszczałem, że tutaj znajduje się jego przyszła żona i że wkrótce mają się pobrać, jakże mogłem dopuścić możliwość, iż dobrowolnie opuści to miejsce i to w sposób tak niepojęty, kapryśny i okrutny? Lecz teraz, gdy wiem to, co mi pan powiedział, czyż nie pojawiła się mała szczelina, przez którą przenika promyk światła? Założywszy, że zniknął z własnej woli, to czyż takie zniknięcie nie staje się bardziej zrozumiałe i mniej okrutne? Ten fakt jego niedawnego rozstania się z pana podopieczną, czyż on sam w sobie nie jest dostatecznym powodem do odejścia? To prawda, że to tajemnicze zniknięcie nie staje się mniej okrutne dla mnie, lecz przynajmniej nie ma w tym okrucieństwa w stosunku do niej.

Panu Grewgiousowi nie pozostało nic innego, jak tylko z tym się zgodzić.

– A nawet co do mnie – kontynuował Jasper, ciągnąc z entuzjazmem swą nową myśl i jednocześnie ożywiając się wewnętrzną nadzieją – to wiedział, że pan tu przyjdzie; wiedział, że powierzono panu zadanie powiadomienia mnie o tym. I jeżeli to właśnie podsunęło memu udręczonemu umysłowi nową myśl, to można dopuścić, że na tej samej podstawie i on mógł przewidzieć wnioski, jakie mi się nasuną. A zatem założmy, że przewidział je, wówczas nawet takie okrucieństwo w stosunku do mnie – bo kimże ja jestem, John Jasper, nauczyciel muzyki! – nawet takie okrucieństwo gdzieś znika...!

I tym razem pan Grewgious mógł się z tym zgodzić.

– Miałem chwilę zwątpienia, okropnego zwątpienia – mówił dalej Jasper – ale podana przez pana wiadomość, tak z początku przerażająca, stwarza też możliwość, że mój kochany chłopiec pragnął oddalić ode mnie rozczarowanie, a to napawa mnie nadzieją. Nie za-



przeczy pan temu stwierdzeniu i musi przyznać, że istnieje jakaś rozsądna nadzieja. Zaczynam wierzyć, że to możliwe – tu klasnął w dłonie – iż zniknął z własnej woli i być może ciągle żyje i ma się dobrze.

W tym momencie wszedł pan Crisparkle. Jasper zwrócił się do niego, powtarzając:

– Zaczynam wierzyć, iż to możliwe, że zniknął z własnej woli i być może jest żywy i zdrowy.

Pan Crisparkle usiadł i zapytał:

– Co to ma znaczyć?

Pan Jasper powtórzył swoje argumenty. Gdyby były one mniej prawdopodobne, umysł zacnego kanonika mniejszego nie byłby przygotowany, aby je przyjąć jako usprawiedliwienie postępowania jego nieszczęsnego ucznia. Ale i on przywiązywał wagę do niezwykle ważnego faktu, że zaginiony młodzieniec tuż przed zniknięciem znalazł się w nowej i dość niezręcznej sytuacji w stosunku do wszystkich, którzy znali jego plany – i ten fakt zdawał się rzucać na całą sprawę nowe światło.

– Będąc u pana Sapsea, stwierdziłem – powiedział Jasper, który istotnie tak postąpił – że podczas ostatniego spotkania obu młodzieńców nie było między nimi żadnej sprzeczki lub jakiegokolwiek różnicy zdań. Wszyscy wiemy, że ich pierwsze spotkanie odbyło się – niestety – w atmosferze dalekiej od przyjaznej, lecz gdy ostatni raz przebywali razem w moim domu, wszystko odbyło się gładko i spokojnie. A jednak mój drogi chłopiec nie był do końca sobą. Zauważyłem jego przygnębienie i teraz muszę bardzo dokładnie rozważyć wszystkie okoliczności, zwłaszcza teraz, gdy wiem, że istnieje szczególny powód tego przygnębienia. Co więcej – ten powód być może skłonił go do zniknięcia.

– Modłę się, żeby to było prawdą! – wykrzyknął pan Crisparkle.

– Ja też się modłę, żeby to było prawdą! – powtórzył pan Jasper. – Wie pan – i tak samo pan Grewgious powinien o tym wiedzieć – że byłem bardzo uprzedzony do pana Neville’a Landlessa, co wynikało z jego dzikiego zachowania przy pierwszej okazji. Wie pan, że przyszedłem do pana w skrajnym rozdrażnieniu, niepokojąc się o mego drogiego chłopca, a niepokój ten wywołała szaleńcza gwałtowność pana Neville’a. Wie pan, że nawet zapisałem to w dzienniku i pokazałem panu, mówiąc, że mam w stosunku do niego złe przeczucia. Pan Grewgious powinien wiedzieć o całej sprawie wszystko. Nie może być tak, aby z powodu zatajenia czegokolwiek znał tylko część prawdy. Życzyłbym sobie, aby pojął, iż wiadomość, jaką mi przekazał, natchnęła mnie nadzieją, chociaż przed tym tajemniczym zniknięciem byłem bardzo uprzedzony do młodego Landlessa.

Taki szczery obiektywizm wielce zaniepokoił kanonika mniejszego. Czuł, że on sam nie jest aż tak szczery. Zarzucał sobie, że jak dotąd zataił dwa istotne elementy; skierowanego przeciwko Edwinowi Droodowi drugiego silnego wybuchu Neville’a oraz wiadomość o namiętnej zazdrości – która jak sam to stwierdził – płonęła w jego piersi. Był przekonany, że Neville nie ponosi winy za to dziwne zniknięcie, a jednak tyle drobnych okoliczności tak pechowo świadczyło przeciwko niemu, że do ogólnego obrazu całości obawiał się dodawać jeszcze te dwie nowe. Należał do najuczciwszych ludzi pod słońcem, ale teraz zmagał się z wątpliwością, czy dobrowolne ujawnienie – w tym właśnie czasie – owych dwóch

fragmentów prawdy nie przyczyniłoby się do stworzenia obrazu fałszywego w miejsce rzeczywistego.

Teraz jednak miał przed sobą dobry przykład. Nie wahał się dłużej. Zwracając się do pana Grewgiousa, człowieka o szczególnym autorytecie z powodu przekazania wiadomości związanej z tajemniczym zniknięciem (sam pan Grewgious, znalazłszy się w tej nieoczekiwanej sytuacji, znowu się poczuł osobliwie i z grubsza ciosanym człowiekiem), pan Crisparkle uznał głębokie poczucie sprawiedliwości pana Jaspersa i wyraził swe absolutne przekonanie, że jego uczeń prędzej czy później zostanie oczyszczony z wszelkich podejrzeń. Zaświadczył też, iż jego zaufanie do tego młodzieńca zostało utwierdzone, mimo że doskonale zdawał sobie sprawę z jego wybuchowego temperamentu i że skierował on swój gniew przeciwko siostrzeńcowi pana Jaspersa, ponieważ romantycznie sobie uroił, iż obaj są zakochani w tej samej młodej damie. Tymczasem sangwiniczna reakcja pana Jaspersa przemawiała przeciwko temu niespodziewanemu oświadczeniu. Zbladł jeszcze bardziej, ale powtarzał, że będzie się trzymał nadziei, jakiej nabrał po oświadczeniu pana Grewgiousa i jeżeli nie natrafi na ślad wskazujący, że jego drogi chłopiec zginął z czyjejś ręki, będzie do końca pocieszał się myślą, iż być może, kierując się jakimś gwałtownym porywem chwili, zechciał zniknąć dobrowolnie.

Tak więc, kończąc to spotkanie, zaniepokojony i wielce zmartwiony z powodu młodzieńca, którego gościł w swoim domu, ale trzymał też niczym więźnia, pan Crisparkle wybrał się na pamiętny nocny spacer.

Poszedł do Jazu Cloisterham.

Często to robił, a zatem nie było nic szczególnego w tym, że skierował tam swoje kroki. Tak jednak był pogrążony w myślach, że nie planując trasy spaceru, nie dostrzegał żadnych mijanych po drodze przedmiotów, toteż dopiero wtedy uświadomił sobie, że znajduje się w pobliżu jazu, gdy z bliska usłyszał szum spadającej wody.

– Jak ja się tu dostałem! – było jego pierwszą myślą, gdy się zatrzymał. – Dlaczego tu przyszedłem! – pomyślał w chwilę później.

Stał i z uwagą wsłuchiwał się w szum wody. Fragment przeczytanej książki o językach szepczących w powietrzu i wymawiających sylaby, które składają się na imiona ludzi<sup>[37]</sup>, tak żywo stanął mu w pamięci, że musiał odganiać go ruchem ręki jak coś namacalnego.

Na niebie iskrzyły się gwiazdy. Jaz znajdował się w odległości dwóch mil od miejsca, do którego udali się młodzi ludzie, aby oglądać burzę. W miejscu tym nie prowadzono żadnych poszukiwań z uwagi na rwący prąd wody tamtej wigilijnej nocy, a odcinek gdzie najprawdopodobniej można by znaleźć ciało, gdyby w panujących wówczas okolicznościach zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, odcinek ten – zarówno w czasie odpływu, jak i przyptywu – musiałby leżeć między owym miejscem a morzem. Woda przelewała się przez jaz, szumiąc jak każdej zimnej, gwiazdzistej nocy i niewiele było widać, a jednak pan Crisparkle miał dziwne wrażenie, że w tym miejscu kryje się coś niezwykłego.

Zadawał sobie pytanie: „Co to było? Gdzie to było Trzeba to zbadać. Jakim zmysłem to odbieram?”

Ale żaden z jego zmysłów niczego niezwykłego nie zanotował. Nadśluchiwał znowu.

Jednak jego słuch zanotował tylko szum wody w jазie, wody grzmiącej jak zwykle w każdą zimną, rozgwieżdżoną noc.

Doskonale uświadamiając sobie, że tajemnica, która zaprzątnęła wszystkie jego myśli, mogła sprawić, że to miejsce wydawało mu się nawiedzone, wyteżał sokoli wzrok, aby lepiej widzieć. Zbliżył się do jazu i wpatrywał się w dobrze znane słupy i drewniane bale. Nie mógł jednak dostrzec niczego, co byłoby w najmniejszym stopniu niezwykle. A jednak zdecydował, że wróci tam wczesnym rankiem.

Przez całą noc ukazywały mu się w niespokojnym śnie wody jazu i wrócił tam o świcie. Był pogodny, zimny poranek. Kiedy zatrzymał się w tym samym miejscu, w którym stał poprzedniej nocy, teraz mógł widzieć wszystko dookoła w najdrobniejszych szczegółach. Przez kilka minut rozglądał się dokładnie i już zamierzał odwrócić oczy, gdy nagle jego wzrok został przykuty do jednego miejsca.

Odwrócił się od jazu, spojrzał w niebo, na ziemię, a potem znowu na to samo miejsce. I tym razem natychmiast przyciągnęło ono jego wzrok i na nim się skoncentrował... Nie mógł go już teraz stracić z oczu, chociaż stanowiło tylko kropkę w tle. Był zafascynowany. Zaczął zdejmować płaszcz. Uderzyło go bowiem, że w tamtym miejscu – w narożnym skrawku jazu – coś połyskiwało, coś nieruchomego i pokrytego błyszczącymi kroplami wody. Ten obiekt przez cały czas tkwił bez ruchu.

Upewnił się jeszcze raz, zdjął ubranie, dał nurka w lodowatą wodę i podpłynął do tego miejsca. Wspinając się po balach, zdjął z nich zaczepiony w szczelinie łańcuszek ze zwisającym złotym zegarkiem, na którym na kopercie wyryte były litery E.D.

Zabrał zegarek na brzeg, potem znowu popłynął, wspiał się na jaz i wskoczył do wody. Znał pod wodą każdą jamę i każdy zakamarek, dlatego nurkował, nurkował i nurkował, w końcu jednak nie mógł dłużej wytrzymać zimna. Spodziewał się znaleźć ciało, ale znalazł jedynie spinkę do mankietów wystającą z mułu i błota.

Wrócił ze swą zdobyczą do Cloisterham i zabierając ze sobą Neville a Landlessa, udał się prosto do burmistrza. Posłano po pana Jaspera, zegarek i spinka zostały zidentyfikowane, Neville'a zatrzymano i zaczęto o nim rozpowszechniać najfantastyczniejsze oskarżenia o dziką wściekłość i bezmyślną głupotę. Oto okazało się teraz, że miał on mściwy i gwałtowny charakter, i gdyby nie jego siostra, jedyna osoba mająca na niego wpływ i mogąca go upilnować, gdyby nie ona, byłby każdego dnia zdolny do popełniania morderstwa. Przed przybyciem do Anglii przyczynił się do zachłostania na śmierć różnych „tubylców” – należących do koczowników obozujących to w Azji, to w Afryce lub w Zachodnich Indiach, a nawet na Biegunie Północnym – ludzi, których w Cloisterham zawsze wyobrażano sobie jako czarnych, wielce cnotliwych i nazywających siebie „moja”, a wszystkich innych „Massa” i „Missie”, ludzi, którzy zawsze czytują mętne rozprawy pisane łamaną angielszczyzną, ale zawsze dokładnie je rozumieją w swym czystym, rodzinnym języku. Siwowłosą panią Crisparkle niemal wpędził do grobu (były to określenia pochodzące bezpośrednio od pana Sapsea). Wielokrotnie mówił, że pozbawi życia pana Crisparkle'a. Często nadmieniał, że pozbawi życia wszystkich i w końcu zostanie ostatnim człowiekiem na ziemi. Do Cloisterham ściągnął go z Londynu znany filantrop. Tylko w jakim celu? Ów filantrop wy

rażnie oświadczył: „Winienem wyznać to mym bliźnim, że sprowadziłem go do tego miejsca po to, aby – mówiąc słowami Benthama<sup>{38}</sup> – był niebezpieczny dla możliwie najmniejszej liczby ludzi”<sup>{39}</sup>.

Te i tym podobne strzały z garłaczy tumanów nie mogłyby go trafić w czułe miejsca. Jednak musiał wytrzymać celny ogień rażący go również z najbardziej precyzyjnej broni. Powszechnie było wiadomo, że groził zaginionemu i miał powód – potwierdzony zgodnie przez jego wiernego przyjaciela i nauczyciela, który tak bardzo o niego dbał – by żywić wielką, wytworzoną przez samego siebie wrogość wobec tego nieszczęsnego zaginionego młodzieńca. Do tej wrogości sam zresztą się przyznawał. Owej tragicznej nocy wziął ze sobą broń i wyszedł wcześniej rano, poczyniwszy uprzednio przygotowania do ucieczki. Odkryto na nim ślady krwi; to prawda, że zgodnie z jego wyjaśnieniem obecność tych śladów dałoby się całkowicie wytłumaczyć, ale może i nie... Wydano nakaz zrewidowania jego ubrań, przeszukania pokoju i wykryto, że w dniu zniknięcia Edwina Drooda zniszczył mnóstwo dokumentów i wszystko dokładnie uporządkował. Jubiler oświadczył, że zegarek znaleziony w jазie to ten, który osobiście nakręcał i nastawiał dla Edwina Drooda. Oświadczył, że nastawił go tego popołudnia na dwadzieścia po drugiej, a ponadto stwierdził, że zegarek stanął, zanim znalazł się w wodzie. Jubiler wyraził przekonanie, że nie był ponownie nakręcany. Potwierdzałoby to hipotezę, że Edwinowi zabrano zegarek wkrótce po wyjściu z domu Jaspera o północy, w towarzystwie ostatniej osoby, z którą go widziało, i że zegarek po kilku godzinach został wyrzucony. Ale dlaczego go wyrzucono? Jeżeli Edwin Droad został zamordowany, a ciało z ręcznie zniekształcone lub ukryte, albo jedno i drugie, to morderca mógł się łudzić, że zabitego nie będzie można zidentyfikować, chyba że na podstawie czegoś, co miał na sobie. W takim przypadku morderca starałby się usunąć z ciała najtrwalsze, najlepiej znane i najłatwiej rozpoznawalne przedmioty. Takimi przedmiotami były właśnie zegarek i spinka do mankietów. A z możliwością wrzucenia ich do rzeki, gdyby stał się obiektem podejrzeń, nie było najmniejszego problemu. Widziało go wiele osób przechadzających się w tej części miasta, w istocie we wszystkich częściach miasta. Osoby te stwierdziłyby, że był przygnębiony i na poły szalony. Co do wyboru tego właśnie miejsca, to oczywiście lepiej znaleźć gdziekolwiek dowody obciążające, tylko nie przy nim – po prostu nie mógł ich mieć przy sobie! Natomiast co do ugodowego charakteru spotkania obu młodzieńców, to niewiele przemawiało na korzyść Landlessa, bowiem było jasne, że pomysł tego spotkania nie zrodził się w jego głowie, ale w głowie pana Crisparke'a, i to pan Crisparke na nie nalegał. Czyż nie mógłby ktoś zeznać, w jakim to niechętnym lub złym nastroju, najwyraźniej pod przymusem, jego uczeń udał się na to spotkanie? Im wnikliwiej przyglądano się całej sprawie, tym bardziej, pod każdym względem, stawała się ona dla niego niekorzystna. Nawet szeroko rozpowszechniana sugestia, że zaginiony młodzieniec zbiegł z własnej woli, okazała się nieprawdopodobna w świetle dodatkowego oświadczenia młodej damy, z którą tak niedawno się rozstał. Cóż takiego bowiem powiedziała z wielką rozwagą i smutkiem, kiedy ją przesłuchiowano? Ano to, że wyraźnie i z entuzjazmem oboje zaplanowali, iż Edwin zaczeka do przybycia jej opiekuna, pana Grewgiousa. A jednak, proszę zauważyć, zniknął zanim dzentelmen ten się pojawił.

Tak oto podejrzenia nasilały się i potwierdzały. Neville a dwukrotnie zatrzymywano, wszędzie trwały poszukiwania, a Jasper pracował dniem i nocą. Jednak niczego nie znaleziono. Ponieważ nie uzyskano dowodu na to, że zaginiony nie żyje, należało podejrzanego zwolnić<sup>140</sup>. Neville został wypuszczony. W rezultacie stało się to, co pan Crisparkle doskonale przewidział wcześniej. Neville musi opuścić to miasto, ponieważ jest ono mu przeciwnie i go odrzuca. A nawet gdyby tak nie było, to kochana staruszka, porcelanowa pasterka, zamartwiłaby się na śmierć z powodu swego syna i z racji niepokoju wywołanego obecnością tego pokroju sublokatora. A jeżeliby nawet przyjąć, że i tak nie jest, to w końcu autorytet kanonika mniejszego oficjalnie przesądziłyby całą sprawę.

– Panie Crisparkle – powiedział ksiądz dziekan – ludzka sprawiedliwość może błędzić, ale musi się kierować ustanowionymi prawami. Czasy azylu minęły. Ten młodzieniec nie może tu szukać schronienia.

– Chce ksiądz dziekan przez to powiedzieć, że musi opuścić mój dom?

– Panie Crisparkle – odparł ostrożny ksiądz dziekan – nie mam prawa wypowiadać się w sprawie pańskiego domu. Jedynie rozważam z panem bolesną konieczność, przed którą obecnie pan stoi: pozbawienia tego młodzieńca wielkich korzyści, jakie czerpał z pańskich rad i wskazówek.

– To pożałowania godne – stwierdził pan Crisparkle.

– Bardzo – zgodził się ksiądz dziekan.

– Ale jeżeli to konieczne... – pan Crisparkle zawahał się.

– Pan sam, niestety, doszedł do tego samego wniosku – wtrącił ksiądz dziekan.

Pan Crisparkle skłonił się ulegle.

– Trudno jego sprawę przesądzać, proszę księdza, czuję jednak, że...

– No właśnie. Doskonale. Jak pan sam mówi, panie Crisparkle – przerwał ksiądz dziekan, kiwając lekko głową – nic innego nie można w tym przypadku zrobić. Bez wątpienia, bez wątpienia. Nie ma innej alternatywy, jak sam pan to rozsądnie stwierdził.

– Niemniej jestem zupełnie przekonany, że Neville jest absolutnie niewinny.

– Nooo...! – powiedział ksiądz dziekan bardziej poufałym tonem, szybko zerkając za siebie. – Najogólniej biorąc, nie powiedziałbym tego. Najogólniej biorąc. Istnieje wiele wątpliwości... No cóż, myślę, że biorąc to wszystko najogólniej, nie mógłbym tego stwierdzić.

Pan Crisparkle znowu się skłonił.

– Prawdopodobnie nie przystoi nam stronniczość – ciągnął ksiądz dziekan. – Nie możemy być stronniczy. My, duchowni, musimy mieć gorące serca i chłodne głowy i musimy trzymać się rozsądnego, złotego środka.

– Mam nadzieję, że nie ma ksiądz dziekan nic przeciwko temu, że z takim naciskiem publicznie wyraziłem przekonanie, iż on tu powróci, kiedy tylko pojawią się inne poszlaki lub wyjdą na jaw jakieś nowe okoliczności w tej nadzwyczajnej sprawie...

– Naturalnie, że nie mam nic przeciwko temu – odparł ksiądz dziekan. – A jednak, wie pan, nie sądzę – tu położył subtelny, choć wyraźny akcent na tych dwóch słowach „nie sądzę” – żebyśmy mogli stwierdzić to tak stanowczo. A czy mógłbym to stwierdzić w ogóle? Ta-

aak! Ale czy z naciskiem? Neeee. **Myszę**, że nie. W gruncie rzeczy, panie Crisparkle, aby nasze serca były gorące, a głowy chłodne, my duchowni, nie powinniśmy niczego robić z naciskiem.

Tak więc Zaulek Kanonika Mniejszego nie chciał już więcej znać Neville'a Landlessa; niech sobie idzie dokądkolwiek chce i gdziekolwiek może, niech odejdzie ze złą sławą i pohańbionym imieniem.

Dopiero po jego odejściu John Jasper wrócił na swoje miejsce w chórze. Wynędziały, z zaczerwienionymi oczami, najwyraźniej pozbawiony wszelkiej nadziei i cienia optymizmu, pełen najgorszych podejrzeń. Kilka dni później, zdejmując strój chórzysty, wyjął dziennik z kieszeni płaszcza, przekartkował go i charakterystycznym gestem, bez słowa wręczył go panu Crisparkle, aby ten odczytał taki oto zapis:

*Mój drogi chłopiec został zamordowany. Odnalezienie zegarka i spinki utwierdza mnie w przekonaniu, że tamtej nocy zamordowano go, a biżuterię zabrano, aby za wszelką cenę uniemożliwić identyfikację ciała. Wszystkie ulotne nadzieje, jakie opierałem na rozstaniu z narzeczoną, rozwiały się. Zniknęły w związku z tym tragicznym odkryciem. A teraz przysięgam i zapisuję tę przysięgę na tych stronach, że nigdy więcej z żadną ludzką istotą nie będę rozprawiał o tej tajemniczej sprawie do czasu, gdy będę dysponował jakimś nowym dowodem. Nigdy nie spocznę i nie porzucę poszukiwań. Znajdę mordercę mojego ukochanego chłopca i udowodnię mu winę. Przysięgam też, że całkowicie się poświęcę temu, aby go zniszczyć.*

# ROZDZIAŁ XVII

## FILANTROPIA, ZAWODOWO I PO AMATORSKU

Minęło całe pół roku i pan Crisparkle siedział w poczekalni głównych biur Przystani Filantropii, czekając na audiencję u pana Honeythundera.

Uprawiając w szkole ćwiczenia sportowe, pan Crisparkle poznał nauczycieli szlachetnej sztuki walki na pięści i wziął udział w kilku regulaminowych walkach bokserskich. Miał teraz okazję zauważyć, że jeśli idzie o frenologiczne ukształtowanie tylnych części czaszek<sup>[41]</sup>, to zawodowi filantropi byli niezwykle podobni do pięściarzy, jeśli zaś idzie o organy, które towarzyszą skłonnościom, by „dołożyć” bliźniemu, to u filantropów były one równie dobrze rozwinięte. Do biura wchodzili i wychodzili rozmaici profesorowie o agresywnym wyglądzie ludzi gotowych wziąć w obroty każdego nowicjusza, który przypadkiem wpadłby im w ręce – pan Crisparkle dobrze tamtych pamiętał z zebranych kolekcji sympatyków boksu. Gdzieś na prowincji trwały przygotowania do jakichś moralnych zapasów i niektórzy profesorowie popierali tego lub tamtego zawodnika wagi ciężkiej, który mógłby odnieść sukces w błyskotliwym przemówieniu. Do tego stopnia przypominało to zachowanie działaczy sportowych, że zaplanowane uchwały równie dobrze mogłyby zastąpić rundy meczu bokserskiego. W oficjalnym przewodniczącym tych pokazów (ubranym w czarny garnitur), wielce zasłużonym na polu taktyki wiecowania, pan Crisparkle rozpoznał odpowiednik nieżyjącego już dobroczyńcy swego gatunku, wybitnego i ongiś sławnego osobnika znanego jako Fogo „Mrożąca Twarz”, który w dawnych czasach za pomocą sznurów i słupków nadzorował tworzenie magicznego kręgu. Tylko pod trzema względami profesorowie różnili się od tamtych pięściarzy. Po pierwsze, filantropom brakowało kondycji fizycznej – byli zbyt otyli, wykazywali na twarzy i ciele nadmiar czegoś, co znane jest ekspertom pięściarstwa jako „łojowy pudding”. Po drugie, filantropi nie posiadali łagodnego charakteru pięściarzy i posługiwali się mocniejszym językiem. Po trzecie, ich zasady walki wymagały gruntownej korekty. Należało przyznać im nie tylko formalnie prawo zapędzania przeciwnika do rogu, ale także doprowadzania go do absolutnego szału; a poza tym mogłoby bić leżącego, gdzie popadnie i jak się da – kopać go, deptać, wykłuwać mu oczy i tłuc od tyłu bez litości. W tych ostatnich dyscyplinach profesorowie szlachetnej sztuki pięściarskiej postępowali o wiele szlachetniej niż profesorowie filantropii.

Pan Crisparkle był tak dogłębnie pogrążony w rozważaniach nad tymi podobieństwami i różnicami, a jednocześnie zajęty obserwowaniem wchodzącego i wychodzącego tłumu,



który – jak się zdawało – zawsze starał się od kogoś coś wyrwać, a nigdy niczego nikomu nie dać, że dwukrotnie wywoływano jego nazwisko, zanim je usłyszał. Kiedy w końcu się odezwał, został wprowadzony do pokoju pana Honeythundera przez nędznie ubranego i niedofinansowanego stypendystę filantropa (ten nie urządziłby się gorzej, gdyby pracował u jakiegoś zdeklarowanego wroga ludzkości).

– Panie – przemówił pan Honeythunder grzmiącym głosem, niczym nauczyciel wydający rozkazy cieszącemu się złą opinią chłopcu – niech pan siada!

Pan Crisparkle usiadł.

Pan Honeythunder złożył podpis na ostatnich kilkudziesięciu spośród kilku tysięcy okólników wzywających odpowiednią liczbę rodzin pozbawionych środków do życia, aby się zgłosiły, by natychmiast zaczęły agitować i zostały filantropami lub by poszły do diabła. Wówczas inny wynędzniały stypendysta filantrop (z całkowitą obojętnością, choć równocześnie z powagą) zgarnął okólniki do koszyka i opuścił pokój.

– A zatem, panie Crisparkle – kontynuował pan Honeythunder, gdy zostali sami, i przysunął ku niemu krzesło, sztywno opierając ręce na kolanach i marszcząc brwi, jakby chciał dodać: „Szybko cię załatwię”. – A więc, panie Crisparkle, pan i ja jesteśmy odmiennego zdania, co do świętości życia ludzkiego.

– Doprawdy? – zdziwił się kanonik mniejszy.

– Tak jest, panie.

– Czy mogę spytać – zauważył kanonik mniejszy – jakie jest pańskie zdanie na ten temat?

– Ja, panie, twierdzę, że ludzkie życie to świętość.

– Czy mogę spytać – ciągnął tym samym tonem kanonik mniejszy – jakie według pana jest moje zdanie na ten temat?

– Do licha, panie – odparł filantrop, jeszcze mocniej wspierając się rękoma i marszcząc brwi. – Sam pan je zna najlepiej.

– Z chęcią to przyznaję. Jednak zaczął pan mówić, że mamy na ten temat odmiennie zdanie. A zatem (przecież w przeciwnym razie pan by tego nie mówił) przypisuje mi pan jakieś poglądy. Proszę, niech więc pan powie, jakie to, według pana, są moje na ten temat poglądy?

– Mamy oto człowieka – i to młodego człowieka – powiedział pan Honeythunder, jakby ten fakt nieskończenie pogarszał sprawę i jakby łatwiej było przeboleć utratę kogoś starego – który w gwałtowny sposób został zmieciony z powierzchni ziemi. Jak pan to nazywa?

– Morderstwem – odparł kanonik mniejszy.

– A jak pan nazywa tego, kto je popełnił?

– Mordercą – odparł kanonik mniejszy.

– Cieszę się, słysząc, że przynajmniej tyle pan przyznaje – stwierdził pan Honeythunder w wielce obraźliwy sposób. – I szczerze powiem, że tego się nie spodziewałem. – Mówiąc to, znowu rzucił groźne spojrzenie na pana Crisparkle’a.

– Może będzie pan tak dobry i wyjaśni, na jakiej podstawie wysuwa pan te absolutnie bezpodstawne sugestie?



– Nie po to tu jestem – odrzekł filantrop, wznosząc głos do ryku – by mnie straszono!

– Jako jedyna, prócz pana, obecna w tym pokoju osoba, nikt poza mną nie wie o tym lepiej – kanonik mniejszy odparł bardzo spokojnie. – Ale przerwałem panu...

– Morderstwo! – ciągnął pan Honeythunder, jakby pogrążony w histerycznym transie, oparłszy ręce na stole niczym na mównicy. Po wymówieniu każdego krótkiego słowa kiwał z obrzydzeniem głową na sposób przyjmowany przez uczestników wiecu: – Rozlew krwi! Abel! Kain! Nie zadaję się z Kainem! Ze wstrętem odrzucam wyciągniętą ku mnie zakrwawioną rękę!

Zamiast natychmiast wskoczyć na krzesło i perorować do ochrypnięcia, jak na dane hasło niechybnie uczyniliby to członkowie Towarzystwa w czasie publicznych zebrań, pan Crisparkle jedynie założył nogę na nogę i powiedział łagodnie:

– Niech mi pan nie pozwoli przerywać sobie wyjaśnień... jeśli już pan zaczął.

– Przykazania mówią: nie mordować. Nie mordować, panie! – ciągnął pan Honeythunder, przerywając, jakby tkwił nadal na mównicy i chciał skarcić pana Crisparkle'a za wyraźne twierdzenie, że przykazania mówią: możesz sobie troszeczkę pomordować, ale potem przestań.

– Mówią one też, że nie będziesz głosił fałszywego świadectwa – zauważył pan Crisparkle.

– Dosyć! – huknął pan Honeythunder z powagą i gwałtownością, która wywołałaby na zebraniu szal entuzjazmu. – D-o-o-syć! Moi byli podopieczni są już teraz pełnoletni i zostałem zwolniony z odpowiedzialności, o której nie potrafię myśleć bez dreszczu grozy, ale zostały rachunki, które pan podjął się w ich imieniu zapłacić, a to jest właśnie wyciąg z rachunku, który pan zobowiązał się wziąć na siebie. Im szybciej go pan spłaci, tym lepiej. Proszę dać sobie powiedzieć, że życzyłbym sobie, aby pan, jako człowiek i kanonik mniejszy, znalazł sobie jakieś lepsze zajęcie – tu skinął głową. – Lepsze zajęcie – znowu skinął głową. – Lep-sze za-ję-cie! – tu nastąpiło jeszcze jedno skinięcie głową i dodatkowe trzy następne.

Pan Crisparkle wstał lekko zaczerwieniony na twarzy, ale całkowicie opanowany.

– Panie Honeythunder – powiedział, zabierając dokumenty, o których była mowa – to, czy mógłbym sobie znaleźć lepsze lub gorsze zajęcie, niż obecnie wykonywane, jest kwestią gustu i prywatnej opinii. Pan zapewne uważa, że lepszym dla mnie zajęciem byłoby zostać członkiem pańskiego Towarzystwa.

– No tak, istotnie, panie! – zgodził się pan Honeythunder, potrząsając groźnie głową. – I lepiej byłoby, gdyby pan to zrobił już dawno temu!

– Ja twierdzę inaczej.

– Albo – mówił dalej pan Honeythunder, znowu potrząsając głową – mógłbym pomyśleć, że ktoś z taką profesją jak pańska, lepiej uczyniłby, poświęcając się wykryciu i osobistemu ukaraniu winnego, zamiast przekazywać ten obowiązek osobie świeckiej.

– Ja natomiast mogę patrzeć na moją profesję zgodnie z przekonaniem, że moim pierwszym obowiązkiem jest zająć się tymi, którzy są opuszczeni, udrczeni i zgnębieni, którzy się znajdują w potrzebie – powiedział pan Crisparkle. – Jednakże, ponieważ całkiem jasno

powiedziałem sobie, że do mej profesji nie należy wygłaszanie oświadczeń, nie zamierzam na ten temat więcej dyskutować. Czuję się jednak zobowiązany wobec pana Neville'a i jego siostry (i w znacznie mniejszym stopniu wobec siebie), by oznajmić panu, iż **wiem**, w pełni zdaję sobie sprawę i rozumiem to, co podczas owego zdarzenia działo się w umyśle i sercu pana Neville'a. Ponadto – bynajmniej nie tając tego, co było w nim pożałowania godne i wymagało zmiany na lepsze – jestem absolutnie pewny, że jego opowieść jest prawdziwa. A ponieważ tak czuję, darzę go przyjaźnią. Dopóki będę żywił to przekonanie, będę go darzył moją przyjaźnią. Gdyby jednak jakieś uboczne względy miały zachwiać tym przekonaniem, to tak bardzo wstydzilibym się tej małostkowości przed sobą, że nawet pochlebna opinia jakiegokolwiek mężczyzny – czy też jakiegokolwiek kobiety – nie zrekompensowałaby utraty mojej własnej dobrej opinii o sobie.

Dobry człowiek! Prawdziwy mężczyzna! A zarazem jaki skromny... Kanonik mniejszy nie był bardziej pewny siebie, niż uczeń stojący na wietrze w bramce na boisku. On po prostu lojalnie wypełniał swoje obowiązki – zarówno w ważnych, jak i mniej ważnych sprawach. Uczciwe dusze zawsze są takie. Każda uczciwa dusza zawsze taka była, jest i będzie. Dla ludzi prawdziwie wielkich duchem wszystko jest równie ważne.

– A zatem kto, według pana, popełnił ten czyn? – zapytał pan Honeythunder, zwracając się do niego gwałtownie.

– Boże broń – powiedział pan Crisparkle – abym pragnąc oczyścić jednego człowieka, lekkomyślnie oskarżał innego! Nie oskarżam nikogo.

– Phi! – wykrzyknął pan Honeythunder z nieskończonym obrzydzeniem; nie taka bowiem była zasada, zgodnie z którą zwykle postępowało Braterstwo Filantropów. – I musimy pamiętać, panie, że nie jest pan bezstronnym świadkiem.

– W jakim to sensie jestem stronniczy? – zdziwił się pan Crisparkle z niewinnym uśmiechem, nie mając pojęcia o co chodzi.

– Na nauczanie go otrzymał pan pewne stypendium, które być może wpłynęło nieco na pańską ocenę sytuacji – oznajmił grubiańsko pan Honeythunder.

– I może ciągle jeszcze spodziewam się je otrzymywać? – zapytał ze zrozumieniem pan Crisparkle. – Czy również i to ma pan na myśli?

– No cóż, panie – odparł filantrop z zadowoleniem, po czym wstał i wetknął ręce w kieszenie spodni – ja nie chodzę po ludziach, aby ich osądzać i przypinać im łatki. Skoro ludzie uważają, że jakieś łatki do nich pasują, to niech je sobie noszą, jeśli to im się podoba. To ich sprawa, nie moja.

Pan Crisparkle w słusznym oburzeniu zmierzył go wzrokiem i tak oto wyraził na ten temat swoją opinię:

– Panie Honeythunder, przychodząc tutaj miałem nadzieję, że w zaciszu przyzwoitego prywatnego życia nie będę musiał komentować stosowania wiecowych zachowań oraz metod. Ale pan dał mi taki pokaz tego rodzaju zachowań i metod, że zasługiwałbym na nie, gdybym milczał. Dla mnie są one wstrętne.

– Śmiem twierdzić, że one **panu** nie odpowiadają, mój panie.

– Są one – powtórzył pan Crisparkle, nie zwracając na te słowa uwagi – wstrętne.

Gwałcą zarówno poczucie sprawiedliwości, które powinno cechować prawdziwego chrześcijanina, jak i powściągliwość, która winna znamionować dżentelmena. Zakłada pan, że tę wielką zbrodnię popełnił ktoś, kogo ja – który znam okoliczności i posiadam liczne dowody w tej sprawie – z pełnym przekonaniem uważam za niewinnego. Ponieważ różniemy się w tej istotnej sprawie, to do jakich wiecowych środków pan się ucieka? Natychmiast napada pan na mnie, zarzucając, że nie zdaję sobie sprawy z ogromu tej zbrodni, a nadto wmawia mi pan, że przykładam do niej rękę! Potem znowu – traktując mnie jak przeciwnika w innych sprawach – stwarza pan wiecową iluzję prawdy; zgłoszoną, popartą i jednogłośnie zatwierdzoną wyznaniem wiary w jakieś śmieszne złudzenie lub złośliwą sugestię. A kiedy nie zamierzam w to wierzyć, znowu chwytą się pan tych swoich wiecowych metod i ma mi za złe, że ja im w ogóle nie dowierzam; a ponieważ nie padam na kolana przed jakimś stworzonym przez pana fałszywym bożkiem, nie znaczy to, że zaprzeczam istnieniu prawdziwego Boga! Innym razem dokonuje pan znowu wiecowego odkrycia, że wojna to nieszczęście i próbuje pan znieść ją za pomocą jakiegoś łańcucha pokrętnych rezolucji, wypuszczonych w przestrzeń niczym ogon latawca. Nie mógłbym przyznać, że w najmniejszym stopniu było to pańskie odkrycie i nawet przez moment w to pańskie lekarstwo nie wierzę. I teraz znowu, używając tej swojej wiecowej metody, przedstawia mnie pan jako kogoś, kto rozkoszuje się potwornościami pola bitwy, niczym jakiś diabeł wcielony. Kiedy indziej, w jednym z tych pańskich bezkrytycznych wiecowych porywów, chętnie karałby pan trzeźwych za czyny pijanych. A kiedy domagam się poszanowania spokoju, wygody i prawa do odpoczynku ludzi trzeźwych – pan natychmiast czyni wiecowe spostrzeżenie, że powoduje mną nieczne pragnienie, by obrócić boskie stworzenia w świnie i dzikie bestie! W tych wszystkich wypadkach ci, którzy pana popierają, a potem panu sekundują – ci wasi prawdziwi profesorowie wszystkich stopni – wpadają w szal jak jacyś dzicy Malajowie, zawsze z krańcową lekkomyślnością przypisując innym najniższe i najpodlejsze motywacje (pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę na ten ostatni przykład, który powinien pana zawstydząć), cytując liczby, które, jak pan doskonale wie, są absolutnie tendencyjne, tak jak wyciąg z jakiegoś skomplikowanego konta, na którym byłyby jedynie przychody, a żadnych rozchodów, lub same rozchody bez przychodów. Przeto uważam, panie Honeythunder, że wiecowe zachowanie daje tylko zły przykład i jest to również zły model zachowania w życiu publicznym. Twierdzę jednak, że zastosowany w życiu prywatnym, staje się on niezwykłym utrapieniem.

– To mocne słowa, mój panie! – wykrzyknął filantrop.

– Spodziewam się – odparł pan Crisparkle. – I żegnam.

Wyszedł szybko z Przystani, lecz wkrótce zwolnił i dalej szedł wolno, chociaż jak zwykle zwawo, a po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech, kiedy zaczął się zastanawiać, co też powiedziałyby porcelanowa pasterka, gdyby była świadkiem, jak w czasie tej drobnej wymiany zdań kanonik mniejszy roznosi w pył pana Honeythundera. Pan Crisparkle miał w sobie tyle niegroźnej próżności, iż żywił nadzieję, że uderzył celnie i cieszyła go myśl, że zgrabnie przystrzygł piórka filantropowi.

Skierował kroki do Staple Inn, ale nie do P.J.T. i pana Grewgioua. Po trzeszczących

schodach wspiął się do jakichś pokoików w narożniku poddasza, odciągnął zasuwę, otworzył drzwi, wszedł i stanął przy stole Neville'a Landlessa.

W pokojach i wokół osoby ich lokatora panowała atmosfera odosobnienia i samotności. Sam lokator sprawiał nędzne wrażenie, podobnie jak jego mieszkanie. Pochyłe sufity, toporne zardzewiałe zamki i kraty, wolno próchniejące ciężkie drewniane skrzynie i belki, wszystko to przywodziło na myśl więzienie, a przebywający tu mężczyzna miał twarz wymizerowanego więźnia. Jednak przez brzydkie mansardowe okienko z daszkiem wystającym ponad dachówki wpadały promienie słońca, a na brudnym od sadzy parapecie skakało kilka ogłupiałych, reumatycznych wróbli podobnych do opierzonych kalek, które pozostawiły kule w gniazdach. Gdzieś blisko słychać było szum liści odświeżających powietrze, niczym dźwięki jakiejś nieporadnej muzyki, z pewnością bardziej melodyjnie brzmiącej na wsi.

W mieszkaniu nie było wiele sprzętów, za to bardzo dużo książek. Wszystko wskazywało na to, że mieszka tu biedny student. A to, że były to książki kupione, pożyczone lub należące do pana Crisparkle'a, czy też że były kombinacją wszystkich trzech możliwości jednocześnie, można było wywnioskować z przyjaznego spojrzenia, jakim je obrzucił, wchodząc.

– Jak się miewasz, Neville'u?

– Jestem w dobrym nastroju, panie Crisparkle, i cały czas pracuję.

– Życzyłbym sobie, żebyś tak na mnie nie wytrzeszczał oczu i żeby one tak nie błyszcząły – oznajmił kanonik mniejszy, powoli wypuszczając jego dłoń ze swojej.

– Moje oczy błyszczą tak na pana widok – odparł Neville. – Gdyby pan mnie opuścił, z pewnością, z pewnością wkrótce straciłyby blask.

– Weź się w garść! Weź się w garść! – zachęcał pan Crisparkle. – Walcz, Neville'u!

– Gdybym umierał, pokrzepiłoby mnie jedno pańskie słowo, a gdyby ustał mój puls, to czuję, że pański dotyk znowu pobudziłby go do życia – powiedział Neville. – Jednak w garść już się wzięłem i radzę sobie wspaniale.

Pan Crisparkle odwrócił twarz Neville'a trochę bliżej światła.

– Chcę widzieć rumieńce, Neville'u – powiedział, wskazując na swoje rumiane policzki. – Chcę, żebyś więcej wychodził na słońce.

Neville, odpowiadając cicho, nagle się przygarbił.

– Jeszcze nie zebrałem na to w sobie dość siły. Może wkrótce się odważę, ale teraz jeszcze nie mogę sobie na to pozwolić. Gdyby pan, tak jak ja, chodząc ulicami Cloisterham, widział te odwrócone ode mnie oczy i to, że uczciwi ludzie w milczeniu odsuwają się ode mnie, robiąc mi przejście – abym przypadkiem ich nie dotknął lub zbyt się do nich nie zbliżył – nie sądziłby pan, że skoro nie chcę wyjść na światło słoneczne, to brak mi zdrowego rozsądku.

– Biedny chłopcze! – powiedział kanonik mniejszy głosem pełnym tak szczerego współczucia, że młodzieniec chwycił go za rękę. – Nigdy nie mówiłem, że to z twojej strony nierozsądne i nigdy tak nie myślałem. Ale powinieneś to zrobić.

– I to właśnie stanowi dla mnie najsilniejszą motywację, jednak jeszcze nie mogę. Nie

mogę samego siebie przekonać, że nawet w tym dużym mieście oczy mijanych nieznajomych patrzą na mnie bez podejrzeń. Czuję się napiętnowany i zbrukany. Nawet wtedy, gdy wychodzę z domu, a wychodzę tylko nocą. Ale wtedy dodają mi odwagi otaczające ciemności.

Pan Crisparkle położył mu rękę na ramieniu i stał, patrząc na niego.

– Gdybym mógł zmienić nazwisko – ciągnął Neville – natychmiast bym to zrobił. Ale, tak jak mądrze pan zauważył, nie mogę w ten sposób postąpić, ponieważ wywołałbym wrażenie przyznania się do winy. Gdybym mógł wyjechać do jakiegoś odległego miejsca, może znalazłbym tam spokój, ale nawet nie mogę o tym myśleć z tego samego powodu. Tak czy inaczej, ukrywanie się lub ucieczka byłyby źle tłumaczone. Wydaje się, że ciężko być kimś niezasażeniem przywiązanym do pręgierza, a jednak nie narzekam.

– Ale nie możesz też czekać na jakiś cud, Neville’u – stwierdził ze współczuciem pan Crisparkle.

– Wiem o tym, proszę pana. Mogę tylko zaufać upływowi czasu i nowym okolicznościom.

– W końcu udowodnię one twoją niewinność, Neville’u.

– Wierzę w to i mam nadzieję, że dowiem się o tym za życia.

Zważywszy, że ponury nastrój, który nim owładnął, udziela się również kanonikowi mniejszemu i zapewne czując, że ręka na jego ramieniu straciła pewność uścisku wynikającego również z jej naturalnej siły, Neville rozpogodził się i powiedział:

– Ale za to jakie mam wspaniałe warunki do nauki! I, panie Crisparkle, jak wiele muszę w każdej dziedzinie się nauczyć. Nie mówiąc już o tym, że doradził mi pan uczyć się tak trudnej dziedziny nauki, jaką jest prawo, a ja oczywiście słucham pańskiej rady, jako udzielonej przez dobrego nauczyciela i człowieka służącego mi pomocą. Przez tak dobrego przyjaciela i nauczyciela!

Ujął spoczywającą na jego ramieniu pokrzepiającą rękę i ucałował ją. Pan Crisparkle uśmiechnął się w stronę książek, ale już nie tak promiennie jak wtedy, gdy wchodził do mieszkania Neville’a.

– Z tego, że nie porusza pan tej sprawy, panie Crisparkle, wnioskuję, iż mój były opiekun wciąż jest do mnie wrogo usposobiony?

Kanonik mniejszy odpowiedział:

– Twój były opiekun jest... hm... hm... wielce nierozsądnym osobnikiem, a biorąc to pod uwagę, dla kogoś rozsądnego nie ma żadnego znaczenia, czy jest on wrogo, czy przyjaźnie usposobiony.

– Na szczęście mam dość własnych środków na skromne utrzymanie – westchnął Neville z niejasnym znużeniem i rezygnacją, trochę się rozchmurzywszy. – Mam też fundusze na naukę i mogę poczekać, aż zostanę oczyszczony z zarzutów! Inaczej mógłbym się stać ilustracją przysłowia, że zanim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje!

Mówiąc to, otwierał jakieś książki i wkrótce pogrążył się w lekturze zaznaczonych i opatrzonych przypisami fragmentów; w tym czasie pan Crisparkle siedział przy nim, nie szczędząc wyjaśnień, poprawek i rad. Katedralne obowiązki kanonika mniejszego powo-

dowały, że wizyty u Neville'a sprawiały mu wiele trudności i mógł je zorganizować jedynie w odstępach kilkutygodniowych. Lecz chociaż rzadkie, były one dla Neville'a równie przyteczne, co drogie jego sercu.

Po skończeniu zaplanowanej nauki stali oparci o parapet, przyglądając się skrawkowi ogródka.

– W przyszłym tygodniu – powiedział pan Crisparkle – nie będziesz już sam, będziesz już miał oddaną towarzyszkę.

– A jednak – odparł Neville – zdaje mi się, że dla mojej siostry nie jest to miejsce odpowiednie.

– Mnie się tak nie wydaje – zaprzeczył kanonik mniejszy. – Musi tu wypełnić pewne zadanie, a do tego rodzaju zadań niezbędna jest kobieca intuicja, rozsądek i odwaga.

– Chodzi mi o to, że tutejsze otoczenie jest takie nieciekawe, niekobiece i że Helena nie będzie tu miała odpowiedniego towarzystwa.

– Musisz jedynie pamiętać – zauważył pan Crisparkle – że ty tutaj jesteś, a ona ma cię wyciągnąć na światło słoneczne.

Przez chwilę milczeli, a potem pan Crisparkle znowu zaczął:

– Kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy ze sobą Neville'u, powiedziałaś, że twojej siostrze lepiej od ciebie udało się znieść w przeszłości ciężkie warunki życia, a przez analogię można tu się posłużyć porównaniem wieży katedry w Cloisterham do kominów Zaułka Kanonika Mniejszego, że jest od nich wyższa. Przypominasz sobie?

– Oczywiście.

– Sądziłem wtedy, że to tylko przesadne porównanie. Mniejsza, co teraz o tym myślę. Pragnę jednak podkreślić, iż jeśli idzie o dumę, twoja siostra stanowi dla ciebie znakomity przykład do naśladowania.

– Ona jest dla mnie przykładem w każdej dziedzinie.

– Sam to przyznajesz, więc weź ją sobie za przykład. Twoja siostra nauczyła się panować nad dumą. Potrafi ją kontrolować nawet wtedy, gdy zostaje zraniona w uczuciach, jakimi ciebie darzy. Niewątpliwie na tych samych ulicach co ty, ona też głęboko cierpiała. Bez wątpienia nad jej życiem, tak samo jak nad twoim, zawisły te same ciężkie chmury. Ponieważ jednak ujarzmiła swą dumę i wspaniale nad nią zapanowała, wyzbywszy się zarazem wyniosłości bądź agresji i wsparłszy się na niezachwianej ufności w siebie oraz na prawdzie, to właśnie odniosła na tychże ulicach zwycięstwo i obecnie chodzi po nich, ciesząc się jak wszyscy ogólnym poważaniem. Od chwili zniknięcia Edwina Drooda, każdego dnia i o każdej godzinie ze względu na ciebie stawia czoła złościwościom i głupocie – ze względu na ciebie, tak jak to potrafią czynić jedynie ludzie dzielni i zmierzający do dusznego celu. I taka już będzie do końca. Inna, słabsza dusza, mogłaby się załamać po naporem rozpaczy, ale nigdy taka jak jej. To duma, która nie zna lęku i nikt nad nią nie może mieć władzy.

Błądy policzek obok pana Crisparkle'a zarumienił się po tym porównaniu i zawartej w nim aluzji.

– Uczynię, co w mej mocy, aby ją naśladować – zapewnił Neville.

– Zrób to i bądź naprawdę dzielnym mężczyzną, tak jak ona jest naprawdę dzielną kobietą. – odparł pan Crisparkle zdecydowanie. – Ściemnia się. Odprowadzisz mnie, kiedy będzie już całkiem ciemno. Zwróć uwagę – to nie ja czekam na ciemności!

Neville zapewnił, że może z nim już iść, ale pan Crisparkle oznajmił, że przedtem jeszcze wpadnie na chwilę do pana Grewgiousa z grzecznościową wizytą. Potem spotka się z Neville'em na progu jego domu.

Pan Grewgious, sztywny jak zwykle, siedział o zmierzchu przy otwartym oknie i popijał wino. Tuż pod ręką na okrągłym stole stały kieliszek i karafka, a on sam i jego nogi spoczywały na ławeczce przy oknie wykuszowym; cała jego postać w jednym tylko miejscu załamana była pod kątem, tak jakby był zzuwakiem do butów.

– Jak się pan miewa, szanowny panie? – zapytał pan Grewgious, zapraszając gościa wylewnie, ale to jego serdeczne zaproszenie spotkało się z równie serdeczną odmową. – A jak się powodzi pańskiemu podopiecznemu w tym mieszkaniu, które miałem przyjemność polecić z uwagi na fakt, że właśnie było do wynajęcia?

Pan Crisparkle odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Cieszę się, że panu odpowiada – stwierdził pan Grewgious – bowiem i mnie podoba się myśl, że mam go tu na oku.

Pan Grewgious musiałby dość wysoko unieść oczy, aby ujrzeć mieszkanie Neville'a, toteż stwierdzenie to było jedynie czystą metaforą.

– A w jakim to pan stanie zostawił pana Jaspera, szanowny panie? – zapytał pan Grewgious.

Pan Crisparkle zostawił go w całkiem dobrym stanie.

– A gdzie to pan zostawił pana Jaspera, szanowny panie?

Pan Crisparkle zostawił go w Cloisterham.

– A kiedyż to pan zostawił tam pana Jaspera, szanowny panie?

To było dziś rano.

– Hm...! – mruknął pan Grewgious i dodał: – A nie powiedział może, że wyjeżdża?

– A mianowicie dokąd?

– Powiedzmy... dokądkolwiek? – zapytał pan Grewgious.

– Nie.

– No właśnie, bo oto i on sam – oznajmił pan Grewgious, który zadając te wszystkie pytania, rzucał zaaferowane spojrzenia w stronę okna. – I wcale nie sprawia miłego wrażenia, prawda?

Pan Crisparkle wyciągnął szyję w stronę okna, a pan Grewgious dodał:

– Jeżeli będzie pan tak uprzejmy i stanie ze mną tam, w mroku pokoju, i rzuci okiem na okna mieszkania na drugim piętrze tamtego domu, to myślę, że z łatwością zauważy pan przemykającego tam osobnika, w którym niewątpliwie rozpozna pan naszego przyjaciela.

– Pan ma rację! – zawołał pan Crisparkle.

– Aha! – wykrzyknął pan Grewgious, a potem, odwracając głowę tak nagle, że niemal się zderzył z głową pana Crisparkle, dodał: – Jak pan sądzi, co też knuje nasz przyjaciel?

W pamięci pana Crisparkle, jak silne uderzenie, ożył ostatni fragment czytanego dzienni-

ka i zapytał pana Grewgiousa, czy to możliwe, aby Neville był teraz prześladowany przez kogoś, kto go śledzi?

– Śledzi go? – powtórzył pan Grewgious w zamyśleniu. – No, tak...

– Byłoby to samo w sobie nie tylko prześladowaniem i udręką – z zapałem mówił pan Crisparkle – ale cokolwiek by zrobił i gdziekolwiek poszedł, naraziłby się na mękę nieustannego ożywania podejrzeń.

– No, tak... – powtórzył pan Grewgious, ciągle zamyślony. – Czy widzę go tam czekającego na pana?

– Niewątpliwie.

– A zatem, czy **będzie** pan tak dobry i pozwoli, że wstanę i odprowadzę pana? Wyjdzie pan, dołączy do niego i uda się tam dokąd pan chciał iść, a potem nie będzie pan zwracał uwagi na naszego przyjaciela, dobrze? – zaproponował pan Grewgious. – Przyszedł mi do głowy dość zabawny pomysł, aby dziś wieczorem mieć go na oku. Co pan na to?

Pan Crisparkle ze zrozumieniem skinął głową; spotkał się z Neville'em i poszedł z nim. Zjedli razem kolację, rozstali się na niewykończonej i nierozbudowanej stacji kolejowej, skąd pan Crisparkle pojechał do domu. Neville udał się na spacer ulicami, przeszedł przez most i pod osłoną przyjaznych ciemności, zatoczywszy szeroki krąg, mógł poczuć fizyczne zmęczenie.

Z samotnej przechadzki wrócił o północy i wspiął się po schodach do swego mieszkania. Noc była gorąca i okna na klatce schodowej szeroko otwarte. Gdy wszedł na górę, przeszył go dreszcz zaskoczenia (nie było tu bowiem żadnych innych mieszkań), kiedy stał w tym miejscu, na parapecie okna, nieznanego w pozie przypominającej raczej goriwego szklarza niż zwykłego gościa. Nie wyglądało też na to, aby tamten dbał zbyt o własną głowę, bowiem bardziej wisiał za oknem aniżeli siedział wewnątrz, co sugerowało, iż dostał się tu chyba po rurze spustowej, a nie po schodach. Nieznajomy milczał do chwili, aż Neville wsunął klucz do zamka, a wówczas, jakby upewniając się co do jego tożsamości, odezwał się:

– Bardzo przepraszam – powiedział, zeskakując z parapetu. Uśmiechał się szczerze i zwracał życzliwie. – Fasolka.

Neville nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Wielokwiatowa – mówił dalej gość. – Szkarłatna. Następne drzwi od tyłu.

– O – odparł Neville – pachnąca rezeda i powojnik?

– No właśnie – przytaknął gość.

– Proszę wejść.

– Dziękuję.

Neville zapalił świecę i gość usiadł. Był to przystojny dżentelmen o młodzieńczej twarzy, ale znacznie poważniejszej sylwetce, co uwidaczniało się w silnej klatce piersiowej i szerokich ramionach; mógł mieć dwadzieścia siedem, najwyżej trzydzieści lat i był tak silnie opalony, że kontrast między brązową częścią twarzy a czołem osłoniętym przed słońcem rondem kapelusza i widoczną białą szyją wystającą spod szalika, wydałby się komiczny, gdyby nie szerokie skronie, niebieskie oczy, bujne kasztanowe włosy i ukazywane w



uśmiechu białe zęby.

– Zauważyłem... – zaczął. – Nazywam się Tartar.

Neville skłonił głowę.

– Zauważyłem (proszę mi wybaczyć), że bardzo długo przebywa pan w mieszkaniu i wydało mi się, że podoba się panu mój ogródek, tam wysoko. Gdyby pan zechciał mieć go troszkę więcej, mógłbym zarzucić kilka sznurów i poprzeczek między moim i pańskim oknem, a wszystko, co się pnie, od razu skierowałoby się do pana. Mam też kilka skrzynek rezedy i powojnika, które mógłbym pchnąć po rurze spustowej rynny za pomocą bosaka (którym akurat dysponuję) w stronę pana okien i przyciągając je z powrotem, kiedy rośliny trzeba będzie podlać albo wykonać jakieś pielęgnacyjne zabiegi, a potem, gdy będą już miały wszystko to, co im potrzebne, znowu odepchnąć w pańskim kierunku – tym sposobem nie sprawię panu żadnego kłopotu. Ale nie pozwoliłbym sobie na to bez pytania o zgodę. Tak więc teraz ośmielam się pana o nią prosić. Nazwisko Tartar, sąsiad.

– Jest pan bardzo uprzejmy.

– Ależ nie. To ja powinienem przeprosić pana, że zajrzałem tu tak późno, jednak zauważyłem (proszę mi wybaczyć), iż wychodzi pan wieczorem, więc pomyślałem, że sprawię panu niewielki kłopot, czekając, aż pan wróci. Zawsze się boję przeszkadzać ludziom zapracowanym, bo sam prowadzę próżniaczy żywot.

– Sądząc z pańskiego wyglądu, nigdy bym tak nie pomyślał.

– Nie? A zatem uznam to za komplement. W istocie służyłem w królewskiej marynarce wojennej i odszedłem w stopniu porucznika. Mój wuj, człowiek rozczarowany do tej służby, pozostawił mi majątek pod warunkiem, że odejdę z marynarki. Przyjąłem spadek i zrezygnowałem z morza.

– Domyślam się, że niezbyt dawno?

– No, przedtem obijałem się tu i tam dwanaście czy piętnaście lat. Wprowadziłem się tu jakieś dziewięć miesięcy przed panem. Przed pańskim pojawieniem się miałem tylko jedno „żniwa”. Wybrałem to miejsce, ponieważ ostatnio służyłem na małej korwecie i wiedziałem, że lepiej się będę czuł, mając ciągle możliwość walenia głową w sufit. Ponadto wiedziałem też, że mężczyzna, który od młodości służył na okręcie, nie może nagle znaleźć się w komfortowych warunkach. I jeszcze jedno: zawsze byłem przyzwyczajony do małej ilości ziemi, pomyślałem więc sobie, że będę się przyzwyczajał do zarządzania majątkiem ziemskim, zaczynając od skrzynek z kwiatami.

Brzmiało to dziwnie, lecz jednocześnie kryła się w tym jakaś beztroska powaga, czyniąca jego słowa w dwójnasób dziwnymi.

– Ale – dodał porucznik – dość gadałem o sobie. Mam wrażenie, że nabrałem już złego zwyczaju, mówiąc tak tylko dlatego, aby się panu jakoś dokładniej przedstawić, więc teraz, jeżeli wyrazi pan zgodę na tę moją nieśmiałą propozycję, o której wspomniałem, będzie to dla mnie prawdziwa przysługa, ponieważ dostarczy jakiegoś zajęcia. Proszę nie sądzić, iż będzie się to wiązało z jakimś wtrącaniem się lub narzucaniem pańskiej osobie, bo od czegoś takiego jestem daleki.

Neville odparł, że będzie wielce zobowiązany i z wdzięcznością przyjmuje tak uprzej-

mą propozycję.

– Bardzo się cieszę, że będę mógł włączyć pańskie okna do mojej floty – oświadczył porucznik. – Z tego, co zaobserwowałem, zajmując się moim ogródkiem, pan się temu bacznie przyglądał, chociaż wydał mi się pan (proszę wybaczyć) dość zajęty nauką i dość nieśmiały. Mogę zapytać, czy coś pana gnębi?

– Przeżyłem pewien psychiczny wstrząs – odparł Neville zmieszany – który podziałał na mnie niczym ciężka choroba.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział pan Tartar.

Z największą ostrożnością powrócił do kwestii okien i zapytał, czy mógłby któreś z nich obejrzeć. Kiedy Neville otworzył jedno z okien, zaraz wyskoczył na zewnątrz, jakby zamierzał w nagłym niebezpieczeństwie natychmiast wyprowadzić na górę całą wachtę i osobiście dać dobry przykład.

– Na litość boską – zawołał Neville – niech pan tego nie robi! Dokąd pan idzie, panie Tartar? Roztrzaska się pan na kawałki!

– Wszystko w porządku! – zawołał porucznik, rozglądając się spokojnie na szczycie dachu. – Tutaj wszystko w porządku. Zanim pan jutro rano wstanie, zamontuję liny i wanty. Czy mogę użyć tego skrótu w drodze do mego mieszkania i pożegnać pana?

– Panie Tartar! – prosił Neville. – Błagam! W głowie mi się kręci, kiedy na pana patrzę!

Ale pan Tartar pomachał tylko ręką, ze zręcznością kota prześliznął się przez szczelinę w pnączach i nie uszkodziwszy żadnego listka, zniknął.

Pan Grewgious, akurat w tym momencie uchyliwszy zasłony w oknie swej sypialni, po raz ostatni tej nocy miał na oku mieszkanie Neville'a. Na szczęście jego oko spoczywało na froncie domu, a nie na jego tylnej fasadzie inaczej bowiem to szczególne pojawienie się i zniknięcie, jako zjawisko samo w sobie, mogłoby zakłócić mu zwykły spokój. Ponieważ jednak pan Grewgious niczego nie widział, nawet światła w oknach, jego wzrok powędrował od okien ku gwiazdom, jak gdyby chciał z nich wyczytać coś, co było przed nim ukryte. Wielu z nas by tak chciało, gdybyśmy tylko mogli, ale nikt z nas nie zna nawet liter tego gwiazdzistego alfabetu i nie wydaje się, abyśmy w tym życiu mogli kiedykolwiek je poznać. Niewiele zaś jest języków, które można odczytać zanim opanuje się alfabet.

## ROZDZIAŁ XVIII

### NOWY MIESZKANIEC CLOISTERHAM

Mniej więcej w tym czasie w Cloisterham pojawił się obcy; osobnik o jasnej czuprynie i czarnych brwiach. Obcisły, zapięty pod szyją błękitny surdut, płowożółta kamizelka i szare spodnie nadawały mu wojskowy wygląd; gdy znalazł się Pod Pastorałem<sup>[42]</sup> (w ortodoksyjnym hotelu, gdzie pojawił się z skórzaną walizą), oznajmił, że jest wolnym człowiekiem bez obowiązków; potem dodał, że ma zamiar zamieszkać w tym malowniczym starym mieście na miesiąc lub dwa, z zamiarem osiedlenia się tutaj na stałe. Oba te oświadczenia nieznanemu wygłosił w kawiarence hotelowej przy wszystkich (których mogło to obchodzić lub nie), stojąc tyłem do pustego kominka i czekając na smażoną solę, cielecy kotlet i szklanczkę sherry. I tylko kelner (ponieważ interes chronicznie kiepsko się rozwijał w hotelu Pod Pastorałem) reprezentował tych wszystkich, których to mogło obchodzić lub nie, chłonąc informacje. Dżentelmen o jasnej czuprynie miał nieprzeciętnie wielką głowę, a jego włosy były niezwykle gęste i obfite.

– Przypuszczam, panie starszy – mówił, potrząsając czupryną tak, jak otrząsałby się nowofunlandczyk, zanim zabierze się do miski z żarciem – że gdzieś w okolicy mógłbym znaleźć przyzwoite mieszkanie dobre dla samotnego starego pryka, co?

Kelner w to nie wątpił.

– Może być coś starego... – ciągnął ów dżentelmen. – Zdejmij mój kapelusz na chwilę z wieszaka, dobrze? Nie, nie podawaj mi go, a jedynie zajrzyj do środka. I co tam napisane?

Kelner przeczytał:

– Datchery.

– Teraz już wiesz, jak się nazywam – powiedział dżentelmen. – Dick Datchery. Powieś go na miejsce. Mówiłem, że wolałbym coś starego, coś dziwaczного i na uboczu; coś czci-godnego, ciekawego architektonicznie i niewygodnego.

– Myślę, że mamy duży wybór niewygodnych mieszkań w mieście, proszę pana – odparł kelner ze skromną ufnością w możliwości Cloisterham. – Doprawdy nie wątpię, że w tej mierze mamy możliwości, bez względu na pańskie wymagania. Ale mieszkanie ciekawe architektonicznie?! – Zdawało się, że w tym zakresie u kelnera zrodziły się wątpliwości, bo pokręcił głową.

– No to niech będzie coś ciekawego w stylu katedralnym – zasugerował pan Datchery.

– Pan Tope – powiedział nagle rozpromieniony kelner, pocierając podbródek dłonią. – Pan Tope najlepiej pana w tej mierze poinformuje.

– Kim jest pan Tope? – zapytał Dick Datchery.

Kelner wyjaśnił, że to kościelny i że pani Tope swego czasu wynajmowała mieszkania

lub przynajmniej ogłaszała, iż ma jakieś mieszkania do wynajęcia; ponieważ jednak nigdy nikt ich nie wynajął, ogłoszenie pani Tope – będącej od dawna istną instytucją w Cloisterham – zniknęło; prawdopodobnie pewnego dnia spadło na ziemię i nikt nie powiesił go z powrotem.

– A zatem po kolacji zgłoszę się do pani Tope – oświadczył pan Datchery.

Po kolacji pokazano mu mroczną drogę i ruszył w tym kierunku. Ponieważ jednak hotel Pod Pastorałem usytuowany był w bardzo odosobnionym miejscu, a wskazówki kelnera za-bójczo mało precyzyjne, wkrótce pogubił się i zaczął krążyć wokół wieży katedry – jeśli tylko mógł ją dojrzeć – odnosząc ogólne wrażenie, że pani Tope mieszka gdzieś bardzo blisko. I tak jak u dzieci bawiących się w ciepło i zimno, ciepło było wtedy, gdy widział wieżę katedry, a zimno, gdy jej nie widział.

Prawdę mówiąc, zrobiło się bardzo zimno, gdy dotarł do cmentarza, na którym pasła się jakaś nieszczęsna owca. Nieszczęsna, gdyż obskurny łobuz pędził ją kamieniami przez ogrodzenie; zdążył już okaleczyć jej jedną nogę i był bardzo podniecony iście sportowym zamiarem przetrącenia pozostałych trzech kończyn, by wreszcie padła.

– Znowu trafiłem! – wrzeszczał chłopak, aż biedne zwierzę podskoczyło. – Zrobiłem dziurę w wełnie!

– Zostaw ją! – zawołał pan Datchery. – Nie widzisz, że ją okaleczyłeś?

– Kłamiesz – odparł sportowiec. – Sama się okaleczyła. Na własne oczy widziałem i ostrzegałem ją, jak nie wiem co, żeby przestała obijać tę należącą do jej pana baraninę.

– Chodź tu.

– Nie chcę. Przyjdę, ale wpierw musisz mi zapłacić.

– A więc zostań tam, ale powiedz mi, gdzie mieszka pan Tope.

– Jak mam tu zostać i pokazać dom Topeów, kiedy stoi on po drugiej stronie katedry, za skrzyżowaniem i tyloma rogami? Głu-u-u-upi! Ha!

– Jak mi pokażesz, to ci coś dam.

– No to chodź.

Po zakończeniu tego szybkiego dialogu, chłopak ruszył przodem i w końcu zatrzymał się w pewnej odległości od sklepionej bramy, wskazując palcem:

– Patrz. Widzisz tamto okno i drzwi?

– To dom Tope'ów?

– Bzdura, to dom Jaspera.

– Doprawdy? – zdziwił się pan Datchery, spoglądając we wskazanym kierunku z pewnym zainteresowaniem.

– Tak... i powiem ci, że tam nie podejść.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę, aby mnie kto złapał za nogi, zerwał mi szelki i dusił. O nie! Zwłaszcza on. Czekał, któregoś dnia wypalę mu w tył głowy z dobrej flinty. A teraz patrz na drugą stronę tej bramy, nie tam, gdzie drzwi Jaspera, tylko po drugiej stronie.

– Widzę.

– Tam, trochę dalej, dwa stopnie w dół są niskie drzwi. To właśnie Topebwie, a ich na-

zwisko widnieje na owalnej tabliczce.

– Doskonale. Widzę – potwierdził pan Datchery, wyjmując szylinga. – Oddaj mi połowę.

– Bzdura. Nic ci nie oddam. Nigdy cię nie widziałem.

– Powiedziałem, że musisz mi oddać połowę, ponieważ nie mam przy sobie sześciopen-sówki. No dobrze, ale gdy spotkamy się następnym razem, musisz coś dla mnie zrobić, aby na tę drugą połowę sobie zarobić.

– Dobra, dawaj.

– Jak się nazywasz i gdzie mieszkasz?

– Deputy. Gospoda Dwupensowi Wędrowcy, tam za polem.

Chłopak natychmiast odskoczył z szylingiem, na wypadek gdyby pan Datchery pożałował swej hojności, ale zaraz zatrzymał się w bezpiecznej odległości, aby w razie czego móc go dręczyć demonicznymi płasmi potwierdzającymi nieodwołalność zapłaty.

Pan Datchery zdjął kapelusz, żeby potrząsnąć jasną czupryną i całkiem zrezygnowany udał się we wskazanym kierunku.

Mieszkanie służbowe pana Topea na piętrze, łączące się schodami z mieszkaniem pana Jaspera (stąd pomysł, aby pani Tope usługiwała temu dżentelmenowi), było skromne i przypominało chłodny loch. Miało masywne stare mury i zdawało się, że pokoje w nich zostały wykute, a nie celowo zaprojektowane. Główne drzwi wejściowe prowadziły bezpośrednio do pokoju o nieokreślonym kształcie i krzyżowym sklepieniu. Łączył się on z innym pokojem o nieokreślonym kształcie i identycznym sklepieniu. Okienka obu pokoi były małe i tkwiły w grubych ścianach. Właśnie te dwa pokoje, duszne z uwagi na panującą w nich atmosferę, i ciemne ze względu na niedostatek naturalnego światła, składały się na mieszkanie, które pani Tope przez tak długi czas proponowała niewdzięcznemu miastu. Jednak pan Datchery okazał większą wdzięczność. Doszedł do wniosku, że gdyby siedział przy otwartych głównych drzwiach wejściowych, to mógłby się cieszyć widokiem spacerujących niekiedy przechodniów, a także miałby tym sposobem dosyć światła. Doszedł również do wniosku, że gdyby mieszkający nad nim państwo Tope używali do swych potrzeb małej bocznej klatki schodowej, wyprowadzonej bezpośrednio na zewnątrz – z drzwiami otwierającymi się również na zewnątrz, ku zdziwieniu i niewygodzie nielicznych w wąskiej uliczce przechodniów – wówczas byłby sam w niezależnym mieszkaniu. Uznał, że czynsz jest niski, a wszystko, jak tylko można sobie wyobrazić, dostatecznie i dziwacznie niewygodne, zatem zgodził się natychmiast wynająć to mieszkanie i następnego wieczoru zapłacić z góry, pod warunkiem, że pozwoli mu się zasięgnąć opinii pana Jaspera, jako człowieka zamieszkałego w tym samym domu, w którym po drugiej stronie bramy kościelny zajmował jaskinię w ścianie, stanowiącą nierozłączny dodatek do domu.

Pani Tope stwierdziła, że ten biedny miły dżentelmen jest bardzo samotny i bardzo smutny, ale niewątpliwie zechce powiedzieć jej coś miłego. Może pan Datchery słyszał już o tym, co tu się wydarzyło minionej zimy?

Pan Datchery, próbując sobie przypomnieć, miał niejasne pojęcie o tej sprawie. Poprosił, by pani Tope wybaczyła mu, kiedy okazało się, że musi go poprawiać w każdym szcze-

góle opisu faktów, ale tłumaczył się, że jest tylko starym niezależnym dziwakiem, starającym się prowadzić maksymalnie spokojny tryb życia, a skoro wielu ludzi pozbywa się tyłu innych ludzi, to trudno temu beztroskiemu samotnikowi nie pomylić okoliczności związanych z tyloma podobnymi zdarzeniami.

Okazało się, że pan Jasper chętnie wypowie się pozytywnie w sprawie pani Tope i pana Datchery, który wysłał już uprzednio swoją wizytówkę i został zaproszony do wejścia tylnymi schodami. Pan Tope oznajmił, że jest tam również pan burmistrz, ale nie należy go traktować jako oficjalnego gościa, ponieważ on i pan Jasper są serdecznymi przyjaciółmi.

– Proszę wybaczyć – powiedział pan Datchery, wchodząc z kapeluszem pod pachą i zwracając się równocześnie do obu dżentelmenów – ale to tylko takie moje egoistyczne zabezpieczenie, które nie ma znaczenia dla nikogo prócz mnie. Jednakże, jako żyjący niezależnie samotnik, powzięłem myśl, aby przez resztę dni zażywać mojej niezależności i samotności w tym starym i spokojnym miejscu i chciałbym zapytać czy rodzina Tope’ów jest wystarczająco zacna?

Pan Jasper mógł za to ręczyć bez najmniejszego wahania.

– To mi całkowicie wystarczy – oświadczył pan Datchery.

– Oto mój przyjaciel, pan burmistrz – dodał pan Jasper, wskazując wytwornym ruchem ręki tę niezmiernie ważną osobę – którego rekomendacja dla każdego obcego jest w gruncie rzeczy o wiele ważniejsza od rekomendacji tak skromnej osoby jak moja i może bardziej świadczyć na korzyść polecanych osób. O tym jestem przekonany.

– Czcigodny panie burmistrzu – powiedział pan Datchery, kłaniając się nisko – jestem nieskończenie zobowiązany.

– Ci Tope’owie to bardzo rozsądni ludzie – odparł protekcjonalnie pan Sapsea. – Cieszą się dobrą opinią. Zachowanie bez zarzutu. Bardzo zacni. Niezmiernie cenieni przez księdza dziekana i członków kapituły.

– Czcigodny pan burmistrz wydaje o nich opinię, z której mogą być dumni – zauważył pan Datchery. – Chciałbym spytać jego wielmożność (jeśli mi wolno), czy są jakieś ciekawe obiekty w mieście, które znajdują się pod jego łaskawą pieczęcią?

– Jesteśmy, szanowny panie – odparł pan Sapsea – bardzo starym, klerykalnym miastem. Nasze miasto zostało założone konstytucyjnie, a jak przystoi takiemu miastu, jesteśmy z tego dumni i kultywujemy nasze chlubne przywileje.

– Jego wielmożność – powiedział pan Datchery, kłaniając się – rozbudza moje pragnienie lepszego poznania tego miasta i utwierdza w chęci, aby spędzić tu resztę mego żywota.

– Zapewne emerytowano pana z wojska, szanowny panie? – zasugerował pan Sapsea.

– Wielmożny pan burmistrz zbyt wiele mi przypisuje – odparł pan Datchery.

– A więc z marynarki, szanowny panie – podsunął pan Sapsea.

– I znowu – powtórzył pan Datchery – jego wielmożność pan burmistrz zbyt wiele mi przypisuje.

– Dyplomacja to szlachetna profesja – stwierdził pan Sapsea ogólnikowo.

– Tu muszę wyznać, że jego wielmożność pan burmistrz mnie pokonał – powiedział pan Datchery, kłaniając się z chytrym uśmieszkiem. – Nawet dyplomatyczny ptaszek musi paść

od takiego strzału.

Wszystko to było bardzo kojące. Oto dżentelmen o zacnym, żeby nie powiedzieć wspaniałym obejściu, który potrafi zachować się wobec wyższych rangą i urzędem, a nadto może być doskonałym przykładem właściwego odnoszenia się do burmistrza. Zwłaszcza to zwracanie się w trzeciej osobie stanowiło dla pana Sapsea wyraz uznania jego zasług i pozycji.

– Ale błagam o wybaczenie – powiedział pan Datchery – mam bowiem nadzieję, iż jego wielmożność pan burmistrz wykaże wyrozumiałość, że przez chwilę pozwoliłem sobie zajmować jego cenny czas, zapominając jednocześnie o czekających mnie w hotelu Pod Pastorałem moich własnych skromnych obowiązkach, które obecnie wzywają mnie tam do powrotu.

– Proszę się nie przejmować – odparł pan Sapsea. – Wracam teraz do domu i gdyby zechciał pan po drodze obejrzeć z zewnątrz naszą katedrę, to chętnie ją panu pokażę.

– Jego wielmożność pan burmistrz – powiedział pan Datchery – jest nazbyt uprzejmy i łaskawy.

Ponieważ pan Datchery, pożegnawszy się z panem Jasperem, nie dał się skłonić do wyjścia z pokoju przed czcigodnym, wobec tego czcigodny zszedł po schodach pierwszy; pan Datchery szedł za nim z kapeluszem pod pachą i z rozwianą na wietrze czupryną jasnych włosów.

– Mogę zapytać jego wielmożność pana burmistrza – powiedział pan Datchery – czy dżentelmen, którego właśnie pożegnaliśmy, to ten, o którym mówią, iż został wielce dotknięty stratą siostrzeńca i życie swe poświęcił pomszczeniu tej straty?

– Tak, to ten dżentelmen, John Jasper, szanowny panie.

– A można zapytać jego wielmożność, czy już poważnie podejrzewa się konkretną osobę?

– Więcej niż podejrzewa, szanowny panie – odparł pan Sapsea. – Mamy prawie pewność.

– Kto by pomyślał! – wykrzyknął pan Datchery.

– Ale dowody, szanowny panie, trzeba gromadzić kamień po kamieniu – stwierdził burmistrz. – I, jak powiadam, koniec wieńczy dzieło. Nie dość, że sprawiedliwość winna być niezachwiana moralnie, to musi ona też być pewna niemoralnie, a zatem pewna w sensie prawnym.

– Jego wielmożność – stwierdził pan Datchery – przypomina mi samą istotę prawa. Niemoralne. Jakież to prawdziwe!

– I, jak powiadam, szanowny panie – pompatycznie ciągnął burmistrz – ramię prawa to silne i długie ramię. Ja to właśnie tak określam, silne i długie.

– Mocno powiedziane! A jednak jakie słuszne! – zamruczał pan Datchery.

– I bynajmniej przez to nie zdradzam tego, co nazywam tajemnicami więzienia<sup>[43]</sup> – zwierzył się pan Sapsea. – A „tajemnice więzienia” to określenie, jakiego używam w sądzie.

– A jakież inne określenie, niż to, którego używa jego wielmożność, mogłoby wyrazić to

lepiej? – zapytał pan Datchery.

– Tak więc – jak powiedziałem – nie zdradzając tych tajemnic, przepowiadam panu, znając żelazną wolę dżentelmena, z którym rozstaliśmy się przed chwilą (a śmiało mogę ją nazwać żelazną ze względu na jej siłę), że tym razem długie ramię dosięgnie, silne ramię uderzy... A oto i nasza katedra, szanowny panie. Podziwiają ją najwybitniejsi znawcy, a kwiat naszego miasta przyznaje, że jest z niej w pewnym sensie dumny.

Pan Datchery szedł, przez cały czas niosąc kapelusz pod pachą, a jego jasne włosy powiewały na wietrze. Chwilami sprawiał dziwne wrażenie kogoś, kto zapomniał o swoim kapeluszu – do momentu, gdy pan Sapsea go dotknął. Wtedy przytknął rękę do głowy, jakby spodziewając się, że znajdzie na niej inny kapelusz.

– Proszę, niech pan nakryje głowę, szanowny panie – zachęcał pan Sapsea, podpowiadając mu to wspomniałomyślnie. – Nie mam nic przeciwko temu, zapewniam pana.

– Jego wielmożność jest dla mnie bardzo łaskawy, ale robię to dla ochłody – zapewnił pan Datchery.

Następnie pan Datchery podziwiał katedrę, a pan Sapsea pokazywał wszystko, jakby sam ją zaprojektował i zbudował; prawdę mówiąc, istniało kilka detali, których nie pochwalał, ale prześliznął się przez nie tak, jak gdyby robotnicy popełnili błędy podczas jego nieobecności. Kiedy załatwiono już sprawy katedry, poprowadził pana Datchery przez cmentarz, gdzie przystanął, by rozwodzić się nad pięknem wieczoru, przypadkiem w pobliżu epitafium na nagrobku pani Sapsea.

– A przy okazji – powiedział pan Sapsea, jakby zstąpił z piedestału i nagle mu się coś przypomniało, niczym Apollinowi zeskakującemu z Olimpu po zapomnianą lirę – oto jedna z naszych małych miejscowych osobliwości. Świadczy ona o upodobaniach naszych mieszkańców, a obcy również przystają tu od czasu do czasu i odpisują to sobie. Nie mnie ją osądzać, bo to moje własne, skromne dzieło. Sprawilo mi ono wiele kłopotu, szanowny panie. Muszę wyznać, że z trudem przyszło mi to ułożyć w sposób tak elegancki.

Pan Datchery pogrążył się w zachwycie nad kompozycją pana Sapsea do tego stopnia, że mimo zamiaru dokonania żywota w Cloisterham – co prawdopodobnie dałoby mu w przyszłości wiele okazji do przepisania tego tekstu – natychmiast chciał zamieścić go w notatniku. I z pewnością zamieściłby, gdyby nie to, że właśnie w tym momencie ukazał się włokący w ich kierunku fizyczny wykonawca napisu, Durdles, którego pan Sapsea powitał – nie mając nic przeciwko temu, żeby pokazać mu godny do naśladowania przykład, jak należy odnosić się do wyższych rangą.

– Ach! Durdles! To kamieniarz, szanowny panie, jedna z osobliwości Cloisterham. Wszyscy tu znają Durdlesa. Durdles, oto pan Datchery, dżentelmen, który zamierza się tu osiedlić.

– Na jego miejscu nie robiłbym tego – mruknął Durdles. – Trudni z nas ludzie.

– Z pewnością nie mówi pan o sobie, panie Durdles – odparł pan Datchery – ani tym bardziej o jego wielmożności.

– Co to za jego wielmożność? – zainteresował się Durdles.

– Jego wielmożność pan burmistrz.



– Jeszcze nigdy przed nim nie stawałem – Durdles absolutnie nie sprawiał wrażenia lojalnego poddanego burmistrza. – Ale jak przed nim stanę, będę miał dość czasu, aby go nazwać wielmożnością. A póki co, to...

*Pan Sapsea – jego nazwisko,  
Anglia jego krajem,  
Cloisterham – jego miasto,  
Licytowanie zwyczajem.<sup>{44}</sup>*

W tym momencie na scenę wkroczył Deputy (poprzedzony rzuconą muszlą ostrygi i zażądał, aby pan Durdles, którego na próżno wszędzie szukał, natychmiast rzucił mu zaległe trzy pensy zapłaty. Podczas gdy ten dżentelmen, wetknąwszy węzełek pod pachę, powoli wyjmował i odliczał pieniądze, pan Sapsea opowiadał nowemu mieszkańcowi Cloisterham o zwyczajach, zajęciach, siedzibie i reputacji Durdlesa.

– Sądzę, że ciekawy nieznajomy mógłby kiedyś odwiedzić pana i obejrzeć pańskie prace, panie Durdles? – zapytał pan Datchery.

– Każdy dżentelmen może do mnie przyjść każdego wieczora, jeżeli przyniesie ze sobą coś do picia dla nas obu – odparł Durdles, trzymając w zębach pensa a półpensówkę w ręku. – A jeżeli przyniesie dwa razy dla dwóch, to będzie podwójnie mile widziany.

– Przyjdę. Mistrzu Deputy, co mi jesteś winien?

– Robotę.

– A zatem uważaj, żebyś się dobrze sprawił, prowadząc mnie do domu pana Durdlesa, kiedy zechcę się tam udać.

Deputy wydał przeraźliwy gwizd przez szparę w zębach, jako pokwitowanie za wszystkie zaległości, i zniknął.

I tak oto wielmożny i przepełniony czcią szli razem do miejsca, w którym z wieloma grzecznościami rozstali się ceremonialnie przy drzwiach domu wielmożnego; a potem jeszcze przez chwilę przepełniony czcią trzymał kapelusz pod pachą, pozwalając by jego jasne włosy rozwiewał wiatr.

Tej nocy, spoglądając na odbicie jasnych włosów w oświetlonym lampami gazowymi lustrze wiszącym nad kominkiem w kawiarence hotelu Pod Pastorałem, pan Datchery powiedział do siebie, potrząsając głową:

– Jak na starego, niezależnego samotnika o beztroskim charakterze, to spędziłem dość pracowite popołudnie.

## ROZDZIAŁ XIX

# CIEŃ NA TARCZY ZEGARA SŁONECZNEGO

Znowu panna Twinkleton wygłosiła pożegnalną mowę przy białym winie i cieście i znowu panienki rozjechały się do domów. Helena Landless opuściła Dom Zakonnicy, aby zająć się sprawami brata, a śliczna Róża została sama.

Latem Cloisterham jest tak jasne i słoneczne, że katedra i ruiny klasztoru wyglądają jakby ich masywne mury były przezroczyste. Wydaje się, że rozjaśnia je – nie z zewnątrz, lecz od wnętrza – jakieś łagodne światło; tak pogodnie spoglądają na rozgrzane pola zbóż i wiążące się wśród nich przymglone drogi. Ogrody Cloisterham rumienia się od dojrzałych owoców. Dawnymi czasy zmęczeni podróżą pielgrzymi przemierzali hałaśliwymi grupami gościnny cień miasta; obecnie podróżnicy wiodący cygański żywot między porą sianokosów a porą żniw i wyglądający jakby zostali uformowani z pyłu – tak bardzo bowiem są zakurzeni – przesiadują na chłodnych stopniach domów, próbując naprawić nienaprawialne obuwie lub porzuciwszy je w miejskich rynsztokach jako niezdatne już do noszenia, szukają innego w noszonych przez siebie węzełkach, w których również trzymają nieużywane sierpy zawinięte w wiązki słomy. Przy wszystkich publicznych pompach odbywa się chłodzenie bosych stóp, połączone z gulgotaniem i bulgotaniem towarzyszącym picciu z dłoni, tak jak czynią to współcześni Beduini; tymczasem policjanci w Cloisterham przyglądają się im z ukosa, podejrzliwie przemierzając ulice i wyraźnie zniecierpliwieni czekają, aby obcy oddalili się poza granice miasta i by znowu zaczęli się smażyć na rozpalonych drogach.

Takiego właśnie popołudnia, po ostatnim nabożeństwie w katedrze, kiedy ta strona High Street, przy której stoi Dom Zakonnicy, pozostaje w przyjemnym cieniu – oprócz części, gdzie pod koronami drzew rozciąga się w kierunku zachodnim dziwaczny stary ogród – ku przerażeniu Róży służąca informuje, że pan Jasper chce się z nią widzieć.

Gdyby chciał na tę okazję wybrać najmniej dla niej korzystny moment, nie trafiłby lepiej. Może zrobił to celowo. Helena Landless odjechała, pani Tisher jest na urlopie, panna Twinkleton (w swoim nieprofesjonalnym stanie egzystencji) wybrała się z cielecą zapiekanką na piknik.

– Och, dlaczego, dlaczego, dlaczego powiedziałaś, że ja jestem w domu?! – zawołała Róża bezradnie.

Służąca odpowiada, że pan Jasper nigdy o to nie pyta. Po prostu wie, że Róża jest w domu i prosi, aby jej przekazać, że chce się z nią widzieć.

– Co robić, co robić! – myśli Róża, załamując ręce.

Zdesperowana dodaje jednym tchem, że wyjdzie na spotkanie z panem Jasperem do ogrodu. Ciarki ją przechodzą na myśl, że mogłaby się znaleźć z nim sam na sam w domu, a

wiele okien wychodzi na ogród; może być z nich widziana i słyszana, w ogrodzie zaś może krzyknąć i uciec. Tego to rodzaju dziki pomysł wpadł jej nagle do głowy.

Nie widziała go od tamtej tragicznej nocy z wyjątkiem spotkania na śledztwie u burmistrza. Był tam obecny i wszystko ponuro obserwował, reprezentując zaginionego siostrzeńca i płonąć chęcią zemsty. Róża zarzuca ogrodowy kapelusz na ramię i wychodzi. Gdy widzi go z werandy, jak stoi oparty o tarczę zegara słonecznego, ogarnia ją znajome przerażające uczucie, że znajduje się w jego mocy. Czuje, że mogłaby jeszcze zawrócić, ale to on ją tak przyciąga, jakby zmuszał jej nogi, by same niosły ku niemu. Nie może się oprzeć, siada z pochyloną głową na ławeczce przy słonecznym zegarze. Z obrzydzenia nie może na niego patrzeć. Jednak dostrzega, że jest w żałobie. Ona też jest w żałobie. Z początku nie nosiła jej oznak, lecz zaginiony dawno już został uznany za zmarłego i potem opłakany.

Jasper zaczyna od próby dotknięcia jej ręki. Ona wyczuwa to i cofa rękę. Czuje, że teraz się w nią wpatruje, więc jej oczy nie widzą nic prócz trawy u stóp.

– Czas jakiś czekałem – zaczyna Jasper – aby w końcu zająć się obowiązkami, jakie mam wobec ciebie.

Po kilku nieudanych próbach udzielenia jakiejś odpowiedzi wargami, które – dokładnie to wie – są nieustannie obserwowane, pyta wreszcie:

– Obowiązki, proszę pana?

– Obowiązki nauczania cię, służenia ci jako wierny nauczyciel muzyki.

– Przestałam się uczyć muzyki.

– Myślę, że nie. To była tylko przerwa. Twój opiekun powiedział mi, że przerwałaś naukę pod wpływem szoku. Jak tego wszyscy doznaliśmy. Kiedy znowu zaczniemy?

– Nigdy, proszę pana.

– Nigdy? Nie uczyniłabyś tego, gdybyś kochała trochę mego drogiego chłopca.

– Ależ kochałam go! – woła Róża z gniewem.

– Tak, ale nie całkiem... no, chyba możemy powiedzieć, że nie całkiem we właściwy sposób, prawda? Nie w taki sposób, którego można by oczekiwać i się spodziewać. Podobnie też, na nieszczęście, mój drogi chłopiec był zbyt nieśmiały i zanadto pewny siebie (nie czynię tu w tym względzie żadnych porównań między wami), aby kochać cię tak, jak powinien lub tak, jak każdy na jego miejscu musiałby kochać!

Róża siedzi w tej samej pozie, tyle że teraz bardziej kurczy się w sobie.

– A zatem oświadczenie, że przerywasz naukę, to grzeczny sposób poinformowania mnie, że w ogóle przestajesz się uczyć muzyki, czy tak? – sugeruje Jasper.

– Tak – potwierdza Róża w nagłym przyływie odwagi. – A ten grzeczny sposób pochodzi od mego opiekuna, a nie ode mnie. Powiedziałam mu, że przerywam naukę i byłam zdecydowana to potwierdzić.

– I ciągle jesteś?

– Tak, ciągle jestem, proszę pana. Proszę mnie o to więcej nie pytać. W każdym razie ja już nie odpowiem na żadne pytanie; mam do tego prawo.

Róża jest w pełni świadoma, że nadal wpatruje się w nią i z rozkoszą napawa widokiem rozpalającego ją gniewu i towarzyszącego mu ożywienia, toteż chwilowa fala odwagi od-

pływa od niej znowu i zmusza do zmagania się z uczuciem wstydu, doznanego afrontu i strachu – podobnie jak tamtego wieczoru przy pianinie.

– Nie będę ci zadawał więcej żadnych pytań, skoro tak bardzo się przed nimi wzbranasz, ale wyznam, że...

– Nie życzę sobie słuchać pana – przerywa gwałtownie Róża i szybko wstaje.

Tym razem on zdecydowanie wyciąga rękę i dotyka Różę; wykonując unik, dziewczyna kuli się i opada z powrotem na ławkę.

– Czasem musimy postępować wbrew naszej woli – mówi Jasper cicho. – Musisz teraz tak zrobić, inaczej bowiem wyrządzisz więcej szkody, niż byłabyś w stanie ją kiedykolwiek naprawić.

– Jakiej szkody?

– Powoli, powoli. Widzisz, teraz ty **mnie** zadajesz pytania i doprawdy nie jest w porządku, że sama mi tego zabraniasz. Niemniej zaraz ci odpowiem. Najdroższa Różo! Czarująca Różo!

Róża znowu wstaje.

Tym razem już jej nie dotyka, ale kiedy stoi oparty o tarczę zegara słonecznego, na jego twarzy maluje się tak podstępny i groźny wyraz, jakby rzucał czarny cień na oblicze dnia, i Róża, patrząc na niego, nie może ze zgrozy się poruszyć.

– Wiem, że widać nas z wielu okien – mówi Jasper, rzucając w tym kierunku spojrzenie – i już cię nie dotknę, nie zbliżę się. Usiądź i nie będzie w tym nic dziwnego, że – biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło i nasz w tym udział – twój nauczyciel muzyki rozmawia z tobą swobodnie oparty o tę tarczę na postumencie. Usiądź, moja kochana.

Chętnie rzuciłaby się znowu do ucieczki – już prawie to uczyniła – ale ponownie zatrzymuje ją jego twarz, ponuro i groźnie sugerująca, co by się stało, gdyby odeszła. Ponownie siada, patrząc na niego z wyrazem przerażenia na zmrożonej strachem twarzy.

– Różo, nawet wtedy, gdy mój drogi chłopiec był twoim narzeczonym, kochałem cię do szaleństwa; nawet gdy sądziłem, że będzie miał szczęście zostać twoim mężem, kochałem cię do szaleństwa; nawet wtedy, gdy starałem się, aby bardziej był tobie oddany, kochałem cię do szaleństwa; nawet wtedy, gdy podarował mi portret, na którym twoja twarz jakby od niechcienia była przez niego zniekształcona i kiedy udawałem, że portret ten zawsze trzymam blisko siebie ze względu na niego, w mękach wielbiłem ów wizerunek przez całe lata i kochałem cię do szaleństwa; podczas wykonywania codziennych niemiłych mi obowiązków i cierpiąc w bezsenne noce, wtłoczony w nędzną rzeczywistość lub błędząc przez raj i piekło wizji, do których uciekałem się z twoim obrazem w sercu, kochałem cię do szaleństwa.

Gdyby cokolwiek mogło uczynić jego słowa bardziej odrażającymi, aniżeli były w swej istocie, mógłby to być jedynie kontrast między jego wzburzonym wyglądem i sposobem mówienia, a spokojem przybranej pozy.

– Wytrzymałem to wszystko w milczeniu. Tak długo jak należałaś do niego lub tak długo, jak sądziłaś, iż należysz do niego, lojalnie skrywałem mą tajemnicę. Czyż nie?

Tego grubiańskiego zakłamania, mimo że same słowa, za pomocą których zostało ono

wyrażone, brzmią szczerze, Róża nie mogła znieść. Odpowiada więc, płonąć oburzeniem:

– Byłeś pan przez cały czas tak samo zakłamany, jak jesteś teraz. Byłeś pan fałszywy wobec niego każdego dnia i godziny. Wiesz pan, że unieszczęśliwiłeś mnie swym prześladowaniem. Wiesz, że przez ciebie bałam się otworzyć mu oczy na stan faktyczny i że ze względu na jego ufność i dobroć zmusiłeś mnie bym ukrywała przed nim prawdę... Tę prawdę, że jesteś złym, bezbożnym człowiekiem!

Swobodna poza, jaką Jasper zachowuje, czyni prawdziwie diabolicznymi jego wzburzoną twarz i gestykułujące ręce, kiedy odpowiada z wybuchem gwałtownego zachwytu:

– Jakże jesteś piękna! W gniewie piękniejsza jesteś niż wówczas, gdy zachowujesz spokój. Nie proszę cię o miłość, daj mi siebie i twoją nienawiść; daj siebie i ten cudowny gniew; daj mi siebie i swe czarujące oburzenie – to mi wystarczy.

Łzy bezsilności napełniają oczy dręczonej dziewczyny, a jej twarz płonie. Kiedy znowu wstaje, by oddalić się z oburzeniem i schronić w domu, on wyciąga rękę w kierunku werrandy, stwarzając wrażenie, że tym gestem zaprasza ją do wejścia.

– Mówiłem ci, moja mała czarodziejko, słodka czarownico, że masz tu zostać i wysłuchać mnie, w przeciwnym razie więcej krzywdy wyrządzisz, niż zdołasz naprawić. Zapytałaś, jakiej krzywdy. Zostaniesz, a powiem ci. Odejdziesz, a będę musiał to zrobić!

I znowu Róża ulega. Widząc groźbę w jego twarzy, chociaż nieświadoma jej znaczenia, pozostaje na miejscu. Z trudem chwyta oddech, jakby miała za chwilę się udusić, ale przyciska rękę do piersi i nie odchodzi.

– Wyznałem ci, że moja miłość jest szalona, że gdyby więź łącząca mnie z moim droгим, zaginionym chłopcem, ta jedwabna nić była nieco słabsza, to nawet wówczas, gdy cieszył się twymi względami i był z tobą związany, odsunąłbym go od ciebie.

Jej oczy zachodzą mgłą, kiedy unosi je na chwilę, jakby zaraz miała zemdleć.

– Nawet jego – powtarza. – Tak, nawet jego! Różo, widzisz mnie i słyszysz. Osądź sama, czy jakikolwiek inny wielbiciel mógłby cię kochać i żyć, wielbiciel, którego życie jest w twoich rękach.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Chcę ci przez to ukazać, jak szalona jest moja miłość. Ostatnio za pośrednictwem pana Crisparkle'a rozeszła się wiadomość, że młody Landless wyznał mi, iż był rywalem mego zaginionego chłopca. W moich oczach jest to niewybaczalne wykroczenie. Tenże sam pan Crisparkle wie ode mnie, że całkowicie poświęciłem się wykryciu i zniszczeniu mordercy – kimkolwiek by był. Zdecydowałem też z nikim nie omawiać tego tajemniczego zniknięcia, dopóki nie trafię na jakiś ślad i nie znajdę sposobu omotania mordercy, a potem zarzucenia na niego sieci. Odtąd cierpliwie tkąłem tę sieć i zaciągałem ją wokół niego; powoli zaciąga się ona nawet teraz, gdy mówię te słowa.

– Pańskiej wiary w to, że pan Landless jest zbrodniarzem, nie podziela pan Crisparkle, a on jest dobrym człowiekiem – odpowiada Róża.

– To, w co ja wierzę, to moja sprawa; należy tylko do mnie, skarbie mej duszy! Okoliczności mogą tak silnie sprzysiąc się nawet **przeciwko niewinnemu człowiekowi**, że kiedy się nimi pokieruje, to i owo odpowiednio uwypukli i wydobędzie na wierzch, wówczas

mogą one zabić. Jedno brakujące ogniwo, znalezione dzięki uporczywemu działaniu skierowanemu przeciwko oskarżonemu, jakkolwiek słabe byłyby istniejące dowody, może udowodnić jego winę i skazać go na śmierć. W każdej sytuacji młody Landless znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Jeżeli pan naprawdę przypuszcza – zwraca się ku niemu pobladła Róża – że darzę uczuciem pana Landlessa lub że pan Landless kiedykolwiek w jakikolwiek sposób wyznał mi swoje uczucia, to się pan myli.

Jasper zbywa te słowa lekceważącym machnięciem ręki i grymasem ust.

– Chciałem ci tylko ukazać, jak szaleńczo cię kocham. Teraz bardziej szaleńczo niż kiedykolwiek przedtem i zamierzam się pozbyć drugiej dzielącej mnie od ciebie przeszkody, tak by odtąd nie mieć w życiu nic prócz ciebie. Panna Landless stała się twoją serdeczną przyjaciółką. Czy zależy ci na jej spokoju?

– Szczerze ją kocham.

– Zależy ci na jej dobrym imieniu?

– Już panu powiedziałam, że szczerze ją kocham.

– Nieświadomie – zauważył z uśmiechem, kładąc ręce na tarczy zegara słonecznego i opierając na nich podbródek tak, by ich rozmowa wydawała się z okien (gdzie od czasu do czasu przesuwały się różne twarze) jak najbardziej swobodna i beztroska – nieświadomie znowu cię obrażam, zadając pytanie, przeto teraz będę po prostu stwierdzał, nie formułując już dalszych pytań. Zależy ci na dobrej opinii twojej dobrej przyjaciółki i na jej spokoju. Zatem oddal od niej widmo szubienicy, moja kochana!

– Pan śmie proponować mi...

– Kochanie, śmiem proponować ci siebie. Nie mów nic więcej. Jeżeli źle jest cię ubóstwiać, to jestem najgorszym z ludzi, jeżeli dobrze, jestem jednym z najlepszych. Moja miłość do ciebie jest ponad wszystkie inne miłości, a moje oddanie ponad wszelkie inne rodzaje oddania. Pozwól mi mieć nadzieję i cieszyć się twoją sympatią, a pozostanę twym wiernym niewolnikiem.

Róża unosi ręce ku skroniom, odgarnia włosy i patrzy na niego ze wzburzeniem i odrazą, jakby próbując pojąć sens ukryty tego, co Jasper przekazuje jej tylko we fragmentach.

– Nie myśl już teraz o niczym, aniele, poza tym, jaką to ofiarę składam u twych stóp, które pragnąłbym całować, leżąc w prochu i pyle, a potem – jak jakiś prymitywny dzikus – położyć twą stopę na mej głowie. Oto moja lojalność w stosunku do mego drogiego chłopca po jego śmierci. Podepcz ją!

Tu czyni ruch ręką, jakby ciskał czymś cennym o ziemię.

– Oto niewybaczalne przestępstwo uwielbiania cię. Zniwecz je!

Znowu podobny ruch ręką.

– Oto efekty sześciu miesięcy mojej ciężkiej pracy, poświęconej sprawiedliwemu pomśczeniu popełnionej zbrodni. Zniszcz ją!

Następny podobny ruch ręką.

– Oto moje minione i obecne zmarnowane życie. W mym sercu i duszy panuje pustka. Oto mój spokój, oto moja rozpacz. Wdepcz je w pył. A więc przyjmiesz mnie, nawet gdy-

byś śmiertelnie mnie nienawidziła!

Jego straszliwa gwałtowność, która teraz znalazła się w zenicie, dodatkowo tak bardzo ją przeraża, że Róża przełamuje paraliżujący stan odrętwienia i szybko rusza w kierunku werandy. On jednak natychmiast znajduje się przy niej, szepcząc do ucha:

– Różo, już się opanowałem. Idę z tobą spokojnie do domu. Będę czekał na jakiś znak zachęty i nadziei. Tak szybko już nie uderzę. Daj znak, że mnie słyszysz.

Róża z wahaniem lekko porusza ręką.

– Nikomu o tym ani słowa, bo cios nastąpi tak pewnie, jak noc następuje po dniu. Teraz daj mi znak, że zrozumiałaś.

Powtórnie porusza ręką.

– Kocham cię, kocham cię, kocham cię! Gdybyś mnie teraz odtrąciła – ale nie zrobisz tego – nigdy się mnie nie pozbędziesz. Nikt nie może nas rozdzielić. Będę cię ścigał do śmierci.

Pokojówka wychodzi, aby otworzyć mu bramę, on zaś na pożegnanie spokojnie uchyla kapelusza i odchodzi, nie okazując większego wzburzenia, niż widać to w podobiznie ojca pana Sapsea nad wejściem domu naprzeciwko. Róża, wchodząc, mdleje na schodach, zostaje ostrożnie zaniesiona do pokoju i położona na łóżku. Pokojówki mówią, że nadchodzi burza i że to gorące i duszne powietrze zaszkodziło biedactwu. Nic dziwnego: im też przez cały dzień drżały kolana.

## ROZDZIAŁ XX

# POŚPIESZNA UCIECZKA

Kiedy Róża się ocknęła, natychmiast całe minione spotkanie stanęło jej przed oczami. Zdawało jej się nawet, że wspomnienie tego spotkania prześladowało ją także wówczas, gdy straciła przytomność i przez tę chwilę nieświadomości nie mogła się go pozbyć. Dotknięta przerażeniem nie miała pojęcia, co dalej robić; w jej głowie kołatała się tylko jedna jasna myśl – musi uciec od tego przerażającego człowieka.

Lecz gdzie znaleźć schronienie? Jak uciec? Nigdy nikomu, prócz Heleny, nawet nie pisała o tym, że się go lęka. Gdyby udała się do Heleny i opowiedziała jej o tym, co się stało, to już sam ten fakt mógł spowodować jakieś niedające się naprawić szkody, intrygi i groźby, a ona była pewna, że groźby te nie były bezpodstawne i mógł je spełnić. Im bardziej przerażający jawił się Jasper w pamięci i w podekscytowanej wyobraźni, tym straszniejsza wydawała jej się odpowiedzialność; pojmowała, że nawet najdrobniejsza pomyłka w działaniu lub zaniechaniu mogła wzbudzić jego wściekłość, która skupi się na bracie Heleny.

Przez minione pół roku umysł Róży znajdował się w stanie wzburzenia i niepewności. Pojawiło się w nim na wpół ukształtowane i nie w pełni wyrażone podejrzenie, to silniejsze to słabsze. Niekiedy nabierało ono konkretniejszych kształtów, innym razem rozpływało się w niejasnych domysłach. Jasper tak bardzo przejmował się siostrzeńcem, dopóki ten żył, a jego uporczywe dążenia, aby dociec, jak zginął – jeśli rzeczywiście nie żył – były tak częstym tematem w mieście, iż zdawało się, że nikt nie zdobył się na to, aby podejrzewać w tym jakiś podstęp z jego strony. Ona zaś zadawała sobie pytanie: „Czy jestem aż taka zła, że mogę wyobrazić sobie podłość, której nikt inny nie mógłby sobie wyobrazić?” Potem zastanawiała się, czy to podejrzenie powstało w wyniku jej nieustającej niechęci do Jaspera, niechęci, która narodziła się przed tym faktem? A jeśli tak, to czy nie było to dowodem na bezpodstawność takiego podejrzenia? I znowu zastanawiała się: „Jaki, według moich podejrzeń, mógł być jego motyw?” Wstyd nie pozwalał jej odpowiedzieć nawet w myślach: „Motywem była chęć zdobycia **mnie!**” I kryła twarz w dłoniach, jakby nawet najłżejszy cień myśli o zaplanowaniu morderstwa z tak błahej przyczyny, sam w sobie był prawie takim samym przestępstwem.

Znowu przebiegła myślami wszystko, co jej powiedział przy zegarze słonecznym w ogrodzie. Jak wskazywały wszystkie publiczne wystąpienia Jaspera, odkąd znaleziono zegarek i spinkę do mankietu, uporczywie traktował on zniknięcie jako morderstwo. Jeżeli obawiał się, że przestępstwo zostanie wykryte, to czy raczej nie popierałby wersji o celowym zniknięciu? Ale czyż nie stwierdził, że gdyby więź łącząca go z siostrzeńcem nie była



tak silna, to nawet jego odsunąłby od niej? A może istotnie to zrobił? Mówił o rzuceniu do jej stóp sześciomiesięcznych wysiłków, by sprawiedliwości stało się zadość. Czy w szale namiętności postąpiłby tak, gdyby tylko udawał? Czy wymieniłby to razem z żalnością serca i duszy, ze zmarnowanym życiem, spokojem i rozpaczą?

Pierwszą ofiarą, którą – jak mówił – chce złożyć u jej stóp, była lojalność wobec drogiego chłopca po jego śmierci. I rzeczywiście, fakty zbyt silnie przemawiały przeciwko tej fantazji, której nawet nie ośmieliła się jaśniej sformułować. A jednak ten człowiek był tak przerażający! Krótko mówiąc, biedne dziewczę (cóż bowiem mogła wiedzieć o umyśle przestępcy, co do którego rzekomi znawcy bezustannie się mylą, kiedy z uporem starają się go porównywać z przeciętnym umysłem przeciętnego człowieka, zamiast traktować to zjawisko jako przerażające i całkowicie odrębne), to biedne dziewczę w żaden sposób nie potrafiło dojść do jakiegokolwiek wniosku, prócz tego, że ma do czynienia z potworem, przed którym musi uciec.

Dotąd przez cały czas była pociechą i podporą Heleny. Nieustannie zapewniała ją, że szczerze wierzy w niewinność jej brata i współczuje mu w nieszczęściu. Ale ani razu nie widziała go od zniknięcia Edwina, a Helena ani razu, choćby jednym słowem, nie wspominała o danym panu Crisparkle'owi przyrzeczeniu dotyczącym Róży, chociaż – jako element powszechnego zainteresowania całą sprawą – było ono znane szerokiemu ogółowi. Dla niej pozostawał on jedynie nieszczęsnym bratem Heleny i nikim więcej. Zapewnienie, jakie dała swemu odrażającemu zalotnikowi, było szczerze i prawdziwe, jednak (jak teraz sądziła) byłoby lepiej, gdyby zdołała powstrzymać się przed jego złożeniem. Chociaż ta jasna i krucha istota bała się go panicznie, to jednak wzbierał w niej gniew na samą myśl, że dowiedział się o tym z jej własnych ust.

Lecz dokąd miałyby pójść? Nie wystarczyło stwierdzenie – dokądkolwiek! Tam, gdzie nie mógłby jej dosięgnąć. Musi konkretnie odpowiedzieć na to pytanie. Zdecydowała, że natychmiast musi udać się do swego opiekuna. Opanowało ją uczucie, z którego po raz pierwszy zwierzyła się tamtego wieczoru Helenie; uczucie, że nie jest bezpieczna, bo Jasper jej zagraża i nawet masywne mury starego klasztoru nie obronią jej przed tym upiornym prześladowaniem. I to uczucie było tak silne, że nie potrafiła go w sobie stłumić i uspokoić prześladowających ją lęków. Długi porażający wstręt osiągnął teraz tak groźne natężenie, że czuła, jakby Jasper miał w sobie moc rzucania na nią uroku.

Nawet teraz, kiedy wstała, aby się ubrać i zerknęła przez okno, na widok zegara słonecznego – o który opierał się podczas oświadczeń – poczuła lodowaty dreszcz, sprawiający, że szybko się cofnęła, jakby ten przedmiot przesiąkł jego cechami.

Pośpiesznie napisała list do panny Twinkleton, tłumacząc, że nieoczekiwanie pojawiły się powody, dla których pragnie natychmiast odwiedzić swego opiekuna i jedyne do niego. Uspokajała tę zacną damę, aby się nie martwiła, ponieważ czuje się zupełnie dobrze. Szybko wrzuciła kilka zbędnych drobiazgów do zbyt małej torebki, położyła list na widocznym miejscu i wyszła, cicho zamykając za sobą bramę.

Po raz pierwszy na High Street znalazła się sama. Jednak z uwagi na to, że znała dobrze wszystkie ulice i skrzyżowania, szybko zbliżyła się do narożnika, z którego wyruszał omni-

bus. Była to właśnie pora jego odjazdu.

– Joe, zatrzymaj się i zabierz mnie! Muszę jechać do Londynu!

W minutę później pod opieką Joego jechała w kierunku stacji kolejowej. Joe pomógł jej wsiąść do pociągu i kiedy znalazła się w przedziale, podał jej małą torebkę tak, jakby to był jakiś ogromny kufer ważący dziesiątki kilogramów, bagaż jakiego pod żadnym pozorem nie powinna dźwigać.

– Joe, czy po powrocie możesz powiedzieć panie Twinkleton, że odjechałam bezpiecznie?

– Zrobione, panienko.

– I proszę, uściskaj ją ode mnie.

– Dobrze, panienko... – „Sam też nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyś i mnie uściskała!” Jednak tych ostatnich słów Joe nie wypowiedział głośno.

Teraz, gdy już znalazła się w pociągu mknącym do Londynu, Róża miała czas wrócić do myśli, które przerwał jej pospieszny wyjazd. Pełne wzburzenia przekonanie, że to wyznaczenie miłości ją splamiło i że tę plamę mogłoby oczyścić jedynie zwrócenie się do uczciwego i szczerego człowieka, przez jakiś czas stanowiło oparcie pozwalające jej oddalić strach i utwierdzało w słuszności podjęcia nagłej decyzji wyjazdu. Ale gdy zaczął zapadać zmrok i wielkie miasto było już blisko, jak zwykle w takich okolicznościach zaczęły pojawiać się wątpliwości: a może, mimo wszystko, nie był to szczęśliwy pomysł; co o tym pomyśli pan Grewgious; czy zastanie go w domu; co zrobi, jeśli go nie będzie; co pocnie ze sobą, gdy znajdzie się sama w nieznanym, obcym, zatłoczonym mieście; może powinna poczekać, najpierw poradzić się kogoś; czy gdyby teraz jeszcze mogła wrócić, nie uczyniłaby tego z ulgą? Tego rodzaju niepokojących myśli nękało ją coraz więcej. W końcu pociąg dotarł do Londynu, wjechał jakby na poziom dachów widocznych domów, a gdzieś poniżej ciągnęły się tonące w zgiełku ruchliwe ulice, z niepotrzebnie płonącymi już latarniami w ten gorący, jasny, letni wieczór.

„Hiram Grewgious. *Staple Inn*, Londyn” – Róża tylko tyle wiedziała o celu swej podróży. To jednak wystarczyło, aby pojechać rozklekotaną dorożką przez pustynię zgiełkliwych ulic, gdzie ludzie tłoczyli się na podwórkach, w zaułkach i na rogach, by zaczerpnąć choć trochę świeżego powietrza; gdzie również przewalały się tłumy, wydające monotony odgłos szurania butów na rozgrzanych kamiennych chodnikach i gdzie wszyscy ludzie oraz całe ich otoczenie było pokryte kurzem, hałaśliwe i nędzne!

Gdzieniedzie słychać było muzykę, która bynajmniej nie rozweselała tych miejsc. Sytuacji nie mogła poprawić żadna katarynka; żadne dźwięki, nawet najgłośniejszego bębna, nie były w stanie rozproszyć ogólnie panującego przygnębienia. Podobnie jak głos rozlegających się tu i ówdzie dzwonów z kaplic, te i inne dźwięki zdawały się jedynie odbijać echem od murów i ze wszystkiego wzniecać kurz. A gdy odzywały się rozmazane dźwięki instrumentów dętych, to zdawało się, że pękają im serca, a dusza jęczy z tęsknoty za wsią.

Trzeszczący wehikuł zatrzymał się wreszcie przed zamkniętymi na głucho wrotami, zdającymi się należeć do kogoś, kto wcześniej położył się spać i bardzo bał się włamywaczy. Róża po odesłaniu dorożki, zapukała nieśmiało i wraz z małą torebką została wpuszczona

przez stróża.

– Czy tu mieszka pan Grewgious?

– Pan Grewgious mieszka tutaj, panienko – potwierdził stróż, ręką wskazując, aby poszła dalej.

Tak więc Róża udała się we wskazanym kierunku i gdy zegary wybijały dziesięć razy, przystanęła na progu P.J.T., zastanawiając się, co ów P.J.T. zrobił z drzwiami prowadzącymi na ulicę.

Kierując się widokiem namalowanego nazwiska pana Grewgioua, weszła po schodach i delikatnie kilka razy zastukała do drzwi. Ponieważ nikt nie odpowiadał, a klamka ustąpiła pod naciskiem, Róża weszła do środka i zobaczyła, że jej opiekun siedzi przy otwartym oknie, a lampa osłonięta kloszem znajduje się daleko od niego, na stole w narożniku pomieszczenia.

Róża zbliżyła się w panującym mroku. Kiedy ją dostrzegł, powiedział cicho:

– Wielkie nieba!

Róża rzuciła mu się na szyję z płaczem, a wtedy powiedział, odwzajemniając uścisk:

– Moje dziecko! Moje dziecko! Miałem wrażenie, że widzę twoją matkę...! Ale co, co, co – dodał uspokajająco – co się stało? Co cię tu, moja droga, sprowadza? Kto cię tu przywiózł?

– Nikt. Przyjechałam sama.

– Na Boga! – wykrzyknął pan Grewgious. – Sama przyjechałaś?! Dlaczego nie napisałaś żebym po ciebie przyjechał?

– Nie miałam czasu. Podjęłam nagłą decyzję. Biedny, biedny Eddy!

– Ach, biedny chłopiec, biedny chłopiec!

– Zalecał się do mnie jego wuj. To było nie do zniesienia – Róża zalała się łzami i tupnęła drobną nóżką. – Cała aż drzę ze strachu z jego powodu, więc przyjechałam do pana, aby przed nim pan bronił mnie i nas wszystkich. Będzie pan tak dobry?

– Oczywiście – krzyknął pan Grewgious w nagłym przypływie zdumiewającej energii. – Niech będzie przeklęty!

*Zniszczymy jego kruczki!*

*Powstrzymamy nędzne sztuczki!*

*Kocha cię jak zaklęty?*

*Niechże więc będzie przeklęty!*

Po tym niezwykłym wybuchu pan Grewgious – nadal w ogromnym wzburzeniu – zaczął się miotać po pokoju, a wyglądało to tak, jakby nie mógł się zdecydować, czy pozwolić sobie na atak entuzjastycznej lojalności, czy też wojowniczego demaskatorstwa.

Zatrzymał się i powiedział, ocierając twarz:

– Bardzo cię, moja droga, przepraszam, ale może ucieszy cię fakt, że czuję się już lepiej. Teraz już nie mów nic, bo mogę znowu dostać ataku. Musisz odetchnąć i wymagasz pociechy. Co ostatnio jadłaś? Śniadanie, drugie śniadanie, obiad lub kolację, a może jadłaś podwieczorek? Co teraz zjesz? Czy to ma być śniadanie, drugie śniadanie, obiad, podwie-

czorek, a może kolacja?

Pełna szacunku czułość, z jaką ukląkł przed nią na kolano, a potem pomagał jej zdjąć kapelusz i wyplatać z niego piękne włosy, sprawiała, że wyglądał jak ucieleśnienie rycerskości. A kto, znając go jedynie powierzchownie, mógłby się po nim spodziewać zachowań rycerskich – i to tych nieklamanych, szczerych, a nie udawanych i obłudnych?

– Musisz mieć zapewniony spokój i odpoczynek – ciągnął. – Otrzymasz najpiękniejszy pokój w Furnival's Inn. Musisz mieć wszystko, co niezbędne... Przybory toaletowe i tym podobne... Będziesz miała wszystko, co tylko Nieograniczona Główna Pokojowa – a mam tu na myśli główną pokojową, która nie będzie ograniczona wydatkami – może ci zapewnić. Co to za torebka? – Przyglądał się uważnie torebce Róży. Prawdę mówiąc, trudno ją było dostrzec w mroku pokoju. – Czy to twoja torebka, moja droga?

– Tak, proszę pana. Zabrałam ją ze sobą.

– Niezbyt duża – stwierdził szczerze pan Grewgious, chociaż znakomicie nadawałaby się do pomieszczenia zawartości dziennego zaopatrzenia kanarka. Czyżbyś przywiozła ze sobą kanarka?

Róża uśmiechnęła się i potrząsnęła głową przecząco.

– Gdybyś tak zrobiła, byłby tu bardzo mile widziany – oświadczył pan Grewgious. – Myślę też, że mogłoby mu się spodobać, gdybyśmy zawiesili jego klatkę za oknem i gdyby mógł się zmierzyć z tutejszymi wróblami, których popisy – co trzeba przyznać – niezupełnie dorównują ich intencjom. Co również dotyczy tyłu z nas! Jednak, moja droga, nie powiedziałaś, co chcesz zjeść. Po prostu zjesz wspaniałą kompozycję wszystkich trzech posiłków na raz.

Róża podziękowała, zapewniając, że wypije tylko filiżankę herbaty. Pan Grewgious po wielokrotnym ganiu z gołą głową tam i z powrotem do hotelu, złożył w końcu zamówienia na takie dodatki do herbaty jak marmolada, jajka, rzeżucha, solona ryba i smażona szynka. Wkrótce zrealizowano wszystkie zamówienia i stół się zapełnił.

– Boże, miej mą duszę w opiece! – zawołał pan Grewgious, stawiając lampę na stole i siadając naprzeciwko Róży. – Jakież to wspiane nowe doświadczenie dla takiego biednego, z grubsza ciosanego, starego kawalera jak ja. Doprawdy!

Róża uniosła delikatne brewki w niemym pytaniu, które zdawało się brzmieć: „Co też on chce przez to powiedzieć?”

– Nowe, wspiane doświadczenie goszczenia słodkiej, młodej istotki we własnym mieszkaniu, dające wrażenie, że mieszkanie to zostało świeżo odmalowane, wytapetowane, ozłoczone... To jest po prostu cudowne! – entuzjasmował się pan Grewgious. – O Boże! O Boże!

W tym jego końcowym westchnieniu kryło się tyle żalości, że Róża, dotykając go filiżanką, ośmieliła się dotknąć również ręką.

– Dziękuję ci, moja droga – powiedział pan Grewgious. – Hm...! No, to w takim razie porozmawiajmy sobie.

– Pan tu mieszka na stałe? – zapytała Róża.

– Tak, moja druga.

– 1 zawsze sam?

– Zawsze sam... Czasem towarzyszy mi dżentelmen nazwiskiem Bazzard, mój kancelista.

– Ale o n tu nie mieszka?

– Nie, on po pracy wraca do siebie. Teraz właśnie jest na urlopie, a firma prawnicza na parterze, z którą utrzymuję zawodowe kontakty, używa mi zastępcy, jednak pana Bazzarda zastąpić jest bardzo trudno.

– Z pewnością bardzo pana lubi – stwierdziła Róża.

– Jeżeli tak jest, to znosi to z chwałebnym męstwem – odparł pan Grewgius po przemyśleniu tego problemu. – Ale osobiście w to wątpię. Myślę, że nieszczególnie. Widzisz, ten biedak jest ciągle niezadowolony.

– A dlaczego to jest niezadowolony? – padło oczywiste pytanie.

– Uważa, że nie znajduje się we właściwym miejscu – wyjaśnił pan Grewgius wielce tajemniczo.

Brewki Róży znowu z niepokojem uniosły się pytająco.

– Znajduje się na tak niewłaściwym miejscu – ciągnął pan Grewgius – że ja osobiście czuję się wobec niego nieustannie winny. A on z kolei czuje (choć nie wspomina o tym), że mam ku temu powody.

Pan Grewgius do tego stopnia stał się zagadkowy, że Róża nie wiedziała, co dalej powiedzieć. Kiedy się nad tym zastanawiała, pan Grewgius po raz drugi wyrwał się nagle z zamyślenia.

– Porozmawiajmy. Rozmawialiśmy o panu Bazzardzie. To tajemnica, co więcej tajemnica pana Bazzarda. Ale z powodu obecności przy moim stole kogoś tak słodkiego jak ty, staję się niezwykle gadatliwy i czuję, że w najgłębszej tajemnicy muszę z tobą tym podzielić się. Jak myślisz, co pan Bazzard uczynił?

– O Boże! – wykrzyknęła Róża, przysuwając bliżej krzesło i wracając myślami do Jaspersa. – Mam nadzieję, że nic strasznego?

– On napisał sztukę – oznajmił pan Grewgius poważnym szeptem.

– Tragedię.

Róża najwyraźniej ulżyło.

– I nikt – ciągnął pan Grewgius tym samym tonem – nie chce nawet słyszeć o jej wystawieniu.

Róża w zamyśleniu kiwała wolno głową, jak ktoś, kto chciałby zapytać: „Coś podobnego, a dlaczegoż to?”

– Widzisz, moja droga – oświadczył pan Grewgius – **ja** jednak nie potrafiłbym napisać sztuki.

– Zapewne złej sztuki, prawda, proszę pana? – zapytała niewinnie, znowu unosząc brwi.

– Nie. Gdyby mnie skazano na ścięcie, gdyby miał właśnie zostać wykonany wyrok i nadeszła ekspresowa wieść, że skazany Grewgius będzie ułaskawiony pod warunkiem, że napisze sztukę, to byłbym zmuszony złożyć głowę pod topór, błagając kata, by wykonał swą robotę, co oznaczałoby – mówił pan Grewgius, przesuwając ręką pod brodą – koniec tego

tu oto osobnika.

Wydawało się, że Róża zastanawia się, co ona by hipotetycznie zrobiła, gdyby znalazła się w tak niezręcznej sytuacji.

– W efekcie – mówił dalej pan Grewgius – we wszelkich okolicznościach wydałbym się panu Bazzardowi gorszy od niego; ponadto sytuację jeszcze bardziej pogarsza fakt, że jestem jego przełożonym.

Pan Grewgius pokręcił poważnie głowę, jakby czując, że to zbyt wielka przykrość, chociaż on sam jest tego sprawcą.

– A jak to się stało, że został pan jego przełożonym? – zapytała Róża.

– Zupełnie naturalne pytanie – odparł pan Grewgius. – Możemy o tym pomówić. Ojciec pana Bazzarda, farmer z Norfolk, na najmniejszą wzmiankę o tym, że jego syn pisze sztukę, byłby gotów z gniewem miotać cepami, widłami i innymi narzędziami rolniczymi nadającymi się do walki. Tak więc syn, przekazując emeryturę ojca (którą otrzymuje), równocześnie powierzył mi swoją tajemnicę, podkreślając, że jest zdecydowany rozwijać swój talent – co w efekcie może mu grozić śmiercią głodową – i że nie został do tego stworzony.

– Do rozwijania swego talentu, proszę pana?

– Nie, moja droga – odparł pan Grewgius – do śmierci głodowej. Nie można zaprzeczyć, że nie został stworzony po to, aby umrzeć z głodu.

Następnie pan Bazzard podkreślił, że byłoby wskazane, żebym stanął między nim a tak zdecydowanie niepasującym do jego natury przeznaczeniem. I w ten oto sposób pan Bazzard stał się mym kancelistą, co bardzo silnie przeżywa.

– Cieszę się, że jest za to wdzięczny – zauważyła Róża.

– Nie to miałem na myśli, moja droga. Chodzi o to, że bardzo teraz przeżywa swą degradację. Istnieją bowiem inni utalentowani ludzie, których pan Bazzard poznał, i oni również napisali tragedie, których nikt pod żadnym pozorem podobnie nie zamierza wystawić. Ci zaś wybrańcy muz w wysoce panegirycznym stylu wzajemnie dedykują sobie te sztuki. Pan Bazzard stał się przedmiotem jednej z takich dedykacji. A widzisz, moja droga, **mnie** nikt nigdy nie dedykował żadnej sztuki.

Róża rzuciła mu spojrzenie mówiące, że pragnęłaby, żeby stał się obiektem tysiąca dedykacji.

– Co, rzecz jasna, także drażni pana Bazzarda – wyjaśnił pan Grewgius – i wtedy krótko się ze mną rozprawia. Czuję, że tak sobie myśli: „Oto taki tępak jest moim przełożonym! Człowiek, który nie potrafiłby napisać tragedii pod groźbą kary śmierci i któremu nikt nie zadedykował żadnej sztuki z wyrazami najwyższego uznania i nie złożył gratulacji z racji zajmowania w oczach potomności wysokiej pozycji”. Bardzo męczące, bardzo to jest męczące. A jednak przed wydaniem jakiegoś polecenia zawsze się zastanawiam, czy przypadkiem mu się to nie podoba albo czy nie będzie zły, jeżeli go o to poproszę? Ale poza tym dobrze sobie razem radzimy. Doprawdy, lepiej niż mógłbym się spodziewać.

– Czy ta tragedia jest jakoś zatytułowana? – zapytała Róża.

– Powiem ci w zaufaniu – odparł pan Grewgius – że posiada ona okropny, stosowny

do treści tytuł: *Cień niepokoju*. Ale pan Bazzard ma nadzieję – i ja też – że w końcu zostanie wystawiona.

Nietrudno odgadnąć, że pan Grewgious po to tak szczegółowo opowiedział historię pana Bazzarda, aby co najmniej w równej mierze oderwać myśli swej podopiecznej od sprawy, jaka ją tu sprowadziła, jak i dla zaspokojenia własnej skłonności bycia towarzyskim i otwartym.

– A teraz, moja droga – powiedział – jeżeli nie jesteś zbyt zmęczona, aby opowiedzieć mi coś więcej o tym, co dzisiaj się wydarzyło – wszak pod warunkiem, że czujesz się na siłach – to chętnie posłucham. Wszystko lepiej przetrawię, jeżeli z tym się prześpię.

Róża, odzyskawszy już równowagę, zdała mu szerszą relację ze spotkania z Jasperem.

Słuchając, pan Grewgious często gładził się po głowie i prosił, by powtórzyła te fragmenty, które dotyczyły Heleny i Neville'a. Kiedy Róża skończyła, przez chwilę siedział w pełnej powagi zadumie.

– Opowiedziane jasno i przejrzyście – stwierdził w końcu krótko. – Mam nadzieję, że równie jasno i dobrze zostało tutaj zapamiętane – znowu pogładził się po głowie. – Zobacz, moja droga – podprowadził ją do otwartego okna – gdzie oni mieszkają! To tamte ciemne okna, na górze po drugiej stronie.

– Mogę pójść jutro do Heleny? – zapytała Róża.

– Chciałbym przespać odpowiedź na to pytanie – odparł z powątpiewaniem. – Pozwól jednak, że teraz odprowadzę cię na potrzebny ci spoczynek.

Mówiąc to, pan Grewgious znowu pomógł jej założyć kapelusz i zawiesić na ramieniu niemającą żadnego praktycznego zastosowania małą torebkę. Potem poprowadził ją za rękę (godnie, lecz niezgrabnie, jak gdyby zamierzał odtńczyć menueta) przez Holborn do Furnival's Inn.

W drzwiach hotelu powierzył ją opiece Nieograniczonej Głównej Pokojowej, mówiąc, że kiedy Róża uda się na górę obejrzeć pokój, on zaczeka na dole, na wypadek gdyby życzyła sobie zmienić go na inny albo gdyby doszła do wniosku, że czegoś potrzebuje.

Pokój Róży był obszerny, czysty, wygodny, niemal wesoły. Nieograniczona Pokojowa przygotowała wszystko, czego brakowało w małej torebce (to znaczy wszystko, czego Róża mogłaby potrzebować), dziewczyna zbiegła więc po licznych stopniach, by podziękować opiekunowi za jego troskę i okazaną serdeczność.

– Nie ma za co, moja droga – powiedział pan Grewgious niezmiernie zadowolony – to ja ci dziękuję za te szczerze zwierzenia i za czarujące towarzystwo. Śniadanie podadzą ci w miłym, przytulnym saloniku (odpowiednio pasującym do twej aparycji), a ja przyjdę do ciebie o dziesiątej rano. Mam nadzieję, że nie czujesz się zbyt obco w tym obcym ci miejscu.

– O nie, czuję się bezpiecznie!

– Tak, możesz być pewna, że te schody są przed pożarem zabezpieczone – stwierdził pan Grewgious – i że jakikolwiek wybuch tego niszczycielskiego żywiołu zostanie zauważony i w zarodku zduszony przez czuwających Stróży.

– Nie to miałam na myśli – prostuje Róża. – Czuję się tu zabezpieczona przed nim.

– Mamy tu masywne wrota z żelaznymi kratami, przez które nie przejdzie – zapewnił pan Grewgious z uśmiechem. – Hotel jest zabezpieczony od ognia, specjalnie pilnowany i odpowiednio oświetlony, a **ja** mieszkam niedaleko!

– Z odwagą błędnego rycerza zdawał się sądzić, że to ostatnie zabezpieczenie jest najpewniejsze. I wychodząc, zwrócił się w tym samym duchu do stróża przy wrotach:

– Jeżeli ktoś mieszkający w tym hotelu życzyłby sobie w środku nocy posłać po mnie na drugą stronę ulicy, to posłaniec, który spełni to życzenie, otrzyma ode mnie koronę. – W tym samym duchu, nieco zaniepokojony, prawie godzinę przechadzał się tam i z powrotem przed wrotami; od czasu do czasu zerkał też przez kraty, jakby w klatce lwów złożył na grzędzie gołąbkę i martwił się teraz, że biedaczka może spaść.



## ROZDZIAŁ XXI

### ROZPOZNANIE

W nocy nie wydarzyło się nic, co zaniepokoiłoby zmęczoną gołąbkę; rano gołąbka wstała wypoczęta. Kiedy wybiła dziewiąta, wraz z panem Grewgiousem zjawił się pan Crisparkle, który jeszcze w Cloisterham szybko wyskoczył z rzeki.

– Panna Twinkleton tak się niepokoiła, panno Rózo – wyjaśnił jej – że przysłała z pani listem do mamy i do mnie i była do tego stopnia zdumiona, że aby ją uspokoić, zdecydowałem się tu przyjechać pierwszym rannym pociągiem. Dotąd wydawało mi się, że wołałbym, aby w swojej sprawie pani zwróciła się bezpośrednio do mnie, ale teraz jestem przekonany, że postąpiła pani słusznie, przyjeżdżając do swego opiekuna.

– Myślałam o panu... – wyjaśniła Róza. – Jednak Zaulek Kanonika Mniejszego leży tak blisko niego...

– Rozumiem. To było zupełnie oczywiste.

– Przekazałem panu Crisparkle'owi – wtrącił pan Grewgiousem – wszystko, co wczoraj wieczorem usłyszałem od ciebie, moja droga. Oczywiście natychmiast napisałbym do niego, ale jego przyjazd nastąpił w samą porę. Bardzo to uprzejmie z jego strony.

– Czy ustaliliście panowie – zapytała Róza, zwracając się do nich obu – co należy uczynić dla Heleny i jej brata?

– Ja, doprawdy – odparł pan Crisparkle – jestem w wielkim kłopotcie. Jeżeli panu Grewgiousemowi, który ma o tyle lepszą głowę niż moja i który miał o jedną noc więcej na rozmyślanie, brakuje zdecydowania, to cóż dopiero mogę powiedzieć o sobie!

W tym momencie, po uprzednim zapukaniu i uzyskaniu przyzwolenia na wejście, wsunęła do pokoju głowę Nieograniczona Pokojowa, oznajmiając, że jakiś dżentelmen życzy sobie zamienić słówko z innym dżentelmenem o nazwisku Crisparkle. Jeżeli taki dżentelmen jest tu w ogóle obecny. Jeżeli zaś jest nieobecny, to za pomyłkę przeprasza.

– Taki dżentelmen tutaj się znajduje – odparł pan Crisparkle. – Ale teraz jest zajęty.

– Czy ów dżentelmen jest brunetem? – wtrąciła Róza, przesuając się bliżej opiekuna.

– Nie, panienko, to raczej szatyn.

– Jesteś pewna, że nie ma czarnych włosów? – zapytała Róza, zbierając się na odwagę.

– Całkiem pewna, panienko. To szatyn o niebieskich oczach.

– Być może – pan Grewgiousem zasugerował ze zwykłą sobie ostrożnością – dobrze byłoby się z nim zobaczyć, jeśli wasza wielebność nie miałaby nic przeciwko temu. Kiedy człowiek jest zagubiony lub gdy znajduje się w trudnej sytuacji, nigdy nie wiadomo, jakie wyjście wskaże przypadek. W takich razach osobiście kieruję się zawodową zasadą, nakazującą nie wykluczać żadnych możliwości i brać pod uwagę każdą, która może się nadarzyć.

Dla ilustracji mógłbym tu przytoczyć odpowiednią anegdotę, ale byłoby to chyba przedwczesne.

– Panna Róża nie ma nic przeciwko temu? To niech ten dżentelmen wejdzie – zgodził się pan Crisparkle.

Dżentelmen wszedł i stwierdziwszy, że pan Crisparkle nie jest sam, przeprosił ze szczerym, lecz skromnym wdziękiem, po czym zwrócił się do pana Crisparkle’a, zadając mu z uśmiechem nieoczekiwane pytanie:

– Kim ja jestem?

– Jest pan tym dżentelmenem, którego kilka minut temu widziałem palącego papierosa pod drzewem Staple Inn.

– To prawda. Tam mnie pan widział. Ale kim jeszcze jestem?

Pan Crisparkle skupił uwagę na przystojnej, ogorzałej twarzy i zdawało mu się, że w mroku pokoju stopniowo i niewyraźnie zaczyna wyłaniać się duch pewnego chłopca, który już dawno temu zniknął z jego życia.

Dżentelmen powoli zaczął się orientować, że kanonik mniejszy go rozpoznaje i jego twarz się rozjaśniła. Znowu się uśmiechnął i zapytał:

– Co pan zje dziś rano na śniadanie? Skończył się nam dżem.

– Chwileczkę! – wykrzyknął pan Crisparkle, podnosząc prawą rękę. – Jeszcze moment! Tartar!

Obaj bardzo serdecznie uścisnęli sobie ręce, a potem spędzili wspaniałą i długą – jak na Anglików – chwilę, klepiąc się po ramionach i wpatrując z radością w swoje twarze.

– Mój dawny młodszy kolega szkolny! – zawołał pan Crisparkle.

– Mój dawny kumpel, starszy kolega szkolny, któremu kiedyś służyłem jako młodszy! – uzupełnił pan Tartar.

– Uratowałeś mnie od utonięcia! – przypomniał pan Crisparkle.

– A potem, o ile mi wiadomo, zająłeś się ćwiczeniami z pływania! – dodał pan Tartar.

– Boże, miej mnie w swej opiece! – wykrzyknął pan Crisparkle.

– Amen! – zakończył pan Tartar.

I znowu niezwykle serdecznie potrząsnęli sobie ręce.

– Wyobraźcie sobie! – wykrzyknął pan Crisparkle z błyszczącymi oczami. – Panno Różyczko i panie Grewgius, wyobraźcie sobie pana Tartara, najmniejszego z młodszych uczniów, jak nurkuje po mnie, chwytając – dużego, ciężkiego starszego ucznia – za włosy i wypływa ze mną na brzeg, niczym jakiś wynurzający się z wody olbrzym!

– Wyobraźcie sobie, że nie pozwoliłem, aby utonął, ponieważ byłem usługującym mu młodszym kolegą szkolnym<sup>[45]</sup>! – wtrącił pan Tartar. – Jednak prawda była taka, że to on był moim najlepszym obrońcą i przyjacielem. Zrobił dla mnie więcej dobrego niż wszyscy nauczyciele razem wzięci i dlatego właśnie poczułem wewnętrzny, irracjonalny nakaz, aby go wyłowić lub razem z nim pójść na dno.

– Hm...! Jeżeli pan pozwoli, szanowny panie, to proszę uczynić mi ten zaszczyt – powiedział pan Grewgius, wyciągając do niego rękę – zaszczyt, który najbardziej sobie cenię. Jestem dumny, że mogłem pana poznać. Pozwalam sobie też wyrazić przekonanie, że

się pan nie przeziębził i nie miał pan nadmiaru kłopotów, połykając tyle wody. A jak się pan miewał od tamtej pory?

Nie było zupełnie jasne, czy pan Grewgious zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, co mówi, chociaż było całkowicie jasne, że zamierzał powiedzieć coś wielce przyjaznego i pełnego uznania.

Róża zaś pomyślała: „Gdybyż niebiosa zesłały taką odwagę i takie umiejętności na pomoc mojej biednej matce! A on z pewnością był wtedy taki gibki i młody!”.

– Z góry bardzo dziękuję, nie pragnę wyrazów uznania, ale sądzę, że mam pewien pomysł – oznajmił pan Grewgious tak nieoczekiwanie i w tak dziwny sposób uczyniwszy kilka podskoków przez pokój, że wszyscy z niepewnością zaczęli się weń wpatrywać, czy może nie zaczął się dławić lub nie chwycił go jakiś skurcz. – Tak, **sądzę**, że mam pewien pomysł. Wydaje mi się, że miałem przyjemność widzieć nazwisko pana Tartara, jako lokatora poddasza sąsiadującego z mieszkaniem w szczycie tamtego domu. Czy tak?

– Tak, proszę pana – potwierdził pan Tartar. – W tym zakresie pan się nie myli.

– Cieszy mnie to – stwierdził pan Grewgious. – Ten punkt skreślamy – co uczynił ruchem prawego kciuka na kciuku lewej ręki. – Czy przypadkiem zna pan nazwisko swego sąsiada z poddasza? – Mówiąc to, podszedł bardzo blisko pana Tartara, albowiem będąc krótkowidzem, chciał dobrze widzieć jego twarz.

– Landless.

– Wobec tego ten punkt również skreślamy – powiedział pan Grewgious, wykonując drugi podskok, a następnie cofając się. – Ale przypuszczam, że nie zna go pan osobiście?

– Znam, chociaż słabo.

– Skreślić – powiedział pan Grewgious, czyniąc następny podskok i znowu idąc do tyłu. – Jakiego to rodzaju znajomość, panie Tartar?

– Sądzę, że ten młodzieniec marnie wygląda i dlatego zapytałem go – zaledwie przed kilkoma dniami – czy nie zechciałby tam na górze dzielić się ze mną moimi kwiatami; to znaczy, czy zgodziłby się, abym rozciągnął swój kwietnik do jego okien.

– Bądźcie państwo tak uprzejmi i siadajcie – poprosił pan Grewgious. – **Mam** pewien pomysł!

Posłuchali. Pan Tartar tym chętniej, że był tym wszystkim zaskoczony, pan Grewgious zaś usiadł na środku pokoju, oparłszy ręce na kolanach i jak zwykle wyłożył swój pomysł tak, jakby wszystko recytował z pamięci.

– Jeszcze się nie zdecydowałem, czy obecna w naszym towarzystwie przedstawicielka płci pięknej może w tych warunkach otwarcie się kontaktować z panem Nevillem i panną Heleną. Mam podstawy, by sądzić, że nasz przyjaciel (na którego rzucam, za przeproszeniem wielebного przyjaciela, mimowolne, lecz z serca płynące przekleństwo) tu i tam czai się i przemyka ukradkiem. Jeżeli sam tego nie robi, to może mieć kręcących się tu donosicieli w osobach stróża, portiera lub jakiejś innej osoby wałęsającej się po Staple. Z drugiej strony panna Róża – co jest zupełnie zrozumiałe – życzyłaby sobie widzieć się z przyjaciółką, panną Heleną, i wydaje się ważne, aby przynajmniej panna Helena, jeżeli już nie jej brat, dowiedziała się osobiście z ust panny Róży o tym, co się wydarzyło i jakie poja-

wiło się zagrożenie. Czy mogę przyjąć, że ogólnie biorąc, wszyscy podzielają moje zdanie?

– Ja zgadzam się całkowicie – stwierdził słuchający z wielką uwagą pan Crisparkle.

– Ja bez wątpienia też byłbym się zgodził – wtrącił z uśmiechem pan Tartar – gdybym wiedział, o co chodzi.

– Spokojnie i po kolei – uspokoił go pan Grewgious. – Jeżeli tylko pan pozwoli, wkrótce wszystko panu wyjaśnimy. O ile nasz przyjaciel ma tutaj jakiegoś donosiciela, to wydaje się w miarę jasne, że taki donosiciel może być zatrudniony tylko po to, aby obserwować mieszkanie zajęte przez pana Neville’a. Donosiłby naszemu przyjacielowi, kto przychodzi do niego i kto od niego wychodzi, a nasz przyjaciel na podstawie opisu tych osób domyśliłby się tożsamości odwiedzających. Nikogo nie można zatrudnić, aby obserwował cały teren Staple lub by rejestrował wszystkich przychodzących czy opuszczających inne mieszkania. Chyba, że będzie obserwował jeszcze moje mieszkanie.

– Zaczynam pojmować, do czego pan zmierza – zauważył pan Crisparkle – i w całej rozciągłości aprobuję pańską ostrożność.

– Nie muszę powtarzać, że jak dotychczas nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi – upierał się pan Tartar. Ale mimo to też rozumiem, do czego pan zmierza. Niech mi będzie wolno od razu oznajmić, że moje mieszkanie pozostawiam całkowicie do państwa dyspozycji.

– I o to właśnie chodzi! – zawołał pan Grewgious, gładząc się triumfalnie po głowie. – Teraz wszyscy rozumiemy mój pomysł. Ty też, moja droga.

– Myślę, że tak – odparła Róża, rumieniąc się lekko, kiedy pan Tartar rzucił jej szybkie spojrzenie.

– A zatem pójdiesz z panem Crisparkle’em i z panem Tartarem do Staple – oznajmił pan Grewgious. – Ja będę wchodził i wychodził jak zwykle sam; ty pójdiesz z tymi panami na górę do mieszkania pana Tartara, obejrzysz sobie jego kwiatowy ogródek; zaczekasz, aż zjawi się tam panna Helena albo dasz znać panie Helenie, że jesteś w pobliżu, spotkasz się z nią i żaden szpieg nie będzie o tym wiedział.

– Bardzo się boję, że będę...

– Będiesz co, moja droga? – zapytał pan Grewgious, kiedy Róża się zawahała. – Chyba nie wystraszona?

– Nie, to nie to – odparła Róża nieśmiało. – Obawiam się jednak, że będę przeszkadzać panu Tartarowi. Wydaje mi się, że w ten sposób niegrzecznie wpraszam się do jego mieszkania.

– Mogę panią zapewnić – wtrącił tenże dżentelmen – że moje mieszkanie bardziej będzie mi się podobało od chwili, gdy choć raz zabrzmi w nim pani głos.

Nie bardzo wiedząc, co na to odpowiedzieć, Róża opuściła oczy i zwracając się do pana Grewgiouisa, grzecznie zapytała, czy powinna założyć kapelusz. Ponieważ pan Grewgious zaopiniował, że lepiej założyć, w tym celu się oddaliła. Pan Crisparkle wykorzystał tę chwilę, by krótko przedstawić panu Tartarowi, co gnębi Neville’a i jego siostrę. Chwila ta wszakże była dość długa, gdyż okazało się, że założenie kapelusza wymaga wyjątkowo

skomplikowanych zabiegów.

Pan Tartar podał ramię Róży, a pan Crisparkle pomaszerował przodem w pojedynkę. Kiedy tak szli, Róża rozmyślała: „Biedny, biedny Eddy!”.

Pan Tartar machał prawą ręką, pochylając twarz ku Róży i rozmawiając z ożywieniem.

„Ta twarz nie wyrażała zapewne tyle siły i nie była tak ogorzała, gdy ratował pana Crisparkle”, pomyślała Róża, spojrzawszy w kierunku swego towarzysza. „Ale nawet wtedy musiała wyrażać pewność i zdecydowanie.”

Pan Tartar powiedział jej, że był marynarzem i że przez długie lata podróżował po całym świecie.

– Kiedy znowu wraca pan na morze? – zapytała.

– Nigdy!

Róża zastanawiała się, co by powiedziały dziewczęta, gdyby mogły zobaczyć, jak teraz szeroką ulicą idzie pod rękę z marynarzem. Wyobrażała sobie, że mijający ich przechodnie musieli myśleć, że jest bardzo wątpa i słaba przy tej silnej postaci, która mogłaby ją pochwyć i wybawić z każdej opresji, niosąc na rękach bez odpoczynku przez wiele mil.

Potem myślała, że te przenikliwe niebieskie oczy sprawiały wrażenie, jakby przywykły do wypatrywania nadchodzącego z oddali niebezpieczeństwa, a później – po zbliżeniu się do niego – do spoglądania mu w oczy bez zmruczenia powiek. Kiedy zdarzyło się, że podniosła wzrok, dostrzegła, że on też coś myśli o **jej** oczach.

To spowodowało, że Róża trochę się zmieszała i być może właśnie dlatego już nigdy później nie mogła sobie przypomnieć, jak dostała się (przy pomocy Tartara) do jego wiszącego ogródka, kiedy to odniosła wrażenie, że oto nagle znalazła się w jakiejś cudownej, rozkwitającej krainie położonej na czubku czarodziejskiej, nagle rozkwitłej łodygi pachnącego groszku. Niechże rozkwita wiecznie!

## ROZDZIAŁ XXII

### ZACZYNAJĄ SIĘ PRZYKROŚCI

Mieszkanie pana Tartara było najschludniejsze, najczystsze i najlepiej uporządkowane ze wszystkich mieszkań pod słońcem, księżycem i gwiazdami. Podłogi wyszorowane były do tego stopnia, iż można by wnosić, że czerń Londynu<sup>[46]</sup> na zawsze się wyemancypowała i wyjechała z kraju na dobre. Każdy cal wszystkich mosiężnych przedmiotów należących do pana Tartara do tego stopnia był wypolerowany, że lśnił jak lustro z brązu. Najmniejszy pyłek, plamka czy rysa, nie naruszały czystości żadnego domowego sprzętu pana Tartara – dużego, średniego czy też całkiem małego. Salonik kojarzyło się z kabiną admiralską, w łazience było tak czysto jak w mleczarni, sypialnia wyposażona w szafki i szuflady przypominała sklep z nasionami, a na środku pokoju, jakby oddychając, lekko balansowało dobrze wyważone wiszące łóżko. Wszystko, co należało do pana Tartara, miało wyznaczone miejsce, zarówno mapy, karty mórz i książki, jak również szczotki, buty czy ubrania. Butelki stały w odpowiednich skrzynkach, a teleskopy i inne przyrządy znajdowały się na swoich miejscach. Do wszystkiego był łatwy dostęp. Półka, kinkiet, szafka, hak i szuflada, wszystko to znajdowało się w zasięgu ręki, a ponadto było tak pomyślane, by uniknąć marnotrawstwa pokojowej przestrzeni i stworzyć dodatkowe miejsce dla czegoś, co ewentualnie gdzie indziej nie byłoby dopasowane z równą dokładnością. Skromny, lśniący serwis pana Tartara tak przemyślnie rozlokowano, że jakaś zbłąkana łyżeczka do soli natychmiast rzuciłaby się w oczy. Na toaletce wszystko było tak poukładane, że jeden rzut oka wystarczyłby, aby wykryć każdą niesforne zachowującą się wykałaczkę. To samo dotyczyło rozmaitych ciekawostek przywiezionych z dalekich podróży. Wypchane, wysuszone, wypolerowane lub zgodnie ze zróżnicowanymi wymogami wypreparowane ptaki, ryby, płazy, broń, części strojów, muszle, wodorosty, trawy, kawałki rafy koralowej – wszystko to zostało ulokowane w najodpowiedniejszym, specjalnie do tego przeznaczonym miejscu. Wydawało się, że gdzieś jest schowana farba i lakier, by nieustannie służyły likwidowaniu wszelkich śladów palców, gdyby stały się one dostrzegalne w pokojach mieszkania pana Tartara. Żaden okręt wojenny nie był utrzymywany w takiej czystości i tak chroniony przed przypadkowym dotykiem jak właśnie tutaj. Tego jasnego, letniego dnia nad ogródkiem pana Tartara została zamontowana schludna markiza i to w taki sposób, na jaki mógł się zdobyć tylko marynarz. Wrażenie płynięcia po morzu było tak zupełne, że ogródek kwiatowy śmiało mógłby przynależeć do rufy, zaś wszystko to razem wzięte sunęło po morskiej tafli z załogą na pokładzie, która czekała tylko, aby pan Tartar przyłożył zawieszoną w kącie pokoju tubę do ust i wydał ochryple rozkazy: „Podnieść kotwicę! Załoga na pokład! Wszystkie żagle na masz-

ty!”.

Pan Tartar, czyniący na tym wspaniałym statku honory dowódcy, doskonale pasował do całości. Kiedy ktoś ma niepłoszącego się i z byle powodu niekopiącego miłego konia, to jakże przyjemnie jest obserwować, kiedy jeździ na nim z wyczuciem rozrywkowej natury tego krotochwilnego stworzenia. A jeśli ten człowiek jest do tego jeszcze z charakteru serdeczny i życzliwy, a także na ogół spontaniczny i wspaniale bezpośredni, wątpliwe czy mógłby wyglądać korzystniej w jakiejś innej niż ta sytuacji. Tak więc Róża oczywiście pomyślała (nawet gdyby nie została oprowadzona po tym okręcie z wszystkimi honorami Pierwszej Damy Admiralicji lub Pierwszej Czarodziejki Mórz), jak czarująco jest oglądać to wszystko i słuchać pana Tartara, który cieszy się tym, co posiada. Było więc całkiem naturalne, że Róża pomyślała też, że ten ogorzały słońcem marynarz wygląda nader korzystnie, kiedy po zakończeniu inspekcji delikatnie wyprowadził ją ze swej admiralskiej kabiny. Błagał ją w tejże chwili, by uważała się za królową tego obiektu i zachęcił do obejrzenia ogródka kwiatowego, wskazując nań ręką, od której niegdyś zależało życie pana Crisparckle’a.

– Heleno! Heleno Landless! Jesteś tam?

– Kto mnie woła? Chyba nie Róża? – i oto pojawiła się w oknie druga ładna twarzyczka.

– Tak, moja droga!

– Coś takiego! Jak się tu znalazłaś, kochanie?

– Ja... ja nie bardzo wiem – odparła Róża, oblewając się rumieńcem. – To chyba jakiś sen!

Skądże się jednak wziął ów rumieniec? Przecież wśród kwiatów były tylko ich twarze. Czy te rumieńce mogły być owocami w czarodziejskiej krainie łądygi groszku?

– Ale **ja** nie śnię – oświadczyła Helena z uśmiechem. – Gdyby tak było, lepiej bym rozumiała. Jak to się stało, że jesteśmy tu razem... lub niemal razem... tak niespodzianie?

Doprawdy, niespodzianie, i to między kominami, wśród brudnych szczytów domów w pobliżu domu P.J.T., pośród kwiatów wyrosłych na morskiej wodzie. Jednak obudzona już Róża szybko wyjaśniła, jak to się stało i podała wszystkie okoliczności całej sprawy.

– Pan Crisparckle też jest tutaj – dodała Róża, szybko kończąc: – ...i czy możesz uwierzyć, że... on dawno temu ocalił mu życie?

– Jeżeli chodzi o pana Crisparckle’a, to mogę w to uwierzyć – odparła Helena z rumieńcem na twarzy.

(A zatem jeszcze więcej rumieńców pojawiło się w tej czarodziejskiej krainie łądygi groszku.)

– Tak, ale to nie był pan Crisparckle – szybko sprostowała Róża.

– Nie rozumiem, kochanie.

– To bardzo miło ze strony pana Crisparckle’a, że pozwolił się uratować – oświadczyła Róża – i nie mógłby panu Tartarowi bardziej wymownie wyrazić swej wdzięczności. Ale to pan Tartar go uratował.

Ciemne oczy Heleny wpatrywały się uważnie w jasną twarzyczkę wśród liści i Helena

w zamyśleniu zapytała wolniej:

– Moja droga, czy pan Tartar jest teraz z tobą?

– Nie, ponieważ oddał mi do dyspozycji swoje mieszkanie... to znaczy nam oddał. To takie piękne miejsce!

– Doprawdy?

– Wydaje mi się, że znajduję się we wnętrzu najbardziej ekskluzywnego okrętu, jaki kiedykolwiek pływał. To jest jak... jak...

– Jak sen? – podpowiedziała Helena.

Róża odpowiedziała lekkim skinieniem głowy i powąchała kwiaty.

Helena odezwała się z żalem po krótkiej przerwie, podczas której zdawała się nad czymś zastanawiać (a może Róża odniosła tylko takie wrażenie):

– Mój biedny Neville czyta w swoim pokoju, ponieważ z tej strony słońce świeci teraz zbyt jasno. Myślę, że lepiej będzie, aby nie wiedział, iż jesteś tak blisko.

– O, ja też tak myślę! – wykrzyknęła pośpiesznie Róża.

– Przypuszczam – ciągnęła Helena z wahaniem – że prędzej czy później musi dowiedzieć się o tym, co mi powiedziałaś... Ale nie jestem tego pewna.

Poradź się pana Crisparkle'a, moja droga. Zapytaj go, czy z tego, co mi powiedziałaś, mogę przekazać Neville'owi tyle, ile uznam za stosowne...

Róża udała się do swojej kabiny i przekazała pytanie. Kanonik mniejszy był za tym, aby Helena uczyniła to, co uzna za najwłaściwsze.

– Bardzo mu za to jestem wdzięczna – powiedziała Helena, kiedy Róża przekazała jej słowa pana Crisparkle'a. – Zapytaj go, czy lepiej będzie zaczekać, aż wyjdzie na jaw więcej oszczerstw i prześladowań Neville'a ze strony tego nikczemnika, czy też lepiej spróbować to uprzedzić, to znaczy dowiedzieć się, czy wokół nas nie dzieje się coś tajemniczego?

Kanonik mniejszy doszedł do wniosku, że problem ten jest tak skomplikowany, iż trudno wyrazić na ten temat konkretną opinię, stąd po kilku nieudanych próbach zasugerował w końcu, aby zwrócić się w tej sprawie do pana Grewgiousa. Kiedy Helena wyraziła zgodę, zabrał się i poszedł (nieudolnie naśladowując bez troski spacerka) przez dziedziniec do domu P.J.T., gdzie powtórzył pytanie. Pan Grewgious zdecydowanie trzymał się zasady, że jeśli działanie bandyty lub dzikiej bestii można uprzedzić, to lepiej zrobić to natychmiast; ponadto stwierdził zdecydowanie, że w tym szczególnym wydaniu John Jasper przedstawia skrzyżowanie bandyty z dziką bestią.

Pan Crisparkle wrócił z taką radą, słowa pana Grewgiousa powtórzył Róży, która z kolei przekazała je Helenie. Helena, nieprzerwanie snująca przy oknie własne rozmyślenia, zastanawiała się teraz nad odpowiedzią.

– Różo, czy możemy liczyć na pomoc pana Tartara? – zapytała.

O tak! Róża ledwo śmiała o tym myśleć. I owszem nieśmiało wierzyła, że może prawie za to ręczyć. Lecz czy powinna pytać o to pana Crisparkle'a?

– Myślę, że twoja opinia w tej sprawie jest równie dobra jak jego, moja droga – powiedziała uspokajająco Helena. – I z tego powodu nie musisz znowu zniknąć z okna.

Dziwna ta Helena!



– Widzisz – ciągnęła Helena po namyśle – Neville nikogo tu nie zna; prawie z nikim nie zamienił słowa. Gdyby pan Tartar częściej składał mu jawne wizyty; gdyby mógł częściej poświęcić mu trochę czasu i gdyby robił to niemal codziennie, to może coś by z tego wynikło.

– Mogłoby z tego coś wyniknąć, kochanie? – zapytała Róża, wpatrując się z niepokojem w piękną twarzyczkę przyjaciółki. – A co takiego mogłoby z tego wyniknąć?

– Jeżeli istotnie wszystkie ruchy Neville’a są obserwowane, jeżeli zamierza się go odizolować od przyjaciół i znajomych, aby krok po kroku zatruć mu codzienne życie (zagrożenie, jakie ty zdajesz się dostrzegać), to czy nie wydaje się prawdopodobne – mówiła Helena – że jego wróg w jakiś sposób starałby się skontaktować z Tartarem, aby go odstraszyć od Neville’a? W takim to razie nie tylko bylibyśmy powiadomieni o tym fakcie, ale moglibyśmy się dowiedzieć od pana Tartara o treści takiej rozmowy!

– Rozumiem! – zawołała Róża i natychmiast pomknęła do swej kabiny.

Wkrótce jej śliczna twarzyczka znowu ukazała się wielce zarumieniona i Róża powiedziała, że przekazała to panu Crisparkle’owi, pan Crisparkle sprowadził pana Tartara, a pan Tartar... – Na wypadek gdybyś go potrzebowała, pan Tartar teraz czeka – dodała Róża, rzucając za siebie spojrzenie, do pewnego stopnia zmieszana sytuacją, w jakiej się znalazła pomiędzy wnętrzem kabiny a jej częścią zewnętrzną przy oknie. Zatem pan Tartar oznajmił swą gotowość działania według sugestii Heleny oraz gotowość rozpoczęcia służby jeszcze tego samego dnia.

– Dziękuję mu z całego serca – odparła Helena. – Przekaż mu to, proszę.

I znowu, wielce zmieszana pośrednictwem między kwiatowym ogródkiem a kabiną, Róża zniknęła ze swym przesłaniem, aby po chwili ukazać się z dodatkowymi zapewnieniami od pana Tartara. Stała teraz, wahając się między Heleną a nim, dając tym samym dowód, że zmieszanie niekoniecznie musi być niezręczne i czasem może przybrać bardzo sympatyczną postać.

– A teraz, kochanie – powiedziała Helena – pamiętaj, proszę, o ostrożności, która nakazała nam ograniczyć się do tego rodzaju spotkania, i rozstańmy się. Słyszę, że Neville się rusza. Wrócisz tam jeszcze?

– Do panny Twinkleton? – zapytała Róża.

– Tak.

– O, ja tam już nigdy nie mogłabym wrócić; tak, doprawdy, nie mogłabym po tej przerażającej rozmowie! – oświadczyła Róża.

– A zatem, dokąd pójdziesz, moja śliczna?

– Teraz, prawdę mówiąc, nie wiem – odparła Róża. – Dotychczas nie ustaliłam jeszcze, ale mój opiekun zajmie się mną. Nie martw się, moja droga. Jestem pewna, że gdzieś znajdę swoje miejsce.

(Wydawało się to bardzo prawdopodobne.)

– I usłyszę o mojej Różyczce od pana Tartara? – zapytała Helena.

Tak, przypuszczam, że tak; od... – Róża znowu się obejrzała, nie wymieniając nazwiska. – Ale powiedz mi coś jeszcze, zanim się rozstaniemy, najdroższa Heleno. Powiedz mi, że

jesteś pewna całkowicie, iż nie mogłam temu zapobiec.

– Zapobiec, kochanie?

– Zapobiec jego złościwości i mściwości. W żaden sposób nie mogłam się z nim porozumieć, prawda?

– Wiesz, jak cię kocham, moja droga – odparła Helena z oburzeniem – ale prędzej wolałabym cię ujrzeć martwą u stóp tego niegodziwca.

– Jakaż to dla mnie ogromna pociecha! Powtórzysz to swemu biednemu bratu, prawda? I przekażesz mu ode mnie wyrazy pamięci wraz z pozdrowieniami? Poprosisz też, aby mnie nie nienawidził?

Żałośnie potrząsając głową i tym samym sugerując, że to zbędna prośba, Helena przesłała przyjaciółce dłońmi serdeczne całusy, a kiedy Róża odwzajemniła jej się tym samym, ujrzała trzecią, opaloną rękę wyłaniającą się z kwiatów i liści, wysuniętą by pomóc jej przyjaciółce w zniknięciu z okna.

Przekąska, jaką pan Tartar przygotował w kabinie admirałskiej, jedynie za pomocą dotknięcia zaopatrzonej w sprężynę gałki w drzwiach szafki i uchwytu szuflady, była zaiste czarodziejsko olśniewającym posiłkiem. W jednej chwili pojawiły się w całej swej obfitości wspaniałe makarony, błyszczące likiery, w magiczny sposób ukazały się zakonserwowane tropikalne przyprawy i galaretki z niebiańsko tropikalnych owoców. Jednak pan Tartar nie mógł zatrzymać czasu, a czas w swym okrutnym pośpiechu płynął tak szybko, że Róża była zmuszona zejść na ziemię z czarodziejskiej łodygi pachnącego groszku i wrócić do mieszkania opiekuna.

– A teraz, moja droga – powiedział pan Grewgius – co teraz zrobimy? Albo wyrażając tę myśl inaczej: co teraz zrobić z tobą?

Przepraszające zachowanie Róży świadczyło, iż jest świadoma swej niepożądanego tu obecności i że zawadza wszystkim dokoła. Odnośnie planów życiowych na przyszłość, wpadł jej do głowy jedynie pomysł, żeby resztę życia spędzić na szczycie wielostopniowych schodów hotelu Furnival's Inn z jego solidnym zabezpieczeniem przed pożarem.

– Pomyślałem – powiedział pan Grewgius – że skoro ta zacna dama, panna Twinkleton, podczas wakacji przyjeżdża niekiedy do Londynu, by odnowić znajomości lub spotkać się z rodzicami pańienek mieszkających w stolicy, to może by... zanim się za czymś rozejrzemy, poprosić pannę Twinkleton, aby zatrzymała się tutaj i przez miesiąc zamieszkała z tobą.

– A potem? – dopytywała się Róża.

– Potem – odparł pan Grewgius – nie będziemy w gorszej sytuacji niż teraz.

– Myślę, że to mogłoby ułatwić sprawę – zgodziła się Róża.

– A zatem – powiedział pan Grewgius, wstając – idziemy poszukać umeblowanego mieszkania. Najprzyjemniejszą rzeczą dla mnie – podobnie jak minionego wieczoru – byłaby twoja słodka obecność w moim domu przez resztę wieczorów mego życia, ale nie jest to odpowiednie otoczenie dla młodej pańienki. Udajmy się więc na poszukiwanie przygód i umeblowanego mieszkania. W tym czasie pan Crisparkle, który właśnie wybiera się do domu, niewątpliwie będzie tak uprzejmy, że spotka się z panną Twinkleton i poprosi, aby ta

dama zechciała wziąć udział w naszym planie.

Pan Crisparkle z ochotą przyjął na siebie to zadanie i wyjechał, pan Grewgious zaś udał się z podopieczną na wyprawę.

Ponieważ według pana Grewgiousa szukanie umeblowanych pokoi polegało na przejściu na drugą stronę ulicy do domu ze stosownym ogłoszeniem w oknie, na przyjrzeniu się i przeczytaniu go, a następnie pracowitym obejściu domu od tyłu i obejrzeniu obiektu – jednak bez wchodzenia do środka, aby potem z tym samym skutkiem podobne zabiegi czynić z innym domem – wobec tego postanowili poruszać się bardzo wolno. Pan Grewgious w końcu przypomniał sobie owdowiałą kuzynkę, daleką krewną pana Bazzarda, która kiedyś używała jego wpływów w kręgach lokatorskich i która mieszkała przy Southampton Street, Bloomsbury Square. Dama ta, jak oznajmiały pokaźne drukowane litery na mosiężnej tabliczce na drzwiach, nie wskazujące jednak na płeć lub stan cywilny, nazywała się Billickin.

Szczególne cechy charakteru pani Billickin znajdowały ujście w jej skłonnościach do omdleń, a także w nieopanowanej szczerości. Wynurzyła się ociężale z eleganckiego, położonego w głębi mieszkania saloniku, przeznaczonego wyłącznie do jej osobistego użytku, i zdawała się być kimś, kto specjalnie przy tej okazji pośpiesznie otrząsnął się z serii omdleń.

– Mam nadzieję, że dobrze się pan miewa, szanowny panie – powiedziała pani Billickin, skinieniem głowy dając znak, że rozpoznaje gościa.

– Dziękuję, dobrze. A pani? – zapytał pan Grewgious.

– Miewam się – odparła pani Billickin, a odpowiadając, zaczerpnęła tchu, jakby zbliżał się napad omdlenia – tak dobrze jak zawsze.

– Moja podopieczna i pewna starsza dama – zaczął pan Grewgious – chciałyby wynająć odpowiednie pokoje mniej więcej na miesiąc. Dysponuje pani jakimś wolnymi pokojami?

– Panie Grewgious – odparła pani Billickin – nie będę pana oszukiwać, jestem od tego daleka. Mam wolne pokoje.

Wyraz jej twarzy zdawał się dodawać: „Zaprowadźcie mnie na stos, jeśli chcecie, ale póki żyję będę szczerą”.

– A jakież to są pokoje, szanowna pani? – zapytał pan Grewgious bardzo uprzejmie, by złagodzić pewną surowość cechującą zachowanie pani Billickin.

– A zatem, ten salonik, który – jakkolwiek by się go nazwało – jest salonem frontowym, panienko – oznajmiła pani Billickin, włączając Różę do rozmowy. – Salonik położony od tyłu trzymam dla siebie i nigdy go nie oddam. Na górze znajdują się dwie sypialnie, do których doprowadzono gaz. Nie powiem, że podłogi sypialni są bardzo solidne, ponieważ tak nie jest. Monter gazu przyznał, że aby dobrze wykonać robotę, musiałyby dostać się pod legary, ale nie warto ponosić takich kosztów dla lokatorów wynajmujących pokoje na rok. Rury gazowe prowadzone są więc na legarach i lepiej, abyście o tym wiedzieli.

Pan Grewgious i Róża wymienili przerażone spojrzenia, chociaż nie mieli najmniejszego pojęcia, jakie to prawdopodobne okropności mogą wynikać z takiego usytuowania rur. Pani Billickin przycisnęła dłoń do piersi, jakby właśnie spadł jej kamień z serca.

– No cóż! Nie wątpię, że dach jest w porządku – zauważył pan Grewgious, otrząsnąwszy się nieco.

– Panie Grewgious – odparła pani Billickin – gdybym miała w zamierzeniu panu powiedzieć, że nie mieć nic nad głową znaczy tyle, co mieć nad nią ten sufit, to oszukiwałabym pana, czego nigdy nie uczynię. Nie, szanowny panie. Przy wietrznej pogodzie pańskie dachówki, owszem, będą na tej wysokości łomotać, bez względu na to, co się z nimi zrobi! Wzywam pana, kimkolwiek pan jesteś, abyś za wszelką cenę spróbował utrzymać dachówki na swoich miejscach – w tym momencie pani Billickin, rozpalona rozmową, ochłonęła nieco i zdecydowała się nie nadużywać uzyskanej moralnej przewagi. – W rezultacie – ciągnęła pani Billickin łagodniej, ale wciąż stanowcza w swej nieugiętej szczeroci – w rezultacie byłoby to całkiem bezcelowe, abym razem z panem wlokła się na górę domu, żeby później powiedział mi pan: „Pani Billickin, co to za plama na suficie, bo chyba widzę tam jakąś plamę, prawda?”, a ja miałabym panu odpowiedzieć: „Nie rozumiem, o czym pan mówi, szanowny panie”. Nie, panie, nie będę tak podstępna. Doskonale **rozumiem**, o co panu chodzi, zanim mi pan to uświadomi. To mokra plama, szanowny panie. Wilgoć czasem dostaje się do środka i niekiedy stamtąd się nie wydostaje. Może pan przeleżeć tam pół życia zupełnie suchy, ale nadejdzie pora... Lepiej, żeby pan już teraz o tym wiedział, że nastąpi taki czas, gdy będzie można uważać, że jest pan niezgułą namokniętą jak gąbka.

Pan Grewgious wydawał się wielce upokorzony tym porównaniem i postawieniem w tak pożałowania godnej sytuacji.

– Ma pani jakieś inne pokoje? – zapytał.

– Panie Grewgious – odparła pani Billickin z wielką powagą – otóż mam. Pyta pan, czy mam, a moja szcera i otwarta odpowiedź może brzmieć tylko w ten sposób. Pierwsze i drugie piętro są wolne, a tam znajdują się piękne mieszkania.

– Świetnie, świetnie! Chyba o nich nie można powiedzieć nic złego – stwierdził pan Grewgious, pocieszając samego siebie.

– Panie Grewgious – powiedziała na to pani Billickin – proszę o wybaczenie, ale są tam schody. Jeżeli nie jest pan przygotowany na schody, to będzie pan rozczarowany. Panienka nie może, moja droga – ciągnęła pani Billickin, zwracając się do Róży karcąco – traktować pierwszego piętra, a jeszcze bardziej drugiego, tak samo jak łatwo dostępnego salonu na parterze. Nie, nie może panienka; leży to poza panienki możliwościami, po co zatem próbować?

Pani Billickin mówiła to z takim przejęciem, jakby Róża z uporczywą determinacją starała się forsować ten nieuzasadniony pogląd.

– Możemy obejrzeć te mieszkania? – zapytał opiekun.

– Panie Grewgious – odparła pani Billickin – może pan. Nie chcę niczego przed panem ukrywać... Oczywiście, że pan może.

Po tych słowach pani Billickin posłała do swego saloniku po szal (istniał bowiem, datujący się od niepamiętnych czasów, oficjalny mit, że nie mogła nigdzie się ruszyć bez owijania się szalem) i kiedy służąca dostarczyła go, zaprowadziła gości do wolnych mieszkań. Na schodach kilka razy przystawała, aby z patosem zaczerpnąć tchu, a w salonie przyłożyła

rękę do serca, jakby zamierzało wyskoczyć z piersi i zdołała złapać je w porę.

– A drugie piętro? – zapytał pan Grewgious, uznając pierwsze za zadowolające.

– Panie Grewgious – odparła pani Billickin, zwracając się do niego ceremonialnie, jakby nadszedł czas, by wyjaśnić pewną kłopotliwą sprawę i uczynić poważne wyznanie – drugie piętro znajduje się nad tym piętrem.

– Czy możemy je również obejrzyć, szanowna pani?

– Tak, proszę pana – zgodziła się pani Billickin. – Dostępne jest cały czas. Ponieważ i ono okazało się zadowolające, pan Grewgious podszedł z Różą do okna, aby się naradzić, a następnie poprosił o pióro i atrament i skreślił kilka linijek umowy. W tym czasie pani Billickin usiadła wygodnie i wygłosiła coś w rodzaju wykładni lub kwintesencji ogólnego problemu.

– O tej porze roku czynsz wynosi czterdzieści pięć szylingów tygodniowo, płatne w terminie miesięcznym, co stanowi rozsądną cenę dla obu stron – mówiła pani Billickin. – To nie jest Bond Street ani też St. James's Place, i wcale tego nie udaje, a równocześnie nie ma co zaprzeczać – bo i po co?

– że podcienia prowadzą do stajni. Stajnie są konieczne. Co do służących, to są tu dwie takie, które mogą pracować za przystępną opłatą. Mówiło się też o domokrążcach, ale brudzili butami nowe płytki podłogowe przy kominku, a poza tym nie zawsze byli na zawołanie, aby przyjąć konkretne zamówienia. Za węgiel płaci się albo zgodnie z częstotliwością palenia w kominku, albo za wiadro. – Podkreślała spójniki, jakby chcąc zaznaczyć jakąś subtelną, ale znaczącą różnicę. – Psy nie są mile widziane. Prócz tego, że brudzą, bywa, że są wykradane, a potem pojawiają się różne podejrzenia, z których wynikają rozmaite nieprzyjemności.

Tymczasem pan Grewgious przygotował umowę i pieniądze.

– Podpisałem w imieniu obu pań, szanowna pani – powiedział – a teraz niech pani będzie tak dobra i też podpisze. Imię i nazwisko... w tym miejscu, jeśli będzie pani tak uprzejma.

– Panie Grewgious – odezwała się pani Billickin z nowym wybuchem szczerości. – Nie, proszę pana! Musi mi pan wybaczyć, ale imię nie wchodzi w rachubę.

Pan Grewgious spojrział na nią zdumiony.

– Tabliczka na drzwiach służy mi jako ochrona – oznajmiła pani Billickin. – I to skuteczna ochrona. Nie odstąpię od tego.

Pan Grewgious spojrział ze zdumieniem na Różę.

– Cóż, panie Grewgious, musi mi pan wybaczyć. Jak długo ten dom znany jest w nieokreślony sposób jako własność Billickinów, i jak długo wśród różnego rodzaju mętów istnieją wątpliwości, gdzie też ten Billickin się ukrywa – przy drzwiach wejściowych lub gdzieś w piwnicy – a także ile waży i jak jest zbudowany, tak długo czuję tutaj się bezpieczna. Ale ujawnić się, że jestem samotną kobietą, co to, to nie, moja panienko! Chyba nawet przez moment nie chciałyby panienka – ciągnęła pani Billickin z wyraźnym poczuciem krzywdy – prześladować własną płęć, chyba że skłoniłby panienkę do tego niewłaściwy przykład.

Róża, rumieniąc się, jakby uczyniła jakąś wielce niegodną próbę oszukania tej zacnej damy, uprosiła pana Grewgiousa, aby się zgodził na każdy podpis. W efekcie na dokumencie pojawił się podpis *Billickin*.

Teraz ustalono szczegóły wprowadzenia się do wynajętego mieszkania, co miało nastąpić pojutrze, kiedy to można było się spodziewać przyjazdu panny Twinkleton, i Róża wsparta ramieniem opiekuna wróciła do Furnival's Inn.

A oto widzimy, jak pan Tartar spaceruje przed hotelem, zatrzymuje się na widok nadchodzących i rusza w ich kierunku!

– Przyszło mi na myśl – napomyka pan Tartar – że mając tak piękną pogodę i korzystny przypływ, moglibyśmy popłynąć rzeką. Posiadam własną łódź w Temple Stairs.

– Dawno już nie płynąłem rzeką – stwierdzi pan Grewgious, czując pokusę.

– A ja nigdy jeszcze nie pływałam po rzece łodzią – dodaje Róża.

W ciągu pół godziny wszystko było gotowe do wypłynięcia. Płynęli unoszeni prądem; popołudnie było czarujące, łódź pana Tartara doskonała. Pan Tartar i Lobley<sup>[47]</sup> (służący pana Tartara) wiosłowali. Okazało się, że pan Tartar posiada jacht przycumowany gdzieś w okolicy Greenhithe. Opiekował się nim oddelegowany specjalnie do tego celu służący, właśnie Lobley. Był to mężczyzna o wesołym usposobieniu, żółtobrazowych włosach i bokobrodach oraz dużej, czerwonej twarzy. Przypominał wizerunek słońca na starych drzeworytach; jego włosy i bokobrody wyglądały jak okalające twarz promienie. Siedząc na dziobie, wyglądał niczym błyszczący wizerunek odzianego w bluzę – lub bez bluzy, zgodnie z uznaniem – marynarza okrętu wojennego; jego ramiona i piersi pokrywały różne wytatuowane wzory. Zdawało się, że Lobley, tak samo jak pan Tartar, wiosłuje bez wysiłku; wiosła aż wyginały się w czasie wiosłowania, a łódź ich niosła, wynurzając się z wody. Z Różą, która naprawdę nic nie robiła, pan Tartar rozmawiał tak, jakby siedział beczynn timer; rozmawiał też z panem Grewgiousem, który robił tylko tyle, ile starczyło, by źle sterował. Nie miało to jednak większego znaczenia, ponieważ zgrabny ruch ręki pana Tartara, czy tylko uśmiech pana Lobleya, wystarczył, by wszystko wróciło do normy! Prąd unosił łódź do chwili, gdy zatrzymali się przy jakimś wiecznie zielonym ogrodzie, którego nazwy nie ma potrzeby tu wymieniać. Potem prąd uczynnie zmienił kierunek, dogadzając w tym właśnie dniu wyłącznie tym właśnie wycieczkowiczom. Kiedy tak płynęli leniwie w otoczeniu łozin, Róża na miarę swych możliwości próbowała wiosłować, zaś przy wydatnej pomocy wspaniale jej to wychodziło; pan Grewgious też próbował robić, co mógł, ale bez żadnej pomocy padał jedynie na plecy zgięty wpół, z wiosłem pod brodą. Potem nastąpiła przerwa na odpoczynek pod gałęziami drzew (cóż to był za odpoczynek!), a w tym czasie pan Lobley wycierał łódź, poprawiał poduszki, podnóżki i inne przedmioty, tańcząc przy tym wzdłuż całej łodzi niczym linoskoczek, jak człowiek, dla którego obuwie jest przesądem, a skarpetki niewolą. Nadszedł wreszcie czas na rozkoszny powrót pośród cudownej woni kwitnących lip i melodyjnego szmeru fal. Niestety, ponure miasto zbyt szybko rzuciło na wodę cień, a mroczne mosty przecięły je niczym śmierć przecina życie, i zdawało się, że wiecznie zielony ogród zostaje porzucony na zawsze, bezpowrotnie utracony i odległy. „Ciekawe, czy ludzie mogliby przejść przez życie, nie doświadczając przykrości?”, zasta-

nawiała się Róża następnego dnia, kiedy miasto znowu stało się dla niej uciążliwe i przykre, a wszystko wydawało się dziwne i niewygodne, jakby czekało na coś, co nigdy nie miało nadejść. Nie. Oto zaczęła myśleć, że teraz, gdy szkolne dni w Cloisterham minęły i skończyły się, co pewien czas zaczną się pojawiać przykrości i nieprzyjemnie dadzą o sobie znać!

Ale czego to Róża mogła się spodziewać? Czy spodziewała się panny Twinkleton? Panna Twinkleton przybyła punktualnie, a pani Billickin wynurzyła się ze swego saloniku, aby ją powitać. I od tej strasznej chwili w oczach pani Billickin pojawił się wojowniczy błysk.

Panna Twinkleton przywiozła ze sobą mnóstwo bagażu, zarówno Róży jak i swojego. Billickin źle zniosła fakt, że uwaga panny Twinkleton w przykry sposób zajęta była bagażem, a nie skupiła się na niej, tak jak na to zasługiwała. W efekcie na ponurym tronie brwi Billickin zagościła urażona duma. I kiedy panna Twinkleton, zajęta stosem kufrów i pakunków, których w sumie było siedemnaście, zaliczyła też do nich samą Billickin jako numer jedenasty, urażona Billickin poczuła się zmuszona zareagować.

– Nie wolno mi ani chwili zwlekać z wyjaśnieniem – oświadczyła z tak demonstracyjną szczerością, że była ona niemal nachalna – iż mieszkanka tego domu nie jest jakimś pudłem, tobołkiem lub torbą. Nie. Będę pani również zobowiązana, panno Twinkleton, jeżeli uzna pani, że nie jestem żebraczką.

Ta ostatnia uwaga dotyczyła faktu, że panna Twinkleton – zamiast dorożkarzowi – z roztargnieniem wciskała jej dwa szylingi i sześć pensów.

Tak skarcona panna Twinkleton nieprzytomnie zapytała, któremu to dżentelmenowi ma zapłacić. Było tam bowiem do dyspozycji dwóch dżentelmenów (jako że przyjechała dwoma dorożkami), obaj dżentelmeni trzymali na wyciągniętej dłoni swoje dwa szylingi i sześć pensów i z opadniętymi szczękami niemo się w nie wpatrywali, jakby wołając o pomstę do nieba. Przerażona tym niepokojącym widokiem panna Twinkleton wcisnęła w każdą dłoń jeszcze po szylingu, jednocześnie podnieconym głosem wzywając sprawiedliwości i licząc bagaże. Tym razem dodała do nich obu dżentelmenów, co spowodowało wyliczenie absolutnie nieprawdopodobnej sumy. W tym samym czasie owi dżentelmeni – wpatrując się z dezaprobatą w dołożonego szylinga, jakby mógł się on zmienić w osiem pensów, jeśliby spuścić go z oczu – zeszedli po schodach, wsiedli do swoich pojazdów i odjechali, pozostawiając pannę Twinkleton siedzącą na pudle do kapeluszy i tonącą we łzach.

Billickin, przyglądając się bez żadnego współczucia temu objawowi słabości, wydała polecenie, by „sprowadzono młodzieńca, który zmierzyłby się z tą górą bagażu”. Kiedy ów gladiator zniknął ze sceny i zapanował względny spokój i porządek, nowi lokatorzy zasiedli do kolacji.

Jednak jakimś sposobem do Billickin dotarło, że panna Twinkleton prowadzi szkołę. Przejście od tej wiadomości do wniosku, iż panna Twinkleton zamierza ją czegoś uczyć, było łatwe. – Ale nie uda ci się! – monologowała Billickin – ja nie jestem twoją uczennicą tak jak ona... Mówiła do siebie, mając na myśli „to biedactwo!”, czyli Różę.

Natomiast panna Twinkleton, przebrawszy się i doszedłszy do siebie, poczuła kojące pragnienie naprawienia sytuacji pod każdym względem, a także pragnienie, aby tak dalece,

jak to tylko możliwe, stać się przykładem opanowania. Szczęśliwie godząc dwa stany egzystencji, kiedy zjawiała się Billickin, przeistoczyła się już ze swym koszyczkiem z robótką w spokojną towarzyszkę swej uczennicy, ujawniającą lekką, zrównoważoną inklinację do pocuzania.

– Nie będę przed paniami ukrywać – powiedziała owinięta szalem Billickin – ponieważ w mej naturze nie leży ukrywanie motywów ani czynów, że pozwoliłam sobie tu zajrzeć, aby wyrazić nadzieję, iż kolacja wam smakowała. Chociaż moja niezawodowa kucharka jest zupełnie zwyczajna, to jednak jej pensja winna stanowić dostateczną zachętę, aby wznieść się ponad zwykłą pieczeń i duszone jarzyny.

– Istotnie, kolacja była doskonała – odparła Róża. – Dziękujemy.

– Przywykłyśmy – oznajmiła panna Twinkleton wyniośle, co zazdrosnym uszom zdawało się sugerować dodatek „moja dobra kobieto” – do wystarczająco pożywnego, choć prostego i zdrowego odżywiania, i nie znajdujemy powodu, by narzekać na brak naszego miasta i prawidłowo prowadzonego gospodarstwa, gdzie w normalnej rutynie upływał nasz dotychczasowy żywot.

– Uważałam za stosowne wspomnieć mojej kucharce – zauważyła Billickin w wybuchu szczerości – i mam nadzieję, że zgodzi się pani ze mną, panno Twinkleton, iż była to z mej strony należyta ostrożność, aby młoda panienska przyzwyczajona do czegoś, co uważamy tu za marne odżywianie, stopniowo się od niego odzwyczajala. Albowiem przejście od nie dość obfitego do zbyt obfitego jedzenia i od czegoś, co nazwać by można stołówką, do czegoś, co trzeba określić jako metodyczne odżywianie, wymaga silnego organizmu, nieczęsto teraz spotykanego u młodzieży, szczególnie, gdy jej zdrowie nadwątłone jest pobylem w internatach!

Teraz już Billickin otwarcie napadła pannę Twinkleton, jak kogoś, kto wyraźnie okazał się jej oczywistym wrogiem.

– Nie wątpię, że za pani uwagami – odparła panna Twinkleton wyniośle, z pozycji moralnej wyższości – kryją się dobre intencje, ale pozwoli pani zauważyć, że stwarzają one fałszywy obraz sytuacji, co można złożyć jedynie na karb braku dostatecznych informacji.

– Moje informa-cy-je – odpowiedziała pani Billickin, podkreślając ostatnie dwie sylaby uprzejmie choć dobitnie – moje informa-cy-je, panno Twinkleton, pochodzą z mego własnego doświadczenia i sądzę, że na ogół są dla mnie dobrą wskazówką. Jakkolwiek by było, w młodości umieszczono mnie w bardzo wytwornym internacie, gdzie dyrektorką była równa pani dama, mniej więcej w pani wieku lub może kilka lat młodsza, i na całe życie pozostała mi słabość krwi, jakiej się nabawiłam od tamtejszego jedzenia.

– Bardzo prawdopodobne – powiedziała panna Twinkleton, wciąż zachowując wyniosłą godność – i bardzo pożałowania godne... Różo, moja droga, jak sobie radzisz ze swoją robótką?

– Panno Twinkleton – podjęła Billickin wyniośle – zanim się oddalę, zachowując się jak dama i pojmując tę aluzję, pragnę panią zapytać – również jak dama – czy mam uważać, że moje słowa podawane są w wątpliwość?

– Nie mam pojęcia, na jakiej podstawie wysnuła pani tego rodzaju przypuszczenie... –



zaczęła panna Twinkleton, ale Billickin zdecydowanie jej przerwała:

– Proszę, jeśli łaska, nie wkładać w moje usta żadnych przypuszczeń, skoro niczego podobnego nie wyraziłam. Potrafi pani mówić bardzo płynnie, panno Twinkleton, i niewątpliwie właśnie tego spodziewają się po pani uczennice, a bez wątpienia uważa się to za waler, za który warto płacić. Tak, tego jestem pewna. Ale ja nie płacę za gładko płynące słówka; nie domagam się tutaj tej przyjemności i pragnę powtórzyć moje pytanie.

– Jeżeli nawiązuje pani do swego słabego krążenia... – zaczęła panna Twinkleton, ale Billickin znowu zdecydowanie jej przerwała:

– Nie użyłam podobnego określenia.

– A zatem jeżeli nawiązuje pani do słabości swojej krwi...

– Której się nabawiłam – zastrzegła się Billickin z naciskiem – w internacie...

– A zatem – podjęła panna Twinkleton – mogę tylko powiedzieć, że na podstawie pani uroczystego zapewnienia jestem zmuszona uwierzyć, że pani krew jest istotnie bardzo słaba. Nie mogę się jednak powstrzymać, by nie dodać, że jeśli ta nieszczęsna okoliczność wpływa na zdolności konwersacyjne, to należy nad tym niezmiernie ubolewać i byłoby niezwykle pożądane, aby pani krew była zdrowsza... Rózo, moja droga, jak sobie radisz ze swoją robótką?

– Hm...! Zanim odejdę, moja panno – Billickin zwróciła się do Róży, wyniośle ignorując pannę Twinkleton – życzyłabym sobie, aby to było między nami jasne: w przyszłości wszystkie sprawy będę załatwiać wyłącznie z panienką. Nie znam tu żadnej starszej damy, starszej od panienki.

– Bardzo zadowolający układ, moja droga Rózo – zauważyła panna Twinkleton.

– Nie prowadzę tu, panienko – ciągnęła Billickin z sarkastycznym uśmiechem – zakładu, w którym, jak słyszałam, starsze samotne damy mogą urabiać sobie młode panny (cóż to byłby za dar dla niektórych z nas), ale jedynie i całkowicie ograniczam się do panienki.

– Dam ci znać, gdy będę chciała coś przekazać komuś z tego domu, moja droga Rózo – wtrąciła panna Twinkleton z majestatyczną uprzejmością. – Ty zaś bez wątpienia się postarasz, aby ta informacja została przekazana we właściwe miejsce.

– Dobranoc, panienko – powiedziała Billickin serdecznie i równocześnie z dystansem. – Zakładając, że panienka jest tutaj sama, życzę panience dobrej nocy i wszystkiego najlepszego. Na szczęście nie czuję się zmuszona wyrazić pogardy osobie niefortunnie przynależnej panience.

Billickin, wygłaszając tę pożegnalną mowę, z wdziękiem się oddaliła i od tej chwili Róza zajęła niewygodną pozycję wolanta między tymi dwiema raketami<sup>[48]</sup>. Niczego już, bez ostrej rozgrywki, nie można było między nimi załatwić. Tak więc codziennie, przy stwarzającej problem kolacji, panna Twinkleton mówiła w obecności całej trójki:

– Może, moja kochana, dowiedziałybyś się od osoby obecnej w tym domu, czy mogłaby nam podać pieczeń z jagnięcia, a jeśli nie, to pieczony drób.

Na co Billickin odpowiadała (przy milczeniu Róży):

– Gdyby panienka trochę lepiej znała się na mięsie, to nie przyszedłby panience do głowy pomysł z jagnięciem. Po pierwsze, jagnięta od dawna stały się już owcami, a po drugie,

są takie dni, w których się je bije i takie, kiedy się tego nie robi. A co do pieczonego drobiu, panienko, to chyba musi on panience już stawać w gardle, nie mówiąc już o tym, że skoro sama go panienka kupuje, to wybiera najstarsze sztuki z łuskowatymi nogami, zupełnie jakby panienka była do tego przyzwyczajona. Proszę spróbować myśleć trochę bardziej twórczo, panienko. Prowadzenia gospodarstwa trzeba się w pewnym sensie nauczyć. No, niech panienka się trochę nad tym zastanowi.

Wobec takiej zachęty mądrzejszego i liberalnie nastawionego eksperta, wyrażonej w dodatku z wyrozumiałą tolerancją, panna Twinkleton zwykła odpowiadać zarumieniona:

– A może, moja droga, zaproponowałabyś osobie z tego domu kaczkę?

– Doprawdy, moja panienko – wołała na to Billickin (ponieważ Róża nadal milczała) – zadziwiasz mnie, mówiąc o kaczkach! Nie wspominając o tym, że sezon na nie już minął i są teraz bardzo drogie, bolałoby mnie serce na widok zjadanej przez ciebie kaczki. Albowiem pierś, która jest jedyną delikatną częścią kaczki, zawsze gdzieś tam znika – nawet nie mogę sobie wyobrazić gdzie – a na twoim talerzu leży jedynie żałosna skóra i kości! Pomyśl jeszcze raz, panienko. Myśl bardziej o sobie, mniej o innych. Teraz jest czas na nerkówkę lub kawałek baraniny. Coś, z czego będziesz miała pożytek.

Chwilami ta gra nabierała bardzo ostrego tempa i toczyła się tak zajadle, że wyżej opisane starcie zdawać się mogło łagodne. Ale Billickin prawie niezmiennie zyskiwała przewagę punktów – kiedy zdawało się, że jest już bez szans, w sposób najbardziej nieoczekiwany i niezwykły zadawała ciosy z boku.

To wszystko nie złagodziło londyńskich przykrości, ani nie poprawiło w oczach Róży wizerunku Londynu i wrażenia, że czeka się tu na coś, co nigdy nie nadejdzie. Zmęczona robótką i rozmową z panną Twinkleton, podsunęła myśl, żeby trochę poczytać – na co panna Twinkleton ochoczo wyraziła zgodę, gdyż jej umiejętność czytania była sprawdzona i godna podziwu. Wkrótce jednak Róża odkryła, że panna Twinkleton nie czyta dokładnie. Opuszczała sceny miłosne, wstawiała fragmenty chwalcące żeński celibat i dopuszczała się innych, oczywistych pobożnych oszustw. Jako przykład można przytoczyć następujący fragment:

*Moja najdroższa i zawsze ubóstwiana – rzekł Edward, tuląc ukochaną główkę do piersi, pieszczącymi palcami gładząc jej jedwabiste włosy, które opadały niczym złoty deszcz – moja najdroższa i ubóstwiana, uciekajmy od tego nieczułego świata i sterylnej chłodu ludzi o kamiennych sercach do obfitego i ciepłego rajy Wierności i Miłości...*

Kłamliwa, złagodzona wersja panny Twinkleton brzmiała następująco:

*O ty, połączona ze mną na zawsze więzami narzeczeństwa za zgodą naszych rodziców i aprobatą siwowłosego proboszcza naszej parafii – mówił Edward, z szacunkiem unosząc do ust jej wąskie palce, tak zręczne w sztuce wyszywania, haftowania, szydełkowania i w innych, typowo kobiecych zajęciach – pozwól, że zanim świt jutra skryje się na zachodzie, odwiedzę twego ojca i proponuję mieszkanko na przedmieściu – skromne wprawdzie, ale na miarę naszych możliwości – w którym twój ojciec zawsze będzie mile widziany jako wieczorny gość i w którym wszystko będzie służyć oszczędnemu życiu i nieustannej wymianie pouczających informacji, w otoczce przymiotów opiekuńczego*

*aniola domowego szczęścia...*

Ponieważ dni płynęły i nic się nie wydarzyło, sąsiedzi zaczęli plotkować, że ta ładna dziewczyna u Billickinów, która tak często w zamyśleniu wygląda przez brzydkie okna saloniku, zdaje się upadać na duchu. Być może ta ładna dziewczyna istotnie całkiem upadłaby na duchu, gdyby przypadkiem nie znalazła kilku książek podróżniczych i innych traktujących o morskich przygodach. Dla zrekompensowania brakującego w nich wątku romansowego, panna Twinkleton, czytając głośno, rozwodziła się nad szerokościami i długościami geograficznymi, azymutami, wiatrami, prądami morskimi, rzędnymi i innymi danymi statystycznymi (uważała, że mają one dobroczynny wpływ, gdyż nic z tego nie rozumiała), podczas gdy Róża słuchała uważnie i wychwytywała to, co było najbliższe jej sercu. Tym sposobem obie zyskały z tej lektury więcej niż poprzednio.

## ROZDZIAŁ XXIII

### ZNOWU ŚWIT

Chociaż pan Crisparkle i John Jasper codziennie spotykali się pod dachem katedry, nigdy, przy żadnej okazji, nie wspominali Edwina Drooda – od chwili, kiedy przed przeszło sześcioma miesiącami Jasper w milczeniu pokazał kanonikowi mniejszemu konkluzję i w swoim dzienniku zapisał postanowienie. Jest jednak nieprawdopodobne, aby spotykając się tak często, nie wracali myślami do tego tematu. Zupełnie nieprawdopodobne, aby przy okazji częstych spotkań nie czuli, że ten drugi stanowi dla pierwszego denerwującą zagadkę. Jasper, jako oskarżyciel i prześladowca Neville'a Landlessa, i pan Crisparkle, jako konsekwentny jego obrońca i doradca, musieli przynajmniej czuć, że na tyle są w opozycji wobec siebie, iż nie mogą sobie na to pozwolić, by nie zastanawiać się żywo nad możliwymi kierunkami działania i zamiarami przeciwnika. Jednak żaden z nich nie poruszył tego tematu.

Udawanie nie leżało w naturze kanonika mniejszego i bez wątpienia dawał jasno do zrozumienia, że w każdej chwili gotów jest wrócić do tematu, a nawet, że pragnie go przedyskutować. Jednak uparte milczenie Jaspera uniemożliwiało jakiegokolwiek zbliżenie. Obojętny, chmurny, samotny, zacięty, do tego stopnia skupiony na tej jednej jedynej myśli i na powiązanej z nią celu, że nie potrafił tego dzielić z żadną ludzką istotą i trzymał się z dala od innych. Ciągłe uprawiał sztukę, która zmuszała go do współdziałania w harmonii z innymi i której nie mógłby uprawiać, gdyby faktycznie nie pozostawał w subtelnych, formalnych zależnościach od innych. Toteż mogło wydawać się dziwne, że w głębi duszy człowiek ten nie pozostawał w żadnym związku i z nikim ze swego otoczenia nie współpracował. Prawdę mówiąc, zwierzył się z tego zaginionemu siostrzeńcowi, zanim jeszcze pojawiła się przyczyna jego obecnej nieustępliwości.

Niewątpliwie wiedział o nagłym wyjeździe Róży i odgadywał jego przyczynę. Czy przypuszczał, że do tego stopnia ją nastraszył, że teraz milczała? Czy też może sądził, że opowiedziała komuś – powiedzmy panu Crisparkle'owi – o szczegółach ostatniego spotkania? Pan Crisparkle sam nie mógłby wszystkiego się domyślić. Jednak będąc człowiekiem rozsądnym i sprawiedliwym, musiał przyznać, że zakochanie się w Róży samo w sobie nie było zbrodnią, podobnie jak nie mogło być zbrodnią przedkładanie miłości nad zemstę.

Wydawało się, że zrodzone w podeksycytowanej wyobraźni Róży straszne podejrzenie dotyczące Jaspera, nie pojawiło się w wyobraźni pana Crisparkle'a. Jeżeli nawiedziło ono kiedykolwiek myśli Heleny lub Neville'a, to żadne z nich nie zdradziło się ani słowem. Pan Grewgious nie ukrywał zdecydowanej niechęci do Jaspera, choć nigdy jej nie wiązał, nawet pośrednio, z takim właśnie powodem. Będąc jednak człowiekiem milczącym i eks-

centrycznym, nie wspomniał o pewnym wieczorze, kiedy to grzejąc ręce przy kominku w domu z bramą, baczenie wpatrywał się w leżącą na posadzce kupkę podartego, brudnego ubrania.

Senne Cloisterham, kiedy już się ocknęło i przypomniało sobie na chwilę o oddalonym przez ławę sędziowską wydarzeniu sprzed sześciu miesięcy, było prawie na równi podzielone w mniemaniu, że ukochany siostrzeniec Johna Jaspera został zdradziecko zabity przez zazdrosnego rywala lub też, że zginął w otwartej walce. A może jeszcze coś innego – po prostu się ulotnił powodowany osobistymi względami. A potem, gdy miasto uniosło głowę i rozejrzało się dookoła, zauważyło, że pogrążony w żałobie Jasper nagle poświęca się sprawie wykrycia zabójcy i nadal pochłonięty jest pragnieniem zemsty, po czym znowu zapadło w drzemkę. I tak to wyglądało w chwili, do której dotarła nasza opowieść.

Drzwi katedry na noc zamknięto, a kantor zwolniony z kilku mszy zwrócił teraz oczy w stronę Londynu. Rusza tam w ten sam sposób jak Róża i tak jak Róża zjawia się tam gorącego zakurzonego wieczoru.

Cały jego podróźny bagaż daje się unieść w jednej ręce, więc dalej idzie pieszo do hotelu położonego w pobliżu poczty głównej, przy niewielkim placu za Aldersgate Street. Jest to eksperymentalna krzyżówka hotelu, pensjonatu i domu z mieszkaniami do wynajęcia, w zależności od wymagań gości. Obiekt ten reklamuje się w nowym kolejowym rozkładzie jazdy w dziale ogłoszeń jako nieśmiało rodzące się nowe przedsięwzięcie. Skromnie, niemal przepraszająco, daje się do zrozumienia podróżnym, żeby nie liczyli na to, że dobrym starym hotelowym zwyczajem będą tam mogli zamówić pół kwarty słodkiego czernidła, by następnie je wylać; sugeruje się jednak, że przybysze mogą tym czernidłem potraktować swoje obuwie, zamiast uraczyć żołądek, jak również za ustaloną opłatą otrzymać nocleg, śniadanie, obsługę i portiernię czynną całą noc. Na podstawie tych i tym podobnych przesłanek wielu prawdziwych Brytyjczyków w ponurym nastroju wnioskuje, że oto nadeszły dobre czasy, pominąwszy problem głównych dróg, z których wkrótce ani jedna w Anglii się nie ostanie.

Przybysz z apetytem zjada posiłek i wkrótce rusza w dalszą drogę. Dalej i dalej na wschód, idzie zatęchłymi ulicami, aż w końcu dociera do celu – nędznego podwórka, szczególnie dotkniętego nędzą pośród wielu innych, jemu podobnych.

Wspina się po rozklekotanych schodach, otwiera drzwi, zagląda do ciemnego, dusznego pokoju i mówi:

– Jesteś sama?

– Sama, złotko; źle dla mnie, dobrze dla ciebie – odpowiada ochrypy głos. – Wchodź, wchodź, kimkolwiek jesteś; nie zobaczę cię, póki nie zapalę zapałki, ale wydaje mi się, że poznaję twój głos. Znam cię, prawda?

– Zapal zapałkę i przyjrzyj się.

– Zaraz to zrobię, miły, ale ręka mi się tak trzęsie, że nie mogę chwycić zapałki. Poza tym tak kaszlę, że gdzie rzucę pudełka z zapałkami, nigdzie nie mogę go znaleźć. Gdy tak kaszlę i kaszlę, pudełko podskakuje, jakby było żywe. Wracasz z jakiejś podróży, złotko?

– Nie.

– Nie z morza?

– Nie.

– No cóż, są klienci z lądu i z morza. Matkuje jednym i drugim. Inaczej niż ten Jack Chińczyk po drugiej stronie podwórza. On nie jest ojcem dla nikogo. Nie ma tego w sobie i nie zna prawdziwej tajemnicy mieszania, chociaż nalicza tyle co ja, a jak mu się uda, to nawet więcej. O, tu jest zapałka, a gdzie świeca? Jak mnie chwyci kaszel, to dwadzieścia zapalek zdmuchnę, zanim jedną zapalę.

Znajduje jednak świecę i zapala, uprzedziwszy atak kaszlu. Atak nadchodzi akurat w chwili, gdy udaje jej się zapalić świecę, a potem siedzi, kiwając się i w przerwach ciężko dysząc.

– Och, jakie marne są moje płuca, podziurawione jak sito – mówi, gdy minie napad kaszlu. Na razie jednak nie ma sił, by cokolwiek dostrzec, nie ma sił na nic, poza walką z kaszlem. Dopiero gdy ten już mija, zaczyna wyteżać wzrok i kiedy wreszcie może wydać głos, woła, wpatrując się w niego:

– Ach, to ty!

– Jesteś zaskoczona?

– Myślałam, że więcej już cię nie zobaczę, złotko; myślałam, że umarłeś i poszedłeś do nieba.

– Dlaczego?

– Nie sądziłam, abyś przeżył tak długo, dłużej niż ta biedna duszyczka, która zna przepis na mieszanie. I do tego nosisz żałobę! Dlaczego nie przyszedłeś i nie wypaliłeś kilka fajeczek na pociechę? Może dostałeś forszę, więc nie była ci potrzebna pociecha?

– Nie.

– A kto umarł, złotko?

– Krewny.

– Na co umarł, miły?

– Pewnie na śmierć.

– O, coś jesteśmy dzisiaj małomówni! – wykrzykuje kobieta z pojednawczym uśmiechem. – Małomówni i opryskliwi! Ale źle się czujemy, brakuje nam dymka. Coś nam dolega, prawda, miły? A w tym tu miejscu możemy się wyleczyć; to jest miejsce, w którym wszystkie dolegliwości ulatują z dymem.

– No to przygotuj mi fajkę – odpowiada gość – gdy tylko będziesz do tego zdolna.

Zrzuca buty, poluzowuje krawat, kładzie się w poprzek ogromnego łóża i opiera głowę na lewej ręce.

– No, teraz zaczynasz przypominać siebie – mówi kobieta z uznaniem. – Zaczynam poznawać starego klienta! Przez ten długi czas pewnie sam sobie przyrządzałeś fajeczkę, co skarbie?

– Tak, od czasu do czasu zażywałem tego po swojemu.

– Nigdy tego nie rób. To niedobre dla mojego interesu i niedobre dla ciebie. Gdzie kałamarnica, naparstek i łyżeczka? Teraz zażyjesz tego, miły, we właściwy sposób!

Zakończywszy przygotowania, zaczyna rozdmuchiwać słabą iskierkę ukrytą w dłoni,

jednocześnie czasem odzywając się nosowo z zadowoleniem. Kiedy mężczyzna się odzywa, nie patrzy na nią, jakby jego myśli wybiegały już w przód.

– Przygotowałam ci już dużo fajek... od pierwszej do ostatniej, prawda gołąbku?

– Tak, całkiem sporo.

– Kiedy pierwszy raz tu przyszedłeś, byłeś jeszcze nowicjuszem, co?

– Tak, wtedy łatwo było mnie zadowolić.

– Ale zaczęło ci się lepiej powodzić i mogłeś tu i ówdzie wypalić fajkę z najlepszymi, czy tak?

– Tak... i z najgorszymi.

– Gotowe. Kiedy tu pierwszy raz przyszedłeś, śpiewałeś słodko! Spuszczałeś główkę i śpiewałeś jak ptaszek. No, złotko, teraz mam już dla ciebie gotową fajeczkę.

Bierze od niej fajkę bardzo ostrożnie i wkłada do ust. Kobieta sadowi się obok niego, przygotowana by napełnić następną.

Zaciągnąwszy się kilka razy w milczeniu, z wahaniem zagaduje ją:

– Czy to tak mocne jak dawniej?

– O czym mówisz, złotko?

– A o czym, jak nie o tym, co trzymam w ustach?

– Jest tak samo mocne, zawsze dokładnie takie samo.

– Jakoś inaczej smakuje i wolniej działa.

– Pewnie jesteś już przyzwyczajony.

– Tak, to pewnie dlatego, ale posłuchaj... – milknie, staje się senny i wydaje się, że zapomniał, co powiedział. Kobieta pochyla się i szepce mu do ucha:

– Słucham cię, słucham. Powiedziałaś przed chwilą żebyś słuchała. Więc ja ci odpowiadam, że słucham. Przed chwilą mówiliśmy, że już się przyzwyczaiłeś.

– Wiem... Tak mi się tylko wydawało. Ale posłuchaj, powiedzmy, że coś cię trapi... Coś, co chcesz zrobić.

– Tak, złotko... Coś, co chcę zrobić. A co?

– Jednak jeszcze niezupełnie się zdecydowałaś.

– Tak, złotko.

– Możesz to zrobić, ale nie musisz. Rozumiesz?

– Tak.

Kobieta czubkiem igły miesza zawartość fajki.

– Mogłabyś to zrobić w wyobraźni, teraz, tu i paląc fajkę?

Kiwa głową potakująco.

– Robiłabym to bez końca.

– Tak jak ja! Ciągle to sobie w kółko powtarzałem. Robiłem to w tym pokoju setki tysięcy razy.

– Mam nadzieję, że było to coś przyjemnego, złotko.

– O tak, to było przyjemne.

Mówi to bardzo gwałtownie, podrywając się nagle w jej kierunku. Niewzruszona poprawia i uzupełnia zawartość fajki małą szpatułką. Widząc, jak jest na tym skupiona, opada

na łóżko, wracając do poprzedniej pozycji.

– Była to podróż, podróż trudna i niebezpieczna. I to właśnie ona zajmuje wszystkie moje myśli. Ryzykowna i niebezpieczna podróż nad przepaścią, gdzie jedno potknięcie oznacza zgubę. Spójrz na dół! Spójrz na dół! Widzisz, co tam leży na dnie?

Mówiąc to, zrywa się z łóżka i wskazuje na podłogę, jakby leżał tam wyimaginowany przedmiot. Kiedy jego wykrzywiona twarz zbliża się do jej twarzy, kobieta patrzy na niego, a nie tam, gdzie wskazuje. Zdaje się znać wpływ swego niewzruszonego spokoju; jeśli tak, to omyłki nie popełnia, bo mężczyzna znowu się uspokaja.

– A więc mówiłem, że robiłem to setki tysięcy razy. Co ja mówię! Robiłem to miliony, miliardy razy. Robiłem to tak często i tyle na to poświęciłem czasu, że kiedy w końcu się ziściło, zdawało się niewarte zachodu, ponieważ stało się zbyt szybko.

– Mówisz o tej właśnie podróży, w którą wyruszyłeś – cicho wtrąca kobieta.

Pałac fajkę, mierzy ją wzrokiem, a potem, gdy oczy zachodzą mu mgłą, odpowiada:

– Tak, o tej właśnie podróży.

Zapada cisza. Jego oczy czasem są zamknięte, a czasem otwarte. Kobieta siedzi obok, dbając pieczołowicie o fajkę, którą on przez cały czas trzyma w ustach.

– Założę się – mówi kobieta, kiedy przybysz przez dłuższą chwilę przygląda się jej uważnie i ze szczególnym wyrazem oczu, jakby patrzył na nią z oddali – założę się, że robiąc to tak często, odbyłeś tę podróż na bardzo wiele sposobów.

– Nie, zawsze tylko na jeden sposób.

– Zawsze tak samo?

– Taaa...

– W taki sposób, który się przydał, by tę podróż w końcu zrealizować?

– Taaa...

– I zawsze wyobrażałeś to sobie z taką samą przyjemnością?

– Taaa...

Wydaje się, że przez jakiś czas nie stać go na inną odpowiedź, prócz tego leniwego, jednosylabowego potwierdzenia. Prawdopodobnie, aby się upewnić, że nie jest to jedynie czysto automatyczne potwierdzenie, kobieta zmienia formę następnego pytania.

– Nigdy cię to nie męczyło, złotko, i dla odmiany nie próbowałeś sobie wyobrazić czegoś innego?

Z trudem próbuje usiąść i odpowiada:

– Co masz na myśli? Co niby miałem próbować? A właściwie, jak myślisz, po co tu przyszedłem?

Łagodnie kładzie go z powrotem i przed oddaniem upuszczonej fajki roznieca w niej żar, a następnie mówi uspokajająco:

– Pewnie, pewnie, pewnie! Tak, tak, tak! Teraz cię rozumiem, byłeś dla mnie zbyt szybki. Teraz cię rozumiem. Przychodzisz tu, by odbyć swoją podróż. Powinam się domyślić, będąc stale przy tobie.

Wpierw odpowiada ze śmiechem, a potem nagle przez zaciśnięte zęby:

– Tak, przychodziłem tutaj w tym celu. Kiedy miałem dość życia, przychodziłem, by zna-



leżć tu ulgę i znalazłem ją. To była prawdziwa ulga! **To była ulga!**

Powtarza to niezwykle dobitnie, warcząc przy tym jak wilk.

Kobieta obserwuje go czujnie, jakby psychicznie przygotowując się do następnej uwagi, która brzmi:

– Miałeś towarzysza podróży, złotko.

– Ha, ha, ha! – wybucha dźwięcznym śmiechem, który brzmi jak wrzask. – Pomyśleć – woła – że tak często był towarzyszem podróży i nawet o tym nie wiedział! Pomyśleć, ile razy odbył tę podróż, ale nigdy nie widział drogi!

Kobieta kłeka na podłodze, tuż obok niego opierając się łokciami na narzucie łóżka i wspierając na dłoniach podbródek. W tej pozycji mu się przygląda. Fajka wypada mu z ust. Ona wkłada ją z powrotem i przykładając rękę do jego piersi, przesuwa nią to w jednym, to w drugim kierunku, na co mężczyzna reaguje tak, jakby do niego przemówiła:

– A jakże! Wpierw zawsze była podróż – zanim zmieniły się kolory, pojawiły rozległe krajobrazy i zaczęły się pełne blasku pochody. Jednak nie mogły się one pojawić, dopóki tego nie usunąłem z myśli... Póki nie pojawiło się miejsce na coś innego.

Znowu milknie. Ona znowu kładzie mu rękę na piersi i lekko przesuwa nią tam i z powrotem, jak kot ożywiający na wpół martwą mysz. On znowu się odzywa, jakby do niego przemówiła:

– Co? Przecież ci powiedziałem. Że kiedy w końcu się ziściło, trwało tak krótko, iż po raz pierwszy wydało się całkowicie nierealne. Słuchaj!

– Tak, złotko. Słucham.

– Czas i miejsce są blisko.

Zrywa się na nogi, mówiąc szeptem, jakby znajdował się w kompletnej ciemności:

– Czas, miejsce i towarzysz podróży – podsuwa kobieta, naśladując go i przytrzymując lekko za ramię.

– Czyż może być blisko czas, skoro nie ma towarzysza podróży? Cicho! Podróż skończona. Minęła.

– Tak szybko?

– O tym właśnie ci mówiłem. Tak szybko. Czekaj chwilę. To wizja. Minie, jak się prześpię. To zbyt krótkie i zbyt łatwe. Muszę mieć lepszą wizję od tej; ta bowiem była najgorsza ze wszystkich. Żadnej walki, żadnej świadomości niebezpieczeństwa, żadnego błagania... A jednak przedtem **tego** nie widziałem – wzdryga się.

– Czego, złotko?

– Spójrz na to! Spójrz jaka to marna, nędzna rzecz! To musi być realne. Minęło.

Tym niezrozumiałym słowom towarzyszą jakieś niepojęte gesty, ale zamierają w postępującym bezruchu, odurzeniu, gdy mężczyzna pada na łóżko jak kłoda.

Jednak kobieta nadal jest zaciekawiona. Ponawiając kocie ruchy, znowu pobudza jego ciało, słucha; znowu pobudza i słucha, szepce i słucha. Kiedy przez jakiś czas nie uda się pobudzić jego ciała, powoli wstaje z wyrazem rozczarowania na twarzy, wierzchem dłoni wymierza mężczyźnie policzek i odwraca się od niego.

Ale daleko nie odchodzi, jedynie do fotela przy kominku. Siada, opiera łokieć na porę-

czy, potem wspiera podbródek na dłoni, wpatrując się w leżącego.

– Słyszałam, jak kiedyś mówiłeś do siebie – cicho skrzeczy pod nosem – kiedyś, gdy leżałam tam gdzie ty, i snułeś na mój temat domysły. „To niezrozumiałe!”... Słyszałam, jak mówiłeś o dwóch innych, nie licząc mnie. Nie bądź nigdy zbyt pewien! Nie bądź zbyt pewny, piękniśiu!

Bez zmruczenia oka, skupiona jak kot, dodaje:

– Nie takie mocne jak kiedyś? Ach! Może nie od razu. Może tym razem masz rację. Praktyka udoskonala. Może przeniknęłam tajemnicę, jak skłonić cię do mówienia, złotko.

Ale mężczyzna milczy. Od czasu do czasu wykrzywiając straszliwie twarz i członki, leży ciężki i milczący. Nędzna świeca dopala się; kobieta chwyta ogarek, zapala od niego następną świecę, wtyka kapiący i smażący się ogarek głęboko w świecznik i ubija go nową świecą, jakby przygotowywała jakąś złowróżbną, straszną broń czarnoksiężką. Ta nowa świeca też się dopala, a mężczyzna leży bez czucia. W końcu zostaje zdmuchnięta ostatnia dopalająca się świeca i do pokoju zagląda światło wstającego dnia.

Ale nie zagląda zbyt długo. Mężczyzna siada zziębnięty, drżący, wolno zaczyna sobie uświadamiać, gdzie się znajduje i czyni przygotowania do odejścia. Kobieta z wdzięcznością przyjmuje od niego zapłatę.

– Niech ci Bóg błogosławi, złotko! – mówi. I wydaje się, że jest bardzo zmęczona, bowiem gdy gość wychodzi z pokoju, ona zaczyna sposobić się do snu.

Jednak wrażenie, że tak dzieje się istotnie, w równej mierze może być złudne jak i prawdziwe. Teraz akurat jest ono iluzoryczne, bowiem w chwili, gdy pod stopami mężczyzny schody przestały trzeszczeć, kobieta wybiega za nim, mamrocząc z naciskiem:

– Za drugim razem już cię nie zgubię!

Z podwórza jest tylko jedno wyjście. Baczenie zerkając przez uchylone drzwi, kobieta obserwuje, czy tamten się nie obejrzy, ale nie ogląda się do momentu, gdy oddaliwszy się chwiejnym krokiem, za chwilę znika jej z oczu. Idzie więc za nim. Siedzi go z podwórka i widzi, że lekko się zataczając, idzie dalej, już bez odwracania głowy do tyłu.

Mężczyzna zmierza na tyły Aldersgate Street, gdzie na odgłos pukania natychmiast otwierają się drzwi. Kobieta kryje się we wnęce innych drzwi, obserwując te, do których pukał i z łatwością domyśla się, że czasowo zamieszkał w tym domu. A potem przez wiele godzin wykazuje niewyczerpaną cierpliwość, chleb kupuje w sklepie oddalonym o sto jardów, jak również mleko, kiedy je przywożą.

Mężczyzna w południe wychodzi; przebrał się, ale nie ma przy sobie bagażu i nikt mu go nie niesie. Znaczy to, że jeszcze nie opuszcza Londynu. Jeszcze nie teraz. Przez chwilę idzie za nim, waha się, raptem zdecydowanie skręca i wraca prosto do domu, w którego wyszedł.

– Czy zastałam tego dżentelmena z Cloisterham?

– Właśnie wyszedł.

– A to pech. Kiedy ten dżentelmen wraca do Cloisterham?

– Dziś wieczór o szóstej.

– Niech wam Bóg błogosławi. Dziękuję. Niech Bóg błogosławi miejsce, gdzie na

grzeczne pytania takiej biednej duszyczki jak ja padają tak uprzejme odpowiedzi.

– Następnym razem cię nie zgubię! – powtarza ulicy, już nie tak grzecznym tonem, biedna duszyczka. – Poprzednio zgubiłam cię, gdy ostatni omnibus, jaki złapałeś blisko końca swojej podróży, znajdował się między stacją a tamtym miejscem. Nawet nie byłam pewna, czy tam dotarłeś. Ale teraz wiem, że tak. O mój panie z Cloisterham, będę tam przed tobą i zaczekam na twoje przybycie. Przysięgam sobie, że tym razem cię nie zgubię.

I rzeczywiście, tego samego wieczoru biedna duszyczka stoi na High Street w Cloisterham, spoglądając na osobliwe szczyty Domu Zakonnicy, i stara się, jak może, spędzić jakoś czas do dziewiątej, o której to godzinie – jak się spodziewa – omnibus powinien przywieźć interesującego ją pasażera. Panująca o tej porze przyjazna ciemność ułatwi jej sprawdzenie, czy tak istotnie się stanie. I tak jest, bowiem wraz z innymi przybywa pasażer, którego teraz nie chce już stracić z oczu.

– No, wreszcie przekonam się, kim jesteś. Idziemy!

Ta uwaga rzucona jest w przestrzeń, ale może też odnosić się do przybyłego pasażera; mężczyzna idzie wzdłuż High Street, ale w końcu dociera do domu z bramą, w której nie spodzianie znika. Biedna duszyczka przyśpiesza kroku; idzie bardzo szybko i zbliżając się, też wchodzi w bramę. Jednak po jednej stronie bramy widzi tylko boczną klatkę schodową, po drugiej zaś stronie – stary pokój z krzywym sklepieniem. W pokoju siedzi zajęty pisaniem siwowłosa dzentelmen z dużą głową. Siedzi w dość dziwny sposób, przy otwartych drzwiach prowadzących na ulicę i przygląda się wszystkim przechodniom, jakby pobierał opłatę za przejście przez bramę – chociaż przejście to jest bezpłatne.

– Halo! – woła cicho, widząc zatrzymującą się kobietę. – Kogo szukasz?

– Przed minutą wszedł tu pewien dzentelmen.

– Oczywiście, że wszedł. Czego od niego chcesz?

– Gdzie on mieszka, złotko?

– Gdzie mieszka? Na górze, na szczycie tych schodów.

– Dziękuję ci. A jak on się nazywa, złotko?

– Nazywa się Jasper, na imię ma John. Pan John Jasper.

– Zajmuje się czymś, szanowny panie?

– Czy się czymś zajmuje? Tak, śpiewa w chórze.

– W chórze?

– W chórze.

– A co to jest?

Pan Datchery unosi się znad papierów i podchodzi do drzwi.

– Wiesz, co to katedra? – pyta żartobliwie.

Kobieta potakująco kiwa głową.

– No, co to jest?

Rozgląda się zaskoczona, szukając w pamięci jakiegoś określenia, ale przychodzi jej na myśl, że łatwiej jest po prostu pokazać ten zmaterializowany przedmiot wznoszący się na tle ciemnobłękitnego nieba i pierwszych gwiazd.

– Tak, to jest odpowiedź. Idź tam jutro o siódmej rano, a będziesz mogła zobaczyć i

usłyszeć Johna Jaspera.

– Dziękuję! Dziękuję!

Nota triumfu, rozbrzmiewająca w jej podziękowaniach, nie uchodzi uwagi samotnego, pędzącego tu spokojny żywot starego piernika o zgodnym usposobieniu. Przygląda się jej, splata z tyłu ręce – jak to w zwyczaju starych pierników – i towarzyszy kobiecie, idąc przez dziedziniec katedralny, na którym rozbrzmiewa echo ich kroków.

– Ale teraz – sugeruje, kiwnąwszy głową do tyłu – możesz już pójść do mieszkania pana Jaspera.

Kobieta zerka na niego z chytrym uśmieszkiem i potrząsa przecząco głową.

– O! Więc nie chcesz z nim rozmawiać?

Kobieta powtarza niemą odpowiedź, a jej usta układają się w bezdźwięczne „nie”.

– Jeśli chcesz, to zawsze możesz trzy razy dziennie podziwiać go z oddali. Ale po to nie warto chyba było odbywać tak dalekiej podróży...

Kobieta rzuca mu szybkie spojrzenie. Jeżeli pan Datchery myśli, że uda mu się ją nakłonić, by powiedziała, skąd przybywa, to świadczy tylko o tym, że ma o wiele bardziej zgodne usposobienie niż ona. Gdy pan Datchery ciągle zachowuje się jak typowy miasteczkowy gawędziarz, kobieta odrzuca myśl o jego podstępnych zamiarach. Na odkrytej głowie pana Datchery powiewają włosy, a palce bezmyślnie przebierają monety w kieszeni.

Brzęk tych monet nie uchodzi uwagi jej uszu.

– Może pomógłby mi pan zapłacić za pokój w zajeździe, drogi panie... a także za podróż? Jestem biedną duszyczką i męczy mnie paskudny kaszel.

– Sądzę, że znasz drogę do zajazdu. Musisz iść prosto, w tym kierunku – brzmi łagodna odpowiedź pana Datchery, ciągle pobrzękującego w kieszeni monetami. – Często tam bywałeś, dobra kobieto?

– Tylko raz w życiu.

– Czyżby?

Doszli do wejścia na teren Mniszej Winnicy Widok tego miejsca wywołuje w kobiecie stosowne do sytuacji wspomnienie, wskazujące na właściwy przykład do naśladowania. Zatrzymuje się przy bramie i mówi stanowczo:

– W tym samym miejscu, chociaż może mi pan nie uwierzy, pewien młody dżentelmen dał mi trzy szylingi i sześć pensów, gdy właśnie tutaj, na tym trawniku, zaniósłam się okropnym kaszlem. Poprosiłam go wtedy o trzy szylingi i sześć pensów – i dał mi je.

– Czy to nie trochę obcesowe wymieniać konkretną sumę? – sugeruje pan Datchery, nagle pobrzękując monetami. – Czy nie istnieje zwyczaj, że ilość pieniędzy, to sprawa otwarta? Czy mogło to sprawić wrażenia, że coś się w ten sposób narzuca?

– Posłuchaj, złotko – kobieta odpowiada z przekonaniem i poufale – potrzebowałam pieniędzy na lekarstwo, które mi pomaga. Powiedziałam to temu młodemu dżentelmenowi, a on dał mi na nie pieniądze. Wydałam je uczciwie do ostatniego miedziaka i teraz w ten sam sposób również chcę wydać podobną sumę. Jak mi ją dasz, to, na mą duszę, znowu wydam uczciwie, do ostatniego miedziaka!

– Co to za lekarstwo?

– Będę z tobą szczerą, teraz... i później. To opium.

Wyraz twarzy pana Datchery nagle zmienia się, gdy rzuca jej szybkie spojrzenie.

– Tak, to opium, złotko. Ni mniej, ni więcej. To tak jak z ludźmi – o nim też zawsze sły-  
szy się coś złego, ale rzadko co dobrego.

Pan. Datchery bardzo wolno zaczyna odliczać sumę, jakiej od niego się oczekuje. Ko-  
bieta chciwym wzrokiem śledzi jego ręce i kontynuuje opowieść o wspaniałym przykładzie  
do naśladowania.

– Zdarzyło się to ostatniej Wigilii, zaraz po zmierzchu. Właśnie wtedy tu byłam i ten  
młody dżentelmen dał mi trzy szylingi i sześć pensów.

Pan Datchery przerywa liczenie; stwierdza, że się pomylił, zsypuje monety razem i za-  
czyna liczyć od początku.

– A ten młody dżentelmen – dodaje kobieta – miał na imię Edwin.

Pan Datchery upuszcza kilka monet, schyla się, żeby je podnieść i zaczerwieniony od  
wysiłku pyta:

– Skąd wiesz, jak miał na imię?

– Zapytałam go i mi powiedział. Zadałam mu tylko dwa pytania. Jak ma na imię i czy ma  
ukochaną. Odpowiedział, że Edwin i że nie ma.

Pan Datchery nieruchomieje z wybranymi monetami w ręce, tak jakby zadumał się nad  
ich wartością i nie mógł znieść myśli, że mógłby się z nimi rozstać. Kobieta patrzy na niego  
podejrzliwie, zaczyna w niej wzbierać gniew na wypadek, gdyby miał się rozmyślić. Jed-  
nak wręcza jej monety, sprawiając wrażenie, że pogodził się już z ich stratą, a ona dziękuje  
służalczo i rusza w swoją stronę.

Kiedy pan Datchery wraca samotnie, widzi palącą się lampę Johna Jaspiera, a okna jego  
mieszkania świecą niczym latarnia morska. Tak jak żeglarze, zbliżając się w czasie niebez-  
piecznego rejsu do najeżonego groźnymi skałami brzegu, śledzą wzrokiem ostrzegawcze  
promienie wskazujące drogę do bezpiecznej przystani, do której bez tej pomocy nigdy nie  
mogliby dopłynąć, tak również zamyślony wzrok pana Datchery kieruje się na to światło i  
na najbliższe jego otoczenie.

Pan Datchery powraca do swego nowego mieszkania, ale tylko po to, by założyć chyba  
zbędny w jego garderobie kapelusz. Kiedy ponownie wychodzi na dziedziniec, według ka-  
atedralnego zegara jest wpół do jedenastej. Ociąga się, rozgląda, jakby właśnie wybiła ja-  
kaś magiczna godzina, o której pan Durdles może być do domu pędzony kamieniami. I  
wreszcie sprawia wrażenie, jakby spodziewał się ujrzeć to diabelskie nasienie, którego żą-  
daniem mogłoby być ukamienowanie także i jego.

Okazuje się, że ten wysłannik zła już grasuje. Ponieważ teraz akurat nie ma na oku żad-  
nego żywego obiektu do obrzucania kamieniami, pan Datchery nachodzi go przy grzesznym  
zajęciu kamienowania zmarłych przez ogrodzenie cmentarza. Dla tego diabelskiego nasie-  
nia jest to pasjonujące i podniecające zajęcie; po pierwsze dlatego, że miejsce ich spo-  
czynku uznawane jest za święte i po drugie, ponieważ wysokie nagrobki do tego stopnia są  
podobne do snujących się w ciemnościach żywych ludzi, że z rozkoszą może sobie wyobra-  
zić, iż trafiając w nie, sprawia im ból.

Pan Datchery wita go, wołając:

– Halo, Mrugasz!

Chłopak odpowiada:

– Halo, Dick!

Ich znajomość nabrała już najwyraźniej cech poufałości.

– Ale, słuchaj no – zastrzega się chłopak – nie łaż wszędzie i nie rozgłaszaj, jak się nazywam. Nie chcę mieć żadnego nazwiska. Dobra? Jak chcą zapisać w książce i pytają mnie w pudle „Jak się nazywasz?”, odpowiadam: „Sami musicie się dowiedzieć!” Tak samo, gdy pytają, jakiego jestem wyznania; wtedy też odpowiadam, że muszą dowiedzieć się sami.

Nawiasem mówiąc, trzeba tu zauważyć, że dla każdego urzędu byłoby to bardzo trudne, choćby się opierał na nie wiadomo jakich danych osobowych.

– A poza tym – dodaje chłopak – nie istnieje rodzina Mrugaczy.

– Myślę, że jednak jakaś musi być.

– Łżesz, nie ma. Tak mnie przezwano w gospodzie, bo nie mogę spać i przez cały czas się tłukę. Zanim zamknę jedno oko, zaraz otwieram drugie, a to właśnie znaczy Mrugasz. Ale najlepsze dla mnie imię to Deputy. Jednak do niego też się nie przyznam.

– No to niech na zawsze będzie Deputy. Jesteśmy przyjaciółmi, prawda Deputy?

– Bardzo dobrymi.

– Zapomniałem już o tym, co mi byłeś winien, gdy się poznaliśmy, a od tej pory wiele sześciopiosówek przeszło ode mnie w twoje ręce, co Deputy?

– No. A co więcej, nie jesteś kumplem Jaspera. Za co on mnie tak zwał z nóg?

– No tak, za co? Ale nie myśl teraz o tym. Dzisiaj mój szyling znajdzie się u ciebie. Właśnie w gospodzie zamieszkała kobieta, z którą przed chwilą rozmawiałem; to kobieta chora i kaszle...

– Pykawka – przytakuje Deputy z chytrym, złośliwym łypnięciem oka. Udając, że pali fajkę, pochyla na bok głowę i zezuje. – Hopeum Pykawka.

– Jak się nazywa?

– Jej Monarsza Wysokość Księżniczka Pykawka<sup>[49]</sup>.

– Ona się inaczej nazywa. Gdzie mieszka?

– Tam, w Londynie. Razem z różnymi mętami.

– Marynarze?

– Powiedziałem mętami, z różnymi kanciarzami, Chinolami i innymi nożownikami.

– Chciałem się od ciebie dowiedzieć, gdzie ona dokładnie mieszka.

– Dobra. Dawaj forszę.

Szyling zmienia właściciela w atmosferze zaufania, która winna towarzyszyć każdej transakcji zawieranej przez ludzi honoru i interes zostaje ubity.

– A to numer! – woła Deputy. – Jak myślisz, dokąd to Jej Monarsza Wysokość idzie jutro rano? Niech mnie szlag, jeżeli nie idzie do kar-tre-dry! – ostatnie słowo długo, w ekstazie, rozwleka i klepiąc się po nogach zanosi się ochrypłym śmiechem.

– Skąd wiesz, Deputy?

– Bo sama mi o tym mówiła. Powiedziała, że właśnie dlatego musi być gotowa. Powiedziała do mnie: „Deputy, muszę się wcześniej umyć i oporządzić, jak tylko się da, bo wybieram się do kar-tre-dry!...” – Oddziela sylaby z takim samym zapalem jak poprzednio, ale uznając, że komizm tej sytuacji nie dość wyraźnie unaocznili tupaniem na chodniku, puszcza się w powolny dostojny taniec, parodiując zapewne księdza dziekana.

Pan Datchery przyjmuje tę wiadomość z wyrazem zadowolenia na zamyślonej twarzy i przerywa rozmowę. Powróciwszy do swego dziwnego mieszkania, zasiada do przygotowanej przez panią Tope kolacji, składającej się z chleba z serem, sałaty i piwa. Po skończonym posiłku nie wychodzi z domu. Wreszcie wstaje, otwiera drzwi kredensu i zwraca się ku kilku kreskom zaznaczonym kredą na wewnętrznej stronie drzwi.

– Podoba mi się – mówi pan Datchery – dawny sposób notowania długów w tawernach. Nikt na tym się nie znał prócz tego, kto to stosował. Wierzyciel do niczego się nie przyznawał, a dłużnik miał dług zapisany. Hm... Marny wynik, słabe punkty!

Wzdycha, bierze z półki kredę, trzyma ją przez chwilę w ręce, niezdecydowany co dopisać.

– Myślę, że mam podstawy, by zapisać tylko punkt średni – konkluduje, zamyka kredens i udaje się do łóżka.

Słoneczny poranek rozjaśnia stare miasto. Jego zabytki i ruiny stają się niezwykle piękne, z gęstym bluszczem połyskującym w słońcu i bujnymi drzewami kołyszącymi się w balsamicznym powietrzu. Pobliski cudownego światła padającego z kołyszących się gałęzi, śpiew ptaków, aromatyczne wonie płynące z ogrodów, lasów i pól – a raczej z jednego wielkiego ogrodu tej całej uprawnej wyspy w czasie zbiorów – przedostają się do katedry, tłumiąc jej ziemisty odór, głosząc Zmartwychwstanie i triumf Życia. Zimne, wiekowe kamienie grobowców rozgrzewają się; plamki światła przenikają do najdosłojniejszych marmurowych zakątków budowli, migocąc jakby były uskrzydłone.

Nadchodzi pan Tope z ogromnymi kluczami i ziewając, otwiera zamki. Po nim zjawia się pani Tope wraz z towarzyszącymi jej przemykającymi elfami. W stosownym czasie przybywa organista i chłopiec do miechów, który zerka w dół spod czerwonych zasłon na chórze, odważnie zdmuchuje osiadły na tej wysokości kurz na księgach oraz usuwa go z pedałów i wentyli. Powracając na wielką wieżę, z różnych stron nieba nadciągają gawrony; być może lubią wibracje i wiedzą, że dzwony i organy są ich dostarczycielami.

Potem nadciąga niewielka, rozciągnięta kongregacja, głównie z Zaułka Kanonika Mniejszego i z dziedzińca. Pojawia się żwawy i wesoły pan Crisparkle w towarzystwie już nie tak wesołych i żwawych braci kleryków. Spieszy chór, bo spieszy się zawsze, przywdziewając komże w ostatniej chwili, niby dzieci ociągające się przed pójściem do łóżka, a ten korowód prowadzi John Jasper<sup>[50]</sup>. Na koniec do jednych stalli wchodzi pan Datchery. Dokonał wyboru pośród pustych, szczególnie odpowiadających mu miejsc i rozgląda się, szukając Jej Monarszej Wysokości Księżniczki Pykawki. Nabożeństwo toczy się już na dobre, gdy pan Datchery dostrzega Jej Monarszą Wysokość. Widzi ją wyraźnie, choć kobieta stoi w mroku za filarem, starannie ukrywając się przed wzrokiem kantora i przyglądając mu się z napiętą uwagą. Kantor, nieświadom jej obecności, intonuje i śpiewa, a kiedy znajduje się

w najwyższym muzycznym uniesieniu, kobieta uśmiecha się i... tak, pan Datchery widzi to wyraźnie... skryta za filarem grozi mu pięścią.

Pan Datchery spogląda w tym kierunku jeszcze raz, by się upewnić. Tak, znowu! Brzydka i pomarszczona, jak jedna z tych fantastycznych rzeźb na podporach stalli, złowroga jak sam szatan, okrutna jak wielki miedziany orzeł wspierający skrzydłami święte księgi (i zupełnie przez te księgi nienawrócony, jakby zgodnie z przedstawionym przez rzeźbiarza okrutnym wyglądem), obejmuje się chudymi ramionami, a potem dwiema pięściami wygraża w kierunku kantora.

Właśnie w tej chwili przez okratowane drzwi prowadzące na chór, umknąwszy uwagi pana Tope'a za pomocą chytrych sztuczek, w których jest tak biegły, zagląda wścibski Deputy. Zerka przez kratę, wodząc zdumionym wzrokiem od wygrażającej ku temu, komu tamta grozi.

Nabożeństwo dobiega końca, jego uczestnicy rozchodzą się i udają na śniadanie. Pan Datchery po wyjściu z katedry podchodzi do nowej znajomej, gdy chór (zdejmujący teraz komże w takim samym tempie, jak przedtem je zakładał) rozgląda się na wszystkie strony.

– No co, paniusiu. Witam. Widziałas go?

– Widziałam go, złotko. Oj, widziałam!

– Znasz go?

– Czy go znam? Lepiej niż wszyscy wielebni proboszcze razem wzięci.

Pani Tope przygotowała dla swego lokatora bardzo zdrowe i ładnie podane śniadanie. Zanim do niego zasiadł, otworzył drzwi kredensu, wyjął kredę, dodał do zapisu grubą kreskę ciągnącą się od góry do dołu drzwi, a potem z apetytem zabrał się do jedzenia.

\* \* \* \* \*

*W tym miejscu kończy się rękopis powieści. Nagła śmierć 9 czerwca 1870 roku przerwała pracę Dickensa, istnieją jednak późniejsze próby rozwiązania zagadki. W zamieszczonych dodatkach A i B podaje się dwie wersje, jedna opracowana przez S. C. Roberta a druga przez Charlesa Williama. Trzecią wersją – może najbardziej prawdopodobną – jest wersja podana w formie „Procesu Johna Jaspiera” przez G. K. Chestertona, wybitnego znawcę twórczości Dickensa i autora najpoważniejszej biografii pisarza.*



# UZUPEŁNIENIE

## NOTATKI DICKENSA I PLANY ODCINKÓW POWIEŚCI

Począwszy od powieści *Dombey i Syn* (1846-1848), Dickens sporządzał notatki do tych powieści, które w różnych numerach pism miały być publikowane w miesięcznych odcinkach i dołączał je do rękopisów. Dla każdego odcinka pisał oddzielne notatki. Biorąc kartkę papieru, składał ją pionowo, następnie traktował linię załamania jako dzielącą stronę i na lewej części zapisywał rozmaite uwagi dotyczące tego, co miało się znaleźć w kolejnym odcinku – główne wydarzenia i postaci, które miał wprowadzić po raz pierwszy lub wrócić do uprzednio już wprowadzonych. Na części prawej znajdował się tytuł powieści, numery i tytuły rozdziałów, a także szczególnie istotne dla danego rozdziału notatki. Tym sposobem wystarczył mu rzut oka, by przypomnieć sobie treść i organizację każdego miesięcznego odcinka. Najwyraźniej z większości tych notatek korzystał tuż przed lub podczas pisania danego odcinka (trochę notatek zrobił parę miesięcy wcześniej i wydaje się, że niektóre powstały już p o napisaniu rozdziału lub fragmentu pokrywającego się z danym odcinkiem miesięcznym).

Notatki i plany poszczególnych odcinków *Tajemnicy Edwina Drooda* przedstawiono na następnych stronach; przy czym pierwsza strona przedstawia próby ustalenia tytułu powieści i nazwisk kilku postaci. Czytelnik może zauważyć, że istnieją dwie rozbieżności między planami dotyczącymi książki, a skończonym (lub raczej niedokończonym) utworem. *Pan Durdles i jego przyjaciel*, znany nam tytuł rozdziału piątego, ukazuje się tu jako rozdział ósmy i brakuje notatek do rozdziału dziewiątego pod tytułem *Ptaszki w krzakach*. Tłumaczy się to tak, że po tym, jak Dickens napisał pierwsze dwa odcinki i dostarczył je do druku, stwierdzono „ku memu przerażeniu” – jak później powiedział Forsterowi – „że brakuje im sześciu stron druku” (zwykle Dickens oceniał bardzo dokładnie niezbędną liczbę stron rękopisu). Aby to naprawić, przesunął pięć stron rozdziału *Pan Durdles i jego przyjaciel* z drugiego odcinka do pierwszego i dopisał stronę tekstu, którą włączył w środek rozdziału trzeciego, zatytułowanego *Dom Zakonnicy*. Rozwiązało to problem pierwszego miesięcznego odcinka, ale sprawiło, że w drugim odcinku zbrakło jedenastu stron. Wobec tego napisał rozdział *Ptaszki w krzakach*, wykorzystując materiał, którym zamierzał posłużyć się w trzecim odcinku, na co wskazuje pytanie „*opiekun Róży?*”, zapisane po lewej części planu na ten miesiąc, po którym następuje notatka *ZROBIONE w Nr II*. Użycie tego materiału spowodowało rozwinięcie treści w większym stopniu niż pierwotnie zamierzał – jak można się domyślić z innych notatek dotyczących planów trzeciego, czwartego i piątego odcinka.

Tyle, i wiele więcej, można się dowiedzieć po dokładnym przestudiowaniu tych zapisków. Ale, chociaż powiązanie „misternych nici całego wzoru” prawdopodobnie „zawsze stało przed oczami pisarza tkającego opowieść na swych krosnach” jak napisał Dickens w postscriptum do powieści *Nasz wspólny przyjaciel* (1864-1865), nie oznacza to, że przeglądając notatki autora, można łatwo i całkowicie odtworzyć ten wzór, ponieważ nie uważał on za stosowne wyraźnie przypominać sobie głównych wątków lub podstawowych zasad snutej opowieści – jak staje się to widoczne dla każdego, kto przegląda notatki do *Ta-*

*jemnicy Edwina Drooda*. Są one fascynujące, sugestywne, ale zarazem przedziwnie tajemniczo zaszyfrowane, jakby autor chciał ukryć – nawet w zaciszu własnego biurka – wyjaśnienie swojej tajemnicy.

# Notatki

Piątek, dwudziestego sierpnia 1869

Gilbert      Alfred  
                    Edwin  
                    Edwyn  
                    Oswald  
                    Michael  
                    Arthur  
Utrata Jamesa Wakefielda      Selwyn  
                    Edwyn      Edgar  
                    pan Honeythunder  
                    pan Honeyblast  
Zniknięcie Jamesa  
                    Dziekan  
                    pani dziekanowa  
                    panna dziekan

Ucieczka i pościg

Przysięga i zemsta

Jeden cel w życiu

Poświęcenie krewnego

dwóch krewnych

Utrata Edwyna Brooda

Utrata Edwina Brude'a

Tajemnica w rodzinie Drootów

Utrata Edwyna Drooda

Ucieczka Edwyna Drooda

Edwin Droot w ukryciu

Utrata Edwina Drude'a

Zniknięcie Edwina Drooda

Tajemnica Edwina Drooda

Martwy? Czy żywy?

Palenie opium

Motyw przewodni

„A jeśli bezbożny...”——

Wuj i siostrzeniec:

Portret „Kici”

A zatem nie przyjmiesz mego ostrzeżenia?

Dziekan

Kanonik mniejszy, pan Crisparkle

Wuj i siostrzeniec

Rękawiczki do Domu Zakonnicy

commentary

Przez cały czas motyw miasta katedralnego.

pan Jasper

Kościelny Peptone

zmienić na Tope

Wewnątrz Domu Zakonnicy

Panna Twinkleton i jej podwójna egzystencja.

Pani Tisher

Różyczka

Zaręczona młoda para.

Każda scena miłosna kończy się większą

lub mniejszą sprzeczką.

Pan Sapsea, stary konserwatywny osioł

Epitafium jego żony

Jasper i klucze

Durdles w krypcie i między grobami.

Jego węzełek z kolacją

(Tajemnica Edwina Drooda ——— Nr I)

Rozdział I

Prolog                      Świt

zmienić tytuł na „Świt”  
palenie opium i Jasper  
prowadzi do katedry

Rozdział II

Dziekan a także kapituła

katedra i miasto katedralne                      / Pan Crisparkle  
i dziekan.      Wuj i siostrzeniec.  
Morderstwo bardzo odległe.  
Dzieje Edwina i Kici.

Rozdział III

Dom Zakonnicy

Stale sugestie dotyczące malowniczego miasta katedralnego.  
Dom Zakonnicy i młoda para w pierwszej scenie miłosnej

Rozdział IV

Pan Sapsea

Związek Jaspera z nim                      (od czasu do czasu będzie potrzebował tego  
patentowanego osła.)

Epitafium zbliża ich.

Przyłącza się do nich Durdles.

Klucze.

Kamienny Durdles

Wprowadzić inną młodą parę. Tak

lub

Neville i Olympia Heyridge — ^Heyfort?

Filantropia w Zaułku Kanonika Mejszego

Neville i Helena Landless

Domieszka orientalnej krwi – lub niezauważalna u nich domieszka.

Tak

Nie

(Tajemnica Edwina Drooda — Nr II)

Rozdział V

Wrzaskliwy filantrop  
Pan Honeythunder

Starsza pani Crisparkle  
Porcelanowa Pasterka

Zaułek Kanonika Mniejszego

Rozdział VI

Trochę zwierzeń

Neville'a wobec pana Crisparkle  
Róży wobec Heleny

/ Scena z pianinem  
i Jasperem. Ona śpiewa,  
on śledzi jej usta.

Rozdział VII

Ostre starcie

klótnia (wywołana przez Jaspera).

Kielich. A potem  
wyznanie panu Crisparkle

Jasper przygotowuje dla siebie grunt

Rozdział VIII

Pan Durdles i jego przyjaciel

Deputy wynajęty, aby co noc obrzucał kamieniami Durdlesa.

Kontynuować kobietę z rozdziału I

Kontynuować zajęcie Durdlesa – i jego węzełek, a także klucze.

John Jasper przygląda się śpiącemu Edwinowi.



Czy nadal kontynuować wątek Edwina Drooda i Róży?

Doprowadzić między nimi do końcowej sceny w Nr V? IV?

Tak

Ile jeszcze scen z nimi?

Przygotować do zawarcia przez nich małżeństwa...

—————ci zamiast tego rozstanie.

Tak

Panna Twinkleton? Nie. W następnym nr.

Opiekun Róży? ZROBIONE w Nr II.

Pan Sapsea? Tak. Ostatni rozdział

Neville Landless i pan Crisparkle

i Helena

Tak

Neville'owi podoba się Róża.  
To wychodzi od niego.

(Tajemnica Edwina Drooda ——— Nr III)

Rozdział IX

Łagodzenie sytuacji

——— Plan Jaspera w stosunku do pana Crisparkle'a,  
który zmienia zdanie w związku ze  
zwierzeniami Neville'a.

Zaułek Kanonika Mniejszego/ Kredens, który pamiętam  
z dzieciństwa.

Edwin umówiony na Wigilię

Rozdział XI

Obraz i pierścień

P.

J. T.

1747

Kolacja w pokojach

Kancelista Bazzard

Dwóch kelnerów

Wspomnienia pana Grewgiousa.

„Pierścień z brylantami i rubinami misternie osadzonymi w złocie.”

Edwin zabiera go.

Rozdział XII

Noc z Durdlesem

Przygotowanie gruntu dla popełnienia morderstwa, które ostatecznie  
i tak wyjdzie na jaw.

Trzymać chłopca w zawieszeniu.

Opis katedry nocą.

Czy nadal kontynuować kontakty Edwina i Róży?

Albo ostatni raz?

Ostatni raz

~~Ostatnia scena między nimi~~

Następnie

na zewnątrz

Ostatnie spotkanie Róży i Edwina w katedrze?

Tak

Pożegnalny pocałunek,

„Jack.”

Edwin idzie na kolację.

Wietrzna noc.

Zaskoczenie i trwoga.

Przeoczenie przez Jaspera jednego bardzo znaczącego przedmiotu znanego panu Grewgiousowi.

Pamiętnik Jaspera? Tak

(Tajemnica Edwina Drooda ————— Nr IV)

Rozdział XIII  
Ich najlepsze intencje

Ostatnia rozmowa

i rozstanie

Rozdział XIV

Kiedy ci trzech znowu się spotkają?

Jak każdy z nich spędza dzień

Zegarek i spinka  
to cała biżuteria Edwina

Neville  
Edwin  
Jasper

Zegarek  
do jubilera

„I tak on wchodzi bocznymi drzwiami”

Burza i wiatr.

Rozdział XV  
Oskarżony

Neville wcześniej wychodzi.

Ścigany i sprowadzony do Cloisterham.

Pan Grewgious komunikuje:

I jego scena z Jasperem

Rozdział XVI  
Oddany

Zręczne wykorzystanie przez Jaspera otrzymanej wiadomości, po dojściu do siebie.

Jaz Cloisterham, pan Crisparkle i zegarek oraz spinka.

Zręczne posunięcie Jaspera.

Dziekan. Neville odtrącony.

Pamiętnik Jaspera. „Oddaje się całkowicie jego zniszczeniu.”

Edwin i Róża po raz ostatni?

już zrobione.

Kartredra

Zniknięcie Edwina |

Tajemnica

już zrobione

(Tajemnica Edwina Drooda ————— Nr V)

Rozdział XVII

zawodowo i

Filantropia w niejednym miejscu

po amatorsku.

Rozdział XVIII

Cień na tarczy zegara słonecznego

Nowy mieszkaniec Cloisterham

Rozdział XIX

Nowy mieszkaniec Cloisterham

Cień na tarczy zegara słonecznego

Rozdział XX

Āaj mi mówić

Rozmaite ucieczki

Nagła ucieczka

(Tajemnica Edwina Drooda ————— Nr VI)

Rozdział XXI

Zaczynają się przykrości

Rozdział XXII

Znowu świt

Rozdział XXIII

*[Dickens nie sporządził notatek dla piątego i szóstego odcinka miesięcznego...  
...ani też dla żadnego z trzech powyższych, zaplanowanych rozdziałów.]*

## DODATEK A

### Uwagi do *Tajemnicy Edwina Drooda* (według Charlesa Williamsa)

W umyśle czytelnika *Tajemnicy Edwina Drooda* rodzą się dwa zasadnicze pytania:

1. Co się stało z Edwinem Droodem?

2. Jak wykryć prawdę?

Ważnym, dodatkowym pytaniem do punktu drugiego jest:

3. Kim jest Datchery i jaką rolę odgrywa w rozwiązaniu zagadki?

Przed wszystkim należy zauważyć, że dwóch krytyków i wielbicieli Dickensa, Andrew Lang i G. K. Chesterton, wyznało, że nie są zdolni zaakceptować żadnej z proponowanych odpowiedzi, a George Gissing uważał, że tylko Dickens mógłby dać rozwiązanie tej „marnej tajemnicy”. Powodem tego jest fakt, że chociaż wszystkie szczegóły można by mniej więcej zadowalająco wyjaśnić, to żadne z wyjaśnień nie stanowi przekonującego wytłumaczenia zachowań bohaterów powieści. Każde z proponowanych wyjaśnień mogłoby być prawdziwe, ale równocześnie żadne z nich prawdziwe być nie musi. Bowiem wszystkie wywołują u czytelnika wrażenie pewnego artystycznego naciągania, które nie powinno mieć miejsca i przeciwko któremu czytelnik instynktownie się buntuje. W tej sytuacji *Tajemnica Erwina Drooda* pozostanie wieczną zagadką.

Jakie istnieją podstawy, na których można oprzeć rozsądny osąd?

Są nimi:

Tekst powieści.

Okładka comiesięcznych odcinków, zaprojektowana przez Charlesa Collinsa, zięcia Dickensa, pod wpływem jego sugestii.

Aluzje zawarte w listach Dickensa, w notatkach, w samym manuskrypcie i na odbitkach próbnych. Znajdują się one w muzeum South Kensington i mają dużą wartość jeśli idzie o sugestię rozwiązania tajemnicy, ponieważ rozmaite zmiany i skreślenia wskazują, które słowa mogłyby – według Dickensa – rzucić sporo światła na szczegóły intrygi.

4. Opinie Dickensa, jakie wyrażał przed ludźmi na temat pisanej właśnie powieści. Można by tu zacytować tylko kilka zdań z książki Forstera, głównego biografy Dickensa (*Life of Charles Dickens*). Dickens tak pisał do Forstera (6 sierpnia 1869):

*Mam bardzo ciekawy i nowy pomysł na moją nową powieść. Pomysłu tego nie sposób opisać (ponieważ wówczas zniknęłoby całe zainteresowanie fabułą powieści), lecz jest to coś bardzo mocnego, chociaż trudnego do zrealizowania.*

Forster dalej tak pisze:

*Opowieść, jak zaraz się dowiedziałem, miała być historią zamordowania siostrzeńca przez jego wuja; jej nowatorstwo sprowadzałoby się do tego, że morderca opowiedziałby wszystko sam pod koniec powieści, gdy rozważane są pokusy skłaniające go do popełnienia zbrodni, tak jakby to nie morderca, lecz ktoś inny był kuszony. Ostatnie rozdziały opisywałyby celę skazańców, do której doprowadziła go jego bezbożność. Bezbożność,*



której historia zostałaaby z niego wydobyta tak, jakby opowiadał dzieje kogoś innego.

Odkrycie przez mordercę, że zbrodnia była całkowicie zbędna, następuje natychmiast po popełnieniu czynu – ale wykrycie mordercy zostaje opóźnione aż do samego końca, kiedy na podstawie złotego pierścienia, który oparł się działaniu niegaszonego wapna, do którego wrzucono ciało, nie tylko zostaje zidentyfikowana ofiara, ale i miejsce popełnienia zbrodni, a w konsekwencji i sam morderca... Róża wyjdzie za Tartara, a Crisparkle poślubi Helenę Landless; jednak Crisparkle – jak sądzę – zginie, pomagając Tartarowi ostatecznie wykryć i ująć mordercę.

Mając takie dane, możemy wrócić do podstawowych pytań:

Co się stało z Edwinem Droodem?

Wszyscy się zgadzają, że to Jasper przygotował, zaplanował i usiłował zamordować siostrzeńca. Jednak w pierwszym studium tego problemu, wydanym przez R. A. Proctora pod tytułem *Watched by the Dead* (1887), zaproponowano koncepcję, że Jasperowi nie udało się ta próba, ponieważ w czasie akcji chwycił go jeden z ataków głodu narkotycznego; Drood ranny i półprzytomny, uciekł.

Zdumiony czynem wuja i pragnąc wykryć przyczynę jego zachowania, ale jednocześnie, nie chcąc narazić się na powtórny próbę zabicia (zważywszy, że nie miał świadków), Drood postanowił się ukryć. Jeżeli z kimś się kontaktował, to tylko z Grewgiousem i to jedynie do czasu, gdy nadeszła właściwa pora, by się ujawnić. To właśnie jego postać ukazana jest w dolnej części ryciny okładki, gdy zjawia się w świetle latarni Jaspera. Na poparcie słuszności tej teorii cytuje się dwa rozważane przez Dickensa warianty tytułu powieści: *Ucieczka Edwina Drooda* oraz *Edwin Drood w ukryciu*. Jednak całą tę teorię prawdopodobnie przekreśla stwierdzenie najstarszego syna Dickensa, który mówi:

*Podczas ostatniego spaceru, jaki odbyłem z ojcem w Gadshill, zapytałem: „Oczywiście Edwin Drood został zamordowany, prawda?”. Na co ojciec odwrócił się i odparł: „Oczywiście, a co innego mogłeś przypuszczać?”.*

Można więc się domyślać, że Drood miał być i został skutecznie zgładzony albo przez uduszenie, albo – pozbawiony przytomności – zrzucony został ze schodów wąskiej klatki schodowej katedralnej wieży. Wydaje się prawdopodobne, że w tym celu został użyty czarny szal Jaspera – jak to wynika z tekstu powieści, a także ze stwierdzenia Lukea Fildesa, któremu Dickens powiedział, że konieczne jest, aby na jego ilustracjach Jasper nosił właśnie taki szal. To, że wieża katedralna odgrywa w tajemnicy pewną rolę, sugerują różne uwagi i opis nocnej wyprawy Jaspera i Durdlesa (o tej wyprawie Dickens nieustannie przypomina, że jest to „niepojęta wyprawa”), a także prawa część ryciny na okładce, gdzie jakieś osoby wspinają się po schodach. Kim one są, to kwestia dyskusyjna; Cuming Walters w pracy pod tytułem *Clues to Dickens's Edwin Drood* (1905), łączy je z „niepojętą wyprawą” Jaspera; Andrew Lang w pracy zatytułowanej *The Puzzle of Dickens's Last Plot* (1905) uważa, że są to Neville Landless, Grewgiousem, lub Tartar i Crisparkle; profesor Henry Jackson twierdził w pracy *About Edwin Drood* (1911), że dwie postaci u dołu to Jasper i Durdles w czasie tej wyprawy, a powyżej, to Jasper w czasie Wigilii spoglądający na

„to”. Jednak autorzy wielu innych prac rozważają wszelkie inne, możliwe kombinacje.

Po dokonaniu morderstwa ciało zostaje zaniezione albo do krypty rodziny Sapsea, albo do krypty w katedrze (pamiętamy, że Jasper w czasie „niepojętej wyprawy” zabrał Durdlesowi klucz do krypty). Ze zwłok zostaje też usunięta wszelka biżuteria, o której Jasper wie, a ciało zostaje pokryte niegaszonym wapnem i porzucone. Zgodnie z tą hipotezą, postać na dole ryciny na okładce jest albo ukazującym się Jasperowi w krypcie duchem Drooda, albo też (jeśli istnieje jakiś inny powód, aby odrzucić tę hipotezę) jest to jeden z mścicieli czekających na przybycie Jaspera.

Jak wykryć prawdę?

A oto główne środki prowadzące do odpowiedzi na to pytanie:

- a) Pierścień, o którym wiemy z cytowanych wyżej słów Forstera.
- b) Jak wynika z tekstu powieści, kluczem do sprawy jest Datchery.

Grewgious dał Edwinowi pierścień po to, aby przekazał go Róży. Ale po zerwaniu zaręczyn Edwin nie oddaje Grewgiousowi pierścienia i w noc wigilijną – kiedy znika – jest on jedynym elementem posiadanej przez niego biżuterii, o której istnieniu Jasper nie wie, a zatem nie będzie go szukał, aby usunąć z ciała. Od jubilera dowiadujemy się, że Jasper „ma w głowie opis całej biżuterii, jaką jego krewny kiedykolwiek nosił” i chociaż po ostrożnym mordercy można by się spodziewać, że powinien przeszukać trupa, nie polegając na pamięci, która mogłaby się okazać zawodna, wydaje się, że Jasper tego nie zrobił. Tak więc pierścień, gdy ciało uległo zniszczeniu przez niegaszone wapno, pozostaje jedynym przedmiotem umożliwiającym identyfikację zwłok, kiedy informacja o fakcie, że znaleziono pierścień dociera do świadomości Grewgiousa i Bazzarda. Jeżeli Jasper później dowiaduje się o tym, musi wrócić do krypty, w której ukrył ciało, aby je stamtąd usunąć. Wraca więc i tam właśnie napotyka postać przedstawioną na dolnym fragmencie ryciny okładki. Zaraz potem musi nastąpić katastrofa prowadząca do ostatecznego rozwiązania.

Jednak pierścień jest elementem biernym. W Cloisterham musi istnieć element czynny i jest nim Datchery. Jest on (i tu komentatorzy są zgodni) kimś w przebraniu – wynika to jasno z gęstych włosów, które najwyraźniej sugerują perukę. A zatem kim on jest? Jeżeli sugestię przebrania uznać za prawdziwą, to musi być kimś, kogo zna Jasper i zapewne czytelnik. Niewątpliwie peruka to za mało, aby się skutecznie przebrać, ale brakuje aluzji w odniesieniu do innych składników przebrania. Jednak dla tak beztroskiego mordercy, jakim byłby Jasper, wystarczy taki łowca przestępców jak Datchery. Walters przeszedł całą listę postaci występujących w powieści i podał dowody świadczące przeciwko identyfikowaniu Datchery ego z jakąkolwiek postacią, prócz jednej. Jego wnioski zostały przedyskutowane i zaakceptowane przez profesora Jacksona i sir Williama Robertsona Nicolla (*The Problem of Edwin Drood*, 1912). Niemożliwe jest przedstawienie tu w pełni całej teorii i podanie wszystkich alternatyw, dlatego wspomnę o nich krótko.

1. Walters identyfikuje Datchery ego z Heleną Landless. Dowodził tego poprzez negatywną eliminację, podaje bowiem niezbite dowody przemawiające przeciwko innym postaciom. Jego pozytywne dowody (w skrócie) przedstawiają się następująco:

a) Uczucie łączące Neville'a z Heleną jest tak silne, że kiedy podejrzenie pada na Neville'a, Helena natychmiast i z prawdziwą pasją występuje w obronie brata bliźniaka i dlatego wydaje się prawdopodobne, iż będzie ona aktywna w tej walce.

b) Jako dziecko dwukrotnie przebierała się za chłopca.

c) Ona, i tylko ona, posiada dostateczną motywację, zdecydowanie i odwagę oraz umiejętność przystosowania się, konieczne do odegrania tego rodzaju roli. W tym kontekście należy wziąć pod uwagę tak sformułowane zapowiedzi: „w żadnych okolicznościach” lub „niech każdy, kogo to dotyczy, dobrze się temu przyjrzy”.

d) Jej przeniesienie się do Londynu zostaje tak zorganizowane, że mniej więcej zbiega się z pojawieniem się Datchery'ego w Cloisterham. Profesor Jackson wyraża opinię, że rozdział osiemnasty, w którym opisane jest pojawienie się Datchery'ego, został zbyt szybko wstawiony do tekstu. Uważa się, że powinien on nastąpić po rozdziale dwudziestym drugim i że Dickens zdawał sobie z tego sprawę. Taka zmiana uczyniłaby chronologię przejrzystszą i przedstawiałaby się następująco:

- spotkanie Róży z Jasperem,
- jej nagła ucieczka do Londynu,
- wiadomości o Jasperze przekazane przez Różę,
- zawiązanie przymierza w Staple Inn (Grewgious, Neville, Helena, Tartar i pan Crisparkle),
- zorganizowanie całej kampanii,
- w efekcie pojawienie się Heleny w Cloisterham w roli Datchery'ego. Tyle w kwestii teorii dotyczącej Heleny-Datchery.

A teraz inne sugestie.

### 1. Bazzard

Twierdzi się, że Bazzardowi przeznaczona jest jakaś większa rola do odegrania niż ta, o której wiemy; poza tym Grewgious mówi (w tym czasie, gdy Datchery pojawia się w Cloisterham): „Teraz właśnie jest na urlopie, a firma prawnicza na parterze, z którą utrzymuję zawodowe kontakty, użycza mi zastępcy”; również teatralne zainteresowania Bazzarda zdają się wskazywać, że posiada aktorskie zdolności, które byłyby mu potrzebne do odegrania takiej roli. Poza tym, jako ktoś, kto pochodzi z Norfolk, bardziej zna się na staroangielskiej metodzie notowania długów, aniżeli pochodząca ze Sri Lanki (Cejlon) Helena. Jednak przeciwko tym argumentom przemawia jego wieczna senność i grubiaństwo (całkowicie niezgodne z ożywieniem i galanterią Datchery'ego). Ponadto rodzi się pytanie, czy jego pierwsze pojawienie się w roli tak groteskowej postaci, jest odpowiednie i właściwe dla ważnego i bardzo poważnego zadania, jakie miałby wykonać.

### 2. Grewgious

Ta wersja opiera się głównie na tym, że Grewgious zna prawdziwy charakter Jaspera oraz na sugestii, że go obserwuje, zawartej w słowach „mam go na oku”, a także na jego szczerym zainteresowaniu losem Róży. Jest też prawnikiem i wie, jakich szukać faktów. Jest jednak zbyt groteskowy, aby przyjąć, że mógłby się przebrać. Wydaje się, że ani jego wygląd, ani miejsce, jakie zajmuje w Staple Inn, nie pasują do wyglądu i sposobu zachowania.

wania się Datchery'ego.

### 3. Tartar

Tartar jest „człowiekiem niezależnym” i żyje, jak chce, czyli tak samo jak Datchery. Zgodnie z tekstem, podobnie jak Datchery, nie zna Cloisterham (albo jest to pułapka na czytelnika). Tartar odznacza się odwagą, zdecydowaniem, inteligencją i uprzejmością Datchery'ego. A ponadto to jedyna męska postać w powieści, która dysponuje warunkami do odegrania tej roli. Jednak Tartarowi przydzielono zadanie odwiedzania Neville'a i zwabienia Jaspera, który zostanie zatrzymany w Londynie. Inna dolegliwość to fakt, że jest zbyt bezpośredni, aby pasować do wstrzemięźliwości i subtelności Datchery'ego – oraz to, że ponieważ nikt go w Cloisterham nie zna, to nawet nikłe przebranie, w jakim – jak można przypuszczać Datchery występuje – jest zgoła zbędne.

### 4. Neville Landless

Andrew Lang, prawdopodobnie by przemawiające za Heleną Landless argumenty odzielić od kontrargumentów, zasugerował, że Datchery to Neville, którego miejsce w Londynie zajęła Helena (przebrana za mężczyznę). Ta teoria, choć wydaje się interesująca, jest chyba zbyt nieprawdopodobna i brakuje wspierającej ją racji.

### 5. Jakaś nowa postać

Detektyw do tej pory nie wprowadzony do akcji, czyjś krewny albo prawnik, przyjaciel Grewgiousa.

### 6. Sam Edwin Drood.

Tę teorię sugerowało kilku autorów, ale można ją odrzucić na podstawie posiadanych przez nas dowodów, świadczących o intencjach Dickensa. Jeżeli Jasperowi nie udało się zamordować Edwina, to byłby on jedyną postacią, która mogła być Datcherym; ale jeśli się udało, to jest jedyną postacią, która nim być **nie** może.

Obecnie, według sir Robertsona Nicolla, hipoteza, że Datcherym jest Helena Landless, wydaje się najbardziej rozpowszechniona. Jednak niektórzy utrzymują, że jest niezadowolająca. Lang na przykład twierdzi, że jeśli w postać Datchery'ego nie wcielił się Drood, to musi nim być Helena, ale także „Helena może być Datcherym, lecz nie **powinna** nim być”. G. K. Chesterton wyraził odczucie tych czytelników, którzy – choć przekonani rozmaitymi obiektywnymi dowodami – czują jakiś wewnętrzny sprzeciw w stosunku do tej teorii. Ujął to następująco:

Oczywisty wróg Drooda, na którego od razu pada podejrzenie, smagły i ponury Landless, mający jeszcze ciemniejszą siostrę, która oprócz królewskiej godności jest jeszcze bardziej ponura...

Cuming Walters poważnie proponuje przyjąć, że to ta barbarzyńska księżniczka zakłada perukę i przebiera się za Datchery'ego... Niemniej sędzę, że istnieją inne, ostateczne obiektywy dotyczące tej teorii; ona jest po prostu śmieszna. Istnieje coś dziwnie wymyślnego i nieprawdopodobnego w pomyśle, aby ta dama o ciemnej karnacji mogła się przedzierzgnąć w starego dżentelmena w niebieskim płaszczu i szarych spodniach. Równie dobrze moglibyśmy sobie wyobrazić Edith Dombey przebraną za majora Bagstocka<sup>[51]</sup>.

Wydaje się niemożliwe odtworzyć stopniowe wyjaśnienie tajemnicy przez Datche-

ry'ego. W chwili, gdy opowieść się urywa, sytuacja przedstawia się następująco:

1. Datchery jest w kontakcie z „przymierzem” w Staple Inn (o ile nie jest postacią całkowicie nam nieznaną i kierującą się motywami, o których nic nie wiemy, ponieważ wynikają one z historii, która nie została nam przedstawiona).

2. Datchery zna Deputy'ego, którego źle potraktował Jasper i który być może widział zagadkowe zachowanie Jaspera w pobliżu katedry nocą, gdy popełniono morderstwo.

3. Datchery zna również Durdlesa, który opukując ściany, posiada umiejętność odkrywania, czy coś zostało w nich niedawno ukryte.

4. Zna kobietę zajmującą się sprzedawaniem opium i wie o jej wrogim nastawieniu do Jaspera. Jednak czytelnik nie zna przyczyny tej wrogości.

Sugerowano, że ta kobieta jest matką Jaspera, babką Róży lub Edwina, albo nawet matką dziewczyny skrzywdzonej przez Jaspera.

I te dwie ostatnie postaci nasuwają myśl, że gdzieś w tle jest jeszcze inna tajemnica. Durdles w rozdziale dwudziestym opisuje „upiory dźwięków”, które słyszał w wigilię poprzedzającą początek powieści. – „Upiór jakiegoś przerażającego wrzasku, po którym nastąpił upiór wyjącego psa”, na co Jasper pyta bardzo gwałtownie: „Co masz na myśli?” Trudno orzec, czy jest to zapowiedź prawdziwych dźwięków, które będą słyszane:

a) gdy Drood będzie mordowany, albo

b) kiedy morderca zabija Neville'a.

A może została popełniona jakaś inna zbrodnia? Czy Jasper uwolnił się od jakiegoś innego ciężaru? Może było to na przykład samobójstwo hipotetycznej córki kobiety z jaskini opium?

Właściwe połączenie tych osób i faktów jest jeszcze trudniejsze ze względu na drobne pomyłki, jakie tu i ówdzie zdarzało się popełniać Dickensowi. Na przykład trudno pojąć, dlaczego w rozdziale pierwszym Jasper wyciąga wnioski z faktu, że nie mogąc zrozumieć mamrotania Chińczyka i marynarza z Wschodnich Indii, jakiś słuchacz znający angielski mógłby i jego też nie zrozumieć. Potem także w scenie, gdy Jasper i Edwin przechodzą z pokoju, w którym znajduje się portret Róży, do innego pokoju, aby tam zjeść kolację. Siedząc w tym drugim pokoju, Jasper kontempluje portret, a Edwin spogląda z zadowoleniem. Istnieje nikłe prawdopodobieństwo, aby stół mógł być tak ustawiony, że obaj mieli w zasięgu wzroku portret wiszący nad gzymsem kominka w sąsiednim pokoju. Tego rodzaju drobiazgi sprawiają, że nigdy nie powinniśmy wyciągać zbyt daleko idących wniosków z jakiegoś okrucieństwa informacji nie popartej niczym innym.

Jednak całą tajemnicę należałoby wyjaśnić poprzez stopniowe udostępnianie przez Jaspera wszystkich tych faktów, które obecnie są znane tej lub innej osobie – a zatem takich faktów jak halucynacje pod wpływem opium, nocna wyprawa, pierścien, a także prawdopodobnie inne zdarzenia z przeszłości, których czytelnik nie zna, a które mogłyby całą intrygę uczynić bardziej przejrzystą. Kiedy Jasper dowie się o istnieniu pierścienia, wówczas zapewne będzie skłonny dostarczyć ostateczny dowód świadczący przeciwko niemu, próbując tego pierścienia szukać. Przychodzi mianowicie do miejsca, w którym ukrył ciało, staje oko w oko ze swymi wrogami, zostaje po walce ujęty, chociaż w tej walce ginie Ne-

ville Landless, a następnie osądzony i stracony.

Dickens sugerował udanie się wraz z Lukem Fildesem do celi skazańców więzienia w Maidstone, aby artysta mógł tam wykonać ilustrację. I to właśnie w tej celi (zgodnie z tym, co Dickens powiedział Forsterowi) Jasper sam miałby napisać ostatnie rozdziały powieści. Czy to właśnie studium mordercy miało być owym dziwnym, nowym, niedającym się opowiedzieć, szokującym i trudnym pomysłem, o którym mówił Dickens? Czy też był to pomysł przebrania Heleny za Datchery'ego? A może było jeszcze coś innego, czego brak w tekście, a co nie zostało wykryte przez komentatorów? Może coś, co w przyszłości zostanie wysłędzone przez jakiegoś badacza?

## DODATEK B

### Uwagi na temat powieści (Hipotezy według Sidneya Castela Robertsa)

W naszych czasach, bardzo poważnie traktujących wiele odmian powieści kryminalnych, nie jest dziwne, że *Tajemnica Edwina Drooda* stała się przedmiotem ożywionej polemiki. Dyskusje są tak żywe, że literackie i opisowe walory powieści bywają przesłaniane problemem nierozwiązanej „tajemnicy”.

W związku z powyższym wydaje się, że na wstępie należy rozważyć formę tej niedokończonych powieści, tak jak została wydana w postaci książkowej w kilka miesięcy po śmierci autora 9 czerwca 1870 roku.

Stronę tytułową poprzedza strona z ilustracją, która będąc sztychem Luke’a Fildesa, przedstawia fragment miasta Rochester. Tak jak słusznie się twierdzi, że prawdziwym tematem powieści *Zulejka Dobson* jest uniwersytet oksfordzki, tak w tym wypadku autor osadził akcję w Rochester (nazwa jest zmieniona, lecz miasto jako Cloisterham zostaje niezmienione). Tak więc Rochester stanowi samo centrum powieści *Tajemnica Edwina Drooda*. „W Rochester” – pisał Gissing – „zaczynają się przygody pana Pickwicka, pod Rochester stał dom Dickensa, Gadshill, i właśnie Rochester wybrał on jako miejsce akcji swej ostatniej powieści”.

U jakiegoś innego autora moglibyśmy się spodziewać opowieści, będącej łąbędzimi śpiewem powieściopisarza, lecz Dickens aż do marca 1870 roku czytał zafascynowanym i przerażonym słuchaczom scenę morderstwa z *Olivera Twista* – z pasją, która świadczyła o tkwiących w nim dużych siłach witalnych. Tak więc „starodawne angielskie miasto katedralne” wpieryw zostaje przedstawione czytelnikowi w *Tajemnicy Edwina Drooda* poprzez zaćmioną świadomość narkomana w londyńskiej jaskini palaczy opium. Zażywający opium musi tego samego dnia wrócić na swoje miejsce w katedralnym chórze i zjawia się w porę, by dołączyć do procesji wkraczającej do katedry na nieszpory:

„...zakrystian zamyka żelazne, okratowane wrota dzielące sanktuarium od prezbiterium, a chór, pochylając głowy, zajmuje swoje miejsce. I wtedy rozlegają się słowa: A JEŚLI BEZBOŻNY..., unosząc się pod załamania łuków i belek stropu, przetaczając się wśród nich niczym pomruk grzmotu”.

W ten sposób zręcznie i z zastosowaniem dużych liter, czytelnik zostaje przygotowany na pojawienie się bezbożnika nie porzucającego swej bezbożności. A ponieważ człowiek bezbożny jest synonimem wszelkiego zła, zatem pojawia się człowiek zły, który nie wyrzeknie się tego, aby pozostać złym. Pomijając jednak bezbożność, miasto Cloisterham przedstawione zostało plastycznie:

„Starodawne miasto Cloisterham to nieodpowiednie miejsce zamieszkania dla kogoś, kto marzy o szerokim, hałaśliwym świecie...”; „Senne miasto Cloisterham, którego mieszkańcom wydaje się – z dziwną, choć nierzadką konsekwencją – że wszystko, co się miało zmienić, zmieniło się w przeszłości, a nowe już nie nadejdzie”; „...Cloisterham jest miastem z innego, minionego już czasu, ze swym ochrypłym dzwonem katedralnym. Z ochrypły-

mi gawronami unoszącymi się nad katedralną wieżą i z ochrypłymi, choć mniej widocznymi, gawronami siedzącymi w ławkach pod wieżą...; „Tu wszystko wiąże się z przeszłością”.

Stanowi to odpowiednie tło dla tajemnicy. Od początku tajemnica snuje się na kartach książki jak mgła. „To niezrozumiałe” – mamrocze Jasper, usiłując w pierwszym rozdziale zrozumieć bełkot towarzyszy palaczy opium. „Niezrozumiałe...”. Słowo to staje się ponadto ostateczną konkluzją wszystkich pragnących rozwikłać tajemnicę zawartą w powieści.

Ale Dickens nie potrafił długo pisać bez wykorzystywania elementów humorystycznych (i satyrycznych...). Jakże więc znacząco ożywia fabułę wprowadzeniem wielebnego Septimusa Crisparkle’a, jak bardzo dickensowskie jest jego nazwisko i wyjaśnienie w nawiasach jego imienia („Septimus, ponieważ sześciu jego braciszków zgasało przed nim jeden po drugim zaraz po urodzeniu...”). Muskularna wersja chrześcijaństwa teraz jest już nie-modna, ale kanonik mniejszy z Cloisterham, ze swą świeżą cerą, porannymi kąpielami, po których trenuje boks, ze swym dogadzaniem mamie, z oburzeniem na tego patentowanego osła filantropa i ze swą krzepką dobroduszością i chrześcijańską dobrocią, przedstawiony jest z sympatią, jaką Dickens rzadko okazuje postaciom wywodzącym się z kleru. Kiedy przedstawia księdza dziekana z Cloisterham, opis tej postaci zawiera wiele typowej u niego satyry. Jednak kanonik mniejszy nie przywiązuje takiej wagi do zachowania chłodnego umysłu, jak do kierowania się gorącym sercem, dlatego opis spotkania z Tartarem, który okazuje się jego młodszym kolegą szkolnym, najwyraźniej jest szczery i pozbawiony wszelkiej ironii:

- Mój dawny młodszymi kolegą szkolny! – zawołał pan Crisparkle.
- Mój dawny kumpel, któremu służyłem! – uzupełnił pan Tartar.
- Uratowałeś mnie od utonięcia! – przypomniał pan Crisparkle.
- A potem, o ile mi wiadomo, zająłeś się uprawianiem pływania! – dodał pan Tartar.
- Boże, miej mnie w swej opiece! – zawołał pan Crisparkle.
- Amen! – zakończył pan Tartar”.

Jest to u Dickensa coś zupełnie nowego, gdy błogosławi dawne szkolne więzy.

Jeden z rozdziałów zostaje poświęcony panu Sapsea, licytatorowi, i tutaj Dickens w pełni demonstrować satyryczne zacięcie. Przesada w przedstawieniu absurdalnego charakteru pana Sapsea prowadzi do tak groteskowej karykatury, że nie pozostawia czytelnikowi miejsca na jakikolwiek komentarz. Bez niczyjej pomocy można wysnuć wniosek, że Tomasz Sapsea jest „najczystszy przykładem osła w Cloisterham”. Okoliczność, że czytelnik dowiaduje się o tym już w pierwszym akapicie sprawia, że nie ma on nic do dodania; okazuje się jednak, że Dickens ma coś więcej do powiedzenia i w tym się lubuje. Stworzywszy tę postać, rozdyma głupotę licytatora z charakterystycznym dla niego zapałem i wieńczy ten portret wymyślnym epitafium pani Sapsea, która zawsze wzorowała się na swym małżonku: „Przechodniu, zatrzymaj się i zadaj sobie pytanie, czy mógłbyś postąpić podobnie? Jeśli nie, odejdz zawstydzony”. G. K. Chesterton twierdził, że to obłudne epitafium pani Sapsea powinno zostać uznane za poważne epitafium dla samego Dickensa.

Tak jak starodawna wieża katedry w Cloisterham skupia w sobie tajemnicę i mrok, tak



Dom Zakonnicy, ów „...zaczyna ceglany gmach, którego nazwa pochodzi od legendy związanej z jego rzekomą przeszłością”, staje się miejscem akcji dla nienaganej panny Twinkleton i dla jej Seminarium dla Młodych Paniątek. Dickens w konwencjonalny sposób czyni tu uwagę na temat mniszek z przeszłości: „...które dla umartwienia odmawiają różaniec, zamiast zrobić z niego ozdobny naszyjnik”, ale jego opis samego budynku jest dość szczególnie: „Front domu jest stary i zniszczony, a ta mosiężna tabliczka tak błyszczy i rzuca się w oczy, że obcemu obserwatorowi z wyobraźnią przywodzi na myśl podstarzałego eleganta z dużym, nowoczesnym monoklem w ślepych oku”.

Sama panna Twinkleton jest wspaniale opisana, szczególnie w zetknięciu z Billickin. Wykorzystał tu Dickens okazję, by zderzyć specyfikę gwary londyńskiej („cockney”)<sup>[52]</sup> z pańskim wyrafinowaniem wyższych sfer Cloisterham, i nie waha się napisać:

Przywykłyśmy – oznajmiła panna Twinkleton... – do wystarczająco pożywnego, choć prostego i zdrowego odżywiania i nie znajdujemy powodu, by narzekać na brak naszego miasta i prawidłowo prowadzonego gospodarstwa, gdzie w normalnej rutynie upływał nasz żywot.

– Uważałam za stosowne wspomnieć mojej kucharce – zauważyła Billickin w wybuchu szczerości – i mam nadzieję, że zgodzi się pani, panno Twinkleton, iż była to należyta z mojej strony ostrożność, aby młoda paniątka przyzwyczajona do czegoś, co uważamy tu za mamę odżywianie, stopniowo się od tego odzwyczajowała. Albowiem przejście od nie dość obfitego do zbyt obfitego jedzenia i od czegoś, co uznać by można za stołówkę, do czegoś, co trzeba określić jako metodyczne odżywianie, wymaga silnego organizmu, który nieczęsto się teraz spotyka u młodzieży, szczególnie gdy jej zdrowie nadwątlone jest pobylem w internatach!”

Sam Dickens, prócz delikatnej satyry, od siebie nie wygłasza żadnej krytyki seminarium panny Twinkleton, ma jednak wystarczająco dużo sił twórczych, aby włożyć tę miażdżącą krytykę w usta Billickin.

\* \* \*

## Uwagi na temat tajemnicy

W samym centrum powieści *Tajemnica Edwina Drooda* znajduje się morderstwo oraz tajemnica, snująca się wśród grobów i gargulców Cloisterham. Jasper w tej opowieści jest czarnym charakterem, ale nie jest on zwykłym, pospolitym łajdakiem; ale kimś, kto „rzeźbi demony we własnym sercu”, tak jak mnisi rzeźbili je na stallach i ławkach katedralnych. Jego postać przywodzi na myśl Grand Guignola i bez wątplenia Dickens zamierzał wypożyczyć go we właściwości budzące szczególną grozę. Dokładny charakter tych właściwości pozostanie nieznany i czytelnicy nieustannie będą się starali go rozszyfrować. Jednocześnie możemy być wdzięczni, że zainteresowanie Dickensa rodzajami niezwykłych przestępstw nie było na tyle głębokie, by powstrzymać go od wprowadzenia nowych postaci do swego teatru ludzkiej komedii.

Bibliografia przedmiotu zwanego „Tajemnicą”, a także wiedza o Londynie Sama Weller-a, jest rozległa i szczegółna, co można dostrzec w jego pracy pod tytułem *Complete Mystery of Edwin Drood by Charles Dickens: the history continuations, and solutions* (1912) oraz w pracy Robertsona Nicolla *Problem of Edwin Drood: a study in the methods of Dickens* (1912). Obie prezentują odmienne teorie stworzone przez krytyków i komentatorów. Jednak od roku 1912 wiele na ten temat napisano w egzemplarzach „The Dickensian” i gdzie indziej, a przedmiot ten wciąż jest gorąco dyskutowany.

Główne kwestie, którym poświęcono najwięcej uwagi, pomysłowości i pracy, są następujące:

Czy Drood został zamordowany?

Kim jest Datchery?

1. Punkt, co do którego wszyscy są zgodni, to przekonanie, że mordercą jest John Jasper, albo że przynajmniej usiłował popełnić morderstwo. Teoria, że się mu to nie udało, została rozwinięta przez R. A. Proctora w jego *Watchet by the Dead* (1887). Według Proctora, Drood został uratowany i wydobyty z dołu niegaszonego wapna przez Durdlesa, a potem zaczął śledzić Jaspersa w przebraniu Datchery’ego. Tę teorię częściowo akceptowali Andrew Lang i M. R. James; znajduje ona też pewne uzasadnienie w alternatywnych tytułach znalezionych w spuściźnie po Dickensie (*Ucieczka Edwina Drooda i Edwin Drood w ukryciu*). Również tytuł rozdziału czternastego („Kiedy ci trzej znowu się spotkają?”) może być użyty jako argument dla poparcia hipotezy, że Edwin Drood znów się pojawił po swojej ucieczce. Jednak kategoryczne stwierdzenie syna i córki Dickensa, Fildesa i Forstera, silnie przemawiają przeciwko jakiegokolwiek możliwości ucieczki Drooda.

2. Panuje powszechna, choć niezupełnie zgodna opinia co do tego, że Datchery jest jedną z postaci występujących w przebraniu. Istnieje wielu kandydatów do tej roli – łącznie z samym Droodem (teoria Proctora) – takich jak Neville Landless, Bazzard, Tartar, Grewgious lub Helena Landless. Za Heleną Landless bardzo optuje Cuming Walters, przyjął ją też Henry Jackson oraz Robertson Nicole. Opiera się ona na gorącym przywiązaniu Heleny do brata, sile jej charakteru i wcześniejszych praktykach przebierania się za chłopca. Jednak byłoby trudno, jeśli w ogóle możliwe, wyobrazić sobie, aby młoda dziewczyna – bez względu na jej doświadczenie aktorskie – nagle zaczęła się zachowywać i mówić jak Datchery. Pod wieloma względami lepszym już kandydatem byłby Bazzard. We właściwym momencie poszedł na urlop, ma śmieszne ambicje autora sztuk teatralnych i jest tym rodzajem Dickensowskiej postaci, po której można by się spodziewać dalszych, być może dziwnych zachowań. Mimo to, niełatwo byłoby przypisać mu spryt niezbędny do porzucenia ekscentrycznej mrukliwości i przyjęcia pozy łagodnego galanta, co tak bardzo charakteryzuje Datchery’ego. Co do Grewgiousa, to na pierwszy rzut oka niewiele można powiedzieć. To prawda, że jego chropowatość „z grubsza ciosanego mężczyzny” kryje gorące serce. Ma on jednak pracę w Londynie i potrzebowałby czegoś więcej niż peruki i innego

ubrania, aby ukryć swą kanciastą chropowatość. Kandydaturę Neville'a Landlessa popierał Andrew Lang i F. C. Burkitt, ale nie wzbudziła większego zainteresowania do chwili nakręcenia przez Universal Picture w 1936 roku filmu<sup>[53]</sup>, w którym John Jasper w melodramatycznej scenie spotyka się z Nevillem Landlessem przy otwartym grobie. Z drugiej strony Tartar jest lepszym kandydatem. Jest niezależny finansowo, łatwo może opuścić Londyn. Poznał świat jako marynarz i kocha się w Róży. Jest on prawdopodobnie jedyną postacią, którą bez trudu można by sobie wyobrazić w roli Datchery'ego. Niestety, wyznaczono mu jednak zadanie pilnowania w Londynie Neville'a i Heleny Landlessów.

W gruncie rzeczy o wiele łatwiej jest uznać Datchery'ego za prekursora Sherlocka Holmesa. Z całą pewnością jest to rola, jaką Holmes odegrałby wspaniale, a peruka zupełnie by mu nie przeszkadzała. Główne zastrzeżenie przeciwko tej „detektywistycznej” teorii tkwi w fakcie, że wprowadzenie nowej postaci byłoby sprzeczne ze zwykłą Dickensowską metodą kompozycji; ale Dickens sam twierdził, że miał „bardzo ciekawy nowy pomysł” na tę powieść i być może to, czego się dowiadujemy o Datcherym, stanowi początek nowego elementu w narracji.

Dla wnikliwych badaczy *Tajemnicy Edwina Drooda* ilustracja [Collinsa] na obwolucie oryginalnych [miesięcznych] części powieści staje się dodatkowym terenem poszukiwań. Na dole ilustracji widnieje mężczyzna z latarnią w ręku. Jest on najwyraźniej zdumiony widokiem wyłaniającej się z mroku postaci innego mężczyzny. Ten człowiek z latarnią to bez wątpienia Jasper. Ale kim jest ten drugi? Czy to Edwin Drood? Czy może jego duch? A może to Datchery? Jeżeli jest to Datchery, to według której teorii dotyczącej jego tożsamości?

Przedstawiono tu kilka, tylko kilka krótkich dociekań i parę wniosków, jakie krytycy rozpatrywali, próbując wyjaśnić tajemnicę. Jest to zabawa, którą uprawiać można bez końca, ponieważ nie skończy się nigdy. Jej uczestnicy już dawno powinni wiedzieć, że kiedy jakiś fakt wydaje się zaprzeczać całemu ciągowi dedukcji, to okazuje się niezmiennie, że prowadzi on do jakichś innych interpretacji.

## **DODATEK C**

G. K. CHESTERTON

dopisuje zakończenie

PROCES

JOHNA JASPERA

laickiego kantora katedry Cloisterham w hrabstwie Kent

w sprawie:

ZAMORDOWANIA

EDWINA DROODA

inżyniera

pod przewodnictwem

Pana SĘDZIEGO GILBERTA KEITH CHESTERTONA

zasiadającego na sesji Sądu Specjalnego, w King's Hall, Covent Garden,

W.C., 7 stycznia 1914.

Dosłownego sprawozdania z postępowania procesowego

na podstawie stenogramu dokonał:

J. W. T. Ley

Londyn

CHAPMAN & HALL, LTD.

1914

# AKT OSKARŻENIA

JOHNA JASPERA  
laickiego kantora katedry w Cloisterham w hrabstwie Kent

o

MORDERSTWO EDWINA DROODA,

inżyniera

PROCES

na sesji WYJAZDOWEJ w WESTMINSTERZE

7 stycznia 1914

SĄD SESJI WYJAZDOWEJ KING'S HALL,

COVENT GARDEN

hrabstwo LONDYN

Sędziowie Przysięgli, wyznaczeni do tego procesu, którzy złożyli przysięgę<sup>{54}</sup>, stwierdzają, że JOHN JASPER 24-tego grudnia roku Pańskiego 1860 w parafii Cloisterham – będącej w jurysdykcji tego sądu – dokonał zbrodniczego, umyślnego i gwałtownego czynu na EDWINIE DROODZIE, działając przeciwko spokojowi każdego, kto jest prawdziwym zwolennikiem Dickensa.

W inscenizacji procesu udział wzięli:

SĘDZIA, ŚWIADKOWIE, OSKARŻYCIELE  
ADWOKACI I SĘDZIOWIE PRZYSIĘGLI

Sędzia pan G. K. CHESTERTON (*zarazem autor inscenizacji*)

Oskarżyciel I pan J. CUMING WALTERS

Oskarżyciel II pan B. W. MATZ

Adwokat I Pan CECIL CHESTERTON

Adwokat II Pan WALTER CROTCH

JOHN JASPER (laicki kantor katedry w Cloisterham)

pan FREDERICK T. HARRY

ANTHONY DURDLES (kamieniarz z Cloisterham)

pan BRANSBY WILLIAMS

Wielebny SEPTIMUS CRISPARKLE (*kanonik mniejszy katedry w Cloisterham*)

pan ARTHUR WAUGH

Panna HELENA LANDLESS (podopieczna pana Honeythundera)

pani LAURENCE CLAY

(podopieczna pana Honeythundera)

„JEJ KRÓLEWSKA WYSOKOŚĆ KSIĘŻNICZKA PYKAWKA” (kobieta z palarni opium)

panna J. K. PROTHERO

[TOMASZ] BAZZARD (kancelista pana Grewgiouosa)

pan C. HERIDAN JONES

Oraz:

urzędnik strony oskarżającej,

woźny sądowy,

dwóch funkcjonariuszy policji.

Ponadto w procesie uczestniczyło dwudziestu sędziów przysięgłych.

W tej roli wystąpili:

pan George Bernard Shaw (jako przewodniczący ławy sędziów przysięgłych)

sir Francis C. Burnand<sup>{55}</sup>

sir Edward Russell<sup>{56}</sup>

pan Edwin Pugh<sup>{57}</sup>

dr W. L. Courtney<sup>{58}</sup>

pan William de Morgan<sup>{59}</sup>

pan W. W. Jacobs<sup>{60}</sup>

pan Arthur Morrison<sup>{61}</sup>

pan Pett Ridge<sup>{62}</sup>

pan Raymond Paton<sup>{63}</sup>

pan Hilaire Belloc<sup>{64}</sup>

pan Francesco Berger<sup>{65}</sup>

pan Tom Galion<sup>{66}</sup>

pan Ridgwell Cullum<sup>{67}</sup>

pan Max Pemberton<sup>{68}</sup>

pan Justin Huntly McCarthy<sup>{69}</sup>

pan G. S. Street<sup>{70}</sup>

pan Oscar Browning<sup>{71}</sup>

pan Coulson Kemahan<sup>{72}</sup>

pan William Archer<sup>{73}</sup>

prawnicy, reporterzy i widzowie

## AKT OSKARŻENIA

W celu poparcia oskarżenia przedstawia się następujące okoliczności zdarzenia:

Oskarżony, JOHN JASPER, lat 26, jest chórmistrzem katedry w Cloisterham, inaczej zwanym „laickim kantorem”. Zamieszkuje w domu z bramą przy katedrze. Przyznaje, że przez kilka lat zażywał opium i bywał w palarni opium znajdującej się w londyńskim East Endzie, którą prowadziła podstarzała kobieta zwana „Księżniczką Pykawką”.

Człowiekiem, o którego zamordowanie został oskarżony był jego siostrzeniec, EDWIN DROOD, lat 21, z zawodu inżynier. Więzień, który podobno był powiernikiem i opiekunem rzeźbionego Edwina Drooda, deklarował wielkie ku niemu uczucie miłości i z tego to powodu, z okazji każdych jego odwiedzin w Cloisterham, manifestował radość i niezmiernie zadowolenie.

Mówiono, że Edwin Drood był narzeczonym niejakiej Róży Bud, a narzeczeństwo to miało wypełnić umowę zawartą między ich rodzicami (obecnie nieżyjącymi). Niejako formalnie, w związku z tym zobowiązaniem, jako potwierdzenie woli rodziców, pan Grewgious – prawnik z Staple Inn oraz prawny doradca – wręczył Edwinowi Droodowi pierścień, czego świadkiem był kancelista pana Grewgiousa, Bazzard. Istnieją dowody wskazujące, że obie strony kontraktu odczuwały już znużenie tym zobowiązaniem i życzyłyby sobie, by umowa została unieważniona. Z drugiej strony, oskarżony Jasper przyznał się do tego, iż był zakochany w Róży Bud i potajemnie zazdrosny o swego siostrzeńca. Panna Bud, ze swej strony, oświadczyła, że nie tylko odczuwa niechęć, lecz wręcz boi się Jaspera, i unikała jego zalotów tak, jak to tylko było możliwe. Ostatecznie zaręczyny Edwina Drooda i Róży Bud zostały unieważnione za obopólną zgodą; jednak rzeczony John Jasper, z wiadomych powodów, nie został w odpowiednim czasie o tym poinformowany. Natomiast okoliczności tego faktu zostały ujawnione panu Grewgiousowi.

Świadkowie złożyli zeznania dowodowe, że na początku roku oskarżony Jasper towarzyszył kamieniarzowi nazwiskiem Durdles w wyprawie do katedry i przy okazji dowiedział się o szczególnie niszczącym działaniu wapna niegaszonego. Jasper rzekomo użył środka, który uspił Durdlesa, co pozwoliło zabrać mu klucze, którymi Jasper otworzył i zbadał krypty, a szczególnie kryptę pani Sapsea, która była częściowo pusta.

W Cloisterham zamieszkało też osierocone rodzeństwo, bliźnięta – brat i siostra o imionach Neville i Helena, nazwiskiem Landless. Przybyli oni z Cejlonu, gdzie byli wyjątkowo źle traktowani, a po pobycie u pana Honeythundera, ich opiekuna, Neville zamieszkał u kanonika mniejszego Crisparkle’a, a Helenę wysłano do szkoły panny Twinkleton. Neville’a Landlessa określano jako człowieka „dzikiego”, a jego pełną temperamentu siostrę Helenę jako dziewczynę w „typie Cyganki”. Między rodzeństwem istniała silna więź uczuciowa. Helena, która w dzieciństwie często uciekała od ojczyma, przebierając się za chłopca, jest osobą odważną.

Wkrótce po ich przybyciu do Cloisterham, na zorganizowanym przyjęciu, spotykają Drooda, Jaspera i pannę Bud. Istnieją dowody, że miał miejsce spór między Droodem i Nevillem, który potem przekształcił się w awanturę wywołaną przez obrażonego i agre-



sywnego Neville'a Landlessa, określonego przez Jaspera jako człowiek o „zbrodniczym” charakterze. W tym samym czasie panna Landless instynktownie pała wrogiem uczuciem do Jaspera, gdyż uświadamia sobie, że zagraża on Róży Bud. Zatarg między dwoma młodzieńcami zostaje do pewnego stopnia załagodzony i Jasper zaprasza ich obu do siebie na miłą kolację w Wigilię Bożego Narodzenia.

23 grudnia Jasper odwiedza palarnię opium w Londynie. Następnego dnia wraca do Cloisterham śledzony przez prowadzącą palarnię kobietę, która słyszała, jak w otępieniu narkotycznym groził komuś o imieniu „Ned” (Jasper tak nazywał Edwina Drooda).

W Wigilię tych troje spotyka się na kolacji. Tej nocy szalała burza.

Następnego ranka Jasper pośpieszył do domu kanonika mniejszego Crisparkle'a, krzycząc w podnieceniu, że jego siostrzeniec zniknął i że jest przekonany, iż został zamordowany.

Najwyraźniej wierzył, że mordercą jest Neville Landless, w którego towarzystwie Drood opuścił dom Jaspera o północy; Neville Landless został zatrzymany, ale potem zwolniony z braku dowodów.

26 grudnia pan Grewgious odwiedził Jaspera i poinformował go, że zaręczyny Drooda i panny Bud zostały zerwane. Istnieje dowód, że słysząc tę nowinę, Jasper z trudem chwycił oddech, rwał włosy i jęczał, aby ostatecznie zemdleć.

Krótko potem kanonik mniejszy Crisparkle zbadał jaz na rzece i odkrył tam, tkwiący między balami, zegarek z łańcuszkiem należący do Edwina Drooda, a na dnie znalazł spinkę do mankietu.

Dowiedziano, że Jasper po krótkiej przerwie ponowił zaloty do panny Róży Bud, co wywołało w niej tak wielkie przerażenie, iż uznała za wskazane uciec do Londynu, aby tam znaleźć schronienie u pana Grewgiousa i swej przyjaciółki panny Twinkleton. Neville Landless też przeniósł się do Londynu, gdzie odwiedziła go siostra, Helena.

Tymczasem Jasper był ostrożnie śledzony przez „obcego”, znanego jako Dick Datchery. Osoba ta zajęła mieszkanie naprzeciwko domu Jaspera, skąd go obserwowała. „Datchery” (przyjęto, że było to nazwisko przybrane) przeprowadził wywiady z szeregiem osób, z Durdlesem i „Księżniczką Pykawką”, prowadząc swój prywatny rejestr (kredą w postaci kresek oznaczających wszystkie ustalone fakty). W konsekwencji podejrzeń, wspartych wyżej wymienionymi okolicznościami, wystawiono nakaz aresztowania i John Jasper został aresztowany oraz oskarżony o popełnienie morderstwa z premedytacją.

Oskarżony oświadczył, że JEST NIEWINNY i w tej sytuacji wydano polecenie rozpoczęcia procesu sądowego.

Wezwano następujących świadków:

ANTHONY DURDLES

KANONIK CRISPARKLE przez stronę oskarżającą

HELENA LANDLESS

„KSIĘŻNICZKA PYKAWKA” przez stronę broniącą  
[TOMASZ] BAZZARD



## NOTA

Rycina zamieszczona na pierwszej stronie miesięcznych odcinków „Tajemnicy Edwina Drooda”, pochodząca z roku 1870 a wykonana przez Charlesa Allstona Collinsa, była przyczyną wielu kontrowersji i spekulacji.

## WARUNKI UZGODNIONE MIĘDZY OSKARŻENIEM A OBRONĄ

Troje formalnych świadków (to znaczy Crisparkle i Durdles ze strony oskarżenia oraz kobieta z palarni opium ze strony obrony) nie powinno w swoich zasadniczych zeznaniach wychodzić poza treść książki lub składać niezgodne z tym oświadczenia, lecz w czasie przesłuchania przez stronę przeciwną mogą, odpowiadając na pewne określone pytania, podawać formalnie nie znajdujące się w książce wyjaśnienia.

Dwoje głównych świadków (to znaczy Helena Landless ze strony oskarżenia i Bazzard ze strony obrony) powinni być zwolnieni w zasadniczym przesłuchaniu oraz w czasie zadawania pytań przez stronę przeciwną ze składania oświadczeń nie znajdujących się w książce, pod warunkiem, że nie będą ze sobą sprzeczne.

Wszystkie oświadczenia zawarte w książce winne być traktowane jako zgodne z prawdą i przyjęte przez obie strony, a każde stwierdzenie świadków sprzeczne z tymi oświadczeniami winno być przez to uważane za fałszywe.

Ustala się, że dwoje głównych świadków (i tylko oni) może zeznawać ustnie.

Obrona wyraża zgodę, żeby nie wzywać Edwina Drooda; oskarżenie zgadza się z tym, nie komentując jego nieobecności na ławie świadków lub w czasie zasadniczego przesłuchania, lecz rezerwuje sobie prawo do komentowania jego milczenia będącego następstwem morderstwa. Obie strony zgadzają się też nie wzywać Grewgiouisa i uzgadniają, że żadna ze stron nie będzie tego faktu komentować.

Obrona akceptuje też fakt, że zgodnie z prawem żaden wyrok nie może zapaść, póki nie zostanie znalezione ciało i że powinien zapaść po rozwiązaniu sądu przysięgłych, jednak obrona równocześnie zastrzega sobie prawo do komentowania braku ciała jako część braku zasadniczego dowodu bezpośrednio wskazującego na popełnienie morderstwa.

## SPRAWOZDANIE Z PRZEBIEGU ROZPRAWY

Kiedy Jego Lordowska Mość sędzia zajął swoje miejsce, natychmiast umieszczono więźnia na ławie oskarżonych, a urzędnik występujący w imieniu strony oskarżającej rozpoczął następującymi słowami:

– Johnie Jasper, jesteś oskarżony o to, że w sposób umyślny i okrutny zabiłeś swego siostrzeńca, Edwina Drooda, w mieście Cloisterham, nocą 24 grudnia 1860 roku. Przyznajesz się do winy, czy też uważasz, że jesteś niewinny?

WIĘZIEŃ: Jestem niewinny.

URZĘDNIK OSKARŻENIA: Czy panowie przysięgli zechcą wstać i usiąść po wywołaniu ich nazwisk? Pan George Bernard Shaw, sir Edward Russel, dr W. L. Courtney, pan W. W. Jacobs, pan Pett Ridge, pan Tom Gallon, pan Max Pemberton, pan Coulson Kernahan, pan Edwin Pugh, pan William de Morgan, pan Arthur Morrison, pan Francesco Berger, pan Ridgwell Cullum, pan Justin Huntly McCarthy, pan William Archer, pan Thomas Seccombe – panowie powinniście zgodnie z własnym sumieniem osądzić stojącego przed sądem więźnia, Johna Jaspiera, w sprawie o zamordowanie Edwina Drooda i wydać werdykt zgodny z przedstawionymi dowodami.

Pan George Bernard Shaw został wybrany przewodniczącym ławy przysięgłych.

Pan WALTERS: Panie sędzio, ja występuję w imieniu strony oskarżającej.

SĘDZIA: Panie Walters, potwierdzam, występuje pan jako oskarżyciel. Czy jest ktoś z panem?

Pan MATZ: Ja jestem z nim, panie sędzio.

Pan CECIL CHESTERTON: Ja występuję w imieniu obrony, panie sędzio.

SĘDZIA: Panie Chesterton, potwierdzam, występuje pan jako obrońca. Czy jest ktoś z panem?

Pan CROTCH: Ja jestem z nim, panie sędzio.

## ARGUMENTY OSKARŻENIA

Następnie pan Matz przystąpił do przedstawienia argumentów oskarżenia:

Wasza Lordowska Mość i Panowie Przysięgli...

Sądzimy w sprawie o morderstwo – morderstwo, które musimy uznać za popełnione z premedytacją, przygotowane i przeprowadzone w sposób metodyczny i zdecydowany.

Więźniem jest John Jasper, laicki kantor katedry w Cloisterham. Będziemy się starać udowodnić, że w noc 24 grudnia zamordował w tym mieście swego siostrzeńca Edwina Drooda, inżyniera.

Rzeczony Edwin Drood, lat 21, przez pewien czas był zaręczony z panną Różą Bud, aby wypełnić wolę jej i swoich rodziców (obecnie nieżyjących).

W stosunku do tej młodej damy więzień pełnił funkcję nauczyciela muzyki, ale w istocie był w niej zakochany, chociaż krył to przed Edwinem Droodem.

W wieczór, o którym mowa, to jest 24 grudnia, Edwin Drood i Neville Landless, uczeń wielebnego Septimusa Crisparkle'a, jedli kolację razem z oskarżonym w jego mieszkaniu mieszczącym się w domu z bramą, który należał do katedry.

Tej nocy szalała burza. Po wyjściu z domu Jaspera, około północy, obaj młodzi mężczyźni poszli na spacer wzdłuż rzeki, aby obejrzeć skutki wichury, a potem wrócić do domu wielebnego Septimusa Crisparkle'a w Zaułku Kanonika Mniejszego. Tam Edwin Drood rozstał się ze swym towarzyszem, z zamiarem udania się do mieszkania wuja.

Jednak od tego momentu nikt już go więcej nie widział i nic o nim nie słyszał.

Panowie, naszym trudnym i odpowiedzialnym obowiązkiem jest dostarczyć materiał dowodzący, że Edwina Drooda zamordował jego wuj, John Jasper. Twierdzimy, że więzień zabrał mu zegarek z łańcuszkiem i spinkę do mankietu – przedmioty, które więzień miał ze sobą przy innej okazji i miejscowemu jubilerowi powiedział: „Mam w głowie ich spis”.

Twierdzimy, że Jasper wrzucił ciało ofiary do krypty katedralnej, do której uprzednio zdobył klucz lub jego duplikat. W pobliżu znajdował się też dół z niegaszonym wapnem i przyjmujemy, że Jasper – mając w perspektywie śledztwo – użył go w celu zatarcia śladów i pozbycia się zwłok w krótkim czasie. Zakładamy też, że zegarka i spinki pozbył się, wrzucając te przedmioty do rzeki, zakładając, iż niegaszone wapno nie będzie w stanie rozpuścić ich albo też w celu wywołania wrażenia, jeśli ktoś je tam znajdzie, że młodzieniec utonął.

Chcemy udowodnić, iż więzień miał motyw do popełnienia tej zbrodni; że poczynił staranne przygotowania, a potem dopuścił się dokonania tak potwornego czynu.

Chociaż posiadane przez nas dowody mają charakter jedynie poszlakowy, to jednak tego rodzaju poszlaki mogą mieć wielką wartość – tak wielką jak każdy dowód bezpośredni.

Wykażemy, że wszystkie czyny, popełnione w czasie poprzedzającym tę straszną zbrodnię, obciążały Johna Jaspera. Nie tylko same czyny, ale też jego umysł przez cały czas pracował nad sposobem, w jaki dokonać morderstwa. Po dokonaniu tego strasznego czynu zachowywał się tak, że każdy, kto miał okazję przyjrzeć mu się bliżej, mógł wyraźnie wska-

zać jego winę.

Więzień, mając na względzie własne, egoistyczne cele, stwierdził, że Edwin Drood musi umrzeć. Wpierw wybrał najodpowiedniejsze do tego celu miejsce i opracował szczegółowy plan, zabezpieczający mu dostęp do tego miejsca. Udał się do krypty katedralnej w towarzystwie Durdlesa, kamieniarza z Cloisterham, którego otumanił zaprawionym winem, aby wykraść mu potajemnie klucze do pewnej konkretnej krypty. Wiedział też gdzie, bez straty czasu, znaleźć niegaszone wapno. Przepytał ludzi, ustalił czas i wszystko, co było niezbędne dla osiągnięcia celu.

Teraz, panowie, zobowiązany jestem zaprezentować dalsze fakty związane z historią tej zbrodni.

Neville Landless, na którego Jasper rzucił podejrzenie o popełnienie morderstwa i jego siostra Helena, oboje uczą się w Cloisterham: brat u wielebnego Septimusa Crisparkle'a, a siostra w szkole panny Twinkleton położonej na terenie miasta. Przybyli z Cejlonu, gdzie byli surowo traktowani i podejmowali wiele prób ucieczki. Helena, uciekając, przebierała się za chłopca i okazywała „odwagę mężczyzny”. Neville, młodzieniec impulsywny i uczuciowy, natychmiast poczuł niechęć do Drooda z powodu jego „władczego zachowania” w stosunku do Róży; natomiast Helena instynktownie poczuła niechęć do Jaspera, ponieważ zorientowała się, że kocha się w Róży, a Róża się go boi. Warto zanotować istotny fakt, że Róża wcześniej zwróciła się do Heleny o pomoc, która została jej przyrzeczona.

W mieszkaniu Jaspera doszło do drobnej sprzeczki między Edwinem Droodem a Nevillem Landlessem, gdy Jasper niewątpliwie judził ich przeciwko sobie szyderstwami. Przy okazji upił ich grzany winem, które uprzednio odpowiednio doprawił.

Wypili toast wzniesiony przez Jaspera i wkrótce ich mowa stała się niewyraźna, mętna i bełkotliwa, zawierając w sobie niebezpieczną mieszankę, stanowiącą zalążek większej awantury. Drood stał się chełpliwy, a Neville Landless, czując się urażony jego tonem i sposobem prowadzenia rozmowy, cisnął w Drooda kielichem z winem. Jasper, w roli rozjemcy, bynajmniej nie uśmierzył wrogości młodzieńców. Przeciwnie wydawał się z niej zadowolony i mógł później donieść Crisparkle'owi, że Neville zachował się „wręcz morderczo”. W istocie oskarżony posunął się nawet dalej, mówiąc: „Omal nie położył trupem mego drogiego chłopca i to u moich stóp. A to, że tego nie zrobił bynajmniej nie stało się na skutek jakiegoś błędu z jego strony”.

Wielebny pan Crisparkle rozmawiał z Heleną i jej bratem na temat zachowania się Neville'a, wyrażając wielki żal, i przyrzekł w przyszłości położyć większy nacisk na jego naukę.

Przy innej okazji Crisparkle odwiedza Jaspera, który odczytuje mu fragment swego dziennika, gdzie formułuje obawę o bezpieczeństwo Drooda. Kilka dni później Drood, na sugestię Jaspera, pisemnie zgadza się na uczestniczenie we wspólnej z Nevillem wieszce w Wigilię Bożego Narodzenia w domu z bramą, w Cloisterham. Podobno zamiarem Jaspera było, aby tych dwoje zostało przyjaciółmi. Ich wspólny spacer po wieszce może doprowadzić, że ten zamiar został osiągnięty.

Niniejszym przedkładamy, że to wszystko zostało szczegółowo zaplanowane; Edwin

Drood został zamordowany po rozstaniu się młodych ludzi i że to John Jasper, a nie kto inny, był mordercą. Aby to poprzeć, przedstawimy odpowiednie dowody, że Jasper działał w wysoce obciążający go sposób.

Następnego dnia rano, w czasie oglądania ogromnego bałaganu w pobliżu katedry, wywołanego przez burzę, w zebrany tłum wtargnął John Jasper z krzykiem: „Gdzie jest mój siostrzeniec?!”, tak jakby wszyscy wiedzieli, że Drood zniknął, podczas gdy nikt – poza samym więźniem – nie miał powodu myśleć, że nie ma go w jego mieszkaniu. Ze swej strony tenże ochoczo wyznał, że Drood poszedł „ostatniej nocy nad rzekę z panem Nevilleem obejrzeć burzę i nie wrócił”, domagając się, by natychmiast wezwano pana Neville’a.

Te słowa kierował do wielebnego kanonika i pokazują one jasno, iż morderca był tak pewny perfekcyjnego wykonania swego czynu, że nie bał się zdemaskowania. Wiedząc, że siostrzeniec nie żyje, natychmiast próbował zrzucić winę na kogoś innego.

Teraz muszę zwrócić uwagę na inną sprawę. John Jasper, winny morderstwa lub nie, bezsprzecznie jest hipokrytą wiodącym podwójne życie. Jak wielu innych przestępców miał skłonność popełniania głupich pomyłek. Udając kogoś, kto przecież nie zabił swego „drogiego chłopca”, jak go nazywał, prowadził szczegółowe śledztwo; powinien jednak powstrzymać się od zalotów i tak jawnego nadskakiwania pannie Róży Bud.

Ale, panowie, większość przestępców w typie Johna Jaspersa, popełni przynajmniej jeden błąd, który ostatecznie doprowadzi ich do zguby. I Jasper taki błąd popełnił. Pozbysz się, jak już wspomniałem, zegarka z łańcuszkiem i spinki – przedmiotów należących do Edwina Drooda, czyli jedynej biżuterii, o której wiedział, że znajduje się w posiadaniu siostrzeńca – poczuł się bezpieczny. Jednak pozostawił przy zwłokach nieznaną mu osobie cenny złoty pierścień z brylantami i rubinami, czyli coś, czego nie mogło zniszczyć niegaszone wapno. Ten pierścień kiedyś należał do matki Róży a Droodowi wręczył go pan Grewgious, opiekun Róży Bud, z dokładną instrukcją, aby oddał go Róży, jeżeli zamierza ją poślubić albo zwrócił panu Grewgiousowi, gdyby Edwin Drood i Róża Bud postanowili – co wydawało się bardzo prawdopodobne – zerwać narzeczeństwo.

Drood przyrzekł to zrobić w obecności świadka Bazzarda, kancelisty pana Grewgiousa.

I właśnie 24 grudnia narzeczeni postanowili zerwać zaręczyny. Dlatego Drood, gdyby jakimś cudem jeszcze żył, zgodnie z obietnicą powinien był ten pierścień zwrócić panu Grewgiousowi. Jednak, panowie, pierścień nigdy nie został i nie zostanie zwrócony! A dlaczego? Dlatego, że Drood nie żyje, a tam, gdzie się znajduje jego ciało, ukryte po dokonaniu morderstwa, został też ukryty pierścień.

Jasper wiedział o wszystkich przedmiotach, które Edwin Drood miał wtedy przy sobie – z wyjątkiem pierścienia. Nie wiedział o nim dlatego, że został on wręczony Droodowi zaledwie dzień przed popełnieniem morderstwa.

Jasper nie wiedział też o zerwaniu zaręczyn, gdyby wiedział, nie miałby motywu do popełnienia morderstwa. Możemy udowodnić, że Drood przyrzekł Róży, iż nie zepsuje wujowi świąt, mówiąc mu o ich rozstaniu.

Jasper dowiedział się o tym fakcie dopiero następnego dnia po morderstwie, kiedy powiadomił go o tym pan Grewgious. Wtedy natychmiast „zerwał się z otwartymi ustami...

chwyta się za włosy. A potem [Grewgious] słyszy przerażający krzyk i nie widział już upiornej postaci ani siedzącej, ani stojącej. Zobaczył jedynie stertę potarganego i brudnego ubrania na podłodze”. Możemy z tego wnioskować, że ta informacja była dla niego wielkim szokiem.

Jakiś czas później wielebny kanonik Crisparkle, spacerując w pobliżu jazu znajduje zegarek z łańcuszkiem i spinkę i zostaje wezwany, aby złożyć zeznanie o tych i innych faktach.

A teraz, panowie, pozwólcie, że odczytam fragment z dziennika Jaspera, zanotowany zaraz po tym odkryciu:

„Mój drogi chłopiec został zamordowany. Odnalezienie zegarka i spinki utwierdza mnie w przekonaniu, że tamtej nocy zamordowano go, a biżuterię zabrano, aby za wszelką cenę uniemożliwić identyfikację ciała”.

Słowo „zamordowany” w tym czasie często pojawiało się w myślach Jaspera i często używał go w różnych zdaniach zapisanych w dzienniku, co jasno dowodzi, że starał się stworzyć wrażenie, iż jego siostrzeniec rzeczywiście został zamordowany, a używanie tego określenia odwróci uwagę od niego osobiście.

Jednak Jasper stał się nerwowy, pożałował tego wszystkiego, co zapisał w dzienniku i oświadczył wielebnemu kanonikowi, iż zamierza „pod koniec roku spalić swój dziennik”. Tym czynem niejako dowodzi, że pragnął zniszczyć wszystkie dowody winy dręczącej jego sumienie.

Należy jeszcze poruszyć jedną kwestię.

Prawdą jest, że John Jasper był uzależniony od opium i często bywał w londyńskiej palarni opium prowadzonej przez kobietę zwaną „Księżniczką Pykawką”. Pod wpływem opium dziwnie bełkocze, jęczy, a kobieta w końcu wyławia istotny sens jego słów. „Pykawka” często śledzi go do Cloisterham i przy pewnej okazji, fatalnego 24 grudnia, zaczepia Edwina Drooda i za cenę trzech szylingów i sześciu pensów zgadza się o czymś mu powiedzieć. Płaci jej, a wtedy kobieta prosi, żeby powiedział jej, jak ma na imię. Wtedy Drood mówi, że „Edwin”, a ona chce wiedzieć, „czy skrótem tego imienia jest Eddy?...”. Drood odpowiada: „Czasem tak bywa”. „Ciesz się, że nie masz na imię Ned” i dopowiada: „bo to teraz złe imię... groźne imię”. Drood zapewnia ją, że ci „którym coś grozi, żyją najdłużej”. Ona na to odpowiada: „A więc ten Ned... jest tak zagrożony, gdziekolwiek teraz jest, kiedy tu z tobą rozmawiam, kochasiu... że chyba powinien żyć wiecznie!”

Panowie, jest znamienym i zdumiewającym faktem, iż Jasper i tylko on, nazywał Edwina Drooda „Nedem” – tym groźnym imieniem.

Tej właśnie nocy Edwin Drood zniknął i nigdy już „nie ujrzało go światło słoneczne”.

Minęło kilka miesięcy, ale nie znaleziono ciała tego nieszczęsnego młodzieńca. Jasper, czując, że skutecznie oczyścił drogę, pewnego popołudnia odwiedza Dom Zakonnicy (szkołę panny Twinkleton) i znieścacka namiętnie wyznaje Róży miłość. Przepęnlony nienawiścią przysięga zemstę Neville’owi Landlessowi – człowiekowi, przeciwko któremu skierował podejrzenie. Róża była do tego stopnia przerażona tym wyznaniem, że ucieka, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo u opiekuna, pana Grewgiousa w Staple Inn. Tymczasem Jasper jest pilnie obserwowany przez osobę, która przedstawiła się nazwiskiem „Datchery”.

Efektem jest aresztowanie Johna Jaspera.

Panowie, przedstawiłem wam sprawę tak zwięźle, jak tylko mogłem – sprawę, którą macie osądzić.

Jesteśmy przekonani, że dowody, jakie przedstawiliśmy, pozwolą wam dojść do przekonania, iż więzień popełnił tę obrzydliwą zbrodnię i że możemy z całą ufnością złożyć wszystko w wasze ręce. Stoi przed wami trudne zadanie, ale wierzymy, że wydadcie sprawiedliwy wyrok w interesie sprawiedliwości i wszystkich bliźnich.

PRZEWODNICZĄCY ŁAWY PRZYSIĘGŁYCH: Pragnę zabrać głos, Wasza Lordowska Mość. Jeśli dobrze zrozumiałem, to ten uczony dżentelmen zamierza rozpocząć przesłuchania?

Pan MATZ: Tak jest.

PRZEWODNICZĄCY: Zatem mogę tylko stwierdzić, że jeśli nasz uczony kolega sądzi, iż przysięgli znajdują się pod wpływem przedstawionych dowodów, to mało zna swych kolegów rodaków!

SĘDZIA: Tymczasem, mimo tych w pewnym sensie przesadnych uwag... [pozostałe słowa Jego Lordowskiej Mości nie były słyszalne].

## ZEZNANIE ANTHONY DURDLESA

### PRZESŁUCHANIE STRONY OSKARŻAJĄCEJ

Pan MATZ: Wezwać Anthony'ego Durdlesa.

WOŹNY: Anthony Durdles! [dżentelmen ten natychmiast zajmuje miejsce na ławie świadków]

URZĘDNIK STRONY OSKARŻAJĄCEJ: Zeznanie, które pan złoży przed sądem i sędziami przysięgłymi, musi być zgodne z prawdą, tylko z prawdą i nic zawsze z prawdą.

Pan WALTERS: Nazywa się pan Durdles?

ŚWIADEK: Durdles, to moje nazwisko.

Pan WALTERS: Czy zawsze posługiwał się pan nazwiskiem Durdles?

ŚWIADEK: Tak, dlatego, że moim nazwiskiem jest Durdles.

Pan WALTERS: Jest pan, jak sądzę, kamieniarzem?

ŚWIADEK: Ta... Durdles jest kamieniarzem.

Pan WALTERS: Zechce pan powiedzieć nam, gdzie pracuje?

ŚWIADEK: Durdles pracuje gdzie się da, tu i tam, w okolicy katedry.

Pan WALTERS: W okolicy katedry. Dziękuję. Bardzo dobrze. Czy zna pan więźnia, Johna Jaspera?

ŚWIADEK: Ta... znam Johna Jaspera.

Pan WALTERS: Czy spotkał go pan gdzieś w pobliżu katedry?

ŚWIADEK: Tak. Durdles spotkał pana Jaspera w pobliżu katedry.

Pan WALTERS: Może spotkał go pan więcej niż raz?

ŚWIADEK: Dwa razy.

Pan WALTERS: Spotkał go pan dwa razy. I poszedł pan z nim do katedry. W jakim celu?

ŚWIADEK: Tak, proszę pana, on...

SĘDZIA: Muszę się wtrącić. Świadek może nie wiedzieć, po co pan Jasper poszedł do katedry.

Pan WALTERS: Wasza Lordowska Mość, z całym szacunkiem, ale więzień mógł mu o tym powiedzieć.

SĘDZIA: Jednak w tej sprawie powinien pan przesłuchiwać więźnia.

Pan WALTERS: Myślę, Wasza Lordowska Mość, że jest pan poinformowany o tym, że więzień i Durdles rozmawiali ze sobą, zatem mam pełne prawo spytać o to świadka.

SĘDZIA: No tak, sądzę, że tak.

Pan WALTERS (Do świadka): O czym wtedy rozmawialiście?

ŚWIADEK: Pan Jasper powiedział do mnie: „Jest coś nowego w krypcie?”, a ja odpowie-



działem: „Coś nowego! Chyba miał pan na myśli coś starego”.

Pan WALTERS: Doprawdy?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Co było potem?

ŚWIADEK: Zeszliśmy do krypty i dał mi się napić z butelki. To było coś ekstra.

Pan WALTERS: A co z tym węzełkiem, który niósł pan w ręku?

ŚWIADEK: Spytał mnie, czy może go ponieść.

Pan WALTERS: Tak?

ŚWIADEK: No...

Pan WALTERS: Co było w tym węzełku?

ŚWIADEK: Durdles wie, co w nim było. Klucze i inne rzeczy.

Pan WALTERS: Ach, klucze. Przypuszczam, że zgodził się pan, aby niósł ten węzełek?

ŚWIADEK: Tak, zgodziłem się. No, po to, bym mógł łyknąć z butelki.

Pan WALTERS: Czy pan Jasper widział leżące w pobliżu niegaszone wapno?

ŚWIADEK: No, tam przy krypcie zawsze leży kupa niegaszonego wapna. Zawsze.

Pan WALTERS: Pan o tym wiedział. Ale czy zauważył je pan Jasper?

ŚWIADEK: Zauważył. I zapytał, co to jest.

Pan WALTERS: Ach tak, zapytał, co to jest. I powiedział mu pan, co to jest?

ŚWIADEK: Tak; powiedziałem, że może wszystko zeżreć; buty, a jak pomiesza się rękami, to może i ręce zeżreć do kości.

Pan WALTERS: A więc może zeżreć i ręce. I gdy o to spytał, to nie zastanawiał się pan dlaczego pyta?

ŚWIADEK: Durdles myśli, że każdy ma prawo pytać i robić, co chce.

Pan WALTERS: Kiedy spytał pana czy to niegaszone wapno jest żrące, to przecież musiał pan pomyśleć, że ma ku temu jakiś powód?

ŚWIADEK: Tak, pomyślałem.

Pan WALTERS: Ludzie używają niegaszonego wapna w zupełnie niewinnym celu, prawda?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Czy dodają je do cementu?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Do czego jeszcze używają niegaszonego wapna?

ŚWIADEK: Do ewentualnego zniszczenia ciała.

Pan WALTERS: Myśli pan, nawiasem mówiąc, że pytał o to, chcąc wiedzieć, co jeszcze może „zeżreć” to wapno?

ŚWIADEK: Nie przypuszczam, żeby chciał go używać do niszczenia jakichś śmieci.

Pan WALTERS: Co się stało później? Łyknął pan z butelki i rozmawialiście, co było potem? Poszedł pan do domu?

ŚWIADEK: Nie. Zasnąłem.

Pan WALTERS: Ach, zasnął pan.

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Coś jeszcze?

ŚWIADEK: Miałem sen.

Pan WALTERS: Coś się panu śniło przed obudzeniem?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Jakiego charakteru było to sen?

ŚWIADEK: Śniło mi się, że pan Jasper chodzi obok mnie z kluczami w ręku i pomyślałem, iż zostanę tu sam w ciemności. Potem ujrzałem powracające światło i wtedy pan Jasper zbudził mnie, mówiąc: „Hej, zbudziłeś się wreszcie?”.

Pan WALTERS: I zbudził się pan?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Pamięta pan, jak długo spał?

ŚWIADEK: Długo. Pamiętam, że zegar wybił dwa razy.

Pan WALTERS: A zasnął pan około północy?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Czyli spał pan dwie godziny?

ŚWIADEK: Tak, pewnie tak.

Pan WALTERS: Co jeszcze? Zauważył pan coś jeszcze?

ŚWIADEK: Kiedy się obudziłem, zobaczyłem leżący na ziemi klucz i zapytałem: „Upuściłem cię, co?”. Więc podniosłem go i poprosiłem pana Jaspera żeby oddał mi węzełek.

Pan WALTERS: I oddał go?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Przypuszczam, że w czasie waszej krótkiej rozmowy miał pan okazję wspomnieć o pewnej osobliwości pańskiej sztuki – o opukiwaniu grobowców?

ŚWIADEK: O tak... tak.

Pan WALTERS: Może pan coś więcej powiedzieć sądowi?

ŚWIADEK: Powiedziałem mu, że mogę moim małym młotkiem opukiwać i opukiwać, a potem powiedzieć, czy wewnątrz jest monolitem czy pustką. Na przykład mówiłem: „Puk, puk, stary, rozpadający się w kamiennej trumnie w krypcie!”

Pan WALTERS: I tak mu pan właśnie powiedział?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: A co na to pan Jasper?

ŚWIADEK: Powiedział, że mam cudowny dar, a ja na to: „To nie żaden dar, wszystko mam w głowie”.

Pan WALTERS: Rozumiem, że wyjaśnił mu pan, co może zrobić, opukując ściany – że może rozpoznać, czy za nimi jest lity kamień, czy pustka?

ŚWIADEK: Tak, Durdles, opukując, może określić, czy tam jest solidny kamień, czy pustka.

Pan WALTERS: Był tym tematem zainteresowany?

ŚWIADEK: Bardzo, proszę pana.

Pan WALTERS: Zna pan grobowiec Sapsea?

ŚWIADEK: Durdles zna grobowiec Sapsea.

Pan WALTERS: Czy obecnie spoczywają w nim tylko jedne zwłoki?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Czy opukując ten grobowiec swoim młotkiem nie był pan zaskoczony dźwiękiem?

ŚWIADEK: Brzmiał tak, jakby był pełniejszy niż zwykle.

Pan WALTERS: Czy dźwięk wskazywał, że jest pełniejszy, niż w czasie, gdy poprzednio pan go opukiwał?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Zgłaszam sprzeciw. To jest świadek formalny i nie jest teraz przesłuchiwany w przez stronę przeciwną.

Pan WALTERS: Dobrze, zastosuję się. (Do świadka.) Czy spotkał się pan z nim w innym czasie?

Pan CHESTERTON: To jest tylko formalne przesłuchanie.

SĘDZIA: O co chodzi?

Pan CHESTERTON: Wasza Lordowska Mość ma przed sobą dokument, w którym znajdzie zapis, że świadkowie poddawani przesłuchaniu przez stronę przeciwną, mogą być zwolnieni z pewnych zeznań. Natomiast świadkowie formalni nie mają do tego prawa.

SĘDZIA (Po przejrzaniu „Warunków”): Tak, myślę, że wiem, o co panu chodzi, panie Chesterman... albo Chesterton... jakkolwiek to brzmi. Rozumiem, że jako strona przeciwna chce pan tego świadka przesłuchać, tak jakby był głównym świadkiem w tym procesie.

Pan CHESTERTON: Sądzę, że zauważył pan, iż w drugim ustępie...

Pan WALTERS: Nie ma to dla mnie wielkiego znaczenia.

SĘDZIA: Chwileczkę, muszę sprawdzić. (Po przeczytaniu wspomnianego ustępu.) Myślę, że jest pan usprawiedliwiony, jednak, z pewnym naciskiem, polecam panu przerwać.

Pan WALTERS: Chcę zadać tylko jeszcze jedno pytanie. (Do świadka.) Czy rozmawiał pan z panem Datcherym?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Muszę pana, lordzie, poprosić, aby sędziowie przysięgli całkowicie zignorowali zeznanie na temat opukiwania.

PRZEWODNICZĄCY ŁAWY PRZYSIĘGŁYCH: Jak mamy o tym zapomnieć, Wasza Lordowska Mość? To bardzo trudna kwestia.

Pan WALTERS: Myślę, że zostawię sędziom przysięgłym podjęcie w tej sprawie decyzji we własnym zakresie. Od Durdlesa chcę się jeszcze tylko dowiedzieć, czy rozmawiał z Datcherym?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Dziękuję. To wszystko.

ŚWIADEK: Dziękuję panu. Wypiję za pana zdrowie w drodze do domu, może nawet dwa razy, a do domu nie dojdę aż do rana.

## **ANTONY DURDLES PRZESŁUCHIWANY PRZEZ STRONĘ PRZECIWNĄ**

Pan CROTCH: Chwileczkę, jeśli łaska.

ŚWIADEK: Och, przepraszam pana. Przepraszam.

Pan CROTCH: A więc, Durdles, wiesz wszystko o właściwościach niegaszonego wapna?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CROTCH: Możesz powiedzieć, czy może ono zniszczyć metal?

ŚWIADEK: Nie sędzę, żeby niegaszone wapno mogło niszczyć metal.

Pan CROTCH: Więc przypuszczasz, że nie może tego zrobić?

ŚWIADEK: Nie przypuszczam, wiem na pewno.

Pan CROTCH: A zatem, Durdles...

SĘDZIA: Proszę żeby zwracał się pan do świadka z większym respektem, na przykład „pan” Durdles.

Pan CROTCH: Dobrze, Wasza Lordowska Mość.

ŚWIADEK: *Pan* Durdles, proszę pana.

Pan CROTCH (Do świadka): Jak zrozumiałem, był pan zatrudniony do robót przy katedrze i wie pan wszystko o krypcie?

ŚWIADEK: Tak, proszę pana.

Pan CROTCH: Proszę mi powiedzieć, w jakim stanie w 1860 roku były tam okna?

ŚWIADEK: Co takiego?

Pan CROTCH: Powtórzę jeszcze raz. W jakim stanie w roku 1860 były okna w krypcie?

ŚWIADEK: Chodzi panu o to, czy były czyste, czy brudne?

Pan CROTCH: Czy były zniszczone? Powybijane?

ŚWIADEK: Tak, proszę pana. Były zawsze powybijane.

Pan CROTCH: Były powybijane, ale czy były częściowo zabite deskami?

ŚWIADEK: Nie pamiętam, proszę pana.

Pan CROTCH: Pan nie pamięta! Przecież pan ciągle przebywał w krypcie!

ŚWIADEK: Niektóre z nich.

Pan CROTCH: Ile tam jest okien?

ŚWIADEK: Nie wiem.

Pan WALTERS: Nie sądzę, żeby świadek liczył okna!

ŚWIADEK: Dziękuję panu.

Pan CROTCH: W istocie nie miał pan wiele okazji, aby wyganiać chłopców i innych ludzi z krypty?

ŚWIADEK: Nie miałem, bo tak naprawdę, to oni mnie stamtąd wyganiali.

Pan CROTCH: W jaki sposób chłopcy dostawali się do krypty?

ŚWIADEK: Słucham?

Pan CROTCH: Nie wie pan?

ŚWIADEK: Nie, nie wiem.

Pan CROTCH: Może pan przysiąc?

ŚWIADEK: Tak, przysięgam, że nie wiem.

Pan CROTCH: Nigdy nie widział pan jak włązą przez okna do krypty?

ŚWIADEK: Może wtedy, gdy byłem trzeźwy.

Pan CROTCH: Może. Niech mi pan powie, czy spotkał pan Datchery'ego?

ŚWIADEK: Spotkałem.

Pan CROTCH: Wpuścił go pan do krypty Sapsea?

Pan WALTERS: To wykracza daleko poza...

Pan CHESTERTON: Gdyby mój uczony kolega zajrzał do pierwszego akapitu, mógłby przeczytać, że w czasie przesłuchania strony przeciwnej formalny świadek może, w odpowiedzi na szczególne pytania, podawać wyjaśnienia nie zanotowane w protokole.

Pan WALTERS: Zatem będę musiał powtórnie przesłuchać świadka.

Pan CHESTERTON: Z pewnością.

Pan CROTCH: A więc, panie Durdles, czy wpuścił pan kiedyś pana Datchery'ego do krypty Sapsea?

ŚWIADEK: Tego nie pamiętam.

Pan CROTCH: Jeżeli nie pamięta pan Datchery'ego, to proszę powiedzieć, czy wpuścił

pan kogoś innego?

ŚWIADEK: Nie, nie mogę powiedzieć żebym to zrobił.

Pan CROTCH: Dziękuję, panie Durdles.

ŚWIADEK: No to do widzenia. W drodze do domu wypiję za pańskie zdrowie, ale nie dotrę tam aż do rana – błagam o wybaczenie, Wasza Lordowska Mość.

# ZEZNANIE WIELEBNEGO KANONIKA SEPTIMUSA CRISPARKLE'A

## PRZESŁUCHANIE STRONY OSKARŻAJĄCEJ

Pan WALTERS: Wielebny kanonik Crisparkle.

WOŹNY: Wielebny kanonik Crisparkle.

[Dzientelmen ten odpowiada na wezwanie, zajmuje miejsce na ławie świadków i składa odpowiednią przysięgę.]

PRZEWODNICZĄCY ŁAWY PRZYSIĘGŁYCH: Czy mogę się na chwilę wtrącić? Ten dzientelmen został wezwany jako wielebny kanonik Septimus Crisparkle. Oznajmiam Waszej Lordowskiej Mości, że jego prawdziwe nazwisko brzmi Christopher Nubbles; człowiek który próbował poinformować pana – niejaki pan Chuckster – oskarżył go o snobizm, a pan w jednej ze swych mów podsumowujących, które uczyniły Waszą Lordowska Mość tak słynnym w biegłości używania języka angielskiego, stwierdził, że ten zarzut był dobrze i prawdziwie udowodniony. Teraz ja stwierdzam, że pan Christopher Nubbles przyjechał do Cloisterham, został kanonikiem mniejszym, przyjął nazwisko Crisparkle i od tej pory stał się jeszcze bardziej nieznośnym snobem.

Pan WALTERS: Panie Crisparkle, zakładam, że jest pan kanonikiem katedry w Cloisterham?

ŚWIADEK: Tak, proszę pana.

Pan WALTERS: Przypuszczam, że – jak dotąd – nikt nigdy nie kwestionował pańskiej tożsamości?

ŚWIADEK: Nigdy. Cieszę się, że tak mogę odpowiedzieć na tę impertynencję.

Pan WALTERS: Zna pan Johna Jaspera?

ŚWIADEK: Bardzo dobrze. Codziennie współpracował ze mną przy wypełnianiu obowiązków katedralnych.

Pan WALTERS: Czy mówił panu jak gorącym uczuciem darzy swego siostrzeńca, Edwina Drooda?

ŚWIADEK: Nieustannie to powtarzał.

Pan WALTERS: Czy poufnie zwierzał się panu ze swego uczucia do Róży Bud?

ŚWIADEK: Nie, nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek o tym wspomniał.

Pan WALTERS: Dobrze. Zatem w tej sprawie Jasper oszukiwał pana?

ŚWIADEK: Czy słowo oszukiwał jest odpowiednie? Jest winny braku zaufania księdzu. Teologicznie mówiąc można to nazwać oszukiwaniem.

Pan WALTERS: Jak sądzę, był pan nauczycielem Neville'a Landlessa?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Czy zechce pan sądowi wyrazić swoją opinię, jaką pan sformułował na temat charakteru tego młodego człowieka?

ŚWIADEK: Mogę stwierdzić, że jest to człowiek bardzo impulsywny, ale też bardzo łatwo ulega wpływom.

Pan WALTERS: O ile wiem ma siostrę?

ŚWIADEK: Tak, to panna Helena Landless.

Pan WALTERS: I znajdował się pod jej silnym wpływem?

ŚWIADEK: Mogę powiedzieć, że wywierała na niego dobry i silny wpływ.

SĘDZIA: Sugeruję, że to pytanie jest bardzo niestosowne. Wszyscy bywamy pod czyimś wpływem. Ja jestem pod wpływem przewodniczącego ławy przysięgłych do tego stopnia, że niemal całkowicie zgadzam się z poglądem, że zajmie się tym problemem. Jednak myślę, że nie jest całkiem właściwe pytać czy „on znajduje się pod wpływem swojej siostry?”. Mam rację?

Pan WALTERS: Ale, Wasza Lordowska Mość, ten dżentelmen dobrze znał obie strony i jest dobrze zorientowany w panujących między nimi relacjach.

ŚWIADEK: Tak, to się zgadza.

SĘDZIA: Ja...

Pan WALTERS: Nie będę na to naciskać. Mogę pana zapytać, panie Crisparkle, czy jest pan człowiekiem mogącym wywierać na kogoś wpływ?

ŚWIADEK: Czy to pytanie jest właściwe, panie sędzio?

SĘDZIA: Zupełnie właściwe.

ŚWIADEK: Mogę powiedzieć, że robię to, co umiem najlepiej. Od czasu do czasu rozmawiałem z nim i stwierdziłem, że był bardzo zmartwiony moimi słowami.

Pan WALTERS: Powiedział pan, że był porywczy. Może dlatego popełnił kilku błędów? Może je pan określić jako niebezpieczne?

ŚWIADEK: Nie, nie; o nie. To takie błędy niezdiscyplinowanego chłopca.

Pan WALTERS: Miał jakieś cechy pozytywne?

ŚWIADEK: Wiele, według mnie dużo więcej niż inni.

Pan WALTERS: Neville Landless pokłócił się z innym młodym człowiekiem. Uważał pan, że to było ważne?

ŚWIADEK: Nie, nie sędzę; myślę, że mało ważne. Młody, gorący temperament... wkrótce wszystko minęło. On pierwszy tego żałował.

Pan WALTERS: Znał pan Edwina Drooda?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: I dowiedział się pan o jego kłótni z Nevillem Landlessem?

ŚWIADEK: Tak.



Pan WALTERS: Kto panu o tym powiedział?

ŚWIADEK: No, w pierwszej kolejności wspomniał mi o niej Neville Landless po powrocie do mojego domu. Powiedział, że źle zaczął i było mu przykro. Ale wkrótce przyszedł pan Jasper i to, co on powiedział, w rzeczywistości bardzo się różniło od relacji Neville'a.

Pan WALTERS: Ten sam John Jasper, który już pana oszukiwał?

ŚWIADEK: Ten, który wprowadził mnie w błąd przez zatajenie.

Pan WALTERS: John Jasper był rywalem Edwina Drooda w ubieganiu się o względy Róży Bud?

ŚWIADEK: Jak się później okazało.

Pan WALTERS: Zdając panu relację o kłótni, użył mocnego słowa – zgadza się?

ŚWIADEK: Zgadza się. Po wejściu do pokoju powiedział, że przeżył z nim straszne chwile. Wtedy odparłem: „Chyba nie było aż tak źle!”, a on na to wykrzyknął: „On był morderczy!... morderczy!”

Pan WALTERS: Jest pan pewien, że użył słowa „morderczy”?

ŚWIADEK: Jestem tego absolutnie pewny.

Pan WALTERS: Jak pan na to zareagował?

ŚWIADEK: Powiedziałem: „Błagam, żeby pan nie używał tak mocnych słów.” Ale on użył jeszcze mocniejszych. Powiedział, że w Neville'u jest coś z dzikiego zwierzęcia i że w jego żyłach płynie tygrysia krew. Obawiał się, że może uderzyć jego drogiego chłopca, jak go nazywał, i zwalić z nóg.

Pan WALTERS: Jest pan całkiem pewien, że tak właśnie się wyraził?

ŚWIADEK: Całkowicie.

Pan WALTERS: W ślad za tym, jak sędzę, poprosił pan Neville'a o wyjaśnienia? Rozmawiał pan z nim?

ŚWIADEK: Tak, przeprowadziłem długą rozmowę z nim i z jego siostrą.

Pan WALTERS: Czy pan Jasper był zadowolony z podanych przez pana wyjaśnień?

ŚWIADEK: Nie, obawiam się, że nie był. Kilka dni później, gdy usiłowałem doprowadzić do zgody między obu młodymi ludźmi i zorganizowałem spotkanie, Jasper skorzystał z okazji i pokazał mi swój dziennik, w którym zanotował obawy i podejrzenia, bał się o bezpieczeństwo swego drogiego chłopca.

Pan WALTERS: Obawy i podejrzenia?

ŚWIADEK: Tak się wyraził.

Pan WALTERS: Możemy więc przyjąć, że ten człowiek zawsze trzymał się wersji mówiącej o niebezpieczeństwie, używał słowa „morderca” i nastawiał pana przeciwko Nevilleowi Landlessowi?

ŚWIADEK: Obawiam się, że właśnie takie odebrałem wrażenie.

Pan WALTERS: I to wrażenie pozostało w pańskim umyśle po rozmowie z Johnem Jasperem?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Myślę, iż wie pan, że w Wigilię miało miejsce przyjacielskie spotkanie?

ŚWIADEK: Tak, ponieważ brałem czynny udział w zorganizowaniu go.

Pan WALTERS: Następnego dnia Neville Landless rozpoczął swoją pieszą wędrówkę?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Poinformował pana o tym?

ŚWIADEK: O tak.

Pan WALTERS: Był zupełnie szczery?

ŚWIADEK: Zupełnie.

Pan WALTERS: Postępował zgodnie ze swoimi planami?

ŚWIADEK: Tak, to było zgodne z tym, co sobie zaplanował.

Pan WALTERS: Było to wczesnym rankiem w pierwszym dniu świąt?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Wigilia zapadła panu dobrze w pamięć?

ŚWIADEK: Bardzo dobrze.

Pan WALTERS: Dlaczego?

ŚWIADEK: Szczególnie zapamiętałem ją z wieczornego nabożeństwa. John Jasper popisał się tego dnia doskonałym głosem i po wyjściu z katedry pogratulowałem mu. Powiedziałem, że pewnie cieszy się bardzo dobrym zdrowiem.

Pan WALTERS: Bardzo dobrym zdrowiem; odpowiedział panu coś na to?

ŚWIADEK: Odpowiedział, że **jest** zdrowy i w przejawie czarnego humoru zwierzył się, iż zamierza spalić swój dziennik – cisnąć go w ogień, jak się wyraził.

Pan WALTERS: Śmiał się też przy tym?

ŚWIADEK: Zaczął się śmiać przy tylnych drzwiach.

Pan WALTERS: Czy pan Jasper często się śmiał?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Zatem myśli pan, że to był wyjątkowy wybuch dobrego humoru?

ŚWIADEK: Tak, takie odniosłem wrażenie.

Pan WALTERS: Pamięta pan, jaka wtedy była noc?

ŚWIADEK: Była wtedy okropna burza.

Pan WALTERA: Przejdźmy do następnego dnia. Co się wydarzyło następnego dnia rano?

ŚWIADEK: Właśnie się ubierałem, gdy usłyszałem przy bramie okropny hałas i ujrzałem Johna Jaspera w jakimś dziwnym stroju, wrzeszczącego w kierunku mojego domu.

Wyjrzałem i zapytałem, o co chodzi, a on na to: „Gdzie mój siostrzeniec?” Oczywiście odpowiedziałem: „Dlaczego pan mnie o to pyta?” Odpowiedział: „Wczoraj późnym wieczorem wyszedł nad rzekę obejrzeć burzę w towarzystwie Neville’a Landlessa i od tego czasu nie słyszałem o nim”. A potem dodał: „Wezwać pana Neville’a”. Powiedziałem mu, że Neville już wyruszył na wycieczkę.

Pan WALTERS: W czasie pańskiej rozmowy z Johnem Jasperem zauważył pan, że jest oszołomiony, jakby był pod działaniem narkotyków?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Uderzyło pana, że jest wyjątkowo trzeźwy?

ŚWIADEK: Chyba tak. Tak... był wyjątkowo trzeźwy.

Pan WALTERS: Wyrażał się zwięźle i zrozumiale?

ŚWIADEK: Tak, mówił bardzo wyraźnie.

Pan WALTERS: Jeżeli ktoś panu mówił, że cierpi skutki zażywania narkotyków i bywa oszołomiony albo rozkojarzony, to czy pan osobiście stwierdził tego rodzaju objawy?

ŚWIADEK: Nie, nie stwierdziłem.

Pan WALTERS: Co pan zrobił w związku z panem Nevillem?

ŚWIADEK: Wysłaliśmy za nim ludzi, a ja i pan Jasper podążyliśmy za nimi. Kiedy spotkał się z nim, Jasper zapytał: „Gdzie mój siostrzeniec?”, a Neville odpowiedział: „Dlaczego mnie pan o to pyta?”

Pan WALTERS: Co na to Jasper?

ŚWIADEK: Powiedział: „Ostatnio widziano go w pańskim towarzystwie...” albo coś w tym rodzaju.

Pan WALTERS: Jakie pan odniósł wrażenie, gdy to mówił? Co to według pana miało znaczyć?

ŚWIADEK: Przykro mi to mówić, ale odniosłem wrażenie, że Jasper chce zasugerować, iż Neville Landless jest w jakimś sensie odpowiedzialny za zniknięcie Drooda.

Pan WALTERS: Powtórnie sugerował, że mordercą jest Neville Landless?

ŚWIADEK: Tak było. Niewątpliwie.

Pan WALTERS: Czy ten młody człowiek, Neville Landless, obciążony tak strasznym oskarżeniem, chętnie zawrócił ze swej drogi?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Odpowiadał na każde stawiane mu pytanie?

ŚWIADEK: Odpowiadał zupełnie szczerze.

Pan WALTERS: Jakiś czas później dokonał pan pewnego odkrycia. Może pan powiedzieć sądowi, co to było?

ŚWIADEK: Wędrując brzegiem rzeki, około dwóch mil od miejsca, w którym po raz ostatni widziano idących razem obu młodzieńców – kiedy znalazłem się dokładnie przy ja-

zie – ujrzałem coś błyszczącego. Po bliższych oględzinach stwierdziłem, że to jakiś cenny przedmiot. Natychmiast wskoczyłem do wody – na szczęście dobrze pływam – i znalazłem złoty zegarek z łańcuszkiem. Łańcuszek zawieszony był na drewnianym balu jazu. Potem w mule dna znalazłem złotą spinkę do mankietu. Na zegarku były wygrawerowane litery E. D.

Pan WALTERS: Powiedział pan Jasperowi o znalezieniu tych przedmiotów?

ŚWIADEK: Natychmiast!

Pan WALTERS: Co na to powiedział?

ŚWIADEK: Początkowo nic nie powiedział, ale kilka dni później, kiedy przebieraliśmy się w zakrystii, pokazał mi dziennik, o którym wspominałem.

Pan WALTERS: Zawierał jakieś odniesienie do tego faktu?

ŚWIADEK: Nie przypominam sobie dokładnie, jakich użył słów, ale to było coś w tym sensie: „...mój biedny chłopiec z pewnością został zamordowany. Niewątpliwie potwierdza to znaleziony zegarek i spinka. Z pewnością zostały mu zabrane po to, aby uniemożliwić identyfikację zwłok...”. Były tam tego rodzaju określenia.

Pan WALTERS: Chwileczkę, panie Crisparkle. Chyba się nie mylę, ale czy tym sposobem znowu nie sugerował panu morderstwa?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: I wskazał Neville’a Landlessa jako mordercę?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Takie wrażenie pozostało w pańskim umyśle po rozmowie z Jasperem?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: To dobrze, czy też źle, że pozostało w panu takie wrażenie?

ŚWIADEK: Bez względu na to, czy to dobrze czy źle, ale fakt faktem, że takie wrażenie pozostało.

Pan WALTERS: Dziękuję, panie Crisparkle.

PRZEWODNICZĄCY ŁAWY PRZYSIĘGŁYCH: Jeśli dobrze zrozumiałem słowa świadka, więzień był muzykiem?

ŚWIADEK: Tak, panie sędzio.

PRZEWODNICZĄCY ŁAWY PRZYSIĘGŁYCH: Jego sprawa w istocie przedstawia się w czarnych barwach.

## **KANONIK CRISPARKLE PRZESŁUCHIWANY PRZEZ STRONĘ PRZECIWNĄ**

Pan CROTCH: Panie Crisparkle, wracając do wieczoru poprzedzającego kłótnię i powrót Neville’a Landlessa. Pamięta pan oskarżenie, że Neville był odurzony alkoholem?

ŚWIADEK: Doskonale.

Pan CROTCH: Powiedział pan wtedy: „Ty nie jesteś trzeźwy”?

ŚWIADEK: Tak powiedziałem.

Pan CROTCH: Pamięta pan co odpowiedział?

ŚWIADEK: Odpowiedział: „Tak, obawiam się, że to prawda, ale wypilem bardzo mało”.

Pan CROTCH: „Innym razem przekonam pana, że wypilem bardzo mało”, czy dobrze zacytowałem użyte przez niego słowa?

ŚWIADEK: Niewątpliwie.

Pan CROTCH: Powiedział pan, że poszedł do jazu, który znajduje się w odległości dwóch mil od rzeki?

ŚWIADEK: Nie, dwie mile od miejsca, w którym Edwin Drood i Neville Landless poszli oglądać burzę.

Pan CROTCH: I tam właśnie, przy jазie, znalazł pan opisane przedmioty?

ŚWIADEK: Zgadza się.

Pan CROTCH: W jakiej pozycji znajdował się zegarek z łańcuszkiem?

ŚWIADEK: Był przyczepiony do drewnianych bali. W miejscu, gdzie się krzyżują.

Pan CROTCH: Jak gdyby ktoś zszedł w dół z młotkiem i gwoździem, a potem powiesił go tam rozmyślnie?

ŚWIADEK: Nie, tego nie mogę powiedzieć.

Pan CROTCH: Spinka tkwiła w mule.

ŚWIADEK: Tak, w mule dna.

Pan CROTCH: Czy to był taki zwykły luźny muł?

ŚWIADEK: Tak, zwykły błotnisty muł.

Pan CROTCH: Znalazł pan coś jeszcze?

ŚWIADEK: Nie.

Pan CROTCH: Absolutnie nic?

ŚWIADEK: Nic.

Pan CROTCH: Chcę panu zadać jedno delikatne pytanie. Mam nadzieję, że nie poczuje się pan urażony. Czy to prawda, że zakochał się pan w Helenie Landless?

Pan WALTERS: Mój Boże, mój Boże! Muszę zgłosić sprzeciw. Sądzę, że to tajemnica, którą każdy mężczyzna kryje w sercu i mój przyjaciel nie ma prawa żądać, by ją zdradził.

ŚWIADEK: Panie sędzio, nie mam nic przeciwko temu, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Ta pani wkrótce stanie w roli świadka przed sądem i kiedy pan ją zobaczy, nie będzie zaskoczony, że moje serce na jej widok trochę żywiej zabiło.

Pan CROTCH: Dziękuję, kanoniku Crisparkle.

Pan WALTERS: Kanoniku Crisparkle słówko, jeśli łaska, w sprawie dokładnego położenia jazu. Wydaje mi się, że nie określił pan dokładnej pozycji jazu – czy był oddalony

o milę lub dwie albo o pół mili, że tak naprawdę nie zna pan rzeczywistej odległości?  
ŚWIADEK: Nie, nie jestem biegły w matematyce.

Pan WALTERS: Jeżeli powiem, że było to nieco bliżej katedry, to nie będzie się pan spierał?

ŚWIADEK: Ani przez moment.

Pan WALTERS: Dziękuję panu. To wszystko.

## ZEZNANIE HELENY LANDLESS

### PRZESŁUCHANIE STRONY OSKARŻAJĄCEJ

Pan WALTERS: Wezwać Helenę Landless.

WOŹNY: Helena Landless!

[Helena Landless zostaje wprowadzona na miejsce dla świadków i składa stosowną przysięgę.]

Pan WALTERS: Proszę podać swoje nazwisko.

ŚWIADEK: Helena Landless.

Pan WALTERS: Ma pani brata imieniem Neville?

ŚWIADEK: Tak, brata bliźniaka.

Pan WALTERS: Łączą was więzy głębokiej miłości?

ŚWIADEK: Bardzo silne więzy.

Pan WALTERS: Są one tak silne, że oboje się rozumiecie?

ŚWIADEK: Można powiedzieć, że nawet znamy swoje myśli.

Pan WALTERS: Czy, jak sądzę, ma pani zwyczaj ćwiczyć na nim swoje zdolności wpływania na niego, a nawet kierowania nim?

ŚWIADEK: Zawsze tak było.

Pan WALTERS: Gdzie mieszkaliście we wczesnej młodości?

ŚWIADEK: Na Cejlonie.

Pan WALTERS: Z rodzicami?

ŚWIADEK: Nie. Nasi rodzice zmarli, gdy byliśmy małymi dziećmi i opiekował się nami ojczym.

Pan WALTERS: Jak panią traktował?

ŚWIADEK: Bardzo źle. Był zawsze dla nas okrutny i surowy.

Pan WALTERS: Bił panią?

ŚWIADEK: Chłostał nas jak psy i uciekaliśmy.

Pan WALTERS: Ile miała pani lat, uciekając po raz pierwszy?

ŚWIADEK: Siedem.

Pan WALTERS: Kto wpadł na ten pomysł?

ŚWIADEK: Ja sama.

Pan WALTERS: Towarzyszył pani brat?

ŚWIADEK: On zawsze mi towarzyszy.

Pan WALTERS: Pani wszystko planowała?

ŚWIADEK: Ja zawsze wszystko planuję.

Pan WALTERS: Nie bała się pani uciekać?

ŚWIADEK: Chciałam być wolna.

Pan WALTERS: Co pani zrobiła, żeby ucieczka się powiodła?

ŚWIADEK: Obcięłam włosy i przebrałam się za chłopca.

Pan WALTERS: Wymagało to wielkiej odwagi?

ŚWIADEK: No cóż, sytuacja wymagała wielkiej odwagi i zdolności przywódczych.

Pan WALTERS: Wtedy, gdy wymagało to wielkiej odwagi i przewodzenia, nie myślała pani o odwadze i przewodzeniu, prawda?

ŚWIADEK: Nie myślałam.

Pan WALTERS: W istocie robiła to pani, jak myślę, nie tylko dla siebie ale i dla brata?

ŚWIADEK: Myślę, że bardziej dla niego.

Pan WALTERS: Bardzo pani kocha brata?

ŚWIADEK: Szczerze go kocham.

Pan WALTERS: Teraz też?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: I zrobiłaby pani to znowu, panno Landless?

ŚWIADEK: Teraz i wiele razy.

Pan WALTERS: A dla kogoś innego, koga pani kocha?

ŚWIADEK: Gdybym go wystarczająco silnie kochała.

Pan WALTERS: Pani niedawno przybyła do Anglii. Gdzie się pani zatrzymała po przybyciu?

ŚWIADEK: U panny Twinkleton, w Domu Zakonnicy, a brat u pana Crisparkle'a.

Pan WALTERS: W Domu Zakonnicy mieści się szkoła z internatem?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Czy było tam dużo dziewcząt?

ŚWIADEK: Tak, kilka.

Pan WALTERS: Między innymi panna Róża Bud?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Spotkała ją pani?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: I zaprzyjaźniłyście się?

ŚWIADEK: Tak, stałyśmy się bliskimi przyjaciółkami.

Pan WALTERS: Może pani w przybliżeniu określić jej charakter?



ŚWIADEK: Myślę, że to słodka, miła dziewczyna, chociaż płocha i bojaźliwa.

Pan WALTERS: Nie posiadała pani odwagi?

ŚWIADEK: Nie posiadała.

Pan WALTERS: Jak sądzę, uczyła się muzyki? Kto był jej nauczycielem?

ŚWIADEK: John Jasper.

Pan WALTERS: Pamięta pani przyjęcie u kanonika Crisparkle'a, krótko po waszym przyjeździe?

ŚWIADEK: Odbył się w dniu naszego przyjazdu.

Pan WALTERS: Kto w nim wziął udział?

ŚWIADEK: Ja, panna Twinkleton, Róża Bud, Edwin Drood i John Jasper.

Pan WALTERS: Jest pani pewna, że był też John Jasper?

ŚWIADEK: Tak, szczególnie zapamiętałam jego obecność.

Pan WALTERS: Dlaczego?

ŚWIADEK: Z powodu dziwnego sposobu zachowania w stosunku do Róży Bud.

Pan WALTERS: Jakiego?

ŚWIADEK: Baczenie ją obserwował. W czasie tego wieczoru śpiewała do jego akompaniamentu, a jego oczy przez cały czas spoczywały na niej z niezwykle szczególnym wyrazem i to wydawało się sprawiać Róży przykrość, chociaż ona na niego nie patrzyła. Nagle ukryła twarz w dłoniach, wybuchła płaczem i powiedziała, że jest przerażona i chce, żeby ją wyprowadzono.

Pan WALTERS: Myśli pani, że z jej strony było to czyste urojenie? Czy też naprawdę była przerażona?

ŚWIADEK: Tak. Ona była naprawdę przerażona.

Pan WALTERS: Tam, gdzie ludzie są przerażeni, w większości przypadków bywa niebezpiecznie. Myśli pani, że w jego wzroku kryło się niebezpieczeństwo?

ŚWIADEK: Myślę, że w jego wzroku kryła się groza.

Pan WALTERS: Powiedziała jej pani o tym?

ŚWIADEK: Tak. Odpowiedziała, że on ją przeraża, że nawiedza ją jak upiór i że potajemnie się w niej kocha.

Pan WALTERS: A jej się to nie podobało?

ŚWIADEK: Błagała mnie żebym się nią zaopiekowała, żebym z nią została.

Pan WALTERS: Przynęła jej to pani?

ŚWIADEK: Powiedziałam, że będę ją chronić.

Pan WALTERS: Proszę dobrze uważać. Jeżeli ten człowiek przerażał Różę, to nie mógł w równym stopniu przerażać i panią?

ŚWIADEK: W żadnym razie.

Pan WALTERS: Dlatego, że jest pani kobietą odważną?

ŚWIADEK: Sądzę, że tak.

Pan WALTERS: Czy pani obietnica, że będzie ją chronić i otaczać opieką, ograniczyła się tylko do słów? Podjęła pani jakieś konkretne działania?

ŚWIADEK: Obserwowałam Johna Jaspera.

Pan WALTERS: Dlaczego właśnie jego?

ŚWIADEK: Ponieważ uważałam, że zagraża spokojowi i szczęściu Róży.

Pan WALTERS: Myśli pani, że był źródłem niebezpieczeństwa?

ŚWIADEK: Nikt inny, tylko Jasper.

Pan WALTERS: Czy miała wrogów?

ŚWIADEK: Była zbyt słodka i za bardzo sympatyczna.

Pan WALTERS: A pani była przekonana, że niebezpieczny był dla niej Jasper i tylko on?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Zostawmy to na chwilę i przejdźmy do pani brata. Jest pani bardzo bliska bratu i zwierza mu się. Czy przyjaźnił się z Droodem?

ŚWIADEK: Tak, ale między nimi miało miejsce małe nieporozumienie.

Pan WALTERS: Nieporozumienie?

ŚWIADEK: To była tylko różnica zdań.

Pan WALTERS: Myśli pani, że taka różnica zdań mogła doprowadzić pani brata do tego, że zaatakował go?

ŚWIADEK: To niedorzeczne.

Pan WALTERS: Pokłócili się na samym początku?

ŚWIADEK: Mojemu bratu nie spodobał się sposób, w jaki Edwin Drood wyrażał się o Róży Bud. Uważał, że traktuje ją zbyt protekcyjnie. W ich sprzeczkę wmieszał się John Jasper i zrobił dużo więcej niż tego wymagała sytuacja, a następnie nakłonił obu młodzieńców, żeby wypili z nim strzemiennego, jak się wyraził.

Pan WALTERS: Jaki to wywarło wpływ na pani brata?

ŚWIADEK: Obaj byli podnieceni i zdenerwowani.

Pan WALTERS: Czy tego rodzaju reakcja była normalna u pani brata?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: A jednak ta mała dawka alkoholu wywarła na niego taki negatywny wpływ. Podejrzewa pani, że coś zostało dodane do wina?

ŚWIADEK: Jestem pewna, że w winie był narkotyk.

Pan WALTERS: Potem, jak sądzę, nastąpiło łagodzenie sytuacji?

ŚWIADEK: Dzięki kanonikowi Crisparkle'owi. Obaj młodzieńcy spotkali się i podali sobie ręce.

Pan WALTERS: W szerszym towarzystwie, czy tylko we dwóch?

ŚWIADEK: Mój brat, Edwin Drood i John Jasper, który zaprosił ich do siebie.

Pan WALTERS: To było w Wigilię?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Czy znała pani plany brata na następny dzień?

ŚWIADEK: Planował rozpocząć pieszą wycieczkę.

Pan WALTERS: Wiedziała pani wszystko na temat tej wycieczki?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Wszystko?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Żadnych sekretów?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: I zgodnie z pani najlepszą wiedzą wyruszył na tę wycieczkę następnego dnia rano?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Wróćmy teraz do przejęcia; wiedziała pani brata przed wyjściem?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Czy, idąc na to przyjęcie, był wesoły i szczęśliwy?

ŚWIADEK: Nie. Był gotów uścisnąć rękę Edwina Drooda, ale odczuwał dziwny strach przed należącym do Jaspera domem z bramą.

Pan WALTERS: Nie wyraził sprzeciwu, żeby tam iść?

ŚWIADEK: Nie, chciał podać rękę Edwinowi Droodowi.

Pan WALTERS: A więc główną przyczyną jego pójścia nie była chęć zabawienia się, tylko uściśnięcia dłoni Edwina Drooda?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Dowiedzieliśmy się, że pani brat został zawrócony już na samym początku swojej wycieczki.

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Czy to było czymś zaskakującym, że został zawrócony z drogi po tym, jak wspomniano o dziwnym zniknięciu Drooda?

ŚWIADEK: Było.

Pan WALTERS: Ale czy była pani zaskoczona, usłyszawszy kto go zawrócił?

ŚWIADEK: Nie, ponieważ Jasper od samego początku okazywał memu bratu wrogość.

Pan WALTERS: Myśli pani, że rzucił na niego podejrzenie?

ŚWIADEK: Jasper wielu ludziom w Cloisterham sugerował, że jeśli coś się stało jego sio-

strzeńcowi, to winę za to ponosi mój brat.

Pan WALTERS: Zatem wiedziała pani, że po ściągnięciu go do Cloisterham pani brat stał się osobą podejrzaną o morderstwo?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Bardzo się pani tym przejęła?

ŚWIADEK: Bardzo, bo dotyczyło to kogoś, kogo kocham najbardziej na świecie.

Pan WALTERS: Zamierzała pani chronić dwie osoby?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Jakie?

ŚWIADEK: Brata i Różę Bud.

Pan WALTERS: Miała więc pani podwójny motyw i była przekonana, że niebezpieczeństwo grozi im ze strony jednego i tego samego człowieka?

ŚWIADEK: Z całą pewnością.

Pan WALTERS: Bum był ten człowiek?

ŚWIADEK: To John Jasper.

Pan WALTERS: Co pani brat potem zrobił?

ŚWIADEK: Był tak smutny i nieszczęśliwy, że wyjechał z Cloisterham i wynajął mieszkanie w Londynie.

Pan WALTERS: Czy pani wyjechała z nim?

ŚWIADEK: Nie, zamieszkał tam sam, a ja zostałam w Cloisterham.

Pan WALTERS: I tu znowu pokazała pani swą odwagę, prawda?... Nie musi pani odpowiadać. Zostawmy to sędziom przysięgłym do rozstrzygnięcia. Cały czas obserwowała pani Jaspersa? Odkryła pani coś, co dotyczyło jego działań?

ŚWIADEK: Nic definitywnego.

Pan WALTERS: Ale ustaliła pani, że bywa tu i tam?

ŚWIADEK: Tak, okresowo znikał.

Pan WALTERS: Wie pani gdzie?

ŚWIADEK: Wyjeżdżał do Londynu.

Pan WALTERS: Jak się zachowywał, będąc w Cloisterham?

ŚWIADEK: Rozsiewał w Cloisterham plotki o moim bracie; mówił, że ma tak gorący temperament, iż boi się spotkania siostrzeńca z Nevillem.

Pan WALTERS: Spotkał się ponownie z Różą Bud?

ŚWIADEK: Tak, i wyznał jej miłość.

Pan WALTERS: Czy przyjęła go uprzejmie?

ŚWIADEK: Ona go nienawidzi, gardzi nim i boi się go.

Pan WALTERS: Czy powiedział coś po odkryciu, jaki jest jej stosunek do niego?

ŚWIADEK: Powiedział, że nie spocznie póki jej nie zdobędzie. Nikt mu nie stanie na drodze.

Pan WALTERS: Groził komuś, kto stanie mu na drodze?

ŚWIADEK: Tak, groził, że zabije mego brata.

Pan WALTERS: Chce pani powiedzieć, że powiedział Róży Bud coś, co oznaczało groźbę przeciwko życiu pani brata?

ŚWIADEK: Powiedział, iż może sprawić, że znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie.

Pan WALTERS: Zatem pomyślała pani, że znacznie wzrosło zagrożenie jego bezpieczeństwa?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Przypuszczam, że od czasu do czasu odwiedzała pani brata w Londynie?

ŚWIADEK: Niezbyt często.

Pan WALTERS: Czy widywała pani w Londynie Różę Bud?

ŚWIADEK: Tak, ona uciekła do Londynu po tym, jak ją przeraził Jasper wyznaniem swej desperackiej miłości. Udała się do Grewgiousa, swego opiekuna.

Pan WALTERS: A pani była zdecydowana chronić ją tak, jak to tylko było możliwe?

ŚWIADEK: Bardziej niż kiedykolwiek.

Pan WALTERS: Czy przypomina pani sobie swoje słowa, że nie boi się pani Jaspiera, bez względu na okoliczności?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Nie były to tylko czcze przechwałki?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Mówiła pani poważnie?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Minęło sześć miesięcy i żadnego postępu?

ŚWIADEK: Niczego nie odkryłam.

Pan WALTERS: Jednak niebezpieczeństwo pozostało i nawet wzrosło?

ŚWIADEK: Tak, ciągle we mnie rósł niepokój.

Pan WALTERS: Kobieta przeciwko mężczyźnie i ta kobieta nie robi postępów.

ŚWIADEK: Właśnie.

Pan WALTERS: Nie doszła pani do wniosku, że czas zmienić sposób działania?

ŚWIADEK: Zrobiłam to.

Pan WALTERS: Co pani zrobiła?

ŚWIADEK: Pamiętam, że będąc małą dziewczynką, przebierałam się za chłopca, i teraz

postanowiłam przebrać się za mężczyznę.

Pan WALTERS: Efekt przypominał to, co pani robiła jako dziewczynka.

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: I teraz zrobiła pani to samo co przedtem?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Uświadamiała pani sobie, jakie to będzie trudne?

ŚWIADEK: Tak, ale postanowiłam przezwyciężyć wszystkie trudności.

Pan WALTERS: Bez wahania?

ŚWIADEK: Oczywiście wahałam się, ale ostatecznie warte to było całego poświęcenia.

Pan WALTERS: I postanowiła pani przejść przez to?

ŚWIADEK: Zgadza się.

Pan WALTERS: Dlatego, że miała pani podwójną motywację?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Górującą nad wszystkim, przemożną motywację?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Dobrze. Ale gdyby mogła pani uniknąć przebierania się za mężczyznę, gdyby miała pani inną możliwość, skorzystałaby pani z niej?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Występując w roli mężczyzny, musiała pani wykonać wiele czynności, by się w niego wcielić. Pamięta pani, co robiła jako mała dziewczynka? Obcięła pani włosy?

ŚWIADEK: Nie, pomyślałam, że poradzę sobie.

Pan WALTERS: Panno Landless, nie chcę pani naciskać, ale miała pani jakiś szczególny, osobisty powód, dla którego nie chciała poświęcać włosów?

ŚWIADEK: Czy muszę odpowiadać na to pytanie?

SĘDZIA: Nie.

Pan WALTERS: Sędzia stwierdził, że nie musi pani odpowiadać na to pytanie, zatem możemy to pozostawić sędziom przysięgłym, którzy jako istoty ludzkie sami sobie na nie odpowiedzą. W każdym razie przyjęliśmy do wiadomości, że nie obcięła pani włosów. Ale wybieliła pani brwi?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Uważała pani, że to zbędne?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Jak więc przebrała się pani nie do poznania?

ŚWIADEK: Założyłam dużą siwą perukę.

Pan WALTERS: Pod którą ukryła pani bujne pukle własnych włosów?

ŚWIADEK: Związałam je starannie pod peruką.

Pan WALTERS: Co jeszcze?

ŚWIADEK: Pomyślałam, że w tej bujnej peruce, zmieniającej moją głowę w burzę siwych włosów, będę mogła przybrać maniery swobodnego, beztroskiego podstarzałego mężczyzny i spróbuję zachowywać się dumnie, przebrana w niebieski płaszcz i szarą kamizelkę.

Pan WALTERS: Pod pewnymi względami nie było to takie trudne, biorąc pod uwagę, że potrafi pani płynnie i zręcznie mówić – nie jest pani nieśmiała – i dlatego jako nieco gadatliwy Dick Datchery, przyjazny starszy dżentelmen, nie miała pani wiele trudności?

ŚWIADEK: Nie miałam, rzeczywiście, nie było to dla mnie trudne.

Pan WALTERS: Co pani robiła w Cloisterham?

ŚWIADEK: Kręciłam się w okolicy hotelu Pod Pastorałem.

Pan WALTERS: Gdzie to jest?

ŚWIADEK: Przy High Street.

Pan WALTERS: Daleko od domu z bramą?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Sprawdzała pani skuteczność przebrania na ludziach z sąsiedztwa?

ŚWIADEK: Tak, w hotelu Pod Pastorałem. Wchodziłam tam, zadałam kilka pytań i zamówiłam męską kolację.

Pan WALTERS: Męską kolację?

ŚWIADEK: Nie była to szklanka mleka i Sally Lunn<sup>174</sup>!

Pan WALTERS: Więc jaka jest ta męska kolacja?

ŚWIADEK: Zamówiłam smażoną solę, kotlet cielęcy i pół kwarty sherry.

Pan WALTERS: I skonsumowała pani tę gargantuiczną ucztę?

ŚWIADEK: Jest pan na tyle inteligentny, że mogę odpowiedź pozostawić panu.

Pan WALTERS: Może pani. Wróćmy do pani śledztwa. Z pewnością szukała pani mieszkania do wynajęcia?

ŚWIADEK: Prosiłam kelnera, żeby mi coś wskazał.

Pan WALTERS: I wskazał?

ŚWIADEK: Pytałam o coś starego, ciekawego architektonicznie i niekonwencjonalnego.

Pan WALTERS: Wskazał pani coś takiego?

ŚWIADEK: Wskazał.

Pan WALTERS: Daleko?

ŚWIADEK: Niedaleko; dom pani Tope.

Pan WALTERS: Trafiła tam pani łatwo?

ŚWIADEK: Nie bardzo. Poszłam trochę w złym kierunku, pytałam i w końcu znalazłam.

Pan WALTERS: Odpowiadał pani?

ŚWIADEK: Chciałam wszystkich zmylić i próbowałam zachowywać się tak, aby ktoś –  
ktokolwiek by mnie obserwował – pomyślał, że naprawdę jestem mężczyzną.

Pan WALTERS: Pomyślała pani, że należy się zabezpieczyć gdyby ktoś panią obserwo-  
wał?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Chciała pani żeby pomyśleli, że zgubiła pani drogę i jest kimś obcym?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Ale w istocie przecież nie była pani tam obca. Spotkała pani pana Jaspe-  
ra?

ŚWIADEK: Pod byle pretekstem poszłam na górę i poprosiłam go, żeby powiedział mi coś  
na temat rodziny Tope'ów.

Pan WALTERS: Zatem weszła pani do jaskini lwa. Czy rozpoznał panią?

ŚWIADEK: Nie, nie poznał mnie.

Pan WALTERS: Są sposoby, żeby rozpoznać człowieka niekoniecznie po wyglądzie. Ja-  
sper jest muzykiem i ma bardzo wyczulony słuch. Co z pani głosem?

ŚWIADEK: Jasper tylko raz słyszał mój głos i to miesiąc temu, a poza tym ja potrafię  
zmieniać (*zmienia głos*) ton głosu i mówić jak mężczyzna.

Pan WALTERS: Może go pani zmieniać, panno Landless, do tego stopnia, żeby ludzie my-  
śleli, że to naprawdę głos męski?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Proszę nam opowiedzieć, co w tym czasie robił pan Jasper?

ŚWIADEK: Od czasu do czasu bywał nieobecny w katedrze i okresowo znikał.

Pan WALTERS: Dokąd wyjeżdżał?

ŚWIADEK: Do Londynu.

Pan WALTERS: Była pani w kontakcie z panem Grewgiousem, rodzinnym prawnikiem w  
Londynie?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Powiedział pani, że spotkał się z Jasperem?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Zatem – tak między nami – wiedziała pani o nim wszystko?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Spotykała się pani z ludźmi – jako Datchery?

ŚWIADEK: Tak.



Pan WALTERS: Z Durdlesem?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Ze starą z palarni opium?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Z burmistrzem, panem Sapsea?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Prowadziła pani z nimi poufale rozmowy?

ŚWIADEK: Tak. Znałam ich dziwactwa – wszystkich – więc mogłam ich oszukiwać i wszystko z nich wyciągnąć.

Pan WALTERS: Nie wątpię. Zadawała pani starej z palarni opium jakieś pytania?

ŚWIADEK: Ona śledziła Jaspera do jego domu z bramą i spytała mnie szeptem, czy wiem, kim on jest, jak się nazywa i gdzie mieszka.

Pan WALTERS: Powiedziała jej pani, że mieszka tu John Jasper?

ŚWIADEK: Poprosiła, żebym jej dała trzy szylingi i sześć pensów na opium. Powiedziała, że w Cloisterham mieszkał młody dżentelmen, który w Wigilię dał jej trzy szylingi i sześć pensów i powiedział, że ma na imię Edwin. Zapytała gdzie może spotkać Jaspera. Powiedziałam, że w katedrze.

Pan WALTERS: Następnego dnia rano poszła do katedry?

ŚWIADEK: Widziałam ją za filarem; wygrażała mu pięścią.

Pan WALTERS: Myśli pani, że coś o nim wiedziała?

ŚWIADEK: Tak, więcej wiedziała o jego charakterze, niż można by się spodziewać.

Pan WALTERS: Mogę więc założyć, że wyniki pani śledztwa doprowadziły panią do konkluzji dotyczącej Johna Jaspera – że zwiększyły pani podejrzenia?

ŚWIADEK: Podejrzewałam go od samego początku.

Pan WALTERS: Prowadziła pani w tym czasie zapis odniesionych sukcesów?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Jak?

ŚWIADEK: Zaznaczałam je kredą.

Pan WALTERS: Dlaczego akurat w ten sposób?

ŚWIADEK: Podobało mi się, jak to robią, rejestrując długi w starych tawernach. Można robić takie znaczki i nikt, poza znaczącym, nie wie, co oznaczają – mały znaczek, mały dług (u mnie sukces), długa kreska, duży dług (u mnie sukces).

Pan WALTERS: Zrobiła pani coś, żeby nikt nie ustalił, że pisze pani kobiecym charakterem pisma?

ŚWIADEK: Po tym nikt by mnie nie rozszyfrował.

Pan WALTERS: Użyła pani jakiegoś przedmiotu, aby zwabić do siebie pana Jaspera?

ŚWIADEK: Pan Grewgious powiedział mi, że miał pierścień przeznaczony dla Edwina Drooda.

Pan WALTERS: Wykorzystała pani ten pierścień?

ŚWIADEK: Właśnie tym pierścieniem zwabiłam go.

Pan WALTERS: A potem, stojąc przed Jasperem, uznała pani, że ma już wystarczające dowody, aby go wprost oskarżyć o morderstwo?

ŚWIADEK: Tak, miałam wystarczające dowody. Wystarczył mi jego wygląd i zachowanie – był głęboko wstrząśnięty.

Pan WALTERS: W ten sposób doszliśmy do oskarżenia go o morderstwo; pani kierowała się bezinteresownymi motywami dla ochrony Róży Bud i brata?

ŚWIADEK: Zgadza się.

Pan WALTERS: Znała pani Edwina Drooda?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Sądzi pani, że gdyby w tym kłopotliwym czasie zniknął z własnej woli, to potem skontaktowałby się z przyjaciółmi?

ŚWIADEK: Tak, to był bardzo uprzejmy młodzieniec.

Pan WALTERS: Uważa pani, że gdyby Róży Bud groziło niebezpieczeństwo, Drood nie milczałby?

ŚWIADEK: Tak, z pewnością nie milczałby.

Pan WALTERS: A więc gdyby żył, to bez względu na to, gdzie by się znajdował, odezwałby się?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Dziękuję, to wszystko.

## **HELENA LANDLESS PRZESŁUCHIWANA PRZEZ STRONĘ PRZECIWNĄ**

Pan CHESTERTON: Panno Landless, powiedziała pani, że w pewnym stopniu znała pani więźnia jeszcze przed zniknięciem Edwina Drooda?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Czy wiedziała pani o uzależnieniu więźnia od opium – albo może dowiedziała się pani o tym później?

ŚWIADEK: Pan Tope powiedział mi o ataku, jaki miał Jasper w katedrze.

Pan CHESTERTON: Kiedy to było – w przybliżeniu?

ŚWIADEK: O ile dobrze pamiętam, to kilka tygodni po moim przybyciu do Cloisterham w roli Dicka Datchery'ego. Poza tym Róża opowiedziała mi, jak bardzo się przestraszyła po tym, gdy przedstawił jej specjalnego rodzaju marzenie i kiedy jego oczy zasłyły mgłą. Wtedy bała się go bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Pan CHESTERTON: Podała pani dwie różne daty. Chciałbym jednak wiedzieć, kiedy dokładnie stwierdziła pani, że Jasper jest uzależniony od opium?

ŚWIADEK: Wkrótce się o tym przekonałam. Słyszało się to i owo i dodaliśmy dwa do dwóch.

Pan CHESTERTON: Czy wtedy, gdy Róża poinformowała panią, wiedziała już pani lub podejrzewała, że palił opium?

ŚWIADEK: Miałam pewne podejrzenia.

Pan CHESTERTON: Pomyślała pani, że prawdopodobnie chodzi tu o opium. Znała pani, panno Landless, Edwina Drooda?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Czy można go zaliczyć do ludzi zwracających na siebie uwagę – do takich, którzy rzucają się w oczy?

ŚWIADEK: Nie za bardzo, no może z wyjątkiem tego, że zachowywał się trochę protekcjonalnie i sprawiał wrażenie chłopca, który czuł się tu jak u siebie w domu.

Pan CHESTERTON: Ubierał się tak, jak ubierają się przeciętni młodzi mężczyźni?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Nosił krótkie spodnie?

ŚWIADEK: Tak... chyba tak.

Pan CHESTERTON: Czy wiedziała pani, że pierścień znaleziono w niegaszonym wapnie?

ŚWIADEK: Tak sądzę.

Pan CHESTERTON: Ach! Tak pani sądzi!

ŚWIADEK: Tam go znaleziono.

Pan CHESTERTON: Znaleziono tam coś jeszcze, jakieś guziki, sprzączki?

ŚWIADEK: Nie, myślę, że nie.

Pan CHESTERTON: Przecież pan Drood miał na sobie albo pasek, albo szelki. Czy znaleziono spinki albo pasek czy klamry?

ŚWIADEK: Nie.

Pan CHESTERTON: Znaleziono tam tylko pierścień?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Dziękuję.

ŚWIADEK: Mogę to w pewnym sensie wyjaśnić.

Pan CHESTERTON: Niewątpliwie będzie pani miała okazję wyjaśnić to swojemu prawnemu doradcy. Teraz chcę się czegoś dowiedzieć o pani przebraniu. Powiedziała pani, że przebieranie się to dla pani nic nowego, ponieważ przebierała się pani za chłopca na Cejlonie. Może mi pani powiedzieć, ile miała lat, gdy przebierała się pani wtedy po raz ostatni?

ŚWIADEK: Trzynaście.

Pan CHESTERTON: Pani naprawdę chce, żebyśmy uwierzyli, że fakt, iż trzynastoletnia dziewczynka mogła się przebierać za chłopca – nosić ubrania trzynastolatka – w jakimkolwiek stopniu kwalifikuje młodą dwudziestoletnią damę do przebrania się za „starego piernika, prowadzącego nędzny żywot z założonymi rękoma”?

ŚWIADEK: Tak; dziewczyna jako kobieta zostaje matką, a chłopiec stając się mężczyzną, zostaje ojcem.

Pan CHESTERTON: Powiedziała pani, panno Landless, że przebierając się za Datchery’ego, nosiła pani siwą perukę, niebieski płaszcz, szarą kamizelkę i tak dalej. A co pani zrobiła z twarzą?

ŚWIADEK: Nic.

Pan CHESTERTON: Nie malowała pani twarzy?

ŚWIADEK: Mam zawsze tyle kolorów na twarzy, że nie muszę jej malować.

Pan CHESTERTON: Nie stosowała pani żadnego makijażu?

ŚWIADEK: Nie.

Pan CHESTERTON: Niech pani spyta sędziów przysięgłych, czy uwierzą, że po przybyciu do Cloisterham jako Helena Landless przed ponad sześcioma miesiącami – nawet po przybyciu do kanonika Crisparkle’a – nie zmieniła pani ani trochę swojej twarzy i teraz, zjawiając się jako Dick Datchery i spotykając tych samych ludzi co wtedy, nie zostaje przez nich rozpoznana? Niech pani zapyta sędziów, czy uwierzą, że nikt pani nie rozpoznał?

ŚWIADEK: Poproszę ich, żeby uwierzyli, bo to prawda.

Pan CHESTERTON: Dobrze, niech sędziowie sami o tym zdecydują. Powiedziała pani, że po przybyciu do Cloisterham jako Datchery udała się pani do hotelu Pod Pastorałem?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Powiedziała też pani, że zamówiła szczególnego rodzaju kolację – smażoną solę, kotlet cielęcy i pół kwarty sherry. W czasie, gdy mój uczony przyjaciel zadawał pani pytania, uznał za stosowne pozostawić tę kwestię nam, zatem pytam panią: czy skonsumowała to pani w całości?

ŚWIADEK: Jestem zdrową, młodą kobietą, ale nie zjadłam wszystkiego. Trochę ryby, kawałek kotleta i wypłam nieco sherry.

Pan CHESTERTON: Jak dużo sherry?

ŚWIADEK: Kieliszek.

SĘDZIA: Ważne byłoby określić, czy był to zwykły kieliszek do wina.

## **CZŁONEK ZESPOŁU SĘDZIÓW PRZYSIĘGŁYCH**

(Pan EDWIN PUGH): Myślę, że to pytanie nie jest właściwe.

SĘDZIA: Każde pytanie jest właściwe, jeżeli przybliży nas do prawdy. Nie mamy powodu sądzić, że wszyscy w sądzie mówią prawdę – nie, nawet jeśli nie chcą udzielić poparcia fikcyjnymi postaciami!

SĘDZIA PRZYSIĘGŁY: Ale ten kieliszek sherry mógł być pełną szklanką!

Pan CHESTERTON: Muszę domagać się, aby pani to uściśliła. Mówiła pani, że wypiała tylko jeden kieliszek, natomiast reszta z tej pół kwarty została w butelce.

ŚWIADEK: Tego nie powiedziałam.

Pan CHESTERTON: Co więc pani z nią zrobiła?

ŚWIADEK: Jeśli już muszę to wyjaśnić, to były tam takie pojemniki używane przez palaczy. Trochę wylałam do nich, trochę zostawiłam w butelce, resztę wypiałam.

Pan CHESTERTON: Nie było tam ludzi?

ŚWIADEK: W tym czasie nie było ich wielu. I tylko okresowo.

Pan CHESTERTON: Wymieniali się równocześnie?

ŚWIADEK: Nie, kiedy tam weszłam, nie było wielu gości. Niektórzy wyszli z sali zaraz po skończeniu kolacji.

Pan CHESTERTON: I nadeszła taka dogodna chwila, w czasie której mogła pani wylać sherry?

ŚWIADEK: Tak, zdarzają się takie dogodne chwile.

Pan CHESTERTON: Trochę interesuje mnie pani gust w doborze jedzenia i napojów. Zatem później wrócimy jeszcze do hotelu Pod Pastorałem. Kiedy już zatrzymała się pani u Tope'ów, powiedziała, że przygotowane dla pani śniadanie składało się z chleba, sera, sałaty i piwa?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Było to takie śniadanie, jakie zwykle jadała pani u panny Twinkleton?

ŚWIADEK: Ale teraz nie byłam u panny Twinkleton.

Pan CHESTERTON: Nie podano pani coś tak ekscentrycznego jak kawa czy herbata?

ŚWIADEK: Myślę, że to są zbyt kobiece napoje.

Pan CHESTERTON: Dobrze. Powiedziała pani memu uczonemu przyjacielowi, że tak naprawdę to nie zgubiła pani drogi z hotelu Pod Pastorałem do domu Tope'ów?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Jest pani przygotowana, żeby upierać się przy tym?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Proszę, żeby sędziowie przysięgli zajrzeli na stronę 191 książki<sup>[75]</sup>. Stwierdza się tam: „wkrótce zgubił się i zaczął krążyć wokół wieży katedry – jeśli tylko mógł ją dojrzeć...”. (Do świadka) No i w końcu znalazła pani, to czego szukała?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Zatem ujrzała pani to miejsce i nie miała już żadnych wątpliwości. Ale gdyby pani zechciała, mogła iść prosto do tego domu, prawda?

ŚWIADEK: Proszę zacytować z książki.

Pan CHESTERTON: Cytujemy z czegoś, co jest uznane za dowód. Każde podane tu oświadczenie musi być uznane za prawdziwe.

ŚWIADEK: Ale tam wszystko było niewyraźne.

Pan CHESTERTON: Idźmy dalej, panno Landless... „Odnosząc ogólne wrażenie, że pani Tope mieszka gdzieś bardzo blisko”. Miała pani tylko ogólne wrażenie?

ŚWIADEK: Dokładnie wiedziałam, gdzie iść, aby znaleźć panią Tope.

Pan CHESTERTON: Ale to „ogólne wrażenie” trwało nadal... „I tak jak u dzieci bawiących się w ciepło i zimno, ciepło było wtedy, gdy widział wieże katedry, a zimno gdy jej nie widział”. Nie jest to przecież opis stanu pani umysłu i tego, w jaki sposób pani się zachowywała; nie dowodzi też, że nie wiedziała pani, gdzie znajduje się mieszkanie pani Tope?

ŚWIADEK: Błądziłam na oślep.

SĘDZIA: Zwracam uwagę sędziom przysięgłym jak mało wagi przywiązuje się do ludzkich nastrojów. Jeżeli panna Landless postanowiła wcielić się w oryginalną postać literacką, od której – jak wierzę – uzyskaliśmy większość tych informacji i nie była jej zupełnie wierna, to ktoś może tylko powiedzieć, że prawdopodobnie postąpiła wbrew regułom.

Pan CHESTERTON: Mój Boże! Pragnę zwrócić pana uwagę na trzeci akapit „Warunków”.

SĘDZIA (Po przejrzeniu wskazanego akapitu): Tak, rozumiem; zupełnie jasne, iż to oświadczenie spełnia podstawowe warunki, reszta to godna ubolewania otchłan literatury.

Pan CHESTERTON (Do świadka): Po tym „krążeniu wokoło” w poszukiwaniu miejsca, które pani doskonale знаła, natknęła się pani na małego chłopca, prawda?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Nie będę panią wypytywał, o czym pani z nim rozmawiała, ale czy ten chłopiec zgodził się zaprowadzić panią do Tope’ów?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Zaprowadził panią do miejsca w sklepionej lukiem bramie, skąd miała pani dobry widok na ulicę?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: I pani spytała: „Czy to dom Tope’ów?”

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: A chłopiec na to: „Bzdura, to dom Jaspera”. Tak było?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Potem powiedziała pani: „Doprawdy?” i „spojrzała we wskazanym kierunku z pewnym zainteresowaniem”. Co się za tym kryło?

ŚWIADEK: Oczywiście wiedziałam, że tam mieszka Jasper, ale gdy coś się wiąże z Jasperem albo jego domem, zawsze myślę, że to interesujące i dlatego kieruję wzrok w tym kierunku.

Pan CHESTERTON: Ale wiedziała pani, jak trafić do domu Jaspera?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: To dlatego spojrzała pani w tym kierunku z zainteresowaniem?

ŚWIADEK: Właśnie dlatego.

Pan CHESTERTON: Wiedziała pani, że to dom Jaspera, ponieważ chłopiec tak powiedział i wtedy spojrzała pani z „pewnym zainteresowaniem”?

ŚWIADEK: Wiemy, że kolacja jest gotowa, ale oglądamy ją, zanim zasiądziemy do stołu.

Pan CHESTERTON: Wiedziała pani, że to dom Jaspera i spojrzała z „pewnym zainteresowaniem”, kiedy to pani powiedziano. Wróćmy teraz do Tope’ów i Jaspera. Poszła pani do mieszkania Jaspera, gdzie – jak pani powiedziała – spotkała pana Sapsea i innych. Dobrze, przejdźmy więc do pani zapisu na drzwiczkach kredensu. Powiedziała pani, że prowadziła go kredą i robiła to w ten sposób dlatego, żeby uniknąć możliwości rozpoznania charakteru pisma?

ŚWIADEK: Zgadza się.

Pan CHESTERTON: Aby nie zdradzić się, że jest pani kobietą. Chce pani, żebyśmy uwierzyli, że mogła pani na drzwiczkach kredensu zapisać wszystko kreskami, tak jak zapisałaby pani zwykłym pismem, czyli to wszystko, co pani myśli i spekuluje na temat Jaspera?

ŚWIADEK: Nie chcę, żebyście wierzyli w cokolwiek; taka głupia nie jestem. Oczywiście, jeśli musiałam coś zapisać słownie, to zapisałam, ale nie wszystko.

Pan CHESTERTON: Zastosowała pani sposób używany w starych tawernach. Gdzie się pani tego nauczyła?

ŚWIADEK: Na Cejlonie.

Pan CHESTERTON: W syngaleskich tawernach?

ŚWIADEK: Nie bywałam na salonach, lecz obracałam się wśród zwykłych, prostych ludzi. Mój ojczym był zwykłym, prostym człowiekiem i bywalcem tawern, a my – dzieci – mogliśmy chodzić wszędzie.

Pan CHESTERTON: Na Cejlonie są tawerny?

ŚWIADEK: Nie wiem, czy nazywają je tawernami.

Pan CHESTERTON: Sugeruje pani, że zwrot: „sposób, w jaki znaczone w starych tawernach”, dotyczy Cejlonu?

ŚWIADEK: Mój sposób znaczenia kredą to powrót do czasów, gdy tam przebywałam.

Pan CHESTERTON: Robiła pani to samo na Cejlonie?

ŚWIADEK: Osobiście nie robiłam, ale widziałam, jak robili to inni.

Pan CHESTERTON: Jak się pani dowiedziała, w jaki dokładnie sposób wykonywać tego rodzaju zapis?

ŚWIADEK: Nie powiedziałam, że dokładnie wiedziałam, jak to robić, ale wiedziałam, że krótkie kreski oznaczają pewną małą „ilość”, a długie większą i tak dalej.

Pan CHESTERTON: Spodobał się pani taki zapis, jednak nie wiedziała pani, jak się go robi?

ŚWIADEK: Wiedziałam, że ktoś, kto zamówił kwartę dostawał długą kreskę, a ktoś kto zamówił pół kwarty krótką.

Pan CHESTERTON: Może pani przysiąc, że tak właśnie robiono na Cejlonie?

ŚWIADEK: Tak, mogę przysiąc.

Pan CHESTERTON: Jakie tam podawano drinki?

ŚWIADEK: Nigdy ich nie próbowałam. Widziałam, jak piją, ale sama nie piłam i nie wiem, co pili. Jednak widziałam te znaczki na ściankach drzwiczek.

Pan CHESTERTON: Więc nie ma pani pojęcia co oni pili?

ŚWIADEK: Myślę, że był to alkohol, piwo i tym podobne.

Pan CHESTERTON: Zatem nie wie pani, co pili, ale wie pani dużo o zapisywaniu?

ŚWIADEK: Interesowałam się tym jako dziecko. Często rozmawiałam o tym z bratem.

Pan CHESTERTON: W jakim celu robiono te znaczki?

ŚWIADEK: Prowadzący tawerny robili je po to, aby wiedzieć, ile był dłużny taki na przykład Tom Scott albo Jim Price.

Pan CHESTERTON: Powiedziała pani, że wcieliła się w postać Datchery'ego w porozumieniu z panem Grewgiousem?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Mogę więc przyjąć, że dobrze go pani znała?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Często pani z nim korespondowała?

ŚWIADEK: Tak, korespondowałam z nim.

Pan CHESTERTON: Otrzymywała pani od niego listy?

ŚWIADEK: Przysyłał mi listy.

Pan CHESTERTON: Wiedziała pani, jaki jest jego zawód?

ŚWIADEK: Jest prawnikiem.

Pan CHESTERTON: Jakiego rodzaju?

ŚWIADEK: Nie wiem.



SĘDZIA: Jest prawnikiem i to wystarczy. W rzeczywistości jest notariuszem, ale myślę, że można pani wybaczyć fakt, że o tym nie wiedziała.

Pan WALTERS: Określenie „prawnik” wystarczy.

SĘDZIA: Myślę, że to jasne.

Pan CHESTERTON: Więc kim on jest?

ŚWIADEK: Jest prawnikiem.

Pan CHESTERTON: Jakiego rodzaju ma biznes?

SĘDZIA: Ona tego nie wie.

Pan CHESTERTON: Zatem przyjmuję, że nic nie wie o zajęciu pana Grewgiousa.

Pan WALTERS: Oficjalny zapis mówi, że znała pana Grewgiousa i spotkała się z nim w jego kancelarii.

Pan CHESTERTON: Mogła znać pana Grewgiousa, ale nie korespondowała z nim. Pytałem, jakiego rodzaju biznes prowadził.

ŚWIADEK: Powiedziała, że wiem tylko, iż jest prawnikiem.

Pan CHESTERTON: I nic więcej?

ŚWIADEK: Kobiety nie interesują się za bardzo takimi sprawami.

SĘDZIA: Tak, myślę, że to jasne.

Pan CHESTERTON: Zatem, panno Landless, teraz chcemy usłyszeć coś z oficjalnych zapisów, o tym, jak pani wróciła do Londynu i jak to było – pod własną postacią, czy pod postacią Datchery’ego?

ŚWIADEK: Do Londynu pojechałam wieczorem.

Pan CHESTERTON: Wieczorem?

ŚWIADEK: Ostatnim omnibusem i pociągiem.

Pan CHESTERTON: O której godzinie?

ŚWIADEK: Omnibus odjeżdżał sprzed hotelu Pod Pastorałem.

Pan CHESTERTON: O której godzinie?

ŚWIADEK: Dokładnie nie pamiętam, ale chyba o szóstej wieczorem.

Pan CHESTERTON: Miała pani jakiś powód, żeby jechać do Londynu?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Jaki?

ŚWIADEK: Chciałam się zobaczyć z bratem.

Pan CHESTERTON: Z jakiegoś konkretnego powodu wybrała pani akurat ten dzień?

ŚWIADEK: Nie, myślę że nie.

Pan CHESTERTON: Chyba może pani przyznać, że w ten sposób ryzykowała zdemaskowanie?

ŚWIADEK: Tak, istniało pewne ryzyko, ale byłam przekonana, że potrafię go uniknąć.

Pan CHESTERTON: Mógł panią ktoś śledzić?

ŚWIADEK: Tak, mógł.

Pan CHESTERTON: Jako ktoś obcy w Cloisterham mogła być pani śledzona w drodze do Londynu. Podjęła pani ryzyko z jakiegoś konkretnego powodu?

ŚWIADEK: Och! Wiedziałam, że mój brat jest bardzo, bardzo nieszczęśliwy i wiedziałam, że mogę go pocieszyć, a on jest mi bardzo, bardzo drogi.

Pan CHESTERTON: Pani wyjazd do Londynu nie miał nic wspólnego z odwiedzinami Róży?

ŚWIADEK: Nie wiedziałam, że tam jest.

Pan CHESTERTON: Pan Grewgious nie napisał do pani i nie poprosił, żeby pani przyjechała?

ŚWIADEK: Nie.

Pan CHESTERTON: Nie było powodu?

ŚWIADEK: Tak, już panu podałam powód.

Pan CHESTERTON: Nie było jakiegoś szczególnego powodu?

ŚWIADEK: Czy nie wystarczy, że pojechałam kogoś pocieszyć, kogoś, kto jest ze mną ściśle związany?

SĘDZIA: Myślę, że świadek wyraził się jasno. Powiedziała, że działała emocjonalnie, pod wpływem impulsu postanowiła jechać i spotkać się z kimś.

Pan CHESTERTON: Doskonale. (Do świadka.) Powiedziała pani, że spotkała kobietę z palarni opium?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: I rozmawiała pani z nią, a potem wspomniała o tych znaczkach – tych pani syngaleskich kreskach?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Wpierw krótsza kreska. Ale później zobaczyła ją pani w katedrze, jak grozi pięścią Jasperowi?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: I zrobiła pani długą kreskę. Co miała znaczyć?

Pan WALTERS: Nie jestem pewien, czy świadek jest zobowiązany odpowiadać na to pytanie. Wystarczy, że zrobiła ten znaczek.

Pan CHESTERTON: Próbuję wykazać, że to, co świadek mówi, nie jest zgodne z prawdą, jak to już przedstawiałem sądowi, i stawiając to pytanie, kierowałem się sugestią, iż to nie panna Landless zrobiła ten znaczek. Świadek, który to uczynił zostanie wezwany później i wtedy zapytamy go dlaczego to zrobił.

ŚWIADEK: Pytał pan, dlaczego zrobiłam długą kreskę?

Pan CHESTERTON: Tak.

ŚWIADEK: Ponieważ wtedy, gdy groziła Jasperowi pięścią i powiedziała, że go śledziła, doszłam do wniosku, iż wiedziała o nim coś złego i muszę to zaznaczyć i to zaznaczyć dobitnie.

Pan CHESTERTON: To wszystko?

ŚWIADEK: Dowiedziałam się jeszcze więcej... Dowiedziałam się, że Edwin Drood dał jej w Wigilię pieniądze na opium.

Pan CHESTERTON: Czego to dowodzi?

SĘDZIA: Nie interesuje nas, czego to może dowodzić. Świadek podał nam wyraźną i zdefiniowaną relację ze swego postępowania i stanowczo sugeruję, że jeżeli nie ma jakiegoś szczególnego powodu, to powinien być zwolniony z dalszego przesłuchania na ławie świadków, bowiem dociekanie, czy wie coś o sposobie notowania długów w gospodach albo czy taką praktykę stosowano na Cejlonie, powinniśmy odłożyć na później.

Pan CHESTERTON: Ja osobiście nie mam żadnego konkretnego powodu, aby tego dociekać, ale uważam też, że nie było żadnego powodu, dla którego robiła te znaczki i dlatego dopytuję, po co je robiła. A poza tym uważam, że ich nie robiła.

SĘDZIA: Ale jeżeli twierdzi, że robiła krótkie lub długie kreski kredą w chwili wzburzenia emocjonalnego...

Pan CHESTERTON: Miała do tego prawo.

SĘDZIA: To może być odpowiedź i tylko takiej odpowiedzi może się pan w tym momencie spodziewać.

Pan CHESTERTON: Jeśli zechce, może to zrobić.

SĘDZIA: Powiedziała panu, że zrobiła długą kreskę ponieważ pomyślała, że zaliczyła ważny wynik w śledztwie, który w jej mniemaniu świadczył przeciwko Jasperowi i że przedtem zrobiła krótszą kreskę dlatego, że nie zaliczyła jakiegoś dużego osiągnięcia. I tylko tyle możemy się spodziewać po jej zeznaniu, bez sprzeczności prowadzącej się do krzywoprzysięstwa.

Pan CHESTERTON: Mam już niewiele pytań i postaram się zadawać je bardzo szybko. (Do świadka.) Powiedziała pani, że miała bardzo silne motywacje. Nie troszczyła się pani zbyt wiele o Edwina Drooda, prawda?

ŚWIADEK: Nie, nie musiałam się o niego szczególnie troszczyć. Ale uważałam go za miłego młodego człowieka.

Pan CHESTERTON: Tak pani uważała? A nie nazwała go pani „nikczemnym i banalnym”?

ŚWIADEK: Tak, ale dotyczyło to tylko zachowania wobec mojego brata. Czułam gniew i naturalnie użyłam słów, których nie powinnam użyć.

Pan CHESTERTON: Pani uczucia nie były zbyt silne?

ŚWIADEK: Nie.

Pan CHESTERTON: Powiedziała pani, że pani czyny wynikały z troski o brata i pannę Różę Bud?

ŚWIADEK: Zgadza się.

Pan CHESTERTON: Uważała pani, że ta motywacja wystarczyła, by robić to, co pani robiła?

ŚWIADEK: Tak uważałam.

Pan CHESTERTON: Na tyle wystarczyła, by podjąć aż takie ryzyko?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: I zadawać sobie tyle trudu?

ŚWIADEK: Ryzykować życiem.

Pan CHESTERTON: Życiem?

ŚWIADEK: To wszystko, co miałam.

Pan CHESTERTON: I to wystarczyło, żeby robić to wszystko?

ŚWIADEK: Wszystko, co słuszne i prawdziwe. Na to pan mnie nie złapie.

Pan CHESTERTON: Twierdzę, że cała ta pani relacja przypomina tani, zmyślony romans.

ŚWIADEK: Tak pan twierdzi?

Pan CHESTERTON: Gwoli sprawiedliwości.

ŚWIADEK: Proszę wziąć pod uwagę, że ja zeznam pod przysięgą.

Pan CHESTERTON (*do sędziego*): Wasza Lordowska Mość wie, że jestem zobowiązany tak twierdzić.

ŚWIADEK: Mogę tylko oświadczyć, że każde wypowiedziane przeze mnie słowo jest prawdą.

Pan CHESTERTON: Zakładając, że każde pani słowo jest prawdą, to czy choćby jedno wypowiedziane przez panią słowo dowodzi, że Edwin Drood został zamordowany?

ŚWIADEK: Nie miałam pojęcia, że pańskie pytania miały to ustalić.

Pan CHESTERTON: No cóż, to już nie moja sprawa. Czy choćby jedno słowo pani zeznania sugerowało lub dowodziło, że Edwin Drood został zamordowany? Czy, na przykład, widziała pani, jak go mordowano?

ŚWIADEK: Nie.

Pan CHESTERTON: Widziała pani jego ciało?

ŚWIADEK: Nie.

Pan CHESTERTON: Zna pani kogoś, kto je widział?

ŚWIADEK: Nie sądzę, żeby ktoś widział jego ciało.

Pan CHESTERTON: Zatem naprawdę nie ma pani dowodu świadczącego, że Edwin Drood nie żyje?

ŚWIADEK: Mam pierścień.

Pan CHESTERTON: Tylko tyle? W całej sprawie? Pragnę to podkreślić z całą mocą. Pani sprawa opiera się tylko na tym pierścieniu. Zgadza się?

ŚWIADEK: Nie należę do kobiet, które znają się na procedurach prawnych. Przed sądem stoję po raz pierwszy w życiu. Takiemu mądrym człowiekowi jak pan trudno zadawać pytania tak prostemu świadkowi jak ja.

Pan CHESTERTON: Tylko że pani jest tą osobą, która opracowała cały schemat oskarżenia Jaspera. Dotyczyło to przecież oskarżenia o spowodowanie śmierci; nie planowania, nie samego działania, ale zadania śmierci, a wszystko oparła pani na znalezieniu tego pierścienia?

ŚWIADEK: No cóż, być może sprawa obciążająca Jaspera opiera się właśnie na tym pierścieniu.

Pan CHESTERTON: I jeżeli ten pierścień – obecność tego pierścienia – w niegaszonym wapnie można satysfakcjonująco wyjaśnić w jakiś inny sposób, to czy może nam pani zaprezentować coś, co dowodziłoby, że to było morderstwo?

ŚWIADEK: Nie mam dowodu, tylko moralną pewność.

Pan CHESTERTON: Wiemy, że ma pani takie wewnętrzne przekonanie, ale nie ma pani żadnego dowodu.

ŚWIADEK: Nie mam.

SĘDZIA: Myślę, że musimy postępować ostrożnie i nie wdawać się w dyskusje.

Pan CHESTERTON: Wasza Lordowska Mość, skończyłem.

ŚWIADEK: To, co pan i ja sądzimy o dowodzie, to dwie różne kwestie.

SĘDZIA: Tak, to rzeczywiście wydaje się bardzo prawdopodobne.

ŚWIADEK: Myślę, że to nie fair zadawać takie pytania.

Pan CHESTERTON: Mogę uznać tę odpowiedź.

Pan WALTERS (*w charakterze powtórnego przepytania*): Czy to nie wymagało szczególnego uczucia miłości jakiejś konkretnej osoby, która chciałaby, żeby Drood nie został zamordowany?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Chociaż nie żywi pani gorącego uczucia do Edwina Drooda, z pewnością pragnie pani, żeby osądzono jego mordercę?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Pacha tu sugestia, że pani relacja przypomina zmyślony romans. Gdyby miała pani odgrywać w nim jakąś rolę, to czy nie zhańbiłaby się pani na zawsze w oczach tych wszystkich, którzy panią znają?

ŚWIADEK: Z pewnością.

Pan WALTERS: Nie ma pani jakiegoś szczególnego powodu, aby zdobyć szacunek pew-

nych ludzi?

ŚWIADEK: Mam.

Pan WALTERS: Nie sądzi pani, że mogłaby stracić ten szacunek, gdyby zeznając tu pod przysięgą, podawała sądowi fałszywe informacje?

ŚWIADEK: Mogłabym.

Pan WALTERS: Czy to nie wystarczający powód, dla którego mówiła pani prawdę?

ŚWIADEK: Tak, wystarczający.

Pan WALTERS: Jaką odniosłaby pani korzyść, gdyby pani kłamała?

ŚWIADEK: Żadnej, mogłabym wszystko stracić.

Pan WALTERS: Czy przez cały czas nie działała pani dla dobra innych?

ŚWIADEK: Tak, działałam dla dobra innych.

Pan WALTERS: Nie podjęłaby się pani tej roli, gdyby nie dostrzegała możliwości udzielenia im pomocy?

ŚWIADEK: Tak, nie podjęłabym się.

Pan WALTERS: Prowadząc swoje śledztwo, chciałaby pani wypytywać ludzi, czym się konkretnie zajmują, pytając na przykład: „Jakiego rodzaju jest pan prawnikiem”?

ŚWIADEK: Nie, nigdy o tym nie myślałam. Jest prawnikiem i to wszystko, co o nim wiedziałam.

Pan WALTERS: Czy napisała pani kiedyś tragedię, której nikt nie chciał wystawić?

ŚWIADEK: Nie, nie napisałam.

Pan WALTERS: A zatem nie miała pani żadnego szczególnego powodu, by chcieć stawać w świetle reflektorów i zrobić z siebie heroinę. Dziękuję pani.

SĘDZIA: Ogłaszam odroczenie rozprawy na dziesięć do piętnastu minut.

Sąd, zgodnie z ogłoszoną przerwą odroczył rozprawę na dziesięć do piętnastu minut. Po wznowieniu procesu, pan Walters oświadczył, że wraz z zeznaniami panny Heleny Landless strona oskarżająca zakończyła przesłuchania swoich świadków.

## WYSTĄPIENIE OBRONY

Pan Crotch, otwierając wystąpienie obrony, oświadczył:

Wasza Lordowska Mość i panowie przysięgli... Nie idąc w ślady mego uczonego przyjaciela, nakreślę linię obrony tak zwięźle, jak to tylko możliwe. Na początek nadmienię, że nie unikamy jakiegokolwiek dyskusji na temat tego, czy więzień pragnął śmierci Edwina Drooda albo czy miał zamiar go zamordować, planował dokonanie tego czynu lub w rzeczywistości go zamordował, albo że – Wasza Lordowska Mość – kiedyś, przez jakiś czas wierzył, iż go zamordował. Jednak twierdzimy, że nie miał tu miejsca przypadek morderstwa. W przypadku morderstwa musi być nie tylko morderca, ale i jego ofiara. Teraz, gdy mamy przed sądem więźnia jako potencjalnego mordercę, to musimy zadać pytanie: gdzie jest jego ofiara?

Pan WALTERS: To wbrew wszystkim punktom naszego uzgodnienia.

Pan CROTCH: Mogę ująć moje oświadczenie inaczej, Wasza Lordowska Mość.

Pan WALTERS: Zwracam uwagę na następujący fakt: uzgodniono, że z punktu widzenia prawa nie można uważać, że popełniono morderstwo, póki nie zostanie znalezione ciało ofiary. Ten problem winien być podniesiony po rozwiązaniu zespołu sędziów przysięgłych i nie powinien być tu obecnie rozpatrywany.

SĘDZIA: Możemy jednak wziąć pod uwagę to, co jest bezspornym faktem, że nie znaleziono ciała zamordowanego, prawda?

Pan WALTERS: Jednak on posunął się dalej, pytając „Gdzie jest ciało?”.

Pan CROTCH: Mogę uspokoić mego uczonego przyjaciela i zapytać inaczej: „Czy mamy zamordowanego?”. My twierdzimy, że John Jasper nie zamordował Edwina Drooda w Wigilię Bożego Narodzenia 1860 roku. Mamy podstawy wierzyć, że Edwin Drood ciągle żyje i dlatego oczywiście nie może pan skazać Johna Jaspiera za morderstwo. Teraz oczywiście może paść pytanie – jeśli rzeczywiście usiłowano dokonać morderstwa i to usiłowanie się nie powiodło – jak morderca mógł być przekonany, że się powiodło? Tę kwestię prawdopodobnie można wyjaśnić i mamy nadzieję, że wyjaśni ją przedstawiony przez nas dowód. Myślę, że teraz niezbędne jest stwierdzenie, iż istota sprawy kryje się w nałogu zażywania opium, od którego więzień niewątpliwie był uzależniony. Wasza Lordowska Mość, istnieje pewna opowieść o irlandzkim księdzu, który ostrzegając swoją kongregację przed złem i brakiem umiarkowania, zapytał: „Dlaczego strzelałeś do swego gospodarza?”. Odpowiedź brzmiała: „Dlatego, że pił”. „A dlaczego chybiłeś?”. Padła podobna odpowiedź: „Dlatego, że piłem”. Wasza Lordowska Mość i panowie sędziowie, zakładamy, że ta opowieść dotyczy też przypadku Johna Jaspiera. John Jasper jest uzależniony, co mój przyjaciel musi przyznać i co próbował też udowodnić – ale jak sądzę nie musiał się wiele trudzić – poprzez zeznania swoich świadków potwierdzających, że ten człowiek palił opium. Z naszego punktu widzenia to dla niego korzystne. Twierdzimy, że w wieczór poprzedzający morderczy

atak na Edwina Drooda, John Jasper odczuwał gwałtowny głód opium i z tego powodu, w czasie usiłowania popełnienia zbrodni, dostał jednego z tych nagłych ataków, którym już ulegał, oraz że pod wpływem opium nie udało mu się dokończyć tego, co zaczął, a jednak mimo to był przekonany, że zabił. Pod wpływem opium dokonał zbrodni w wyobraźni, a potem uznał to za fakt, ponieważ jego ofiara – chcę, żebyście, panowie, zwrócili specjalną uwagę na ten punkt – ponieważ jego ofiara także była pod wpływem opium, odurzona tym narkotykiem przez Jaspera. Dlatego oskarżony nie był w stanie złożyć jakichkolwiek wyjaśnień lub zdać racjonalnej czy sensownej relacji o tym, co się w tych okolicznościach wydarzyło. To, Wasza Lordowska Mość i panowie przysięgli, jest tylko ogólny zarys faktów. Szczegóły podadzą nam wezwani świadkowie. Zwróćcie uwagę, że jeśli to prawda – a my dowiedziemy, że to prawda – to John Jasper, jakiegokolwiek były jego zamiary, jakiegokolwiek ukryte motywy, nie może być skazany za morderstwo. Teraz wzywam Elizę Lascar, zwaną „Księżniczką Pykawką”.



## ZEZNANIE „KSIĘŻNICZKI PYKAWKI”

WOŹNY: Eliza Lazar, zwana „Księżniczką Pykawką”.

[Świadek zajmuje miejsce na ławie świadków i składa stosowną przysięgę.]

Pan CROTCH: Została pani zaprzysiężona?

ŚWIADEK: Tak, złotko.

Pan CROTCH: Nazywa się pani Eliza Lascar?

ŚWIADEK: Tak, złotko. Och, moje płuca są takie słabe!

Pan CROTCH: Droga pani!

ŚWIADEK: Och, moje płuca!

Pan CROTCH: Znana jest pani jako „Księżniczka Pykawka”?

ŚWIADEK: Tak, złotko. Szesnaście lat, do dziś, upijałam się, ale to mnie nie zmogło, że tak powiem.

Pan CROTCH: Czy prowadzi pani w londyńskim East Endzie palarnię opium?

ŚWIADEK: Tak, ale interes idzie marnie, oj marnie.

Pan CROTCH: Zna pani więźnia?

ŚWIADEK: Znam go! O wiele lepiej, niż znają go wszystkie razem wzięte Wielebne Osoby!

Pan CROTCH: Był pani klientem?

ŚWIADEK: Kiedy przyszedł pierwszy raz, był w tym marny, ale potem sam sobie robił dobre fajki.

Pan CROTCH: Wnoszę z tego, że był gorliwym palaczem opium?

ŚWIADEK: Oj był, złociutki.

Pan CROTCH: Pamięta pani jego nocną wizytę w palarni dwunastego grudnia?

ŚWIADEK: Oj był, był, złociutki. Widziałam, jak wchodzi i mówię: „Jeszcze jedną dla ciebie, miły... cena rynkowa jest teraz piekielnie wysoka”.

Pan CROTCH: Kiedy znowu panią odwiedził?

ŚWIADEK: Dwudziestego trzeciego grudnia, moje złociste złotko.

Pan CROTCH: Nie musi się pani wyrażać z taką czułością. Co się stało następnego dnia?

ŚWIADEK: Zamierzałam śledzić go aż do jego domu.

Pan CROTCH: I co się wydarzyło?

ŚWIADEK: Zgubiłam go pod koniec podróży nocnego omnibusu, między stacją a tym miejscem.

Pan CROTCH: Spotkała pani kogoś?

ŚWIADEK: Tak, spotkałam miłego dżentelmena imieniem Edwin.

Pan CROTCH: Co pani do niego powiedziała?

ŚWIADEK: Powiedziałam: „Moje płuca są takie słabe, moje płuca są w takim złym stanie...” i ten miły dżentelmen dał mi trzy szylingi i sześć pensów.

Pan CROTCH: Kiedy pani znowu spotkała więźnia?

ŚWIADEK: Och, moja biedna głowa! W 1861. Przyszedł zapalić. Powiedziałam: „Jesteś we właściwym miejscu. Tu palą wszyscy, którzy przybywają z morza”.

Pan CROTCH: Co się wtedy wydarzyło?

ŚWIADEK: Co się wydarzyło, złotko? Śledziłam go do Aldergate Street, gdzie wsiadał, a potem odnalazłam miejsce, skąd pochodził i powiedziałam do siebie, biednej duszyczki: „Za pierwszym razem zgubiłam cię, ale przysięgam sobie, że nie zgubię cię znowu, mój panie z Cloisterham. Pojadę tam i zaczekam na ciebie”. I tak zrobiłam. Pojechałam do Cloisterham i czekałam przed Domem Zakonnicy, tam gdzie zajeżdża omnibus, a on wysiada. A potem śledziłam go ulicą, aż zniknął mi pod sklepieniem przejściem, więc zawróciłam.

Pan CROTCH: Widziała pani kogoś?

ŚWIADEK: Siwego dżentelmena, który powiedział, że nazywa się Datchery.

Pan CROTCH: Czy następnego dnia rano poszła pani do katedry?

ŚWIADEK: Poszłam, złotko.

Pan CROTCH: Widziała tam pani więźnia?

ŚWIADEK: Widziałam go zza filara.

Pan CROTCH: Rozpoznała go pani?

ŚWIADEK: Rozpoznałam, kochanieńki, rozpoznałam.

Pan CROTCH: Czy potem spotkała pani tego siwowłosego dżentelmena, z którym pani rozmawiała?

ŚWIADEK: Spotkałam go, złotko.

Pan CROTCH: Powiedziała mu pani, że zna więźnia?

ŚWIADEK: Powiedziałam mu, że go znam.

Pan CROTCH: Tak?

ŚWIADEK: Powiedziałam: „Znam go. Znam lepiej niż znają go wszystkie Wielebne Osoby razem wzięte.”

Pan CROTCH: Dziękuję.

## **„KSIĘŻNICZKA PYKAWKA” PRZESŁUCHIWANA PRZEZ STRONĘ PRZECIWNĄ**

Pan WALTERS: Jedno pytanie. Kiedy spotkała pani Edwina Drooda, powiedziała pani, że „Ned” to groźne imię?

ŚWIADEK: Tak, złotko.

Pan WALTERS: Co pani rozumiała przez „groźne”?

ŚWIADEK: To było złe imię.

Pan WALTERS: Myśli pani, że temu człowiekowi groziło niebezpieczeństwo?

ŚWIADEK: Tak to chyba wypadło, co złotko?

Pan WALTERS: Rzeczywiście. Chcę żebyśmy się dobrze zrozumieli. Myślę, że miała pani okazję słuchać pana Jaspera w czasie, gdy palił opium?

ŚWIADEK: Pewnie.

Pan WALTERS: Słyszała pani, jak wymieniał imię „Ned”?

ŚWIADEK: Nie przypominam sobie. Myślę, że tak.

Pan WALTERS: Więc dlaczego uważała pani, że „Ned” to groźne imię?

ŚWIADEK: Mówił o nim bardzo nieżyczliwie.

Pan WALTERS: Powiedziała pani, że zagrożony mężczyzna był w niebezpieczeństwie. Miała pani na myśli „Neda”?

ŚWIADEK: Słyszałam to, co mówił. Mam panu powtórzyć?

Pan WALTERS: Nie, to co mówił jest bez znaczenia. Chciałem tylko wiedzieć, że „Ned” to groźne imię.

ŚWIADEK: To się zgadza, złotko.

Pan WALTERS: Czy ostrzegła pani kogoś o imieniu „Ned”?

ŚWIADEK: Powiedziałam mu, że „Ned” to groźne imię.

Pan WALTERS: Wiedziała pani, że ktoś nazywał go imieniem „Ned”?

ŚWIADEK: Zapytałam go.

Pan WALTERS: I wie pani, kto go nazywał „Ned”?

ŚWIADEK: Nie wiem.

Pan WALTERS: A gdybym powiedział pani, że był to Jasper i tylko Jasper nazywał go „Nedem”?

ŚWIADEK: To bym panu uwierzyła, złotko. Tak, uwierzyłabym.

Pan WALTERS: I dlatego uwierzyłaby też pani, że to Jasper był dla niego zagrożeniem?

ŚWIADEK: Tak, złotko.

Pan WALTERS: I że to on mu groził?

ŚWIADEK: Tak, złotko.

Pan WALTERS: Myśli pani, że w umyśle Jaspera zrodził się zamiar popełnienia morderstwa?

ŚWIADEK: Myślę, że chciał go skrzywdzić.

Pan WALTERS: Lubi pani Johna Jaspera?

ŚWIADEK: Nie, nie lubię.

Pan WALTERS: Chyba nie lubi pani żadnego ze swoich klientów, mam rację?

ŚWIADEK: Nie bardzo mnie obchodzą.

Pan WALTERS: Ale nie wyrzucała ich pani. Przychodzą, a pani bierze od nich pieniądze?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Czy zawsze śledzi pani klientów do miejsca ich zamieszkania?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Dlaczego śledziła pani akurat tego klienta?

ŚWIADEK: Miał pieniądze.

Pan WALTERS: Co?! Biedny chórzysta miał pieniądze?

ŚWIADEK; Miał pieniądze.

Pan WALTERS: I opłacało się jechać za nim aż do Cloisterham?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Miał aż tak dużo pieniędzy?

ŚWIADEK: Dla mnie miał. Jestem tylko biedną kobietą.

Pan WALTERS: Był bogatszy od innych pani klientów?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Tak pani myślała?

ŚWIADEK: Tak myślałam.

Pan WALTERS: Nienawidziła go pani?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: I chciała pani jego pieniędzy?

ŚWIADEK: Tak. A poza tym zawsze był dobrym słuchaczem.

Pan WALTERS: To znaczy, był pani słuchaczem?

ŚWIADEK: Czasem to ja go słuchałam i raz opowiedział mi o niebezpiecznej podróży. Powiedział: „Robiłem to setki tysięcy razy; robiłem to tak często, że kiedy w końcu naprawdę się ziściła, zdawała się niewarta zachodu, ponieważ stała się zbyt szybko”, a potem powiedział, że kiedy się ziściła, była zbyt krótka i że pierwszy raz wydała mu się nierealna. Żadnej walki, żadnego niebezpieczeństwa, nic z uświadamiania sobie niebezpieczeństwa! „Nigdy przedtem o tym nie śniłem”. To właśnie powiedział, milutki.

Pan WALTERS: Powiedział dosłownie, że „nie była warta zachodu, ponieważ stała się zbyt szybko”?

ŚWIADEK: Powiedział też, że pierwszy raz wydała mu się nierealna.

Pan WALTERS: Mówił o czymś konkretnym?

ŚWIADEK: Powiedział, miły, „że kiedy się ziściła, była zbyt krótka i że pierwszy raz wydała mu się nierealna”, mój kochanieńki.

Pan WALTERS: A więc powiedział: „kiedy naprawdę się ziściła...”?

ŚWIADEK: To była zbyt krótka i że pierwszy raz wydała mu się nierealna, mój mały.

Pan WALTERS: Ale kiedy mężczyzna mówi, że było coś realne, to ma na myśli jakąś konkretną rzecz, prawda?

Pan CHESTERTON: Na litość boską!

SĘDZIA: Kryją się w tym pewne elementy paradoksu. Nie mogę wyrazić zgody na atakowanie świadka jedynie dlatego, że przestępca powiedział, iż to, co wydawało się realne, zanim się zdarzyło, okazało się nierealne, kiedy się wydarzyło, ponieważ jak sądzę – większość z nas, zgromadzonych w tej sali, popełniało w tym czy innym czasie przestępstwa, i tak się przedstawia ta sprawa.

Pan WALTERS: Nie mam więcej pytań, Wasza Lordowska Mość.

Pan CHESTERTON (*w charakterze powtórnego przepytывania*): Kiedy mówiła pani, iż wyobrażała sobie, że więzień jest bogaty w porównaniu z innymi klientami, to byli nimi zapewne Chińczycy, marynarze albo hinduscy majtkowie?

ŚWIADEK: Oni byli bardzo biedni, złotko.

Pan CHESTERTON: A on należał do innej klasy społecznej?

ŚWIADEK: Oj tak, tak, kochanieńki.

Pan CHESTERTON: Następne pytanie, jakie chcę pani zadać brzmi: kiedy powiedziała pani panu Droodowi, że „Ned” to groźne imię, to co wtedy odpowiedział?

ŚWIADEK: Odpowiedział: „Ludzie zagrożeni długo żyją”.

Pan CHESTERTON: Co pani na to?

ŚWIADEK: „A więc”, powiedziałam, „Ned jest tak bardzo zagrożony, gdziekolwiek jest, gdy do ciebie mówię, że będzie żyć wiecznie”.

Pan CHESTERTON: Dziękuję. Wezwać Tomasza Bazzarda.

WOŹNY: Tomasz Bazzard! [Dzientelmen ten zajmuje miejsce na ławie świadków i składa stosowną przysięgę.]

## ZEZNANIE TOMASZA BAZZARDA

Pan CHESTERTON: Nazywa się pan Tomasz Bazzard?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Jaki jest pana zawód?

ŚWIADEK: Jestem kancelistą i śledczym w kancelarii pana Grewgiousa, w Staple Inn.

Pan CHESTERTON: Pan Grewgious nie jest – jak to błędnie zapisano w akcie oskarżenia – notariuszem?

ŚWIADEK: Nie, pan Grewgious jest członkiem Izby Adwokackiej, ale nie praktykuje. Zarządza i kieruje sprawami dwóch dużych posiadłości.

Pan CHESTERTON: Jakiego rodzaju pracę wykonywał pan dla niego?

ŚWIADEK: Sądzę, że moją obecną pracę można kolokwialnie określić jako „węszyciel”. To znaczy, że częściowo zajmuję się zbieraniem czynszów, a częściowo sprawdzam, co robią dzierżawcy – czy dokonują nielegalnego odstrzału zwierzyny albo marnują lub rozkradają zapasy. W większości pracuję poza obrębem kancelarii.

Pan CHESTERTON: Kiedy zaczął pan tę pracę?

ŚWIADEK: Przed dziesięcioma laty.

Pan CHESTERTON: Gdzie się pan urodził?

ŚWIADEK: Mogę z przykrością stwierdzić, że jestem synem farmera z Norfolk.

Pan CHESTERTON: Kiedy pański pracodawca powiedział: „Trudno zastąpić pana Bazzarda”, to odnosiło się to do pańskiego zajęcia jako śledczego?

ŚWIADEK: Myślę, że miał na myśli moją pracę dochodzeniową. Tak.

Pan CHESTERTON: Pan Grewgious traktował pana z szacunkiem?

ŚWIADEK: Pan Grewgious był dla mnie niezwykle uprzejmy i doceniając moją pracę na zewnątrz, pozwalał mi na dużą swobodę wewnątrz.

Pan CHESTERTON: Kiedy pierwszy raz spotkał pan Edwina Drooda?

ŚWIADEK: Myślę, że... przy okazji powinienem podkreślić, że pan Grewgious nie był prawnym doradcą Edwina Drooda.

Pan CHESTERTON: Proszę to wyjaśnić sądowi.

ŚWIADEK: Zauważyłem w kopii „Uzgodnienia”, że figuruje tam jako „doradca Edwina Drooda”. O ile wiem, nie jest to prawda. Drooda pierwszy raz spotkałem przed świętami Bożego Narodzenia 1860, w kancelarii pana Grewgiousa.

Pan CHESTERTON: Czy pan Grewgious uprzedził pana o jego wizycie?

ŚWIADEK: Zrobił to. Tak.

Pan CHESTERTON: I jakie wtedy wydał polecenia?

ŚWIADEK: Powiedział, że odbędzie prywatną rozmowę – mniej lub więcej prywatną – z

panem Droodem i dla pana Drooda byłoby nieco kłopotliwe, gdybym okazał zbytnie zainteresowanie, dlatego nie powinienem zwracać na nich uwagi.

Pan CHESTERTON: Co pan zrobił w tej sytuacji?

ŚWIADEK: Pomyślałem, że wszyscy powinniśmy zjeść kolację, a potem niech pan Grewgious porozmawia prywatnie. Wiedziałem, że ta rozmowa będzie dotyczyła upomnienia pana Drooda i uświadomienia mu, jakie powinien żywić uczucia względem przyszłej panny młodej.

SĘDZIA: Nie słyszał pan tej rozmowy?

ŚWIADEK: Nie, nie słyszałem. Skorzystałem z okazji i w tym czasie uciąłem sobie drzemkę. Kiedy się obudziłem, pan Grewgious powiedział: „Wręczyłem panu Droodowi pierścień z brylantami i rubinami”. Pan Drood wtrącił wtedy „Widzi pan?”, a ja odparłem: „Podążam za panami i potwierdzam transakcję”.

Pan CHESTERTON: Miał pan jeszcze okazję spotkać pana Drooda?

ŚWIADEK: Następne spotkanie miało miejsce 1 stycznia 1861.

Pan CHESTERTON: To było tydzień po pierwszym spotkaniu?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Gdzie go pan spotkał?

ŚWIADEK: W hotelu w Holborn.

Pan CHESTERTON: Słyszał pan, co się potem z nim stało?

ŚWIADEK: Poinformowano mnie, że jest poważnie chory na gorączkę reumatyczną i wysłano go za granicę, do południowej Francji, dla podreperowania zdrowia.

Pan CHESTERTON: Czy pan Grewgious mówił panu, jak poznał Edwina Drooda?

ŚWIADEK: Powiedział mi tylko, że w Wigilię Bożego Narodzenia 1860 roku otrzymał późną nocą list od panny Róży Bud, swojej podopiecznej, do której był bardzo przywiązany – jeśli mogę sobie pozwolić na tego rodzaju uwagę – i matce której był równie szczerze oddany. W tym liście, napisanym przez pannę Bud w konsekwencji rozmowy z panem Droodem, i – jak sądzę – znajdującym się w aktach sprawy, błagała pana Grewgiousa, by w możliwie krótkim czasie zjawił się na Boże Narodzenie w Cloisterham. Ponieważ jednak dotarł on do rąk pana Grewgiousa bardzo późną porą, a system kursowania kolei żelaznej funkcjonował niezbyt dobrze, zatem pan Grewgious nie miał szans dotrzeć do Cloisterham inaczej jak dylizanssem pocztowym, co też uczynił.

Pan CHESTERTON: Nie miał pociągu po ósmej wieczorem?

ŚWIADEK: O tej porze nie odjeżdżał z Victorii żaden pociąg.

Pan CHESTERTON: Dobrze. Pojechał więc pocztowym dylizanssem i co zrobił po przybyciu do Cloisterham?

ŚWIADEK: Powiedział, że przybył do Cloisterham gdzieś około 5.30. Po minięciu Postem Gate zatrzymał powóz i poprosił, żeby chwilę na niego poczekał.

Pan CHESTERTON: Dlaczego?

ŚWIADEK: Chciał wstąpić na cmentarz – to około 40 do 50 jardów stamtąd, jak sądzę – aby złożyć kwiaty na grobie matki panny Róży Bud, ponieważ, był do niej bardzo przywiązany – co mam nadzieję – zostało odnotowane w oficjalnych dokumentach.

Pan CHESTERTON: Znalazł tam kogoś?

ŚWIADEK: Tak, znalazł Edwina Drooda leżącego twarzą do ziemi.

Pan CHESTERTON: I co zrobił?

ŚWIADEK: Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, to, jak sądzę, odwrócił go. Potem potrząsnął nim, prosił, żeby coś powiedział, zadawał mu pytania, a Edwin Drood błagał, żeby bezwzględnie zabrał go z Cloisterham.

Pan CHESTERTON: Jak z pańskiej relacji zrozumiałem, panie Bazzard, Drood praktycznie nie potrafił udzielić spójnych wyjaśnień na temat tego, co się stało?

ŚWIADEK: Rzeczywiście, nie potrafił, poza faktem, że ktoś próbował go – jak przypuszczam – udusić.

Pan CHESTERTON: Kiedy pan go spotkał, to jakiego rodzaju wspomnienia miał z tej nocy?

ŚWIADEK: Mętne i niezadowolające.

Pan CHESTERTON: Nie mógł przysiąc, kto go zaatakował? Neville Landless czy Jasper?

ŚWIADEK: Niczego nie mógł przysiąc, z wyjątkiem tego, że ktoś go zaatakował.

Pan CHESTERTON: Sympatią raczej skłaniał się ku Jasperowi niż Landlessowi?

ŚWIADEK: Z wyraźną niechęcią, oczywiście, dopuszczał myśl, że jego wuj, którego wysoko sobie cenił, darząc go wielkim respektem i estymą, mógłby mieć coś wspólnego z próbą zamordowania go.

Pan CHESTERTON: A zatem, gdyby mógł zeznawać, to zakładam, że zeznawałby raczej na korzyść Jaspera niż Landlessa?

ŚWIADEK: To zależałoby od sędziów przysięgłych.

SĘDZIA: Pragnę zauważyć, że to pytanie trochę wykracza poza zakres zeznań świadka.

ŚWIADEK: On byłby bardziej skłonny...

PRZEWODNICZĄCY ŁAWY PRZYSIĘGŁYCH: Świadek sformułował bardzo ważne stwierdzenie, że pan Grewgious potrząsnął panem Droodem, aby przywrócić mu świadomość. Chcę jeszcze spytać, czy Drood był w jednym kawałku?

SĘDZIA: Na to pytanie należy odpowiedzieć.

ŚWIADEK: Panie sędzio, nie było mnie tam wtedy. Po prostu powtarzam to, co mi powiedział pan Grewgious.

SĘDZIA: Czy może pan to przypisać zdolnościom metaforycznym pana Grewgiousa?

ŚWIADEK: Moim obowiązkiem jest podać sędziom do wiadomości wszystko, co wiem.



CZŁONEK SĄDU PRZYSIĘGŁYCH (Pan William Archer): Czy mogę spytać, gdzie obecnie znajduje się pan Grewgious? Może spotkała go nagła śmierć?

Pan CHESTERTON: Jeżeli panowie sędziowie zajrzą do Oficjalnego Protokołu...

PRZEWODNICZĄCY ŁAWY PRZYSIĘGŁYCH: Przykro mi to stwierdzić, Wasza Lordowska Mość, ale przekazaliśmy wszystkie nasze dokumenty z naszymi podpisami (ponadto kopie Oficjalnych Dokumentów wręczył Sądowi urzędnik strony oskarżającej).

Pan CHESTERTON: Jeżeli Sąd dysponuje tymi dokumentami, to może przeczytać ostatni akapit i znaleźć tam wyjaśnienie tej sprawy. (Do świadka) Zatem spotkał pan pana Grewgiousa. Co panu powiedział?

ŚWIADEK: Powiedział, że osobiście poważnie podejrzewa Jaspera, jednak wspomnienia Drooda o tym, co się stało tego wieczoru, były tak pogmatwane i nieskładne, że nie można było z całą pewnością ustalić, czy zrobił to Landless, czy też obciążyć winą Jaspera. Dlatego powiedział: jeżeli Landless stanie przed sądem, to koniecznie należy wezwać Drooda, ale lepiej utrzymać jego istnienie w tajemnicy, póki sprawy nie przychyną w Cloisterham i póki Jasper nie dojdzie do wniosku, iż jest całkiem bezpieczny.

Pan CHESTERTON: Jaki więc był plan pana Grewgiousa?

ŚWIADEK: Chciał, żebym pojechał do Cloisterham i śledził Jaspera.

Pan CHESTERTON: I tak pan zrobił?

ŚWIADEK: Tak zrobiłem.

Pan CHESTERTON: Co pan zastał po zajechaniu na miejsce?

ŚWIADEK: Z tego, co mi powiedział pan Grewgious, wywnioskowałem, że mam przed sobą do rozwiązania trzy zasadnicze tajemnice. Pierwsza, dlaczego Drood, jeżeli został w celach morderczych napadnięty, nie potrafił – tak jak ktoś, kto został napadnięty – wyraźnie tego zrelacjonować; druga, jeżeli więzień był napastnikiem, to dlaczego nie doprowadził swego zamiaru do końca; i trzecia, dlaczego, kiedy nie udało mu się zabić Drooda, był przekonany, że go zabił?

Pan CHESTERTON: Postawiwszy sobie te trzy pytania, udał się pan do Cloisterham w przebraniu?

ŚWIADEK: Zmieniłem ubranie.

Pan CHESTERTON: Nie ucharakteryzował się pan?

ŚWIADEK: Nie.

Pan CHESTERTON: Nie znano tam pana?

ŚWIADEK: O ile wiem, to nie znano.

Pan CHESTERTON: Mogła jednak istnieć jakaś szansa, że znano. Dlatego zmienił pan ubranie?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Poszedł pan do hotelu Pod Pastorałem i zamówił kotlet cielęcy i baraninę oraz pół kwarty sherry?

ŚWIADEK: Tak... lubię sherry!

Pan CHESTERTON: Pytał pan kelnera o mieszkanie?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Pytał pan o coś „katedralnego”?

ŚWIADEK: Pomyślałem, że powinienem wynająć coś w pobliżu katedry, blisko Jaspera.

Pan CHESTERTON: Polecono panu dom Tope’ów?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Poszedł pan tam?

ŚWIADEK: Poszedłem.

Pan CHESTERTON: Co się wydarzyło?

ŚWIADEK: Powiedziano mi, że znajdę dom po prawej stronie. Było to tak oczywiste, że udałem się w tym kierunku. Poszedłem dróżką o nazwie Wronia Dróżka, która, jak sądziłem, wiodła w kierunku Winnicy i gdzieś po drodze spotkałem chłopca zwanego Deputy. Poprosiłem, żeby zaprowadził mnie do Tope’ów, i tak zrobił.

Pan CHESTERTON: Pokazał coś panu?

ŚWIADEK: Nie rozumiem.

Pan CHESTERTON: Wskazał okno?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Pan zapytał: „Czy to Tope’ów?”

ŚWIADEK: Tak, zapytałem, bo tak mi się wydawało.

Pan CHESTERTON: A on odpowiedział, że to okno Jaspera?

ŚWIADEK: Tak, i spojrzałem w tym kierunku z pewnym zainteresowaniem.

Pan CHESTERTON: Widział pan później Jaspera?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Odwiedził go pan, żeby zapytać o Tope’ów? Skorzystał pan z okazji?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Potem spacerował pan w okolicy katedry – spotkał pan Sapsea i Durdlesa?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: I znowu spotkał pan Deputy’ego?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Podczas rozmowy – pana z Deputyem – spytał pan, czy zaprowadzi pana do domu Durdlesa?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: W jaki sposób zamierzał pan notować osiągnięcia po zagospodarowaniu się w mieszkaniu Tope'ów?

ŚWIADEK: Zabawiałem się otwieraniem drzwiczek kredensu w moim pokoju i kreśliłem znaczki kredą, tak jak to robiono w tawernach, które czasem odwiedzałem na Cejlonie – to znaczy w Norfolk.

Pan CHESTERTON: Wychowywał się pan w Norfolk?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: I oni tam robili takie znaczki kredą?

ŚWIADEK: Tak, kreślili kredą dłuższe i krótsze kreski.

Pan CHESTERTON: Ogólnie zgodnie z dniami tygodnia?

ŚWIADEK: Długa linia na koniec tygodnia.

Pan CHESTERTON: Czy pan też robił podobnie?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Wróćmy myślami do pewnego wieczoru w lipcu, kiedy Jasper powrócił stosunkowo późno do domu. Czy wszedł do bramy i zniknął na schodach?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Przypomina pan sobie, czy wtedy śledziła go stara kobieta?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Co się wydarzyło w chwili, gdy pana mijiała?

ŚWIADEK: Zapytałem, czy kogoś szuka, a ona odpowiedziała, że chce znać nazwisko i adres tego dżentelmena. Potem jakiś czas rozmawialiśmy i prosiła mnie wpierw o pieniądze na mieszkanie, a potem o pieniądze na coś, co nazwała opium, więc dałem jej pieniądze.

Pan CHESTERTON: Wspomniała coś o rozmowie z młodym dżentelmenem w minioną Wigilię Bożego Narodzenia?

ŚWIADEK: Tak, powiedziała, że była wtedy w Cloisterham, że spotkała młodzieńca imieniem Ned i podobno też dał jej pieniądze. Założyłem, że przyjechała wtedy w tej samej sprawie co tego dnia, by śledzić oskarżonego.

Pan CHESTERTON: Potem wrócił pan do swoich kresiek?

ŚWIADEK: Potem spotkałem Deputy'ego i on mi powiedział: „Jej Królewska Wysokość Księżniczka Pykawka zatrzymała się u Dwupensowych Wędrowców. Prowadzi w londyńskim East Endzie taką palarnię, w której palą opium”. Jestem przekonany, że właśnie stamtąd śledziła więźnia.

Pan CHESTERTON: Powiedział jej pan, gdzie może rano spotkać Jaspiera?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Zobaczyła go i groziła mu pięścią?

ŚWIADEK: Używała przy tym okropnych słów, których nawet brak w Oficjalnych Protokołach.

Pan CHESTERTON: Kiedy opuszczała katedrę, zapytał ją pan „Widziałaś go?”

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: A ona powiedziała, że widziała go już przedtem i że zna go lepiej niż „wszystkie Wielebne Osoby razem wzięte”?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Podszedł pan do kredensu – i co pan zrobił?

ŚWIADEK: Nakreśliłem długą kreskę.

Pan CHESTERTON: Co oznaczała?

ŚWIADEK: Że moja rozmowa i obserwacja kobiety z palarni opium wyjaśniły trzy zasadnicze kwestie, dla których rozwikłania przybyłem do Cloisterham.

Pan CHESTERTON: Usystematyzujmy je: pierwsza, dlaczego Drood...

ŚWIADEK: Z rozmowy z nią wywnioskowałem, że Jasper brał opium, i że miał opium. Bez wątpienia zaprawił narkotykiem wino Drooda, a Drood tak się zachowywał, jakby nie był zdolny podać jakiegokolwiek sensownego wyjaśnienia, co się stało.

Pan CHESTERTON: Druga, jak to się stało, że więzień, jeżeli był napastnikiem, nie osiągnął zamierzonego celu?

ŚWIADEK: Uważam, że i to zostało wyjaśnione. W noc poprzedzającą Wigilię był w palarni opium, więc jestem przekonany, że nie udało mu się zabić dlatego, iż miał atak narkotyczny. Zobaczył to pan Grewgious i widział też taki atak jego siostrzeniec, Edwin Drood.

Pan CHESTERTON: I trzecia kwestia – dlaczego, skoro nie udało mu się zabić Drooda, najwyraźniej był przekonany, że go zabił?

ŚWIADEK: To, jak myślę jest zupełnie jasne, ponieważ napadu dokonał w opiumowym odurzeniu, w takim, jakie później opisała mi „Księżniczka Pykawka”, a który zdarzył się u niej w palarni opium.

Pan CHESTERTON: Tak, słyszeliśmy już z ust „Księżniczki Pykawki” o tym, jak to „było nierealne pierwszy raz”. Pasuje do pańskiej teorii?

SĘDZIA: Obawiam się, że świadek nie powinien przedstawiać żadnych teorii. To nasz obowiązek po wysłuchaniu zeznań.

Pan CHESTERTON (Do świadka): No więc, czy od pana Grewgiouisa otrzymał pan jakieś potwierdzenie tego poglądu?

ŚWIADEK: Tak, napisałem do pana Grewgiouisa i on opowiedział mi o napadzie w pierwszym dniu świąt Bożego Narodzenia – przynajmniej myślę, że to było w pierwszym dniu świąt – gdy rozmawiał z Jasperem... z więźniem.

Pan CHESTERTON: I powiedział panu, że Edwin Drood też pamiętał atak swego wuja?

ŚWIADEK: Tak, przypominam sobie, że tak powiedział.

Pan CHESTERTON: Na podstawie czego doszedł pan do wniosku, że wino pana Drooda było zaprawione narkotykiem?

ŚWIADEK: Na podstawie Oficjalnych Protokołów.

Pan CHESTERTON: Czy domagał się pan od Deputy'ego spełnienia obietnicy?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Mamy zeznanie, że pierścień został ulokowany w krypcie.

ŚWIADEK: Tak?

Pan CHESTERTON: Jest pan zaskoczony?

ŚWIADEK: Absolutnie nie.

Pan CHESTERTON: Dlaczego?

ŚWIADEK: Bo sam go tam ulokowałem.

Pan CHESTERTON: W jakim celu?

ŚWIADEK: O ile wiem, był to pierścień, który, jak widziałem, pan Grewgius przekazywał Droodowi i o którym – co mogłem przeczytać w Oficjalnych Protokołach – Jasper nie miał pojęcia. Zgodnie z poleceniem pana Grewgiusa, Drood miał go zwrócić panu Grewgiusowi. Uzyskałem od mego przyjaciela, Durdlesa, dostęp do krypty Sapsea i tam właśnie ulokowałem ten pierścień. Zrobiłem to w tym celu, aby później, gdy Grewgius wyznaczy nagrodę za odnalezienie pierścienia, więzień mógł być złapany w czasie odwiedzania krypty.

Pan CHESTERTON: Pan Grewgius mógł rozgłosić w Cloisterham, że według niego pierścień ciągle jeszcze jest w posiadaniu Edwina Drooda?

ŚWIADEK: Tak właśnie zrobił.

Pan CHESTERTON: Wypisał to na dużym plakacie?

ŚWIADEK: Tak.

Pan CHESTERTON: Takim jak ten? (*Wręcza świadkowi kopię oryginału okładki książki.*)

ŚWIADEK: Podobny do drugiej ilustracji od góry po lewej stronie.

Pan CHESTERTON: Bardzo dobrze; pański plan polegał na złapaniu Jaspera w chwili, gdy zabiera pierścień, by doprowadzić do skazania go za usiłowanie popełnienia morderstwa?

ŚWIADEK: Zgadza się.

Pan CHESTERTON: Wierzył pan w jego winę?

ŚWIADEK: Nie miałem żadnych wątpliwości.

Pan CHESTERTON: Nie moim zadaniem pytać pana, co się wydarzyło, ale sądzę, że aresztował kogoś innego za morderstwo. Nie myślę się?

ŚWIADEK: Nie myli się pan.

Pan CHESTERTON: Dziękuję.

### **TOMASZ BAZZARD PRZESŁUCHIWANY PRZEZ STRONĘ PRZECIWNĄ**

Pan WALTERS: Nadmienił pan kilka razy, że pochodzi z Norfolk.

ŚWIADEK: Urodziłem się w Norfolk.

Pan WALTERS: Z tego hrabstwa pochodzą knedle?

ŚWIADEK: Niewątpliwie, niektóre.

Pan WALTERS: I pan też stamtąd pochodzi?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Interesujący zbieg okoliczności. Jest pan synem farmera?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Bardzo ambitnym?

ŚWIADEK: Tego bym nie powiedział.

Pan WALTERS: Nie czuje pan tego w sobie?

ŚWIADEK: Nie sądzę, żeby to była jakaś szczególnie wielka ambicja. Myślę, że bycie bardzo ambitnym to nie to, czego bym chciał.

Pan WALTERS: Jednak porzucił pan Norfolk na korzyść Londynu?

ŚWIADEK: Obawiam się, że wielu ludzi robiło to przede mną.

Pan WALTERS: Chciał pan poświęcić Londynowi swój geniusz?

ŚWIADEK: Bardzo dziękuję, ale chciałem po prostu być pożyteczny memu chlebodawcy.

Pan WALTERS: I dlatego zawodowo zaangażował się pan u pana Grewgiousa?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Pańska rola „węszyciela” miała charakter honorowy i była odpowiedzialna?

ŚWIADEK: Zgadza się. To dla mnie najlepsze zajęcie.

Pan WALTERS: A on traktował pana z dużym szacunkiem?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Z niezwykłym szacunkiem, jakim adwokat traktuje swego kancelistę?

ŚWIADEK: Dlatego, że pan Grewgious jest osobą wyjątkowo kulturalną.

Pan WALTERS: Pan również traktuje go z wielkim szacunkiem?

ŚWIADEK: Pracuję dla niego, sądzę, że bardzo ciężko i z wielkim oddaniem.

Pan WALTERS: Pytałem o pański dla niego szacunek, nie pytałem o to, czy ciężko pan pracuje albo z jakim oddaniem.

ŚWIADEK: Wybacz mi pan tę dygresję?

Pan WALTERS: Pamięta pan pytanie? Traktuje go pan z dużym szacunkiem?

ŚWIADEK: Mam nadzieję, że tak.

Pan WALTERS: Nawet jeżeli dawał mu pan gburowate odpowiedzi, to czy wtedy też okazywał mu pan szacunek?

ŚWIADEK: Nie wiem. To zależy od stopnia tej gburowatości.

Pan WALTERS: I pobierał pan od niego pieniądze jako dobry i wierny sługa?

ŚWIADEK: Mam nadzieję, że tak.

Pan WALTERS: Jest pan całkowicie oddany jego interesom?

ŚWIADEK: Mam nadzieję, że tak.

Pan WALTERS: Dlatego pewnego razu przysnął pan w czasie rozmowy?

ŚWIADEK: Przysnąłem, ale na jego polecenie. Powiedział, że ta rozmowa odbędzie się na temat spraw, które mnie nie dotyczą i że szczególnie mu zależy, abym ją usłyszał. Jednak bardzo mu zależało, żebym był świadkiem transakcji, jaka miała miejsce pod koniec rozmowy.

Pan WALTERS: A nie byłoby lepiej, gdyby pan po prostu wyszedł z pokoju?

ŚWIADEK: Nie sądzę. To postawiłoby go w niezwykle niezręcznej sytuacji.

Pan WALTERS: Wolał pan uciąć sobie drzemkę?

ŚWIADEK: Mogę to wyjaśnić? Gdybym wyszedł, pan Grewgious musiałby po mnie przyjść, mówiąc Edwinowi Droodowi, że potrzebuje świadka.

Pan WALTERS: Dlatego wolał pan zasnąć i chrapać w obecności klienta?

ŚWIADEK: Po kolacji uciałem sobie tylko krótką drzemkę.

Pan WALTERS: Krótką drzemkę, jak to pan określił, w czasie, gdy pana pracodawca zajmował się ważnym klientem?

ŚWIADEK: Rozmową, której nie miałem słyszeć.

Pan WALTERS: Często pan tak zasypiał?

ŚWIADEK: Nie, teraz na przykład nie mam na to ochoty.

Pan WALTERS: Nie, teraz, jak sądzę, winniśmy mieć pana zupełnie obudzonego. Czy zwykle sypia pan, gdy poważni klienci zjawiają się w biurze?

ŚWIADEK: Nie, zwykle nie otrzymuję takich poleceń.

Pan WALTERS: Czy to był jedyny, pełen szacunku sposób traktowania szefa i klienta?

ŚWIADEK: Nie miałem ze strony pana Grewgiousa uwag na ten temat. Nadal u niego pracuję i chyba uważa, że warto mnie zatrudniać.

Pan WALTERS: Panie Bazzard, opowieść, którą pan mi przedstawił, świadczy o pańskiej bujnej wyobraźni. Nie mylę się?

ŚWIADEK: Jeżeli tak pan twierdzi, szanowny panie, to jak najbardziej! Wolę odpowiadać na pytania.

Pan WALTERS: Mimo to, prawdopodobnie, pragnie pan uświadomić sędziom przysięgłym, że jest dżentelmenem obdarzonym wyobraźnią?

ŚWIADEK: Nie do mnie należy ocena – ja tylko zeznaję jako świadek.

Pan WALTERS: Słyszałem, że napisał pan sztukę teatralną?

ŚWIADEK: Raz, wiele lat temu, gdy byłem młody, napisałem tragedię. Wstyd się przyznać! Mam nadzieję, że żaden inny świadek, którego prawdomówność jest kwestionowana...

Pan WALTERS: Jaki tytuł miała ta tragedia?

ŚWIADEK: *Cierń niepokoju.*

Pan WALTERS: Wystawiono ją?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Sądzę, że to dzieło wielkiego geniuszu?

ŚWIADEK: Tego bym nie powiedział.

Pan WALTERS: Ale inne sztuki wystawiano!

ŚWIADEK: Tak pan myśli? Byłbym zachwycony, gdyby pan ją przeczytał.

Pan WALTERS: Niech pan nie będzie taki skromny! Dramaturdzy zwykle tacy nie są. Myślę, że istnieje coś takiego, jak dobre sztuki i złe sztuki, prawda?

ŚWIADEK: Tak, oczywiście, są złe sztuki.

Pan WALTERS: Proszę o pańską osobistą opinię – jak pan myśli, czy pańska sztuka jest dobra, czy zła?

ŚWIADEK: Tego nie wiem. Ja oczywiście jestem przekonany, że jest dobra, ale wielu ludzi – ci, którym ją prezentowałem – raczej w to wątpi.

Pan WALTERS: Uważają, że brakuje w niej czegoś takiego jak „magia”?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Nie chcę, aby pan nawet przez moment myślał, że wszyscy dramaturdzy są złymi ludźmi. Ja tylko chcę zwrócić uwagę, że być może napisał pan złą sztukę.

ŚWIADEK: W skład zespołu sędziów przysięgłych wchodzi też dramaturdzy i oni mogą zaprezentować swoją opinię.

Pan WALTERS: Czy może pan podać powód, dla którego nie została wystawiona?

ŚWIADEK: Nie sądzę, żebym mógł podać taki powód. Gdyby ktoś spytał mnie o powód, to odpowiedziałbym, że nie mieli czasu ocenić jej wartość.

Pan WALTERS: Jednak czasami wystawia się złe sztuki?

ŚWIADEK: Nie wątpię.

Pan WALTERS: Bywają akceptowane nawet jeśli są złe?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Czy sztuka teatralna musi być zła, żeby nie uzyskać akceptacji? Kiedy taki



geniusz jak pan...

ŚWIADEK: Proszę, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

SĘDZIA: To zeznanie nie dotyczy geniuszu tego człowieka.

PRZEWODNICZĄCY ŁAWY PRZYSIĘGŁYCH: Z całym szacunkiem, ale z tego zeznania dowiedzieliśmy się, że świadek napisał sztukę teatralną.

SĘDZIA: Wielka prawda.

Pan WALTERS: Kiedy człowiek o pańskich zdolnościach i pewnych ambicjach nie może doprowadzić do zaakceptowania swojej sztuki, to niekiedy ucieka się do innych zajęć – innych niż zwykłe?

ŚWIADEK: Na to pytanie nie potrafię panu odpowiedzieć. Ja tylko próbowałem zwykłych zajęć.

Pan WALTERS: Jest pan prawnikiem?

ŚWIADEK: Nie, proszę pana.

Pan WALTERS: Jest pan jakoś związany z zawodem prawniczym?

ŚWIADEK: Nie, proszę pana.

Pan WALTERS: Nie jest pan związany z prawem?

ŚWIADEK: Nie, proszę pana.

Pan WALTERS: A zatem nie zna się pan na prawie?

ŚWIADEK: Tego nie twierdzę. Podobno wszyscy Anglicy znają się na ustawach, kształtujących ich życie. Pracuję w kancelarii prawnej, w której nie pracuje adwokat, ale zarządca i syndyk dwóch dużych posiadłości.

Pan WALTERS: I dlatego nie uważa pan siebie za prawnika?

ŚWIADEK: Nie do mnie należy ocena.

Pan WALTERS: Uważa pan, że jest w stanie udzielić prostej odpowiedzi na każde zwykłe pytanie?

ŚWIADEK: Myślę, że mogę to zrobić.

Pan WALTERS: Zapewne słyszał pan, że autorzy i dramaturdzy, którym się nie powiodło i nie udało wydać książki lub wystawić sztuki, akceptowali inne, zwykłe zajęcia i pomysły?

ŚWIADEK: Nie sądzę, żeby mnie to dotyczyło.

Pan WALTERS: Nigdy pan nie słyszał o aktorce, która straciła swoje klejnoty albo o autorze, któremu się nie powiodło, fingujących swoje samobójstwo?

ŚWIADEK: Słyszałem, że naprawdę to zrobili.

Pan WALTERS: A słyszał pan o autorze, który stwierdził, że był na Biegu Północnym i napisał książkę? Czy to opatrność zapobiegła sprowadzeniu na pana złej sławy?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: I może dlatego nie doszło do wystawienia *Ciernia niepokoju*?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Innymi słowy, czy dla pana nie byłoby większym pożytkiem, gdyby traktowano go jak bohatera?

ŚWIADEK: Nigdy nie brałem poważnie pod uwagę takiej możliwości.

Pan WALTERS: Lubi pan efekty teatralne?

ŚWIADEK: Nie, proszę pana.

Pan WALTERS: Lubi pan sztuki teatralne?

ŚWIADEK: Jestem trochę za bardzo zapracowany, żeby się tym interesować. Jak już powiedziałem, jestem zbyt zajęty...

Pan WALTERS: Tak albo nie?

ŚWIADEK: Proszę uznać, że moja odpowiedź jest wystarczająca. Powiedziałem, że byłem zajęty zdobywaniem środków do życia, niemniej jednak interesowałem się brytyjskimi sztukami teatralnymi.

Pan WALTERS: Interesował się pan?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Pański pracodawca wiedział o tym?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Czytał pańską sztukę?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Zainteresowała go?

ŚWIADEK: Jego interesowała tylko moja praca dla niego.

Pan WALTERS: Ale wie pan, że to człowiek niezwykle bystry, prawda?

ŚWIADEK: Wiem. Jednak mogę panu powiedzieć, że nie interesował się sztukami teatralnymi.

Pan WALTERS: Ma pan przyjaciół interesujących się sztukami teatralnymi? Spotkał pan jakiegoś twórcę dramatów?

ŚWIADEK: Nie, proszę pana.

Pan WALTERS: Jednak w Oficjalnych Protokołach figuruje informacja, że pan spotkał!

ŚWIADEK: No to może się pomyliłem i spotkałem. Odpowiedziałem na pytanie „tak czy nie”. Spotkałem kilka osób interesujących się sztuką teatralną i tak jak ja próbujących sił w ich pisaniu. Spotykałem ich, ale z długimi, szczęśliwymi przerwami.

Pan WALTERS: Przypuszczam, że oni chcieli swoje sztuki wystawić?

ŚWIADEK: Zapewne.

Pan WALTERS: Pytam pana jeszcze raz – i proszę udzielić mi prostej odpowiedzi...

ŚWIADEK: Z całym szacunkiem, ale czuję się bardzo urażony...

Pan WALTERS: Myśli pan, że nie zaszkodziłoby panu trochę sławy?

ŚĘDZIA: Muszę się wtrącić, ponieważ nie znam takiej istoty ludzkiej na świecie, która nie chciałaby zaznać trochę sławy i muszę też przypomnieć sądowi, że obie strony wygłoszą jeszcze mowy końcowe i wszyscy mamy wielką nadzieję, iż kogoś skazemy. Nie sądzę, by ktoś mógł powiedzieć, że odpowiedzi obecnego świadka narażały go na dyskredytację, ale jeżeli adwokat prowadzący przesłuchanie zechce zadać jeszcze kilka pytań, to jak najbardziej powinniśmy pozwolić mu na to, a potem winniśmy kontynuować tak szybko, jak to tylko możliwe.

ŚWIADEK: Gdybym został skazany, niewątpliwie doczekałbym wielkiej sławy.

ŚĘDZIA: Tak, nie traćmy nadziei.

Pan WALTERS (kontynuując przesłuchanie): Datchery to obecnie raczej znana postać?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Uważa pan, iż bycie kojarzonym z Datcherym to zaszczyt?

ŚWIADEK: Jestem dumny, że mogłem tam pracować.

Pan WALTERS: Mało pan wiedział o sprawie Drooda?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Trochę dowiedział się pan od pana Grewgioua?

ŚWIADEK: Mój wyjazd i śledztwo to pomysł pana Grewgioua.

Pan WALTERS: Nie miał źródła w dramaturgicznej inspiracji?

ŚWIADEK: Inspiracją był pan Grewgiou.

Pan WALTERS: Czy udawał pan, że śpi?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Czy zawczasu nie był pan przygotowany do odegrania roli Datchery ego?

ŚWIADEK: Czy Datchery nigdy nie chrapał?

Pan WALTERS: Był pan przygotowany do odegrania tej roli?

ŚWIADEK: Nie miałem pojęcia, że pan Drood ma zostać zamordowany.

Pan WALTERS: Dlatego pan nie udawał?

ŚWIADEK: Nie musiałem.

Pan WALTERS: Według Oficjalnego Protokołu ma pan zwyczaj wyrażać się zwięźle.

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: I lapidarnie?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Wypowiadał się pan przed nami tylko dwoma lub trzema słowami?

ŚWIADEK: Odpowiadałem tak, będąc w pewnym sensie do tego prowokowany.

Pan WALTERS: Czy to pański doradca prawny skłonił pana do wypowiedzania dłuższych

zdań?

ŚWIADEK: Chyba nie.

Pan WALTERS: Czy w roli pana Datchery ego udawał pan, rzucając krótkie zdania?

ŚWIADEK: Nie, ale ktoś, kto stoi w ławie świadków, nie jest dobrym kryterium.

Pan WALTERS: Przypuszczam, że pan może pisać?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Zakładam, że pańskie obowiązki zawodowe nauczyły pana właściwego przechowywania dokumentów?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Nie przechowywał pan zwykłych notatek ze śledztwa w Cloisterham?

ŚWIADEK: Co to są „zwykłe notatki”?

Pan WALTERS: Mam przyjąć, że niczego pan nie notował?

ŚWIADEK: Notowałem.

Pan WALTERS: Dlaczego stosował pan znaczki robione kredą?

ŚWIADEK: Robiłem to tylko dla zabawy.

Pan WALTERS: Były w jakimś sensie użyteczne?

ŚWIADEK: Mogę stwierdzić, że nie.

Pan WALTERS: Cenił pan bardzo swój czas, a mimo to tracił go pan na kreski kredą na drzwiczkach kredensu?

ŚWIADEK: Nie zajmowało mi to wiele czasu.

Pan WALTERS: Nie zabrał pan ze sobą tych drzwiczek do Londynu jako dowodu?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Robiąc kreski, jedynie marnował pan czas?

ŚWIADEK: Tak, ale nieszkodliwie. Przecież dramaturg ma prawo do jakiegoś hobby.

Pan WALTERS: Znał pan Johna Jaspiera?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Widział pan, jak pali opium?

ŚWIADEK: Nigdy.

Pan WALTERS: Wie pan, po jakim czasie pojawiają się skutki palenia?

ŚWIADEK: Nie wiem – ale wyobrażam sobie, że może to zależeć od ilości opium i innych okoliczności.

Pan WALTERS: Sądzę, że miał zwyczaj palić w szczególny sposób – palił specjalną mieszankę; myśli pan, że mógł odczuwać skutki po kilku minutach?

ŚWIADEK: Tego nie mogę powiedzieć, nie wiem też, jakie były jego zwyczaje jako palacza opium.

Pan WALTERS: Nie sądzi pan, że mogło to trwać kilka godzin?

ŚWIADEK: Nie mam pojęcia.

Pan WALTERS: Zaskoczyło pana, że po takiej orgii mógł mieć rano jasną głowę?

ŚWIADEK: Nic mnie nie zaskoczy, ponieważ niewiele na ten temat czytałem. Pan WALTERS: Nic pan nie wie na ten temat?

ŚWIADEK: To sprawa doświadczenia; tego, co się samemu przeżyje.

Pan WALTERS: Nigdy nie widział pan, jak Jasper pali opium?

ŚWIADEK: Nigdy.

Pan WALTERS: Obserwował go pan w Cloisterham?

ŚWIADEK: Tylko na ulicy.

Pan WALTERS: Myśli pan, że był zdolny do tak desperackiego posunięcia jak atak na Edwina Drooda?

ŚWIADEK: Myślę, że był zdolny.

Pan WALTERS: Czy możliwe też, aby mógł zaatakować kogoś innego?

ŚWIADEK: Tak.

Pan WALTERS: Nie sądzi pan, że z tego powodu pan też był w niebezpieczeństwie?

ŚWIADEK: Nie sądzę.

Pan WALTERS: Nie sądzi pan, że groziło panu niebezpieczeństwo ze strony człowieka, który mógł pana zaatakować? Ma pan mocne nerwy?

ŚWIADEK: Nie mnie to oceniać.

SĘDZIA: Uważam, że nie powinien pan pytać o to świadka. To sprawa osobista. Czy ktoś ma mocne nerwy można ustalić tylko doświadczalnie.

Pan WALTERS: Jeszcze kilka pytań. Darzy pan Edwina Drooda wielką sympatią?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: A Neville'a Landlessa?

ŚWIADEK: Też nie.

Pan WALTERS: Interesuje się pan Heleną Landless?

ŚWIADEK: Nie.

Pan WALTERS: Nie interesują pana inne kobiety?

ŚWIADEK: Mnie interesują tylko sprawy zawodowe.

Pan WALTERS: Dlaczego więc ryzykował pan swoje cenne życie?

ŚWIADEK: Po pierwsze, nie sądzę, żebym ryzykował życie – cenne czy nie. Pojechałem tam tylko dlatego, że prosił mnie o to pan Grewgious, i dlatego, że był dla mnie szczerym i troskliwym pracodawcą, a ja uważałem, że jeżeli osiągnę dobre wyniki, to on wynagrodzi mnie odpowiednio.

Pan WALTERS: Może mi pan wyjaśnić, dlaczego Drood – jeżeli żyje i tylko zniknął – nie kontaktuje się z przyjaciółmi?

SĘDZIA: Czy nie jest to temat do końcowej dyskusji w tej fikcyjnej debacie?

Pan WALTERS: Pytam tylko, czy świadek może podać jakieś wyjaśnienie. (Do świadka) Może się pan spodziewać po człowieku, który zniknął i dowiedział się, że jego przyjaciele znaleźli się w niebezpieczeństwie, że się z nimi skontaktuje?

ŚWIADEK: Hipotetycznie powinien to zrobić. Jednak nie odnosi się to do sprawy Drooda.

SĘDZIA: Myślę, że w miarę możliwości powinniśmy się skupić na istotnych faktach zamiast zajmować się rozumowaniem abstrakcyjnym.

Pan WALTERS (Do świadka): Może pan podać jakikolwiek powód, dla którego Drood się nie kontaktował?

ŚWIADEK: Nie mogę, jednak on się kontaktował z przyjaciółmi.

Pan WALTERS: Może pan przedstawić jakiś dowód?

ŚWIADEK: Znajduje się w rękach adwokata.

Pan WALTERS: Nie sądzi pan, że ten Wielmożny Radca Jego Królewskiej Mości powinien go panu przekazać?

ŚWIADEK: Tego nie wiem. To nie zależało ode mnie.

Pan WALTERS: Może pan wracać do Norfolk, panie Bazzard.

ŚWIADEK: Dziękuję. Wracam do City.

Pan CHESTERTON: Nie zamierzam powtórnie przepytować świadka. Na tym kończę.

## MOWA KOŃCOWA OBROŃCY

W mowie obrończej pan Chesterton zwrócił się do Sądu słowami:

Wasza Lordowska Mość, Panowie Sędziowie Przysięgli!

Występuję w obronie więźnia w warunkach, które z wielu powodów są trudne, a nawet niefortunne. Dotyczy to sprawy, o której, niestety, bardzo często dyskutowano, wiele o niej pisano, a na jej temat wielu ludzi miało własne, z góry ustalone, opinie. Proszę Waszą Lordowską Mość o wystosowanie do przynajmniej jednej ważnej osoby listu w sprawie niezastosowania się do nakazu sądu. Dotyczy to bardzo niestosownego artykułu, jaki wczoraj ukazał się w *Daily Mail*. Twierdzę, iż nie możemy udawać, że jest to dla nas świeża sprawa. Prawdopodobnie panowie sędziowie przysięgli, a przynajmniej niektórzy z was, czytali o niej, ale ja pragnę zwrócić waszą uwagę, że dziś, związani przysięgą, macie wydać orzeczenie bez względu na jakiegokolwiek uprzednio wyrażane opinie, z jakimi mogliście się już zetknąć oraz bez względu na to, co mogliście przeczytać, zapisać lub usłyszeć. Jesteście zobowiązani wyrazić swoje zdanie tylko na podstawie dowodów i zeznań, jakie dziś zostały zaprezentowane Sądowi. Ja natomiast na podstawie dowodów i zeznań, bez chwili wahania wnoszę o uznanie więźnia za niewinnego.

Jaką mamy sytuację? Oprócz formalnych świadków – których zeznania z jednej strony nie podlegają dyskusji, z drugiej jednak niektóre wymagają komentarza – mieliśmy dziś jeszcze dwóch głównych świadków. Jest zupełnie jasne, że jeden z nich nie powiedział prawdy. Tak, to zupełnie oczywiste i niewątpliwe. Istnieje tylko pytanie, które musimy sobie postawić, który świadek mówi prawdę, a który kłamie? Można to sprawdzić na różne, równie dobre sposoby, jednak bez względu na to, który z tych sposobów wybierzemy, dojdziemy do tego samego wniosku – jeżeli świadkiem mówiącym prawdę jest Tomasz Bazzard, a tym, który nas czarował, była Helena Landless – to musimy ustalić, co wiemy o tych dwojgu. Pan Tomasz Bazzard jest kancelistą w biurze dobrze znanej osoby zajmującej się poważnymi interesami; Helena Landless, to młoda kobieta z Cejlonu. Doskonale. Bez wątpienia stamtąd przybyła, ale dziś dowiedzieliśmy się z fragmentu zdumiewającego zeznania, że system zapisu stosowany w starych angielskich tawernach pochodzi z Cejlonu!

Pozwólmy jednak rozważyć kwestię najważniejszą. Co z motywami? Mamy Bazzarda – on nie miał jakiegokolwiek motywu, aby próbować uzyskać uniewinnienie więźnia. Panna Helena Landless, zeznając pod przysięgą, przyznała, że jej nienawiść do Jaspiera nie ma nic wspólnego z tym, cokolwiek zrobił Edwinowi Droodowi. Jej nienawiść nie wynika z tego, że Jasper usiłował zabić Drooda, ma natomiast swe źródło w fakcie, że źle potraktował jej brata Neville'a i przyjaciółkę, pannę Różę Bud. Dysponujecie jej szczerym wyznaniem, że miała bardzo realny motyw, by ścigać więźnia. Panna Helena Landless opowiedziała nam o tym; powiedziała, że była Datcherym. I co nas przede wszystkim uderza w tej nadzwyczajnej opowieści? Zapytałem ją, czy ucharakteryzowała twarz, a ona odpowiedziała, że tego nie zrobiła. A powinna była powiedzieć, że zrobiła sobie makijaż, dodając zmarszczki. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że mogła się zjawić w Cloisterham, gdzie ją

znają, i nie zostać rozpoznana; jak mogła być tak bezczelna, żeby stanąć na miejscu dla świadków i żądać, by sędziowie przysięgli uwierzyli, że pojechała do miasta, w którym mieszkała dziewięć miesięcy i gdzie dobrze ją znano – z Domu Zakonnicy, gdzie pobierała nauki, z domu kanonika Crisparkle’a, gdzie była gościem, oraz z katedry – i nie została rozpoznana z twarzą absolutnie niezmienną, a tylko przebrana w siwą perukę i niebieski płaszcz! Chciała żebyście uwierzyli, że odwiedzała ludzi, którzy dobrze ją znali i że oni jej nie rozpoznali! Doprawdy, czy można się po nas spodziewać, że uwierzymy w choćby jedno jej słowo? Doprawdy, czyż nie jest to zbyt wielka i ciężka próba naszej łatwowierności, próba sprawdzania naszej naiwności w konfrontacji z innymi fragmentami jej zeznania? To jej sposób unikania podejrzeń. Ona chce nam wmówić, że mogła udawać starego pryka. Twierdzi, że zamówiła obfitą kolację i dużo wina, ale go nie wypić! Kiedy ją przycisnąłem, wyznała, że je wylała. Czy to było rozsądne? Przecież udając starego pryka, winna je była wypić! Ale wróćmy do jej opowieści. Spytałem ją, gdzie się nauczyła prowadzonego w tawernach sposobu notowania. Panowie, czy wiecie, jak to się robi w tawernach? Zwyczaj kultywowany w cieszących się złą sławą starych angielskich tawernach gdzie „notuje się długi klientów”. Jak wielu z nas wie, a pan Bazzard na to przysięgł w zeznaniu, jest to zwyczaj szczególnie praktykowany w Norfolk. Dlatego dla Bazzarda nie było to nic nowego. Gdyby panna Landless powiedziała, że nauczył ją tego ktoś z Norfolk lub z prowincji, uwierzylibyśmy, ale ona powiedziała, że nauczyła się tego na Cejlonie! Jestem wręcz zaskoczony, że nie powiedziała, iż tej umiejętności nauczyła się u panny Twinkleton! Jej teoria, że mogła się zachowywać jak stary pryk, jest absurdalna. Czy mogła się tak zachowywać tylko dlatego, że gdy miała trzynaście lat, przebierała się za chłopca? To przecież absurd. Kobieta dwudziestojednoletnia jako stary pryk! Nie mam najmniejszych wątpliwości, że powinniście zaakceptować zeznanie Bazzarda i odrzucić zeznanie panny Heleny Landless.

A oto inny, ważny aspekt sprawy. Jeżeli uwierzycie w zeznanie Bazzarda, które jest niezachwiane – to musicie uwolnić więźnia. Musicie go uznać za niewinnego, dlatego że Bazzard przysięgł, iż widział Edwina Drooda żywego już po tym, jak usiłowano go zabić. Jeśli w to uwierzycie, musicie uniewinnić więźnia. Nie wynika jednak z tego – co chcę szczególnie podkreślić – że jeśli uwierzycie w zeznanie Heleny Landless, to powinniście go skazać. W istocie panna Landless nie przedstawiła – o ile jej opowieść jest prawdziwa – nawet strzępu dowodu winy Johna Jaspersa. W rzeczywistości zasugerowała, że planował zamach na życie Edwina Drooda, a obrona uznaje to zeznanie. Zaprezentowała pewnego rodzaju dowód na to, że John Jasper był przekonany, iż go zamordował, ale nie przedstawiła ani skrawka dowodu, że morderstwo rzeczywiście miało miejsce. Dlatego proszę was, byście uwierzyli panu Bazzardowi i podkreślam, że mój uczony przyjaciel nie zakwestionował jego zeznania.

Chcę teraz podsumować zeznanie panny Landless. Była niezwykle dobrym świadkiem, ale w każdej kwestii podawała jakieś ekstrawaganckie wyjaśnienia, aby chronić siebie. Mój uczony przyjaciel, zdolny radca J. K. M., nie zadał Bazzardowi choćby jednego pytania dotyczącego jego zeznania. Całe swoje przesłuchanie poświęcił próbie zasugerowania,



że Bazzard jest skończonym głupcem, że napisał złą tragedię, której brak w dowodach, i że nie została ona wystawiona. Załóżmy, że wystawiono by tę złą tragedię i z tego powodu pan Bazzard zacząłby się pysznić. Mój uczony przyjaciel może słyszał o Fryderyku Wielkim, który pysznił się swoimi bardzo złymi wierszami. Mój uczony przyjaciel ograniczył się do stwierdzenia, że Bazzard kłamie tylko dlatego, że jest durniem. To samo w sobie kryje sprzeczność. Widzimy go na ławie świadków poddawanego przesłuchaniu przez jednego z najszacowniejszych mecenasów, a ja pytam was, panowie – czy któryś z was, widząc go, zapytał, czy jest kłamcą, łgarzem? Gdyby kłamał, to trudno uwierzyć żeby nie był człowiekiem o bardzo niezwykłych zdolnościach. Fakt, że w istocie jest człowiekiem o miernych umiejętnościach, to dla mego uczonego przyjaciela jedyny powód, aby nazwać go kłamcą! Uważam, że należy uwierzyć w zeznania Bazzarda; dlatego musicie uniewinnić więźnia.

Ale, jak przed chwilą powiedziałem, panna Helena Landless nie przedstawiła żadnego dowodu; nie przedstawił go też Durdles ani kanonik Crisparkle, i nawet najmniejszy fragment dowodu nie wykazał, że miało miejsce morderstwo. Weźmy na przykład pannę Landless – sprytnego, stanowczego świadka – pytam, czy przedstawiła jakiś inny dowód, poza pierścieniem, że Drood został zamordowany? Musiała – wbrew woli – przyznać, że nie może zaprezentować żadnego dowodu. Powiedziała, że ciągle podtrzymuje swoje zdanie i jestem pewien, że nie miała innego wyjścia! Możemy doskonale ocenić stan umysłu panny Heleny Landless – ona z całych sił nienawidzi więźnia i gotowa uwierzyć we wszystko, co przemawia na jego niekorzyść. Jestem pewien, że gdyby tu wkroczył cały i zdrowy Edwin Drood, ona ciągle wierzyłaby, iż został zamordowany przez Jaspera. Ale sądowi może przedstawić tylko pierścień.

Jeżeli uwierzymy w relację Bazzarda, to pierścień nie stanowi żadnej tajemnicy. Był tam ulokowany przez niego osobiście. Przypuśćmy jednak, że w to nie uwierzycie; pierścień mógł zniknąć na wiele sposobów. Mogę wam podać z pół tuzina prostych możliwości. Jasper, grzebiąc w kieszeniach Drooda, wyjął zegarek z łańcuszkiem i w stanie zamroczenia zapodział gdzieś pierścień. Równie dobrze mógł go zgubić Drood. Istnieją setki możliwości wyjaśnienia losów tego pierścienia, ale nie można wyjaśnić braku obecności wszystkiego innego. Niegaszone wapno może strawić ludzkie ciało, ale pytam, czy można sobie wyobrazić, że Edwin Drood nie miał przy sobie absolutnie nic z metalu? Wyobrażam sobie, że mógł mieć metalowe guziki u spodni – chyba, że był członkiem jakiejś niezwyklej komuny religijnej lub sekty wyznawców szczególnej higieny ciała nietolerującej noszenia przedmiotów tego rodzaju!

Mój przyjaciel zadał wiele pytań dotyczących nadzwyczajnego ryzyka. Panna Landless zlekceważyła to nadzwyczajne ryzyko, a pan Walters zlekceważył je w przypadku Bazzarda, który wręcz szczycił się tym, że nie zdawał sobie sprawy, iż naraża się aż na takie ryzyko. Ja też tak uważam. Oskarżyciel proponuje nam teorię mówiącą, że Jasper jest niezwykle błyskotliwym mordercą. W rzeczywistości jest jego przeciwnym. To, co przyznaje sam oskarżyciel, wystarczy mi aż nadto. My twierdzimy, że Jasper wszystko spartaczył i nie zabił tego człowieka; załóżmy jednak, że chciał go zabić, wówczas nie ma wąt-

pliwości, że cały plan po prostu zaprzepaścił. Pomyślcie tylko. Ten przebiegły w zbrodniach, który jakoby zabił człowieka, co ryzykował gardłem, pamiętał, że ofiara miała przy sobie przedmioty mogące go zdemaskować – zegarek z łańcuszkiem i spinki – więc zabrał je, a jednocześnie nie zastanowił się, czy miała też monety niedające się zniszczyć w niegaszonym wapnie. Nie potrudził się sprawdzić, czy nieboszczyk miał przy sobie jeszcze coś metalowego. Jest to tak zdumiewający absurd, że wprost niewiarygodne, żebyśmy o tym nie wiedzieli; podobnie jak wiemy, że był wtedy pod wpływem narkotyku i nie panował nad swymi czynami, gdy zamierzał popełnić morderstwo.

Na koniec powiem tylko: jestem świadomy, że w pewnym sensie stawiam się w niekorzystnym położeniu, nie mogąc okazać współczucia memu klientowi. Nie mogę oskarżyć mego klienta o to, że jest moralnie zły. Nie mogę wzbudzić waszego współczucia dla niego. Niewątpliwie nienawidził siostrzeńca i planował go zabić; niewątpliwie ponosi za to moralną winę, lecz – panowie sędziowie – te sprawy nie leżą w naszej kompetencji. Nie jesteśmy tu po to, by sądzić duszę Johna Jaspera. Jesteśmy tu po to, by rozstrzygnąć czy – z punktu widzenia prawa – popełnił morderstwo. Póki to nie zostanie niezbicie udowodnione, poty nie możecie orzec, że jest winien. I, ze swej strony, mogę powiedzieć tylko tyle: jeżeli w tej sprawie przekroczycie wasze kompetencje w zakresie wydawania opinii, to popsujecie szyki wyższym, nieznanym nam siłom.

Może to nie ma znaczenia, że ten człowiek stał się ofiarą bardzo dziwnego losu skazującego go na winę moralną, która na niego spadła i obciążyła jego sumienie, a jednak dziwnym i cudownym sposobem ten sam los wstrzymał jego rękę przed przelaniem ludzkiej krwi. Może On, ten który stworzył Johna Jaspera, zgotował mu daleko straszniejsze przeznaczenie niż ludzka kara, zaplanował pokutę gorszą od szubienicy; i zwróćcie uwagę na tajemniczy znak nietykalności na jego czole. Pozwólcie odejść Kainowi, on już należy do Boga.

## ODPOWIEDŹ OSKARŻYCIELA

Pan Walters, w imieniu strony oskarżającej, odpowiedział w sposób następujący:

Szanowna Jego Lordowska Mość....

Mimo iż ta sprawa jest wielce skomplikowana, sam problem należy do zupełnie prostych. Czy Edwin Drood został zamordowany? A jeśli tak, to czy Jasper jest mordercą? Obrona zrobiła zdumiewający i, jak sędzę, fatalny błąd. Przyznała mianowicie, że John Jasper zaatakował Edwina Drooda, zaatakował w celu dokonania morderstwa. Tym samym zgodziła się z tezą, że Jasper jest człowiekiem złym – że jest potworem, hipokrytą, człowiekiem niemoralnym, intrygantem i przestępcą – oraz że nosił w sercu zamiar popełnienia morderstwa. Dziwna jest ta koncepcja jego obrony, gdyż próbuje ominąć zasadniczą kwestię, by stwierdzić, że „jeżeli można tego człowieka za coś skazać, to jedynie za usiłowanie dokonania zabójstwa, które w pół drogi spartaczył”. Dlatego nie od rzeczy będzie próba udowodnienia, że ten człowiek jednak osiągnął cel i że o tym wiedział. Które zatem z ukazanych nam faktów niezbicie świadczą o tym, że John Jasper popełnił morderstwo i że Edwin Drood nie uciekł? Twierdzimy, że Edwin Drood stał się ofiarą najstaranniejszej i najbardziej misternie zaplanowanej intrygi, realizowanej systematycznie i tak dobrze zorganizowanej, że nie istniała w niej żadna luka, przez którą mógłby się wymknąć. John Jasper wypytywał odpowiednie osoby, wybrał dogodne miejsce i godzinę, skompletował materiały niezbędne do urzeczywistnienia potwornego zadania, które sam sobie narzucił. Postanowił usunąć rywala stojącego na drodze jego wielkiej namiętności, namiętności, która opanowała całe jego życie i – co było nieuchronne – wszystkie jego myśli. Nie czuł żadnej litości; opętała go żądza mordy, a wszystko, co robił, pokazywało, że zbrodni dokonał z ohydnyim poczuciem triumfu. Pytam was jednak, czy po tych wszystkich przygotowaniach, mógł coś popsuć tylko dlatego, że był odurzony opium i jedynie wyobrażał sobie, że dokonał tego czynu? Po pierwsze, przypomnijmy sobie charakter samego ataku – jego podwójną naturę. Mamy więc duszenie jedwabnym szalem, a potem użycie niegaszonego wapna. Jeżeli Drood uszedł z życiem za pierwszym razem, to jakim cudownym sposobem uniknął drugiego? A jeżeli uniknął, to dlaczego tak uczynnie zniknął dla wygody człowieka, który go zaatakował, a ku zmartwieniu przyjaciół, którzy go kochali? John Jasper stanowił zagrożenie dla tych wszystkich, którzy byli zaangażowani w sprawę. Czy Edwin Drood mógł tak całkiem zniknąć z powierzchni ziemi, aby nie wiedzieć, co się dzieje w Cloisterham? A jednak apelowano do was, panowie, żebyście w to uwierzyli, abyście uwierzyli, że człowiek, którego tak zaatakowano, zniknął w odpowiednim momencie, pozostawiając przyjaciół bez ostrzeżenia przed człowiekiem, który na niego napadł, a także zostawiając temu człowiekowi czystą drogę, żeby mógł nadal czynić zło! Powinienem stwierdzić, że to wręcz niepojęte albo powinienem rzec – jeśli mój uczony przyjaciel nie mógł sobie tego wyobrazić – że ani przez chwilę nie dopuszczam możliwości, żebyście mogli się zgodzić z opinią obrony.

Czy mamy niezbite dowody, świadczące o tym, że Jasper – który aranżował to wszystko

do pewnego czasu – Boże Narodzenie – cierpiał w tym okresie skutki odurzenia opium? Czy nie dysponujecie zeznaniami kanonika Crisparkle’a, który spotkawszy tego dnia rano Jaspera, był oczarowany jego pięknym śpiewem, trzeźwym umysłem, dobrym nastrojem i zdrowiem? To wszystko zostało absolutnie udowodnione niekwestionowanymi zeznaniami kanonika Crisparkle’a. Gdzie te skutki opium? Nie było żadnych śladów zażywania opium. Zbliżała się decydująca chwila i Jasper był na nią w pełni przygotowany. Nie odczuwał też skutków palenia opium, gdy dwoje młodych ludzi opuszczało jego dom. Nie mógł przesyć się opium w czasie ich krótkiej nieobecności, a potem odzyskać pełną świadomość w czasie podejmowania porannej akcji oskarżającej Neville’a Landlessa. A jednak nalega się na was, abyście uwierzyli, że w tak krótkim przedziale czasu mógł wytrzeźwieć, a równocześnie wmawia się wam, że znajdował się w tak głębokim transie, iż mógł wyobrazić sobie, że naprawdę popełnił morderstwo, którego nie popełnił; a następnego dnia wcześniej rano miał jasny umysł, dążył do osiągnięcia celu, i był na tyle trzeźwy, by ułożyć historyjkę obciążającą inną osobę. Dlaczego miałby wszczynać taki alarm, gdyby miał najmniejsze wątpliwości? Człowiek po dojściu do siebie po opiumowym transie może mieć pewne wątpliwości, ale on nie miał żadnych i w ciągu kilku godzin puścił w ruch całą maszynę, wszczynając alarm. Ściągnął Neville’a do miasta; zrobił to, co zaplanował od samego początku, chciał zwalić winę na Neville’a Landlessa i w ciągu tych kilku godzin zamierzał ostrożnie i starannie zrealizować cały plan. Dlaczego natychmiast padła sugestia, że zostało popełnione morderstwo? Dlaczego nie padła po jakimś czasie? Jasper był pewien, że zamordował, i że ciało nie zostało odnalezione; dlatego podjął tak szybkie i zdecydowane działania i natychmiast przystąpił do realizowania drugiej części zbrodni, będącej motywem popełnienia morderstwa.

Co zrobił? On nie tylko bezlitośnie ścigał Neville’a Landlessa, lecz prześladował też Różę Bud, której nawet groził, gdyż czuł się całkiem bezpieczny – jedyny rywal, który stał mu na drodze, został wyeliminowany i teraz miał przed sobą pustą drogę. Czy człowiek, będący pod wpływem opium, mógłby działać w tak stanowczy i racjonalny sposób? Ostrożnie ograbił zwłoki z tych szczególnie cennych przedmiotów, które, jak wiedział, znajdowały się przy ofierze. Mój uczony przyjaciel podkreślił ten akapit – dlaczego nie przeszukał kieszeni? Dlaczego tego nie zrobił? Pytał Durdlesa, jak działa niegaszone wapno. Wiedział, że nie niszczy metali. Od jubilera w Cloisterham dowiedział się, jakie cenne przedmioty nosi przy sobie Edwin. Były to zegarek z łańcuszkiem i spinki do mankietów. I właśnie te przedmioty zniknęły, a potem znalazł je przy jazie kanonik Crisparkle. Jakim to zbiegiem okoliczności Jasper wiedział tylko o tych przedmiotach, a o żadnych innych, które też powinny zniknąć, nie miał pojęcia? Dlaczego nie szukał dalej? Miedziaki i guziki nie identyfikują zwłok, dlatego mógł sobie pozwolić na zignorowanie ich. Co więcej, morderca nie marudził przy zwłokach ofiary; był już przekonany, że usunął wszystko, co mogło je zidentyfikować, był już bezpieczny, a reszty dokonać miało niegaszone wapno. Potem szybko się ulotnił, musiał wrócić do domu, żeby przygotować się na rano, kiedy miał zamierzał oskarżyć Neville’a Landlessa.

Jednak w posiadaniu Edwina Drooda był przedmiot, o którym Jasper nie wiedział –

pierścien, który Drood miał zwrócić, jeżeli jego narzeczeństwo zostanie zerwane, lecz którego Grewgious, jak sam twierdził, nigdy nie otrzymał. Ten pierścien mógł zdradzić mordercę i doprowadzić go do zguby. Nie zniszczyłoby go niegaszone wapno, a jeżeli pozostałby nietknięty, wyszłaby na jaw desperacka zbrodnia. Przypomnijmy sobie – on odważył się zadać pytanie natychmiast po zniknięciu Drooda, co świadczyło o ogromnym zaufaniu we własne możliwości i o kolosalnej odwadze. Człowiek, który ma choćby cień wątpliwości czy morderstwo się powiodło, nie uruchamia całej maszyny prawa, nie idzie do sędziego pokoju i nie składa u niego oskarżenia. Lecz jeśli wie, że morderstwo się udało i że ciało zostało unicestwione, może tak postąpić. Zrobi tak, jeżeli wie, że udało się wszystko, co zaplanował. Było jednak coś, o czym nie wiedział, a co przyczyniło się do jego zguby. Z natury nie był partaczem, to jeden z najlepiej zorganizowanych przestępców, jakich można sobie wyobrazić, człowiek, który przez wiele miesięcy obmyślał najdrobniejsze szczegóły zbrodni – wizytę w krypcie, rozmowę z Durdlesem i panem Crisparklem, teorię, w jaki sposób oskarżyć Neville'a Landlessa – a zatem człowieka, który zrobił to wszystko nie można nazwać partaczem.

Kanonik Crisparkle zrelacjonował wam rolę, jaką Jasper odegrał w gwałtownej kłótni między Droodem i Landlessem. Dobitnie świadczy ona o tym, że zbrodnia została zaplanowana. Wysłuchaliście też zeznań Durdlesa, kogoś, kto zapewne ledwo pojmuje, o czym mówi. Ale jakże cenne są to zeznania! Jasper rozmawiał z nim o niegaszonym wapnie i grobowcach, i to Jasper idzie z nim na nocną eskapadę. Czyżby to wszystko było bezcelowe i bezużyteczne? Czy ta nocna wyprawa to tylko wesoły, rozrywkowy piknik bez specjalnego celu, tylko dla zabawy? Nie dla zabawy, widzimy bowiem, jak pasuje do całego schematu morderstwa.

Mój uczony przyjaciel mówił o Helenie Landless. Twierdzimy, że jest ona świadkiem całkowicie bez zarzutu. To kobieta skrzywdzona przez naturę, zmuszona do odegrania trudnej roli, posiadała wszystko, co do tego niezbędne. Miała każdą przydatną w tej akcji umiejętność i kwalifikacje. Miała też doświadczenie; w młodości przebierała się za chłopca, okazując odwagę dorosłego mężczyzny; przewodziła bratu, a gdy wszystko zawiodło, minęło sześć miesięcy, a ona niczego nie mogła zrobić zwykłymi sposobami, postanowiła zacząć działać w przebraniu. Pytamy, dlaczego nie ucharakteryzowała twarzy. Nie wiemy, czy mój uczony przyjaciel chciał, żeby może poczerzyła twarz, nie wiemy też, co chciał, żeby zrobiła; jednak ona wychowywała się w gorącym klimacie i miała ciemną cerę. Wybrała rolę „starego pryka”, co oznacza – jeżeli w ogóle ma coś oznaczać – kogoś w „typie marynarza”. Nosila dużą siwą perukę, aby ukryć pod nią bujne pukle. Dlaczego Bazzard miałby nosić dużą siwą perukę, tego nie wiem. Mogła się przebrać tylko za starszego mężczyznę, ponieważ musiała nosić siwą perukę i chciała ukryć kobiece kształty. Wiedziała, z kim rozmawiać w Cloisterham, bo nie było to dla niej obce miasto i znała tam wiele osób.

A teraz słówko o Bazzardzie. Jeżeli odrzucicie Helenę Landless, to pozostaje wam tylko jedna możliwość. Musicie ulokować na jej miejscu Tomasza Bazzarda. Czy to właśnie pan Bazzard, ten, który zasnął w czasie, gdy jego pryncypał rozmawiał na niezwykle ważne dla klienta tematy, miał się pojawić w Cloisterham jako starszy mężczyzna, pan Datchery? Czy

ten człowiek, który bardziej przejmuje się sztuką teatralną, niż prawem, mógłby zdobyć się na konfrontację z człowiekiem, który popełnił morderstwo? Widzieliście pana Bazzarda na ławie świadków i zwracam waszą uwagę na fakt, że mógł na was wyrzucić fałszywe wrażenie. Bazzard, zeznając jako świadek, był pogodny, bystry, czujny i nader wymowny. Oficjalny protokół mówi, że to człowiek „blady, puciołowaty, około trzydziestki, o dużych ciemnych rozbieganych oczach, które ciągle wyrażają niezadowolenie, oraz o ciastowatej cerze, jakby proszącej, żeby ją wysłać do piekarza”. I to ma być dzentelmen, który mógł dzielnie odegrać rolę Datchery ego! Twierdzą, że to zupełnie niemożliwe i że jego własna próżność skusiła go, by sugerować tego rodzaju wyróżnienie. Zeznał, że „ulołował” pierścień w krypcie, aby tam znalazł go ktoś postronny, przez co – wiedząc, że Drood żyje – dopuścił, by ciągle wisiało nad Nevillem Landlessem oskarżenie o popełnienie morderstwa, a Róża nadal była prześladowana przez Jaspera. I zrobił to człowiek mający styczność z prawem! To absurdalna historia i zupełnie nieprawdopodobna! Wnoszę, abyście ją odrzucili.

Szanowni panowie, spoczywa na was obowiązek, który – jak mam nadzieję – wypełnicie wiernie i zgodnie z posiadaną inteligencją i wiedzą. Jest to dla mnie nieskończenie bolesne, iż muszę wnosić o skazanie tego człowieka za popełniony grzech. Jednak John Jasper też nie okazał litości. Obdarzał czułością człowieka, którego zamierzał zabić. Przywiódł do zguby tego, komu wmawiał, że jest jego najdroższym i najbliższym przyjacielem; zniszczył obiecujące życie, życie, które mogło być owocne i szczęśliwe. Nie proszę o zemstę, lecz tylko o to, by sprawiedliwości stało się zadość, bo tylko sprawiedliwość może zachować świętość życia ludzkiego. Jeżeli źle wywiążecie się ze swego obowiązku, ten człowiek po wsze czasy będzie wolny. Wzywam was w imię człowieczeństwa i ludzkich praw, abyście porzucili emocje i orzekli, opierając się tylko na przedstawionych faktach. Ta tajemnica, panowie, ciągnie się już zbyt długo. Dziś macie okazję wyjaśnić to, co wydaje się jeszcze niejasne, rozwikłać ten głęboki i złożony problem. Skierowane są na nas oczy całego kraju, a cały świat z troską czeka na waszą decyzję. Błagam was, panowie, stanowczo i szczerze, odrzućcie wszelkie fantazje, które były tu prezentowane przez mego uczonego przyjaciela na temat tej niezwyklej historii o niepopełnionym morderstwie, co – jak sądzę – wykazałem, jest całkowitą nieprawdą, i jedną śmiałą oraz stanowczą decyzją ostatecznie rozwiążcie tajemnicę Edwina Drooda.

## PODSUMOWANIE

Jego Lordowska Mość przedstawił następujące podsumowanie:

Panowie Sędziowie Przysięgli!

Nie jesteście pierwszymi sędziami przysięgłymi w tym dużym kraju, ale pierwszymi, którzy muszą tak niedorzecznie szybko orzec werdykt. Postępowanie jest tak interesujące, że brak mi nadziei na wydanie sprawiedliwego osądu; jednak posunę się tak daleko, jak tylko będę mógł i przedstawię zasadniczy zarys sprawy, potem przekażę moje obowiązki wam, panowie sędziowie. Przede wszystkim – o czym należy pamiętać – dlatego, że zostało to zapisane w tym, co nazywamy Oficjalnym Protokołem...

WIDZ: Głośniej, proszę.

SĘDZIA: Zwracam się do sędziów przysięgłych. Jeżeli jesteście przekonani, że aby nas usatysfakcjonować, powinniście powiesić tego człowieka, to jesteście w błędzie. Zwracam wam uwagę – a możecie to znaleźć nawet w Oficjalnym Protokole, w tym, co usłyszeliście dziś wieczorem i w tekście książki – pośrednio jesteśmy w posiadaniu wielu informacji o oskarżonym. Dlatego muszę was prosić, panowie sędziowie, postawcie się na chwilę na jego miejscu. Zapomnijcie, że jesteście solidnymi, dobrymi, prawnymi obywatelami zebranymi w tym miejscu w celu rozstrzygnięcia poważnego problemu. Ja też muszę zapomnieć, że jestem doświadczonym sędzią, zasiadającym na tym miejscu od wielu lat. Musimy spróbować wyobrazić sobie – wy, sędziowie, i ja – spróbować wyobrazić sobie, że jesteśmy pisarzami. Przypuszczam, że wtedy wszystko stanie się łatwiejsze, a najlepiej, jeśli wyobrazimy sobie, że jesteśmy autorami powieści kryminalnej. Dlatego mogę bardzo szybko – tak jak to widzę – podzielić zeznania na dwie strony i zostawić sprawę wam.

Nie muszę podkreślać, jak poważne zadanie stoi przed wami. Gdybyśmy mieli przed sobą namaszczone (przez autora...) zakończenie tajemnicy Edwina Drooda, to byłoby ono namaszczone niemal tak jak koniec ludzkiego życia, lecz jeśli w wasze umysły zakradła się jakakolwiek wątpliwość, czy tajemnicę Edwina Drooda można wyjaśnić, wnosząc oskarżenie, to musicie pozwolić więźniowi odejść wolno, nawet jeżeli tylko z jego powierzchowności wywnioskowaliście, że na wolności będzie mordował innych ludzi. Jeśli oskarżyciel nie przekonał was, że tajemnica została wyjaśniona, nie możecie go skazać i będzie miał prawo skorzystać z waszych wątpliwości.

Następna rzecz, to konieczność wyraźnego rozróżnienia zeznań dwóch głównych świadków. Który z nich krzywoprzysięgał i – jak to się określa – czy pozwoliliśmy bluźniercom brać udział w prawnym procedowaniu? Chcę coś nadmienić na ten temat, bo jest to fakt nadzwyczajny. Sędziowie przysięgli muszą wszystko dobrze przemyśleć, ponieważ w tej sprawie mogło dojść do krzywoprzysięstwa w wielu wypadkach. Tak straszne przestępstwo jak krzywoprzysięstwo można popełnić albo z bardzo niskich pobudek, albo z bardzo ważnych powodów.

Postać pana Bazzarda, jak to sam ukazał nam z malowniczą klarownością, wydała mi się zabawna i atrakcyjna, ale – czy mogę tak się wyrazić? – niezbyt świątobliwa i wydaje

mi się dyskusyjne, żeby mógł kłamać na temat absurdalnego sposobu, w jaki toczy się ten świat. Z drugiej strony trzeba, jak myślę, przyznać pannie Landless, że chociaż mogła kłamać, czy też krzywoprzysięgać za pieniądze, niewykluczone, że robiła to zgodnie z jakimś religijnym nakazem związanym z uczuciami, jakimi darzyła swego brata. I dlatego zwracam uwagę sędziów, iż możliwe jest, że oboje kłamią. Gdybym miał rozróżnić ich motywy, musiałbym jednak wziąć pod uwagę ich stan duchowy. Dotyczy to obu przypadków. Jeżeli jedno kłamało, drugie mówiło prawdę.

Teraz o peruce. Myślę, że jej znaczenie jedna strona nadmiernie uwypukliła. Peruka to silny argument przemawiający za tym, że Datcherym była Helena Landless, chociaż jakoś niezbyt silnie odczuwała jej ciężar. Przypuszczam, że dzisiejszego wieczoru wielu z nas uświadamiało sobie niewygodę i dyskomfort, wynikające z noszenia peruki maskującej zbyt bujne włosy. Zatem nie powinienem upierać się przy twierdzeniu, że mieliśmy do czynienia z kobiecymi włosami. Edwin Drood jest przedstawiony na obrazie z monstrualnie długimi włosami – ale to nas tutaj nie interesuje. Myślę, że należy na to zwrócić uwagę, chociaż niezbyt wielką, oskarżeniu. Przejdźmy do drugiej poważnej różnicy dotyczącej zeznań pewnych świadków i pozwólcie mi nadmieniść, iż kilku z nich i – ośmielałem się twierdzić – również kilku sędziów zapoznało się już z działaniem dwóch substancji; jedna to opium, druga niegaszone wapno. Większość z nas miała z nimi do czynienia, jeśli nie często, to przynajmniej w różnych praktycznych sytuacjach; ten wątek przewija się przez całą rozprawę, bez przywoływania opinii ekspertów, morfinistów, czy też osób częściowo po-grzebanych w niegaszonym wapnie (które, jak sądzę, należałyby do wybranych). Nie wzwano przed sąd żadnego eksperta mogącego opisać, jakiego rodzaju skutki wywołują te substancje i myślę, że moim obowiązkiem jest zwrócić uwagę sędziom przysięgłym, aby powstrzymali się przed wydaniem pochopnego wyroku i wzięli pod uwagę powszechną ludzką ignorancję dotyczącą skutków działania tych substancji. Ja osobiście nie mam pojęcia, jak szybko opium działa na umysł albo jak szybko niegaszone wapno może strawić ludzkie ciało, ale jeżeli panowie sędziowie mają wiedzę na ten temat, to – zgodnie z najlepszą tradycją palestry – polecam, by usunęli tę wiedzę ze swych myśli.

Mamy przed sobą dwa zarzuty. Z jednej strony zarzut stawia oskarżyciel, stanowczo i silnie argumentując, że Drood jest martwy, dlatego nie wrócił; natomiast obrona dysponuje silniejszym argumentem, przemawiającym przeciwko jakiegokolwiek teorii o zamordowaniu Edwina Drooda, ponieważ – znowu – nie wrócił, nawet pod postacią zwłok. „Jeżeli nie żyje”, mówił obrońca, „to gdzie jest ciało?”. „Jeżeli żyje”, mówił oskarżyciel, „to gdzie się znajduje?”. Nie jest to, jak sądzę, streszczenie rozumowania, ale jasne jest, że – jeśli się dobrze nad tym zastanowicie – obie teorie zależą od tych dwóch możliwości. Czy to możliwe, żeby półprzytomna osoba odurzona opium mogła popełnić morderstwo? Albo czy to możliwe, żeby niegaszone wapno mogło zniszczyć wszystkie ślady, łącznie z guzikami, oraz czy brak ciała świadczy o popełnieniu morderstwa? Wam pozostawiam udzielenie odpowiedzi na te pytania. Czy to, co mogę nazwać „dowodem niegaszonego wapna”, jest wystarczającym dowodem do uznania Jaspera winnym popełnienia morderstwa albo czy „dowód opium” daje wystarczającą podstawę do twierdzenia, że było to morderstwo zrodzone



z odurzenia narkotykiem. Na tego rodzaju dowodach winniście oprzeć werdykt. Co do reszty, to odpowiadacie przed Najwyższym Autorytetem, tak jakbyście mieli do czynienia z niezwykle fascynującą powieścią. Panowie sędziowie, możecie udać się na naradę i uzgodnić werdykt.

## WERDYKT

Przewodniczący zespołu sędziów przysięgłych wstał i rzekł:

Wasza Lordowska Mość! Z zadowoleniem mogę oznajmić Waszej Lordowskiej Mości, że zgodnie z tradycją i praktyką brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości, w czasie lanczu uzgodniliśmy werdykt. Muszę wyjaśnić Waszej Lordowskiej Mości, że było to dla nas niewątpliwie trudne zadanie dlatego, że Edwin Drood zniknął bez śladu, całkowicie zrywając kontakt z przyjaciółmi w Cloisterham, lecz po wysłuchaniu opinii społecznej i po przeprowadzeniu rozmów w Cloisterham, dziś, tu w sądzie, nie czujemy z tego powodu najmniejszego zaskoczenia. Pod wpływem uwag zgłoszonych przez skrajnie różniące się – jeśli wolno mi to tak określić – osoby wchodzące w skład tego zespołu sędziów przysięgłych, w pierw byliśmy skłonni orzec, że więzień jest „niewinny” ze względu na brak dowodu popełnienia morderstwa; ale z drugiej strony, chłodniejsze i rozsądniejsze rozumowanie pozwoliło nam dojść do wniosku, że jeśli człowiek, który z zimną krwią zamordował swojego siostrzeńca, ma pozostać bezkarny, to całe postępowanie karne prawdopodobnie doprowadzi do tego, że my wszyscy nie będziemy się czuć bezpiecznie w naszych łóżkach. I – co zapewne pana ucieszy – zwyciężył w nas duch kompromisu, co oznacza, że ustaliliśmy, iż więzień jest winny nieumyślnego spowodowania śmierci.

Polecamy go z całą powagą Waszej Lordowskiej Mości, a równocześnie błagamy, by Wasza Lordowska Mość pamiętał, że ochrona życia społeczeństwa leży w waszych rękach. Błagamy też, by Wasza Lordowska Mość nie uległ jakimkolwiek sentymentom, mogącym zniechęcić pana do stosowania prawa z najwyższą energią.

Pan WALTERS: Byłbym wdzięczny, gdyby sędziowie przysięgli zechcieli wykonywać swe obowiązki stosownie do ducha prawa. Usłyszeliśmy od Przewodniczącego, że z wyprzedzeniem uzgodniono werdykt, a ja odmawiam akceptacji takiego werdyktu i proszę Waszą Lordowska Mość, by się wypowiedział w tej sprawie.

PRZEWODNICZĄCY ŁAWY PRZYSIĘGŁYCH: Sędziowie przysięgli, jak wszyscy brytyjscy sędziowie przysięgli, mogą być tylko tym zachwyceni; im prędzej, tym lepiej.

Pan CHESTERTON: Zgadzam się z moim uczonym przyjacielem.

SĘDZIA: Orzekam, że wszyscy tu zgromadzeni, z wyjątkiem mnie, złamali nakaz Sądu i winni bez jakiegokolwiek procesu odbyć karę więzienia!

Sąd wstał o 11.35, rozprawa trwała cztery godziny i dwadzieścia minut.

# CHARLES DICKENS

CHARLES JOHN HUFFHAM DICKENS urodził się 7 lutego 1812 roku w Landport koło Portsmouth, gdzie jego ojciec pracował jako niższy urzędnik admiralicji. Rodzina przenieśli się do Londynu w roku 1815, a potem w roku 1817 do Chatham, gdzie Dickens spędził najszcześniejsze lata dzieciństwa. Po nich nastąpił okres ciężkich przeżyć związanych z przebywaniem ojca – za nieoddane długi – w więzieniu Marshalsea, kiedy młody Dickens musiał przerwać naukę w wieku dwunastu lat i został posłany do pracy w fabryce pasty do obuwia. Te przeżycia boleśnie go zraniły i wpłynęły na jego twórczość. Wrócił do szkoły, którą ukończył, mając piętnaście lat i zaczął pracować jako stenotypista w sądownictwie, a potem jako sprawozdawca parlamentarny. W roku 1833 zaczął pisywać komentarze do czasopism, które potem wydano jako *Szkice Boża* (*Sketches by Boz*, 1836-1837), co doprowadziło do kontaktu z wydawcami i w efekcie zaowocowało stworzeniem postaci pana Pickwicka i publikowaniem *Klubu Pickwicka* (*The Pickwick Papers*, 1836-1837), w miesięcznych odcinkach.

W roku 1836 Dickens ożenił się z Catherine Hogarth, z którą w ciągu następnych szesnastu lat miał dziesięcioro dzieci. W roku 1837 zaczął publikować *Olivera Twista* (*Oliver Twist*) w czasopiśmie „Bentley’s Miscellany”, które sam redagował. Powieść *Życie i przygody Nicholasa Nickleby* (*Life and Adventures of Nicholas Nickleby*) ukazała się w latach 1838-1839. Powieści *Magazyn osobliwości* (*The Old Curiosity Shop*, 1840-1841) i *Barnaba Rudge* (*Barnaby Rudge*, 1841), były przeznaczone dla tygodnika „Master Humphrey’s Clock” („Zegar Mistrza Humphery’a”), redagowanego przez Dickensa, który jednak ostatecznie zaprzestał jego wydawania.

Podróż Dickensa do Ameryki w roku 1842 przyniosła *Zarysy Ameryki* (*American Notes*) oraz dostarczyła materiału do powieści *Marcin Chuzzlewit* (*Martin Chuzzlewit*, 1843-1844). Nie zyskała ona popularności u czytelników, za to następny utwór *Opowieść wigilijna* (*A Christmas Carol*, 1843) okazał się niezwykle popularny i zapoczątkował cykl „powieści Gwiazdkowych”. W roku 1844 Dickens odwiedza Włochy i pisze *Obrazki z Włoch* (*Picture from Italy*, 1846) dla „Daily News”, gazety, której był założycielem. W latach 1846-1848 ukazała się powieść *Dombey i Syn* (*Dombey and Son*), a w latach 1849-1850 *Dawid Coperfield* (*David Copperfield*). W roku 1850 Dickens zaczął wydawać tygodnik „Household Words”, włączony w roku 1850 do „All the Year Round”, czasopisma, które wydawał aż do swojej śmierci. W czasopiśmie tych ukazały się eseje, wydane jako *Reprinted Pieces* i *The Uncommercial Traveller* (1861). *Childs History of England* została wydana w latach 1851-1853, *Samotnia* (*Break House*) w 1852-1853, *Ciężkie czasy* (*Hard Times*) w 1854 roku, *Mała Dorrit* (*Little Dorrit*) w latach 1855-1857, *Opowieść o dwóch miastach* (*A Tale of Two Cities*) w roku 1859, *Wielkie nadzieje* (*Great Expecta-*

tions) w latach 1860-1861, *Nasz wspólny przyjaciel (Our Mutual Friend)* w latach 1864-1865.

W roku 1856 Dickens kupił posiadłość Gads Hill Place, koło Rochester, a w roku 1856, po rozstaniu z żoną, rzucił się w wir spotkań z czytelnikami. Podczas tych spotkań czytał swoje utwory, co wzbudzało ogromny entuzjazm, ale zarazem było dla pisarza wyczerpujące. Ostatni utwór, *Tajemnica Edwina Drooda*, pozostał niedokończony, bowiem pisarz zmarł nagle 9 czerwca 1870 roku.

[{1}](#) A jeśli bezbożny odstąpił od bezbożności, której się oddawał, i postępuje według prawa i sprawiedliwości, to zachowa duszę swoją przy życiu (Księga Ezechiela rozdz. 18 w. 27, według Biblii Tysiąclecia). W liturgii kościoła anglikańskiego są to pierwsze słowa modlitwy porannej i wieczornej (wszystkie przypisy tłumacza).

[{2}](#) Prototypem tego budynku (w Rochester) jest College Gate, a raczej College Yard Gate, piętnastowieczna kamienna budowla z piętrem wykonanym w konstrukcji drewnianej. Brama w tym domu prowadzi z High Street na dziedziniec katedralny.

[{3}](#) Pan Crisparkle śpiewa tu fragment kompozycji polifonicznej Josepha Mazzinghiego (1765-1844), *Pasterze, powiedzcie mi...*

[{4}](#) Autor nieznany. Melodia z siedemnastego wieku, ze słowami ułożonymi przez Johna Sale'a jako utwór polifoniczny na trzy głosy. Dickens zapewne ją znał. Dalej Edwin cytuje inną linię tej samej piosenki: *moja żona będzie tańczyć, a ja wesóło się bawiąc będę śpiewał.*

[{5}](#) W dziewiętnastym wieku opium szeroko stosowano w medycynie, głównie jako środek na ból głowy i bezsenność. Zwykle zażywano go w postaci proszku albo mieszano z winem lub innym napojem alkoholowym.

[{6}](#) Słowa te pochodzą z utworu *Młodzieńcze marzenie miłości* Thomasa Moore'a (1779-1852).

[{7}](#) W oryginale to „stare katedralne miasto” jest najwyraźniej wzorowane na Rochester, które znane było Dickensowi z dzieciństwa. Podobieństwo jest oczywiste, jednak byłoby błędem zakładać jego dosłowność.

[{8}](#) Dom Zakonnicy – wzorem dla tego domu jest Eastgate House w Rochester, pojawia się też jako Westgate House w Klubie Pickwicka. Ten piękny szesnastowieczny, ceglany budynek w gruncie rzeczy nigdy nie był klasztorem, ale gdy Dickens pisał *Edwina Drooda*, mieściła się w nim szkoła dla panienek. Teraz jest w nim muzeum.

[{9}](#) Nieprzetłumaczalna gra słów. Róża Bud może być tłumaczona jako Róża Pączek, w związku z tym „Rosebud” znaczy „Pączek Róży”, co w języku polskim będzie po prostu Różyczką.

[{10}](#) Giovanni Battista Belzoni (1778-1823), włoski podróżnik i badacz starożytności. W Egipcie prowadził poszukiwania w Dolinie Królów. Badał też piramidę Chefrena i świątynię w Abu Simbel.

[{11}](#) Zarówno Belzoni, jak i inni archeolodzy, poszukiwacze lub rabusie grobów używali tej metody, aby wykryć puste miejsca za pozornie solidnymi ścianami.

[{12}](#) Kamienny Durdles.

[{13}](#) „Deputy” można tłumaczyć jako „Zastępca”, „Delegat” lub „Wysłannik”.

[{14}](#) Dzikie Piotruś (Peter the Wild Boy), (1725-1785) pochodził z nieznanymi rodziców z hanowerskiej rodziny. Był umyślowo upośledzony. W roku 1725 stwierdzono, że żył jak dzikus w lesie w pobliżu Hamelin, miasta, z którego pochodził legendarny Piotruś Flecista. Chodził na czworakach, zachowywał się jak zwierzę i żywił się runem leśnym. Nigdy nie nauczył się mówić – za wyjątkiem trzech słów. Po znalezieniu został przewieziony do Królestwa Wielkiej Brytanii postanowieniem Jerzego III, który zainteresował się nim podczas wizyty w ojczystym Hanowerze.

[{15}](#) Chwył ten polega na trzymania głowy przeciwnika pod ramieniem.

[{16}](#) W Rochester byłaby to uliczka Kanonika Mniejszego, łącząca St. Margaret's Street z południową stroną dziedzińca katedralnego.

[{17}](#) Nazwisko „Honeythunder” można tłumaczyć: honey = miód, thunder = grzmot, a zatem brzmiałoby ono „Miodogrzmiący”.

[{18}](#) Zakładając, że Cloisterham jest wzorowane na Rochester, wzmianka o doprowadzeniu kolei w pobliżu Cloisterham stanowiłaby wskazówkę co do czasu akcji powieści. Znaczyłoby to, że mamy rok 1840.

[{19}](#) Postać pana Honeythundera najprawdopodobniej wzorowana jest na radykalnym polityku Johnie Brithcie (1811-1889).

[{20}](#) Gate house – „dom z bramą”, inaczej zwany też „stróżówką”.

[{21}](#) Około 9 litrów.

[{22}](#) Nieprzetłumaczalny test poprawności wymowy: Peter Piper picket the peck of pickled pepper, podobny do polskiego: „Nie pieprz Pietrze wieprza pieprzem, bo przepieprzysz wieprza pieprzem”.

[{23}](#) Fort Tilbury – miejsce, w którym 8 sierpnia 1588 roku królowa Elżbieta I dokonała przeglądu zwycięskiej armii i floty wojennej po rozgromieniu hiszpańskiej Armady.

[{24}](#) W. Szekspir *Henryk IV Cz. 2. Wstęp.*

[{25}](#) Muzy.

{26} Może to być opis ruin zamku w Rochester. Ponieważ Dickens w powieści podkreślał wszystko, co jest „kościelne”, dlatego zamek stał się klasztorem.

{27} W rzeczywistości napis ten oznacza inicjały i datę dotyczącą jednego z szefów Staple Inn: „Prezes John Thompson. 1747”.

{28} Dotyczy hotelu Wood's w Rochester. Dickens wynajmował pokoje w Furnival w latach 1834-1837 i zapewne mieszkał przedtem w hotelu Wood's.

{29} Drzewo upasowe (*antiaris toxitaria*), wydzielające śmiertelny sok używany przez miejscową ludność do zatrucia grotów strzał. Mówi się, że jest zabójcze dla wszystkiego, co znajduje się w jego cieniu. W przenośni oznacza zębne działanie lub wpływ.

{30} Prawie na pewno Dickens miał tu na myśli satyryczne rysunki Hansa Holbeina (1497?-1543), na których śmierć przedstawiona jest w postaci szkieletu.

{31} Nieprzetłumaczalna gra słów. „Spirit” – duch, ale również alkohol, stąd spirytus.

{32} Parodia piosenki *Nie wróćmy do domu aż do rana*, autor nieznan. Dickens cytuje ją w nie sparodiowanej formie przy końcu rozdziału siódmego w *Klubie Pickwicka*.

{33} Addison, tragedia pt. *Cato*.

{34} Słowa te są nawiązaniem do *Sinobrodego*: „Siostrzyczko Anno, siostrzyczko Anno, co tam widzisz z wieży?”

{35} Trawestacja początkowych słów *Makbeta* W. Szekspira.

{36} Chodzi tu o kryty płachtą wóz podobny do używanych przez kolonizatorów Dzikiego Zachodu w Ameryce.

{37} Słowa te są nawiązaniem do poematu-maski Johna Milтона (1608-1684) *Comus*, w którym pełna napięcia sytuacja zagrożenia dziewiczej Alicji przez czarodzieja Comusa, reprezentującego siłę rozkładu i czystego użycia, stanowi punkt wyjścia do pytania, czy w świecie zdążającym do ładu moralnego cnota potrafi bronić się bez interwencji sił zewnętrznych.

{38} Jeremy Bentham (1748-1832), angielski filozof i teoretyk prawa, interesujący się problemami teorii prawa i etyki. Za cel swej działalności uważał dobro człowieka. Głosił, że dobre i moralne jest wszystko to, co zapewnia szczęście i przynosi realny pożytek jednostce i społeczeństwu.

{39} Parodia słynnego stwierdzenia Jeremy'ego Benthama.

{40} W Anglii istnieje prawo, że nie można skazać podejrzanego o morderstwo bez odnalezienia ciała ofiary zbrodni.

{41} Znajduje się tam, tuż za uchem, organ wojowniczości.

{42} Nazwa prawdopodobnie wzorowana na hotelu Mitra w pobliżu Chacham.

{43} Pan Sapsea bezwiednie cytuje *Hamleta*, akt I, scena 5.

{44} Angielska wersja szkolnego wierszyka typu „częstochowskie rymy”. Podobne wierszyki uczniowie wypisują na okładkach szkolnych podręczników.

{45} Zgodnie ze zwyczajem panującym w angielskich szkołach.

{46} Można przypuszczać, że określenie to dotyczy kominiarza, ale w rozdziale XX *Wielkich nadziei* Dickens używa słowa „czarnuch” w odniesieniu do zawiesziny sadyz w londyńskim smogu lub mgle.

{47} Nazwisko służącego Tartara wywodzi się prawdopodobnie od słowa „loblolly”, co oznacza gęstą owsiankę tradycyjnie podawaną marynarzom, ale może też pochodzić od określenia „loblolly boy”, co oznacza pomocnika lekarza pokładowego.

{48} Chodzi tu o grę w wolanta.

{49} Niewątpliwie prototypem tej postaci była dobrze znana londyńskiej policji niejaka „Lascar Sal” lub „Sally Palaczka Opium”. Według Fredericka Wellesleya (*Recollections of Soldier-Diplomat*, 1947, str. 75-76), który odwiedził ją w latach 1863-1866, kobieta ta wyglądała na lat 80, podczas gdy w rzeczywistości była osobą ledwie 26-letnią.

{50} Kilka osób zwróciło uwagę na pomyłkę Dickensa, bowiem to honorowe miejsce tradycyjnie przypada w udziale najmłodszym chłopcom z chóru.

{51} Autor nawiązuje do powieści Dickensa *Dombey i Syn*, w której Edith Dombey reprezentuje kobietę o niespotykanej porywczym charakterze, z trudem pasującym do charakterystycznej postaci majora Joe Bagstocka.

{52} „Cockney”, londyńska gwara do tego stopnia charakterystyczna i wyjątkowa, że, niestety, niepodobna jej przetłumaczyć.

[{53}](#) *Tajemnica Edwina Drooda* została sfilmowana w 1935 roku, jak podaje Jerzy Toeplitz w *Historii sztuki filmowej*, tom czwarty. Reżyserował Stuart Walker dla wytwórni Universal Pictures.

[{54}](#) Jeżeli któryś z sędziów jest kwakrem albo inną osobą uprawnioną wyłącznie do złożenia oświadczenia o swej obecności zamiast przysięgi, stwierdza: „Sędziowie Naszego Pana i Władcy potwierdzają swoją obecność, itd.”

[{55}](#) Brytyjski pisarz (1836-1917), autor *Happy Things*.

[{56}](#) Prawdopodobnie chodzi tu o pierwszego hrabiego Oksford, pierwszego lorda admiralicji za czasów króla Williama III.

[{57}](#) 1874-1930, angielski pisarz, nowelista i krytyk.

[{58}](#) Brytyjski autor (1863-1928); napisał słynną powieść *Armageddon* (1914).

[{59}](#) 1839-1917, angielski projektant mebli, płytek ceramicznych, witraży itp.; przyjaciel Williama Morrisa.

[{60}](#) 1863-1943, angielski pisarz znany z licznych opowiadań o charakterze makabry lub satyry (znana: *Małpia łapka*).

[{61}](#) 1863-1945, angielski autor znany z powieści realistycznych.

[{62}](#) 1857-1930, angielski autor powieści satyryczno-humorystycznych i obyczajowych.

[{63}](#) Angielski pisarz, autor znanej powieści *The Drummer of the Dawn* (1913).

[{64}](#) 1870-1953, angielski historyk, przyjaciel G. K. Chestertona.

[{65}](#) 1834-1933, angielski pianista, kompozytor włoskiego pochodzenia.

[{66}](#) 1866-1914, angielski dramaturg i nowelista.

[{67}](#) 1867-1943, angielski podróżnik, poszukiwacz złota, autor wielu powieści.

[{68}](#) 1863-1950, popularny angielski pisarz powieści przygodowych i kryminalnych.

[{69}](#) 1859-1936, irlandzki autor, polityk i poseł do Parlamentu.

[{70}](#) 1867-1936, angielski krytyk, dziennikarz i autor licznych powieści.

[{71}](#) 1837-1923, angielski pisarz, historyk i reformator edukacji.

[{72}](#) 1858-1943, angielski pisarz i tłumacz o orientacji chrześcijańskiej oraz autor wierszy humorystycznych.

[{73}](#) 1856-1924, szkocki krytyk i dziennikarz z Edynburga, przyjaciel G. B. Shawa.

[{74}](#) Odmiana angielskiego chleba, który popija się mlekiem (przyp. tłum.).

[{75}](#) Sędziowie zostali zaopatrzeni w egzemplarz pierwszego wydania angielskiego.